

A photograph of a man and a woman wrapped in a white, patterned blanket on a beach. They are looking at each other closely. The background shows the ocean and a cloudy sky.

To historia o relacjach rodzinnych, o rozpadającym się małżeństwie, o szukaniu optymizmu i swojej własnej drogi, o tym, jak nauczyć się walki o szczęście, mimo przeciwności losu.

ANNA
KARPIŃSKA

POZWÓL SIĘ
UWIEŚĆ

Prószyński i S-ka

Karpińska Anna

Pozwól się uwieść

Marta, kobieta po czterdziestce, zostaje sama z dorastającymi bliźniakami, córką i synem. Rozstanie z niewiernym mężem jest dla niej dramatyczną decyzją, bo nigdy nie przestała go kochać. Jej życie rozsypuje się jak domek z kart, i tylko tajemniczy Szymon, znajomy z internetowego forum, zdaje się ją rozumieć. Okazuje jej wsparcie, pomaga pokonywać trudności, podejmować wyzwania zawodowe i rodzinne. Marta staje się silniejsza i pewniejsza siebie.

Postanawia wziąć sprawy w swoje ręce i uwolnić się od rodziny, która nie stanęła po jej stronie, zrobić wreszcie coś dla siebie. Znajduje piękny dom i marzy, by kiedyś zamieszkać w urokliwej orłowskiej willi.

Marta wiąże nadzieje na przyszłość z Szymonem. Internetowy ideał odwleka jednak termin spotkania. Kto kryje się po drugiej stronie sieci? Czy wiara w tę ulotną znajomość jest naiwnością?

A może marzenie o wielkiej miłości się spełni?



Wrzesień 2011

ROZWÓD

Kajetan, poczekaj! - krzyknęłam do syna biegnącego przez sądowy korytarz w kierunku rzeźbionych schodów. - Kajtek!

Leciałam za nim, czując, że nie uda mi się powstrzymać siedemnastolatka, który postanowił pozostawić daleko za sobą słowa „orzekam rozwód”, kończące pewien etap w życiu jego rodziców. Frunął po schodach, pokonując naraz po kilka stopni, niczym ptak wznoszący się do lotu w obawie przed determinacją przyczajonego jastrzębia. Stałam, z trudem łapiąc oddech, wściekła na wysokie obcasy nowych czółenek godnych bardziej statecznej właścicielki. Dotarwszy do klatki schodowej, wiedziałam, że z trzeciego piętra zobaczę w sądowym holu jedynie sylwetki niewielkich postaci czekających na rozprawę, wspomaganych przez swoich drogich, w sensie dosłownym i przenośnym, „dobroczywnych” adwokatów od rozwodów, obleczonych w powłóczyste, czarne, dostojne togi z zieloną lamówką. Za tym dostojnictwem czai się tylko forsa, forsa, forsa... Cóż za farsa! Rafał, mój od kilku minut eks, dzisiaj musiał zdjąć podobną togę, by jako

„strona”, a nie „pełnomocnik powoda”, usłyszeć od sądu dla naszego małżeństwa sakramentalne „nie”, po sakramentalnym „tak”, które wypowiedzieliśmy w urzędzie stanu cywilnego osiemnaście lat temu.

- Przynajmniej na jednym rozwodzie nie zarobiłeś - pomyślałam z satysfakcją, przypominając sobie trzy tysiące alimentów, które zostały zasądzone na Rozalkę i Kajetana. Rafał, uznany w mieście adwokat od rozwodów, tym razem musiał sam zmierzyć się z „wysokim sądem” i przyjąć werdykt z dobrodziejstwem inwentarza. I tak mu się udało z tymi trzema tysiącami, biorąc pod uwagę jego dochody. Chociaż zostawił nam dom i w swojej łaskawości nie wysłał na ulicę. Chyba trafił mnie szlag! - uświadomiłam sobie nagle sytuację naszej, od dziś trzyosobowej, rodziny. W ciągu czterech miesięcy redakcja skurczyła się o pięć osób, a choć mój dział projektowania ogrodów przetrwał, zachował rubrykę jedynie w co drugim numerze. Na razie najwyraźniej bardziej opłaca się znać na nawożeniu i ochronie przed szkodnikami niż na organizacji przestrzennej. Zarobki nie przedstawiały się zachęcająco. Ot, złośliwość losu. Małeńki gwoździk do trumienki zdradzonej żony z dziećmi na rozwodowym chlebie.

- Ucz się tego swojego hiszpańskiego, przecież nie musisz pracować. - Rafał bagatelizował moje kłopoty, wychodząc do kancelarii. Jeszcze wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że ciągnie go nie tylko do pracy.

Biegałam na lekcje, zaglądałam do podręczników języka częściej niż do anonsów oferujących dodatkową

pracę. Wakacje okazały się martwym sezonem w kwestii zatrudniania nowych pracowników. Na Wybrzeżu nie wychodziło zbyt wiele czasopism ogrodniczych (żeby nie powiedzieć o naszym „Lubię swój ogród”: „jedyne”), a próby zaczepienia się w firmach projektujących zieleń kończyły się zawsze tak samo. Miałam wrażenie, że potencjalni pracodawcy ukończyli kursy profesjonalnego odmawiania natrętom.

- Szefa nie ma. Proszę zgłosić się po piętnastym października.

- Chwilowo nikogo nie potrzebujemy, może w późniejszym terminie.

- Proszę zostawić swoje CV, odezwiemy się.

- Ogłoszenie dotyczy osób do trzydziestego piątego roku życia, bardzo mi przykro.

Czy aż tak bardzo widać, że mam czterdzieści pięć lat?

- Ma pani doświadczenie w prowadzeniu firmy? Nie? Słyszałem, że można otrzymać dotację na założenie mikro przedsiębiorstwa. Może pani spróbuje?

- Nie prowadzimy rekrutacji.

- Osobom poszukującym pracy dziękujemy.

- Bezrobotni, wynocha!

- W cholerę z wami, nieroby!

- Mami, dobrze się czujesz? - Rozalka objęła mnie ramieniem.

- Gdzie Kajt?

Myśli o nowej sytuacji uciekły przez otwarte okno sądowego korytarza. Na ławce przed budynkiem sądu siedział Kajetan, ulicą podążały samochody, kasztanowce

rozpościerały pięciopalczaste dłonie z żółknących jesiennych liśćmi, z trudem utrzymując rude owoce.

- Chodź do domu - usłyszałam głos córki. - Wiem, że ci smutno. Chodź.

Wyrzuciłam kamyczek z buta. Cholerne czółenka.

- Mami, podnieś się. Nie płacz, mami...

- Nic mi nie jest, córuś. Chodźmy do Kajtka.

- Może was podwieźć? - Rafał, jak zwykle, pojawił się gdzie trzeba.

Żartujesz? Dziękuję. Nie ma potrzeby. Rafał, nie próbuj udawać. Idę z dziećmi do domu. Chce mi się płakać. Nie zauważyłeś, że właśnie się rozwiodłam? Nie czujesz, że jestem nieszczęśliwa? Co ty sobie wyobrażasz? Myślisz, że jestem bez serca? I, do cholery, nie chodzi o tę moją głupią pracę, której nie mam. Nie o nią! Ani o to, że nie mam forsy, poza trzema tysiącami od ciebie na życie. Pieprzyć kasę! Jestem nieszczęśliwa, Rafał, bo kochałam cię, Rafał. A może jeszcze Kocham? A ty wystawiłeś mnie, normalnie wystawiłeś, sukinsynu jeden, bo zachciało ci się pieprzyć z tą twoją koleżaneczką z pracy, aplikantką od siedmiu boleści, pieprzony dupku. Wynoś się z mojego życia! Wynocha, bo ci przywalę. Boże, jaka ja jestem nieszczęśliwa!

- Daruj sobie. Mam samochód na parkingu - zdobyłam się na odmowę. - Chodźcie dzieciaki, jestem zmęczona.

Został na placu przed sądem. Gdybym nie wiedziała, że kilka miesięcy temu dogadzał sobie z aplikantką,

zawróciłabym i zarzuciłabym mu ręce na szyję. „Kochanie wracaj do domu, zrobimy sobie kolacyjkę z procentami, a potem wiesz... W końcu dzieciaki już są duże, mądre i dyskretne. Co najwyżej następnego dnia puszczą oko do rodziców, myśląc o ich udanym wieczorze". Rafał! Rafał...

Październik 2011

RODZINA

Najtrudniejsze były poranki. Kolejne dni, w których musiałam sobie udowodniać, że życie toczy się zgodnie z moją wolą.

- Mamo, mam na ósmą, pośpiesz się. - To Kajetan.

- Mami kończę basen o szóstej, pamiętasz? - To Rozalia.

- Martusiu, jedziesz do Gdyni? - Moja mama.

- Tak, mamo. Jak co dzień.

- Co się tak denerwujesz od rana? Chciałam cię prosić o wykupienie recepty, ale widzę, że nie będziesz miała czasu.

- Mamo, kupię te lekarstwa. Zawsze kupuję. Połóż receptę na stole na ganku. - Próbowałam powstrzymać zniecierpliwienie. Jeszcze za życia taty wydawało mi się, że mama jest trochę zbyt absorbująca, jednak teraz, po jego śmierci, stawała się wręcz nieznośna. Moją opiekuńczą obecność w okresie żałoby, która powinna zakończyć się ze dwa lata temu (tata zmarł przed trzema), odebrała jako przyzwolenie na wejście w moje życie. Byłam jej ojcem, matką, córką, opoką, tym gorszą, że bliską. Byłam zawsze pod ręką, dom w dom. Jedno podwórko, wygodny

ganek, ta sama kwiatowa rabata, ten sam samochodowy podjazd. Zdawało się, że trudny czas po śmierci taty minął po mniej więcej roku, ale hołubiona przez nas mama za nic nie chciała dać się pozbawić specjalnego traktowania. Zbolały wzrok i zmęczona przeżyciami twarz wracała wraz z nią do naszego wspólnego siedliska. Ładowała w nim wieczorami po spotkaniu z koleżankami lub po lekcjach angielskiego, które rozpoczęła niedawno. Czasem myślałam, że nie ma kąta, w którym mogę się przed nią ukryć...

- A i wiesz, Martusiu, Kajetan powinien już chyba włożyć kurtkę. Może być zimno.

- Kajetan! - drę się wniebogłosy. - Weź kurtkę, może być zimno!

- Mamo, daj spokój. Świeci słońce, a my nie mieszkamy na Syberii.

- Kajtek! Co ja mówię?

- Nic cię nie słucha. - Mama twardo pilnuje, żeby rodzina wyjechała na czas i w kurtkach założonych moimi rękami.

- Jeśli chcemy zdążyć... - Nie kończę. Otwieram samochód i całuję mamę w policzek. Dzieciaki pakują się do auta.

- Nie zapomnij o recepcie.

- Będziemy wieczorem, mamo.

Jechałam niezbyt szybko, pokonując liczne zakręty i niewielkie wioski. Mieszkowickie krajobrazy ustępowały

miejsca okolicom Rumi, skąd mieliśmy do Gdyni żabi skok. Korki czyniły z żółwiego tempa ślimaczy chód. Od kilku lat, gdy zdecydowaliśmy się wybudować dom na działce kupionej przez rodziców w zamierzonych czasach, przemierzaliśmy trasę z Mieszkowic do Gdyni, i z powrotem, każdego dnia. Dzieciaki do szkoły, ja do pracy. Moi rodzice, mimo wybudowania letniej hacjendy, czujnie zachowali w centrum miasta niewielkie mieszkanie, choć mające, jak na ich starsze lata, coraz mniejsze zastosowanie. My nie mogliśmy pochwalić się podobną czujnością: sprzedaliśmy nasze i z dobrodziejstwem inwentarza przenieśliśmy życie do Mieszkowic. Odkąd z Rafałem postawiliśmy na działce rodziców stuczterdziestometrowy dom z dwoma garażami, czas pobytu dziadków na wsi znacznie się wydłużył. Okazało się, że jesień wcale nie jest taka chłodna i deszczowa, a wczesna wiosna potrafi nadejść nawet w lutym... Szafa grała dla wszystkich. Jedenastoletnie wówczas dzieciaki miały własne pokoje, ja mogłam wyżyć się w ogrodzie, który w oczach całej rodziny, a na początku poniekąd i w moich, stanowił istne błogosławieństwo dla nienasyconej duszy absolwentki „organizacji terenów zielonych”, chłonnej na korzystanie z możliwości projektowania, nasadzania, przesadzania, nawożenia, szczepienia. Jednym słowem: dbania o ogród. Rodzice osiedli w sąsiedztwie dzieci i wnuków, grzejąc się w ich rodzinnym cieple, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku trzymania rodziny w przytulnym kłębuszku, który z czasem miał się zmienić w węzeł gordyjski. Rafał, pozostawiając mi

przyjemność zajmowania się domem i ogrodem, a nawet wspaniałomyślnie oddając we władanie kosiarkę zakupioną za niemałe pieniądze jako gwiazdkowy prezent, cieszył się z mojego komfortu przebywania z rodzicami i dziećmi na łonie natury, podczas gdy on sam ciężko pracował na rodzinę. Nigdy nie miał nic przeciwko mojej pracy w redakcji „Lubię swój ogród”, traktował ją jako wspaniały sposób na zaspokojenie zawodowych potrzeb żony. Zachowywał się wspaniale, do czasu gdy zorientowałam się, że coś jest nie tak. Był wspaniałym zięciem, który wprawdzie nie zawsze ma czas, by pogadać z teściem, jako że musi odpocząć po ciężkim dniu czy wykupić leki dla teściowej („mamo, dziś mam ważne spotkanie”). Ja w oczach rodziców go nie doceniałam.

- Zobacz, jaki on ma wspaniały kontakt z dziećmi! - chwaliła mama.

- Rafał, co sądzisz o tej lokacie? Warto? - radził się tato. Cieszyłam się. Kosiłam, woziłam dzieciaki do szkoły, czekałam z kolacją, która robiła się w piętnaście minut, bo Rafał zaraz będzie. Do czasu. Cholera, do czasu kiedy mnie zdradził! Kiedy olał wszystko to, na co rzekomo stawiał. Byłam wściekła, że wcześniej się nie zorientowałam, nie wyczułam. Kochał we mnie wygodę, w moich rodzicach akceptację, a w dzieciach zadowolenie po spełnieniu ich zachcianek.

- Mamo, uważaj! - Rozalka wybudziła mnie z zadumy, która niemal wtłoczyła nas pod koła tira.

- Co ty robisz?! - Kajetan nie krył złości. Nie obudziłaś się jeszcze?

Przetarłam oczy, znajdując właściwy pas ruchu. Jeszcze się nie obudziłam, przeszło mi przez myśl. Jeszcze nie.

Wyrzuciłam oboje przed szkołą. Liceum miało opinię najlepszego w Gdyni, co dawało mi nadzieję, że pomoże moim dzieciakom dostać się na studia. Na kierunki, o których jeszcze nie zaczęły myśleć.

- Mamuś, mamy jeszcze dwa lata, nie panikuj. - Kajetan odrzucał wszelkie próby nawiązania z nim dialogu na ten temat.

- Mami, daj spokój, jesteś taka zestresowana. - Roza powłóczyście spoglądała znad tygodnika. - Czy ty w moim wieku zastanawiałaś się nad tym, co będziesz studiować?

Faktycznie, chyba się nie zastanawiałam. Jestem jakaś niecierpliwa, przyznałam w duchu rację mojej córce. Chyba przytłacza mnie nadmiar odpowiedzialności za dzieciaki po rozstaniu z Rafałem. W końcu rzeczywiście mają jeszcze dwa lata...

Renata też próbowała bagatelizować temat.

- Siostra, lubisz się zadręczać. Przyjdzie czas, to coś wybiorą - komentowała wszelkie próby zwrócenia uwagi na temat. - Ja tam dam Michalinie prawo wyboru.

- Pogadamy, kiedy Michasia będzie miała tyle lat, co moje - próbowałam się odgryźć. Ja też nie interesowałam się studiami moich dzieci, kiedy były w przedszkolu.

Moja młodsza siostra generalnie niczym nie lubiła się zadręczać. Krzyś, jej mąż (należy dodać: najbardziej przykładowy mąż na świecie i ojciec pełną gębą), był niewysokim, łysiejącym mężczyzną, dyrektorem finansowym

dużej spółki, którego władza w domu kurczyła się po kwestii: „Kochanie, tak długo siedzisz w tej pracy, córka zapomni, że ma ojca”. Dlatego bardzo ważny pan dyrektor finansowy w domowych pieleszach zamieniał się w przykładną nianię. Kąpanie, karmienie, czytanie bajeczek przed zaśnięciem, zmywarka, kieliszek wina dla żony. O nieba! Czy zazdrościć Renacie, czy współczuć Krzysowi? Ich szczęście aż biło po oczach, chociaż... Zastanawiałam się, czyje to szczęście: mojej siostry czy Krzysia? Może każdy w życiu powinien trafić na swoją rolę? Gwiazdy i pazia? Gwiazdy niechętniej zawodowym obowiązkom i zapobiegliwego, dobrze zarabiającego męża? A gdzie miłość? Gdzie kolacja dla Krzysia, który ma chyba na nią ochotę przed wykąpaniem córki po pracy? Spędził w niej w końcu kilkanaście godzin i być może jest zmęczony. Nie, nie jest zmęczony w oczach Renaty, która udęczona siedzeniem w piaskownicy (rzadko) czy w centrum handlowym (często) ma „prawo do odpoczynku”.

Jakkolwiek by na tę sprawę patrzeć, Krzyś jednak był szczęśliwy, a Renata miała wygodne życie. Wszystkie próby podejmowania przez nią pracy kończyły się tak samo: jej rezygnacją. Widać nie miała szczęścia do dobrych szefów, satysfakcjonujących zarobków, dogodnego dojazdu, fajnych współpracowników, interesujących wyzwań zawodowych. Krzysztof nie miał nic przeciwko takiemu stanowi rzeczy, zadowolony, że żona po dwunastu latach małżeństwa „dała” mu córeczkę. Najwyraźniej dostatecznie się zasłużyła, by wymagać od niej czegoś więcej.

Z przykrością stwierdzam, że mówię o własnej siostrze. W końcu o co mi chodzi?! Przecież ja urodziłam przed trzydziestką, kiedy kobieta ma dużo sił, i nie mogę sobie wyobrazić, jak trudno jest tej, która zostaje matką przed czterdziestką. Należy jej przecież pomóc, odciążyć, nawet jeśli nie pracuje zawodowo. Mama nieraz powtarza, że ja co prawda pracowałam, ale czymże jest praca w tygodniku? Te moje rady-porady... W końcu się na nich znam i na pewno nie sprawia mi kłopotu naskrobanie kilku wersów raz na tydzień. A poza wszystkim, mam już duże dzieci.

- Rafał, powiedz im coś - błagałam, umęczona kolejną wizytą Renaty z dziećmi „u babci” w Mieszkowicach, sprzątając z podwórka porozrzucone zabawki, zwijając hamak, wylewając wodę z basenu, zmywając po grillu.

- Prawda, jak Michasia ładnie rysuje? - Mama, nakładając sobie sałatkę, którą przygotowałam na kolację, zachwycała się kawałkiem kartki z domkiem w prawym dolnym rogu i słoneczkiem w lewym górnym, który dostała w prezencie od starszej wnuczki. - Renatka może być dumna. Powiedziałam jej, że ma przywieźć małą na weekend. Pogoda nie najgorsza, co będzie siedzieć w Gdańsku?

Mój mąż pozostawał bezstronny.

- To twoja rodzina, nie będę się wtrącał. To twoja matka i twoja siostra. Powiem ci coś: wy się pogodzicie, a potem będzie na mnie. Nie masz ochoty robić za gospodynię, to nie rób. W końcu mama ma rację, wnuczka przyjeżdża do niej, a ty sama się wychylasz. Masz ochotę robić za harcerkę, twoja sprawa.

- Jak to sobie wyobrażasz?! - Wściekłość odebrała mi zdolność logicznego myślenia. - Będę udawała, że mnie nie ma w domu?

- Nie wiem, sama musisz to jakoś poukładać. Pogadaj z mamą albo wyjedź gdzieś, gdy przyjeżdżają. Niech raz obsłużą się sami. Prawdę powiedziawszy, ja też nie zawsze mam ochotę na grille. Dla nich to weekend, a my tu żyjemy.

- Musiałabym chyba zamordować własną matkę. Ona uważa, że mam obowiązki wobec Renaty i jej dzieci.

- Nie przesadzaj. - Rafał najwyraźniej nie miał ochoty na dalszą pogawędkę. Dał mi to jasno do zrozumienia, sięgając po gazetę. - Przecież lubicie się z Renatą?

- To nie ma nic do rzeczy! - niemal krzyczałam. - Tu chodzi o zachowanie mamy.

Rafał jednak oddał się lekturze. Jak zwykle zostałam z poczuciem krzywdy. Mama, zadowolona z wizyty wnuczki, oglądała ulubiony serial w swoim domu, Rafał czytał, ja siedziałam przy sprzątniętym po gościach kuchennym stole, Renata pewnie piła wino u siebie, Krzyś krzątał się przy kąpieli Michasi.

- Mamo, będzie jakaś kolacja? - Kajtek wyrwał mnie z zadumy.

- A co byś chciał? Przecież był grill.

- Jestem jeszcze głodny. Masz kabanosy?

- Synuś, weź sobie, są w lodówce.

- Pamiętasz, że jutro musimy wyjechać godzinę wcześniej?

- Dlaczego? - Nie pamiętałam.

- No, mamy to wyście do teatru. Potrzebuję białej koszuli.
- Tak, tak, przypomniałam sobie.

Jeszcze prasowanie i jutro, po weekendzie, do pracy. Nie ma, jak wypocząć w wolne dni...

Tak było i jest nadal, tyle że zabrakło mistrza od rozpalania grilla. Rafał był w tym naprawdę dobry...

Maj 2012

MARTA

Paskudna jesień i jeszcze gorsza zima dały mi się we znaki. Śnieg nie pozwalał od siebie odpocząć, zasypując codziennie dojazd od bramy do garażu. Siedemnaście okien, nie licząc połaciowych, uznało za stosowne nieustannie pokrywać się brudem, którego z powodu koniecznych oszczędności nie usuwała już pani Krysia, nasza do tej pory dochodząca sprzątająca. Czekwały na mnie. Wczesna wiosna objawiła się ogromnymi wyrwami w nawierzchni dwukilometrowej jezdni prowadzącej do w miarę przyzwoitej drogi krajowej. Samochód zareagował na te ubytki łomotem dochodzącym spod prawego koła, dając mi jednoznacznie do zrozumienia, że wizyta u pana Piotra, mojego mechanika, jest nieunikniona. Na szczęście okazało się, że do wymiany nadaje się jedynie wahacz stabilizatora, a przegląd auta w warsztacie potrwa nie dłużej niż dwa dni. Dwa dni bez auta. Bez możliwości wydostania się z domu, dobrnięcia do pracy, szkoły, sklepu.

- Mamo, zadzwoń do taty, niech coś zrobi. - Rozalka szybko znalazła rozwiązanie.

- Ja zostaję na noc u Majkiego. Nie będę leciał od autobusu dwa kilometry. - Kajetan również wykazał się pomysłowością.

Sięgnęłam po telefon, jednak zamiast do Rafała zadzwoniłam do mamy.

- Mamuś, zepsuł mi się samochód. Czy dzieciaki mogłyby przechować się u ciebie ze dwa dni, zanim odbiorę go z warsztatu? Bardzo chętnie? To doskonale. Ale co? Nie możesz? Bardzo chętnie byś się zgodziła, ale nie możesz. Jesteś u Renaty, Michasia chora? Rozumiem. Tak, zadzwonię do Rafała, wiem, że jest ich ojcem. A co z Michasią? Aaa, kaszlała w nocy. Dobrze, jak będziecie po wizycie lekarskiej, zadzwoń do mnie. Powiesz mi, czy dostała antybiotyk. Wiem, że to nie jest dobre dla dziecka. Czy sobie poradzę? Jasne, zawsze sobie radzę, mamo. Do zobaczenia, oczywiście, że cię odwiedzę, kiedy tylko będę miała samochód. Pogonię pana Piotra. Będę pamiętała o gazetach dla ciebie, leżą przygotowane pod lustrem w przedpokoju. Wchodzisz do gabinetu? To nie przeszkadzam. Uściskaj ode mnie Michasię.

Zawsze sobie radzę, mamo. Zawsze sobie radzę. To nieprawda, nie zawsze, teraz w ogóle sobie nie radzę. Dlaczego rozwiodłam się z Rafałem? Dlaczego mu po prostu nie wybaczyłam? Byłoby łatwiej, spokojniej, bezpieczniej. Moje życie rodzinne legło w gruzach, mieszkam na jakimś cholernym zadupiu, w wielkim domu z ciągle brudnymi oknami i ogrodem pełnym chwastów rosnących z prędkością jumbo jeta, psuje mi się samochód, nie mam

kasy, dzieciaki obwiniają mnie za rozpad małżeństwa, matka olewa, a siostra wykorzystuje. A do tego wyglądam jak ostatni łach. Chyba zwariuję!

Jedynie Alina jest w stanie cokolwiek zrozumieć! Moja najbliższa kumpela, z którą przetrwałyśmy niejedną redakcyjną burzę podczas dwunastoletniej kariery w gazecie. Cicha, szara myszka, zwykle w długiej, zgrzebnej, workowatej sukience do ziemi, ozdobionej jedynie dużym wisiołem robionym ręcznie, zazwyczaj przez nią samą. Po pracy wsiadała w stuletniego opla, by jak najszybciej znaleźć się przy Czarku. Bo Andrzej uznał za stosowne zostawić ją z dzieckiem krótko po urodzeniu małego, kiedy okazało się, że chłopiec ma porażenie mózgowe. Jeżeli kiedykolwiek narzekałam na rodzinę, dyscyplinowała mnie myśl o Alinie.

Gdyby nie grupa znajomych w podobnej sytuacji, nie byłaby w stanie pracować. Codziennie odwoziła Czarka do szkoły integracyjnej i musiała go stamtąd odbierać. Chłopak nie chodził, miał nie do końca sprawne ręce i psychicznie słabo akceptował swój stan. Alina przez siedemnaście lat brała to na klatę.

- Martusiu, nie jest tak źle - tłumaczyła się ze swojego optymizmu, gdy pytałam, jak sobie radzi. - Kocham Czarka, to wspaniały chłopak, chociaż ostatnio trochę utył - śmiała się jak z dobrego żartu. - Niedługo go nie wsadzę do samochodu! Przydałby się dźwig. Ale dobrze nam razem.

Nie potrafiłam jej pomóc, za to ona pomagała mi zawsze.

- Nie martw się rozwodem, masz dzieci. Niepotrzebnie się martwisz, rób coś, wszystko się ułoży. Może zacznij projektować ogrody? Zawsze o tym marzyłaś. A może jednak powinnaś spotkać się z Rafałem? Może jeszcze do siebie wrócicie? Nie? Nigdy nie mów nigdy, człowiek nie wie, co mu pisane. Marta, nie załamuj się, dzieciaki po prostu tęsknią za ojcem, nie są przeciwko tobie. Są młode, emocjonalne. Wiem, że się starasz. Pomyśl o sobie, myśl pozytywnie. Mama? Wiesz, starsi ludzie są egoistyczni, ale mama cię kocha, nie wyobraża sobie życia bez ciebie. A Renata... Cóż, wykorzystuje swoją pozycję, ale nie jest taka zła, sama wiesz. Zawsze mogłaś z nią pogadać. Wyglądasz świetnie, nie gadaj. Wyglądasz świetnie i wszystko przed tobą, Marta. Uwierz mi. Czy ci to obiecuję? Tak, obiecuję ci, wszystko przed tobą.

Cała moja Alina.

- Wyjedź gdzieś, Martusiu. Mówię ci, to najlepsze rozwiązanie. - Alina przy kawie z redakcyjnego ekspresu namawiała mnie na urlop.

Wyszliśmy na taras. Widok na zatokę, jak zawsze, działał kojąco. Wiosenne morze falowało, niosąc ku brzegowi białe bałwanki. Na redzie majaczyły sylwetki statków czekających na zabunkrowanie (pobranie paliwa).

Można by się już poopalać, przeszło mi przez myśl.

- Ala, poszłabym się poopalać... - Widok zatoki działał hipnotycznie.

- No to idź. Masz niedaleko.

- Muszę odebrać dzieci ze szkoły, i w ogóle...

-1 w ogóle jestem rozlazła i sobie nie radzę. - Alina podniosła głos.

Spojrzałam zdziwiona. Nigdy tego nie robiła.

- Marta! Znoszę to już prawie rok. Potraktuj, co ci mówię, jak poradę najlepszego psychoanalityka. Jedź gdzieś, opalaj się, pij drinki, poznaj kogoś, olej kłopoty. Weź się za siebie, bo zamęczysz i siebie, i mnie. Skończyłam.

Zapanowała cisza. Niespotykany wybuch przyjaciółki spowodował u mnie wyrzuty sumienia.

- Przepraszam, Alina, jestem głupia. Przepraszam, że cię absorbuję, jestem egoistką.

- Jesteś. - Alina nie wyszła z roli. - Ale nie dlatego, że mnie zdręczasz. Ty siebie niszczysz. Nie mogę już na to patrzeć. Cokolwiek ma się zdarzyć, będzie dobre, byle się na to nie zamykać. Rób coś. Najlepiej wyjedź. Lubisz morze, jedź nad morze. Ile razy trzeba ci to powtarzać? I nie patrz tak. Trudno, ja na razie nigdzie nie pojedę, ale przyślesz mi pocztówkę i być może przywieziesz muszelkę. Następnym razem wymyślimy coś razem.

Skąd ona wie, o czym pomyślałam? Czarownica?

- Alina, wiesz, że jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam?

- Wiem, wiem, nieraz mi to mówiłaś. To gdzie się wybierzesz?

Maj 2012

MARTA

- Może do Turcji? - Rozalia zabrała głos w wieczornej dyskusji na temat wyjazdu.

- Po co do Turcji? Ja wolałbym do Hiszpanii. - To Kajtek, jak zwykle w opozycji do małolaty.

- A może do Grecji? Dzieciaki, co wy na to? - zaproponowałam im spotkanie w pół drogi, bez potrzeby wszczynania wojny z hasłem „musi wyjść na moje” na sztandarach.

Chwała Bogu, zapanowała cisza. I choć każde spoglądało w swoją stronę, wiedziałam, że Grecja nie wzbudza większych zastrzeżeń.

- To co, może być?

- Dobra. Skoro ustaliliśmy, ja lecę do siebie. - Kajetan podniósł się z kanapy. - Ale z góry mówię, że będę leżał na plaży.

- Jasne, synuś, wszyscy będziemy leżeli - niemal krzyknęłam, z radości, że klepnął pomysł.

- A ty, córuś, co o tym sądzisz?

- Super, mami. Ewelina w zeszłym roku była ze starszymi na Rodos, podobało jej się. To ja też się zbiorę.

- Poczekaj! Poszukam czegoś w Internecie! - zawołałam do jej pleców.

- Popatrz na forach, co ludzie mówią. Żebyśmy nie spali z karaluchami - rzuciła radą, nie oglądając się za siebie.

- Gdzie tego szukać?

- Na forum dla podróżujących. *Sorry*, muszę się uczyć.

- Ale chcesz jechać?

- Tak, tak... - dotarło do mnie z przedpokoju.

Poszła. Trudno. Mam nadzieję, że przetrwam młodzieńczy bunt dzieciaków po naszym rozwodzie. Te przeciągłe spojrzenia Kajetana, rzucone matce, która zamiast puścić w niepamięć męzowski skok w bok, poleciała do sądu z pozwem. Tę rezygnację Rożki, pozbawionej zniecka przez wiarołomnego ojca normalnej rodziny żyjącej w całkiem niezłych warunkach. Z każdego ich gestu, spojrzenia, odzywki wyzierał wyrzut, krzywda, za którą według Kajetana odpowiedzialna byłam ja, a według Rozalii - Rafał. Dla Kajtka stałam się „mamą” (już nie „mamuś”), Rozalia zaczęła nazywać ukochanego tatusia „ojcem”.

Ala, gdy nie omieszkałam donieść jej o rodzinnych sporach odnośnie do miejsca wyjazdu, jak zwykle znalazła najlepsze rozwiązanie.

- Poszukaj w Internecie. Znajomi byli ostatnio na Korfu. Dzikie wybrzeża, zaciszne zatoczki, stare wioski na wzgórzach, wenecka architektura. Może to? A jak nie, to na Kretę jedź. To pewniak. Poza mną już chyba każdy był na Krecie.

- Dzięki, Ala - spasowałam, nie chcąc drażnić tematu. - Coś sobie znajdę. Poszukam na forach. Chociaż czy ludzie napiszą prawdę?

- Tak czy siak, zawsze się czegoś dowiesz, a bez ryzyka nie ma zabawy. No, na mnie już czas. Daj znać, gdy coś znajdziesz.

www.google.pl

Wpisuję: „forum wakacyjne Grecja”. Kajka:

„Grecja zawładnęła moją wyobraźnią na długo przed tym, jak znalazłam się tam pierwszy raz”. Co było tego przyczyną? Ciekawe, myślę. Zaraz się dowiem. „Przede wszystkim historia, a zwłaszcza jej część związana z Aleksandrem Wielkim”.

Dalej.

Syrena:

„Dużo ostatnio myślałam na temat prawdziwej Grecji. I zastanawiałam się, czy pojęcie «prawdziwa Grecja»” odnosi się jeszcze do tego, co było kiedyś, dawno temu, czy do tego, co jest obecnie. Miejsca typowo turystyczne, a jest ich w Grecji (zwłaszcza na wyspach) coraz więcej, są traktowane jak maszynka do robienia pieniędzy”.

Super.

Ken:

„Ostatnio dużo myślę na temat Grecji i Krety, o tym, jak wygląda życie w tym uroczym krajobrazowo kraju, kraju o długiej i bogatej historii i dużych problemach społecznych w chwili obecnej...”.

No nie... Mariolka:

„W Grecji palą wszyscy i wszędzie; nawet w gabinecie lekarskim się zdarza. Pracowałam w sklepie z odzieżą wartą kupę kasy i pani kierowniczką przechadzała się między dżinsami o wartości stu euro para z papierochem w ręku. Mnie skóra cierpła na sam widok, ale cóż, nie ja byłam szefem”.

Biedaczka.

Violetta:

„Tak sobie tu dyskutujemy czasem na temat obecnej sytuacji w Grecji i zastanawiamy się, czy i jak Grecja będzie w stanie sobie poradzić. Grecy podobno są dumni, że są Grekami, podkreślają swój patriotyzm na każdym kroku, wszędzie, gdzie tylko możliwe, wywieszają greckie flagi... Ale i tak sobie myślę, na ile jest to prawdziwy patriotyzm, a na ile pokazówka. Gdy ktoś kocha swój kraj, to po pierwsze go nie okrada, zatrudniając tylu nielegalnych imigrantów, nie daje łapówek w celu ukrycia swoich prawdziwych dochodów przy każdej okazji, gdy tylko ma w tym swój własny, osobisty interes. Wiem, że pewnie znowu wywołam burzę, że ktoś mi zarzuci, że w PL jest tak samo, ale chyba nie jest to taka skala, jak w Grecji. Nie chcę być uważana za jakąś kompletną zołzę, która atakuje Greków, ale takie są moje obserwacje właśnie, że każdy w Grecji praktycznie myśli tylko o sobie, a interes państwa ma gdzieś. Kurczę, strasznie to chaotycznie opisałam, chyba powinnam odpocząć. Męczący weekend miałam”.

Jeezu, co za wnikliwe spostrzeżenia! Mamo! Koniec z myślicielami, przejdźmy do praktyków. Misia:

„Uważajcie na biuro «Ateny». Byłam z rodziną na all inclusive na Rodos. Samoloty lądowały nad moją głową co pięć minut, a po dwudziestej brakowało alkoholu. Skandal!”.

Arnold:

„Misiu, to chyba źle trafiłaś. Ja byłem z «Atenami» w ubiegłym roku, alkohol był do dwudziestej drugiej, samoloty nam nie przeszkadzały”.

Łysy:

„Chcecie mieć życie nocne bez samolotów, lećcie na Korfu. W dzień basenik, w nocy balanzka, że ho, ho! Ładnie dookoła, kilka fotek strzelisz, rodzinie się pokaże, a wieczory twoje, brachu. Bez gadania, Korfu!”.

Aleksandra:

„Chcę wysłać rodziców z moim dzieckiem do Grecji. Chodzi o spokojne miejsce, zaciszne, bez hałasu. Gdybyście mogli jeszcze dołączyć zdjęcia”.

Wystarczy wrażeń.

„Dołącz swoją opinię”, kusił żółty uśmiech na ekranie komputera.

A co tam, dołącz to dołącz. Najwyżej zostanę jedną z tych Misiek, Alfek, Mariolek i Kenów, i innych niewyżytych twórców wakacyjnego forum.

Zdecydowałam się.

Marta:

„Zamierzam wyjechać z nastoletnimi dziećmi na urlop, na którąś z greckich wysp. Do tej pory nigdy nie

odwiedzałam tych zakątków. Może mi ktoś pomoże i wskaże kierunek? Chodzi mi o wypoczynek i trochę zwiedzania. Chcę lecieć samolotem. Będę wdzięczna".

Poszło. Ale siara, jak by powiedziały moje dzieci. „Będę wdzięczna". Co za formułka? „Wskaże kierunek" pretensjonalne, od razu zorientują się, że stara baba. Po jaką cholere to pisałam? Czy nie ma przewodników, biur podróży, które chętnie udziela informacji? Tak to jest mieć dobrych doradców... Nikomu nie powiem, że puściłam takie głupie pytanie. A zresztą i tak nikt nie odpowie, więc po problemie.

- Co robisz, mami? - Roza przerwała mi krępujące rozmyślenia.

- Eee... Przeglądałam pocztę. Chcesz coś zjeść?

- Wezmę sobie jabłko. Chcesz też?

- Nie, położę się.

- No to pa, do jutra.

- Pa, kochanie. I nie zapomnij o książkach do biblioteki.

- Mami!

Następnego dnia znowu znalazłam się na forum. A nuż widelec może jednak ktoś odpisze? No na pewno, balanżka i kilka fotek dla rodziny. Kobieto, na co ty liczysz? Skrępowana poszukiwałam odpowiedzi na hasło „Marta", nie licząc specjalnie na sukces. Ken znowu się wypowiedział, Violetta dorzuciła kilka złotych myśli.

Nagle (niewiarygodne!) ktoś mi odpisał. Czytałam z zapalem archeologa, który odkrył szczątki człowieka

sprzed miliona lat. Wiadomość podpisana imieniem Szymon. Ładne imię.

„Pani Marto, poszukuje Pani greckiej wyspy na wakacje z dziećmi, myślę, że mogę służyć pomocą. Znam nieco Grecję, mogę być przydatny. Jeśli Pani sobie życzy, doradzę, oczywiście w miarę możliwości. Czy mam przesłać Pani informacje na forum, czy też mogę napisać do Pani mejla? Podaję mój: szymon@op.pl”.

Ktoś się odezwał. Niesłychane, nieprawdopodobne! To forum naprawdę działa! A może to jakiś leciwy pan próbuje nawiązać kontakt z dojrzałą kobietą, matką dwojga nastolatków? Może ma w tym jakiś cel? Zresztą co mi tam, w końcu wymiana korespondencji w Internecie do niczego nie zobowiązuje, warto skorzystać z czyichś doświadczeń. Odpaliłam przeglądarkę, otworzyłam pocztę i wpisałam adres Szymona. List napisał się sam.

„Panie Szymonie, dziękuję za zainteresowanie i chęć pomocy. Faktycznie, na forach nie sposób się czegokolwiek dowiedzieć, o ile nie chce się złapać wolnego miejsca w busie do Grecji ani nocować na kempingu. Małolaty okupują wirtualną przestrzeń, starsi przestrzegają przed niesolidnymi biurami podróży. Studiuję przewodnik i pewnie skończy się na tym, że pojedę na czuja. Jeżeli może mi Pan coś sensownego doradzić, będę wdzięczna. Gdyby chodziło wyłącznie o mnie, nie zawracałabym Panu głowy. Wszędzie, byle daleko stąd. Zabieram jednak moje prawie dorosłe dzieci, córkę i syna, i dla nich muszę się postarać. Chciałabym zapewnić im fajny wyjazd.

Czekam na informacje i rady, o ile nadał chce mi Pan poświęcić czas. Z góry dziękuję za odpowiedź Marta".

Jest! Odpowiedzi od Szymona dopadłam około jedenastej wieczorem, po wielokrotnym przeglądaniu poczty. A już myślałam, że nie odpisze...

„Witam, Pani Marto.

Przepraszam za zwłokę. Musiałem zrobić wywiad wśród znajomych, żeby sensownie Pani doradzić, skoro podjąłem się tego zadania. Być może przesadziłem nieco ze swoją znajomością Grecji (bywałem tam w nieco odległych czasach), mam jednak wrażenie, że w obliczu jej ponadtysiącletniej historii «marne» dwadzieścia lat nie stanowi problemu. Zawodowo mam kontakt z marynarzami i ludźmi morza; okazali się bardzo przydatni. Ale do rzeczy: w lipcu będzie w Grecji bardzo gorąco, dlatego nie polecam wycieczek, zwłaszcza na kontynencie. A jeśli już, warto się zaopatrzyć w kapelusze. Słońce mocno pali, łatwo o udar. Wydaje mi się, że musicie sobie odpowiedzieć, na czym Wam zależy. Jeśli zamierzacie wypocząć, zdecydujcie się na hotel z basenem w pobliżu morza. Z tego co wiem, mają dobrą obsługę i nie jest trudno porozumieć się po angielsku. Organizowane wycieczki wypadają dość drogo, można jednak skorzystać z publicznych środków transportu i «obadać» teren na własną rękę. Wbrew powszechnej opinii, Grecy bardzo się starają, są rodzinni i gościnni. Mimo iż próbowałem znaleźć dla Pani coś oryginalnego, pozostanę przy oczywistościach. Kreta. Piękne plaże, niewielkie

odległości, nie grożą Pani latające nad głową samoloty (jedno lotnisko w Heraklionie), zielono, ciepło i bajkowe morze. Nie wiem, jakie upodobania mają Pani dzieci, ale z moich obserwacji nastolatków wynika, że nie stronią one od wygodnego trybu życia. Powinno im się podobać.

Jeżeli w czymkolwiek pomogłem, cieszę się. Jeżeli nie, przepraszam, że okazałem się nieprzydatny. Życzę Pani i dzieciom udanych wakacji, wypoczynku, wrażeń i pobytu, jakiego Pani oczekuje - daleko stąd (cokolwiek to oznacza).

Pozdrawiam i żywię nadzieję, że będzie Pani miała udany urlop Szymon".

Czerwiec 2012

RENATA

- Renata? Cześć. Masz chwilkę?

Siedziałam z komórką w dłoni dobre dwadzieścia minut, zanim zdecydowałam się wykręcić numer siostry. Nacisnęłam klawisz z zieloną słuchawką po kilkukrotnym kliknięciu w „wyjdź”.

- No mam, co tam? - Odebrała błyskawicznie.

- Załatwiłam *all inclusive* na Krecie, zatoka Mirabello w północno-wschodniej części, niedrogo, *last minute*, ładnie, wyjazd za półtora tygodnia.

- Świetnie, zazdroszczę ci. Dzieciaki chyba *happy*?

- Tak, są *happy*. Kajtek jedzie z chłopakami na rejs, Rozalka na obóz językowy.

- Nie miały jechać z tobą?! - wydarła się do telefonu Renata.

- Miały, ale nie jadą - tłumaczyłam spokojnie, próbując opanować łzy. - Kajtek złapał wspaniałą okazję, a Rozalka... Skorzystała z promocji w jakimś tam biurze językowym czy czymś takim. Jedzie do Londynu. Rafał dał im kasę. Twierdzą, że ojciec namawiał ich na wyjazd ze mną. Już mu wierzę...

- Kiedy się o tym dowiedziałaś?
- Dzisiaj. Renata, zostawili mnie na lodzie.
- Nie rycz, coś się zaradzi. - Chyba się przejęła.
- Co się zaradzi?! - Już niemal krzyczałam. - Moje własne dzieci nie chcą ze mną jechać! W dodatku wydałam kasę na trzy osoby, a zostałam sama.

- No wiesz, zawsze ci mówiłam, że faceta trzeba sobie wychować.

- Renata, jak mogłam wychowywać faceta, skoro nie umiałam wychować dzieci! Czy ja się nadaję wyłącznie do odwożenia ich do szkoły?

- Za dobra jesteś, kobieto, za dobra! Pozwalasz się wykorzystywać, zawsze się tak było, głupia jedna. Mówiłam ci nieraz, że trochę egoizmu nie zaszkodzi.

- Renata? Możesz do mnie przyjechać? Dzieciaki są u ojca.

- Krzysiu, jadę do Marty. Zajmiesz się Michaliną? - usłyszałam. - Już jadę. - Moja siostrzyczka szukała kluczyków do samochodu. - Co mam kupić?

- Dla mnie pięć piw.

Spodziewałam się jej za czterdzieści pięć minut. O tej porze wszyscy pracujący gdańszczanogdynianie siedzieli już po pracy we własnych domach, oddając obwodnicę innym użytkownikom. Ogarniałam salon. Upchnęłam w koszu stertę usmarkanych chusteczek do nosa i puszkę po piwie. Poprawiłam firanki; jedna sterczała nie w tę stronę, co trzeba. Włączyłam piekarnik, żeby był gotowy na przyjęcie grzanek z serem. Renata nie jadała kielbasy. Jeszcze serwetki na stół

i szklanki. Może się uczeszę? Z lustra spojrzała na mnie czarownica.

Komórka zadryndała muzyczką. *Don't worry, be happy...*

- Renata? - Odebrałam, nie spojrzawszy na wyświetlacz.

- To ja, mami. - Rozalka. - Nie gniewasz się, że wybrałam Londyn? Wiesz, zawsze o tym myślałam, a teraz jeszcze ta promocja... Przepraszam cię. Nie jesteś na mnie zła?

Cisza. Czy nie jestem zła? Jestem wściekła, rozgoryczona, jest mi przykro, mam żal. Mam żal do Rozalki, do Kajetana, do Rafała, do siebie, że nie umiałam wychować dzieci, że byłam dla nich za dobra, za głupia, za uległa, zbyt mało przewidująca, zbyt mało egoistyczna. Uwierzyłam mężowi i dlatego jestem tu, gdzie jestem. Sama z trzema voucherami na Krete. Nikt nie chce ze mną jechać, bo ojciec znalazł dzieciom inne rozrywki. Jestem wkurzona i nie wiem, co mam robić, do kurny nędzy!

- Rozalko, wszystko w porządku. Tak się złożyło. Myślę, że jeszcze kiedyś to odrobimy, a teraz muszę już kończyć. Jak tam u ojca?

- Tato robi zapiekankę. Na pewno będzie gorsza od twojej. Dać ci Kajtka?

- Myślę, że nie, Rozalko. Pozdrów go ode mnie. O której się jutro zobaczymy?

- Możesz przyjechać po nas o drugiej. Teraz już nie ma lekcji. Aaa, mami, muszę sobie kupić kieckę na koniec roku. Pojedziemy do Bałtyckiej?

- Zadzwoń jutro, muszę kończyć.

Wyłączyłam komórkę bez „całuję”, „życzę miłego wieczoru”, „ściskam”, „do jutra”, „do zobaczenia”. Jasne, że pojedziemy do Bałtyckiej. Na szczęście dla moich rozlatanych myśli na podwórko wjechała Renata.

- Myślałam i wymyśliłam! - Wpadła do salonu z genialnym pomysłem, zanim zdążyłam otrząsnąć się po rozmowie z córką.

- Co? Z czym?

- Jak to: z czym? Z wyjazdem do Grecji. Jadę z tobą! Co ty na to?

- Nie musisz, Renia, naprawdę. Zwrócę vouchery.

- Ale ja chcę, kobieto. Krzyś się zgodził. Weźmie urlop, posiedzi z córką, pojedzie do Stargardu, starzy się ucieszą. W końcu ciągle nie widzą syna.

- Renata! Nie zamierzam sobie robić wroga z własnego szwagra!

- Coś ty, on się naprawdę cieszy. Jedziemy, siostra. A właściwie to gdzie?

- Jeśli jesteś pewna...

- Nie załamuj się. Napij się piwa i dawaj otwieracz do wina. - Renata wzięła sprawy w swoje ręce.

- Do Istron nad zatoką Mirabello, na Krecie. Wylot za dwa tygodnie. Jesteś pewna?

- Bardziej niż ty. - Renata uporała się z korkiem. - Za udane wakacje! - Podniosła kieliszek.

- Dzięki, Reniu. Za udane.

Lipiec 2012

KRETA

Spoglądając z okien samolotu na wyspy u wybrzeży Kreta, nareszcie poczułam się lepiej. Dżizas, jak tu pięknie! I nikt nie jęczy. Wysepki spowite porannym słońcem, otoczone skrawkami piaszczystych plaż, nad którymi lecieliśmy na tyle nisko, by rozpoznać majaczące parasole, sprawiały wrażenie makiety z otoczonymi zielenią białymi domkami i basenami. Renata spała snem sprawiedliwego, oddając mi we władanie wszystkie krajobrazy świata. Dzieciakom by się podobało... Precz, wiecznie jedno mi w głowie, a przecież one mają po siedemnaście lat! Nie będą stale jeździć z mamusią. No ale teraz... Pierwsze wakacje po rozwodzie, mogłyby o mnie pomyśleć. Ale nie pomyślały, a ja nie mogę zapomnieć. Widać dwa tysiące kilometrów od domu to zbyt mało, by przenieść się do innej rzeczywistości. Koniec z tym! - podjęłam silne postanowienie. Od tej chwili wypoczywam, korzystam, bawię się, opalam. Byle do przodu.

- Ej, siostrzyczko, halo, jestem tutaj. - Renata pomachała mi dłonią przed oczami. - Wróc na ziemię, okej? To jest do samolotu. Gdzie byłaś?

- Zapatrzyłam się. Myślałam, że śpisz.

- Obudziłam się i tobie też radzę, bo nie zamierzam przez ciebie zmarnować sobie urlopu.

- Proszę zapiąć pasy, przygotowujemy się do lądowania. - Młody steward wyraźnie zwrócił się do mnie. Z całkiem uroczym uśmiechem.

- No, no, pierwsze sukcesy pod obcym niebem. - Renata, oczywiście, nie omieszkała tego zauważyć.

Kiwnęłam głową z politowaniem.

- Chyba pierwsze swatanie, siostro. Jest grzeczny, wyszkolony.

Renata uśmiechnęła się znacząco, poprawiając na wszelki wypadek włosy.

- Masz szczotkę? Nie mogę znaleźć swojej. - Najwyraźniej jej fryzura wymagała poważniejszej ingerencji.

Zazwyczaj niczego nie mogła namierzyć w przepastnej torbie, więc na wszelki wypadek podałam jej też lusterko i szminkę. Używałyśmy podobnej.

- Wiesz co? - Przyjrzała mi się uważniej, oddając szczotkę. - Stara już jesteś, ale całkiem nieźle wyglądasz. Musisz mi dać numer do swojego chirurga plastycznego. - Narząła się coraz bardziej.

- Nie próbuj dziecko, bo oberwiesz! - Przypomniały mi się nasze wojny na poduszki. - Za pięć lat ci dam, gdy będziesz leciwą czterdziestopięciolatką. A teraz wyrzucę cię z samolotu.

Stateczny pasażer zajmujący miejsce obok Renaty spojrzął na nas z dezaprobatą.

- Smutasik - szepnęła mi do ucha. - Zobacz, jakie ma odstające uszy - zachichotała.

- Uspokój się... Nie mogę, nie wytrzymam... Niestety, nadeszła od dawna niedoświadczana chwila,

gdy organizm zdecydował za mnie, wprowadzając moje ciało w konwulsyjny śmiech, w stan kompletnej głupawki. Zakrywałam usta chusteczką, odwracałam się do okna, próbowałam doprowadzić się do porządku, czyli stanu powagi przynależnego osobie zrównoważonej.

- Wsiadamy, uspokój się wreszcie. - Renata poinformowała mnie, że wylądowaliśmy.

- Już, już, tylko przetrę oczy... Wreszcie się odkorkowałam.

- Nareszcie!

- Co: nareszcie? - Dobry nastrój mnie nie opuszczał.

- Nareszcie się uspokoiłaś i odkorkowałaś. Widzę, że przyjechałam tu z młodszą siostrą, a nie ze starszą.

- Renata! Zaczynam nowe życie, a niech to! Dzięki, że ze mną przyjechałaś. Mam gdzieś Rafała, dzieciaki i cały ten kram. Który autobus jest nasz?

Biuro podróży przygotowało autokary, mające nas odwieźć do hoteli. Znalazłyśmy swój.

Za chwilę jechaliśmy już z Heraklionu do Kało Chorio, wzdłuż wybrzeża Morza Kreteńskiego. Miałyśmy przed sobą półtorej godziny cudownych, niekończących się widoków na zatokę z lewej i góry z prawej strony. Mimo nieprzespanej nocy nie pozwalałam powiekom zamykać się na morze, plaże, śródziemnomorską roślinność. Pamiętam ze studiów egzamin u Rajmunda i wkuwanie ponad stu gatunków występujących na Krecie endemicznych roślin. W pamięci pozostały: tamaryszek, lilia morska

i kreteńska palma Theofrastisa, która rośnie w strefach przybrzeżnych, gdzie rzeki wpadają do morza. Reszta wywietrzała z głowy. Zresztą po co to pamiętać? Kupa lat, niedługo dzieciaki będą na studiach... Przeczytałam w Internecie, że zatoka Mirabello to najpiękniejsze miejsce na podróż poślubną. Nikt jednak nie napisał, czy nadaje się również na miejsce dla świeżo upieczonej rozwódki.

Hotel stał na wzniesieniu. Z pokoju rozpościerał się bajkowy widok na morze i wzgórza.

- Niepotrzebnie brałam stare bransoletki... - Renata spoglądała na czerwony pasek na nadgarstku, który zapewniał nam, all inclusivowcom, prawo jedzenia do woli i zamawiania alkoholu w barze przez dwanaście godzin na dobę. - Wyobrażasz sobie, co za raj! Przecież tu nie da się przeżyć na trzeźwo! Lecimy do baru?

- Tylko się opłuczę. Śpisz od okna czy od drzwi?

- Od okna. Kurczę, tu nie ma kołdry! Nie cierpię spać pod prześcieradłem - marudziła.

- Napisz do Krzysia, może coś poradzi.

- A właśnie! Muszę mu napisać, że jesteśmy na miejscu. Pewnie się denerwuje.

Wzięła się do esemesowania. Spojrzałam na swoją komórkę. Żadna lampka nie sygnalizowała, że ktoś próbował się ze mną połączyć. Nikt nie wysłał żadnego esemesa.

- Może i ja powinnam do kogoś zadzwonić? Może jednak ktoś się denerwuje, czy doleciałam?

Odłożyłam telefon.

- Idę zapalić na balkon, Renia - rzuciłam do stukającej w klawisze siostry. - Jak skończysz, możemy iść do baru.

- Aha - rzuciła, nie odrywając oczu od komórki.

- Jedziemy do Agios Nikolaos? - Renata po kilku dniach smażenia się na plaży pomyślała o tym samym, co ja. - Muszę kupić kapelusz przeciwsłoneczny, bo czuję, że mam dziurę w głowie.

Faktycznie, słońce nie dawało o sobie zapomnieć od wczesnego ranka do późnego wieczora. Dni spędzałyśmy na plaży, ukrywając się pod parasolem za 2,50 i wylegując się na leżakach po 2 euro, a mimo to skóra z pleców schodziła z nas płatami. Widać przy czterdziestu stopniach jest to nieuniknione, nie ochroni nawet półprzepuszczalny parasol, zwłaszcza gdy stale wychodzi się spod niego, by popluskać się w podgrzewanej morskiej wodzie.

- Wiesz, też o tym pomyślałam. Trzeba trochę odpocząć od rodaków w hotelu. Chwała Bogu, że chociaż nie chodzą na plażę.

- No wiesz, te osiemset metrów, czy tam kilometr, to dla niektórych zbyt duży dystans. Basen jest bliżej.

Do Agios Nikolaos, ponoć największego portu na wyspie, oddalonego od nas o kilkanaście kilometrów, dotarłyśmy miejscowym klimatyzowanym autobusem w dwadzieścia minut. Nie spóźnił się, choć różne słuchy chodzą na temat greckiej punktualności. Przytulone do zatoki miasto patrona żeglarzy, świętego Mikołaja, przywitało nas różnojęzycznym tłumem turystów, w którym język polski występował w proporcji odwrotnej niż w naszym hotelu.

- Nareszcie czuję, że nie jestem w Polsce! - odetchnęłam z ulgą. - To co, na początek kawka?

- Czemu nie? Poszukajmy jakiejś fajnej kafejki. Usadowiliśmy się w pobliżu portu. Sympatyczny kelner zaserwował nam frappe.

- Dobrze mi tu, Renia. Nigdzie nie chce mi się chodzić.

- Mnie się też nie chce. Pstrykniemy kilka fotek nad tym bezdennym jeziorem i może o jakiś sklepik zawadzimy?

Tego się obawiałam.

- No dobra. Ale potem idziemy posiedzieć w knajpie na jakimś greckim żarcie, okej?

- Jasne, siostra. Kończ kawę i lecimy. Dzieciaki się odzywały? - wyrwała mnie z nagłej zadumy.

- Tak, wszystko u nich w porządku. Roza w Londynie, Kajetan przygotowuje się do rejsu. Jest u ojca.

- No to dobrze. Kajt u ojca, a my na zakupy.

Renata nie byłaby sobą, gdyby nie zdołała mnie namówić na nową sukienkę, nie powiem: całkiem, całkiem. Nie obyło się też, mimo oporu, bez „naprawdę twarzowych pantofelków” (o ile buty mogą być twarzowe). I ten kapelusik! Matko! Wyglądałam jak gwiazda.

- I tak nie włożę tego w Polsce - odgrażałam się, parując po Agios w nowym wydaniu. Stare ciuchy taszczyłam w torbie. - Renia, dość! Siadamy gdzieś, zamawiamy żarcie i łapiemy klimat. Plizzz!

Padło na sympatyczną knajpkę przy jeziorze Afrodyty, z widokiem na morze. Z obiadu pamiętam tylko tyle, że zamówiliśmy zupę z mięsnymi kulkami

o nieprawdopodobnie trudnej nazwie - youvarlakia, a na drugie musakę, która okazała się zapiekanką składającą się z kilku warstw bakłazanów, ziemniaków, mielonego mięsa i pomidorów z parmezanem na wierzchu. Nie powiem, że było to lekkie jedzenie, dlatego bardzo sympatyczny kelner, który z czasem zaczął nam się dwoić w oczach, proponował coraz to nowe gatunki alkoholu. Zaczęłyśmy od greckich win i najlepiej byłoby, gdybyśmy na nich skończyły. Niestety, dałyśmy się namówić na „najlepsze na wyspie” ouzo, spróbowałyśmy również metaxy, podobno równie „wybornej”. Po kilku godzinach iście greckiej biesiady przy dźwiękach buzuki siedziałyśmy przy stoliku z naszym kelnerem, który okazał się właścicielem knajpy, i jego bratem bliźniakiem. Było bardzo fajnie. Gdy obudziłam się następnego dnia rano we własnym hotelowym łóżku, nie mogłam w ciężkiej głowie znaleźć wytłumaczenia, jak tam trafiłam.

- Renia, żyjesz? - Podniosłam delikatnie głowę znad poduszki i równie spokojnie ułożyłam ją z powrotem. - Gorąco mi, masz wodę przy łóżku? - stękałam, odsuwając od siebie parzące prześcieradło. - Co tu tak gorąco?

- Klimę włącz. - Moja siostrzyczka przekręciła się na drugi bok. - Weź sobie wodę, stoi przy moim łóżku.

- Nie możesz mi jej podać? - niemal błagałam.

- Chyba nie. Nie mów nic do mnie. - Renata skończyła poranną aktywność, pozostawiając mi dowleczenie się do pilota od klimatyzacji i zorganizowanie łyka wody.

- Znalazłaś wodę? - A jednak jeszcze nie zasnęła. - To dawaj. - Wyrwała mi z ręki butelkę. Spróbowała ją opróżnić.

- Oddaj! Wszystko wychlejesz!

Zaczęłyśmy walkę o zbawienie. Wygrałam. Chodź, buteleczko, do pani, pani cię doceni... Wlewałam w siebie resztki boskiego płynu.

Zegar w komórcie wskazywał dwunastą, co świadczyło, że śniadanie dawno poszło w zapomnienie, a obiad będzie za godzinę. Stan mojej głowy i żołądka wskazywał na brak zapotrzebowania na jakiegokolwiek jedzenie. Sięgnęłam po etopirynę.

- Reniaaaa!

Nic. No cóż, widzę, że pogadamy później. Renia spała.

Ukojenie przyniosło późne popołudnie. Nasz hotelowy tłumek z dziećmi zakończył aktywność. Dzieciaki ograniczały się do biegania wokół basenu, pozostawiając taflę wody dorosłym. Uff, jak przyjemnie!

- Może po drinku? - Renata najwyraźniej doszła do siebie.

- Dla mnie piwo, jak ci się chce iść do baru. Poszła. W końcu w pobliżu nie było Krzysia, a ja nie rokowałam.

Wreszcie spokój, odpoczynek. Głowa odpuściła, słońce przestało grzać, zimne piwko, nie powiem, nie najgorsze. Chyba zaczyna być miło...

- Fotkę? - Renata próbowała realizować swoją pasję zatruwania ludziom życia.

- Daj mi spokój! Z tymi worami pod oczami?

- Siostra, nie przesadzaj. Nikosowi się podobałaś i żadnych worów nie widział.

- Nie przypominaj mi tego, Renia. Było, minęło.

- Nie takie minęło, siostra. Byłaś gwiazdą tańca. Pojutrze jedziemy na Spinalongę.

Zaczynałam sobie przypominać. Matko! Umówiłyśmy się z Grekami na wycieczkę.

- Co ty, zamierzasz z nimi jechać?! - Nie wyobrażałam sobie kolejnego spotkania z właścicielami knajpy. Trzeba się jakoś wykręcić.

Renia była innego zdania. W końcu nic się nie stało: panowie odwieźli nas do hotelu, byli bardzo mili. Dejan, jej adorator, był absolwentem akademii sztuki w Atenach, a ten mój Nikos pracował jako architekt. Latem wspólnie prowadzili restaurację w Agios. I nie będzie w tym nic złego, że pojedziemy razem do Eloundy, popłyniemy stateczkiem na wyspę Spinalonga, a potem razem napijemy się wina. W końcu coś się nam od życia należy, tym bardziej że przecież nie musimy z nimi chodzić do łóżka. Takie urozmaicenie. Fakt, nie ma w tym nic złego, zwłaszcza jeśli chodzi o mnie. Przecież jestem sama, całkiem sama... A Renia? Hm, Renia. Krzyś. Zgodził się, żeby pojechała ze mną, a ja co? Sprowadzam ją na złą drogę. Gdyby mama się dowiedziała, dostałabym po uszach. Skurczyłam się w sobie. I tak kiedyś dostanę, nie ma co martwić się na zapas. Marta! - zaczynałam do siebie gadać w myślach. Jesteś już dużą dziewczynką, a i Renata nie jest mała. Nie możesz za nią odpowiadać i jeszcze bać się mamusi!

- Renia, ten wyjazd to chyba nie jest dobry pomysł... -
Odpowiedzialność wzięła jednak górę nad fantazją. A Krzyś?

- To, że wypijemy z kimś kilka kieliszków wina, pogadamy i przy okazji zaliczymy fajną wycieczkę, to nie przestępstwo. Nie zamierzam przyprawiać Krzysiowi rogów! Kobieto, wrzuć na luz i przestań moralizować. Będziesz się całe życie umartwiać?

Nie zamierzałam. Coraz bardziej nie zamierzałam. Nigdy już nie zamierzałam! Rafał... Rafał to przeszłość, a ja jestem w Grecji i komuś się podobam. Tak trzymać. W końcu nie jestem przyzwoitką Renaty, a zresztą na wszelki wypadek dopilnuję, by nie zrobiła niczego głupiego. Dawaj, jedziemy na Spinalongę.

Dzień był, jak zawsze do tej pory, filmowy. Słońce witało od rana, zamierzając pieścić nas do późnego wieczora. Wsiadliśmy do auta Nikosa albo Dejana (do tej pory nie najlepiej ich rozróżniałam). Pomogli nam. „Siadaj z przodu”, Dejan zaprosił Renatę na siedzenie obok siebie. Nikos i ja zajęliśmy miejsca z tyłu. Droga do Eloundy minęła nie wiem kiedy. Nikos wprowadził mnie w arkana greckiego budownictwa, które okazało się naprawdę piękne. Pastelowe domy na zboczach wzniesień schodzących do morza, kaskadowe zabudowania, chroniące przed upalnym słońcem patia, łukowate portale, wkomponowana w architekturę kreteńska zieleń. Dejan opowiadał Renacie o Zeusie, który, o ile dobrze usłyszałam, został ukryty w Grocie Idajskiej przed swym ojcem Kronosem. Tatuś połknął niemal

całe swoje potomstwo, ostrzeżony, że jedno z jego dzieci pozbawi go tronu. Podobno w okresie klasycznym Grota Idajska była miejscem pielgrzymek. Tyle. Nie zamierzaliśmy wprawdzie zwiedzać jaskiń, ale trochę mitów nie zaszkodziło atmosferze.

Rejs się udał, spacer po wyspie, mimo palącego słońca, też nie okazał się niewypałem. Wieczorem trafiliśmy do Agios.

- Marta, kiedy wyjeżdżasz? - Nikos pytał o nieuniknione, żegnając się ze mną przed hotelem.

- Niebawem. Za dwa dni. Już za dwa dni.

- Czy mogę do ciebie zadzwonić albo zamejlować? Jasne, że mógł. Dlaczego by nie? Dobrze by było, gdyby zamejlował. Bardzo bym się cieszyła.

- Tak, oczywiście. Dam ci adres, Nikos. Gdy będziesz w Polsce, daj znać. I dziękuję ci za wszystko.

- To ja ci dziękuję i do zobaczenia, Marta. Na pewno się odezwę.

Pocałował mnie. Pocałował. Nikt mnie nie całował od roku.

- Do widzenia, Nikos. Dziękuję.

- Jesteś piękna, Marta. Mam nadzieję, że o mnie nie zapomnisz.

Woda na młyn, balsam na samotne serce... W pokoju Renata rozpakowywała paczuszkę.

- Patrz, co dostałam od Dejana! Ikona! Pantelejmon, patron lekarzy i uzdrowiciel. Podobno ma mnie chronić od chorób. To na pamiątkę naszej wycieczki na Spinalongę, gdzie podobno kiedyś leczył trędowatych.

- Ładna. Też bym chętnie kupiła ikonę, może dla mamy? Załatwię to jutro, Renia. Pojutrze wracamy, wyobrazasz sobie?

Renata położyła się na łóżku i zapatrzyła w sufit.

- Ja bym mogła jeszcze z miesiąc. Dejan ma mnie niebawem odwiedzić w Gdańsku. Ciekawe, co powiem Krzysiówi? Chce mi się kimnąć z tego wszystkiego. Idziesz spać?

Poszłam. To było chyba najlepsze, co w tej chwili mogliśmy zrobić z głowami pełnymi wrażeń. Obudziłyśmy się po godzinie. W pokoju było ciemno, drewniane żaluzje nie wpuszczały słońca.

- Która godzina? Matko, za piętnaście jedenasta! Jeszcze przez parę minut dają darmowe drinki, chodźmy. - Renata wyciągnęła mi poduszkę spod głowy. - Ruchy!

- Mam wino od Nikosa, zostanemy w pokoju. Patrz, jaki piękny wieczór. - Otworzyłam okno.

Przedostatni.

POWRÓT

Mama czekała na podwórku. Krzyś przywiózł mnie do Mieszkowic, zostawiając Renię z Michaliną w domu.

- A gdzie Renatka?

- Mamuś, przyjedzie jutro z małą. Dzisiaj musisz zadowolić się mną. - Ucałowałam ją po dwutygodniowej nieobecności.

- A ja ugotowałam leczo i bigos ze świeżo ukiszzonej kapusty...

- Mama była zawiedziona nieobecnością młodszej córki.

- Jutro jest niedziela, mamó, przyjedziemy na obiad. - Krzyś wspomagał mnie w tłumaczeniach. - Renia chciała się opłukać, odpocząć. No to ja już będę leciał. - Otworzył drzwiczki samochodu.

- Dziękuję ci za przywiezienie, Krzyś, i do jutra. Ucałuj małą.

Spojrzałam na kwitnący ogród. Malwy mieniły się kolorami, wokół domu wiły się powoje, pyszniły dzwonki, pięknie zakwitła lawenda. Na rabatach straszyły się lwie paszcze, begonie i aksamitki. Lato pełną parą wkroczyło na grządki i rabatki. Ściany domu zakwitły. Nawet

hortensje były wyjątkowo dorodne, chyba posłużyły im deszcze. Będę musiała odchwaścić, przeszło mi przez myśl. I usunąć przekwitłe kwiaty, jest trochę tego. I trawnik niewystrzyżony, i pędy ziół za długie. Czekają mnie sporo pracy.

- Opowiadaj. - Mama przyniosła na ganek filiżanki z kawą. - Jak było?

- Trudno tak wszystko naraz... Było cudownie. Mieszkałyśmy w niezbyt dużym hotelu z basenem, jedzenie serwowali świetne, miałyśmy z pokoju rozległy widok na morze, chodziłyśmy się opalać...

- Jeździłyście na wycieczki?

- Trochę. Było bardzo gorąco, więc nie zdecydowałyśmy się na niektóre. Płaskowyż Lasithi raczej nie wchodził w rachubę. Za wysoko, chybabyśmy się rozpuściły.

- A Heraklion? Pamiętam, jak byliśmy z ojcem na Krecie w siedemdziesiątym czwartym, zwiedzaliśmy pałac w Knossos. Piękna budowla.

- Mamuś, z tego co słyszałyśmy, to same ruiny - udało mi się przerwać potok maminych wspomnień. - Wolałyśmy poleżeć na plaży.

- Ale jeszcze lepiej było w Jugosławii - kontynuowała mama. - Zostałyście z dziadkami Marianami, a ojciec zabrał mnie na dwa tygodnie na wycieczkę spółdzielców do Belgradu. A potem nad morze. To były czasy!

- rozmarzyła się.

- Mamo... - Zerknęłam na zegarek. Dochodziła północ.

- Przepraszam, ale jestem trochę zmęczona podróżą. Chyba się położę.

- A może ty jesteś głodna? - Przypomniała sobie o leczy i bigosie.

- Wezmę coś z zamrażarki. Zjemy jutro, jak przyjedzie Renata z rodziną.

- Czy ty się na mnie obraziłaś? - Mamie wyraźnie nie odpowiadała perspektywa utraty słuchacza podczas dalszej części wieczoru. Widząc mój zrezygnowany wyraz twarzy, dodała: - Przepraszam, że wspomniałam o swoich wakacjach. Nie powinnam.

- Mamo... - powiedziała już w stronę jej pleców. - Dobranoc.

Machnęła ręką. No i ładny początek po udanych wakacjach! Byłam zmęczona i głodna. Lodówka świeciła pustkami, na szczęście w zamrażalniku ostały się ulubione zapiekanki Kajtka. Po chwili w kuchni rozszedł się zapach rozpuszczonego w mikrofali sera. Z lubością umieściłam nogi na stoliku przy kanapie, gryząc zapiekanekę powolutku, po kawałku.

My home is my castle. Nie ma dzieciaków, jutro niedziela. Ostatni wolny dzień przed pracą. Spotkam się z Aliną, będzie ciekawa wszystkiego. Mam dla niej oliwki i kreteńską oliwę, doceni. Przypomniał mi się Nikos, wysoki jak na Greka, z ciemnymi, spiętymi w kitkę włosami. Przyjemny akcent w mojej letniej eskapadzie. Celowo nie sprawdzałam wiadomości w komórce, widząc pulsujące oczko. To na pewno on, ale pozostawię sobie tę przyjemność na później. Ocknęłam się z błogiej zadumy, słysząc pukanie do drzwi.

- To ja, otwórz - usłyszałam głos mamy. - Zapomniałam ci powiedzieć, że dzwonił do mnie Rafał i mówił, że

nie odbierze dzieci po tych ich wyjazdach, bo nie będzie go w Gdyni. Prosił, żebyś się tym zajęła.

- Dziękuję, mamo.

Chwilę stałyśmy w drzwiach.

- To dobranoc, do jutra.

- Do jutra.

No to wszystkie klocki na swoim miejscu. Mama niezadowolona, ogród do wypielenia, dzieci do odebrania, zakupy do zrobienia. Czar Grecji powoli odchodził w zapomnienie. Sięgnęłam po komórkę. Ostatnia deska ratunku. Esemes od Plusa: „Przypominamy, że faktura nr (...) płatna do dwudziestego sierpnia br.". Drugi: „Wielka wygrana, weź udział w losowaniu (...)". Trzeci: „Uzgodnione 25 000 zł przygotowane do odbioru, masz gwarancję wypłaty, potwierdź (...)". I czwarty: „W poniedziałek zostanie Państwu dostarczona przesyłka o numerze (...). DPD Polska". Koniec. Niech to szlag! Alina... Zadzwoń do Aliny, wypłakać się w jej rękaw. Nie, już na pewno śpi. Renia? Kończą z Krzysiem romantyczną kolację, nie będę im przeszkadzać. Roza? Przestraszę ją, dzwoniąc tak późno. Kajtek? Nieee. Komputer. Sprawdzę pocztę. Przez dwa tygodnie przyszło pewnie trochę reklam. Może odezwał się ktoś z roboty?

Usiadłam przy dawno nieużywanym laptopie, [www. home.pl](http://www.home.pl), poczta, adres mejlowy, hasło do konta. Poszło. Dwieście czterdzieści nieodebranych wiadomości. Matko jedyna! Sterta reklam, propozycje nie do odrzucenia, szkolenia, jak dobrze wypromować firmę, twój wymarzony dom pod Warszawą, konferencja na temat kastracji

kotów i psów, nowi znajomi czekają na Facebooku, bądź kobietą sukcesu (już!), Jaś potrzebuje pomocy, sylwester w termach na Słowacji, odjechane promocje w K-system, Nowy Puls przedsiębiorców, wiarygodne źródło informacji, do - 66% Rzym z przelotem/Willa na Bali/Paryż z Disneylandem/Warmia, 29 zł strzyżenie z masażem i stylizacją włosów, 19 zł Jelly Watch, 11 zł miesięcznie (tyle może cię kosztować rata kredytu). Do kosza. Zniechęcona, próbowałam dobrnąć do końca. Dwudziesty siódmy lipca, niebieska strzałka w dół - priorytet. Spojrzałam, spodziewając się superpromocji u psiego fryzjera. Temat: „Jak było w Grecji?”, podpisano: Szymon. Wreszcie jakiś człowiek. Zmęczona internetowym chłamem zajrzałam do tekstu.

„Witam, Pani Marto.

Z mojej rachuby wynika, że powinna Pani już wrócić z Grecji, o ile wyjazd doszedł do skutku. Ciekaw jestem, czy się udał i jakie są Pani wrażenia. Z tego co słyszałem, Grecja nie skąpiła lipcowego słońca i wcale bym się nie dziwił, gdyby wróciła Pani bez części skóry na plecach. Miałem podobne doświadczenia, znane ludziom, którzy lubią się kąpać w lazurowych falach greckich zatok. Pozostające ponad falami ramiona nie mogą się chronić przed atakiem kłuszących promieni, dlatego wracamy stamtąd z potrzebą zakupu środków łagodzących oparzenia. Jeżeli jednak przypadłość ta Pani nie dotknęła, niepotrzebnie się rozpisałem. Proszę mi wybaczyć, nadmiernie się wymądrzam. Ja wróciłem właśnie z zupełnie innych rejonów Europy, z Norwegii,

dokąd pognały mnie sprawy zawodowe. Powiem jedno: nie jest to Grecja. Nie chcę się narzucać, ale jeśli zechce mi Pani przekazać swoje wrażenia, będę wdzięczny. Jeżeli nie, zrozumieć. A jeżeli niebawem ma Pani imieniny, serdeczne życzenia Szymon".

Życzenia imieninowe? Od Szymona? Kim on jest? Ma sprawy zawodowe, więc chyba nie emeryt? A może pracujący emeryt, we własnej firmie, do grobowej deski? Na pewno jest stary. Stary i bawi się w mejlowanie? Nieważne. Co mi szkodzi odpisać?

„Panie Szymonie...”, zaczęłam.

Chyba zrobię to jutro.

Położyłam się na kanapie; przygotowanie łóżka stanowiło zbyt duży problem. Zamiast książki wzięłam do łóżka komputer. „Nie chcę się Pani narzucać, ale jeśli zechce mi Pani przekazać swoje wrażenia, będę wdzięczny. Jeżeli nie, zrozumieć”. Balsam na samotne serce, cud-miód, samo gęste. Bez względu na to, kim jesteś, i tak ci dziękuję, Panie Szymonie. Zadzwoniłam esemes. Rozalia. „Tęsknię, odezwij się jutro”.

Czasami cuda się zdarzają.

- Ciociaaa! - Michalina przez taras wdarła się do mojego domu. Widać zapomniałam zamknąć drzwi. - Co robisz na kanapie?

- Do tej pory spałam. A co ty tu robisz?

- Przyjechaliśmy do babci. Ciociu, dlaczego nie śpisz w łóżku?

- Nie chciało mi się go pościelić. A poza tym tu jest wygodnie. Otwórz drzwi, Michasiu, słyszysz, że ktoś puka?

Ktoś uporczywie walił w drzwi wejściowe.

- Ty leniu! - Ukazała się w nich Renata. - Wstawaj, bo nie dostaniesz śniadania!

- Która godzina? - Ledwie zdążyłam przetrzeć oczy.

- Południe, siostra. Jak tam wczorajszy wieczór? Odespałaś? Nikos się odezwał?

- Odpowiadam po kolei: wieczór jak wieczór, ode-spałam, Nikos się nie odezwał.

- A Krzyś mi zrobił grecką musakę i trochę przedobrzyliśmy z winem. Wiesz, jaki on jest, chciał mnie upić, żebym była łatwiejsza. - Zachichotała znacząco. - Ale w ogóle to fajnie, że pojechałyśmy.

Nachyliła się nad moim uchem.

- Dejan dzwonił, dobrze, że Krzysztof był akurat w łazience - szepnęła konspiracyjnie. - Pytał, jak podróż. Masz pozdrowienia.

- Puściła oko.

- Dziękuję, bardzo mi przyjemnie. A teraz daj mi się trochę ogarnąć.

- Ciociuuuu, pobawimy się? - Michasia miała dość naszej konwersacji.

Nie miałam ochoty wychodzić z łazienki. Lałam wodę strumieniami, zmywając z siebie podróż, rozmowę z mamą, brak esemesa od Nikosa, bycie singlem, zero informacji od Kajtka, koniec urlopu, rodzinny obiad i kupę naczyń, którą przyjdzie mi po nim posprzątać. A gdyby

tak nie wyjść stąd już nigdy? Pozostać w potokach wody i wyłonić się z niej niczym Afrodyta z bezdennego jeziora w Agios... I znaleźć się w innym świecie?

- Martusiu, długo będziesz jeszcze się kąpać? - Kontemplację przerwała mama. - Gdzie masz serwetę? Połóż ją na stole na tarasie i przyjdź pomóc robić sałatkę.

A Renia? - miałam ochotę zawołać, ale dałam spokój. Pewnie jest zajęta dzieckiem.

Wyskoczyłam w popłochu z łazienki, starłam kurz ze stołu na tarasie, położyłam serwetę, jednorazowe serwetki, rozłożyłam talerzyki, porozkładałam sztućce, szklanki do zimnych napojów, pobiegłam do ogrodu po bazylię, miętę, rozmaryn. Przydadzą się do sałatki.

- Co mam robić? - Mama krzątała się po kuchni, podgrzewając leczo.

- Porwij sałatę, poszatkuj ogórki, pomidory, paprykę i czerwoną cebulę. Tu masz fetę. Tylko nie pokrój zbyt drobno!

Udało mi się sprostać wymaganiom, sałatka wyszła całkiem niezła. Potrawy znalazły się na stole. Obiad przebiegał w miłej rodzinnej atmosferze, wprawdzie bez Rozy i Kajtka, ale przecież niebawem się zjawią. Jedzenie było bardzo dobre. „Tak, mamo, świetne leczo i doskonały bigos, i te kotleciki też wspaniałe”. Renata wypila całe greckie wino, które przywiozłyśmy dla mamy, Michasia z psem zdążyli połamać kilka dalii. W okolicach szóstej Krzyś zaczął spoglądać na zegarek.

- Przepraszam was. Muszę na chwilę wyjść, mam telefon. - Wymknęłam się do domu.

Komórka co prawda milczała, ale miałam już dość towarzystwa. Otworzyłam laptopa, www.home.pl, odebrane, Szymon. Odpowiedź. Zaczęłam pisać.

„Witam, Panie Szymonie.

Wczoraj wróciłam z Grecji. Tak się złożyło, że zgodnie z Pana sugestią trafiłam na Kretę. Właściwie jedną nogą wciąż tam jestem. Zastanawiam się, jak to możliwe, by człowiek, przemieszczając się z jednego miejsca w drugie, pokonywał takie przepaści. Z jednej strony czuję jeszcze podmuch nadmorskiego wiatru i atłas ciepłej wody w kreteńskiej zatoce, z drugiej po powrocie zostałam wzięta w karby rzeczywistości, która nakazuje mi szybko zapomnieć o tamtym świecie. Nie uciekniemy od życia nawet na końcu świata. Wyjazdy, mimo najlepszej aury, nie zawsze dają ukojenie. Może dogodzą zmysłom, pozwolą przez chwilę się odprężyć? Zawsze jednak wracamy i znajdujemy to, co opuściliśmy.

Przepraszam za niezbyt optymistyczny ton. Chyba jestem zmęczona i może nie powinnam do Pana pisać w takim stanie. Miałam ochotę podelektować się swoim ogrodem i posiedzieć z książką, niestety z powodu wizyty mojej rodziny musiałam zmienić plany. Stąd pewnie moje niezadowolenie. Mam nadzieję, że będę mogła jeszcze kiedyś spokojniej spojrzeć na grecką wycieczkę i przekazać Panu swoje wrażenia z większą dozą optymizmu. Dziękuję Panu za mejla, który - proszę mi wierzyć - sprawił mi dużą przyjemność. Co Pan robił w Norwegii?

Pozdrawiam

Marta".

- Marta, gdzie przepadłaś?! O, widzę, że nie esemesowałam, ale przysłałaś mejla. - Domyślna Renia, widząc mnie nad laptopem, wysnuła nieprawidłowe wnioski. - Chodź się pożegnać, wracamy już do domu. Mama narzeka, że się źle czuje. Trzeba by zaprowadzić ją do lekarza.

- To ją zaprowadź - powiedziałam tonem, którego nigdy bym się po sobie nie spodziewała.

- Co ci się stało, Marta? Wstępna faza klimakterium?

- To chyba miał być dowcip.

- Renata, posłuchaj mnie uważnie. - Być może wspomnienie o menopauzie było kroplą, która przelała przysłowiowy kielich goryczy. - Musimy się spotkać i porozmawiać o pewnych sprawach, powiedzmy rodzinnych. Im szybciej, tym lepiej. - Bałam się, że odwlekanie rozmowy położy kres nagłemu buntowi.

- Dobra. Zadzwoń, gdy będę miała czas.

- Nie, Renia, to ja zadzwonię, gdy będę miała czas.

- Ku swojemu zdziwieniu nadal byłam stanowcza.

- Stało się coś, siostra? - Udało mi się wzbudzić w niej niepokój.

- Może i się stało, a jeśli nie, to niebawem się stanie. Do zobaczenia.

Zamknęłam bramę za gośćmi.

- Jestem zmęczona, pójdę się położyć. - Mama zniknęła za drzwiami swojego domu.

- A ja, oczywiście, nie jestem zmęczona, więc pójdę posprzątać po obiedzie - mruknęłam pod nosem, niosąc talerze do kuchni. Cholera jasna, czy już zawsze tak będzie?

MAMA

- Mamo, skoro nie czujesz się dobrze, musisz iść do lekarza - doradziłam, gdy po moim kolejnym powrocie z redakcji narzekała na palpacje.

Nie było paniki. Ciśnienie miała prawidłowe, dużo wypoczywała, siedziała ze mną do późna przy kieliszku wina. Jako że taka sytuacja powtarzała się regularnie, nie widziałam potrzeby wzywania pogotowia ani stosowania innych nadzwyczajnych środków.

Nareszcie zgodziła się na odwiezienie do Gdyni i zasięgnięcie porady specjalisty. Wiedziałam, że jak zwykle wynik badania nie pozostawi najmniejszej wątpliwości co do znakomitego stanu jej zdrowia, który wykorzystywała niczym podstępna broń zawsze, gdy chciała coś osiągnąć. Uwagę, czas, zainteresowanie, możliwość wpływania na moje decyzje.

Może jednak coś jej jest? - zastanawiałam się za każdym razem, gdy groziła nagłym zejściem z miną osoby, która nie chce nikomu przysparzać kłopotów. Jednak żadna wizyta u lekarza nie ujawniała niczego niepokojącego w jej stanie.

- Mamo! - Chwyciłam za telefon, przypomniawszy sobie, że termin ostatniej minął. - Jak tam?

- No, w zasadzie wszystko jest w porządku... - cedziła, szukając w głowie informacji, które mogłyby mnie zaniepokoić. - Mam się szanować i zgłosić, gdy palpacje się powtórzą. Zostanę przez kilka dni w Gdyni.

Przecież to szantaż emocjonalny! - wkurzyłam się wewnętrznie, nie okazując jednak swoich emocji. W końcu mogło mojej mamie coś być.

- I jeszcze jedno. Zapomniałam ci powiedzieć, że w poniedziałek przyszła do ciebie jakaś przesyłka z Grecji. Odebrałam ją, leży u mnie na komodzie.

- Dziękuję, mamo, zabiorę ją. Czuj się dobrze i dbaj o siebie. Do zobaczenia.

Uff. *Summa summarum* piątkowy wieczór miałam wolny. Mama okazała się zdrowa i chętna, by spotkać się z koleżankami w Gdyni! W Gdyni, nie w Mieszkowicach! I jeszcze ta przesyłka. Ciekawe, co to może być. Zapomniałam czegoś zabrać z hotelu? Pewnie tak. Niczego innego się nie spodziewałam.

- Alina, dużo masz jeszcze roboty? - Przystąpiłam do realizacji niecnego planu ściągnięcia jej do Mieszkowic.

- Muszę dokończyć tekst o sierpniowych wysiewach kosaćców. A, i o przycinaniu żywopłotów. Potem jadę do Czarka. Dzisiaj siedzi w domu sam.

- Co byś powiedziała, koleżanko, na małe porwanie do mnie? Wyprawimy moje imieniny. Oczywiście z Czarkiem - dodałam, widząc jej otwarte w chęci zaprzeczenia usta. - Jak tylko oddam artykuł o układach

horyzontalno-wertykalnych w ogrodach orientalnych. Stary uraczył mnie tym tematem, choć wie, jak lubię tego typu styl.

- Będziemy ci przeszkadzać...

- Jeśli o to chodzi, Alina, mamy nie ma - przerwałam dalszy ciąg jej wymówek. - Za pół godziny jedziemy. Zdążysz?

- To może zabiorę oliwki, które dostałam od ciebie, i zrobimy sałatkę?

- Głupia jesteś? Mam oliwki, i nie tylko. - Pocałowałam ją w policzek.

Nareszcie zapowiadał się miły wieczór.

Rozsiedliśmy się na ganku, mając przed sobą ogród, jedno z nielicznych udanych przedsięwzięć w moim życiu. Dom pod trzcinową strzechą rozpościerał się u szczytu naszej działki, drewnianym gankiem w kierunku obniżającego się terenu. Południowo-Zachodnie usytuowanie ganku, letniego pokoju z widokiem na pofałdowaną okolicę, zapewniało obecność słońca od późnego popołudnia do wieczora. Zgodnie z własnym gustem zaplanowałam i stworzyłam ogród wiejski, wtopiony w miejscowy krajobraz, powiązany z otaczającym go pejzażem. Zachowałam rosnące sosny i jałowce i dosadziłam kilka modrzewi i brzózek, które po kilku latach wyglądały jak dwudziestoletnie drzewa. Pozorny chaos pomieszanych gatunków krzewów, bylin i kwiatów tworzył przytulną i nieco bajkową atmosferę. Sierpniowa mieszanina barw rosnących obok siebie słoneczników,

nasturcji, dalii, ostróżek, aksamitek oraz malw dowodziła, że jest najpiękniejszy czas dla ogrodu, czas spełnienia. Nie trzeba było podlewać, nawozić, odchwaszczać, wystarczyło cieszyć się życiem i pięknem.

- Martusiu, jesteś genialna! Twój ogród to zjawisko!

- Alina zawsze wiedziała, jak mnie dowartościować.

- Też mi się podoba, Ala. Szkoda tylko, że... Wiesz co.

- Przestań. Przecież Rafał nie przywiązywał do tego większej wagi. Czarku, ładnie tu, prawda?

- Bardzo. Mogę iść pograć?

- No i masz mężczyznę! Pewnie, że możesz. Przynieść ci laptopa czy pójdziesz do domu?

Znudzony Czarek wybrał dom. Siedziałyśmy, nie odzywając się do siebie, chłonąc ciepło zachodzącego słońca.

- Co zamierzasz? - Alina wyrwała mnie z zadumy.

- Będziesz nadal przeżywać?

- Na Krecie poznałam pewnego Greka. Nikosa - zaczęłam opowiadać. - Razem z bratem prowadzą latem knajpę w Agios. Jest architektem, pracuje w różnych miejscach. Myślałam, że letnia przygoda się skończyła, ale kilka dni temu dostałam od niego przesyłkę z bardzo miłym listem i... prezentem. Przesłał mi ikonę z wizerunkiem Pantelejmona, patrona lekarzy. Na pamiątkę naszej wycieczki na wyspę Spinalongę. Nie wiem, co o tym myśleć.

- A co byś chciała?

- Ala, chciałabym! Naprawdę bym czegoś chciała! Wiem, że rozwód z Rafałem był na moje życzenie, ale

nie z mojego powodu! To nie ja poszłam się bujać z aplikantką! Pewnie spytasz, czy żałuję? Jest mi trudno, nawet po pobycie w Grecji, mimo Nikosa i w ogóle. Rafał nie był taki zły...

- Martusiu, posłuchaj mnie. Ostatni raz, bo nie mogę się bez przerwy powtarzać. - Alina przytrzymała mnie za rękę. - Rafał może nie był „taki” zły, ale też nie „taki” dobry, by cię zatrzymać przy sobie. Wydawało mi się, że może wam się jeszcze uda... Widzę jednak, co się z tobą dzieje, i nie zamierzam martwić się Rafałem i jego walorami. Dlatego radzę: weź się za siebie. I mam pewien pomysł.

Spojrzałam zaciekawiona.

- Warszawska firma „Moda na ogrody”, słyszałaś o niej? Rozpisała konkurs na aranżację ogrodu o powierzchni 3000 metrów. Może byś spróbowała? Jest nagroda! Dwadzieścia tysięcy złotych dla zwycięzcy i otwarte drzwi do projektowania. Nie patrz tak, dasz radę. Marta, do diabła, przestań, to jest szansa, a ty jesteś świetna. No dobra, napij się wina, nie sącz tak, wypij. Powiedz coś. Marta!

- Do kiedy trzeba złożyć projekt?

- Boże, nareszcie! Jesteśmy w domu. - Alina rozpostarła się w wiklinowym fotelu. - Masz cztery miesiące. I nie próbuj się wymigać, nie pozwolę. A z tym Grekiem kto wie? Może? Nie zawadzi spróbować. Widzisz, że świat może być piękny?

- Może? Może.

MARTA

Odwiozłam Alinę i Czarka po wczesnym śniadaniu.

- Martusiu, przepraszam, że cię zrywam tak wcześnie, ale mamy spotkanie w stowarzyszeniu. Dla Czarka to bardzo ważne. Obiecałam, nie mogę go zawieść.

Naturalnie, nie było żadnego problemu. Dzieciaki wracały za tydzień, przede mną był spokojny sierpniowy dzień tylko dla mnie! Pierwszy raz od roku perspektywa sam na sam ze sobą nie budziła we mnie lęku. Dzięki Alinie i jej pomysłowi z konkursem. Miałam zamiar przejrzeć stronę „Mody na ogrody” i dowiedzieć się czegoś więcej, przeczytać zaległą lekturę, wyciągnąć się na ganku, w wolnych chwilach przyciąć odrosty żywopłotu i sprawdzić pocztę. Tak się jakoś złożyło, że zaczęłam od komputera, www.home.pl i tak dalej. Są dwa listy! Szymon, Nikos, od którego zacząć? Szymon po polsku, Nikos po angielsku. Niech będzie Nikos.

„*Kalimera*, Marta.

Siedzimy z Dejanem przy stoliku w barze i rozmawiamy o Was. Te kilka dni z Wami było bardzo miłe i bardzo dobrze je pamiętamy. Niestety, nie znam angielskiego

na tyle, by wyrazić wszystko, tak jak czuję, do tego potrzeba większej liczby słów. Pamiętam Wasze piękne sukienki i Twój kapelusz. Bardzo ładnie w nim wyglądałaś, Marta. Nigdy jeszcze nie widziałem tak pięknej kobiety w Grecji. Będę w Agios do końca września, potem jadę do Wenezueli, bo mam tam biznes. Będę projektował pałac dla jednego zamożnego faceta. Nie chciałyście, żeby Was dostarczył do samolotu, więc nie miałem okazji dać Ci prezentu. Dejan okazał się szybszy i wręczył Reni dowód adoracji. Ja też chcę coś Ci dać, Marta, więc przesyłam ikonę Pantelejmona, żeby Ci przypominała Spinalongę. Mam nadzieję, że się spodoba i patrząc na nią, będziesz wspominała mnie. Chcemy z Dejanem Was odwiedzić za miesiąc albo dwa, jeżeli nie macie z tym problemu. Będzie nam bardzo miło, nigdy jeszcze nie byliśmy w Polsce. *Signomi* za mój niezbyt udany list. Za to bardzo Cię pozdrawiam i chcę Cię spotkać przynajmniej raz.

Cherete, Marta! Do widzenia!

Nikos".

Cherete? Signomi?

Włączyłam słowniczek polsko-grecki. Jest. Przeprasza za swój nieudany list. Nic podobnego, całkiem udany! „Do widzenia, Marta”. No, nieźle! Chcą przyjechać - czemu nie? Muszę mu podziękować za ikonę. Skarciłam się za myśl, że właściwie wcale nie chcę się już z nim spotykać, jak gdyby grecki epizod został zakończony wraz z przekroczeniem powietrznej granicy pomiędzy naszymi światami. W końcu nic się złego nie stało i nie stanie, jeśli oprowadzimy kreteńskich kolegów po Trójmieście.

- Renia? - Złapałam za telefon.

- Abonent czasowo niedostępny, proszę zadzwonić później...

Faktycznie, mówiła, że idą na koncert. Co za pomysł, żeby dzwonić w sobotni wieczór.

Wyszłam na taras. Sierpniowe gwiazdziste niebo nastrajało do otwarcia butelki wina. Po co siedzieć w domu? Rozłożyłam się na ganku z komputerem. Nie zapomniałam o zapaleniu świeczki w wiszącym kaganku. Aaa, jeszcze muzyczka. Warto zapuścić greckie kawałki, *show must go on*, niech nastrój trwa. Czas na Szymona. Zobaczmy, czy pójdziemy spać w dobrym nastroju, czy w jeszcze lepszym...

„Witam, Pani Marto.

Dziękuję za list, który w natłoku tysięcy wiadomości rzuconych w wirtualną przestrzeń pozwolił mi uwierzyć, że czasami wygrywamy w totka. Udaje nam się znaleźć ludzki, jakże miły głos, na który czekamy. Widzę, że wyjazd na Kretę był udany, a z pewnością pełen wrażeń, skoro wzbudził w Pani tyle refleksji nad kolejami losu i naszym w nim udziałem. To prawda, że nie uda się uciec od przeszłości, od traumy, która tkwi w każdym z nas. Żadne, nawet najlepsze biuro podróży nie zapewni nam takiej usługi. Jednak według mnie warto czasem wyjechać gdzieś daleko, pokonać tysiące kilometrów, by z odległej perspektywy spojrzeć na życie i - jeśli zachodzi konieczność - coś w nim zmienić. Widzę, że Pani jest to potrzebne, choć nie wiem, z jakiego powodu. Najważniejsze, że Pani wie i dostrzega różne możliwości.

Co robiłem w Norwegii? Marzłem, ba, nawet trząsałem się zimna. Niestety to nie Grecja. A poważnie: pracuję dla firmy, która bada dno morskie, obecnie na Morzu Północnym. Spędziliśmy w tym rejonie niemal dwa tygodnie. Praca na statku, trochę buja, warunki nieco spartańskie, ale bez przesady. Można przeżyć, o ile człowiek wytrzyma trzy dni sztormu. A wraz z nim jego błędnik.

Nie chcę zanudzać swoimi sprawami, czekam raczej na optymistyczne relacje z Krety. Proszę napisać, czy podobało się dzieciom? A przede wszystkim dokąd się Pani teraz wybiera? Podróże są po to, by planować następne. Głowa do góry, cokolwiek by to miało oznaczać, Pani Marto. Wykazuję się niezwykłą śmiałością i proszę o odpowiedź. W wolnej chwili.

Szymon".

- Pójdziemy spać w bardzo dobrym nastroju. Życie jest piękne, Marta! Cuda się zdarzają albo ja śnię! - gadałam do siebie, bo nikogo innego nie było w pobliżu.

Gwiazdy spadały szybciej, niż byłam w stanie wypowiadać życzenia. Może chronił mnie Pantelejmon, a może Alina? Nieważne. Byle to utrzymać. Byle się nie dać.

- Marta? - Zadzwoń Renia. - Coś ważnego?

- Tak, wpadnij do mnie jutro o dziesiątej. Sama. Musimy porozmawiać o Mieszkowicach.

RENATA

Ranek był jeszcze lepszy od wczorajszej nocy. Z lubością przeciągałam się na ganku, łapiąc promienie sierpniowego słońca. A może przypomnieć sobie, jak się biega bosy po trawie? Stałam na niewystrzyżonym jeszcze trawniku, zagłębiając stopy w miękkiej murawie. Może nie kosić? Jest taki miły. Łajdus, nasz sześćioletni pies, ganiał za mną, przeczuwając zachętę do dobrej zabawy.

- Uciekaj, bałwanie, bo mnie przewrócisz! Łajdus, zostaw te ptaki!

Pogonił pliszki, które niespecjalnie się tym przejęły. Wydając to swoje „tsilip”, „tsilip”, krążyły nad gniazdami uwitymi pod strzechą domu. Mama w Gdyni, więc nie będzie celebrowanego śniadanka z kawką i konwersacją. Kiedy pojawił się Rudzielec, dochodzący jasnobrzowy (żeby nie powiedzieć: ryży) kocur, z wyraźną natarczywie potrzebą napicia się mleka, skierowałam kroki do kuchni. Kot miauczał, Łajdus udawał, że niczego nie widzi, ja zrobiłam, co do mnie należało, to jest nappełniłam trzy michy: dla kota, psa i dla pani.

Delektowanie się płatkami kukurydzianymi przerwał mi dźwięk komórki.

- Kajetan? - Nie spodziewałam się. - Tak, jestem w domu, sama. Wróciłam tydzień temu, było fajnie. A co u ciebie, jak rejs? Jesteś w pobliżu Norwegii, to pewnie buja. Skąd wiem? Domyślam się. Morze Północne nie należy do spokojnych. Zimno, marzniesz? I wymiotujesz? To podobno mija po trzech dniach. Skąd wiem? Czytałam w Internecie, interesowałam się. Masz już dość? Synku wytrzymasz, to jeszcze tylko tydzień. Dziękuję za życzenia, ale imieniny miałam kilka dni temu. Rozumiem, nie mogłeś, spałeś z klozetem w objęciach. Jak nadal będziesz się tak źle czuł, dzwoń do taty, niech cię odbierze. Ja nie bardzo mogę, a poza tym wiesz - kasa. Rozalia się odzywała, daje radę, trochę tęskni, ale to normalne. Wraca w sobotę. Trzymaj się, synku, ja też ciebie kocham. Nie, ojciec nie składał mi życzeń imieninowych. Kończmy, synku, bo to kosztuje. Trzymaj się.

Mimo woli zdenerwowało mnie wspomnienie o Rafale. Mam gdzieś jego życzenia, ale żeby Rozalia nie zadzwoniła? Czego się jednak spodziewać, gdy własna matka i siostra też nie pamiętały... Mimo to...

- Okej, Łajdus, dobry pies. Ty byś pamiętał. - Kundel ułożył się na mojej nodze.

Komórka zadzwięczała melodią z *Greka Zorby*.

- Rozalia? Dziękuję, córciu. Kajtek do ciebie dzwonił? Zapomniałaś, zdarza się, nie gniewam się, skąd, wszyscy zapomnieli. Nie, ojciec nie składał mi życzeń! Czy to jest najważniejsze, że pytacie i ty, i Kajtek? Nie

denerwuję się, okej, już się nie denerwuję. Też się cieszę, że wracasz. Opowiem ci o Grecji. Bardzo udany wyjazd, ale opalenizna mi schodzi i nie zobaczysz jej w pełnej krasie. Siedziałaś cały czas na zajęciach? Po to pojechałaś, poopalasz się w przyszłym roku. Grecja jest piękna, mam zamiar tam jeszcze pojechać. Razem? Będzie cudownie. Znacznie lepiej się czuję, staram się. Córciu, musimy kończyć, bo ojciec zbankrutuje na twoje telefony. Do soboty. Ja też cię Kocham.

Lepiej późno niż wcale. Kawa ostygła, włączyłam ekspres, by zrobić następną. Swoją drogą, mrożona frappe na Krecie była przednia, jak się ją robi? Trzeba zerknąć do Internetu.

Dochodziła dziesiąta. Jeżeli Renia potraktowała poważnie moje „serdeczne” zaproszenie, powinna niebawem przyjechać. Nie chce mi się dzisiaj z nią gadać. Po jakie licho tak się wczoraj rozemocjonowałam, że postanowiłam przeprowadzić z siostrą poważną rozmowę o przyszłości Mieszkowic, opiece nad mamą, stercie naczyń, które zmywam po każdej rodzinnej wizycie, zerze prywatności, kiedy oni mają ochotę przyjechać? Może gdy znajdę sobie nowego faceta (o, pomyślałam o tym!), to on będzie zabawiał towarzystwo rozmową i umyje im samochód?! Dlaczego chciałam porozmawiać o decyzji mamy, żeby przepisać Renacie swój dom i teren, o który dbam ja i tylko ja, i o tym, że będę miała na głowie całą czeredę na stałe? Przecież jest taki piękny dzień: ptaki śpiewają, leżak czeka, nikogo nie ma. Doskonały czas na relaks. I dostałam dwa miłe listy od facetów. Czy mnie pogięło?

Niestety, za późno. Renata dała sygnał klaksonem, żebym otworzyła bramę. Ciekawe, jak sobie z nią radzi, kiedy mnie nie ma w domu? Oczywiście, zrobiłam to, czego oczekiwała, i za chwilę miałam siostrzyczkę rozpostartą wygodnie w wiklinowym fotelu na moim ganku.

- Tucha, dla mnie kawka raz, z mleczkiem. - Nigdy nie lubiłam, jak mnie tak nazywała. - Pamiętaj tylko, nie ze śmietaną - dodała, jak gdybym zawsze zapomniała.

- O co właściwie chodzi, stało się coś? Wczoraj byłaś jakaś dziwna przez telefon. Aaa, byłabym zapomniała. - Wydobyła z torebki zawiniątko. - Mam dla ciebie prezent imieninowy, zaległy. Wszystkiego najlepszego.

- Co to jest?

- Odkryłam świetną firmę kosmetyczną i kupiłam ci krem. Będiesz wyglądała bosko, tylko przeczytaj, jak się go stosuje. Nie nakładaj zbyt grubo, żebyś się nie świeciła, jak teraz.

Zadowolona, kontemplowała widok ogrodu.

- Fajnie, że rodzice kupili tę działkę. Teraz za te pieniądze już nic się nie nabędzie. Masz farta, siostra, że tu mieszkasz. Krzyś chciałby się przenieść gdzieś za miasto, ale te ceny...

- Zawsze możesz zamieszkać u mamy - prowokowałam, czując, że wściekłość zaczyna mnie pozbawiać spokoju.

- Oglupiałaś? - Renata zareagowała spontanicznie.

- Z mamą? Czego ty mi życzysz? Sama masz dom, spokój, a ja miałabym się gnieździć z mamą?

- Przynajmniej miałabyś zadbane ogród. Przeze mnie. -
Czułam, że zaraz wybuchnę.

- My musimy mieć intymność. Jak to sobie wyobrażasz? Miałybyśmy mieszkać obok siebie? Fajnie jest się spotkać, pogrillować, pogadać, ale potem do domu. Ja mam męża.

- Renata, zadam ci proste pytanie. - Pominęłam przytyk o mężu. Bóg mi świadkiem, nie miałam ochoty na tę rozmowę, tak wyszło. - Co zrobisz, jak dostaniesz w spadku dom po mamie?

- Sprzedam!

Zapadła cisza. Moja siostra zorientowała się, że za bardzo się odkryła, ja zostałam utwierdzona w przypuszczeniach, że mój wysiłek w ogrodzie przydaje się wyłącznie do podniesienia wartości mamy działki, której Renata już teraz czuła się prawowitą właścicielką. A może nią była? Mogłam o czymś nie wiedzieć. Niestety, jedni rodzą się do ról niebieskich ptaków, innym przypada w udziale pełnienie funkcji roboczych wołów.

- Łajdus, chodź. - Moja siostra przyjęła strategię odciągania uwagi od tematu. - Jak linieje... Wpuszczasz go do domu?

Wstałam od stołu. Lustro w łazience nie pozostawiło na mnie suchej nitki. Zobaczyłam nadmiernie wydłużoną twarz z opuszczonymi kącikami ust. Grecka opalenizna ustąpiła miejsca przezroczyściej bladości. Nawet włosy, moje długie, jasne włosy, jeszcze bez cienia siwizny, straciły blask. Przeczesałam je, wklepałam krem, zrobiłam delikatny makijaż. Mój krem, nie ten od Renaty, dla kobiet, które „się po nakremowaniu zawsze świecą”.

- Słuchaj, Renata. Poprosiłam cię o przyjazd może niezbyt zachęcająco, ale chciałam, żebyś potraktowała sprawę poważnie.

Spojrzała, udając zdziwienie. Wiedziałam, że czuje niepokój.

- Myślałam, że masz pretensje o życzenia imieninowe...

- I dlatego wynalazłaś na swojej półce krem, za który mam teraz być wdzięczna, i kupiłaś taki sam? Daj sobie spokój. Słuchaj, co mam do powiedzenia, potem będziesz gadać.

Dobrze, że mnie zdenerwowała. Słowa zaczęły się układać w zdania, zdania we frazy, frazy w poemat. Miałam nadzieję, że nie w koncert życzeń.

- O ile pamiętasz, rodzice kupili Mieszkowice wiele lat temu, kiedy obie jeszcze byłyśmy nastolatkami. Jeździłyśmy tu z nimi, było fajnie. Poznałam Rafała, pobraliśmy się, szczęśliwie zamieszkaliśmy w Gdyni, w naszym małym em ileś tam. Rafał zaczął zarabiać, stać nas było na kupno działki i budowę domu w różnych miejscach, ale rodzice namówili nas na przeprowadzkę do Mieszkowic. Dzieciaki miały po jedenaście lat. Taskałam je do Gdyni sama, rodzice mieli swoje sprawy. Wybudowaliśmy dom, założyłam ogród, zajmowałam się wszystkim. Rafał dofinansowywał remonty u rodziców. Wam urodziła się Michalina. Woziliście ją do mamy, ale tak naprawdę, Renia, do mnie, bo mama cały czas miała te swoje palpitacje i szukała u mnie pomocy. Renia, ja niczego nie wypominam, proszę cię jednak, zrozum,

że jestem już tym zmęczona. Przestaję się dobrze czuć we własnym domu. Nie mam intymności, na której tak bardzo zależy tobie, mama traktuje mnie jak człowieka do wszelkich poruczeń, a jeżeli kręcę nosem, obraża się. Strofuje moje dzieci, próbując wychowywać je moimi rękami. Czeka tylko na ciebie, na wnuczkę, bo wie, że do wszystkiego ma mnie. Ze ja się nią zajmę, że będę zmywała po naszych wspólnych grillach, robiła jej śniadania i wysłuchiwała jej opowieści i wynurzeń. Renata! Ja jestem teraz sama, muszę zająć się dziećmi, które bardzo się ode mnie oddaliły. Może kiedyś spróbuję ułożyć sobie życie! Może z jakimś facetem. Renata! Jak mam to zrobić, wkręcona w rodzinną sielankę? A ty mi mówisz, że sprzedasz Mieszkowice, że powinnam liczyć się z tym, że za płotem, niemal na tym samym podwórku, będę miała sąsiadów? Że nie będziesz mieszkać z mamą - okej, rozumiem, że nie będziesz się nią zajmować. Zresztą i tak tego nie robisz, bo masz ważne sprawy, córkę, Krzysia. Bo masz wygodę! A ja cóż? Stara, bez męża, z prawie dorosłymi dziećmi... Nadaję się do wszystkiego? Z jakiego tytułu? Bo kiedyś tam rodzice pozwolili mi postawić dom na swojej działce i założyć ogród, który zresztą cieszył ich oczy? Bo pozwolili mi zajmować się sobą, zapewniać im towarzystwo, kiedy tylko zechcieli przyjechać do Mieszkowic? Za to mam teraz być wdzięczna? Żałuję, że zgodziłam się przyjąć tę łaskę, żałuję, że nie wybudowaliśmy się z Rafałem zupełnie gdzie indziej. Może nawet bylibyśmy nadal małżeństwem?

Dalej mówić nie mogłam. Przytrzymałam nos rękami, by nie pozwolić płynąć łzom. Renata patrzyła zaskoczona.

- Ty jesteś zazdrosna!

- Renia, na Boga, czy ty niczego nie rozumiesz? Nie rozumiesz. Renata, przemyśl to sobie, proszę, pogadamy później. Wiem, że jesteś rozkapryszona, rozpuszczona przez mamę i Krzysia, ale do kurny nędzy ty masz już czterdzieści lat i powinnaś trochę myśleć, kobieto! Wiesz, co to jest empatia? To jest to, czego ty nie masz, a ja do tej pory miałam w nadmiarze. Sprawdź w Internecie albo zapytaj Krzysia. On to ma.

Renata zmieniła się na twarzy. Za chwilę usłyszałam jej reakcję. Niestety, nie taką, jakiej oczekiwałam.

- Będę się zbierać. Chyba powinnaś się wybrać do psychologa, Marta. Zupełnie cię nie poznaję.

Spojrzałam na nią z politowaniem. Groch o ścianę, walenie głową w mur, kompletna porażka.

- Poczekaj. - Pobiełam do domu. - Zabierz krem. Ja na pewno nie będę umiała go użyć. Będę się świecić, jak teraz.

Bramę zamykałam z wielkim płaczem. Straciłam siostrę? Zyskałam godność? Mam problemy psychiczne czy wreszcie zaczęłam walczyć o siebie?

„Gdzieś nad tęczę wysoko są marzenia, które śniłeś w kołysce. Gdzieś nad tęczę latają niebieskie ptaki, są marzenia, które się spełniają.

Któregoś dnia zapragnę obudzić się ponad gwiazdami,
chmury będą daleko pode mną, problemy rozplyną się jak
deszczowe krople nad kominami.

Tam mnie znajdziesz.

Kolory tęczy są piękne na niebie, jak twarze przechodzących
ludzi trzymających się za ręce na zawsze.

Któregoś dnia nad tęczą wysoko
zapragnę obudzić marzenia, które śniłam w kołysce.

Latają tam niebieskie ptaki,
rozwieją problemy, jak deszczowe krople nad kominami.

Tam mnie znajdziesz. Wysoko nad tęczą".

Leżałam na kanapie w dużym pokoju, chora z nieszczęścia,
obolała psychicznie, kompletne dno. Tekst *Somewhere over the
rainbow* znałam na pamięć. Jason Castro delikatnie sęczył słowa
w rytm spokojnej, hawajskiej muzyki. Leżałam na kanapie z
ręcznikiem na głowie, bez ruchu, starając się nie obudzić
rozsadzającego czaszkę bólu głowy. Dwie tabletki niewiele
pomogły, ale tak naprawdę mało co mnie to obchodziło. „Tam
mnie znajdziesz, wysoko nad tęczą”, powtarzał Jason

w nieskończoność, śpiewając piosenkę po raz pięćdziesiąty, włączony na replay. Może warto znaleźć się wysoko nad tęczą? Popatrzeć z góry na szczęśliwych ludzi trzymających się za ręce? Może to jest myśl? Po co walczyć o przetrwanie? Mieszkowice, dzieci, życie. Po co walczyć z matką, siostrą, byłym mężem? Po co walczyć o siebie? O kogo? Wszyscy sobie radzą, trzymając się za ręce. Po suficie chodziły dwie muchy. Jedna podążała w kierunku lampy, druga wybrała trasę do kinkietu. Boże, i te głupie stworzenia ciągną do światła! - przeszło mi przez myśl.

A może by coś zjeść? Nieee, nie chce mi się. Nic mi się nie chce. Po co walczyć?

Zabrzęczała komórka. Nie miałam ochoty jej odbierać, nawet gdy odezwała się ponownie. W rogu pokoju wypatrzyłam pająka, który wydziergał sobie całkiem okazałą sieć. Wyłapie komary, pomyślałam powolutku. Każdy wysiłek umysłowy sprawiał mi niewyobrażalną trudność. Łajdus polizał mnie w rękę.

- Odejdź, pies. - Odepchnęłam go niemrawo. - Pani jest nieszczęśliwa, pani nie wie, co robić, pani nie ma sił. Na nic. Jutro będzie lepiej, Łajdus, zobaczysz. Pani będzie w lepszej kondycji, pani się pozbiera i będzie dobrze.

Obudziłam się kompletnie skostniała z zimna, gdy zaczynało świtać. Jason po raz kolejny unosił się nad tęczą. Łajdus z Rudzielcem przytulili się do siebie, szukając ciepła. Kątem na wpół otwartego, zapuchniętego od płaczu oka poszukiwałam koca, którym mogłabym się przykryć. Czerwone światełko komórki migotało jednostajnie. Czternaście nieodebranych połączeń, dwa

esemesy. Dwa pierwsze połączenia od mamy, osiem od Renaty, nadawcą kilku ostatnich był Krzyś. Krzyś do mnie po północy, o drugiej w nocy! Coś się stało! Zerwałam się na równe nogi. Zegar wskazywał szóstą rano, za godzinę muszę wyjeżdżać do pracy. Dzwonić? A jeśli śpią? Boże, po co się wyklócałam z Renatą? Może miała wypadek?

Wybrałam numer Krzysztofa. Odebrał błyskawicznie.

- Co się stało?! - Niemal krzyczałam do słuchawki.

- Mama jest w szpitalu. Źle się poczuła i nie mogła się do ciebie dodzwonić. Odwieźliśmy ją w nocy na oddział.

- Serce?

- Prawdopodobnie tak. Leży pod kroplówką z potasem i chyba magnezem.

- Renata jest u niej?

- Siedzieliśmy dwie godziny, ale lekarze wysłali nas do domu. Powinno się unormować.

- Daj mi Renię.

- Ona śpi. - Mogłam się zorientować po jego przyciszonym głosie. - Ja ci wszystko mogę powiedzieć. Mama jest w Szpitalu Morskim, lekarz nazywa się Kownacki.

- Dzięki, Krzysztof. Pojadę do mamy, jak tylko uda mi się wyrwać z roboty.

- Marta, jeśli wolno spytać, o co wam wczoraj poszło? Renia przyjechała jakaś dziwna. Trochę się na ciebie złościła, a potem jeszcze długo rozmawiała z mamą przez telefon.

Wszystko zaczynało się rozjaśniać. Dwa pierwsze telefony od mamy, kolejne od Renaty, ostatnie od Krzysia.

Poskarżyła się mamie, poskarżyła się Krzysiovi, mama się źle poczuła, ja nie odbierałam. Zła córka. Bardzo zła.

- Krzysztof, wybacz, ale na razie nie mam ochoty gadać. Może będzie kiedyś okazja. Do mamy, oczywiście, wpadnę i się nią zajmę. I dzięki za wszystko. Mam nadzieję, że skończy się jak zawsze.

- Gdybym mógł ci w czymś pomóc...

- Jesteś nieoceniony, jeszcze raz dziękuję. Przepraszam, ale muszę się zbierać. Pa.

Miałam nadzieję, że będzie jak zawsze. Napadowe migotanie przedsionków ustępujące w ciągu doby. Objawy: kołatanie serca, duszność, zawroty głowy. Czynniki predysponujące: niewydolność serca u osób starszych i wady zastawkowe u młodych. Brak mikroelementów. Może się zdarzyć z powodu silnego wzburzenia i stanów lękowych. Mama była zdenerwowana? Co jej Renata nagadała?

Dalej potoczyło się jak zwykle. Błagałam szefa o możliwość wcześniejszego wyjścia z pracy. Nie był zachwycony.

- Marta, po raz ostatni! Ja wszystko rozumiem, ale wybacz, jak nie dzieci, to matka. Wiem, wiem, jesteś po rozwodzie, a na siostrę nie bardzo możesz liczyć. Kasę bierzesz jednak z gazety i przed południem to ja powinienem móc liczyć na ciebie. Zrób coś z tym, jesteś już dużą dziewczynką.

Nigdy jeszcze tak się nie uniósł. Brakuje mi jeszcze do szczęścia, żebym straciła pracę.

- Wkurzył się? - Alina od razu zorientowała się w temacie, gdy po powrocie od szefa opadłam ciężko na krzesło.

Zniechęcona machnęłam ręką.

- Nie pytaj. Ala, lecę do mamy, dryndnę po południu. Powiesz mi, czy stary jeszcze się pultał.

- Leć, leć, powodzenia.

Drogę do szpitala mogłam pokonać na piechotę, wzięłam jednak samochód, narażając się na długotrwałe poszukiwanie miejsca parkingowego, w razie gdybym musiała zabrać mamę do domu. Niepokój mnie nie opuszczał, do chwili kiedy zobaczyłam ją na taborecie w izbie przyjęć, gotową do wyjścia, i usłyszałam wyrzuty na pierwszy rzut oka zupełnie zdrowego człowieka.

- Dlaczego nie odbierasz telefonu? Wypisali mnie już godzinę temu. Dzwoniłam nawet do redakcji!

- Przepraszam, mamó, rzeczywiście nie odebrałam. - Spojrzałam na wyświetlacz. - Telefon jest rozładowany. Musiałam załatwić z szefem wyjście, jestem najszybciej, jak tylko mogłam. A w ogóle, jak się czujesz?

- Teraz lepiej. Dali mi kroplówkę, żeby uzupełnić poziom potasu i magnezu. Mam się nie denerwować i wypoczywać. Myślę, że pojedę z tobą do Mieszkowic, ale najpierw zawieź mnie do domu. Muszę zabrać kilka rzeczy.

- Mamó, zaraz mi wszystko opowiesz - przerwałam jej wydawanie poleceń. - Lekarz wyszedł, chcę z nim zamienić kilka słów.

- Panie doktorze! - Pobiełam za młodym lekarzem, który właśnie opuścił gabinet w izbie przyjęć. - Chciałam zapytać o stan mamy, Stefanii Goszczyńskiej. Została przywieziona wczoraj na oddział kardiologii, miała kroplówkę. Czy na pewno mogę ją zabrać do domu?

- Proszę pani, tak się składa, że to ja przyjmowałem panią Goszczyńską. Zaleciłem potas i magnez profilaktycznie, choć uważam, że nie były konieczne. Mama twierdziła, że odczuwa arytmie, duszności i zawroty głowy. Badania tego nie wykazały, więc zdecydowałem się na kroplówkę w izbie przyjęć. Nie było potrzeby kierować pacjentki na oddział.

- To co ja mam robić? Panie doktorze, to zdarzyło się nie po raz pierwszy.

- Sugeruję poszukać przyczyn w sferze psychicznej. Może lęk o własne zdrowie? Nerwy powodują przypisywanie zwykłemu podenerwowaniu symptomów choroby serca. Pocenie się, uczucie napadowego gorąca mogą też być skutkiem innych schorzeń. Niech mama się dokładnie przebada u swojego lekarza prowadzącego. Ja na razie wykluczam kłopoty z sercem. Przepraszam, śpieszę się do pacjenta. - Doktor zakończył rozmowę.

- Dziękuję - szepnęłam pod nosem, patrząc na oddalające się plecy.

- Co ci powiedział? - Mama poderwała się z krzesła w oczekiwaniu na szczegóły.

- Chodźmy do samochodu, wszystko ci powiem. Zawiozę cię do domu, potem do Mieszkowic. Może uda mi się jeszcze wrócić do redakcji.

- Dzisiaj?! - Zdziwiła się tak, jak gdybym obwieściła nagłą inwazję Marsjan.

- Mamo, daj torbę, poniosę. - Omal samej mnie nie poniosło. - Samochód stoi za rogiem.

SZYMON

„Witam, Panie Szymonie.

Prawdę powiedziawszy, nie wiem, od czego zacząć, by nie zabrzmiało banalnie, a jednocześnie zbyt poufale. Nie jestem przyzwyczajona do korespondencji z kimś, kogo nie znam osobiście, ba, nigdy tego nie robiłam. Okrągłe zdania cisną mi się na usta, a właściwie na klawiaturę, ale czort z nimi. Powiem wprost: dziękuję na list, dziękuję za tę chwilę, kiedy mogłam się poczuć dla kogoś kimś ważnym, kimś, do kogo warto się odezwać. Przepraszam, że już na początku wpadam w refleksyjny nastrój, powinnam chyba być na siebie zła. Przepraszam, że nie zaczęłam od Grecji, Krety, która wydaje mi się odległa niczym dziecięce wakacje z rodzicami na wczasach pracowniczych.

Spędziłam dwa tygodnie nad zatoką Mirabello, w miejscowości Kało Chorio, niedaleko Agios Nikolaos, z siostrą, która wybawiła mnie od konieczności samotnego wyjazdu, po tym, jak moje dzieci wybrały inny sposób na wakacje i zrezygnowały w ostatnim momencie. Nie było źle, ba, nawet całkiem dobrze, chociaż do tej pory nie mogę zrozumieć, dlaczego moja córka i mój syn tak

postąpiły. Wygląda na to, że nie umiałam ich związać ze sobą na tyle, by w trudnej dla mnie sytuacji uznały za stosowne zrezygnować ze swoich planów na rzecz wyjazdu z matką. I według mnie to nie jest kwestia wieku i ich potrzeb, ale nieumiejętności otwarcia się na czyjąś sytuację, braku empatii. A za ten brak u Rozalii i Kajetana odpowiedzialna jestem ja i tylko ja. Jest takie przysłowie: jak sobie pościelisz... I jak widać, się sprawdza.

Pracuje Pan dla firmy, która bada dno morskie. Ja pracuję w nieco innej branży, aczkolwiek również związanej ze środowiskiem naturalnym. Jestem z wykształcenia ogrodnikiem, architektem przestrzeni, ale zajmuję skromne stanowisko dziennikarki udzielającej ludziom porad, jak uprawiać ogród i sadzić różne gatunki obok siebie, żeby się wzajemnie nie niszczyły. Dziergam tak swoje życie już kilkanaście lat, łącząc rolę matki i "kobiety pracującej". Zresztą, jak większość kobiet. Nie ma się nad czym rozwodzić.

Bardzo mnie interesuje, jak się bada dno morskie i po co? Chyba nie po to, by zakładać podwodne ogrody, co mogłoby być zresztą nie lada wyzwaniem! Proszę mi wybaczyć nagły błysk w oku. Zawsze marzyłam o projektowaniu zieleni. Może jeszcze kiedyś się uda?

Jeszcze raz przepraszam za mój brak entuzjazmu, graniczący chwilami z dekadencją. To tylko drobne problemy matki kilkunastoletnich dzieci i nieco znudzonej pracą wyrobniczy.

Czekam na relację z morskiego dna. Czy ogrzał się już Pan po norweskich nocach i dniach? Sierpień wprowadzie

nie szaleje z pogodą, ale cieszymy się, że to nie listopad. Życzeń słońca i optymizmu Marta".

Szymon@op.pl, kliknęłam wyślij, poszło.

Mama mieszkała u siebie, to jest w Mieszkowicach. Posługując się językiem lekarzy, „ustabilizowana”, zwawa, chętna do rozmowy. Przesiadywałam w pracy do późnych godzin popołudniowych, by po powrocie wyposzczona moją nieobecnością mama nie zwracała mi głowy rozmową „o co wam poszło z Renatą?”. Przyjęłam nową strategię: „mamuś, pogadamy później, jestem zmęczona i chyba się położę”. Wprawdzie od tej chwili do szczęśliwego zajęcia miejsca we własnym łóżku mijały ze dwie godziny na celebrowaniu kolacji i wysłuchiwanie relacji „co się zdarzyło w ciągu dnia”, jednak udawało mi się nie schodzić na niebezpieczne tematy. Postraszyłam mamę swoją niepewną sytuacją w pracy, rozprawiałam o przyjeździe wnuków, niepokoiłam się o stan jej kwiatów w mieszkaniu w Gdyni, do którego nie mogłam zajrzeć z powodu (patrz punkt pierwszy) niepewnej sytuacji w pracy i konieczności pozostawania w niej do późnych godzin. Mama wydawała się rozumieć, odnosiłam niewielkie sukcesy. Wspólnie obmyślałyśmy, co ugotuję na przyjazd dzieciaków, który miał nastąpić jutro.

- Mamo, jadę o dziesiątej, Rozę odbieram o wpół do dwunastej, Kajetana dwie godziny później. Będziemy około czwartej.

- Wspaniale! - Mama wydawała się szczęśliwa. - To ja pojedę pojutrze. Muszę podlać kwiaty.

Nawet mi nie wypominała, że nie mam czasu ich dopieścić.

Biegałam zadowolona sukcesem. Mama się cieszy, zero wymówek, nie rozmawiamy o Renacie. Niestety, zadzwonił telefon. Telefon mamy.

- Reniusz? - Natychmiast poczułam, że coś się święci.

- Jasne, niech Krzyś przywiezie Michasię. Rozalka i Kajetan przyjeżdżają, Marta robi obiad, zajmiemy się nimi. O jedenastej? Doskonale. Niczym się nie przejmujcie, wypoczywajcie. Ja też cię całuję.

- Martusiu! - Mama już biegła w moim kierunku.

- Michalinka jutro przyjeżdża! No to będzie prawie cała rodzina. Szkoda, że Renatka z Krzysiem muszą wyjechać. Krzyś ma jakieś tam szkolenie w dobrym ośrodku i ją zabiera. Niech sobie wypoczną - uznała ze zrozumieniem.

- Wiesz co, jak będziesz w Gdyni, kup małej ode mnie gumy mamba o smaku coli. Będziesz w jakimś sklepie? Co tak patrzysz? Nie będziesz w sklepie? Marta!

Nie odpowiedziałam jej po raz pierwszy w życiu.

- Dobranoc i nie budź mnie. Nastawię budzik.

DZIECIAKI

- Opowiadajcie ze szczegółami. Jak było? - spytałam, gdy wreszcie zasiadłam z dziećmiakami w greckiej knajpce niedaleko morza.

Gnało ich do domu, ale wytłumaczyłam, że przed obiadem, który naturalnie nie może się ich doczekać, jest dobry czas na małą przekąskę, na przykład w wydaniu greckim. Nie śpieszyło mi się do małoletniej siostrzenicy i matki wyglądającej już pewnie mojego auta i jego właścicielki - żywicielki. A co tam, mogę chyba spędzić kilka chwil z własnymi dziećmi?

Zapadła cisza. Rozalka spojrzała na brata, a Kajetan na siostrę. Próbując z galanterią oddać głos temu drugiemu.

- Londyn mi się nie bardzo... Wymarzłem jak diabli... - zaczęli w końcu oboje jednocześnie.

- Okej, pogodzę was - spróbowałam. - Rozalia wyjechała wcześniej, niech mówi pierwsza. Pogodzeni?

Na szczęście przyjęli propozycję. Zaczęliśmy się głośno śmiać. Na opowieści jednak musieliśmy trochę poczekać, zaatakowani przez kelnera w białym fartuszk, z małym kajecikiem do zapisywania zamówień.

- Czy już się państwo zdecydowali?

- Jeszcze nie do końca. Na początek może po kieliszku wina?

Dzieciaki macie ochotę?

Po minach zorientowałam się, że nie odmówią.

- Proszę zaproponować nam coś z greckich półwytrawnych białych - zarządziłam.

- Mamy Chalkidiki, delikatny aromat, krystalicznie czyste, albo Alexander o smaku owoców tropikalnych.

- Dziękuję panu. Zaraz złożymy zamówienie. Wybraliśmy przekąski zachęcające greckimi nazwami.

Nieważne, co to jest, ale jak się nazywa! Horiatiki, czyli sałatka grecka z fetą, i tiropita - ciasto z serem.

- Mięsko będzie w domu - zakończyłam dyskusję nad menu. - Co prawda nie jagnięcina, ale przysmaki z rodzimej zwierzyny. Zrobiłam zrazy wołowe.

- Proszę pana, wybraliśmy. - Kelner pojawił się przy naszym stole. - Chalkidiki i horiatiki oraz to ciasto z serem.

- Służę. Dobry wybór - pochwalił.

- Z pewnością. Potrawy fajnie się nazywają, będzie się wesoło jadło. - Zrobiłam oko do dzieciaków.

Kelner przyniósł całą butelkę i rozlał wino równo do trzech kieliszków, czemu się nie zdziwiłam, bo moje dzieci były słusznego wzrostu i wyglądały na całkiem dorosłe osoby. Kitka Kajetana dodawała mu męskości. Na twarzy dostrzegłam dosyć zaawansowany zarost, zdecydowanie wymagający maszynki do golenia. Rozalka też jakoś wydorosłała. Jej ciemnoblonde włosy urosły, przekraczając linię ramion, oczy miała podkreślone

delikatną kreską i mimo widocznego zmęczenia wyglądała pięknie. Mam już dorosłe dzieci... Po raz pierwszy siedzieliśmy razem przy kieliszku wina. Czekałam na ich relacje.

- Za wasz szczęśliwy powrót, dzieciaki. - Wzniosłam toast. Cieszę się, że jesteście.

Roza zaczęła, że Londyn się jej nie podobał, bo drogo, nudno, wszystko ułożone, zorganizowane. Kursanci mieli mało swobody, mało czasu, ale ogólnie fajnie. Nie wiem, jak po tylu słowach krytyki można wysnuć pozytywną opinię, widać się jednak da. Rozalka podciągnęła się w angielskim, ale i tak nikogo nie mogła zrozumieć na ulicy, bo tam wszyscy mówią slangiem albo wcale nie mówią po angielsku. Niewiele pojęłam, ale przyjdzie jeszcze czas na roztrząsanie tej kwestii.

Kajtek użył jak pies w studni. Głównie wymiotował, źle się czuł, bujało jak licho, było zimno, a gdy wreszcie zaczęło się stabilizować, przyszedł czas na powrót. Ale ogólnie było fajnie.

Przy drugim kieliszku moje dzieci przypomniały sobie, że należy zapytać o Grecję. Rozpoczęłam relację.

- Słońce grzało do nieprzytomności, Renata wodziła mnie na zakupy, w hotelu pełno było Polaków, bawiliśmy się przy karaoke, zamiast słuchać greckiej muzyki, ale ogólnie było fajnie.

Chyba nie zrozumieli żartu.

- Kreta jest piękna - zaczęłam z innej beczki. - Naprawdę warto tam pojechać. Piaszczyste plaże, ciepła woda, mili ludzie i świetne klimatyzowane autobusy,

które przyjeżdżają na czas. Kryzysu nie zauważyłam. Mało zwiedzałam. Mam ochotę kiedyś to zrobić, ale nie w lipcu. Tylko was mi brakowało...

- Mamuś... - odezwali się wyjątkowo zgodnie.

- Okej, okej. Nie ma o czym mówić. Powiedzcie coś jeszcze o waszych wyjazdach.

- Poznałam i zaprosiłam do Mieszkowic kilka osób.

- Tym razem Roza okazała się szybsza.

- Byłam na polskim statku, który badał dno morskie w pobliżu Norwegii.

Wiadomość od Kajtka mocno mnie zainteresowała.

- Po co tam byliście?

- Edukacja, mamuś, edukacja - cedził słowa. - Fajni ludzie, robią niezłe rzeczy. Badają dno morskie, żeby sprawdzić, czy da się tam postawić wiatraki. A przy okazji poczęstowali nas obiadem. Mają niezłego kucharza. Miła odmiana po puszkach z mielonką.

- To dobrze, dzieciaki, że wam się udało. A najważniejsze, że już jesteście. Kontaktowaliście się z ojcem?

- To pytanie zachowałam na koniec, tuż przed zapłaceniem rachunku.

- Taaak. Nie ma go w Polsce. - Rozalia spuściła wzrok, czując, że wchodzimy na grząski grunt.

- Podziękujcie mu za wasze wyjazdy - zdobyłam się na wspaniałomyślność. - A teraz dopijcie wino i jedziemy do Mieszkowic. Babcia czeka. I obiad! - dodałam już całkiem wesoło. - Te wszystkie greckie „iki” zostawiamy w restauracji, teraz czas na dobre polskie mięsiwo. Wasze łóżeczka czekają, Łajdus z Rudzielcem też! Jedziemy!

Babcia dostała angielską herbatę i norweskie muszelki (pan Kajetan opędził się zbieractwem), ja zostałam obdarowana podkładkami pod kieliszki z widokami Londynu i większą od babcinej muszelką, co poczytałam za wyróżnienie. Moja kasza gryczana ze zrazami i smażoną kapustą zrobiła furorę, a galaretka z owocami i bitą śmietaną na deser dopełniła szczęścia stołowników, spragnionych normalnego polskiego posiłku.

- Mamuś, nie wyobrażasz sobie, jakie ci Angole mają parszywe jedzenie! - Roza wzdrygnęła się na samą myśl. - Dżem z drożdży i pulpety mięsne na słodko. Fuj!

- Szkoda, że nie wcinałaś przez dwa tygodnie puszek z mielonką i paprykarzem szczecińskim, siostra. - Kajetan z równą atencją wspominał specjały rejsowego stołu. - Ale ci z tego statku, co badają dno morza, to sobie jedzą! Pokazali nam magazynek z żywnością, to chciałem się w nim ukryć i nigdy stamtąd nie wychodzić. Kucharz, mamuś (dawno tak do mnie nie mówił!), nie ujmując nikomu, prawie tak dobry jak ty. Jeden obiad w porządku zjadłem na rejsie, dacie wiarę? Jeden. Resztę musieliśmy gotować sami.

- Oho, widzę, że miałyście ciężko, dzieciaki. Nikt dobrze nie nakarmił, nie dopieścił, bieda - odważyłam się na podsumowanie. - Może trochę odpoczniecie?

- Bardzo chętnie. Możemy cię zostawić ze sprzątaniami? - Roza zaskoczyła mnie pytaniem, którego nie zadała jeszcze nigdy. Do tej pory nie interesowała się, co się dzieje z naczyniami po obiedzie.

- Ja sprzątam jutro po śniadaniu - zaofiarował się Kajtek, którego oczy wskazywały na duży pociąg do łóżka.

- A ja po obiedzie - usłyszałam deklarację Rozalii.

- Idźcie do siebie, dzieciaki, jesteście zmęczone. Dam radę i trzymam za słowo, że jutro...

- Możesz na mnie liczyć. Cześć, mamuś. - Kajtek pocałował mnie w policzek.

- I na mnie. - Roza w drugi. Zniknęli na schodach.

Czy ja śnię, obudziłam się w innym świecie, a może mam kłopoty ze słuchem? Moje dzieci mi pomogą, niebywałe! Może pan Szymon miał rację, mówiąc, że trzeba wyjechać daleko, by z odległej perspektywy dostrzec swoje życie i coś w nim zmienić? Może coś docenili. Może docenili mnie? - pojawiła się nieśmiała nadzieja.

- Martusiu? - Moje aksamitne myśli przerwała mama. - Popatrzysz na Michasię? Chciałabym się położyć na chwilę.

- Przepraszam, mamu, ale mam robotę. Muszę napisać zaległy tekst. Dzisiaj ci nie pomogę, szef mi sporo zlecił, wiesz, o co chodzi. Roza i Kajtek się położyli, ja też pójdę spać wcześniej, jak tylko skończę. A jutro wybieram się do Gdyni. Dobranoc, mamu.

Uff, udało mi się odmówić. Robię postępy.

Z lubością rozłożyłam się na kanapie, starannie zamykając drzwi na klucz od wewnątrz. Włączyłam Jasona i wzięłam do ręki książkę. Bujałam nad tęczę, czując spokój i nadzieję. Po raz pierwszy od roku.

MARTA

"Kapituła konkursu «Moda na ogrody» ogłasza konkurs na projekt ogrodu marzeń. Zapraszamy do przesłania swojego projektu do 3 grudnia 2012 r.". Dalej podano kontakt. Warszawa, ulica, numer, telefon, faks, e-mail. Rozstrzygnięcie konkursu: 31 grudnia 2012 roku. Nagroda 20 tysięcy złotych. „Zainteresowanych prosimy o wejście w zakładkę «Regulamin konkursu»". Dołączono zdjęcie ogrodu w stylu orientalnym.

Przypomniałam sobie list do pana Szymona, w którym przedstawiłam wizję podwodnych ogrodów. Niestety, nie jesteśmy w Egipcie ani w okolicach Nowej Zelandii czy Australii. O rafach koralowych można zapomnieć. Trzeba powrócić na ziemię, a dokładnie na glebę. Przystudiowałam regulamin. Na pierwszy rzut oka wydawał się sensowny. Podano wielkość ogrodu, jego usytuowanie względem stron świata, warunki glebowe, posadowienie domu i wymagania odnośnie do infrastruktury. Miało być oczko wodne, szopa na drewno, letnia altana, huśtawka, domek na drzewie (dla dzieci) i kilka innych elementów małej architektury. Konkurs zorganizowała firma

projektowa, która poszukiwała „nowych talentów”. Zwycięzca mógł liczyć na dalsze kontrakty, jak przeczytałam na firmowej stronie „Mody na ogrody”. Brzmiało nieźle. Nie napisali nic o preferencjach sponsora-inwestora, nic o jego guście. Gość z kasą, pewnie wyrafinowany, bywały w świecie, z dużą dozą prawdopodobieństwa biznesmen, niejedno widział. Może amator francuskich przystrzyżonych żywopłotów rodem z Wersalu albo surowych założeń orientalnych, co sugerowałoby zdjęcie na stronie. Nie wiedziałam również, jak będzie wyglądać dom. Sądząc po lokalizacji, z dala od Warszawy, w pagórkowatej okolicy urozmaiconej sąsiedztwem niewielkich lasków, nie może być to kopia wilanowskiego pałacu ani budowla w stylu *art deco*, nigdy jednak nie można mieć pewności. Podano jedynie jego wymiary, położenie na działce i podstawowe funkcje. Dom zaplanowano dla czteroosobowej rodziny, małżeństwa z dwójką dzieci, chętnie przyjmującego gości. Rodzina zamierza dużo czasu spędzać w ogrodzie, zwłaszcza pani domu z dziećmi. Pani domu jest plastykiem. O nieba! Wyzwanie chyba nie dla mnie... Klient na pewno wymagający, żona plastyczka z własnym zdaniem na tematy estetyczne, a dla utrudnienia brak preferencji odnośnie do stylu ogrodu. Zanęcili, rzucili na głęboką wodę. Robota dla samobójców albo osób, które mają bardzo dużo czasu do zainwestowania i decydują się narazić na ryzyko prawie pewnej porażki. Przypuszczałam, że setki biur projektowych za kasę i perspektywy zdecyduje się ponieść ryzyko. Konkurencja będzie spora, a moje szanse

nikłe. Z drugiej strony, przekonywałam się w myślach, przecież przystępując do konkursu, niczego nie stracę, co najwyżej trochę czasu. A lepiej robić projekt, niż zajmować się córką Renaty. Ten argument przekonał mnie ostatecznie, że warto zająć się pracą zawodową i dać otoczeniu odczuć powagę podjętych wyzwań. Wykręciłam numer Aliny.

- Abonent czasowo niedostępny - poinformował mnie głos po drugiej stronie.

Pewnie jest z Czarkiem na terapii, zirytowałam się i natychmiast skarciłam w myślach. Ciesz się, że nie musisz biegać z dziećmi na terapię.

Otworzyłam pocztę elektroniczną, skłonna napisać do pana Szymona.

Nie mogę, przecież ostatnio ja do niego pisałam... Nie będę się narzucać, muszę poczekać na odpowiedź.

Folder „skrzynka odbiorcza” już się jednak zdążył otworzyć. Miałam dziesięć wiadomości. Jedną z nich od szymon(ó)op.pl. Wspaniale, rewelacja, jest! Pobiegłam zrobić sobie kawę, odkładając chwilę przyjemności zagłębienia się w tekst i niepewności, czy nic się nie zmieniło. Może pan Szymon pisze, że to jego ostatni list? Albo ujawni prawdziwe oblicze i zaprosi na seks randkę? Sama myśl o tego rodzaju przypuszczeniach wzbudziła we mnie wewnętrzny chichot. Mnie na seksrandkę! Na pewno. Bo w Trójmieście nie ma fajnych babek, na które można zagiąć parol! Tylko ja, dziennikarka od ogrodniczych porad, mama zbuntowanych osiemnastolatków, z matką i siostrą na głowie, kobieta, która nie pamięta już, kiedy

była u kosmetyczki (chyba przed ślubem?!), w dodatku z problemami. Nonsens. Pozostaje jedyne wytłumaczenie: pan Szymon pisze po raz ostatni. Przełykając pierwszy łyk kawy, z niepokojem otwierałam list. „Witam, Pani Marto.

Podziękowania za mój list były zupełnie niepotrzebne, cała przyjemność pozostaje po mojej i tylko mojej stronie. Proszę sobie wyobrazić, co ze mnie za egoista! Dbam jedynie o własne przyjemności. Oczywiście, tym razem żartuję, a jeżeli Pani przydało się do czegoś te moje kilka słów, to wspaniale. Czuję, że musiał Panią ktoś głęboko zranić, skoro nie jest Pani w stanie uwierzyć w dobre intencje innych ludzi. Nie pytam o szczegóły, ale jeżeli będzie Pani uważała za stosowne podzielić się nimi ze mną, chętnie wysłucham.

Pozwoli Pani, że odniosę się do postawy dzieci, które wybrały inny sposób na wakacje, mimo trudnej ich Mamy. Podzielałam Pani rozgoryczenie i proszę mi wierzyć, że nie pragnę wcielić się w rolę domorosłego psychologa, ale jeśli można... Wydaje mi się, że powinna Pani z nimi na ten temat kiedyś porozmawiać, dowiedzieć się, jakie były ich motywy. Może nie chodziło im o to, aby zrobić Pani przykrość? Myślę, że wyjaśnienie tej sprawy oczyściłoby wasze relacje i zapobiegłoby podobnym sytuacjom w przyszłości. Proszę się nie gniewać za tę radę. Może nie jest zbyt mądra, ale to jedyne, co przychodzi mi teraz do głowy.

Wiem, że jest Pani, Pani Marto, dziennikarką w gazecie ogrodniczej. Kupuję tę gazetę od jakiegoś czasu

i muszę wyznać szczerze, że widuję w niej Pani zdjęcie. Proszę mi wybaczyć, jestem o krok przed Panią. Wiem, jak Pani wygląda, Pani nigdy nie widziała mnie. I niech tak pozostanie. Przynajmniej na razie.

Pyta Pani o moją pracę. Firma bada dno morskie Bałtyku. Czasami wypływamy na Morze Północne i penetrujemy wybrzeża Norwegii w celu ustalenia, czy uda się tam zamontować elektrownie wiatrowe, czyli postawić wiatraki. Ot i cała tajemnica. Mamy specjalistyczny sprzęt, oprogramowanie, liczymy, mierzymy, wyniki wysyłamy do klienta. Pośredniczymy też w sprzedaży sprzętu do tego typu badań, sprowadzamy z całego świata sonary, nadajniki, echosondy, aparaturę geofizyczną i inne urządzenia. Jeżeli kiedyś na Bałtyku pojawią się wiatraki, to częściowo będzie to nasza zasługa. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, czas pokaże. W każdym razie przyjemnie jest po pobycie na morzu dobić do Gdyni i ogrzać się w swoim mieszkanku po norweskich zimnych nocach, mimo niezbyt zachęcającego w tym roku sierpnia. Zazdroszczę Pani Krety, jej ciepła i bajkowych widoków. A na koniec, żeby nie zanudzać: mam wrażenie, że i tak nadużyłem Pani cierpliwości. Pragnę Panią w czymś wesprzeć. Wspomniała Pani o projektowaniu ogrodów. Proszę to robić! Czytając Pani porady, widzę zaangażowanie i potencjał. Na pewno się uda! Proszę mnie nie pytać, dlaczego tak myślę, nie wiem. Po prostu wierzę. Może nadszedł czas, by z „wyrobniczy” zmienić się w projektantkę? Zrobi Pani, jak zechce, proszę jednak pamiętać, że ma we mnie wsparcie.

Pozdrawiam serdecznie, Pani Marto, licząc, że za Pani przyzwoleniem będziemy zwracać się do siebie po imieniu Szymon".

Bardzo miły list, odetchnęłam z ulgą. Z przyjemnością spowodowaną nieoczekiwanym relaksem założyłam ręce na szyję i położyłam stopy na biurku. Obserwowanie pajaków w narożniku sufitu w niczym mi nie przeszkadzało. Szymon... On chce przejść na ty? Czemu nie? Po raz pierwszy od roku unosiłam się ponad tęczę, po raz pierwszy od roku poczułam, że mogę głęboko odetchnąć. I to dlaczego, z jakiego powodu? Bo ktoś do mnie napisał mejla? Nawet gdyby tak miało być... I tak warto. A w perspektywie konkurs na projekt ogrodu. Nie umiałam odmówić sobie wina. Karminowy płyn wypełnił duży kieliszek w kształcie tulipana. Spróbowałam; tanina osiadła na podniebieniu. Dobrze. Czuć cierpką goryczkę, kęsającego robaczka, który po opanowaniu podniebienia zmierza do środka głowy, żeby spowodować w niej delikatny zamęt. Może jeszcze jeden kieliszek? Za chwilę, najpierw list. Szymon@op.pl odpowiedz, klik. Jak zacząć? A niech tam... Też mi się wydaje, że łatwiej będzie po imieniu.

„Witaj.

Ciężko było się przemóc, by mówić Ci po imieniu, ale chyba właśnie się przemogłam... Mówisz, żeby za wszystko nie przeproszać, a wygląda na to, że będę musiała zacząć dziękować, chociaż spodziewam się za to życzliwych ciągów w kolejnym liście. Zatem niech słowo ciałem się stanie: dziękuję, że mnie mobilizujesz

do wzięcia udziału w konkursie na projekt ogrodu. Aż sama się dziwię, że do tej pory nie podejmowałam takich prób. Widać byłam wychowana na kogoś, kto tego nie robi, a może nie umiałam spróbować. Pewnie znajdowałam wymówki w postaci zajmowania się dziećmi, domem, ogrodem, licznymi sprawami, które w moim mniemaniu uniemożliwiały mi snucie planów zawodowych. Teraz to widzę jasno i przejrzyście. Mam nadzieję, że nie jest za późno. Gdy wychodzę rano do ogrodu pachnącego zbliżającą się jesienią, patrzę na napęczniałe czerwonymi owocami krzewy irgi i przyginające się do ziemi kwiaty dali, kładące ze swoich bulw ofiarę babiemu latu, zastanawiam się nad sprawą oczywistą: przemijania i odradzania. Przyroda uporządkowała to w sposób znakomity. Jesienią niektóre rośliny trzeba wykopać z ziemi, żeby wiosną zasadzić je znowu, inne należy osłonić przed mrozem, aby przetrwały, jeszcze inne dadzą sobie radę, by z chwilą gdy odpuszczą śniegi, zakwitnąć na naszych rabatach. Rośliny są jak ludzie, Szymonie. Każda wymaga innego traktowania, innej opieki, innej miłości. Na szczęście ludzie nie wymagają takiej opieki jak rośliny, chociaż jeszcze do niedawna tak mi się wydawało. Zagubiłam w życiu wolę walki, pozostała wola przetrwania. Do wiosny. I na tym się przejechałam, przegrałam, Szymon. A teraz muszę wrócić do gry. Muszę dla dzieci, dla przyszłości, a przede wszystkim - dla siebie. Wybacz, że nie jestem do końca szczerą, bo nie mówię, o co chodzi, ale najogólniej - o moje życie. Mam czterdzieści sześć

lat i chyba jeszcze trochę przed sobą. Dlatego wezmę udział w konkursie, spróbuję.

Dziękuję Ci za wszystko, trzymaj się ciepło na zimnych bałtyckich wodach. Robisz świetne rzeczy i widzę, że chce Ci się chcieć, skoro do mnie piszesz. Powodzenia. Czekam na list od Ciebie

Marta".

MARTA

Zgłosiłam akces do konkursu na pięć dni przed terminem, który upływał 31 sierpnia. Czułam, że muszę to zrobić, nie czekając na ostatni moment, zbieżny z rozpoczęciem roku szkolnego. Bałam się, że zagubiona w prasowaniu białych bluzek i koszul, zajęta objazdami księgarń po podręczniki i sklepów papierniczych po zeszyty i inne potrzebne rzeczy, odłożę swoje plany na bliżej nieokreśloną przyszłość. Przecież to niejedyny konkurs. Jak nie ten, to następny, pojawiały się już próby usprawiedliwienia w mojej głowie. Przygotowałam uroczystą kolację, by podzielić się swoimi planami z dziećmi, upewniwszy się, że wieczorem będą w Mieszkowicach. Kajetan coraz częściej nocował u kolegi w Gdyni, Rozalce też się zdarzało zostawać u koleżanki. Wykorzystałam moment nieobecności mamy, która postanowiła pomieszkać w mieście. W tej chwili wołałam być z dziećmi sama, by uniknąć zdziwienia, dobrych rad i wątpliwości.

Na stole postawiłam szampana na moją kieszeń, czyli wino musujące, w piecyku dochodziła zapiekanka

z łososiem w sosie koperkowym i obowiązkowo, dla mięsożerów, do których zaliczał się Kajetan, łazanie.

- Co to za niespodzianka? - Kajtek symbolicznie przetaił oczy ze zdumienia, schodząc ze schodów do salonu. - Przegapiłem jakąś okazję? Twoje zaległe imieniny?

- Wołaj Rozalkę, to się dowiesz. - Mrugnęłam porozumiewawczo. - Wyjmuję zapiekanki!

- Dzieciaki... - zagaiłam, gdy zaspokoiliśmy pierwszy głód. Patrzyły zaniepokojone.

- Nie patrzcie tak. - Na widok ich min musiałam się roześmiać. - To nic takiego. Chcę wam tylko powiedzieć, że zamierzam wziąć udział w konkursie na projekt ogrodu i że jest to dla mnie bardzo ważne. A kolację urządziłam na zakończenie lata i całego tego roku, który dla nas wszystkich był trudny. Zdaję sobie z tego sprawę i mam nadzieję, że teraz będzie już tylko lepiej. Wiem, że głównie do mnie mieliście pretensje o rozwód, zwłaszcza ty, Kajetan, i uważaliście moją decyzję po nielojalności taty za, że tak powiem, pochopną. To nie tak. Wiele rzeczy nawarstwiało się przez lata, tworząc między nami potężny mur niezrozumienia, a zdrada ojca była tylko kroplą, która przelała kielich goryczy.

- Mami, ale co się między wami działo? - Rozalka wymagała szczegółów. - Przecież nawet często się nie kłóciliście.

Kajetan siedział z miną, która nie wróżyła nic dobrego. Rozparty na krześle, przyglądał mi się wnikliwie, jak sędzia podczas przesłuchania pozwanego.

- To są trudne sprawy i nie mogę wam ich wytłumaczyć w kilku zdaniach. Myślę, że najłatwiej będzie to

zdefiniować tak: za kogo innego wychodziłam, z kim innym po latach przyszło mi żyć. Rafał bardzo się zmienił. Niemniej jednak wina leży z pewnością po obu stronach, po mojej też. Moją winą jest to, że nie walczyłam o siebie, nie rozwijałam się, cieszyłam się, że jestem wam i tacie potrzebna w domu, i wierzyłam, że tata mnie za to ceni i... kocha. Ale kiedy zdradził, poczułam, że nie jestem mu już potrzebna, a to, co robię, nie ma żadnego znaczenia. Nie mogłam dalej żyć z człowiekiem, który widzi we mnie tylko przystań, sprzątaczkę, prasowaczkę, a nie kobietę. Tym mnie uraził na tyle mocno, że zdecydowałam się na rozwód.

Skończyłam. Siedzieli, pewnie zaskoczeni szczerym wyznaniem, nie mogąc z siebie wydobyć głosu. Niepotrzebnie to powiedziałam. Są jeszcze młodzi, mogą nie zrozumieć. Przy naszym stole pojawiły się tak dobrze mi znane wyrzuty sumienia, zajmując niewidzialne krzesła.

A widzisz, egoistko! - powiedział pierwszy wyrzut. Załatwiasz swoje sprawy kosztem dzieci.

Próbujesz się wybielić - stwierdził drugi.

Starasz się usprawiedliwić, a tak naprawdę to ty zdecydowałeś o rozwodzie - to trzeci.

Jesteś nieszczęśliwa na własne życzenie. Co ci szkodziło wybaczyć ten jeden skok w bok? W końcu gość był dobry dla rodziny - odezwał się czwarty.

Jednak jesteś egoistką. Rok szkolny się zaczyna, trzeba przypilnować dzieci, a tobie w głowie jakiś konkurs! - piąty.

Potrafisz się tylko ze wszystkimi skłócić, każdemu nagadać. Jesteś niedobra dla matki i siostry - szósty.

A tak w ogóle nie interesują cię własne dzieci. Nie masz pieniędzy na zapewnienie im fajnych wakacji, a krytykujesz swojego eks za jego hojność - siódmy.

Masz zdrowe dzieci, ciesz się. Wolałabyś zamienić się z Aliną? - ósmy.

Jesteś histeryczką, a wszystkie twoje kłopoty są wyimaginowane - dziewiąty.

Po co o tym mówisz dzieciom?! - dziesiąty.

Cisza trwała. Roza wydawała się poruszona, na twarzy Kajtka pojawiły się rumieńce.

- Mami, rozumiem cię... - Roza.

- Mamuś, chcę ci o czymś powiedzieć. - Kajtek.

- Mów, synek, o co chodzi - zwróciłam się do niego zaniepokojona, zostawiając „bezpieczną” Rozalię na później.

- Chcę w tym roku mieszkać z tatą w Gdyni. Nie będę musiał dojeżdżać do szkoły. Tata się zgodził. - Wydała się przyczyna rumieńców.

- A moje zdanie? - Czułam, że za chwilę nie będę mogła opanować łez.

- Powiedział, że jeśli ty się zgodzisz... Ale ja też chyba mam w tej sprawie coś do powiedzenia?

- Kajetan, zaskoczyłeś mnie. Powinnam pewnie dać sobie czas do namysłu, a tobie na poczekanie. Jednak niespodzianka. Zgadzam się, mieszkaj z ojcem. Ty też tak postanowiłaś? - zwróciłam się ostro do Rozalii.

- Ja nie... Będę mieszkać z tobą. - Roza najwyraźniej przestraszyła się mojego tonu.

- Przepraszam. Zostałam zaskoczona. Byłam nieprzygotowana na takie rewelacje - usprawiedliwiałam widoczne wzburzenie.

Może to i dobrze? - próbowałam stworzyć pozory normalności. W końcu nic się nie stało. To tylko syn chce się wyprowadzić do ojca. Ten cholerny Rafał! Najpierw sypnął kasą na wakacje, teraz ściąga Kajetana do siebie. Ciekawe, kiedy zabierze się za Rozalię! Pokażę mu jeszcze, na co mnie stać! Chyba że na nic mnie nie stać i czeka mnie kompletna porażka.

- Mamuś, nie gniewaj się, będę przyjeżdżał. - Kajtek uderzył w polubowny ton. - Mówiłaś coś o jakimś konkursie.. . - podchwycił doskonały pretekst i zmienił temat.

- Kajtuś, pogadamy przy innej okazji. To na razie tylko pomysł. Teraz musimy zająć się pakowaniem ciebie. - Projektowanie ogrodów chwilowo przestało mnie interesować.

Rozalka naląła mi kieliszek szampana.

- Mami, niczym się nie martw. Kajtek będzie pływał. Chciałoby ci się wozić go do szkoły i na treningi? Poradzimy sobie, ja zostaję. Z babcią też sobie poradzimy. Zrobisz ten projekt ogrodu, wygrasz konkurs i będziesz wielka.

- Obiecujesz? - zapytałam, już zalana łzami.

- Pewnie! Obiecuję.

Dzieciaki zaczęły zbierać naczynia. Podniosłam się od stołu i zaczęłam powoli zapełniać zmywarę, wyrzucając resztki jedzenia do psiej michy. Czy Rafał nie mógł do mnie zadzwonić w sprawie Kajetana? Uprzedzić,

zapytać? Pomijam fakt, że dzieci zostały wyrokiem sądu przy matce, zatem mogłam nie zgodzić się na przeprowadzkę Kajtka do ojca. Muszę porozmawiać z Rafałem. Nie będzie kopał pode mną dołków, co to za metody? Złapałam za komórkę, odnalazłam nieskasowany numer. Postanowiłam wysłać esemesa. „Rafał, musimy porozmawiać w sprawie przeprowadzki Kajtka” - literki wypełniały wyświetlacz. „Sprawa jest pilna. Marta”.

RAFAŁ

Gdy przyszedłam do Cichego Zakątka, Rafał siedział przy narożnym stoliku z widokiem na morze.

Za chwilę nazwa kafejki przestanie być adekwatna do tego, co się między nami wydarzy, pomyślałam, spoglądając na jak zwykle nienaganny strój i wypisany na twarzy profesjonalny spokój prawnika, który przygotowuje się do wygrania batalii w sposób zaplanowany i konsekwentny.

- Pięknie wyglądasz. Zamówić ci coś? - Wstał, by się przywitać. - Czego się napijesz?

- Woda z cytryną - rzuciłam szybko.

Mając przez tyle lat prawnika za męża, wiedziałam, że nie mogę uśpić czujności i zamówić kieliszka alkoholu. Mogłoby się jeszcze w „pewnych okolicznościach” okazać, że mam do niego skłonność. Przesadna czujność nakazywała mi w tej kwestii daleko idącą ostrożność.

- Co u ciebie słychać? - zagadnął Rafał po złożeniu zamówienia. Wziął, ku mojemu zdumieniu, szkocką. Czyżby to on stracił czujność, chciał mnie sprowokować? A może po prostu czuł się pewnie?

Myślałam, że największa złość na nasze zakończone małżeństwo, na moje frustracje i poczucie bezsilności odeszła w zapomnienie i spotykając się z Rafałem po raz pierwszy od rozvodu, będę umiała porozumieć się w sposób cywilizowany. Wiedziałam, co robię, odmawiając do tej pory spotkań. Jeszcze nie zdążyliśmy zacząć rozmawiać, a ja już poczułam się wytrącona z równowagi. Muszę przyznać, że wyglądał dobrze. Nienaganny garnitur. Odprasowana niebieska koszula w białe prążki pachniała świeżością. Zawsze lubił elegancję połączoną z lekką nonszalancją. Nieznacznie odchyłone poły marynarki, żeby w razie czego można było włożyć rękę do kieszeni. Najlepiej nowy, dopasowany do całości krawat, starannie uczesane, zawsze doskonale przycięte jasne włosy, które zaczęła przyprószać siwizna. Czas obszedł się z nim łaskawie, nie odbierając mu gęstej czupryny. Przypomniałam sobie etap, gdy biegał w bordowych spodniach i czarnym golfie i tak bardzo mi się podobał. Długie do ramion, jasne włosy nadawały mu urok boskiego cherubina, a ballady śpiewane przy dźwiękach gitary, którą zabierał ze sobą na biwaki, były tylko dla mnie. Poznaliśmy się na ostatnim roku studiów, pobraliśmy, gdy skończył aplikację adwokacką. Na uroczystość związaną z wpisaniem na listę adwokatów ściął włosy. Niemal go nie poznałam. „Nie podoba ci się?“, zauważył moje zdziwienie. „Teraz już nie wypada mi nosić długich włosów...“. „Jest świetnie!“. Przecież nie będziemy płakać nad rozlanym mlekiem przy tak ważnej uroczystości, tym bardziej że niebawem miała odbyć się kolejna. Nasz ślub. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, że postrzyżyny stanowiły

symboliczne zakończenie naszego młodzięczego życia, koczowania po wynajętych pokoikach, niczym nieskrępowanej młodzięczej miłości, radości życia we dwoje, planów o podboju świata. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałam, ciesząc się jego sukcesem, zamówioną sukienką ślubną, myśląc o wiaźance, orkiestrze, przyszłości, która przecież zależała wyłącznie od nas. Teraz mój były mąż siedział przede mną w Cichym Zakątku, doskonale odżywiony i odprasowany, i pytał mnie, co słychać.

- Rafał - ocknęłam się. - Nie spotykam się z tobą, żeby mówić o byle czym. - Nie miałam zamiaru spędzić z nim więcej czasu niż to konieczne. - Dlaczego Kajetan przeprowadza się do ciebie? Co kombinujesz? - przypomniałam sobie o celu naszego spotkania.

- Nie wiem, o czym mówisz, Martusiu... - Rafał, oczywiście, zgrywał głupa. - Kajetan mówił mi, że chciałby zamieszkać ze mną, bo męczą go dojazdy. Ale uzależniłem to od twojego zdania. I to wszystko. Niczego nie robię za twoimi plecami.

- Oczywiście! Dając dzieciakom pieniądze na wakacje, też nie robiłeś niczego za moimi plecami. Majstersztyk! Gratuluję! Teraz, kiedy młodzież odchowana, nie wymaga pieluch i sprawdzania zeszytów, kąpania, robienia śniadania do szkoły, tatuś zniecka wkracza do akcji ze swoją kasą. Rafał! To jest święństwo.

Zacietrzewiona, nie zauważyłam, kiedy się uniosłam. Ku mojemu zdziwieniu Rafał się nie zirytował. Profesjonalista w każdym calu. Ta konstatacja wprowadziła mnie w jeszcze bardziej bojowy nastrój.

- Zgadzą się, Rafał. Niech Kajetan wyprowadzi się do ciebie. Nie będę walczyć z wiatrakami. Zresztą mnie znasz. Nigdy nie umiałam walczyć.

Zapadła cisza. Mój były mąż siedział bez ruchu, przyglądając mi się przenikliwie, ale nie chciał mnie zabić. Gdyby można było zasztyletować wzrokiem, powaliłabym go nieżywego pod stół.

- Nie będę na siłę zatrzymywać Kajetana przy sobie.

- Złość mi nie przechodziła. - Jestem rozżalona i wściekła, ale jak sobie przypominasz, dzieci kończą za miesiąc osiemnaście lat i teoretycznie stają się dorosłe. Czekają ich wybory. Wygląda nawet na to, że Kajetan już wybrał. Niech tak będzie. Przepraszam, muszę iść do toalety

Nie spoglądając na Rafała, odeszłam w kierunku baru. Nie patrzył na mnie.

- Poproszę jedną wódkę. - Kelner postawił przede mną pięćdziesiątkę. Wychyliłam gładko. - Jeszcze jedną.

- Weszła bez problemu.

- Mogę w czymś pomóc? - odezwał się cicho. - Proszę się niczym nie martwić. Bardzo ładnie pani wygląda.

- Dziękuję.

Toaletę załatwiłam w dwie minuty.

Źle nie jest, skonstatowałam, patrząc w lustro. Wąska, granatowa sukienka całkiem zgrabnie spowijała biodra. Do całości dobrałam delikatne kolczyki. Zainwestowałam jedynie w panią Izę, moją fryzjerkę, która jak nikt inny potrafi porządnie przyciąć i podkreślić półdługie włosy, nadając im naturalny wygląd. Wystarczy. Schludnie i elegancko. Ale po co mi to wszystko? Od szybkich shotów

zakręciło mi się w głowie, więc wytarłam kropelki potu. Chusteczka, puder, pomadka... Byle nie zobaczył, ile mnie to kosztuje.

- Jestem. - Dotarłam do stolika. Nadal tam siedział.

- Marta, mam rozwiązanie.

Na pewno kolejne salomonowe wyjście. Wiadomo, żeby wygrać, trzeba negocjować. Najwyraźniej udanie się do toalety nie było dobrym posunięciem. Miał czas na obmyślenie strategii.

- Mów.

- Martusiu...

- Daruj sobie Martusiu! - Nie będzie mnie brał na czule słówka.

- Dobrze, zatem...

- Mów wprost, nie jesteśmy w sądzie! - Miałam dość podchodów. Nie byliśmy przecież na obozie harcerskim.

- Marta, ja naprawdę nie ściągam Kajtka do siebie na siłę. Nie chcę nic robić przeciwko tobie. Jeśli mogę zasugerować: niech ma dwa domy, niech mieszka, gdzie chce. Ja go przyjmę, ale ty go nie odrzucaj tylko dlatego, że jesteś zła na mnie. Przetrywamy ten bunt i... Dalej się zobaczy.

Skończył. Przez chwilę straciłam orientację, z kim rozmawiam, czy słyszę słowa mojego długowłosego Rafała, z którym snujemy plany wyjazdu na Mazury, czy też adwokata próbującego znaleźć rozwiązanie do przyjęcia przez obie strony?

- Brzmi przekonująco - zdobyłam się na odpowiedź. - Nie wiem, Rafał, czy ci wierzyć, czy nie, już raz się

na tobie zawiodłam. Przyjmę twoje rozwiązanie i jak mówisz - dalej się zobaczy Chcę ci jednak coś uświadomić. Nie jestem tą samą kobietą, z którą żyłeś, a przynajmniej staram się nie być taka. Dlatego nie wyobrażaj sobie, że łatwo ci ze mną pójdzie. Nie próbuj oszukać mnie po raz drugi. Nie w sprawie dzieci.

- Marta, posłuchaj... - Wyrwałam dłoń, za którą chciał mnie przytrzymać. - Jeszcze kiedyś będzie dobrze, wszystko się ułoży.

- Daj mi spokój! - Wstałam od stołu. - Ciągłe próbujesz tych swoich sztuczek.

- Marta! - krzyknął, gdy zbliżałam się do drzwi knajpki. - Weź taksówkę!

SZYMON

- Spakowałaś się?!

Gdy wpadłam do domu w bojowym nastroju, zdziwiony Kajetan podniósł oczy znad komputera. - Możesz się przeprowadzać, masz zgodę obojga rodziców. Doszliśmy z ojcem do porozumienia. Będiesz z nim mieszkał, Kajetan, w końcu jesteś prawie dorosły i twoje zdanie też się liczy - zakpiłam, przytaczając jego własne słowa. - Dogadajcie się, kiedy po ciebie przyjedzie. I po twoje rzeczy. Jedliście kolację? - Dzieciaki patrzyły na mój występ z niedowierzaniem. - Kupiłam łososa i szynkę. Pomidory są tam gdzie zwykle. Idę do siebie.

Zmęczona dzisiejszym popołudniem zaległam na tapczanie w poszukiwaniu straconego czasu. Uff... Buty wylądowały na podłodze razem ze spinką do włosów. Uniosłam prawą nogę. Całkiem niezła... Druga też niczego sobie. A może by tak spojrzeć w lustro?

Sięgnęłam do kosmetyczki w torebce; łatwo dała się wymacać. Trzeba się podmalować. Przejechałam po ustach szminką, rozcierając równomiernie wargami brązowy róż. Sprawdziłam efekt.

- Bądź dzielna. Jesteś dzielna. Zawsze będziesz dzielna - powtarzałam osobistą mantrę, przyglądając się w lusterku niepewnej twarzy. - Nie gap się jak krowa, pomyśl, rusz się z wyra, rób coś, nie zakładaj rąk, walcz. Walcz o Kajetana, o Rozalię, zanim wszystko stracisz.

- Mami, co się stało? - Rozbudził mnie głos Rozalii.

- Widziałam się z waszym ojcem. - Szybko wróciłam do przytomności.

- Wiem, mami. I coś się wydarzyło?

- Nie chcę się z nim więcej spotykać, córciu. Za dużo mnie to kosztuje.

- To się z nim nie spotykaj. A Kajetanem się nie martw. Ma jakąś laskę w Gdyni i chce być bliżej. Tylko nie mów, że wiesz to ode mnie. Ułóży się. Teraz myśl o swoim konkursie i o sobie. I powiem ci tylko, że tata nie jest już z tą aplikantką. Tak naprawdę nigdy z nią nie był. Jest sam.

- Wystawiła go? Dobrze mu tak.

- Mamuś, on nigdy z nią nie był. Ale rozumiem cię, że ten jeden raz to i tak o raz za dużo.

Patrzyłam na Rozę i robiło mi się przykro. Delikatnie próbowała mnie uspokoić, może pogodzić z Rafałem. Dziecko. Zawsze będzie naszym dzieckiem, które w jakimś sensie straciło oboje rodziców.

- Rozalia, za miesiąc będziesz miała osiemnaście lat. - Usiadłam na tapczanie, by to, co miałam zamiar powiedzieć, zabrzmiało poważniej. - Bardzo mi przykro z powodu rozstania. Wierz mi, naprawdę tego nie chciałam. Ale się stało. Z różnych powodów, a aplikantką była

iskrą, która roznieciła ogień. Dlatego nie interesuje mnie, czy ojciec z nią jest, czy też się rozeszli. Teraz jestem ja i jest ojciec, oddzielnie. Wybacz moje rozdrażnienie, ale trudno mi znieść chwile, kiedy musimy być w jakimś sensie razem, podejmować wspólne decyzje. Wiem, że jest to trudne również dla was. Rozunia... - Przytuliłam ją mocno. - Dziękuję ci, że ze mną zostajesz.

- Mami, tu jest mój dom... - Wyczułam w jej głosie nutkę wahania.

- Co jest?

- Mamuś, mnie też trochę męczą dojazdy do Gdyni. Może kiedyś się przeprowadzimy?

Wiedziałam, że niedobrze robię, wynosząc się na wieś. Wszystko skopałam kilka lat temu, uległam namowom rodziców, nabrałam się na założenie ogródka, sielskie życie, ekosielanę, kawkę na ganku, zdrowie dla dzieci, owczy pęd. A uświadomiła mi to osiemnastoletnia Rozalia.

Kobietko! - krzyczało moje ego. Niebawem zostaniesz tu sama! Być może z dojeżdżającą mamą i siostrzenicą podrzucaną na łono natury!

- Tak, Rożuś, tak. Może trzeba będzie o tym pomyśleć. Ale na razie damy jeszcze radę? - Spojrzałam wyczekująco.

- Może jesteś głodna? - Rozalia zaproponowała kolację. Pewnie mi się wydawało, ale chyba zauważyłam błysk w jej oku. Nic dziwnego, dałam jej nadzieję.

- Kromka chleba ze smalcem i piwo. A niech tam! Jak szaleć, to szaleć. Precz z ekologią.

- Zgodnie z zamówieniem. - Roza, już całkiem radosna, pobiegła do kuchni.

Pogryzając kromeczkę ze smalcem, leżałam na tapczanie zapatrzona w księżyc płynący od lewej do prawej strony okna. Zaraz stracę go z oczu, zniknie za futryną, pozostawiając pokój w ciemności. Zapaliłam nocną lampkę. Może warto włączyć komputer, zajrzeć do mejli? Jeśli nie list, to pojawi się chociaż parę reklam. Może Szymon? Skrzynka okazała się pusta, Szymon nie napisał. Zapewne nie miał czasu. Pływa u wybrzeży Norwegii, nie ma zasięgu, zawiedziona próbowałam znaleźć usprawiedliwienie. Skąd niby ma wiedzieć, że bardzo go dzisiaj potrzebuję? Rozmawiałam z Rafałem, z Kajetanem, mam problemy. Może obraził się, że nie byłam z nim szczerą? A co tam! W końcu gdzie jest powiedziane, że nie można napisać bez otrzymania odpowiedzi na poprzedni list? Nie zastanawiając się dłużej, zaczęłam.

„Dobry wieczór, Szymonie.

Nie dość, że nie przepraszam, nie dziękuję, to jeszcze piszę do Ciebie, mimo iż nie odpisałeś. Czy nie uważasz tego za narzucanie się? Wierzę, że nie, bo inaczej musiałabym się spalić ze wstydu, a z kupką popiołu trudno korespondować.

Doskonale wyczułeś, że ktoś mnie w życiu głęboko zranił. Miałam nadzieję, że będę umiała po jakimś czasie zapomnieć i zacząć żyć na nowo. Tak się jednak nie chce stać, demony przeszłości dopadają w każdej chwili. Rok temu rozwiodłam się z mężem, a teraz mój prawie

osiemnastoletni syn chce się ode mnie wyprowadzić do ojca. Traktuję to jak osobistą porażkę i mam żal do całego świata. Widocznie nie jestem dla niego prawdziwą opoką, Kajtek nie czuje się przy mnie pewnie. Nie jestem dla niego kimś na tyle ważnym, by warto było coś dla mnie poświęcić, na przykład uciążliwości codziennych dojazdów do szkoły (mieszkamy za miastem). Widocznie nie czuje się dobrze w domu, skoro tak mu łatwo skorzystać z ojcowskiego lokum w mieście. Gdy zastanawiam się nad tym wszystkim, dochodzę do wniosku, że źle pokierowałam swoim życiem, skoro teraz zbieram takie plony.

A propos plonów... Niezwykle obrodziły mi malinówki. Nigdy bym się nie spodziewała, że będę zbierać jabłka w takich ilościach. Nawet dzięcioł przysądził się do drzewa i tłucze w konar z samozaparciem długodystansowca. Boję się podejść do jabłoni, żeby nie stać się przez przypadek jego celem. Na pigwowcu żółte owoce, które trzeba zerwać i przerobić na kwaśny, przypominający w smaku cytrynę, syrop do herbaty. Na szczęście nie muszę się martwić owocami leszczyny. Jeśli ich nie zerwę, zajmą się nimi wiewiórki. Orzechy włoskie już zerwały. Będzie pierwsza wigilia bez własnych orzechów. A może i bez Kajtka.

Zdecydowanie powinnam pisać w dzień, a najlepiej rano. Wieczorne listy zupełnie mi nie wychodzą. Pisziesz, że widziałeś moje zdjęcie w gazecie. Jest beznadziejne. Jeżeli to je jakoś ubarwi, dołączam do niego bukietek jesiennych astrów z mojego ogrodu. Myślę o konkursie. Pozdrawiam

Marta".

Poszło. Przejrzałam kilka mejli z reklamami karmy dla psów, CRM-ów dla firm, szkoleń z zakresu zarządzania czasem, czyjs tam newsletter, po raz kolejny nie zapoznałam się z ofertą „twojego wymarzonego domu pod Warszawą” (jeszcze mi tego brakuje!), zastanowiłam się, czy nie przyjąć zaproszenia Stowarzyszenia Kobiet Liderok Przedsiębiorczości na konferencję „Poznaj swoje możliwości w biznesie. Załóż własną firmę”. Okazało się jednak, że za rękę wyciągniętą do wymagających pomocy, okopanych w domach i przy urzędniczych biurkach kobiet trzeba zapłacić 1250 złotych, co przy stanie moich finansów stanowiło kwotę zaporową. Napisała Aśka, kumpela z liceum, która ostatnio została moją „znajomą” na Facebooku. Przesłała swoje zdjęcie z bardzo ładnym noworodkiem. Ma dziecko?! Fantastycznie! Podpis pod fotografią pozbawił mnie złudzeń co do naszego pokolenia. „Marta, przedstawiam ci moją wnuczkę Połę. Ma trzy tygodnie. Jestem zakochaną babcią!”.

Naiwność nie zna granic! Dzieci po czterdziestym piątym roku życia to mogą mieć amerykańskie aktorki, które kilkanaście lat temu przegapiły moment macierzyństwa pochłonięte karierą, ale my? Przygnębiające, bo ja nie czuję się jeszcze potencjalną babką, a tu taka wiadomość. Oczywiście odpisałam, zachwycając się pomarszczonym noworodkiem, który w oczach Aśki był, naturalnie, najpiękniejszy pod słońcem.

Mejlowe śmieci wyrzuciłam do kosza. Na szczęście w ostatniej chwili dostrzegłam list, który absolutnie nie powinien tam trafić. Szymon@op.pl, temat: „Przepraszam”. Ciekawe za co?

„Witaj, Marta.

Nie odpisałem na Twój pierwszy list, przepraszam. Powód jest trywialny: musiałem oddać laptopa do naprawy i przez chwilę zostałem pozbawiony kontaktu ze światem. Wyobraź sobie, że stało się tak na moje własne życzenie. No może nie do końca, bo z powodu nieuwagi. Zalałem klawiaturę kawą i nie wiedziałem, czy uda się odzyskać dane, w tym moje cenne mejle. Na szczęście wszystko poszło dobrze. Stałem się posiadaczem nowej klawiatury, reszta jest jak dawniej.

Dziękuję za zaufanie, jakim mnie obdarzyłaś, pisząc

o prywatnych sprawach. Rozumiem, że niełatwo uchylić rąbka tajemnicy obcemu człowiekowi, w dodatku takiemu, którego się nie widziało. Ja mam więcej szczęścia, mogąc podziwiać Twoje zdjęcie w gazecie. Wierz mi, że jakkolwiek jesienne astry są bardzo piękne i niewątpliwie będzie Ci z nimi do twarzy, jednak nie stanowią koniecznego atrybutu podkreślającego Twoją urodę. Jesteś piękna i bez nich. Szkoda, że tak w swoim mniemaniu nieszczęśliwa. Teraz już wiem, że przyczyną frustracji jest Twój były mąż, z którym, jak się domyślam, przeżyłaś sporo lat, skoro doczekaliście się niemal dorosłych dzieci. Nie pytam Cię o przyczynę rozwodu, to zbyt intymne, wyobrażam sobie jednak, że musiała być poważna, skoro do niego doszło i postawiło życie wasze i waszych dzieci na głowie. Nie jestem psychologiem, ale jako człowiek, który w swoim niemal pięćdziesięcioletnim życiu też czegoś doświadczył, mogę Cię przynajmniej wysłuchać

i porozmawiać. Ja również mam na koncie porażkę. Swego

czasu straciłem kobietę, którą kochałem. Nie chciałbym się nad tym rozwodzić i nie oczekuję zwierzeń z Twojej strony na temat Twojego małżeństwa, o ile nie uznasz tego za stosowne. Czasu nie da się cofnąć, ale dopóki piłka w grze, jak mawiał trener Górski...

Wygląda na to, że piłka jest obecnie na połowie Twojego byłego męża, któremu zresztą bardzo się dziwię, że mając taką kobietę, wypuścił ją z rąk... Wybacz śmiałość.

Kajetan na pewno Cię docenia, a że chce mieszkać z ojcem... Spójrz na to inaczej. Może on nie chce mieszkać poza miastem. Ma w Gdyni kolegów, koleżanki, może dziewczynę? Wyobrażam sobie, że dla osiemnastoletniego chłopaka zbieranie nawet najbardziej dorodnej pigwy nie stanowi żadnej przyjemności, choćby nie wiem jak kochał matkę. Dlatego radzę Ci, zostaw go w spokoju. Zajmij się sobą, konkursem, zainwestuj w siebie, od razu staniesz się dla rodziny bardziej atrakcyjna. A o ogródek zadbasz w wolnej chwili. Swoją drogą, może kiedyś będę mógł go zobaczyć?

Chwilowo jestem w Gdyni. Mam dużo pracy. Prognozy na wrzesień zapowiadają się obiecująco, koledzy namawiają na wypad na Mazury, czemu nie? Mam nadzieję, że po przyjeździe dowiem się czegoś na temat Twojego projektu.

Pozdrawiam serdecznie
Szymon".

ALINA

- Dziękuję za podwiezienie do kliniki. - Alina po raz trzeci okazywała mi wdzięczność. - Muszę pomyśleć o nowym aucie. Punto częściej u mechanika niż na chodzie.

- Nie ma sprawy, Ala - uspokajałam jej sumienie z powodu „nadwerężania” mojej uprzejmości. - Kajtek mieszka u ojca, Roza została u koleżanki, mama w sanatorium. Renata się obraziła i nie przyjeżdża, jestem sama, mam czas. A nawet gdybym nie miała, to i tak bym go znalazła dla Czarka. Żaden problem.

- Masz czas? - Alina poczuła bluesa. - To może pójdziemy na kawę? Czarek kończy badania za dwie godziny.

Znalazłyśmy w pobliżu przytulną knajpkę. Po deszczowym, zimnym lipcu i nie najlepszym sierpniu wrzesień okazał się niespodziewanie wybrykiem natury. Słońce grzało, zachęcając do opalania, letnie sukienki powróciły do łask, nie dając ciepłym swetrom i żakietom panoszyć się na ulicach. Zamówiłyśmy lody.

- Mów, co u ciebie, u dzieciaków. I w ogóle - mów.

- Wysłałam zgłoszenie na konkurs, ale nie wiem, Ala, co wymyślę z tym ogrodem. Zastanawiam się. Wydaje mi

się, że inwestor ma duże wymagania, a nie wiem, w co uderzyć. Nie czuję się dobrze w ogrodach orientalnych ani w klasycznych.

- Mam pomysł - przerwała moje dywagacje Alina. - Ty się nie przejmuj i wzoruj się na Mieszkowicach. Działka podobna, ukształtowanie powierzchni też. Dziewczyno, masz już projekt! Narysujesz, opiszesz, udokumentujesz i jak znalazł. Nawet możesz dołączyć zdjęcia.

- Musiałabym wystrzyc trawnik.

- Coś ty! Taki jest bardziej eko. - Puściła oko.

- No może...

- I ta twoja chałupa ze słomianym dachem, i ganek ze schodkami, i kolorowe dzikie wino... Ze nie wspomnę o daliach, begoniach, cyniach. Orgia barw, wariacja gatunków, piękne. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło się komuś nie spodobać.

- I malinówki. - Niemal się rozmarzyłam.

- No właśnie.

- Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł?

- Jasne, Marta. - Nie wiedziałam, czy Ala jest pewna, czy tylko próbuje mnie wesprzeć. - Tak zrób. Daj im swój ogród na tacy. W końcu go stworzyłaś. Zrobiłaś już ten projekt kilka lat temu, a teraz tylko go opiszesz i wystawisz do konkursu. Będzie dobrze.

- Muszę to jeszcze przemyśleć. - Dałam sobie czas na zastanowienie, chociaż właściwie już wiedziałam, jaką podejmę decyzję. Mój mieszkowicki ogród trafi na salony, podejmie walkę z innymi projektami. Muszę o tym napisać Szymonowi, kiedy wróci z Mazur... Nie

po raz pierwszy przyłapałam się na potrzebie kontaktu z Szymonem. Że też musiał wyjechać!

- A co z Renatą? Wspominałaś, że w końcu jej wygarnęłaś?

- Nie odzywa się, ja też nie dzwonię. Raz przysłała Michasia do mamy, bo musieli z Krzysiem wypocząć. Jednym słowem, niczego nie zrozumiała. A ja mam swoje problemy z Kajtkiem i nie mam ochoty jeszcze raz się zdenerwować.

- Już się zdenerwowałaś, Martusiu. - Alina doskonale odczytywała mój nastrój. - Dziewczyna ma dobre warunki, żeby leżeć i pachnieć, to korzysta. Nie skorzystałabyś przy takim mężu, który świata poza tobą nie widzi? Wyrobiła w sobie cechy hedonistki, a wszyscy dokoła to akceptują. Nie dziw się, że czuje się tak, jakbyś chciała zabrać jej ulubioną zabawkę.

- Alina, ty mówisz poważnie? - Nie dowierzałam własnym uszom. - To znaczy, że mam się na to wszystko godzić? I może jeszcze ją przeprosić za nieodpowiedzialny wybryk wygarnięcia jej prawdy? I powrócić do dawnych praktyk?

- Myślę, że musisz z nią porozmawiać. Oczywiście kiedy zadzwoni - tonowała mnie Alina. Nie wierzyłam.

- To twoja siostra. Jeszcze się dogadacie, co nie oznacza, że na jej warunkach. Nie mogę patrzeć, Marta, jak się miotasz między rodzinnymi problemami, i chcę ci pomóc. Nic nie mów. - Zauważyła, że otwieram usta do riposty.

- Nie chodzi mi o Rafała, to inna sprawa. Marta, musisz być bardziej cwana. Już jesteś. Niech przyjeżdżają, przywożą dziecko, ale ty jesteś zajęta. Mama też ma prawo wypoczywać we własnym domu w Mieszkowicach, ale

niekoniecznie obsługiwana przez ciebie. W końcu nie jest osobą niedołązną, wręcz przeciwnie. To ty od ośmiu lat bierzesz leki na nadciśnienie, a nie ona. Jak pozwolisz ludziom wejść sobie na łeb, to wleżą. Musisz nauczyć się odrobiny egoizmu, fachowo zwanego asertywnością. „Nie” z uśmiechem na ustach to jest to, co powinnaś stosować. A jeżeli zapragniesz spotkać się z siostrą, zobaczyć Michalinę, pogadać z Krzysztofem - zaprosisz ich i podasz fantastyczną kolację. Choćby płonące gruszki w czerwonym winie z orzechami włoskimi, które ci tak świetnie wychodzą. I ten twój omlet z kurkami. Może być też ciasto dyniowe. Po kolacji poprosisz, żeby ci pomogli sprzątnąć ze stołu. Wierz mi, będą zadowoleni i ty też. Gadaniem niczego nie załatwisz.

- Alina, minęłaś się z powołaniem. - Słuchałam wykładu z podziwem. - Powinnaś udzielać psychologicznych porad.

- Nie bierz mnie pod włos, tylko słuchaj. Życie to nie bajka. Renata jeszcze kiedyś będzie w potrzebie i wtedy się do ciebie zgłosi. Przynajmniej tak mi się wydaje, bo nigdy nie miałam siostry. I bierz się za ten swój projekt. Wydaje się, że jest dużo czasu, ale sama wiesz, jak przecieka przez palce... O matko, musimy jechać po Czarka! - Alina spojrzała na zegarek. Poderwałyśmy się od stołu, przywołując kelnera.

- Smakowało? - dopytywał się, kładąc rachunek na stole.

- Tak, tak, reszta dla pana.

Na szczęście miałyśmy jeszcze dziesięć minut.

MAMA

Odebrałam mamę z dworca o dziewiętnastej czterdzieści. Pociąg z Krakowa spóźnił się jedynie siedemdziesiąt pięć minut, przywożąc wypoczętych w górach urlopowiczów i kuracjuszy. Mama machała do mnie z daleka, ciągnąc walizeczkę na kółkach.

- Poznaj Zdzisława - przedstawiła mi starszego pana, gdy już zdążyliśmy się wyściskać.

Zobaczyłam mężczyznę o dość potężnej posturze, z elegancko zawiązaną wokół szyi chustką.

- To moja córka. Starsza córka. - Również zostałam przedstawiona Zdzisławowi.

- Bardzo mi miło. Nie widać, że starsza. - Ukłonił się, z galanterią całując mnie w rękę. - Mam nadzieję, że nie czekała pani zbyt długo na dworcu.

- Nie, skądże. - Siedemdziesiąt pięć minut spóźnienia nie stanowiło problemu, miałam gazetę.

- Mówiłam ci, Zdzisiu, że nie ma się czym denerwować. Ach, te nasze polskie pociągi! Jesteśmy wymęczeni - dodała mama na mój użytek. - W domu wszystko w porządku?

- Tak, mamuś. To gdzie jedziemy? - Obecność Zdzisława sprawiła, że straciłam orientację.

- Odwieźmy Zdzisia, a potem do Mieszkowic. Muszę zobaczyć jesień - rozmarzyła się mama. - W górach było tak pięknie!

- Ja wezmę taksówkę. - Zdzisław próbował zaproponować.

- Naprawdę nie ma powodu, chętnie podwiozę. To żaden problem - przekonywałam, czując, że mama, jak zwykle, zdecydowała za mnie.

- Jeśli zatem nie pokrzyżuję planów... Mieszkam w Sopocie, przy Grunwaldzkiej.

Wiedziałam, gdzie jechać.

Usiedli z tyłu. Nie mogłam sobie przypomnieć mamy na innym miejscu niż z przodu, przy kierowcy, które musiałam jej odstępować, gdy prowadził Rafał. Jedynie Renia miała przywilej, ba, nawet prawo, siedzenia obok Krzysia i wówczas mama bez problemu zajmowała tylne siedzenie, „bo odczuwała dużą przyjemność ze spędzenia kilku chwil z wnuczką”. Pan Zdzisław pożegnał się z nami na Grunwaldzkiej, wysiadłszy przed niezłą przedwojenną willą w uzdrowiskowym stylu. Mama wylądowała obok mnie.

- W Szczawnicy było wspaniale - rozpoczęła relację. - Miałam trzy zabiegi dziennie. Naprawdę mi pomogły na ten mój staw łokciowy. Pogoda dopisywała, padało chyba tylko raz. Ciśnienie trzymało się w normie i na szczęście dobrze karmili, tak że refluks też się nie pojawiał. Ale wiesz, w razie czego wzięłam manti.

- A pan Zdzisław? - zapytałam, pragnąc przerwać rozmowę na tematy fizjologiczne. Doświadczenie mi podpowiadało, że zaraz dojdziemy do konsystencji i częstotliwości mamy stolca.

- Poznaliśmy się i okazało się, że jest z Sopotu. Nawet chodzimy na ten sam basen! - Mama szczęśliwie przestała zajmować się własnym zdrowiem. - Teraz będziemy chodzić razem. Zaprosiłam go na jutro na obiad. Do Mieszkowic.

- A co zamierzasz zrobić, mamó? - W kieszeni otworzył mi się nóż.

- Pomyślmy, może ten twój omlet z kurkami? Wiem! I płonące gruszki na winie z orzechami. Co o tym myślisz?

Myślałam, że zabiorę Rozalię i Kajetana do KFC na hamburgery albo do Pizzy Hut na margaritę z colą. Myślałam, że miałam zamiar zebrać gruszki konferencje, bo jest ich tyle, że łamią się gałęzie, myślałam, że powinnam posadzić narcyzy, krokusy i zimowity, żeby zakwitły na wiosnę, a nawet pozbierać gałązki głogu, jesienne liście i kwiatki fioletowych astrów wrzosolist-nych. I skomponować przepiękne bukiety! To myślałam.

- Na którą się umówiłaś, mamó? - Tylko tyle udało mi się wydukać.

- Na czternastą. Chyba nie za wcześnie? Dojechałyśmy do furtki w Mieszkowicach, którą musiałam otworzyć, co pozwoliło mi się zastanowić.

- Jak tu pięknie! - Mama zachwycała się wrześniowymi klimatami. - Masz szczęście, córciu, że możesz tu być na co dzień. Pójdę się trochę opłukać, a potem pogadamy. Nie otworzyłaś u mnie okiennic?

Jak widać, czegoś jednak nie zrobiłam.

- Śpieszyłam się na pociąg.

- Martaaa... - usłyszałam jeszcze, gdy zniknęła w drzwiach swojego domu. - Zadzwoń do Renatki, niech przyjadą na obiad. I nie rób za dużo na kolację, nie jestem głodna.

- Powinnam częściej jeździć do sanatorium. - Przy drugim kieliszku czerwonego wina mama nabierała wiatru w żagle. - Podaj mi jeszcze tę sałatkę. Przypomina mi jedną z takiej dobrej knajpki w Szczawnicy. Zdzisław polecił.

- Wygląda na to, że trafiła na smakosza. - Z czym ona jest?

- Rukola, gruszki, śliwka, trochę fety.

- Niezła, chociaż tamta miała bardziej zdecydowany smak. Ale ta też dobra. - Świetnie, poczułam się niemal pochwalona. - W domu człowiek jest ciągle czymś zajęty, a trzeba się czasem wyrwać i wypocząć - ciągnęła mama refleksje. - A właściwie gdzie masz dzieci? Jeszcze nie wróciły?

- Już jakiś czas temu, mamo. Roza śpi u koleżanki, a Kajtek... - Zawahałam się, w przewidywaniu reakcji.

- Kajtek będzie mieszkał z Rafałem. Już mieszka.

- I ty na to pozwoliłaś?! - Rozsierdziła się nie na żarty.

- Nie miałam wyboru, mamo. Kajetan chciał, Rafał się zgodził. Miałam walczyć z wiatrakami?

- Marta, ja ciebie w ogóle nie rozumiem. Najpierw rozwód, teraz to! Czy ty chcesz pozbyć się całej rodziny? Nawet Renatę przegoniłaś. Co się z tobą dzieje? Może i ja ci przeszkadzam?

Tego już było za wiele. Szymonie, gdzie jesteś? Czy cały świat sprzysiągł się przeciwko mnie, czy ja wariuję? Są sytuacje, w których człowiek czuje się bezsilny, a ja właśnie w takiej się znalazłam. Ja jestem odpowiedzialna za rozwód, za decyzję Kajetana, za to, że odmówiłam niańczenia dorosłej siostry, za to, że kosztem własnych planów odebrałam matkę z dworca i odwiozłam pana Zdzisława. Ze zrobiłam kolację i zapewne jutro przygotuję obiad z płonącymi gruszkami i omletem z kurkami, dla całej rodziny, za to, że nie otworzyłam u mamy okiennic i jej dom nie zdążył się nagrzać, za to, że jestem powszechnie znaną czarownicą, niedobrym człowiekiem, który zamiast robić to, co do niego należy, usiłuje czasem mieć własne zdanie. Koszmar. Wizja KFC zaczęła stawać się coraz bardziej realna.

- Mamo. - Opanowałam się w miarę możliwości. - Wybacz, jutro nie będzie mnie w Mieszkowicach. Obiecałam pójść z Rozalią na zakupy, więc przyjedziemy dopiero wieczorem. Z obiadem musisz sobie poradzić. Renatę zaproś sama. Jak wiesz, ostatnio nie układa nam się zbyt dobrze. A teraz pozwól, że zbiorę ze stołu i pójdę się położyć.

Zaczęłam składać talerzyki i sztucce, kątem oka spoglądając na mamę. Może zechce coś powiedzieć, porozmawiać? Ale ona wstała od stołu i energicznie zabrała swoją szklankę.

- Dobranoc - usłyszałam na zakończenie miłego wieczoru.

- Dobranoc.

Pewnie znowu z Jasonem.

RENATA

Nie czekając, aż mama wstanie, wypiliśmy poranną kawę w domu. Ganek mógł okazać się miejscem zbyt niebezpiecznym dla mojej słabej woli. Jest bardzo prawdopodobne, że przy ewentualnym śniadaniu mama przekonałaby mnie do przygotowania obiadu dla pana Zdzisława i pozostałych gości w „celu integracji rodziny”. W końcu jej nowy znajomy na pewno chciałby nas poznać. Powinnam pewnie pojechać po zakupy, przywieźć dzieci i być gotowa z obiadem na czternastą. I nie przewidziałam jeszcze jednego: czy pan Zdzisław ma samochód i będzie miał jak do nas dojechać. Ale w końcu, skoro już będę w Gdyni, to podskoczę po niego do Sopotu i po sprawie. Taki scenariusz nie wchodził w rachubę. Już nie.

Po wypiciu drugiej kawy wymknęłam się z domu po cichu, pozostawiając kartkę: „Mamuś, zrobiłam zakupy, są w mojej lodówce. Bierz, co jest ci potrzebne do obiadu. Wrócę wieczorem. Marta. Miłego dnia”.

Rudzielec nie przesadzał z miauczeniem na pożegnanie, Łajdusa też udało mi się opanować, niestety silnik nie

chciał wysłuchać próśb o ciche warczenie. Obwieszczał mój wyjazd całej okolicy. Mama wyszła na podwórko.

- Jedziesz? - Zamachała ręką, kierując się w moją stronę. - Kup, proszę, maślankę i to białe wino... Zapomniałam, jak się nazywa, ale wiesz, to, które lubię.

Spokojnie wysiadłam z auta. Najwyraźniej nie zrozumieliśmy się poprzedniego wieczora. Najbardziej opanowanym głosem, na jaki stać mnie było w tej chwili, zakomunikowałam mamie po raz drugi:

- Mamo, jadę po dzieci do Gdyni i wrócę wieczorem. Z obiadem musisz poradzić sobie sama. Korzystaj z zawartości lodówki, bierz wszystko. Ugotujesz wspaniałe dania i zrobisz surówkę, która będzie jeszcze lepsza od tej w Szczawnicy. Moja miała niezbyt zdecydowany smak, twoja będzie lepsza. I może rzeczywiście potrzebny mi psychiatra? - Chyba przesadziłam. - Muszę już jechać.

- To znaczy, że nie będzie cię na obiedzie?! - Mama nie mogła pojąć.

- Zjem obiad w Gdyni. Przepraszam, ale się śpieszę.

Zatrzasnęłam drzwiczki, sięgnęłam po płytę CD z greckimi rytmami. Wrześniowa sobota obdarzyła Mieszkowice pięknym słońcem. Łany kwiatów wyrastały ze wszystkich zakamarków działki, zachęcając do opalania na leżaku z książką w ręku. Trzeba by zagrabić liście pod lipą, a przede wszystkim pod orzechem włoskim. Brązowe, ciężkie, toksyczne... Zmarnują trawnik, dusza ogrodnika przypominała o jesiennych obowiązkach. A ja musiałam jechać...

- Jak uważasz, Marta - do porządku przywołał mnie głos mamy. - Ale w ogóle cię nie rozumiem...

- Wiem, mamó. - Pomachałam ręką na pożegnanie.

Taka pogoda, takie słońce, a ja włóczę się po mieście! Z dziećmi umówiłam się za dwie godziny na skwerze Kościuszki. Zatrzymałam samochód przy centrum handlowym. Mimo wczesnej godziny parking był pełny. Co ci ludzie wyrabiają w sobotni poranek, latają po sklepach? A może i dobrze? Jesień się zbliża, też pobiegam. W końcu nie za bardzo mam się w co ubrać.

O dziwo, kolory jesiennej mody wyjątkowo mi odpowiadały. Dobrze, że skończyły się szarofioletowe barwy minionego sezonu. Miodowa dzianinowa sukienka, do tego długa apaszka w barwach spadających liści, to było to. Chwyciłam za portfel. W Reserved skusiłam się na wysokie botki w kolorze skóry i - o nieba! - podobną kurtkę. Nie wystarczy na obiad z dziećmi, przeliczyłam płaczące się po portmonetce groszaki. Co tam, od czego są bankomaty? Raz nie zawsze. Nie pamiętałam już, kiedy wydałam na siebie tyle pieniędzy. Niemal pięćset złotych. Zupełnie mi odbiło! Niewidzialna siła pociągnęła mnie w stronę fryzjera.

- Proszę podciąć mi włosy o jakiś pięć centymetrów. Młoda fryzjerka wprawdzie nie wzbudzała zaufania, ale zlecenie nie było skomplikowane. Z myciem i suszeniem.

- Modelowanie?

- Proszę wysuszyć na szczotce - zaordynowałam, nie wyobrażając sobie, jak można wymodelować długie,

proste włosy, które po przycięciu zamienią się co najwyżej w półdługie.

- Może pasemka? - Spróbowała zarobić więcej.

- Dziękuję. Wystarczy przyciąć.

Po dwudziestu minutach siedziałam z czystymi, pachnącymi włosami, w nowej miodowej sukience, w szalu w jesienny deseń, opierając jedną nogę w skórzanym kozaczku na drugiej nodze w takim samym skórzanym kozaczku, z ramionami osłoniętymi piękną skóropodobną kurteczką w kolorze naturalnej skóry. Warto by jeszcze zrobić paznokcie, przyjrzałam się krytycznie manikiurowi nie pierwszej jakości. W sumie było nieźle, znacznie lepiej niż w kuchni w Mieszkowicach przy gotowaniu obiadu. Czytanie kolorowego pisma przerwał mi głos Renaty.

- Co ty tutaj robisz?

- Piję kawę i czytam „Life” - odpowiedziałam zgodnie z prawdą, zaskoczona jej obecnością. - A ty?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

- Prawie cię nie poznałam. Masz na sobie coś nowego? Najwyraźniej jednak mój wygląd nie był w stanie

zaabsorbować całkowicie jej myśli. Zachowanie mojej siostry wskazywało, że nasza ostatnia rozmowa poszła w zapomnienie. Przysiadła się do stolika i zaaferowana zaczęła oddawać się zwierzeniom.

- Dejan przyjeżdża. Dzwonił, że będzie w przyszłym tygodniu. Nie wiem, co zrobić z Krzyśkiem. Dzisiaj kazałam mu zawieźć Michasię do mamy i, wyobraź sobie, odmówił! Był zajęty, więc musiałam pojechać do Mieszkowic i ją odstawić. A właściwie to... - Zastanowiła się.

- Kto zrobi obiad, jak mama jest sama? I wiesz... - Dygresja o obiedzie odeszła w niebyt. - Dejan chce zobaczyć, gdzie zawiesiłam ikonę. Ale jak ja go wpuszczę do domu? Myślisz, że mogę go przedstawić Krzysztofowi? Nie wiem, co robić.

- Ja też nie wiem, Renata.

- No bo ja już nie mam ochoty się z nim spotykać. Było fajnie, ale dwa miesiące zrobiło swoje. Teraz podoba mi się ktoś inny. - Puściła oko. - No nie patrz tak. Taki jeden.

- A Krzyś?

- Co: Krzyś? Jest moim mężem.

- No właśnie.

- Nie wymądrzaj się, siostra, bo tyle się znasz na małżeństwie, co kura na pieprzu. Gdzie twój Rafał? Wypuściłaś z ręki żyłę złota i tyle. Zawsze ci mówiłam, że nie umiesz go wychować, a ty te swoje obiadki...

Wkurzyła mnie nie na żarty.

- Obiadki! Nie smakują ci?

- Daj spokój, smakują, smakują. Ale ja tak Krzyśka nie rozpuszczam i dobrze na tym wychodzę. A ty się tylko wkurzasz na wszystko. To co mam zrobić z Dejanem?

- Nie wiem, Renata, ale skoro tak dobrze radzisz sobie z Krzyśkiem, to i z Dejanem sobie poradzisz. Ja wracam do swoich obiadek. Uważaj, siostra, żebyś się nie przewiozła. Dopóty dzban wodę nosi...

- Straszysz mnie?

- Zejdź ze mnie, siostra, i lepiej szykuj się na przygotowanie jakiejś dobrej kolacyjki dla córki, bo jak widzisz, nie ma mnie w Mieszkowicach.

- Zrobiłaś się nieprzyjemna, Marta. Mama ma rację, trudno z tobą wytrzymać.

- Kiedy ty zmądrzejesz, Renata?

- Ja jestem mądra, „mamusiu”. Popatrz na siebie.

Zmęczona konwersacją, wstałam od stolika. Obciągnęłam sukienkę wzdłuż bioder, poprawiłam włosy. Cmoknęłam Renatę w policzek.

- Radź sobie, siostra, tak dobrze, jak radzisz. Cześć, trzymaj się.

Nie obejrzałam się. Trzeba jechać, dzieciaki już pewnie czekają.

ROZALIA

- Długo czekałaś, córciu? - Kiedy dojechałam, Rozalia dopijała colę w knajpce Mors. - Pewnie długo, skoro już kończysz. Kajetan jeszcze nie przyszedł?

- Nie przyjdzie, mami. Esemesował, że nie może. Podobno ciebie też zawiadomił.

- Akurat, telefon miałam włączony. - Kolejna porażka z Kajetanem. - A nie... - Zobaczyłam migotanie.

„Mamuś, przepraszam, ale mam spotkanie i nie mogę się z tobą zobaczyć. Może w przyszły weekend?“. Wyklikałam odpowiedź. „Może. Daj znać po“.

- Załatwione. Zawiedziona, ale przynajmniej się usprawiedliwił. A co u ciebie, Rożka, jak udała się wizyta u Marzeny? Zjesz coś? - próbowałam wzbudzić w sobie ożywienie.

- U mnie w porządku, wizyta się udała, zjem rybę. A tak w ogóle to świetnie wyglądasz i ja też ciebie kocham.

- Przepraszam. - Wykazałam zbyt małe zainteresowanie. - Kajetan mnie wyprowadza z równowagi. I babcia, i ciotka, i wszyscy naraz. Zamówmy sobie rybkę. Może być halibut?

- *Maybe*. A tak właściwie, to dlaczego nie jedziemy do Mieszkowic? - Roza nie dała się zbyć fantastycznym pomysłem zjedzenia obiadu nad morzem.

- Postanowiłam pobiegać po sklepach i kupić sobie coś na jesień. Zaraz wracamy.

- Mami, daruj sobie. Mam już prawie osiemnaście lat. Skąd ten pomysł? A swoją drogą wyglądasz świetnie.

- Rozalko, babcia poznała w Szczawnicy pana Zdzisława i nie pytając mnie o zdanie, zaprosiła go na obiad, który jak zwykle ja miałam robić, a dodatkowo kazała mi zaprosić twoją kuzynkę, a ja nie miałam na to ochoty i wyjechałam - wyrzuciłam z siebie na jednym oddechu. - Oto cała naga prawda. Trochę się poprzytykałyśmy.

Czekałam na reakcję, przygotowana na słowa krytyki. Taka niesubordynacja nigdy mi się nie zdarzała.

- Mamuś, nareszcie! - Rozalia wyglądała na bardzo zadowoloną. - To może weźmiemy też frytki i coś na deser? Gdybyśmy nie mieszkały za miastem, mogłabyś wypić kieliszek wina...

- Mam klucz od mieszkania babci - powiedziałam. Może zbyt szybko?

- A jutro jest niedziela... - kusiło moje dziecko.

- Jutro jest niedziela - potwierdziłam. - To co robimy z tak dobrze rozpoczętym popołudniem?

- Będziemy je kontynuować.

- U babci?

- Może być u babci. Pojedziemy do Mieszkowic dopiero jutro?

- Jutro.

- To chyba dobry pomysł.
- Mami, dlaczego zawsze mówisz „do Mieszkowic”, a nigdy „do domu”?
- Zapytaj psychologa.
- Nie muszę.
- To nie pytaj.
- Czy tak zawsze będzie?
- Nie wiem.
- A od czego to zależy? Zastanowiłam się.
- Ode mnie.

NIKOS

- Mami, chyba nikogo nie ma... - Roza otwierała zamkniętą od zewnątrz bramę naszej posesji w Mieszkowicach. Dotarliśmy do domu w niedzielne południe.

- Mówiłaś, że będzie babcia z tym panem.

- Widocznie wczorajszy dzień im wystarczył. Ciekawe, kto ich odebrał? Może pan Zdzisław ma samochód? W każdym razie nie zamierzam dociekać. Córciaaa, idziemy na leżaki? Takiego słońca pod koniec września długo nie będziemy oglądać.

- Dobrze. Ale ja się muszę pouczyć. Mam jutro sprawdzian z historii, fuj.

- To ja zrobię coś do jedzenia.

- Nie możesz usiedzieć w miejscu? - Rozalia patrzyła z politowaniem. - Nie jestem głodna. A jak będę, zrobimy sobie grzanki. Może być?

- A do nich ugotuję fasolkę szparagową z masełkiem i tartą bułką. Może być?

- Oj, mami, mami. Prosisz się o robotę, a narzekasz.

- Dla ciebie wszystko, a poza tym co to za robota: ugotować fasolkę? Nie przeszkadzam, lecę do kuchni.

Komórka dźwiękiem z *Greka Zorby* powiadomiła, że dostałam esemesa: „Chcę przyjechać do Polski i Cię odwiedzić. Napisałem mejla. Gorące pozdrowienie. Nikos”.

On też? Chyba zamierza przyjechać razem z Dejanem. Już niemal zdążyłam o nim zapomnieć, a nieliczne mejle wydawały się raczej zdawkowe. „Pozdrowienia z Kalifornii”. „Jestem w Denver i robię projekt”. „Kończę projekt i wracam. Całuję. *Cherete*, Marta, piękna *Kiria*”. Nie spodziewałam się, że słowo ciałem się stanie i pragnienie „naszych Greków”, aby przyjechać do Polski, kiedykolwiek się ziści. Po raz pierwszy odczułam zadowolenie, że nie jestem mężatką i nie muszę tłumaczyć się z wakacyjnych znajomości.

„*Kalimera, Kiria* Marta”. Nikos nie zapomniał o komplementach w nagłówku mejla.

„Wróciłem z Ameryki po pracy u bogatego człowieka. Będzie miał piękny pałac, mój projekt bardzo mu się podobał. Dejan nie ma dużo pracy w restauracji, bo turyści wyjechali. Teraz jest ich mniej w Agios. Możemy zostawić interes u naszego kuzyna i przyjechać do Polski, do Was. Cieszę się, że podobała Ci się ikona, ale nie wiedziałem, że taką sama Dejan dał Renacie, Twojej siostrze. Ja Ci przywiozę inną ikonę, którą zrobił mój znajomy, artysta z Agios. Ty musisz mieć inną niż siostra, inaczej źle bym się z tym czuł. Chcemy przyjechać za dwa tygodnie w piątek, na weekend, bo wiemy, że pracujecie i nie macie czasu. Odpowiedz mi, Marta, czy możemy przyjechać i jak się spotkamy. Będziemy lecieć samolotem do Gdańska. Jeżeli jest kłopot z nocami,

weźcie dla nas hotel. *Signomi* za kłopot, ale tak w głębi to mamy nadzieję, że też chcecie się z nami zobaczyć.

Do widzenia, *Kiria* Marta. Czekam na mejl.

Nikos".

Wzruszył mnie tym swoim angielskim, „zostawić interes u naszego kuzyna”, „wróciłem po pracy u bogatego człowieka”. Słodkie. Co stoi na przeszkodzie, by sympatycznym Grekom pokazać kawałek Trójmiasta?

- Matko jedyna! Moja fasolka!

Pognałam do kuchni, by wyskrobać z dna garnka szczątki warzywa. Szczęśliwie przeżyło, da się zjeść. Przekładając fasolkę na talerz, gorączkowo myślałam, gdzie ulokować naszych Greków. Dom jest wystarczająco duży, by przyjąć gości, ale wydało mi się nieco krępujące, by zakwaterować dwóch nieznanymi skądinąd mężczyzn, choćby z uwagi na obecność Rozalki i, miałam nadzieję, Kajtka. I zawsze mogłam się spodziewać mamy z panem Zdzisławem, choć tym razem bez mojej siostrzenicy, której mamusia nie byłaby zachwycona spotkaniem się z „obcymi panami” w jej towarzystwie. Co ja kombinuję? Przecież Renata nie będzie chciała nikomu przedstawiać Greków! Krótko mówiąc: załatwimy im hotel, a do Mieszkowic podjedzie się na kawę i podziwianie jesiennego ogrodu.

Jeszcze do niedawna list od Nikosa sprawiłby mi przyjemność, przypomniawszy o greckich wakacjach, dowartościował. Teraz jednak, gdy wymieniłam kilka mejli z Szymonem, który notabene długo nie pisał, choć pewnie wrócił z Mazur, zapomniałam o Krecie, plaży, rejsie na Spinalongę, obiadach w knajpce braci Pantulos. Może

się kiedyś bardzo zawiodę, spotkam się z Szymonem (nie wątpiłam, że to w końcu nastąpi), może okaże się on bardzo nieatrakcyjnym mężczyzną, niskim, łysym i brzuchatym, może jest nikczemnym wilkiem, który w wirtualnej przestrzeni zamienia się w łagodnego baranka... Może, może. Teraz jednak odpowiadała mi korespondencja z nim. Oczekiwałam na mejle, zawiedziona za każdym razem brakiem listu w skrzynce. Mniejsza z tym, co się okaże. Pewnie pesymistyczne scenariusze podpowiada jedynie mój asekurancki charakter. Z tego też muszę się wyzwolić po rozwodzie z Rafałem, rozmawiałam w myślach ze sobą. Więcej spontaniczności, śmiałości w stosunkach z ludźmi, z mężczyznami. Jak sobie pościelesz... Czyżbym zaczynała myśleć o mężczyznach? Co na to dzieci? - spróbowałam powstrzymać pozytywne wizje. Skarciłam się natychmiast. Rafał nie pytał dzieci, idąc do aplikantki, a ja mam się przejmować dorosłymi córką i synem i czekać na akceptację moich poczynań?! Nie robię przecież niczego złego, wymieniając raz na dwa tygodnie mejle z Szymonem. To dlaczego trzymam ten fakt w tajemnicy? A dlaczego Kajetan nie mówi mi o swojej dziewczynie? Może dlatego, że jest jeszcze za wcześnie. Nie warto rozmawiać, gdy nie wiadomo, jak się życie potoczy. Skoro jest dobrze, nie warto niczego zmieniać. A Grecy niech wskoczą do Gdańska. Będziemy dobrymi przewodniczkami i pokażemy im trójmiejskie atrakcje. Bez zobowiązań. Przekonam Renatę, żeby powiedziała Krzysiovi o wizycie. W końcu nie mamy niczego do ukrycia. Zadzwoiłam.

- Krzysztof?

Zdziwiłam się, że odebrała komórkę po pierwszym sygnale i najwyraźniej spodziewała się usłyszeć głos męża.

- To ja, Marta. Niestety, nie jestem Krzysiem.

- Nie kpij. Powinien być w domu już od kilku godzin, a ciągle go nie ma.

- A co, nie radzisz sobie sama?

- Jesteś wredna! Nie wiem, co jest grane. On się nigdy nie spóźnia, a w ubiegłym tygodniu aż dwa razy!

- To jakieś kary musisz wprowadzić. Przecież dobre wychowanie faceta to priorytet. Zawsze mi to klarujesz.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Poczułam, że mojej siostrze nie jest do śmiechu. Nie będę kopać leżącego.

- Renia, jesteś tam? - odezwał się w przestrzeń. - Nie martw się, zaraz przyjdzie. Pewnie nie może zadzwonić, ma jakieś spotkanie i wyłączył telefon. Przestań o tym myśleć i pogadajmy lepiej o wizycie Dejana. Nikos do mnie pisał, że chcą przyjechać razem za dwa tygodnie.

- A to się dobrze składa. - Zmieniony ton mojej siostry świadczył o tym, że zaczęła coś knuć. - Bardzo dobrze, rewelacyjnie. Nie będę się kryła przed moim mężem ze spotkaniem z Dejanem, niech wie! Ostatnio robi się coraz bardziej pewny siebie!

- Dejan?

- Jaki Dejan? Krzysztof! Mówi, że musi wyjść, i idzie!

- No to robi tak samo jak ty. Mówisz, że idziesz, i wychodzisz. A dzisiaj gdzie się wybierałaś?

- Miałam wyjść na zakupy, ale nie o to chodzi. Krzysiek powiedział, że ma spotkanie i jeszcze nie wrócił. Spotkanie w niedzielę?!

- Siostra, sprawa z Krzysiem rozwiąże się w ciągu najbliższej godziny albo dwóch, a my musimy się spotkać i porozmawiać o przyjeździe Nikosa i Dejana. Proponuję wtorek, godzina piąta, w Muzie.

- Będę. Krzysiek urwie się z pracy i dojadę do Gdyni - podjęła decyzję. - Już ja mu dam.

- Widziałaś się wczoraj z mamą? - zdobyłam się na pytanie, nie komentując spraw małżeńskich.

- Rozmawiałam z nią przez komórkę. Wezwała Krzyśka, żeby zabrał Michalinę i zawiózł ją do Gdyni z tym całym Zdzisławem. Przywiózł małą do domu i wyjechał! I do tej pory go nie ma.

- Renata, do wtorku - przerwałam nadciągający monolog. - Gdyby ci coś wypadło, zadzwoń. Nie chce mi się samej pić kawy w Muzie. No to cześć.

- On jeszcze mnie popamięta!

Wyłączyłam telefon. Czasami chyba dobrze nie mieć męża i tych wszystkich kłótni na karku. Wyrzłam na ganek. Rozalka zasnęła nad książką od historii. Pewnie się zaraz obudzi i będzie miała ochotę na grzanki. Włączyłam piekarnik.

GOŚĆ

- Zrobiłam grzanki, Rozalko! - krzyknęłam w stronę otwierających się drzwi, wyjmując z piekarnika pachnące serem, przypieczone kanapeczki. - Dobrze, że idziesz. Fasolka też gotowa. Rozstaw talerzyki na ganku.

- Mamuś, ktoś do ciebie. - W progu stała moja córka w towarzystwie dwudziestokilkuletniego mężczyzny w golfie i sportowej marynarce.

W pierwszej chwili chciałam zapytać, czy z nami zje, w drugiej zaniepokoiłam się, czy wszystko w porządku z Kajtkiem. Mój niepokój urósł do niebotycznych rozmiarów, gdy gość się przedstawił.

- Jakub Zgorzelski. Jestem z komendy policji. Czy mogę zająć pani chwilę?

- Co się stało? Czy coś z moim synem? - Miałam wrażenie, że za chwilę padnę trupem. Nogi zaczęły dygotać. Z trudem zdobyłam się na reakcję. - Chodzi o mojego syna?

- Nie znam pani syna i nic mi nie wiadomo o tym, jak on się czuje. Za to miałem przyjemność poznać pani córkę. - Uśmiechnął się do Rozalii, ale natychmiast

przywołał się do porządku. - Czy możemy porozmawiać na osobności? Pani Rozalio, przepraszam. Kindersztuba w każdym calu.

- Proszę mówić - wykazałam gotowość, przyglądając się panu policjantowi mieszającemu kawę ze śmietanką. Nie słodził. Roza musiała zadowolić się grzankami i fasolką w samotności. Domyślałam się, że zżerana ciekawością. Po nauce nudnej historii do domu trafiła interesująca terażniejszość.

- Wiemy, że była pani z siostrą w Grecji, na Krecie... - zaczął pan Jakub.

- Jak widać, nic się ukryje... - Zdawałam sobie sprawę, że przygotowuje grunt.

- I poznałyście panie dwóch Greków. Braci - kontynuował, niezrażony nutą drwiny w moim głosie.

- Tak właśnie było - odparłam.

Do czego on zmierza? - myślałam intensywnie, próbując dociec, kto go nasłał. Chyba nie Rafał? Co mojego eks może obchodzić, z kim spotykałam się w Grecji? Krzyś? Nonsens. Jestem nadwrażliwa i naogładałam się za dużo kryminałów.

- Zaraz pani wszystko wyjaśnię. - Pan Jakub mówił uspokajającym tonem, co odniosło wręcz odwrotny skutek. - Jednak bym posłodził. Mogę prosić o cukier?

Namyśla się, jak przejść do rzeczy, to jasne, zrozumiałam, gorączkowo szukając cukierniczki, która na nieszczęście się zdematerializowała.

- Może być cukier trzcinyowy? - Tylko taki udało mi się znaleźć.

Sięgnął po brązowe kryształki, wrzucił do filiżanki i zamieszał nieśpiesznie. Zrozumiałam, że może być.

- Pani Marto... - zaczął powoli, cedząc każde słowo. - Jesteśmy na tropie dużej afery i chcemy prosić panią o pomoc. Znalazła się pani w kręgu działania grupy przestępczej.

- Pan chyba żartuje?! Ja i grupa przestępcza? To chyba pomyłka.

- Od jakiegoś czasu giną w greckich cerkwiach wartościowe ikony - ciągnął, nie zwracając uwagi na moją reakcję.

- Grecka policja doszła, że zanim trafią do niemieckich kolekcjonerów, przechodzą przez Polskę. Prawdopodobnie jest pani obecnie w posiadaniu tego rodzaju dzieła sztuki. Czy dostałyście panie ikony od braci Nikosa i Dejana Pantulosów?

- Tak. Nikos przysłał mi ikonę Pantelejmona w prezencie, a Renata dostała taką samą od Dejana jeszcze w Grecji. - Historia zaczynała nabierać rumieńców. - Skąd wiecie, że moja może być kradziona?

- Grecka policja obserwuje obu panów od jakiegoś czasu. - Chyba był szczerzy. - Wiedziała, że pani siostra przewozi ikonę, więc ekspert sprawdził jej autentyczność na lotnisku. Została kupiona w sklepie z pamiątkami. Założyliśmy więc, że przedmiotem kradzieży może być ta wysłana do pani przez Nikosa Pantulosa. Pozwoliliśmy, by pani ją odebrała.

- Dlaczego? Dlaczego nie przejęliście przesyłki, zanim do mnie dotarła?

- Chodzi o więcej niż o jedno dzieło sztuki - wyjaśnił.

- Chcemy dotrzeć do kolekcjonera. A w tym jest nam potrzebna pani pomoc.

Ruszyłam się w stronę kuchni, żeby zaparzyć kolejną kawę. Chwila przerwy dobrze mi robi.

- Napije się pan jeszcze kawy? - Na wszelki wypadek włączyłam ekspres.

- Proszę zrobić sobie i wysłuchać mnie do końca.

- Zorientował się, że jestem zdenerwowana. - Nic pani nie grozi. Proszę usiąść. Wiemy, że panowie Pantulos niebawem was odwiedzą, i mamy pewien plan.

Słuchałam. Nie pozostawało mi nic innego.

- Jutro po południu chciałbym panią odwiedzić ponownie w towarzystwie greckiego eksperta, aby potwierdził autentyczność ikony w pani posiadaniu. Przypuszczamy, że Nikos Pantulos będzie chciał ją pani w jakiś sposób odebrać. Może pod jakimś pretekstem zamienić ją na inną, a autentyk wywieźć do Niemiec i sprzedać kolekcjonerowi. Chcemy wziąć od pani oryginał i podłożyć kopię z zainstalowanym nadajnikiem. Pani odda ją Nikosowi, a my jak po sznurku dojdziemy do kupca. Czy mój tok rozumowania jest zrozumiały?

- Wydaje mi się, że tak. Czy coś mi grozi? Jestem traktowana jak współniczka przestępcy? - musiałam się upewnić.

- Ze strony wymiaru sprawiedliwości nic. Obserwowaliśmy wasze kontakty z Grekami i wiemy, że świadomie nie zrobiliście niczego złego. Nie brałyście udziału w przestępczym procederze.

- Trochę mnie uspokoił.

- Ale (jednak było jakieś ale!) nie znamy dobrze tych panów i ich metod działania. Wydają się zainteresowani wyłącznie sprzedażą ikon, do tej pory nie mają na koncie innych przewinień. Krótko mówiąc: nikogo nie zabili, nie

napadli, ale musimy się im przyglądać. Jeżeli konserwator ustali autentyczność ikony skradzionej na Krecie, która, jak widzę, wisi u pani nad kominkiem, a pani zechce nam pomóc, przedstawię plan i zagwarantuję pani ochronę. I jeszcze jedno... - Policjant podniósł się z krzesła. - Proszę o absolutną dyskrecję. Jedyną osobą, która może, a nawet musi się o tym dowiedzieć, jest pani siostra. Oczywiście, ją też poprosimy o zachowanie dyskrecji.

- To będzie trudne - bąknęłam pod nosem.

- Słucham? - Pan Jakub nie dosłyszał filtrowanych przez zęby wątpliwości.

- Proszę zabrać tę ikonę do analizy - zaproponowałam rozwiązanie.

- Lepiej nie. Ktoś mógłby się zorientować, że zniknęła. Pani wybaczy, proszę nie informować nawet najbliższej rodziny. Będzie pani jutro w domu sama?

- Proszę przyjechać około siedemnastej. Zjawię się po pracy, córka ma zajęcia do ósmej, zdążę odebrać ją z Gdyni. Wystarczą panom dwie godziny?

- Z pewnością. I dziękuję. Do widzenia. - Nie widziałam na filmach, żeby policjanci, nawet w cywilu, całowali w rękę, a jednak i tacy się zdarzają. Nie tylko mnie. Pan Jakub okazał się mężczyzną ze wszech miar kulturalnym i potrafiącym się zachować. Jak zauważyłam przez okno, Rozalia również została na pożegnanie obdarzona pocałunkiem w dłoń i trochę nazbyt, moim zdaniem, powłóczyłym spojrzeniem. Wydawało mi się, że pan policjant szepnął mojej córce coś do ucha, ale pewnie mi się przywidziało. Ciągle zapominam, że mam prawie dorosłe dziecko.

SZYMON

- Renata, mamy kłopoty - przerwałam mojej siostrze podmalowywanie ust, gdy przystąpiła doń spóźniona pół godziny na umówione spotkanie w Muzie.

Po wczorajszej wizycie greckiego eksperta wiedziałam, że mam w domu skradzioną z klasztoru na Santorini ikonę. Właściwie już się jej pozbyłam, a od policji dostałam falsyfikat z nadajnikiem, który czekał na Nikosa.

- Musisz zawsze mówić o kłopotach? - Renata najwyraźniej przyszła w dobrym nastroju. - Ja nie narzekam. Krzysiek urwał się z pracy, żeby zająć się Michaliną, i się stara. Gdybym była podejrzliwa, pomyślałabym, że ma coś na sumieniu, ale ja nie jestem aż takim czarnowidzem jak ty i powiem: wreszcie wszystko jest na swoim miejscu.

- Renata, przestań gadać i posłuchaj. Wytłumaczyłam co i jak, powtarzając słowa pana

Jakuba.

- Musimy się z nimi spotkać i przeżyć dwudniową wizytę Greków bez drgnięcia powieką - zakończyłam wywód. - Będziemy miały dyskretną ochronę policji.

Mamy zadbać, żeby nasi goście się nie zorientowali. Zgadzasz się?

- Co mam powiedzieć Krzysiowi? Skąd wiesz, że będą tu przez dwa dni?

- Nikos mejlował. Przyjadą w najbliższy piątek, wyjadą w niedzielę. A Krzysiowi nie mów na razie nic. Ja też Rozalce nic nie powiedziałam, chociaż była w domu podczas wizyty tego policjanta. Powiesz mu w poniedziałek, po ich wyjeździe.

- Niezłe jaja! - Renata z wrażenia zapaliła papierosa.

- Słuchaj. - Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. - Ja powiem Krzysiowi, że wyciągam cię na weekend do Słupska, żebyś mi pomogła wybrać kwiaty do projektu ogrodu. Potem mu wszystko wyjaśnię. Trudno, na razie nie możemy go wtajemniczyć.

- Sama to załatwię. - W tych sprawach Renata radziła sobie niezłe. - Jadę z tobą do Słupska. Kiedy odbieramy ich z lotniska?

- W piątek. - Miałam gotowy plan. - Potem coś zjemy i zostawiamy ich w hotelu. W sobotę zaproszenie do Mieszkowic, potem przechadzka po Gdańsku czy tam po Sopocie. Śpią w hotelu, a w niedzielę odlot. Dobrze wykombinowałam?

- Całkiem. Ale co będzie, jak przyjedzie mama?

- Nie przyjedzie. Pan Zdzisław zabiera ją na Kaszuby. Gdy wracałam do domu, było już ciemno. Rozalka

znowu nocowała u koleżanki, w Mieszkowicach przywitał mnie więc tylko Łajdus, szczekaniem wyrażając tęsknotę za pełną michą.

- Pani się boi, Łajdus - gadałam do niego, nakładając pedigree.
-1 ty pani nie obronisz, choćbyś nie wiem jak szczekał. Pana nie ma, dzieci nie ma, a nawet gdyby były... Szkoda gadać. Pani pozwoliła się zrobić, a teraz musi się jakoś z tego wyplątać. Pani musi zamejlować, Łajdus.

Zasiadłam przed komputerem. Pisać? Nie pisać? Nie wolno nikogo informować, tak mówił pan policjant. Będzie ochrona. A jeżeli nie? Może trzeba kogoś zawiadomić, w razie czego? Adres szymon@op.pl wystukał się sam.

„Cześć, Szymon.

Domyślałam się, że po powrocie z Mazur wpadłeś w wir pracy. Nie zawracałabym Ci głowy, gdyby nie fakt, że znalazłam się w nieoczekiwanej sytuacji i wstyd przyznać, nie mam się do kogo zwrócić o pomoc. Przejdę do meritum. Na Krecie poznałyśmy z siostrą dwóch Greków, braci, którzy wykorzystali nas, a właściwie jeden z nich wykorzystał mnie w swoich niecznych planach. Teraz obaj przyjeżdżają do Polski, a policja zamierza ich zdemaskować. Oczywiście, zgodziłam się na współpracę. Mam przyjąć ich w Trójmieście i realizować policyjny plan. Nie wiem, co się będzie działo, nie orientuję się, na ile mogę wierzyć zapewnieniom policji o ochronie, jaką obiecuje mnie i Renacie. Nie znam Cię, Szymon, ale czuję, że jesteś porządnym facetem, dlatego składam na twoje ręce serdeczną prośbę. Gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego, gdybym już nigdy do Ciebie nie napisała, przekaz moim dzieciom, których teraz nie mogę i nie chcę wprowadzać w tę sprawę, że nie miałam z tym nic wspólnego. Podaję adresy: rozka@op.pl i kajtek@.op.pl.

Mam nadzieję, że to tylko burza w nocniku i przyjdzie czas na projekt ogrodu...

Nie wiem, czy piszę do Szymona, który chce jeszcze ze mną korespondować, czy też powrócił z Mazur z innymi planami. Ale jeśli nawet, proszę Cię o spełnienie mojej prośby.

Pozdrawiam serdecznie

Marta".

Na ekranie komputera pojawiła się informacja o liście. Szymon zaczynał bez zbędnych uprzejmości.

„Bardzo mnie zaniepokoiłaś, Martusiu (mogę się tak do Ciebie zwracać?). Sprawa jest poważna i na pewno nie można jej lekceważyć. Rozumiem Twoje wątpliwości co do policyjnej ochrony i nie będę Cię przekonywał, żebyś ze spokojem przyjęła zapewnienia policji. Na gorąco przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Co dwie ochrony, to nie jedna. Nie jestem Bruce'em Lee czy King Kongiem, ale zawsze mogę się przydać, przynajmniej jako drugie oko. Czuję się w pewien sposób odpowiedzialny za to, że zachęcałem Cię do wyjazdu do Grecji, więc muszę odkupić swoje winy, dlatego nie miej skrupułów, żeby skorzystać z mojej propozycji. A po drugie, Marta, po prostu chcę Ciebie ochronić. Jestem pewien, że wszystko pójdzie dobrze i nie będę musiał zawiadamiać Twoich dzieci o czymkolwiek. Proszę, napisz, gdzie spotykacie się z Grekami. Faceci mogą być niebezpieczni, jeśli w grę wchodzi pieniądze.

Możesz na mnie liczyć. Wierzę, że kiedyś się spotkamy i będę mógł Cię o tym przekonać osobiście.

Pozdrawiam Cię mocno i czekam na wiadomości Szymon".

Ten mejl sprawił, że poczułam się znacznie lepiej. Policja policją, a zabezpieczenie się przyda. I to jakie, cichego wielbiciela! Skarciłam się za takie myśli. Kobieto, ty mu się narzucasz. Przecież nawet nie śpieszył się z listem po przyjeździe z Mazur. Ale chce pomóc! Ma wyrzuty sumienia, że nas pchnął do Grecji, szybko uciszyłam zbyt dobre samopoczucie. Ale może przynajmniej jakoś się ujawni i wreszcie go zobaczę!

„Dziękuję, Szymon, dam Ci znać, gdy będę znała szczegóły. Miałam nadzieję, że mogę na Ciebie liczyć, i się nie zawiodłam. Jeszcze raz dziękuję. Marta", odpisałam.

Wylogowałam się z poczty i zamknęłam komputer. Dzisiaj nie grozi mi zasypianie z Jasonem ani z myślami o ikonie Nikosa. Nalałam wina do mojego ulubionego zielonego, kryształowego kieliszka na przezroczystej nóżce.

- Za ciebie, Szymon! - Toast wzniósł się sam. Degustowałam, siedząc przed kominkiem, nad którym wisiał fałszywy Pantelejmon z nadajnikiem.

GRECY

Paskudna sytuacja, przepraszamy was jeszcze raz. - Dejan tłumaczył się z jednodniowego spóźnienia, zajmując miejsce w Muzie, gdzie zaplanowałyśmy obiad. - Te nasze strajki...

Odebrałyśmy ich z lotniska w sobotę. Mieli przylecieć w piątek, ale dobę spędzili, oczekując na samolot w Heraklionie z powodu strajku pracowników lotniska, co prawdę mówiąc, było nam na rękę. Jeden dzień pobytu w Gdyni krócej. Rozejrzałam się po restauracji, szukając agentów policji, którzy zgodnie z planem przedstawionym mi przez pana Jakuba powinni nas ubezpieczać. Tak naprawdę jednak wypatrywałam Szymona, któremu wysłałam wiadomość o miejscu spotkania. Pan Jakub zapewne nie byłby zadowolony, ale to jego problem. W kącie przy oknie siedział mężczyzna, sącząc kawę. To nie Szymon, zorientowałam się, gdy podniósł się z krzesła, by powitać młodą kobietę, która dosiadła się do jego stolika. Krzesła przy barze okupowali jacyś panowie raczący się przezroczystym płynem w literatkach... Nie, płyn w szklaneczce jednego z nich miał wyraźnie pomarańczowy kolor. Pije

sok! To może być Szymon. Czterdzieści parę lat, przystojny, dyskretnie się rozgląda, patrzy na mnie! Odwróciłam wzrok w stronę okna, za którym ujrzałam... Krzysia. Szedł roześmiany i jak nie on: wesoły, rozluźniony, zadowolony. To po prostu nie może być on, to omamy spowodowane stresem. Towarzystwo przywołało mnie do porządku.

- Przecież się nie gniewamy, prawda? - Renata doskonale odgrywała swoją rolę, znacząco spoglądając w moją stronę.

- Pewnie, że nie. Dobrze, że udało wam się dolecieć. Co zamawiamy? - Chwyciłam za menu, wracając duchem z dalekiej podróży.

- Wybierzcie za nas coś polskiego i coś dobrego alkoholi. Chcemy poznać Polska. - Dejan męczył się po angielsku.

Zamówiłam zrazy zawijane i kaszę gryczaną. Dla naszych gości po setce wódki, dla nas wodę.

- Dlaczego nie pijecie tego wspaniałego drinka? - Nikos wstrząsnął się po wychyleniu zawartości. - Mieliśmy nadzieję, że razem wzniesiemy toast.

- Ja muszę prowadzić do Mieszkowic. Chcieliście przecież zobaczyć ogród - próbowałam tłumaczyć.

- Weźmiemy taksówkę, Marta. Nie martw się. - Znalazło się rozwiązanie.

Chcą nas upić, to jasne.

- Dobrze. Proszę jeszcze jedną kolejkę, dla wszystkich - zawołałam kelnera.

Po pięćdziesiątce zrobiło mi się ciepło.

- Czy mogę? - Kelner patrzył na mnie znacząco, trzymając w rękach talerz ze zrazami. Odruchowo odsunęłam

się, żeby zrobić miejsce na stole. Wydawało mi się, że spojrzenie trwało trochę zbyt długo. Czyżby Szymon? Skądże, za młody.

- Czy życzą sobie państwo jeszcze coś do picia? - Zakończył rozstawianie talerzy.

- Dziękujemy. - Próbowałam go odprawić.

- *Four, the same like that.* - Nikos wskazał na puste kieliszki.

Robiło się coraz bardziej gorąco. Próbowałam trzymać fason, co z każdym kieliszkiem okazywało się coraz bardziej trudne. Grecy nie tolerowali markowania ani niedopijania.

- Marta, przepraszam, że tak późno przyjechaliśmy i jutro rano musimy wyjechać. Mamy interes z Deja-nem, ale niedługo wrócimy, zobaczymy wasze morze i wszystko. Mówiłaś, że masz w ogrodzie piękną jesień, to może pojedziemy do ciebie pooglądać?

Na szczęście wziął mój zamglony wzrok za dobrą monetę.

- Bo ja mam taki wyrzut, że dałem ci obrazek jak Dejan Renacie - kontynuował. - Przywiozłem tobie inny, lepszy, który zrobił mój przyjaciel, malarz ikon. Chcę ci go dać, a tamten zabiorę i nie będzie go tu więcej. Mogę to zrobić?

Czy może? Tylko na to czekałam. Żeby się nie sypnąć, musiałam jedynie dobrze uzasadnić swoją zgodę.

- Dlaczego nie mogę mieć takiej samej ikony jak Renata? Bardzo mi się podoba... - kręciłam z zalotnym uśmiechem, częściowo spowodowanym nadmiarem alkoholu.

- Bo ja chcę dać tobie coś wyjątkowego, Marta. Jak przyjadę do ciebie znowu, lepiej ci to wytłumaczę - znalazł doskonałą wymówkę.

- To jedźmy do mnie! - Udawanie głupiej nie przychodziło mi z trudem. - Renata! Masz numer do taksówki?

Dalej poszło dobrze. Taryfa, kawa w Mieszkowicach. Ikona ze ściany trafiła do torby Nikosa, jej miejsce zajęła „piękna” święta Marta, a ja cieszyłam się z zamiany. Nikosa cieszyła moja radość. Po dwudziestej trzeciej zamówiłyśmy panom taksówkę do Gdyni. Łajdus krążył niespokojnie po ogrodzie, co chwila poszczekując, co dawało mi pewność, że w okolicy znajduje się ochrona.

- Marta, jestem wykończona! - Renata zrzuciła buty z nóg, gdy z horyzontu zniknęły światła pojazdu naszych gości. - Myślisz, że to już koniec?

- Chcesz drinka? - zapytałam, nie reagując na pytanie. - Myślę, że to już koniec. - Pytające spojrzenie moje siostry jednak wymagało odpowiedzi. - Chcesz?

- Dawaj. A wiesz... Wydawało mi się, że na ulicy przed Mużą widziałam Rafała - przypomniała sobie nagle.

- To dziwne, bo ja dałabym sobie uciąć głowę, że ulicą przechodził Krzysztof - dopadł mnie nagły przebłysk świadomości.

- Marta, nie wygłupiaj się. Naprawdę widziałam Rafała. A ty Krzyśka nie mogłaś, bo był w domu z Michaliną! - Niemal się wściekła.

- Co to ma teraz za znaczenie, siostra? - Czułam, że Renata szykuje się do konfrontacji. - Pozbyłyśmy się Greków i jest dobrze. Krzyś siedzi z Michaliną. - Poszłam na ugodę, chociaż byłam pewna, że widziałam go przed Mużą. - A Rafał niech sobie łązi, gdzie chce. Grunt to mieć z tym święty spokój. Słyszysz? Łajdus przestał szczekać.

ALINA

Alina, muszę ci o czymś powiedzieć - szepnęłam przyjaciółce do ucha, przerywając jej pisanie bardzo ważnego artykułu na temat przemiany organicznych odpadków i resztek w żywną próchnicę w tradycyjnej przyrodzie kompostowej. Alina zachęcała do stosowania plastikowych termokompostowników; pewnie stary złapał reklamę od producenta. Mnie przypadł w udziale tekst o zbawiennym wpływie na cerę kosmetyków z miodem i kozim mlekiem, po cichu sponsorowany przez firmę X. Juliusz, nasz naczelny, godził się na takie praktyki, tłumacząc się rynkiem i tym, że on wie lepiej, jak prowadzić gazetę. Trudno, jak się najęło za psa... Do chwili rozvodu z Rafałem nie czułam się zobowiązana do myślenia o przyszłości gazety. Przyjmowałam zlecenia na teksty mające zapewnić czasopismu dobrobyt, a mnie miejsce pracy. Ostatnio jednak apodyktyczność starego zaczęła mi przeszkadzać. Pozbyłam się zależności od Rafała, Szymon we mnie wierzył, dlaczego w pracy ma być inaczej? Czy już do emerytury mam wyłącznie podporządkowywać się czyjejś woli, jeśli czuję, że ten ktoś nie ma racji? Wbrew

zapewnieniom Juliusza działało nam się coraz gorzej. Traciliśmy czytelników, formuła pisma wyraźnie zaczęła się przejadać, trąciliśmy myszką. Ludziom, którzy wynoszą się na wieś i potrzebują fachowej porady na temat projektowania ogrodów, my proponowaliśmy, jak kosić trawę sierpem i wbijać kołki młotem. A gdzie nowe gatunki roślin i rozwiązania małej architektury? Niechętny wszelkim zmianom stary uzasadniał zachowawczość tradycją i ekologicznym podejściem, a próby przekonania go do zmiany konwencji uważał za kopanie pod sobą dołków. Chyba gracą i szpadlem... Wyjątek robił dla cichych reklamodawców, producentów rozwiązań nawet bardzo nowoczesnych, o ile mieli szeroki gest lub byli jego znajomymi.

Dopóki nie znajdę innej roboty, muszę to znosić, próbowałam się powstrzymywać przed konfrontacją z Juliuszem. Zwłaszcza teraz, gdy nie miałam zbyt dużo kasy, a utrzymanie Mieszkowic nie należało do najtańszych. Opał, dojazdy, ubezpieczenie, dzieciaki, żarcie dla Łajdu-sa, który mało nie jadał. Mama też jakoś nie przyjmowała do wiadomości, że nie żyję już na takim poziomie, jak dawniej, i bez skrupułów pozwalała mi finansować swój mieszkowicki dom i siebie, gdy przebywałyśmy razem. Czułam, że muszę dokonać zmian w życiu zawodowym, wywalczyć wolność głoszenia poglądów i znaleźć możliwości zarabiania większej kasy.

Naczelną nie będę, a przy starym o swobodzie poglądów nie ma mowy, dopadła mnie pierwsza refleksja.

Więcej pieniędzy mogę zarobić tylko na swoim. Czyli własna firma. Żeby założyć firmę projektową, trzeba

mieć kasę, a ja jej nie mam. Dobrze jest doświadczenie, jakieś realizacje na koncie, a ich też nie mam.

Wróciłam na ziemię. Alina patrzyła zainteresowana.

- Co się tak zamyśliłaś? Chciałaś o czymś powiedzieć? Halo! - Pomachała mi przed oczami.

- Tak, tak... Zapatrzyłam się na te termokompostowniki - przypomniałam sobie, po co przyszłam. - Kolega szefa czy sponsor?

- Gie mnie to obchodzi. I tak nuda jak diabli.

- To ja ci opowiem coś ciekawego. Po robocie - szepnęłam jej do ucha.

- Zakochałaś się? Masz kogoś? - zainteresowała się.

- Tobie tylko jedno w głowie, koleżanko. Nic z tych rzeczy. Zabiorę cię do Muzy. Mamy godzinkę do odebrania dzieciaków.

Po szesnastej wygodnie ulokowałyśmy się przy stoliku.

- Dla mnie pierogi z truskawkami. - Alina jak zwykle zamówiła na słodko.

- Ja poproszę z mięsem. - Też tradycyjnie.

A jednak nie tylko stary jest tradycyjnistą... Obsługiwał nas ten sam kelner, co podczas kolacji z Grekami. Czyli to jednak nie Szymon.

- Możesz wreszcie zacząć? - Alina starannie rozsmarowywała śmietanę na pachnących początkiem lata pierożkach.

- Może cukier? - Podsunęłam w jej stronę cukiernicę.

- Czy ty się dobrze czujesz? - Ala zaczynała tracić cierpliwość.

- Mów wreszcie! Jesteś w ciąży? Rozalia jest w ciąży?!

Roześmiałam się. Czy wszystkie rewelacje muszą dotyczyć miłości lub jej konsekwencji?

- Ala, brałam wczoraj udział w akcji policji. Pomagałam ująć międzynarodowego przestępcę, złodzieja ikon.

Zrelacjonowałam z detalami kreteńską przygodę, spotkanie Nikosa i Dejana oraz przebieg ich wizyty w Gdyni. o Szymonie nie wspomniałam ani słowem.

- I co teraz będzie? - zapytała, gdy skończyłam opowieść.

- Mam nadzieję, że nic. Złapią ich i po sprawie.

Kończyłyśmy pierożki. Ludzie za oknem biegali w różnych kierunkach jak zbierające pyłek pszczoły. Od chwili kiedy mój ul się wyludnił, nie potrzebowałam już tyle do niego ściągać... Ja mogłam obyć się niemal bez jedzenia, Roza ordynowała coraz to inne diety, stałych kontaktów z rodziną Renaty unikałam, przynajmniej do czasu, aż obie nie dojdziemy do porozumienia. Mama odwiedzała Mieszkowice rzadziej, zainteresowana spotkaniami z panem Zdzisławem, który niczym anioł spadł z nieba i uratował mnie przed jej zaborczością. Czyżbym poczuła się samotna, obserwując miejskich piechurów z torbami, z kimś pod rękę, za rękę, z małymi dziećmi, z kwiatami, zagonionych, roześmianych, z telefonami przy uchu, pędzących gdzieś, do kogoś, na coś. Na imprezę, na domową kolację, na spotkanie w knajpie, na wywiadówkę, może do kina? Matko, jak dawno nie byłam w kinie, warto by się kiedyś przejść... Rafał nigdy nie miał ochoty, zasłaniał się aktami. Znajomi rzadko u nas gościli, mój mąż często bywał „zmęczony” i musiał odpocząć po „stresującej

pracy z ludźmi". O rewizytach można było zapomnieć. Brak towarzystwa rekompensowałam sobie wakacyjnymi wyjazdami. Co z tego, jeśli po dwóch tygodniach powracała codzienna huśtawka Mieszkowice - Gdynia - Mieszkowice, zakupy, ogród, dzieci, zadania domowe, wywiadówki, weekendy w szerokim rodzinnym gronie, zmywanie, gotowanie, Mieszkowice - Gdynia - Mieszkowice. Kiedy Rafał zdążył się tak rozleniwic? Gdzie zniknął młody student, którego poznałam na imprezie, po której zostaliśmy razem na zawsze? A przynajmniej na długo. Dlaczego pozwoliłam mu ściąć włosy po aplikacji, zgodzić się, by wraz z nimi przepadło to, co kochałam w nim najbardziej? Czy nie można być jednocześnie wziętym adwokatem i grać na gitarze, czy się nie da pracować i mieć przyjaciół, czy ciężar odpowiedzialności za rodzinę musi oznaczać pogrzebanie własnych przyjemności i pragnień, czy na ołtarzu pracy można złożyć małżeńskie szczęście, tłumacząc ofiarę dobrem żony i rodziny? A kiedy ta żona wreszcie to zaakceptuje, odnajdując radość w dobrym mężu i ojcu dzieciom, kiedy posadzone w ogrodzie brzoźki wyrosną na dziesięć metrów, gdy przy odrobinie dobrej woli wystarczy maleńka rzecz, żeby urozmaicić życie i nadać mu nowy blask, on zadaje się z aplikantką. Według Rozalii zadał się raz. O jeden raz za dużo. Może dziewczynie wydawało się, że spotkała długowłosego cherubina z gitarą? A może odpowiadał jej dojrzały pan z kasą? Elokwentny, zręczny, skuteczny...

Refleksje nie nastrojały optymistycznie, na szczęście przypominałam sobie o Szymonie. Muszę się z nim

kiedyś spotkać, chociaż on wyraźnie o to nie zabiega. Potrzebuje czasu, ja zapewne też. Z listów wnioskowałam, że jest mądrym człowiekiem i wie, co robi, żeby nie spalić naszych kontaktów. Na wszystko przyjdzie czas, nic nie goni.

- Niesamowita historia... - wyrwała mnie z zadumy Alina. - To ja też ci się z czegoś zwierzę, Marta.

Domyśliłam się po błysku w oku.

- Poznałam kogoś. Mężczyznę.

Widać było, że jest szczęśliwa. A ja miałam wyrzuty, że jak zwykle zajęta swoimi sprawami do tej pory tego nie zauważyłam.

- Poznałam Krzysztofa na imprezie w stowarzyszeniu - zaczęła. - Na początku roku szkolnego byliśmy z Czarkiem na spotkaniu. Krzysztof reprezentował firmę, która zasponsorowała podręczniki dla dzieciaków i kilka innych rzeczy. Mają być wspólne wyjazdy, ogniska...

- No dobrze, ale co z tym panem?

- Zaczęliśmy się spotykać. Pomaga mi, przyjeżdża do nas. Jest wspaniały, opiekuńczy, Czarek bardzo go polubił.

- A ty?

- Ja? - Zastanowiła się. - Ja jestem ostrożna, Marta. Chociaż ... Bardzo go lubię. Jest bardzo przystojny...

Przez chwilę pomyślałam o Krzyśku Renaty, ale gdy dowiedziałam się, że ten Aliny jest przystojnym mężczyzną, skarciłam się za głupie myśli. Spiskowa teoria dziejów. Nasz Krzyś jest niski, niezbyt szczupły, mocno podłysiały. A że jest dobrym człowiekiem...

- Cieszę się, Alinko. - Wstałam od stołu i przytuliłam serdecznie przyjaciółkę. - Należy ci się za te wszystkie lata i za twój dobry charakter. Na pewno trafiłaś właściwie. Wszyscy Krzyśkowie są fantastyczni, chociażby mój szwagier. Życzę ci powodzenia.

- Obiecujesz, że mi się uda?

Do oczu napłynęły mi łzy, ale natychmiast wzięłam się w garść.

- Obiecuję, masz moje słowo. I zapomniałam ci powiedzieć, że pięknie wyglądasz.

ŁUKASZ

Wydarzenia ostatnich dni zupełnie wywiały mi z głowy plany konkursowego projektu. Październik zaglądał do okien ognistymi barwami dzikiego wina, które spowijało nasz dom od południowego wschodu. Mimo że wszędobylski winobluszcz w poszukiwaniu światła próbował opanować konstrukcję zachodniej werandy, padał ofiarą pielienia; musiał ustąpić miejsca zielonym i granatowym winogronom. Grzechem byłoby nie wykorzystać jesiennego słońca padającego na ich kwaterę od późnych godzin porannych do zachodu słońca. Nie zamierzałam zostać producentem wina, więc dojrzałe grona trafiały na stół. Wciąż cieszyły oko i podniebienie, stanowiąc konkurencję dla dość twardych jeszcze gruszek konferencji, dojrzałych węgierek i czerwonych jabłek odmiany Pinova, których obfitość na drzewie zdołała ogród.

Ala ma rację. Koniecznie muszę to wszystko obfotografować i dołączyć do dokumentacji projektowej, nie czekając, aż zmieni się pogoda i utracę najpiękniejsze ujęcia. Czas goni.

Poranne refleksje odeszły w niebyt, gdy tylko przekroczyłam próg redakcji.

- Stary lata jak poparzony. Wczoraj deliberowali z wydawcą przez całe popołudnie - Kaśka ogłosiła hiobową wieść.

- Skąd wiesz? - dociekałam źródeł rewelacji, rzuciwszy torbę na biurko. - Chłodniej dzisiaj, musiałam włączyć ogrzewanie w aucie - zwróciłam się do Ali, ignorując redakcyjną plotkę.

- Ludzie, mówię poważnie. Będą zwolnienia. - Kaśka nie dawała się zbyć. - Pani Krysia słyszała.

Zaczynało się robić poważnie. Nasza nieoceniona pani Krysia, sprzątająca w firmie od zawsze, już nieraz sprawdziła się jako pewne źródło informacji.

- A może wydawca zmieni szefa? - szepnęłam Ali do ucha. - I dlatego stary tak się złości?

Satysfakcjonująca wizja czasopisma bez Juliusza szybko ustąpiła miejsca innej. Jeśli naczelny zostanie, pierwszą osobą do zwolnienia będę ja. Od dobrych kilku lat uważa mnie za kogoś z wygórowanym poczuciem własnej wartości, za które brał odrobinę własnego zdania i pomysły na bardziej ambitne teksty. Tolerował mnie z uwagi na pozycję Rafała, błyszczącej gwiazdy lokalnej palestry, zwłaszcza że mojemu mężowi udało się bardzo korzystnie go rozwieść. Moje akcje wyraźnie spadły, gdy zostałam sama. Juliusz z pewnością uznał nasz rozwód za dobrą naukę dla mnie, czemu w zawołany sposób niejednokrotnie dawał wyraz. Przypuszczam, że jedynie poczucie wdzięczności i zobowiązanie wobec

Rafała za dobrą robotę kazało mu jeszcze przez jakiś czas tolerować mnie w pracy. Ale wdzięczność też się kiedyś kończy, tym bardziej że po rozprawie została okazana w postaci całkiem okazałego honorarium... Naczelnny ograniczył moją rubrykę, niejednokrotnie proponował mi pracę w domu i pojawianie się w redakcji znacznie rzadziej niż do tej pory. Pisałam do co drugiego numeru. Mimo to, zmuszona do dowożenia Rozalki do szkoły, udawałam, że nie rozumiem delikatnych sugestii, i męczyłam starego swoim widokiem każdego dnia. Zdawałam sobie sprawę, że ta sytuacja kiedyś dobiegnie kresu, a dzisiaj zaczynało do mnie docierać, że kres czai się za najbliższym zakrętem...

- Łukasz? Masz chwilę? - Na widok redakcyjnego kolegi fotografa przyszedł mi do głowy pewien pomysł, który postanowiłam zrealizować natychmiast.

Łukasz, mimo młodego wieku, był naszym mistrzem fotografii, zwycięzcą wielu konkursów, całkiem już oszlifowanym diamentem. Chudy dryblas z fajnym usposobieniem, dowcipny, lekko po trzydziestce. I miał długie włosy... Dobrze, że nie poszedł na prawo, może uchroniło go to przed ich ścięciem?

- Dla ciebie zawsze, pani Marto.

Jak zawsze dowcipnie. Jak zwykle ulegnę wdziękowi.

- Mam dla ciebie zlecenie, ale nie mam pieniędzy

- rzuciłam propozycję nie do odrzucenia.

- Ciekawa oferta. - Łukasz pozostał w konwencji.

- Kino, kawiarnia i spacer na mój koszt? Wchodzę. Gdzie się umawiamy?

- Zainwestuję w kawę z automatu - zanęciłam. - Chodź na bok, ściany mają uszy.

Zgodził się sfotografować mój ogród. Kasy nie chciał, ja oczywiście się nie zgodziłam na pracę za free. Stało na tym, że się dogadamy, gdy już będzie po wszystkim.

- Zrobisz coś dobrego do żarcia.

Nie wyglądał na dożywionego, fakt. W tej sytuacji sprawa wymagała poświęceń.

- A co lubisz?

- Marta, zamówimy pizzę. Uwielbiam pizzę. Co ty myślisz, że chcę cię zagnać do kuchni?

Zaskoczył mnie.

- Mogę zrobić tę pizzę... - Nie zabrzmiało to chyba przekonująco.

- Możesz się ładnie ubrać i uczesać. Ubierz się kolorowo i uczesz naturalnie.

- Ale po co? - Nie rozumiałam.

- Obecność kobiety wpłynie korzystnie. Kwiaty to nie wszystko.

Może to i niezły pomysł? W końcu Łukasz jest fachowcem.

- Ale ty masz fotografować ogród... - wyraziłam wątpliwość.

- Uwierz mi. - Spojrzał na mnie, układając palce w kształt obiektywu. - Wiem, co robię. Oddaj się w moje ręce. To znaczy oddaj mi na chwilę swój ogród i swoją duszę - uściślił.

- Skoro duszę, to okej. - Zakończyliśmy na wesoło.

- Idę do starego po tydzień urlopu. Pogoda nie będzie trwała wiecznie. - Pocałowałam Łukasza w policzek, zadowolona z efektów rozmowy. - A ty? Kiedy będziesz mógł?

- Ustawiam się do starego w kolejce. Musimy mieć co najmniej dwa dni, od rana do wieczora, od wschodu słońca do zachodu. Jak najszybciej. Wiesz, chodzi o światło. Leć. - Puścił do mnie oko.

- Dostałaś ten urlop? Co się stało?!

Ciężko opadłam na krzesło. Alina słusznie wywnioskowała, że rozmowa ze starym niezupełnie się udała. - Dostałam. Miesiąc. Przymusowego.

Moja przyjaciółka uszanowała oczekiwanie na dalszy ciąg minutą ciszy. - Ten... On ma zamiar mnie wylać, Alina. - Z trudem panowałam nad łzami. - Powiedział, że z powodu problemów chwilowo nie ma dla mnie roboty i żebym sobie odpoczęła w domu. A potem się zobaczy. „I na pewno, Marta, coś się znajdzie”. Omal się nie zakrztusił tą swoją satysfakcją poinformowania mnie o decyzji wydawcy. „Projektowanie jest *passé*, a już na pewno do wiosny. W końcu kogo interesuje projektowanie ogrodów jesienią i zimą? Należy zająć się strojeniem grobów, choinki, sylwestrowymi balami w ogrodzie. Wiosną będzie lepiej, Marta, musimy przeczekać, miałaś ciężki okres, należy ci się wypoczynek, weźmiesz urlop, potem urlop bezpłatny, trudny czas dla gazety, trzeba cięć koszty, ale to tylko chwilowe”.

- I co mu powiedziałaś?

- Że dobrze się składa. - Zaczynałam się zbierać.
- Nie zabiłaś go?
- Nie, podziękowałam.
- Zdziwił się?
- Myślę, że tak.
- Co teraz zrobisz?
- Wezmę się za projekt. Ten dupek dał mi kopa do roboty.
- Dobrze się czujesz?
- Znakomicie, Ala. Coraz lepiej.
- Pamiętaj. Obiecałam ci, że będzie dobrze.
- Pamiętajam. Ja też ci obiecałam.
- Dasz sobie radę?
- Znam twój numer.

Z gabinetu starego wyszedł Łukasz.

- Marta, o której jutro?
- A wiesz jak dojechać? Dostał urlop!
- Przecież byłem już u ciebie na imprezie gazetowej. Nie pamiętasz?
- Jasne! - Nie pamiętałam. - Dziesiąta może być?
- Ósma, moja pani. Łapiemy słońce, będę o ósmej. Nie da pospać.
- Czekam zatem. Dzięki, Łukasz.
- Sukienka, włosy. Pamiętaj!

Wychodząc z redakcji, zastanawiałam się, w co się jutro ubrać. I to było przyjemne.

ŁUKASZ

Łajdus powiadomił mnie o czyjejs obecności pod bramą. Wyjrzałam przez okno, spodziewając się samochodu Łukasza. Dochodziła ósma. Auta nie zauważyłam, ale Łukasz, objuczony aparatami i plecakiem, serdecznie witał się z psem.

- Gdzie masz samochód?! Małe pytanie na dzień dobry.

- Grat się zepsuł. Złapałem autobus.

- To trzeba było zadzwonić. Odwoziłam Rozkę na przystanek, poczekałabym na ciebie.

Było mi nieprzyjemnie, że pedałowiał dwa kilometry. Jeszcze z takim bagażem!

- Przeszedłem się z przyjemnością. - Jak to Łukasz, zero problemów. - Zrobiłem kilka fotek. Ładnie tu u ciebie. - Rozejrzał się dokoła. - Sukienka też dobra. Ładnie wyglądasz.

-Dzięki. Staralam się spełnić oczekiwania. Mistrzu... - Wskazałam kierunek do domu. - Zapraszam na poranną kawę na powietrzu. Jadłeś śniadanie?

-1 to niejedno. - Nie dawało się z nim mówić poważnie.

- To chodź. Właściwa odpowiedź. Zrobię ci omlet.

- Skoro omlet, to lecę. Moja babcia robiła doskonały... - rozmarzył się.

- Jaka babcia? Ty mnie porównujesz do babci? - Prawie się wkurzyłam.

- Martusiu, nie ciebie. Twoje zdolności kulinarne, a to co innego. Pamiętam smak wszystkiego, co u ciebie jadłem na tamtej imprezie. - Brał mnie pod włos. - Śni mi się po nocach!

- Chodź już na ten omlet, bo od tego gadania jeszcze bardziej zgłodniejesz i będę musiała zrobić dwa. Żarcie mu się śni po nocach... - zrzędziłam pod nosem.

- Też... - bąknął.

Chyba się przesłyszałam. Lepiej zabrać się do rozbijania jajek. Kurki uduszone, szczypiorek pocięty. W głębi duszy cieszyłam się, że przygotowuję moje popisowe danie dla Łukasza, a nie pod przymusem dla mamy i jej pana Zdzisława. Łukasz przynajmniej jest głodny i doceni starania, a nie że „należy się jak psu micha”.

- Zrobić kawę? - zapytałam, gdy dojadł z talerza resztkę omleta.

- Gdzie jest ekspres? - Poderwał się od stołu. - Ja zrobię. Nie mogłam uwierzyć. Mężczyzna, w dodatku młody,

chce robić kawę! Niebywałe. Nie wiedziałam, czy mogę mu na to pozwolić. Może nie potrafi obchodzić się z ekspresem? W końcu każdy jest inny. Może się zgrywa i czeka, aż pójde i zrobię?

- Stoi na blacie. Kawę znajdziesz w górnej szafce po lewej stronie, blisko okna.

Skoro chce, nie będę się opierać.

O dziwo, wiedział, jak się obsługuje ekspres, kawę też znalazł bez problemu. Na stole postawił cukiernicę i sięgnął do lodówki.

- Skąd wiedziałeś? - wyrwało mi się ze zdumieniem.

- Gdzie jest śmietanka? - Ma całkiem miły uśmiech. Wcześniej tego nie zauważyłam. - Bo na ogół bywa w lodówce, na drzwiach. A lodówka to taka duża biała szafa w kuchni, w której trzyma się jedzenie, przynajmniej czasami. Wiem, bo sam je tam wkładam. Marta! Wyluzuj. Może wolisz słodzik?

Słodzik też znalazł.

- Dziękuję, jestem wystarczająco dosłodzona, Łukasz. Idziemy na ganek?

Słońce grzało niemiłosiernie jak na tę porę roku. Odruchowo wystawiłam twarz w kierunku fali ciepła. Nie ma starego, nie muszę iść do pracy, jest piękne przedpołudnie, niebawem zabiorę się za projekt...

Pstry, pstryk, pstryk. Dźwięk aparatu Łukasza wyrwał mnie z błogostanu.

- Co robisz?! - Spojrzałam przez przymrużone powieki.

- Zdjęcia. Całkiem, całkiem. - Zadowolony przeglądał fotki.

- Łukasz, skoro tak ci się śpieszy do roboty... Idziemy. - Wstałam, poprawiając sukienkę. - Na początek może do sadu?

- Marta, posłuchaj. - Łukasz znienacka zrobił się zasadniczy. - Umówmy się. Teraz ja jestem szefem, a ty mi oddajesz we władanie ogród i duszę. Ja będę

decydował, co robimy i od czego zaczynamy. Teraz załóż ten szal.

- To jest serweta, Łukasz. Zdjąłeś ze stołu serwetę!

- To załóż tę serwetę, która wygląda jak szal, i chodź ze mną za dom. Tam najwcześniej zniknie słońce, musimy na nie zapolować. I nic więcej nie mów, proszę. Tylko się uśmiechaj.

Wobec takiego ultimatum byłam bezradna. Łukasz wziął mnie w obroty jak nikt dotąd. Tu stań, przygnij gałązkę, odchyl liście, przyglądź trawę, włosy zmierzwić proszę! Nie tak, bardziej! Poruszaj tymi włosami, jak gdyby rozwiął ci je wiatr. Marta! Skup się, nie patrz na mnie! Dobrze, idziemy obok oczka wodnego. Tu trochę wieje. Wystaw twarz w kierunku wiatru. Dobrze! Pstryk, pstryk, pstryk.

- Może być... - Kiwał głową, nie do końca zadowolony. - Stań za rabatą astrów, popatrz na mnie. Nie tak! Uśmiechnij się. Widzisz, jak ja się uśmiecham? Zrób to samo. Dobra. - Już wyraźnie niezadowolony, zmienił taktykę. - Siadaj przed astrami, tutaj. - Wskazał na zagłębienie. - Siedź naturalnie, nie pozuj. Możesz rozsunać trochę nogi, jak gdybyś chciała narysować coś patykiem na piasku. Weź patyk, tam leży. Rysuj. Nie patrz na to, co rysujesz, patrz w słońce. Jesteś zadowolona, jesteś szczęśliwa, siedzisz wśród kwiatów i smarujesz po piasku patykiem, dobrze! Wytrzymaj! Jeszcze raz! Jesteś szczęśliwa, Martusiu, jak nigdy dotąd. Śmiejesz się, taaak...

Gdy padł na plecy, mrużąc zadowolony, zrozumiałam, że część sesji mamy za sobą. Leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami, przygnieciony ciężarem aparatu.

- Robimy przerwę? - Podeszłam do wyciągniętego w trawie dryblasza.

Nawet nie drgnął.

- Łukasz, powiedz coś. - Zero efektu. - Hej, co się dzieje? - zaniepokoiłam się.

Nachyliłam się, żeby sprawdzić, czy oddycha, i przekonałam się, w jak dobrej jest formie. Spokojnie usiadł, odłożył aparat na trawę, chwycił mnie za szyję i przyciągnął do siebie. Resztką przytomności chciałam przerwać nieuniknione, ale niewidzialna siła uciszyła rozsądek. Łukasz całował tak cudnie, jednocześnie delikatnie pieszcząc moje włosy, że opór topniał z każdą chwilą... Aż stopniał, zamieniony w potok namiętności.

Po chwili leżeliśmy spełnieni. Nawet nie próbowałam zapinać guzików. Rozkoszowałam się słońcem. Łukasz pocałował mnie w usta.

- Martusiu, dziękuję. Jesteś cudowna. Myślałem, że to się nigdy nie zdarzy... - Uśmiechał się tak czule, że nie miałam serca nietrafionym słowem psuć nastroju chwili. - Dobrze ci było?

- Tak, Łukasz, ale... Było. - Musiałam to powiedzieć. Czułam coraz większe skrępowanie. - Nie chcę cię urazić... - Guziki odnalazły swoje miejsca w dziurkach. - Łukasz, ja po prostu nie ogarniam... Chodźmy do domu i nie rozmawiajmy o tym teraz, proszę. Byłeś naprawdę wspaniały.

Najdelikatniej jak mogłam, dałam mu do zrozumienia, że sytuacja trochę wymknęła się spod kontroli. Czułam zażenowanie. Ja, z młodym facetem? Na pewno zauważył moje niezbyt jędrne ciało, a jutro zapewne dojdzie

do wniosku, że po prostu jestem łatwa, a mój były to szczęśliwiec, który zostawił wiarołomną żonę, nieprzepuszczającą okazji. Przespałam się z facetem, kotłowało się w mojej głowie. Po raz pierwszy nie był to Rafał... Dlaczego wydaje mi się, że kogoś zdradziłam? Dlaczego pomyślałam o Szymonie?

Roza przyjechała autobusem, na który odstawiłam Łukasza. Jej paplanina w drodze do Mieszkowic pozwoliła mi nieco zapomnieć o przeżyciach dzisiejszego dnia.

- Mami, udały się zdjęcia? - Przypomniała sobie cel wizyty Łukasza.

- Tak. Myślę, że to będzie dobry materiał. - Staralam się markować ożywienie. - Zrobię ci kolację, a później siadam. Mam trochę pracy nad projektem.

Dojechałyśmy do bramy.

- Świetnie, mami, że się za to bierzesz. A ten twój fotograf jest niczego sobie...

Też to zauważyła!

- Robi dobre zdjęcia. Dlatego poprosiłam go o pomoc.

- No pewnie, mami, Jak się ma kogoś takiego w redakcji, trzeba korzystać z okazji. - Roza pobiegła przywitać się z Łajdusem.

Co za słowa!. „Wykorzystać okazję”, „ten twój fotograf jest niczego sobie”, „świetnie, mami, że się za to bierzesz”. Mówi, jakby wiedziała. A jeżeli się domyślała? Co za wstyd.

- Widzę, że twój gość raczył się omletem z kurkami. - Roza zauważyła resztki porannej uczy, których nie

zdażyłam sprzątnąć, pomagając Łukaszowi przy kolejnych zdjęciach, a potem śpiesząc się, by odebrać ją z autobusu.

- Niezła szycha, skoro go tak przyjmowałaś.

- Córciu, nie bądź złośliwa. - Wyrażnie się czepiała.

- Chcesz omlet?

Machnęła ręką, żeby nie przeszkadzać. Zadzwoiła jej komórka.

- Zejdź za trzy minuty! - zdażyłam krzyknąć, zanim zniknęła na piętrze.

- Co w szkole? - wykazałam rodzicielskie zainteresowanie, gdy resztki omleta znikwały z talerza.

Spodziewałam się typowego „okej, Mamuś”, Rozalia była jednak w nastroju do rozmowy. Ogólnie spokój, szykuje się wycieczka do Wiednia i Pragi, na którą chętnie by pojechała, Maryśka, jej najbliższa kumpela, ma nowego chłopaka i ciągle jest zajęta, w Bałtyckiej pokazały się super kurtki w promocji i musimy jechać szybko, bo wykupią.

Zapytałam o Kajtka, u którego też wszystko okazało się w porządku. Po dwóch godzinach relacji Rożka przypomniała sobie o lekcjach.

- Matko, muszę zrobić polak! - Z ociąganiem ruszyła się z kanapy. - Odwieziesz mnie jutro do Gdyni? - Spojrzała błagalnie.

- Córciu, jutro nie mogę. - Odmowa przyszła mi z trudem. - Mówiłam ci, że jeszcze jeden dzień pracujemy z Łukaszem. Musisz wytrzymać. Ale po południu odwiozę Łukasza do Gdyni i odbiorę cię z basenu. Dobrze?

- Pamiętasz, o co cię prosiłam? - Moje dziecko nie było zadowolone z odpowiedzi. - Nie pamiętasz - wywnioskowała z mojej miny. - Żebyś się zastanowiła nad przeprowadzką do Gdyni.

- Rozalko...

- Zastanowisz się? - Nie dawała za wygraną.

- Obiecuję, że się zastanowię. Porozmawiamy później. Idź i zrób ten polak.

Wieczne problemy. Ja mam przymusowy urlop, Roza chce się przeprowadzać, Kajtek się nie odzywa. I jeszcze ten Łukasz.

Idąc do swojego pokoju, zastanawiałam się, jak zacząć list do Szymona.

KAJETAN

- Co tu robisz, Rudzielcze?! - Kocisko wygrzewało mój fotel przed komputerem. - Tu się ukryłeś, zazdrośniku jeden! Obraziłeś się, że pani miała gościa, i odebrało ci apetyt? Nie martw się, kocie. Ten pan będzie nas niepokoił jeszcze tylko jutro. Rozumiesz?

Kocisko spojrzało mi w oczy ze zrozumieniem i dało się delikatnie przegonić na podłogę. Podniosłam pokrywę laptopa. Zielone (kocie!) światełko zamrugało, sygnalizując gotowość. Na ekranie pojawiły się znajome Google. Jeszcze tylko www.home.pl i miałam przed oczami kilka nieodebranych wiadomości. Jedną z nich od Szymona. Natychmiast otworzyłam, zagłuszając wyrzuty sumienia. Nie dość, że lakonicznie odpisałam na ostatni list i nie odezwałam po wizycie Greków, to dzisiaj jeszcze ta historia z Łukaszem. Początek był, jak zwykle, miły.

„Witam Cię, Martusiu.

Długo się nie odzywasz, masz pewnie sporo zajęć. Mam nadzieję, że sprawa z Grekami zakończyła się pomyślnie, chciałbym jednak usłyszeć to od Ciebie. Wierzę, że brak wiadomości jest dobrą wiadomością, dlatego

cierpliwie czekam, aż znajdziesz czas i chęć, by do mnie napisać. Muszę się przyznać, że kręciłem się w pobliżu Muzy, a potem pojechałam za Wami do Twojego domu. Wybacz mi. Po raz pierwszy i ostatni zrobiłem to nieproszony, ale wynikało to jedynie z troski o Ciebie. W tym miejscu powinienem chyba napisać, że bardzo mi się podoba Twoja posiadłość, niestety - było ciemno i niewiele widziałem. Za to doskonale widziałem Ciebie w restauracji i żałowałem, że to nie ja siedzę z Tobą przy stoliku. Martusiu, zdjęcie w gazecie nie oddaje Twojej urody i osobowości, musisz koniecznie je zmienić. Prawdopodobnie nie macie dobrego fotografa. Nie umiem wygłaszać komplementów, a tym bardziej przelewać ich na papier. Boję się, że palnę jakieś głupstwo, płaski truizm, którym - nie daj Boże! - Cię obrażę. Dlatego ograniczę się do stwierdzenia, że jesteś piękna, uroczo się uśmiechasz, masz w sobie dużo życia i pogody. Jeszcze raz to powiem: nie rozumiem, jak Twój mąż mógł... Jak mogliście się rozwieść. Z jednej strony cieszę się, że nie jesteście już razem, z drugiej, niestety, w jakimś sensie rozumiem Twojego eks, ponieważ też kiedyś w życiu mi się nie udało. Ale żeby było jasne - bardziej się cieszę, niż go rozumiem...

Nie będę zawracał Ci głowy swoimi sprawami, zanim nie dowiem się, co u Ciebie. Muszę jednak wspomnieć, że wypływam z Gdyni na pomiary na dwa miesiące, zabierając ze sobą laptopa i dostęp do Internetu. Liczę, że nie stanę się Robinsonem odcięty od świata i ludzi, a przede wszystkim od Ciebie, Martusiu. Mam nadzieję,

że wzburzone fale stalowego Morza Północnego nie zakłócają połączenia z Polską, z Gdynią, z Tobą.

Pozdrawiam serdecznie Ciebie, Twoich bliskich. Możesz pogłaskać ode mnie tego sympatycznego szczekającego psa Szymon".

A jednak się kręcił wokół Muzy, a ja go nie zauważyłam! Był też w Mieszkowicach, Łajdus czekał, mamy niedobrego fotografa (no i pojawił się motyw Łukasza!). Co ja dzisiaj zrobiłam? Kompletnie wariactwo, kryzys wieku średniego? Co ja mówię? Menopauza! Zadawać się z młokosem?! Odczułam gigantyczny wstyd i niechęć do własnej osoby. Za jednym zamachem zdradziłam Szymona i nie byłam szczerą wobec Łukasza.

Nic się nie stało, uspokoiłam się w myślach. Łukasz na pewno odebrał sytuację jako nieistotny wybryk, spowodowany dobrą pogodą i nastrojem chwili. Każdemu może się zdarzyć. Jutro nie będziemy pamiętać. Oby tak było...

Przed napisaniem listu do Szymona zeszłam na dół, by zrobić kawę. Ekspres cicho bulgotał, powoli napelniając filiżankę ciemnym, pachnącym płynem.

- Co jesteś taka zadowolona? - Rozalia nakryła mnie na gonitwie myśli. - Zakochałaś się?

- Roza, co ci przychodzi do głowy? - Prysł czar gapienia się przez okno na księżycowy ogród. - Stary wysłał mnie na przymusowy urlop - podałam dobre usprawiedliwienie chwilowego odlotu. - Ale nie martw się, coś wykombinuję. Nie w głowie mi miłości.

- Może tobie nie. Ale ten twój Łukasz tak na ciebie patrzył...

- Rozalia! - Naprawdę się wkurzyłam. - Wydawało ci się. A nawet gdyby, wybaczone, to nie jest twoja sprawa. Jeżeli tak cię interesuje życie uczuciowe twoich rodziców, zajmij się tatusiem. Jego na pewno jest ciekawsze. Ja na razie muszę walczyć o przetrwanie i raczej oczekuję wsparcia, a nie ataków.

- Naprawdę możesz stracić pracę? - Przysiadła na krześle, opanowując emocje.

- Mogę i staram się przygotować do zrobienia projektu na konkurs, rozumiesz? I jak widzisz, nie jest mi łatwo. Rozalia. - Chwyciłam ją za rękę. - Proszę cię o wyrozumiałość jeszcze przez dwa miesiące. Na wypadek gdybym nie mogła cię zawieźć do szkoły czy odebrać. Muszę spróbować. Postaraj się mnie zrozumieć.

Przez chwilę patrzyłyśmy sobie w oczy; nie wiedziałam, czy ze zrozumieniem. W każdej chwili moja córka mogła odwrócić wzrok i iść dokończyć polak. Wytrzymałam.

- Mami... Myślę, że powinnaś zadzwonić do Kajtka.

- Coś się stało?! - Zdenerwowałam się.

- Nie było go dzisiaj w szkole. Pewnie jest chory, a tata wyjechał - doniosła niechętnie.

- Kajtek nic mi nie mówił. Rozmawiałam z nim wczoraj.

- Brał jakieś gripexy czy tam coś... - Wyczułam, że Rozalka nie jest do końca szczera. - Musiało mu się pogorszyć.

- Kajtek? - Natychmiast złapałam za telefon. - Jak się czujesz?
- zapytałam i usłyszałam w odpowiedzi charczący skowyt. -
Jesteś tam?

Po głosie zorientowałam się, że nie ma na co czekać.

- Kajtek, zaraz u ciebie będę. Zabieram cię do domu. Trzymaj się.

- Roza, wyjeżdżam po Kajetana. Zamknij za mną bramę.

Złapałam torbę, kluczyki i przepędziłam wiecznie kręcącego się pod nogami Łajdusa.

- Na miejsce! Już! Rozalka, zamknij bramę, bo ten cholerny kundel wybiegnie.

Droga do Gdyni nie zajęła mi więcej niż trzydzieści minut. Stałam pod domem Rafała, czekając, aż Kajtek otworzy mi drzwi domofonem. W końcu usłyszałam sygnał.

- Słucham?

- Otwieraj, synuś. To ja. - Uff, ważne, że żyje. O dziwo, był już ubrany, z gotową torbą.

- Łazienkę wziąłeś? - Zerknęłam, czy zabrał kosmetyczkę. Była.

Dom czekał na chorego. Roza przygotowała łóżko. Świeża pościółka, wywietrzony pokoik. Zmęczony biedaczek zaległ pod kołdrą, oddając się rozkoszom opieki.

- Mamuś...

- Zimno ci. Może przykryję cię kocykiem?

- Tak, możesz mnie przykryć. Chce mi się pić.

- Herbatka z miodem i cytryną? Wycisnę ci jeszcze sok z grejpfruta.

- Bosko. A masz coś do jedzenia?

- Poczekaj, zaraz wszystko przyniosę.

Widać dawno nie jadł. Pognałam do kuchni, by przepatrzyć lodówkę. Wprawdzie kurki wyszły, ale w zamrażalniku była pierś z kurczaka. Szybko pod ciepłą wodę, żeby się rozmroziła, przygotować przyprawę do drobiu, patelnię, sól, olej, frytki. Nie mam kiszanej kapusty! Moment, są ogórki konserwowe. Zrobię sałatkę z cebulą, musztardą i majonezem. Zje. W międzyczasie wycisnąć grejpfruta, rozpuścić medykamenty w ciepłej wodzie, przygotować wodę z cytryną i miodem.

Za chwilę słoneczny kotlet z piersi kurczaka z frytkami i surówką zniknął w ustach Kajtusia.

- Może jeszcze frytek, synuś?

- Nie. Ale jakbyś miała mleko czekoladowe...? Mam. Wiedziałam, że kiedyś przyjedziesz! - pomyślałam.

Mleko będzie musiało poczekać do jutra... Kajtek zasnął, pozostawiając po sobie pusty talerz, zanim zdążyłam je przynieść. Przymknęłam okno w pokoju, noce bywały już zimne. Spał spokojnie. Nie domknęłam drzwi. W razie czego.

Mój komputer nadal pracował.

Aha, odpisać Szymonowi!

Kliknęłam. Po emocjach dzisiejszego dnia z ulgą zasiadłam do klawiatury. „Witaj, Szymon.

Wreszcie mogę w spokoju odpisać. Czasami dni, które rozpoczynają się normalnym wschodem słońca,

podobnym do wczorajszego wschodu i nawet do przedwczorajszego, okazują się zupełnie nieprzewidywalne i pełne wrażeń. Śmiać mi się chce z mojego filozofowania, choć wierz mi, że dzisiejszy właśnie taki był. Długi i zaskakujący. Wybacz, piszę pod wpływem emocji, więc pewnie niezbyt składnie. Godzinę temu przywiozłam z Gdyni chorego Kajtka, który, jak wiesz, mieszka teraz u ojca. Rafał musiał wyjechać w jak zwykle ważnych sprawach służbowych, a dzieciak został sam, chory, z gorączką. Na szczęście teraz śpi w Mieszkowicach, najedzony, napity i nafaszerowany lekami. Będę się nim opiekować, dopóki nie wyzdrowieje i nie uzna, że znowu mu lepiej z ojcem... Nieważne, najistotniejsze, żeby się wykurował. Przepraszam za dywagacje na temat Rafała i jego opieki nad naszym synem...

Spodziewałam się, że będziesz w okolicach Muzy, skrupowanie sytuacją mnie nie opuszcza. Nie znamy się, Szymonie, osobiście i wierz mi, sama się sobie dziwię, że mogłam Cię prosić o taką przysługę. Niemniej jednak dziękuję Ci bardzo, że miałeś na wszystko oko. Prawdę mówiąc, wypatrywałam nieznanego Pana Szymona, nie dostrzegłam go jednak... Szkoda, że jestem tak mało spostrzegawcza. Faktycznie, masz nade mną przewagę. Ja Ciebie nigdy nie widziałam, co, mam nadzieję, kiedyś nastąpi. Wiem, że czekają nas dwa miesiące mejlowej korespondencji, które spędzisz na stalowych wzburzonych falach Morza Północnego. A potem? Zobaczymy (to znaczy Ty zobaczysz i ja zobaczę). Na szczęście oboje jesteśmy wolni i mamy swoje życia. Piszesz, że wiesz, co robić,

i że żadne sztormy Ci niestraszne. U mnie wygląda to trochę inaczej. Praca nie jest pewna, walczę. Zaczynam się jednak przyzwyczajać. I jestem coraz bardziej zwarta i gotowa. To taka nowa jakość po minionym, i jak się okazało - pozornym, bezpieczeństwie małżeńskiego stanu.

Jeszcze raz dziękuję Ci za wszystko, co dla mnie robisz, nieznamy Szymonie. Bez względu na niezależność, która coraz częściej gości w moim sercu, czekam na list Pana od morskich badań przy dźwiękach kojących dźwięków Caro Emerald, które bardzo lubię.

Pozdrawiam Cię bardzo. Czekam na kolejny dzień i na znak od Ciebie

Marta".

RAFAŁ

Kajtek spał do drugiej po południu. Roza kończyła już chyba piątą lekcję. Łukasz, niespecjalnie zadowolony z niespodziewanej obecności mojego syna, biegał po terenie, fotografując coraz to nowo odkrywane kwiaty, krzaki i inne rośliny, łapiąc słońce, światłocienie, emocje natury. Nie wiem, czy natura może przejawiać emocje, ja w każdym razie nie miałam na to ochoty. Zamiast kurek usmażyłam normalne schabowe z ziemniakami i kapustą, które bardzo lubi Kajetan. Mój chory syn zadziwiająco szybko się podkurował i pełen nadziei na całkowite wyzdrowienie postanowił nam towarzyszyć przy obiedzie, z czego byłam niezmiernie zadowolona. Łukasz mniej.

- Mamuś? Masz sok grejpfrutowy?

Pobiegłam do spiżarni, łapiąc kątem oka spojrzenie Łukasza pełne głębokiej dezaprobaty.

- Też ci nalać? - zapytałam go, gdy napełniłam szklanekę Kajtka.

- Dziękuję. Wezmę sobie wody.

Był wyraźnie niezadowolony. Po obiedzie odszedł od stołu, zaniósł talerz do kuchni i wyrażając uznanie

dla moich zdolności kulinarnych, pobiegł do ogrodu, ponieważ „czeka mnie jeszcze sporo pracy”.

- Niezły chimeryk z tego twojego fotografa. - Łukasz najwyraźniej nie przypadł Kajetanowi do gustu. - Naprawdę jest taki dobry?

- Zobaczymy, gdy skończy sesję. Jest zdobywcą wielu nagród, to chyba o czymś świadczy? A poza tym, skąd bym wzięła innego? Na pewno ze mnie nie zedrże. Wspominałam ci rano o stanie moich dochodów, szalu nie ma. Nie czepiaj się - próbowałam uciąć dyskusję.

- Zedrżeć to on by chciał, ale co innego... - bąknął pod nosem mój syn.

- Kajetan! - Tym razem przesadził. - Co ty sobie wyobrażasz? Co insynuujesz! Jak śmiesz obrażać mnie i mojego gościa! - Przypomniałam sobie wczorajsze dygresje mojej córki. - Kajtek. - Próbowałam zdobyć się na spokojny ton po ataku pierwszej złości. - Teraz ty zaczynasz. Byłam spokojna, chociaż nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego odwróciłeś ode mnie po rozwodzie. Przecież to nie ja zawiniłam. Zawsze usprawiedliwiałeś ojca i widzę, że według ciebie nadal tylko on ma prawo ułożyć sobie życie, bo ja resztę życia powinnam spędzić samotnie.

- Może nie samotnie, ale z takim chłystkiem? - Nadal był hardy.

- A kto ci powiedział, że coś mnie łączy z Łukaszem? - Zaczęłam się zastanawiać, czy Kajtek nie przybył do Mieszkowic w roli przyzwoitki. Kaszel przeszedł jak ręką odjął, głos powrócił do normalności, po katarze ani śladu. - A poza wszystkim: ja się nie wtrącam do ciebie

i twojej dziewczyny. Ani razu nie zapytałam, czekałam na twój ruch.

- Ty wiesz o Majce? - Piłka trafiła na boisko Kajetana.

- Rozalia puściła farbę?

- Nic nie puściła. Po prostu próbowała usprawiedliwić twoją skłonność do mieszkania w Gdyni. Rozumiesz?

- Z wyrazu oczu mojego syna wynikało, że nie. - Żeby nie było mi przykro, że wybrałeś ojca.

Po raz pierwszy od długiego czasu rozmawialiśmy, czymkolwiek miałyby się to zakończyć. Modliłam się w duchu, by do kuchni zniecka nie wszedł Łukasz. Kajetan, nieodrodny syn swojego ojca, nie przepadał za szczerą rozmową. Nie, przypominałam sobie Rafała z narzeczeńskich czasów... Nieraz rozmawialiśmy, gadaliśmy, paplaliśmy, snuliśmy plany, ganialiśmy po osiedlach domów jednorodzinnych, wynajdując ten jedyny, w którym będziemy kiedyś mieszkać, docieraliśmy się w opiniach o życiu, przyszłych dzieciach, rodzicach, finansach, wakacjach, podróżach. I nic nie wydawało się trudne.

- Najważniejsza jest spontaniczność. Naszym planem ma być brak planu - snułam wizje życia w miłości i podbijania świata.

- Ale na to trzeba zarobić, a to należy do mnie - Rafał poszukiwał sposobów realizacji.

- Masz rację, kochanie. Moje pomysły są infantylne

- zachwycałam się rozsądkiem mojego przyszłego męża.

- Nie, to ty masz rację. Zawsze będziemy spontaniczni. Nie możemy dać sobą powodować życiu, przecież

wszystko zależy od nas. Najważniejsze, żeby się kochać. - Zakochany Rafał dawał mi to odczuć, godząc się na moją wizję.

Szczerze rozmowy, kończone „głęboką satysfakcją” z porozumienia, po latach zamieniły się w dyskusje o przyszłości rodziny, kończone negocjacjami, ustępstwami, a najczęściej czytaniem książek. Każde w swoim kącie łóżka. Z czasem, o dziwo, udało nam się zgrać. Rafał dochrapał się dobrej pozycji w gronie gdyńskich adwokatów, ja oddałam się pieleniu ogródka (nie licząc pańszczyzny w gazecie), dzieci kwitły niczym hiacynty na wiosnę. Była i spontaniczność wyjazdów *all inclusive*, i pieniądze na te wyjazdy. A że nie musieliśmy już tyle rozmawiać? Widać dobrze się rozumieliśmy. Stare dzieje, nie ma o czym mówić.

- Synuś, co się dzieje? - postanowiłam wyciągnąć do niego rękę. - Wszystko w porządku?

- Chciałbym pomieszkać u ciebie... - Wyznanie przyszło mu z trudem. - Z Majką to już przeszłość, nie ma o czym gadać.

- To nie gadajmy. Cieszę się, że pomieszkasz ze mną, i... Przykro mi z powodu Majki.

Machnął ręką.

- Zawiozę Łukasza do Gdyni i wezmę Rozalkę. Kupić ci coś? - próbowałam zmienić temat.

- Nic nie kupuj. Ale zrób dzisiaj grzanki w piekarniku. Z szynką i serem. - Wraciał do życia.

Długie popołudnie z Łukaszem i Kajetanem w tle dobiegało końca. Z ulgą zapakowałam się do samochodu.

Jeszcze tylko przeżyć drogę do Gdyni, i spokój, o którym, jak się okazało, mogłam tylko pomarzyć.

- Marta... - zaczął Łukasz, ledwie ruszyliśmy z Mieszkowic. - Mam wrażenie, że mnie unikasz.

- Chodzi ci o Kajetana? Przepraszam, wczoraj musiałam go przywieźć. Rozchorował się, a Rafał wyjechał.

- Nie wygląda na specjalnie chorego.

- Wiesz, pod maminy okiem szybko się polepszyło - próbowałam żartować. - Chłop z katarem sam w domu jest bardzo chory. Aha, musimy porozmawiać o rozliczeniu - zmieniłam temat. - Powiedz, ile ci jestem winna.

- Chcesz mnie urazić? - Było gorzej, niż myślałam.

- Łukasz, oczywiście, że nie mam zamiaru cię urazić. Pracowałeś dwa dni i mów, ile się należy. Kiedy będziesz miał te zdjęcia? - odsunęłam trudny temat.

- Jak zrobię, dam ci znać - rzucił, patrząc przed siebie. Mijaliśmy szpaler przydrożnych drzew, za którym pojawił się znak, że wjeżdżamy do Gdyni. Jeszcze kilka zakrętów, świateł, skrzyżowań. Stałam przed jego domem.

- Bardzo ci dziękuję, Łukasz. Będę czekała na sygnał

- zebrałam się do pożegnania.

- Wspólnie na pewno osiągniemy sukces, Martusiu.

- Nie wiedziałam, co miał na myśli. - Jesteśmy sobie potrzebni. - Zabrzmiało groźnie. - Mogę całusa czy się obrazisz?

Pocałowałam go w policzek, uchylając się przed bliższym kontaktem.

- Dlaczego jesteś taka? - Aha, na pewno będę się tłumaczyć. - Zrobiłem coś nie tak?

- Łukasz, to chyba ja zrobiłam coś nie tak. Czy możemy teraz o tym nie mówić? - Czułam skrępowanie. - Spotkajmy się, gdy będziesz miał zdjęcia. Może być?

- Widać musi. Jedź po córkę. Pożałowałam, że poprosiłam go o pomoc.

- Łukasz!

Zatrzasnął drzwiczki i machnął ręką na pożegnanie. Po co mi to było?

Wściekła i bezradna złapałam za telefon. Cholera jasna, to wszystko przez Rafała (winny zawsze musi się znaleźć!). W końcu nie zbałamuciłam nieletniego, jestem wolna i nie mam stu lat! To Rafał zostawił chorego Kajetana, przez co doszło do niefortunnego spotkania naszego syna z Łukaszem. A Kajtek, jak wścibska przyzwoitka, uruchomił na nowo moje ukochane wyrzuty sumienia. Wybuchały niczym tropikalne rośliny.

- Rafał! To ja! - wrzeszczałam, usłyszawszy głos ojca moich dzieci w słuchawce. - Jak mogłeś wyjechać i zostawić chorego Kajetana w domu bez opieki? Wczoraj odebrałam go z gorączką, i to tylko dlatego, że Roza mi powiedziała. Jesteś kompletnie nieodpowiedzialny!

Po tamtej stronie zapanowała cisza. Pewnie próbował znaleźć jakąś zręczną prawniczą ripostę.

- Marta - usłyszałam spokojny ton opanowanego adwokata. - Wyjechałem na jeden dzień, a nic nie wskazywało na to, że Kajtek jest chory. Nie wiem, co się stało, ale jeśli potrzebujecie pomocy...?

- Niczego nie potrzebujemy, dajemy radę. Nie próbuj tych swoich sztuczek, tego, jak to nazywacie, matactwa, byle tylko „zaciemnić obraz sprawy”. Na wszystko znajdziesz usprawiedliwienie, w końcu jesteś w tym mistrzem. Bryluj sobie zawodowo w tych swoich mętnych wodach, nie próbuj jednak ze mną sztuczek w sprawie dzieci. Zresztą nie będziesz miał na razie okazji. Kajetan postanowił pomieszkać w Mieszkowicach.

- Marta, uspokój się, proszę. Nie jestem niczemu winny. Jak dalszy ciąg mowy obrończej, tym razem we własnej sprawie.

- Oczywiście, jak zwykle, pan bez winy. Gratuluję! - zaczynałam się rozkręcać. - Co? Zaraz mi powiesz, że to do mnie niepodobne, że powinniśmy porozmawiać spokojnie. Może powinnam sobie popielić na uspokojenie? Nic z tych rzeczy! Na uspokojenie napiję się wina, gdy tylko wrócę do chałupy. Do Mieszkowic. Pamiętasz, gdzie to jest? Tam gdzie mnie wpakowałeś i zostawiłeś!

Milczał. Przeszło mi przez myśl, że trochę przesadziłam, ale złość nie pozwalała mi spuścić z tonu. Dyszałam z wściekłości. Z powodu mieszkania na wsi, groźby utraty pracy, nieodpowiedzialności mojego byłego i historii z Łukaszem.

- Marta, jesteś tam? - Rafał, o dziwo, nie wyłączył telefonu. - Proponuję, żebyśmy byli z sobą w kontakcie, przynajmniej jeżeli chodzi o dzieci. Odbieraj telefony ode mnie. To jedyny sposób, aby zapanować nad Rozą i Kajetanem. I napij się tego wina, jeśli ci to pomoże.

- Będę odbierała telefony. - Górę wzięło opanowanie. W każdym razie mogłam już rozmawiać w miarę normalnie. - Kajtek jest u mnie. W razie gdybyś się martwił. To tyle. Do usłyszenia.

Wyłączyłam telefon. Musiałam głęboko odetchnąć, by ruszyć po Rozalię. Po drodze zamierzałam zrobić zakupy - w pierwszej kolejności nabyć wino. W radiu leciała Caro Emerald.

Tak, znacznie lepiej.

SZYMON, ALINA

Z nadzieją usiadłam do komputera i nie zawiodłam się. List od Szymona czekał w nieodebranych.

„Dziękuję Ci za list, Martusiu”.

Pierwsze miłe słowa tego dnia.

„Z największą przyjemnością siadam, żeby Ci odpisać. Nie wiesz nawet, jak ważne i przyjemne dla mnie jest mieć kogoś, kto czeka na mój list. Dwumiesięczna banicja nie jest może końcem świata, nie należy jednak do największych przyjemności. Tu każdy z naszej dziesięcioosobowej grupy pasażerów IMOR-u (tak nazywa się statek) ma na lądzie bliskich i na kontakty z nimi poświęca czas po wachcie. Oczywiście prawdziwą morską wachtę pełni jedynie załoga: kapitan, bosman, pierwszy oficer i mechanik. Pozostali obsługują urządzenia pomiarowe, odczytują wyniki i przesyłają je do Gdyni. Codziennie zmieniamy obszar pomiarowy, czyli przesuwamy się o kilkaset metrów lub kilka kilometrów, by badać kolejne kawałki dna. Dzień podobny do dnia, wieczór do wieczora. Mamy, oczywiście, kontakt ze światem. W mesie wisi duży telewizor, każdy ma laptopa i komórkę. Trzeba tylko

mieć do kogo dzwonić lub pisać... I za to Ci dziękuję, Moja Pani, przyszła projektantko ogrodów. Niepokoisz się sytuacją w pracy, dałaś do zrozumienia, że pojawiły się problemy. Marta, spójrz na to inaczej. Widać tak musi być, może los daje Ci do zrozumienia, że trzeba iść inną drogą? Czytałaś Paolo Coelho? Bardzo jest mi bliska jego teoria, że każdy z nas ma własną legendę, którą tylko musi odnaleźć dzięki znakom dawanym przez los. Nie chcę się wymądrzać, bo nie znam sytuacji. Rozumiem Twoją obawę o zatrudnienie, o pieniądze na dom, dzieci, na życie. Gdybym mógł Ci jakoś pomóc? Nie krępuj się, jeśli potrzebujesz pieniędzy na cokolwiek; zawsze możesz na mnie liczyć. Zapytasz dlaczego? Potraktuj tę propozycję jak dobrą inwestycję z mojej strony. Jestem pewien, że wygrasz ten konkurs, jeżeli się tylko zaangażujesz. Ale na to potrzeba spokoju i koncentracji, a nie walki o byt. Jeżeli krępujesz się przyjąć pieniądze od obcego faceta, zawsze możesz je pożyczyć. Nie jestem może rekinem finansowym, mam jednak trochę zaskórniaków, a potrzeby niezbyt wielkie. Pamiętaj, musisz mieć dużo spokoju, by poświęcić się projektowi. Nie pozwól otoczeniu zawładnąć całym Twoim czasem i uwagą. Odrobina egoizmu jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Nie staniesz się wyrodną matką, córką, siostrą przez to, że nie zrobisz wystawnego obiadu. Ilekroć popadniesz w psychiczne tarapaty, pomyśl o tym, co mówię. Gdybym był na miejscu, mógłbym zaoferować większą pomoc. Może mi kiedyś na to pozwolisz? Teraz trzymam kciuki za projekt i za Twoją niezależność. Uda się, obiecuję Ci.

Nie zanudzam dłużej, pozdrawiam jak zawsze serdecznie Szymon Crusoe".

Treścią listu również nie byłam zawiedziona. Szymon wierzył we mnie, podobnie jak Alina. Oboje twierdzili, że będzie sukces. Swoje poparcie ubrali nawet w takie same słowa: „Uda ci się, obiecuję”.

Czyżby Ala miała coś wspólnego z naszym poznaniem? - zawładnęła moją wyobraźnię przewrotna myśl. Próbuje nas wyswatać? Niemożliwe, odrzuciłam tę nedorzecznosc. Przecież mogła mnie z nim poznać tak po prostu, a nie próbować sztuczek. To do niej niepodobne. Mimo wszystko nie mogłam się pozbyć kielkujących wątpliwości. Po trzecim kieliszku wina historia zaczęła nabierać kolorów. Przypomniałam sobie Kajetana, który „rozchorował się” dokładnie w czasie wizyty Łukasza i ozdrowiał natychmiast, gdy tylko ten zaczął zbierać się do wyjazdu. Matko, czyżby Ala wciągnęła do swojego planu dzieciaki? Przypomniałam sobie skrawki rozmów w redakcji, gdy insynuowała, że Łukasz interesuje się moją osobą... Ja, oczywiście, sprawę bagatelizowałam, przerywając dywagacje na ten temat. Oho, muszę z nią porozmawiać.

- Alina? - Chwyciłam za brzęczącą komórkę. - A, to ty, Renata... - Tak byłam pewna, że ściągnęłam Alinkę myślami, że zdziwiłam się, słysząc w słuchawce głos siostry. - Coś z mamą?! - Renata nigdy nie dzwoniła bez powodu w okolicach północy.

- Nie wiem. Co mnie to teraz obchodzi! Marta... - Moja siostra była wzburzona i kompletnie rozstrojona. - Mam kłopot z Krzysztofem.

Znowu jest niegrzeczny. Czym tym razem naraził się swojej żonie? Norma, czyli nie stało się nic złego. Uspokoiliam się. Kłopoty z Krzyśkiem zazwyczaj ograniczały się do tego, że za dużo pracował. A może jest chory?

- Jest chory?! - Zarzuciłam sobie znieczulicę. - Co się dzieje, Renia?

- Nie wrócił do domu. Podobno ma jakieś spotkanie!

- Niemal krzyczała. - Spotkanie! O północy!

- Spokojnie - próbowałam ją uciszyć. - Kiedy z nim rozmawiałaś?

- Jakies dwie godziny temu. - Starala się opanować.

- Powiedział, że bankiet się kończy i zaraz wraca. I tak wrócił, że go nie ma.

- No widzisz, jest na bankiecie. - Znalazło się wytłumaczenie.

- Nie martw się. Dojedzie do domu. Przecież wiesz, że nie pije. Nic mu nie będzie.

- Myślisz, że to tylko bankiet? - Renata szukała wsparcia.

- A co innego? Poszedł na lumpy? - zażartowałam.

- Chyba byłby głupi! - Rozmowa zdecydowanie zaczęła się uspokajać. Moja siostra wracała do normy. - Ja bym mu dała!

- Sama widzisz, że nie ma się o co martwić. Poczekaj spokojnie...

Nie dokończyłam.

- Kiedy to się wraca do domu? Co ty sobie wyobrażasz! - Dochodzący z oddali głos Renaty, z pewnością skierowany do marnotrawnego męża, dał mi znać, że nasza rozmowa jest skończona.

- Mamuś, nie śpisz jeszcze? - Kajetan wsunął głowę w drzwi, pozwalając kłopotom Renaty opuścić mój pokój.

- Potrzebujesz czegoś, synku? - Oto gotowa do pomocy mamusia. Z pewnością nie przyszedł dowiedzieć się o moje samopoczucie.

- Chyba nie pójde jutro do szkoły. Poleżałbym jeszcze...

- No pewnie, że chory nie pójdziesz. - Dobra odpowiedź.

- To zostanę w domu do końca tygodnia, okej? Szóstym zmysłem wyczułam przekręt, co „chory” potwierdził, z trudem opanowując teatralny kaszel.

- Kajetan, idź się położyć i weź lekarstwa, które ci przygotowałam. Nie wiem, o co chodzi, i nie mam teraz siły z tobą rozmawiać. Jutro mi powiesz, okej?

- To lecę! - Niemal zapomniał o swoim złym samopoczuciu. - Dobranocka! - Delikatnie zamknął drzwi. W jego głosie usłyszałam uznanie dla mojej reakcji.

„Nie pozwól otoczeniu zawładnąć całym Twoim czasem i uwagą”, przypomniałam sobie słowa Szymona. „Odrobina egoizmu jeszcze nikomu nie zaszkodziła”. On chyba nigdy nie miał dzieci, matek, sióstr i byłych mężów. To pewne. Zabrałam na ganek ostatni już dziś kieliszek wina i usiadłam przy ławce. Październik nadal zachwycał ciepłem, księżycem, barwami, których nie

potrafiła ukryć nawet noc. Ciekawe, jak wygląda teraz morze? Wirtualny Szymon usiadł obok. Wszystko się ułoży, a może wszystko się zmieni... Jakkolwiek by było, Ala i Szymon obiecali mi sukces. Trzeba wziąć się do projektu.

ALINA

- Alinko, chciałabym się z tobą zobaczyć. - Wolałam telefon niż pojawienie się w redakcji.

- Coś się stało?

Zapewne oderwałam ją od pisania.

- Może tak, może nie. Masz czas po pracy? Podjechałabym...

- Dobrze - odparła po zastanowieniu. - Będę miała godzinę do odebrania Czarka. Powiedz, co się dzieje?

- Chcę porozmawiać na temat Szymona - wywaliłam z grubej rury

- Jakiego Szymona? - udawała, że niczego nie rozumie.

- Internetowego, Alinka. Przecież wiesz.

- Marta, nie wiem, o co ci chodzi, pogadamy. Przepraszam, ale stary się pojawił.

„Stary się pojawił”. Widać zawsze się pojawia, gdy jest trudna sytuacja. Stary - straszak, stary - koło ratunkowe. Byłam pewna, że Alina ściemnia. Jak może kombinować za moimi plecami? Alina? Z Szymonem? Kim jest ten Szymon, gdzie go wynalazła? Ale żeby jeszcze Kajetana zwerbowała? Niemożliwe,

nieprawdopodobne. Nie, nie wierzę w te konszachty za moimi plecami. A jednak.

Poczułam się źle. Roza pojechała do szkoły, Kajtek spał. Norma.

- Wynocha, Łajdus! - przegrałam łaszącego się kundla. - Idź sobie.

Słońce, które nie chciało odpuścić tej jesieni, weszło nad horyzontem, nekając promieniami. Też sobie idź! Jeszcze i ty, Rudzielcze? Kocisko przeplatało się między nogami. Wynocha.

- Zdecydowanie do niczego się nie nadaję, Rudzielec. Samotna matka szukająca pociechy w ramionach młodszego kolegi. I do tego dałam się wkręcić w matactwa Aliny.

Coraz głębiej myśląc o niezwykłych zbiegach okoliczności, o pojawieniu się ni stąd, ni zowąd Szymona, męża opatrnościowego, pocieszyciela porzuconych żon, kasy zapomogowo-pożyczkowej, obrońcy przed greckimi gangsterami, psychologa, psychiatry, mądrego doradcy, nienarzucającego się przyjaciela, męskiego konfesjonału, ideału, o którym może pomarzyć każda kobieta, zaczynałam zdawać sobie sprawę, że nie jest to przypadkowe.

- Niemal dałam się nabrać, Alina - zaszemrałam pod nosem.

Szkoda, że nie dałam się nabrać, szkoda. Te kilka miesięcy korespondencji z Szymonem, w którym gotowa byłam się nawet zakochać, wydały się nierealne. Dzisiaj nastąpi koniec snów o potędze. Alina musi wyznać prawdę, a Szymon dostanie ostatni list, na który czeka, bujając się na szaro-stalowych wodach oceanu czy innego

morza. „Szymon Crusoe”, przypomniałam sobie podpis pod mejlem. A może jego wyspą jest jakieś mieszkanko w Gdyni? Boże, za co mnie tak karzesz?! Nie mogłam znieść myśli o nielojalności przyjaciółki, nawet w dobrej wierze. Nie byłam w stanie stawić czoła oszustwom Szymona, do którego powoli zaczynałam się przekonywać. Jaki jest numer do telefonu zaufania?

Gonitwę myśli przerwał mi dźwięk komórki.

- Możesz być wcześniej? - Alina kończyła pracę za godzinę. Widać zależy jej na spotkaniu.

- Dobrze, też chcę pogadać. - Ala, wiem, że masz mi coś do powiedzenia. - Do zobaczenia w Muzie - zakończyłam, żeby nie zaczęła się pograżać.

Jechałam do Gdyni po potwierdzenie nieopatrznie odkrytej prawdy, przekonana o pewności utraty zaufania do przyjaciółki, do Szymona, pogrzebaniu nadziei na zmiany w życiu, która zgaśnie równie szybko, jak się pojawiła. Szpaler drzew tuż przed wjazdem do miasta pochylał się pod ciężarem zacinającego deszczu, chyba pierwszego tej jesieni. Kolorowe, mokre liście opadały na szybę samochodu, by zostać zmiecione przez uwijającą się wycieraczkę. Nie ominął mnie korek, wypadek na drodze, zmiana organizacji ruchu, roboty drogowe. Zupełnie jakby materia próbowała uniemożliwić mi spotkanie z Aliną. Pod Muzą wszystkie miejsca do parkowania były zajęte.

- Do cholery, zrobię jeszcze jedną rundkę! Skręciłam w Kilińskiego, potem w Słowackiego i dalej w prawo, w Armii Wojska Polskiego, by ponownie

znaleźć się na Świętojańskiej. Nic. Ponowiłam próbę polowania na miejsce. Jeżeli po raz trzeci się nie uda, wracam, postanowiłam w furii, przypominając sobie słowa PANA SZYMONA: „Widać tak musiało być”. Przed Muzą zwolniło się miejsce. Widać tak musiało być.

- Dobrze, że jesteś. Już myślałam... - Alinę niemal poderwało z krzesła.

- Cześć, Ala. Nie mogłam znaleźć miejsca do parkowania. - Uniknęłam czułego powitania.

- Przepraszam, że cię ściągnęłam... Chyba nie w porę? - Ala wyglądała na zawiedzioną. - Chciałam pogadać...

- Domyślałam się. - Nie dawałam się nabrać na jej miny. - To mów. - Nie bawiłam się w ceregiele. - Na-broiłś, to się tłumacz i nie pytaj, czego się napiję. Jak będę chciała, sama zamówię. - Słowa zaczęły decydować za mnie.

- Marta... - Alina spojrzała zdumiona. - Nabroiłam? Skąd wiesz? Chciałam ci powiedzieć... że może i nabroiłam. Krzysztof jest żonaty.

- Jaki Krzysztof?! - W pierwszej chwili nie zorientowałam się o kim mowa. - Aaa... Twój Krzysztof. Żonaty? Jak się dowiedziałś? - wymsknęło mi się bardzo mądre pytanie.

- Powiedział mi.

- I co ty na to? - Nagła zmiana akcji zupełnie wytrąciła mnie z równowagi.

- Nie wiem, Marta. Dlatego chcę z tobą pogadać.

- Dlatego się ze mną spotkałś? - Tak.

Widocznie musiałam wyglądać dziwnie, bo zaczęła się tłumaczyć.

- Przepraszam, że wyrwałam cię z Mieszkowic, przepraszam. .. Ale mam się dzisiaj z nim spotkać i nie wiem, co robić. Marta, nie mam z kim na ten temat porozmawiać, przepraszam.

- Przestań przeproszać. - Czułam, że muszę natychmiast zadać jej to pytanie. - Kim jest Szymon?

- Jaki Szymon, Marta? Mówię o Krzysztofie. Ja go naprawdę kocham.

Opadły ze mnie emocje niepewności. Jesienna zawierucha za oknem wydała się szemraniem deszczu, a wzburzone fale na Bałtyku mrużeniem kota na klepisku. Boże, nie chodziło o Szymona... Teraz to Alina była w tarapatkach.

Skup się, egoistyczna babo, na przyjaciółce, przemawiałam do siebie w duchu. Jak śmiałaś myśleć, że cały świat kręci się wokół ciebie? Zwarta i gotowa, by pomóc Alinie, postarałam się nadać słowom jak najdelikatniejsze brzmienie.

- Alinko, poczekaj... Nie rób żadnych radykalnych kroków. Może życie podpowie rozwiązanie.

- Co ty mówisz! - Alina nie mogła uwierzyć. - On ma żonę, rozumiesz?! I dziecko.

W tym momencie opanowałam emocje. Ma żonę i dziecko, a ja mam doradzić, co robić...

Moje kontakty z Szymonem i domniemany w nich udział Aliny były absurdem.

- Ala, nie wiem, co powiedzieć... - próbowałam dobrać słowa.
- Nie znam jego sytuacji, jego rodziny. Nic nie

wiem. - Tylko tyle zdołałam wyartykułować. - Poczekaj, popatrz, upewnij się. Daj sobie czas.

Popatrzyła w okno, za którym ludzie biegali z torbami, komputerami, dziećmi, narzeczonymi, kwiatami, parkowali samochody, spotykali się, całowali.

- Dzięki, Marta... Mówiłaś o jakimś Szymonie?

- Alina, muszę jechać do Kajtka. - Nie miałam ochoty zmieniać tematu. - Jest Szymon, ale to temat na inne spotkanie, okej? Chyba musisz już jechać po Czarka, a ja dokarmić moje jaskółki.

- Będzie dobrze? - szukała wsparcia.

- Jasne, Ala. Będzie dobrze z tym twoim Krzysztofem. Czuję, że to fajny gość. Należy ci się ktoś. Trzymaj się. - Uścisnęłam ją na pożegnanie. Odczuwałam przyjemność, że mogłam jej jakoś pomóc.

I spokojnie odpisać Szymonowi.

MARTA

Przymusowy urlop zaczął wyjątkowo mi odpowiadać, a o tym, co będzie potem, starałam się nie myśleć. Sukces gonił sukces. Roza z Kajtkiem zaczęli jeździć do szkoły autobusem, dzięki czemu nie musiałam codziennie gonić samochodu w obie strony, pogoda dopisywała na tyle, że mogłam na ganku pracować nad projektem ogrodu, mama zwierzała się ze swoich dolegliwości panu Zdzisławowi, a Renata najwyraźniej doszła do porozumienia z mężem, o czym świadczył brak telefonów o północy. Policja nie nawiedzała mnie w Mieszkowicach, Łukasz dał sobie wytłumaczyć, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni, a korespondencja z Szymonem kwitła w promieniach nieustannie zachwycającego jesiennego słońca. Zgodnie z umową odbierałam telefony od Rafała, który interesował się dziećmi jak nigdy dotąd. Stan względnej harmonii trwał zbyt długo, bym mogła uwierzyć w jego stabilność. Pewnie dzieciakom znudzi się jeżdżenie autobusem, pan Zdzisław straci cierpliwość do mamy, Renata poróżni się z Krzysztofem, projekt okaże się porażką, stracę pracę, Rafał przestanie regularnie płacić alimenty, a Szymonowi

znudzi się adorowanie i wspieranie nieznajomej z problemami. To ostatnie byłoby chyba najgorsze. Zdążyłam się przyzwyczaić do codziennych liścików, ku swojemu zdumieniu odnajdując w Szymonie... wczesnego Rafała. Szymon nie przestawał mnie zaskakiwać spojrzeniem na świat z perspektywy młodego faceta, bez domowych kapci, codziennej rutyny, bez gadania o pieniądzach, pracy, układach, zobowiązaniach, polityce, bez krytykowania babskiej skłonności do kolorowych pism, idiotycznych seriali, które tak bardzo zniesmaczały mojego męża, a co wkurzało mnie do nieprzytomności. Rafał nie mógł znieść nawet tego jednego, na którego oglądanie pozwalałam sobie raz w tygodniu... Oglądanie „Turbo” czy programów o historii drugiej wojny światowej było niewątpliwie bardziej wartościowe i mniej wstydliwe, w przeciwieństwie do „ciągłego” (raz w tygodniu!) przesiadywania przed ulubionym serialem, w którym nie wiadomo, o co chodzi, o ile w ogóle o coś chodzi, oprócz „kocham cię”. Jedyne kupowane przeze mnie kolorowe pismo Rafał poczytywał pokątnie w łazience, naturalnie z głębokim niesmakiem i niechęcią, okazywaną zwłaszcza gdy w kolejny czwartek nie znalazł go na półeczce. Co za hipokryzja! Z czasem zaczęłam odnosić wrażenie, że mój mąż dokonał cywilizacyjnej ewolucji w kierunku *homo intellectus*, pozostawiając mnie w świecie durnych filmów i dziecięcych kupek. Nasza miłość, wspólne zainteresowania, czułość dostały zadyszki w małżeńskim życiowym maratonie. Przez wiele lat dostrzegałam je jeszcze, oglądając się za siebie,

z czasem stały się nikłymi punktami za peletonem, który niósł nas ku kolejnym wyzwaniom.

- Wybudujmy dom w Mieszkowicach, kochanie - namawiał Rafał, a ja się cieszyłam, czując, że miłość przyśpiesza i zaraz do nas dobiegnie. - Będziesz miała ogród, rodziców blisko, dzieciakom się polepszy... A dojazdy? W końcu cały cywilizowany świat dojeżdża do pracy, damy radę i my. Kupimy drugi samochód, a te kilkanaście kilometrów? Nie słyszałem jeszcze, by ktokolwiek, kto się wyprowadził na wieś, kiedykolwiek narzekał.

Oczami wyobraźni widziałam nas na ganku w sobotni letni poranek, z kawą i świeżymi bułeczkami (z czasem zrozumiałam, że po ciepłe bułeczki trzeba pojechać do wioski), w otoczeniu pagórkowatego krajobrazu mieszkowickich okolic, siedzących przy jednym stole z Miłością. Słyszałam dźwięki odkurzonej gitary, wyczarowującej wczesnego Grechutę. Obrazy wiosennych roztopów, jesiennej szarugi i zimowych muld przeganiałam jak natrętą muchę. Nie brałam w ogóle pod uwagę, że budując się obok letniego domu rodziców, już nigdy nie będziemy sami, a śniadania z mężem na ganku w ciepły poranek zakończą się szybciej, niż się zaczęły. Po dwóch latach budowy *de facto* zamieszkaliśmy z rodzicami. Nasza miłość schowała się za węglem, czekając na rzadkie chwile. Niemal błogosławiłam dni, kiedy mama musiała zostać z ojcem w Gdyni, żeby zrobić badania i „niestety, nie możemy przyjechać, ale jutro odbierzemy wyniki o jedenastej i zdążymy na obiad”. To było później... Bo początki zapowiadały się obiecująco. Czym jest sprzątanie terenu

po budowlancach, wyciąganie resztek gruzu, połamanych cegieł, wyrzucanie walającego się styropianu, usuwanie z ziemi wystających prętów, gromadzenie na jednej kupce uszkodzonych palet wobec szczęścia tworzenia ogrodu życia! Pestka, betka, drobiazg, *no problem*, po prostu przyjemność. Dwunastoletnie dzieciaki pomagały, jak mogły, a mogły rzadko kiedy, czując przyływ obowiązkowości: do robienia lekcji, czytania zaległej lektury, przygotowywania się do klasówki. Rafał, dumny z żony, widział mnie w roli spełnionej ogrodniczki, której mąż wystawił wspaniały dom i tym samym okazał wielkie uczucie. Uczucie wymagało jednak kolejnych poświęceń. Wożenie mnie do sklepów ogrodniczych, meblowych, oświetleniowych i innych „owych” lub udostępnianie mi samochodu powodowało coraz więcej konfliktów.

- Rafał, musimy kupić drugi samochód - sygnalizowałam. - To konieczne. Mariusz chce sprzedać niestarego peugeota, mam z nim pogadać? Dobra, dam ci do niego namiar. - Poznałam po minie, że mój mąż nie był zadowolony z peugeota Mariusza. - Albo wiesz, podobają mi się renault sceniki. Stare modele wychodzą z obiegu, kilkuletnie będą niezbyt drogie...

- Pomyślimy...

Dobre i to, że „pomyślimy”. Ach, gdyby tak mieć własną kasę, a nie tylko gazetową pensyjke... Intensywnie myślałam, gdzie mogłabym dorobić.

- Niczym się nie martw. - Rafał najwyraźniej przemyślał sprawę. - Rozejrzę się. Robisz sobie herbatę? - zmienił temat.

- Na jaką masz ochotę? - Wstawałam od stołu, kierując się do kuchni.

- Zieloną z limonką poproszę. - Zabrał się do czytania gazety. - Możesz mi przynieść koc?

Każdy niewygodny temat kończył się „zieloną z limonką” albo „owocową z dzikiej róży”. Czasem kilkoma piwami, które sprawiały, że zapomniałam o kłopotach.

Tamte urodziny miały być wyjątkowe. Październikowe, zmierzchające niebo, pokryte kobiercem gwiazd, oświetlało stół na ganku, który ubrałam w talerzyki, sztucce, świeczniki, serwetki, kwiaty. W piekarniku dochodził pasztet z dzika i zapiekanka z grzybami. Ciasto ze śliwkami i bezą wypełniało zapachem kuchnię, w lodówce czekały półmiski z pieczystym, serami i sałatkami, rozpalony grill miał zaraz zapełnić się rozbitą, zmacero-waną karkówką i plasterkami bakłażana, papryki oraz ziemniaków posypanych żółtym serem. Z niepokojem spoglądałam na zegarek, wypatrując gości. O ósmej pies dał znać, że mogę przestać się martwić. Na drodze pojawiła się kawalkada samochodów prowadzona przez czerwone auto.

- Dzieciaki, uważajcie! - krzyknęłam, widząc Rozę i Kajtka podbiegających do otwartej bramy, przez którą z impetem wjeżdżała karminowa corsa. Za chwilę wysiadł z niej mój mąż.

- Kochanie, prezent na urodzinki! Moja ty czterdziestolatko! Parkujcie, gdzie chcecie - zapraszał gości. Mama z tatą wyręczyli mnie w pełnieniu honorów pani domu, sadowiąc się przy stole.

- Rafał... Kupiłeś mi samochód? - Nie mogłam uwierzyć.
- Podoba ci się? - Był zadowolony z siebie.
- Dziękuję. Ale mieliśmy o tym jeszcze porozmawiać...
- Nie podoba ci się? - Nie rozumiał, co mówię. - Może kolor?

Da się wymienić. Mają jeszcze białe i wrzosowe.

- Rafał, nie wiem, co powiedzieć. Jest piękny.

Mój mąż się cieszył, mój mąż uważał, że zrobił mi super niespodziankę, kosztowną niespodziankę, że będziemy ją zaraz opijać tuż po „Sto lat” i „Czterdzieści lat minęło”. A koleżanki będą mi zazdrościć męża, który kupuje żonie samochód na urodziny.

- Co jest, Marta? - Jak zwykle czujna Alina dorwała mnie w kuchni.

- Ala... Rafał zupełnie się ze mną nie liczy. - Musiałam to powiedzieć.

W jej spojrzeniu dostrzegłam pytanie.

- Może jestem głupia, Ala... Pewnie jestem.

Nie miałam ochoty wyjaśniać, że samochód i tak musieliśmy kupić, żebym miała czym dowozić dzieci do szkoły. Ze gdyby Rafał naprawdę mnie kochał, zapytałby, jakim autem chcę jeździć. A gdybym wybrała jakieś głupie, nieekonomiczne i zawodne, toby mi wytłumaczył, że może warto kupić inne. I byśmy kupili bez tej szopki i pokazywania się przed znajomymi. Bez tego cyrku. Nie chciało mi się tłumaczyć, że Rafał najbardziej kocha tego wspaniałego faceta, który chodzi w jego skórze. Kocha siebie.

Przygotowywałam przyjęcie. Żadna to wielka uroczystość, czterdzieste szóste urodziny, zawsze jednak lepsze niż pięćdziesiątka. Kajetan wyrywał się do pomocy, zwłaszcza gdy okazało się, że trzeba przywieźć ze sklepu cytryny, które zapomniałam kupić. Z trwogą w sercu oddałam mu kluczyki do mojej żarówiastej corsy, kilka razy przestrzegając przed czyhającymi na drodze niebezpieczeństwami. Tatuś zadbał, by dzieci miały prawo jazdy. Pełnoletnie, zaczęły wyciągać rękę po auto.

- Fajny masz ten samochodzik. - Kajtek coraz częściej mościł się na siedzeniu kierowcy.

- Mami... Umówiłam się z Agnieszką. Wrócę na noc, ale musisz dać mi auto. Dasz? - Rozalka upolowała moment, w którym nie zamierzałam ruszać się z wioski.

Na samodzielne dojazdy do szkoły samochodem nie zgodziłam się kategorycznie. Może i jestem na urlopie, ale pracuję nad projektem i nie mogę pozwolić sobie na zakopanie się w mieszkowickich piaskach. Prawda była jednak taka, że nie wyobrażałam sobie codziennych palpacji serca, wywołanych wybujałą wyobraźnią, która roztaczała przede mną obraz moich dzieci staranowanych przez tira albo leżących w rowie po czołowym zderzeniu z przydrożnym drzewem.

- Mamuś, to ja jeszcze odbiorę babcię z przystanku i kupię te cytryny. - Kajetan już grzebał w mojej torbie, szukając dokumentów i kluczyków.

- Jak to: odbierzesz babcię? Przecież miała przyjechać samochodem pana Zdzisława? A poza tym przecież Renata z Krzysiem mogą ich zabrać.

- *No problem, lecę.* - Kajtek wypadł z domu. - Babcia prosiła, żebym przyjechał do Gdyni, bo ciocia nie ma czasu czy coś, a ja chętnie. Będę jechał ostrożnie.

- Pamiętaj o cytrynach! - Moje wołanie zagłuszył warkot silnika. Utonęło w kłębach kurzu pozostawionych przez corsę.

- Czy ci się coś nie przypala? - usłyszałam dochodzący z kuchni głos Rozalki.

- Boże, moja pieczeń! - Pognałam ratować mięso. Do przyjazdu gości zostały jeszcze trzy godziny,

a w planach jeszcze sałatka z tuńczykiem, leczo, nastawienie lodu, przygotowanie pucharków z galaretką i owocami, ogarnięcie stołu, pokrojenie pomidora i mozzarelli, łososiowe roladki. Przypomniałam sobie o Łajdusie, który jeszcze dzisiaj nie dostał zarcia. Rudzielec też. Pewnie poszedł zapolować. I muszę umyć włosy!

- Roza! - Biegałam w panice po kuchni. - Przynieś mi jajka ze spiżarni i słoik kiszonych ogórków. I nałóż psu i Rudzielcowi, plizzz.

- Daj sobie luz, jeszcze czas. - Moja córka nie traciła opanowania. - Ja zrobię sałatkę, a ty umyj włosy. Potem przygotuję stół. No, idź już na górę. - Zauważyła moje wahanie. - To tylko kilka osób.

- Dzięki, córuś. - Odczułam wdzięczność dla Rozalki. Moje dziecko zaczyna być dla mnie oparciem.

- Mami... - A jednak czegoś ode mnie chce. -Tak?

- Czy tata składał ci życzenia?

- Napisał esemesa, jeżeli chcesz wiedzieć, ale nie mam ochoty o tym mówić. Zrobisz sałatkę? - Wyszło ostro i chropawo. - Jeśli nie chcesz...? - Zawiesiłam głos.

- Jasne, że zrobię. Tylko tak pytałam. Zapadła niezręczna cisza.

- To nie pytaj, Rozalia. Przepraszam, ale mam dziś urodziny i...

- Pobiełam na górę.

Zamiast do łazienki dorwałam się do komputera, żeby po raz dziesiąty przeczytać urodzinowe życzenia od Szymona, który nie wiadomo skąd, ale wiedział, kiedy je złożyć.

„Solenizantko jesienna, Pani ogrodów, moja niestrudzona listowa pisarko.

Zanim złożę Ci urodzinowe życzenia wszelkiej pomyślności, radości i miłości wszystkich, którzy Cię otaczają, dziękuję za dobroć, cierpliwość, zaufanie, czas, uwagę i za to, że jesteś, Martusiu. Jeżeli męczy Cię codzienność, drażnią ludzie, kłopotuje myślenie o przyszłości, trapią problemy - pomyśl o mnie, najszcześniejszym człowieku, gdyby mógł nazwać siebie Twoim przyjacielem. Jestem pełen nadziei, że niedługo dasz się namówić na spotkanie i być może nowy rozdział w życiu? Życzę Ci udanych urodzin z Rodziną, Przyjaciółmi i wszystkimi, których zaprosiłaś i dla których pewnie będziesz pichcić, układać na stole serwetki, którzy ogrzeją się Twoim ciepłem i zaśpiewają Ci „Sto lat”. Ja też kupiłem wino, które otworzę, by wypić Twoje zdrowie. Na zdrowie z nadzieją na nasze spotkanie... Baw się dobrze, bądź szczęśliwa. Będziesz szczęśliwa, obiecuję.

I jeszcze jedno: pozwoliłem sobie zrobić Ci prezent. Przesłałem dwa bilety na występ Twojej ulubionej Caro Emerald. Przepraszam, że nie kupiłem trzech, żebyś mogła iść z obojgiem dzieciaków, ale po prostu nie udało mi ich zdobyć. Mam nadzieję, że przyjmiesz prezent, oczywiście niezobowiązująco, jedynie aby zrobić mi przyjemność. Życzę miłych wrażeń, którymi, mam nadzieję, podzielisz się ze mną

Szymon".

Po raz dziesiąty popłynęły łzy, po raz dziesiąty zostałam wytracona z równowagi, po raz setny zastanawiałam się, jakie przychylne wiatry przywiały mi Szymona? O ile nie jest on moją imaginacją, oszustem, czyjąś tajemną znową, wariatem... O ile w ogóle istnieje.

„Dziękuję, Szymon, za życzenia" - zaczęłam odpowiedź.

„Ja też mam nadzieję, że się kiedyś spotkamy i może pojawiysz się na moich kolejnych urodzinach? Na razie biegam po kuchni, próbując zappełnić półmiski, i czekam na gości, których nie będzie zbyt wielu. Oprócz najbliższej rodziny, mamy z jej nowym przyjacielem i Renaty z Krzyśkiem przyjadą koledzy z redakcji. Udało mi się ściągnąć Alinkę. Cieszę się również z obecności dzieciaków, z którymi, jak wiesz, różnie bywało. Od chwili gdy Kajtek zamieszkał ze mną, jakoś zaczęło się układać. Daleko mi jeszcze do zadowolenia, jednak przed (mam nadzieję!) przyjemnym wieczorem jestem pełna dobrych myśli. Korzystając z rad Paolo Coelho, szukam swojej legendy. Postanowiłam, że zaraz po urodzinach znajdę

kupca na czerwoną corseę. Nigdy mi się nie podobała i nie polubiłam tego samochodu. Za bardzo przypomina mi o złych emocjach z dawnych czasów, od których trudno się uwolnić. Ostatnio bardzo przyłożyłam się do projektu, pracuję po kilka godzin dziennie. Efektu nie da się przewidzieć, ale żeby choć mieć nadzieję na sukces, trzeba się napracować.

Szymonie, mój mejlowy Przyjacielu, to ja Ci dziękuję za codzienne listy i za życzenia, choć nie mam pojęcia, skąd wiedziałeś, kiedy są moje urodziny. Trzymaj się ciepło u norweskich wybrzeży. Życzę, aby kucharz nie spuszczał z tonu i nadal przygotowywał Wam dobre jedzonko.

Pozdrawiam serdecznie

Marta".

- Cześć, mamuś.

Podeszłam do samochodu, którym Kajtek szczęśliwie przywiózł babcię i pana Zdzisława z Gdyni.

- Jak droga? - zwróciłam się do mamy.

- Dobrze. Weź ode mnie tę torbę. Tylko nie upuść, bo to słoiki z ogórkami. - Babcia wytaczała się z auta. - Zdzisiu, możesz podać mi apaszkę?

- Zaraz, Stefanio. Witam się z panią domu. - Pan Zdzisław z góry dziękował za gościnę, całując mnie w rękę.

Mama nie wyglądała na zadowoloną.

- Wyjmij torbę z bagażnika! - dyrygowała. - Kajtek! Ty weź tę torbę! - zarządziła, bo pan Zdzisław nie reagował. - Jest już Renatka?

Udałam, że nie słyszę. Zobaczyłam światła zbliżającego się do naszego domu samochodu.

- Olgierd, Anka, Alinka! Jak się cieszę! - Na podwórko wjechał czarny peugeot. - Stawiajcie samochód pod płotem. Konrad z Edytą przyjadą?

- Chyba tak. Edyta leciała po kwiaty - uspokajała mnie Alina, wysiadając. - Kto jeszcze będzie?

- Kaśka z Wojtkiem i moja siostra Renata z mężem. I oczywiście... - nadałam scenicznym szeptem - ..moja mama z panem Zdzisławem. A co zrobiłaś z Czarkiem?

- zapytałam. - Mam nadzieję, że zostaniesz na noc?

- Krzysiek z nim pobędzie. Mówię ci... - Dałabym sobie uciąć głowę, że zauważyłam w oczach Ali łzy.

- On jest wspaniały.

- Kolejni goście jadą! Wujostwo! - Roza z Łajdusem penetrowali okolice bramy

- Przepraszam... To chyba Renata. - Porzuciłam Alinę.

- Wszystkiego najlepszego, siostra! Krzysztof, wyjmij torbę z bagażnika! - Renia wypakowała się z auta, rzucając się w moje objęcia. Za chwilę rozpoczęła autoprezentację.

- Renata - przywitała się z Olgierdem. - Jestem siostrą Marty - przedstawiła się Ance. - Cześć, mamó. A to dla ciebie. - Wręczyła mi prezent. - Żeby nie było, że jakiś krem.

Była w świetnym nastroju.

- Cześć! - Dopiero zauważyła Alę. - Krzysztof! Chodź tu, poznaj Alinkę, koleżankę Marty z pracy.

- Dzień dobry pani. - Krzysztof pocałował Alinę w rękę i... W tym momencie wszystko stało się jasne. Wystarczyło spojrzeć.

Takie rzeczy się nie zdarzają. To po prostu nie może być prawda. Alina i nasz Krzysiek...

- Zapraszam do stołu, kochani! Podaję na ciepło! - Odsunęłam od siebie niedorzeczne myśli.

- Jako że będę musiał zaraz jechać... - Krzysztof stał z podniesionym kieliszkiem, uciszając rozgadane towarzystwo. - Chciałbym wnieść toast za moją wspaniałą szwagierkę, Martę, naszą dzisiejszą jubilatkę. Martusiu, wszystkiego najlepszego! Wiesz, że życzę ci tego szczerze, podobnie jak my wszyscy. Twoje zdrowie!

- Musisz jechać? - zapytałam, odprowadzając go do samochodu.

- Muszę, Marta. Przepraszam cię, jeśli jesteś zawiedziona, ale muszę. - Nigdy jeszcze nie patrzył mi tak głęboko w oczy. - I chcę.

- Krzysiek... Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. - Mimo wszystko pomyślałam o siostrze.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś mądrą kobietą. Przepraszam. - Wsiadł do samochodu. - Bardzo mi przykro.

- Chodź do nas! - nawoływała Renata, a ja patrzyłam za oddalającym się samochodem Krzysztofa. - Niech sobie jedzie na tę swoją konferencję czy spotkanie, czy tam coś. - Zdrowie mojej siostrzyczki!

Spojrzałam na Alinę. Wytrzymała spojrzenie.

- Co ty na to? - Porozumiałyśmy się bez słów.

- Nie wiedziałam.

- A może wiedziałaś?

- Nie wiedziałam.

- Co zamierzasz?

- A co radzisz?
 - Czuję się źle, Alina.
 - Wiem. Ja też.
 - Dużo rozumiem.
 - Zdaję sobie sprawę.
 - Jednak Renata jest moją siostrą.
 - Przykro mi.
 - Co zamierzasz?
 - Na razie nie wiem. Zwłaszcza teraz, gdy już się dowiedziałam. Wierzysz, że nie wiedziałam?
 - Wierzę.
 - Ala, chodź zatańczyć! - Renata świetnie się bawiła. - Ja biorę Olgierda, ty możesz... Panie Zdzisławie? Zatańczy pan z moją koleżanką?
- Za chwilę po parkiecie na werandzie płąsały dwie pary.
- Dlaczego wujek wyjechał tak wcześnie? - chciała wiedzieć Rozalia.
 - Miał ważne sprawy, córuś.

MARTA

- Abonent czasowo niedostępny - usłyszałam po raz dziesiąty, próbując dodzwonić się do Aliny.

Pewnie nie dla każdego... - pomyślałam smutno.

Wspominając wczorajszą imprezę, szampański nastrój Renaty, zakłopotanie Aliny, widziałam przed sobą jedynie opuszczone ręce i bezsilność. „Zawsze wiedziałem, że jesteś mądrą kobietą, przepraszam. Bardzo mi przykro”. Słowa Krzysztofa powtarzane w myślach niczym mantra, niestety, brzmiały groźnie. Mój szwagier dopraszał się zrozumienia, odwołując się do „mojej mądrości” i pośrednio wyznając winę. W pierwszej chwili byłam zaskoczona, w drugiej wściekła na Alinę i Krzysztofa, potem dopadła mnie troska o Renatę. W kolejnej straciłam orientację, po czyjej stronie stanąć, na koniec rozłożyłam bezradnie ręce. Renata sama jest sobie winna, po Alinie nigdy bym się nie spodziewała czegoś podobnego, Krzysztof w końcu nie wytrzymał domowego terroru. Choć jednak nie jest taki fajny, za jakiego go miałam, bo - powiedzmy sobie szczerze - znalazł sobie inną babę! Bez względu na to, jaką zmiję wyhodował na własnej piersi, widziały gały, co brały!

Szala przechylała się coraz bardziej. Może i Renata nie jest mistrzem świata w roli żony, ale czy zasłużyła na zdradę?! A jeśli nawet, to okres gwarancji po ślubie minął już dawno. Tak, Krzysztof zdecydowanie łapał punkty karne. A Alina? Przecież mówiła mi, że on jest żonaty. I co? Jak mogła? Stracę najlepszą koleżankę i szwagra jednocześnie?

- Mamuś, co się stało? - Roza przyłapała mnie w kuchni, gdy ocierałam łzy, wstawiając talerze do zmywarki. Przez wczorajszy wieczór byłaś jakaś nieswoja. - Ty płaczesz?

Nie miałam ochoty gadać, a już na pewno nie z Rozalią. Była za młoda, nieprzygotowana do wysłuchiwania takich rewelacji na temat wujka. Najchętniej porozmawiałabym z przyjaciółką (skoro nie mam już męża), ale moja przyjaciółka okazała się stroną w sprawie...

- Roza, wujek Krzysztof ma romans z Aliną. Nie wiem, jak daleko zaszła ta zażyłość, w każdym razie się spotykają. Wygląda to poważnie. - Determinacja, żeby nie angażować Rozalki, w jednej chwili wzięła w łeb.

- Co ty mówisz! Skąd wiesz?! - Moja córka zareagowała prawidłowo. Zaskoczeniem i zdziwieniem.

- Nie mam siły, córuś, roztrząsać tej sprawy. - Przysiadłam na krześle, ocierając ścierką do naczyń krople potu z czoła. - Powiem jedno: pewne symptomy świadczące o ich znajomości pojawiły się wcześniej, ale dopiero wczoraj wyszło szydło z worka.

- Ciocia Ala wiedziała, że wujek Krzysztof jest...

- Nie wiedziała - przerwałam. - Krzysztof też nie wiedział, że przyjaźnię się z Alą. Tak przypuszczam. Nawet nie chcę myśleć, że było inaczej. Roza, co teraz

będzie? - Szukałam wsparcia w mojej od kilku dni dopiero dorosłej córce!

- Zrobię kawę. Napijesz się? - próbowała odwlec odpowiedź.

Po chwili ekspres wypuścił dwie filiżanki parującego płynu.

- Ładnie pachnie, prawda? - Roza ze zręcznością psychoanalityka tworzyła nastrój do rozmowy. Usiadłyśmy na kanapie przy akompaniamencie bulgoczącej zmywarki.

- Włączę coś. Mogą być greckie rytmy? Lepiej, żeby nas Kajetan nie słyszał... - dopieszczała szczegóły krajobrazu przed bitwą.

- Usiądź wreszcie, Rozalia, proszę. - Jej nerwowa nadaktywność zaczynała mnie męczyć. - Nalej mi kieliszek wina.

Naląła. Sobie też. Nie oponowałam.

- Mamuś, jest jeszcze ta zapiekanka? - Kajtek schodził do kuchni w towarzystwie nocnego głodu.

- Zaraz ci podgrzeję, brat, tylko wracaj na razie na górę. - Roza poderwała się w kierunku mikrofali.

- A, widzę, że panie mają do poplotkowania. Nie będę przeszkadzał. - Perspektywa zapiekanki i kelnerskiej obsługi kazała mu się niezwłocznie wycofać. - Miłego gadania! Chętnie bym z wami posiedział - zażartował zręcznie - ale te obowiązki...

- Idź, idź, zaraz dostaniesz. - Rozalia kręciła się przy kuchence. - Nie można wytrzymać z tymi facetami, ciągle głodni i ciągle przeszkadzają.

Za chwilę siedziałyśmy same, popijając winem resztki zapiekanki. Rozalia zaczęła, aż zaczęła mówić.

Odepchnęłam psa na posłanie, jednocześnie pozwalając Rudzielcowi rozłożyć się na moich kolanach.

Opowiedziałam Rozalii, że Alina poznała Krzysztofa na spotkaniu w stowarzyszeniu Czarka sponsorowanym przez jego firmę. Zaczęli się spotykać. Krzysztof pomagał Ali, co z czasem przerodziło się w ponadstandardową zażyłość. Alina bardzo się do Krzysia przywiązała, a teraz okazuje się, że Krzyś do niej też.

- Skąd wiesz, mami? - Roza prowadziła śledztwo.

- Krzysztof nie mógł pozostać na moich urodzinach, ponieważ pojechał zająć się Czarkiem. Stąd wiem. A poza tym... Nie zrezygnował z planów nawet wtedy, gdy wyczuł, że zorientowałam się w sytuacji. Córcia, ja jestem pewna, że oni są parą, rozumiesz?

- Co zamierzasz? - zapytała po dłuższej chwili.

- Nie wiem. Muszę porozmawiać z Aliną, o ile odbierze telefon. Może my obie z Renatą jesteśmy do niczego, skoro odchodzą od nas mężowie?

- Nawet o tym nie myśl. - Roza była wyraźnie zniecierpliwiona. - Tato od ciebie nie odszedł. To ty nie chciałaś z nim dłużej być! - niemal krzyczała. - I nigdy nie porównuj się z ciocią Renatą! Przecież wiesz, jaka ona jest! - zagrzmiała. - Święty by z nią nie wytrzymał! Zobaczysz, jeszcze kiedyś będziecie z tatą razem!

Przesadziła. Nigdy nie będziemy już razem z Rafałem. Nie wrócę do kapciowatych praktyk siedzenia przed telewizorem z „Turbo” w objęciach, do urodzinowych prezentów na pokaz, do oglądania zadowolonego pana domu, który stara się dla rodziny, ale jak ma ochotę, przelatuje

aplikantkę. Nie będę uprawiać ogródka, pieląc grządek, oprowadzać jego znajomych po posesji, chwając się kwitnącymi krzewami, dorodną winoroślą, dogadzać „ważnym” gościom przysmakami *de la maison*, ubierać się w małe czarne, kichać pod dyktando i słuchać: „Nie musisz tyle pracować. Ucz się tego swojego hiszpańskiego”.

- Nigdy, Rozalia, nie będziemy już razem z ojcem...

- wycodziłam. - Nie mówmy już o tym i bądź łaskawa nie przypominać mi przeszłości. Ważna jest terażniejszość i plany. - Z czułością pomyślałam o Szymonie. A poza tym, to chyba nie była rozmowa o moich kłopotach.

- Masz rację. - Postanowiłam skierować rozmowę na właściwe tory. - Ciotka Renata pracowała na to od wielu lat. Ale jest jednak moją siostrą.

- Która tak bardzo ci współczuła, gdy rozwiedliście się z ojcem...? - Roza zawiesiła głos.

Nie miałam argumentów.

„Sama jesteś sobie winna. Takiego dzianego faceta wypuścić z rąk! Nie wiesz, co robisz, zastanów się nad sobą”, słowa wypowiedane przez Renatę i mamę po moim rozwodzie nadal pulsowały mi w uszach. I co jej teraz powiem? „Wypuściłaś z rąk frajera, który nosił cię na rękach, wytrzymał twoje fochy, chimery, poddańczo cię uwielbiał. Zastanów się nad sobą!”?

- Masz rację, Rozalko... - Moja córka oczekiwała odpowiedzi.

- Renata nie wsparła mnie po rozwodzie, ale to nie oznacza, że ja nie wesprę jej. I powiem ci dlaczego.

- Zastanowiłam się przez chwilę. - Bo wiem, czym jest rozstanie po wielu latach wspólnego życia. Wiesz mi, to

nie jest przyjemne. Dużo czasu musi upłynąć, by w żagle powiał nowy wiatr...

- A tobie powiał? - Zaskoczyła mnie pytaniem.

- Nabrałam go w żagle. I zaczynam sobie radzić - postanowiłam odpowiedzieć. Cóż, skoro zapytała... - Muszę jeszcze tylko wygrać konkurs, sprzedać corse, pozbyć się Mieszkowic i rozpocząć nowe życie. Taki mały plan.

- Mami! Jesteś niesamowita!

- Roza, jestem realistką. Samotną realistką z dwojgiem dorosłych dzieci. I jeszcze nie starą!

- Pewnie!

- Jeszcze kiedyś ułożę sobie życie, rozumiesz? - Nie wiadomo jak rozmowa potoczyła się wokół moich spraw.

- Mamuś, czy ty kogoś poznałaś? - Rozalia wydawała się zaniepokojona.

- Nie - skłamałam i nie poczułam się z tym dobrze. Ale wspomnienie Szymona zrekompensowało mi wyrzuty sumienia.

- A gdybym spotkała, to co? - najeżyłam się.

- To dobrze. Chyba... - Rozalia najwyraźniej nie była pewna, czy tak powinno być.

- Dajmy spokój, córcia - przerwałam dyskusję, która zmierzała w niewłaściwym kierunku. - Jakoś sobie radzę i niech tak pozostanie. A z ciotką... Nie wiem. Nie mów na razie nic babci ani Kajtkowi, proszę. Pójdę się położyć. Ty też leć, bo jutro musisz wstać o wpół do siódmej. Potrzebujesz czegoś?

- Zaufania, mami. Ale je już dostałam. Dzięki. A ciocia Renata... - Zawiesiła głos. - Sama sobie nagrabiła. Dobranoc i nie przejmuj się nią.

RENATA

Od pracy oderwała mnie hałasująca komórka. Kończyłam właśnie dobieranie roślin do oczka wodnego, zastanawiając się jednocześnie nad stworzeniem krętego strumyka wzdłuż ścieżki ogrodowej, pomiędzy rabatą a trawnikiem. Dwadzieścia centymetrów różnicy poziomów dawało taką możliwość. Będzie pięknie, a woda wpłynie na mikroklimat. Rośliny, rośliny... Koniecznie lilie wodne i grzebieńczyk z pływających, kaczeniec i niezapominajka błotna na brzeg. I chciałabym jeszcze wodnego hiacynta.

Spojrzałam na intruza, który telefonem postanowił przeszkodzić mi w pracy koncepcyjnej, i natychmiast przeszła mi wena. Renata.

- Robisz ten swój projekt? - bez zbędnych wstępów przeszła do rzeczy. - Najlepiej zrób sobie przerwę i pojedziemy do Bałtyckiej na wyprzedaże. Może być?

- Renia... - Szukałam pretekstu, żeby się wymigać. - Trochę pracuję. Obiecałam mamie, że potem ją zawiozę do lekarza na szóstą, odbieram dzieciaki z Gdyni...

- To świetnie się składa. - Najwyraźniej moje plany w niczym Renacie nie przeszkadzały. - Popracuj sobie

i wpadnij do Muzy w okolicy czwartej. Mamy do pogadania.

Jej ton nie wskazywał, że zamierza mi się żalić z powodu Krzysztofa. Pewnie o niczym nie wie. A ja postanowiłam, że na pewno nie dowie się tego ode mnie. Poza tym zamierzałam najpierw spotkać się z Aliną, licząc po cichu, że cała sprawa jest jedynie burzą w szklance wody. Niestety, nie potwierdził tego fakt, że Alina chwilowo „nie może się ze mną spotkać”, ponieważ Czarek się rozchorował i musi się nim zająć. Nie wierzyłam jej. O nieba!, przestałam wierzyć Alinie, która jak żona Cezara była dla mnie zawsze poza podejrzeniami. Przyjęłam jednak za dobrą monetę, że pogadamy w przyszłym tygodniu. Może, biorąc pod uwagę okoliczności i moje rodzinne koneksje, wszystko przemyśli i puzzle trafią na swoje miejsca?

- Dobrze, Renata. Będę w Muzie około czwartej - uległam jak zwykle. - Ale tylko na godzinkę.

Kilka godzin później zastałam moją siostrę kwitnącą, świeżą, w nowej sukience. Zaczęła od prezentacji pomadki.

- Kupiłam sobie przed chwilą. Popatrz. - Bez „dzień dobry” i powitalnego całusa wydeła fuksjowe usta w oczekiwaniu na pochwałę. - Kolory wiśni nadal są *a la mode* tej jesieni. - Podoba ci się? - Jej najwyraźniej się podobała.

- Bardzo ładna. - Nie wykazałam wielkiego entuzjazmu. - Zawiozłam mamę na densytometrię - próbowałam zmienić temat.

- A co to takiego? Znowu źle się czuje?

Podzielałam wątpliwości Renaty w kwestii maminej hipochondrii, nie widziałam jednak powodu, żebym tylko ja była zobowiązana do wożenia „chorej” po lekarzach.

- Badanie gęstości kości - wytłumaczyłam spokojnie. - Mama uważa, że jej bóle stawów mogą mieć coś wspólnego z osteoporozą. Chciała się zbadać.

- Aha. I co, wszystko dobrze? - Renata szybko zmierzała do finału niewygodnego tematu.

- Wyniki będą za jakiś czas - wyjaśniłam. - Zadzwoń do mamy kiedyś, to się dowiesz.

-Dobra. Muszę ci coś powiedzieć... - zaczęła tajemniczo. - Widziałam się z tym twoim Łukaszem.

- Jakim „moim Łukaszem”? - Minęła chwila, zanim zorientowałam się, że chodzi o tego Łukasza.

- Jakim, jakim... - Puściła oko. Zaniepokoiłam się, że na imprezie urodzinowej, nie daj

Boże!, wyjawiał jej szczegóły naszego ostatniego spotkania.

- Czegoś ode mnie chciał... Ale nie mogę ci nic powiedzieć. - Renata była tajemnicza. - Czeka cię niespodzianka! I to już niedługo! Tylko bądź zaskoczona!

- Już jestem, Renata.

Kiedy w grę wchodził Łukasz i moja siostra jednocześnie, na horyzoncie pojawiały się kłopoty.

- A swoją drogą, Marta... - Renia zalotnie odgarnęła włosy za ramię. - Ten Łukasz jest całkiem, całkiem. Powiem ci w zaufaniu, że się umówiliśmy. - Tylko tego brakowało! - Wiesz, Krzysztof ostatnio bez przerwy jest zajęty, muszę sobie jakoś radzić. - Moja siostra znalazła antidotum. - Idziemy w przyszły piątek na koncert.

Powiedziałam Krzyškowi, że umówiłam się z tobą na basenie. Tylko mnie nie wysp w razie czego.

- Renata! - Nie mogłam się na to zgodzić. - Znajdź sobie inną przykrywkę, proszę. Nie chcę się łądować w twoje kłamstewka. - Czułam, że niebawem znienawidzą mnie obie strony. Każde z nich uzna, że kryję drugie. - Zdecydowanie nie, siostra. Nie idziesz ze mną na żaden basen. Jeśli chcesz kombinować, powiedz, że mama się źle czuje. Może Krzysztof uwierzy. Albo wymyśl coś innego.

- Co ci się stało? - Renata nie posiadała się ze zdumienia. - Jakoś ci nie przeszkadzała Grecja i Nikos z Dejanem.

- Ale teraz mi przeszkadza. - Byłam zdecydowana. - I pamiętaj, nie robię tego dla Krzysztofa, tylko dla ciebie. Kiedyś ci to wyjaśnię.

- Co jest grane? Kiedyś? Gadaj teraz! - Nie zamierzała odpuścić.

- Teraz to muszę jechać po mamę i po dzieciaki, Renia. A potem zamierzam popracować. - Nie zmusi mnie do mówienia. - Ja ciebie nie pytam o tę niespodziankę.

- No dobra. - Siła argumentu podziałała. - Pozdrowię od ciebie Łukasza.

- Nie musisz, Renia. Przepraszam, ale naprawdę się śpieszę.

Wieczór. Kolacja. Mama pełna wrażeń po badaniach, Roza bez humoru, Kajetan trzy razy woła o jedzenie. Łajdus ma niestrawność, sprzątam jej skutki z dywanu. Wściekła Renata esemesuje, że Krzysztofa znów nie

ma w domu, że zostawił Michalinę u teściów. Wszyscy do swoich pokojów! Spać! Zostawić mnie samą! Przecież w takich warunkach...

„Dobry wieczór, Szymonie!”.

Zegar wskazywał jedenastą w nocy, gdy wreszcie udało mi się zasiąść przy komputerze i napisać pierwsze słowa wieczornego listu.

„Przyznam Ci się szczerze, że od kilku minut siedzę przed ekranem i nie wiem, jak zacząć. Nie wiem, co pisać. Chyba jestem zmęczona. Moja rodzinka i przyjaciele potrafią być tak absorbujący i nieprzewidywalni... Każdy ma sprawy, problemy, oczekiwania, a niektórzy nawet jeszcze nie wiedzą, że będą je mieć. Niestety, ja to wiem i chcąc nie chcąc, muszę o tym myśleć. Takie rodzinne kłopoty.

Od dwóch dni pogoda daje znać, że zbliżają się jesienne szarugi. Klon niemal całkowicie zgubił liście, wino-bluszcz zaczyna przybierać brunatną barwę. Zebrałam jabłka, aby nie dekorowały nagich gałęzi. Łajdus biega po ogrodzie, przeganiając nornice, Rudzielec chyba je zjada. Na wszelki wypadek nie mam ochoty sobie tego wyobrażać. Przed zimą czeka mnie jeszcze dużo pracy w ogrodzie, a powiem Ci szczerze, że niespecjalnie mam na nią ochotę. Nie wiem, co przyniesie wiosna, czy warto o wszystko dbać i się męczyć? Tak czy owak, łatwiej sprzedać dom z zadbanym ogrodem.

Przepraszam, że piszę nieco chaotycznie. Rozważam sprzedaż domu. Jest mi ciężko go utrzymać, a i dzieci

domagają się przeprowadzki do Gdyni. Pewnie wystarczy na niewielkie mieszkanie z balkonem, ale wszystko jest dla ludzi. Jeśli ma być nam wszystkim lepiej, to zgodnie ze słowami piosenki: «Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy». W końcu zmiany napędzają rozwój, prawda?

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Trzymaj się ciepło i chroń przed zimnymi wiatrami.

Pozdrawiam Cię serdecznie
Marta".

Nie byłam zadowolona z tego listu. Nie wysłałabym go, gdyby palec odruchowo nie drgnął na przycisku. Czułam potrzebę porozmawiania z Szymonem, chciałam mu opowiedzieć o Renacie, Alinie, Krzysztofie, moim małżeństwie z Rafałem... Ale nagle uświadomiłam sobie, że nie wiem, kim on jest. Zawiedli mnie Rafał, Alina, Krzysztof... Dlaczego nie Szymon? Co tu jest grane?

Skrzynka odbiorcza zasygnalizowała nadejście nowej wiadomości.

„Dziękuję, dobrej nocy, niczym się nie martw. Obiecałem Ci, że wszystko się ułoży. Szymon”.

Odpowiedziałam, już bez zastanowienia.

„Nie będę się martwić. Śpij dobrze. Marta”.

Wszystko będzie dobrze. Musi być dobrze.

Wzięłam się do rozkładania łóżka, wietrzyłam pokój przed spaniem. Zadzwęczała komórka.

- Chcę ci o tym powiedzieć pierwszy - usłyszałam głos Łukasza. - Zajrzyj jutro do „Stylowej Pani”.

Rozłączył się.

- Marta, gratuluję! Świetnie to wymyśliliście! - Dzwonił naczelny. - Możesz jutro wpaść do redakcji o dziesiątej? Przepraszam za telefon o tak późnej porze, ale takie wydarzenie! Będziesz?

- Mogę być. A o co chodzi?

- Nie bądź taka skromna. Do jutra.

„Mówiłam, że będzie niespodzianka, siostra, ho, ho!“. Esemes od Renaty.

Co się dzieje? Jakie wydarzenie? „Stylowa Pani“? Łukasz. Powoli zaczynałam się domyślać. Przypomniałam sobie zdjęcia w ogrodzie.

Tylko nie to...

NACZELNY

Dlaczego nic mi nie powiedziałaś! - krzyknęła Rozalka w samochodzie, aż podskoczyłam.

- Co się tak drzesz, siostra? - Jej reakcję usłyszał nawet Kajetan, mimo słuchawek na uszach. - Nie dasz człowiekowi dospać przed lekcjami.

Dzisiaj wyjątkowo wiozłam dzieciaki do szkoły. Skorzystały z okazji, że czeka mnie wizyta u naczelnego. Z tonu jego głosu podczas wczorajszej rozmowy wywnioskowałam, że nie jadę po wypowiedzeniu, niemniej jednak niepokój nie chciał zniknąć. To pewnie sprawka Łukasza i tych jego zdjęć. Tak się dać podejść, stara, a głupia! Przyśpieszyłam, by jak najszybciej zobaczyć to, czego się spodziewałam.

- Mami, słyszysz, co mówię? - Roza przypomniała o swojej obecności. - I zwolnij trochę, bo nas pozabijasz.

- Właśnie. - Głos z tyłu wyjątkowo poparł siostrę.

- Nie gnaj tak, mamy czas. Czego nam nie powiedziałaś?

- Kajetan przyłączył się do Rozalii. Jak widać, słuchawki nie były specjalnie hermetyczne.

- Zośka dzwoniła, że jesteś na okładce „Stylowej Pani”, w naszym ogrodzie. Ten twój fotograf wygrał jakiś konkurs

na zdjęcie Kobiety Jesieni. Bosko! - Nie wiedziałam, czy jest bardziej dumna, czy zaskoczona.

- Ten chłystek? - Kajtek przypomniał sobie Łukasza.

- Kajetan, w tej chwili się uspokój. Jesteś dorosły, a zachowujesz się jak rozwyrzony bachor. A nie powiedziałam wam, bo nie wiedziałam. I aż się boję.

- Czego?! - Reakcja obojga była, że tak powiem, bliźniacza.

- Tego zdjęcia i konsekwencji. Dajcie spokój, pogadamy po południu. - Moja prawa noga mocniej przycisnęła pedał gazu. - Dobrze, już zwalniam - odpuściłam.

- Trzymaj się dzielnie, mamuś. - Po niespełna półgodzinnej jeździe zostawiłam moje piskłeta pod szkołą. - Jesteśmy z ciebie dumni! - Roza cmoknęła mnie w policzek.

- No! - Kajtek poszedł w ślady siostry, uważnie rozglądając się, czy nikt nie widzi.

- Zaesemesuję do taty. - A ta ciągle swoje! Machnęłam ręką. Rozumiałabym, gdyby tracąc pełną

rodzinę, mieli po dwanaście lat, ale takie stare konie, a bawią się w grę „godzimy rodziców”? Lekka przesada. Ciekawe, czy „Stylowa Pani” dotarła już na pewien statek badawczy u wybrzeży Norwegii? Sądząc po szybkości rozchodzenia się wieści, było to możliwe. Pewnie Szymon już przegląda numer.

Komórka pikała, sygnalizując kolejne esemesy. Otworzyłam pierwszy z brzegu. „Piękne zdjęcie, piękna Jesienna Kobieta. Przepraszam, że zdecydowałem się skorzystać z telefonu, ale nie mogłem się oprzeć, żeby jak najszybciej Ci to powiedzieć. Szymon”.

Niemożliwe, nieprawdopodobne. Skąd on ma numer mojej komórki? Skąd wiedział? Przejrzałam kolejne wiadomości. Gratulacje, zachwyty, zaproszenie na zdjęcia do kalendarzy. Horror. Czy jest jakaś dziura, w której mogłabym się ukryć? To Łukasz okazał się mistrzem, nie ja. Pognałam do Juliusza. Czas wreszcie zobaczyć „to чудо”.

- Siadaj, siadaj. Ładnie to tak kolaborować za plecami szefa? - Stary wręczył mi ostatni numer „Stylowej Pani”. - Żartuję, Marta. Dobra robota.

Sprawdziły się moje najgorsze przypuszczenia. Na pierwszej stronie ujrzałam siebie przed rabatą astrów, z lekko rozsuniętymi nogami (Boże mój!), rysującą patykiem na piasku. Przypomniałam sobie wskazówki Łukasza, gdy przygotowywał mnie do zdjęcia. „Nie patrz na to, co rysujesz, patrz w słońce. Jesteś zadowolona, jesteś szczęśliwa, siedzisz wśród kwiatów i smarujesz po piasku patykiem, dobrze! Wytrzymaj! Jeszcze raz! Jesteś szczęśliwa, Martu-siu, jak nigdy dotąd. Śmiejesz się, taaak...”. Czy to jestem ja?. Zdziwiona efektem, niemal sięgnęłam po lusterko. Na okładce zobaczyłam szczęśliwą, radosną, może nieco nostalgiczną kobietę z ciemnoblond włosami o miedzianych pasmach, lekko zakrywającymi twarz. Połączenie dziecka z dorosłą kobietą, marzeń z dorosłością. Piękne. Łukasz okazał się mistrzem. Ale te rozsunięte nogi...

- Zobacz jeszcze w środku. - Juliusz nie pozwolił mi oddać gazety.

Od trzydziestej czwartej do trzydziestej ósmej strony były wyłącznie moje zdjęcia z informacjami, gdzie pracuję, kim jestem, jakie mam plany...

- Majstersztyk, pani redaktor. - Naczelny nalał mi koniaku.
- Juliusz! - Ochłonęłam po zapoznaniu się z galerią.
- Dlaczego mnie wezwałeś?
- Nie wezwałem, tylko zaprosiłem. - Stary niczego nie robił bezinteresownie. - Chcę cię prosić, żebyś wróciła z urlopu do pracy.

- Z przymusowego urlopu, Juliusz - musiałam mu przypomnieć naszą ostatnią rozmowę o braku roboty dla mojego działu projektowania ogrodów. - Znalazłam sobie inne zajęcie - zagrałam *va banque*. - I chyba nie przyjmę twojej propozycji.

Uczepił się tego niefortunnego „chyba”.

- Marta, masz duże doświadczenie - starał się dobierać słowa. - Jesteś świetną dziennikarką, znasz ludzi. Powinnaś pracować w zarządzie. Proponuję ci stanowisko mojego zastępcy.

No, no. Nigdy bym się nie spodziewała, że kilka zdjęć w kolorowym piśmie jest w stanie zdziałać takie cuda. A gdyby tak jakaś rozbierana sesja? Może wskoczyłabym na naczelnego?

- Wy tłumacz mi, Juliusz - kosmate myśli zachowałam dla siebie, ubierając twarz w maskę negocjatora - dlaczego mi to proponujesz?

- Marta. - Wstał zza biurka i zacierając nerwowo ręce, zaczął niespokojnie przechadzać się po pokoju.

- Jak ci mówiłem, pismo nie jest w zbyt dobrej sytuacji... Twoje zdjęcia i sukces Łukasza mogą nam pomóc. Rozumiesz, zwiększyć sprzedaż. - Spojrzał mi głęboko

w oczy, oczekując zrozumienia. - Wszelki ferment, zainteresowanie są dobre. Jeżeli zależy ci na tytule...

- A jak się uda, to wyślesz mnie na kolejny urlop? Żebym zrobiła sobie zdjęcia zimą albo wiosną? - nie mogłam powstrzymać sarkazmu.

- Przepraszam, Marta. Nie powinienem ci tego robić. Naprawdę myślałem, że dział projektowania nas nie pociągnie... To Alina jest mało kreatywna, ale wiesz, ten jej syn... Wybrałem i wybrałem źle. Przepraszam.

Powinnam ująć się za Aliną, ale jakaś wewnętrzna siła kazała trzymać usta zamknięte.

- Zgadzasz się? - Stary zauważył chwilę wahania.

- Zastanowię się, Juliusz.

Gdybym była młoda i honorowa, powiedziałabym „nie”. Stary lis zwęszył interes i chce podreperować czasopismo, wykorzystując falę mojej nieoczekiwanej popularności. Gdyby nie był takim samarytaninem, zwolniłby Alinę, ale padło na mnie. Nagle stałam się kimś realnym, nie tylko żoną swojego męża, mistrza od rozwodów. Wynocha, nie skorzystam.

Ale z drugiej strony... Pensja wicenaczelniej? Możliwość kreowania pisma? Jednocześnie, niestety, siedzenie do późnej nocy, łagodzenie konfliktów pomiędzy kolegami dziennikarzami, przydzielanie premii. Zero czasu na projektowanie, które zaczynało mi się coraz bardziej podobać.

- Muszę się zastanowić, Juliusz - powtórzyłam zdecydowanie, szykując się do wyjścia. - I powiem ci, że nie miałam pojęcia o żadnym konkursie. To Łukasz

wykorzystał mój wizerunek bez mojej wiedzy. Zastanowię się jeszcze, co z tym zrobić. Czy wam wszystkim wydaje się, że możecie wykorzystywać kobiety i jeszcze oczekiwać, że będą z tego zadowolone? Dam ci znać. Z gabinetu szefa wyszłam spokojna, a co najważniejsze

- z możliwością dokonania wyboru. Ala siedziała w swoim kąciku przy oknie i stukała w klawiaturę komputera.

- Cześć. Nie jesteś na zwolnieniu? Czarek wyzdrowiał?

- zagadnęłam. Powinna ukryć się przede mną w ubikacji.

- Marta, powinniśmy porozmawiać... - Spojrzała na mnie lekliwie znad biurka.

- Nie spodziewaj się rozgrzeszenia, Ala. Bardzo się na tobie zawiodłam. I nie wiem, czy chce mi się z tobą rozmawiać. - Aż się rwałam do rozmowy, czekałam jednak na zaproszenie.

- Jutro po pracy idę na koncert - nie zraziła się. - Ale może w sobotę dasz się namówić na spotkanie? Zależy mi, Marta. Proszę.

- Mam dentystę w Gdyni o dziesiątej. Możesz o jedenastej na Świętojańskiej? - zgodziłam się łaskawie.

- Będę.

- A kto zaopiekuje się Czarkiem?

Nie musiała odpowiadać. Wiedziałam, że Krzysztofa znów czeka „spotkanie z klientem” albo inne szkolenie.

DWIE PARY

Miałam problem. Któremu z dzieciaków zaproponować wyjście na piątkowy występ Caro Emerald? Dokupienie kolejnego biletu okazało się nierealne. Jedyne w Polsce koncerty ściągnął do kas fanów holenderskiej wokalistki już dwa miesiące wcześniej. Sprawę rozstrzygnął Kajtek, odstępując miejsce siostrze.

- Mamuś, jak przyjedzie Caravan Palace, pójdziemy razem, a teraz lećcie z Rozalią - wielkodusznie zrezygnował z imprezy. - Ja wpadnę do Marcina na osiemnastkę. Oczywiście będę spał u taty - uprzedził moje potencjalne wątpliwości odnośnie do kolejnej imprezy w tym roku. -1 pamiętaj, że my z Rozą też musimy...

- Jak bym mogła zapomnieć? Przypominasz mi o tym codziennie. - Fakt, że trochę zbyt długo zwlekałam z imprezą urodzinową moich dorosłych bliźniaków. - Dobrze, pogadamy. Ale ojciec musi się dołożyć. - Nie dałabym rady ugościć całej klasy i watahy kolegów w wynajętej sali z jedzeniem, które jednak nie przerażało tak bardzo, jak picie dla spragnionych „dorosłych”. - Zróbcie rozeznanie w kwestii lokum i kosztów. Później zdecydujemy.

Po raz pierwszy od długiego czasu wybierałam się na koncert, w dodatku do świeżutkiej gdańskiej Areny, która może pomieścić ponad czterdzieści tysięcy ludzi. Zastanawiałam się, w jakim wieku będzie widownia. W Rozalki czy w moim? Pytanie wydawało się retoryczne. Skoro tak chętnie zgodziła się ze mną pójść...? Przymierzyłam czarne dzinsy, kupione... Zaraz, zaraz... Dwa, trzy lata temu? Opinały biodra, tworząc lekko nabrzmiąłą oponkę. Matko, muszę kupić nowe, jak ja wyglądam! Taki wstyd! Bluzki nieco sprane, wyciągnięte z lamusa, żakiet? Czy mam jakiś czarny, „koncertowy” żakiet? Trzeba było chociaż raz polatać z Renatą po sklepach, po tych jej wyprzedażach. Kompletna kaszanka. Kobieta Jesieni, przypomniałam sobie własny wizerunek w gazecie. Superkobieta w serwecie na szyi! - pomyślałam niemal ze wstydem. Łukasz jest mistrzem, skoro udało mu się z takiego monstrum zrobić twarz konkursu... Odruchowo złapałam za telefon i wystukałam numer do Łukasza. Wypada mu podziękować czy go ochrzanić? - zastanawiałam się przez chwilę.

- Słucham, Marta? - Odebrał od razu, nie dając mi czasu na rozmyślanie.

- Wiesz, w jakiej sprawie dzwonię.

- Domyślam się. Przepraszam, Marta, że wysłałem zdjęcia bez twojej wiedzy... - na wszelki wypadek zaczął się tłumaczyć. - Ale przecież inaczej byś się nie zgodziła. Obiecuję, że już nigdy tego nie zrobię. Szkoda, byłaś wspaniałą modelką... - rozmarzył się.

- Znalazłeś kolejną. - Przypomniałam sobie o Renacie.

- Jesteś zazdrosna? - podpuszczał, oczekując jedynej słusznej odpowiedzi.

- Łukasz, Renata jest moją siostrą. I mężatką, jakbyś zapomniał. - Moralizatorska nutka nie zaszkodzi. -1 ma dobrego męża. - Zadrzał mi głos. - Mogą być kłopoty.

Zanim zdążył odpowiedzieć, postanowiłam zakończyć rozmowę. W końcu on nie jest dzieckiem, a Renata też dawno wyrosła z pieluch. W kontekście dokonań Krzysztofa i Aliny nie czułam się na siłach rozwiązywać ich problemów.

- Okej, gratuluję sukcesu, którego stałam się podmiotem. Można przewrotnie powiedzieć, że dobrze mnie wykorzystałeś. Żeby było jasne: nie mam do ciebie pretensji, chociaż jesteś przebiegły jak lis. Może wrócę do gazety i będziemy znowu razem pracować, więc lepiej się stanie, jeśli będzie się nam układało. Proszę cię o tylko o jedno: nie kłam i nie kombinuj, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Nie znoszę tego.

- O Pani Jesieni, jesteś wielka! Kamień z serca. Będę uczciwy jak niemowlak - zaczął błaznować. - A z tym wykorzystywaniem... Chętnie zrobiłbym to jeszcze raz.

- Łukasz! Rozmawialiśmy już o tym. Cześć i trzymaj się.

Nadeszło piątkowe popołudnie. Wielki dzień dla wiochmenki Marty i jej (o, nieba!) odstrojonej córki Rozalii.

- Mamo, musimy już jechać - poganiała mnie z dołu, gdy kończyłam makijaż.

Zbiegłam na podjazd, szukając po drodze okrycia.

- Nie widziałaś tego jesiennego szala?

- Weź serwetę ze stołu. - Rozalia sarkastycznie okazała zniecierpliwienie.

Udało się. Szal leżał w aucie. I znowu samochód, droga, szukanie miejsca na parkingu, kasa za postój, zero piwa, powrót po nocy. Trzeba na serio pomyśleć o przeprowadzce do cywilizacji. Szyby niebezpiecznie zaczęły pokrywać się wieczornym szronem, który zwiastował jedno - skrobanie.

- Czego ty jeszcze szukasz?! - Rozalia, umoszczona na przednim siedzeniu, patrzyła w stronę bagażnika, na moją głowę nurkującą w koszu ze zbiorowiskiem samochodowych osobliwości. Szmaty, łąty, mapy, płyn do spryskiwacza, nóż życia, woda mineralna, znicz, buty na zmianę, jednorazowe ręczniki, widelec (gdyby zachciało mi się kupić i zjeść na miejscu piętnaście deko sałatki warzywnej), linka holownicza, resztkę oleju, zapasowe lampki, apteczka, trójkąt ostrzegawczy, zbieraczka wody z szyb tudzież kilka innych ważnych drobiazgów...

- Skrobaczki do szyb! Cholera, nie używałam jej od wczesnej wiosny. Takie małe gie zawsze zginie.

- Tu jest! Chodź już, bo się spóźnimy!

- Spodziewałaś się, że będzie tyle ludzi? - Omiotłam wzrokiem widownię, która powoli wypełniała się szczęśliwymi posiadaczami biletów.

- Patrz, jakie telebimy! - zwróciła uwagę Roza. - Jesteśmy bardzo daleko od sceny, przynajmniej będzie coś widać. Myślałam, że spotkam znajomych, ale to chyba byłby cud w tym tłumie. - Rozglądała się dokoła.

Z zadowoleniem zauważyłam, że nie jestem najstarszą osobą w hali. A prawdę mówiąc, nawet gdybym była, nikt by na to nie zwrócił uwagi. Panujący wokół szum rozmów i drgającego w powietrzu przedkoncertowego podniecenia koncentrował się na konsumowaniu atmosfery, obserwowaniu muzyków krzątających się wokół sceny i próbujących swoje instrumenty, wypatrywaniu tej jedynej, najważniejszej Caroline Esmeraldy van der Leeuw, która wyjdzie za chwilę i zaczaruje kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Nietrudno było poddać się atmosferze i stać się częścią widowni. W ferworze podniecającego wyczekiwania na wielkie wejście prawie nie zauważyłam, gdy artystka stanęła przed mikrofonem. Popłynęło *That man* i natychmiast szmer rozmów zamienił się we wspólne słuchanie. Potem szły tak dobrze mi znane *Just one dance*, *Riviera life*. Przy *Back it up* cała sala falowała.

Obserwowałam scenę przez lornetkę. Caroline przysiadła na krześle. Salę ogarnęło sentymentalne *Stuck*; ludzie kołysali rękami w rytm piosenki. Maksymalnie podkreśliłam ostrość. Za sylwetką Caro widziałam widzów po przeciwległej stronie. A wśród nich... moją siostrę z Łukaszem. Zadowolona, szczęśliwa, oparta na jego ramieniu Renata. Zauroczone. On się nie opierał.

- Mami, czego tam szukasz? Zaraz będzie *A night like his*. - Roza niemal wyrwała mi lornetkę.

Widownia oszalała. Ileś tam tysięcy ludzi wstało i zaczęło nucić razem z Caro. Ku własnemu zdziwieniu ja również.

- Zobaczyłaś diabła? - szepnęła mi do ucha Roza.

- Tak jakby. - Bujałam się z tłumem.
- Jednego?
- Nie, dwa.
- Mami, śpiewamy!

Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będzie mi dane takie zespolenie tłumy, razem, w jednym momencie. Zbiorowy szal wykonania *A nightlike this* zakończył się po kilkukrotnym bisowaniu. Zejście zespołu ze sceny i zbiorowy ruch na trybunach zaanonsowały początek antraktu.

- Rożka, polecisz po jakąś pepsi? - Nie chciało mi się ruszać.
- Jasne, tylko mi się nie zgub. Zaraz będę.

Nie zamierzałam się nigdzie ewakuować. Było mi dobrze. Fajny koncert, świetna atmosfera. Nawet w tych moich nowych czarnych ciuchach czułam się nieźle. Wreszcie jakiś oddech, kawałek luzu, bardzo przyjemnie. Dzięki, Szymon... Skąd wiedziałeś, że potrzebny mi jest taki koncert?

- Mami! Nie dasz wiary, kogo widziałam! - rozmyślenia przerwała Rozalka, wręczając mi kubek pepsi i torbę z popcornem.

Zgodnie z jej oczekiwaniami spojrzałam, wykazując należyte zainteresowanie.

- Wujka Krzyśka z ciocią.
- Renatą? - Nie mogłam uwierzyć.
- Z Aliną. -I co?
- Miałaś rację.
- Z czym?

- Że oni... Nie wiem, jak to powiedzieć... Są razem.
- Naprawdę?
- Tak mi się wydaje.
- Po czym tak sądzisz?
- Są razem, mami. To widać.
- Aż tak?
- Co teraz będzie, mami?
- Nie wiem.
- Co zrobimy?
- Nie mam pojęcia.
- Zamierzasz w ogóle coś zrobić?
- Zastanowię się.
- Mogę jakoś pomóc?
- Nie wiem.
- Mami, zacięłaś się? Wyłącz tę płytę! Tu chodzi o ciotkę!
- Rozalko, co ja mogę zrobić? - próbowałam usprawiedliwić własną bezradność. Łeb mi zaczął pękać już w chwili, gdy na widowni za Caroline zauważyłam Renatę i Łukasza, a teraz jeszcze to. - Nie jestem ekspertem od małżeńskich kłopotów. Sama poległam na tym polu.

Rozalka stała bez słowa, rozżalona i zawiedziona, oczekująca deklaracji.

- Rozalko, spróbuję - dałam jej nadzieję, chociaż nie wierzyłam w powodzenie jakiegokolwiek misji. - I nie martw się. Nie uważasz, że koncert jest świetny?

- Ekstra. I muszę ci powiedzieć, że nieźle wyglądasz. - Rożka obrzuciła mnie okiem znawcy. - Ostatnio zawsze dobrze wyglądasz. Masz kogoś?

Roześmiałam się, żeby ukryć zmieszanie.

- Co ci przychodzi do głowy, córka? Najpierw Kajtek podejrzewał mnie o romans z Łukaszem, teraz ty próbujesz mnie swatać. Z nikim się nie spotykam - udało mi się wybrnąć i nie skłamać.

- To dobrze.

Cokolwiek to znaczyło, nie drażyłam tematu.

ALINA

Nie chciałam pojawić się w kafejce przed Aliną, chociaż dentystę załatwiłam w pół godziny. Krążyłam po sklepikach przy Świętojańskiej i jak zwykle, zamiast do odzieżowego, weszłam do antykwariatu. Piękne rzeczy. Srebrna patera z delikatnym roślinnym wzorem zachwyciła mnie od pierwszego wejrzenia. Po zapoznaniu się z ceną stwierdziłam jednak, że zdecyduję się na nią w późniejszym terminie. O ile starocie, urokliwe bibeloty przemawiały do mnie niemal ludzkim głosem, domagając się kupna, o tyle ubrania czy buty zawsze stały nieme na półkach. Czując ciągnący od chodnika listopadowy chłód, weszłam do sklepu, by rozejrzeć się za cieplejszym obuwiem. Jak zwykle nic nie ma, stwierdziłam po minucie, wychodząc uwolniona od oglądania, przymierzania, kupowania i krytykowania (już w domu) dokonanego wyboru. Nigdy nie bywałam zadowolona z zakupów... Na szczęście dochodziła jedenasta i mogłam skierować się do knajpki Mocca, w której miałam nadzieję zastać Alinę.

Dostrzegłam ją w witrynie przesłoniętej przytulnymi kotarami. Siedziała w kącie opodal baru, w półmroku

rozświetlonym jedynie ognikiem świeczki zapalanej przez kelnera. Gestem dała mu znać, że na kogoś czeka, i nerwowo przyglądała włosy. Celowo i z pewną satysfakcją nie wchodziłam do kafejki, przyglądając się znajomym odruchom niepewności. Odebrała telefon (pewnie od Krzysztofa), odsunęła krzesło od stolika, poprawiła serwetkę, poszukała czegoś w kalendarzu. Patrząc na znerwicowaną postać w zgrzebnej sukience z wielkim wisiosem, przez chwilę zastanawiałam się, kim jest ta obca osoba? Moja Alinka była inna. Współczująca, dobra, delikatna, wyrozumiała. A ta tutaj łamie serca żonatym mężczyznom. I zapewne będzie szukać we mnie sprzymierzeńca. Zdecydowanie nie lubię Aliny.

Z tą myślą weszłam do środka i pewnym krokiem skierowałam się do stolika.

- Cześć.

- O, jesteś Marta... Dzięki, że przyszłaś.

- Chciałaś pogadać, to przyszłam. - Wyszło nieco zbyt obcesowo.

Zapadła cisza. Chyba ją spłoszyłam

- Alina, zostawmy podchody na boku. - Czułam, że w atmosferze napięcia nie dojdziemy do niczego. - Postarajmy się mówić szczerze. Jak do tej pory...

- Martusiu, naprawdę poznałam Krzyśka w stowarzyszeniu... - zaczęła, przyjmując konwencję. - Pamiętasz, mówiłam ci o nim, ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to mąż Renaty. - Zamilkła na chwilę, spuszczać oczy.

Nie ponaglałam. Alina nerwowo miętoszyła chusteczkę, zbierając siły do dalszej spowiedzi.

- Czy mogę już przyjąć zamówienie? - Niezręczną ciszę przerwał kelner.

- Dla mnie espresso, w najmniejszej filiżance, jaką macie. I wodę. - Dawali tu dobrą kawę.

- Ja poproszę koniak. Podwójny koniak, w tym większym kieliszku - zamówiła Alina bez zająknięcia.

- Służę paniom. - Kelner wycofał się dyskretnie. Mimo woli obie się roześmiałyśmy. Mała filiżanka

i duży kieliszek. Najwyraźniej, oprócz przyjaźni, rozchodziły się również nasze kawiarniane preferencje.

- Ty pijesz koniak? - Alina rzadko raczyła się alkoholem.

- Dzisiaj tak. Marta, miejmy już to za sobą - powróciła do tematu po opróżnieniu połowy kieliszka.

- Krzysztof spodobał mi się od pierwszej chwili. Jak się później okazało, ja jemu też. Postanowiłam jednak być bardzo ostrożna, przede wszystkim ze względu na Czarka. Krzysiek szybko zaskarbił sobie moje zaufanie. Pomagał mi, złapał kontakt z Czarkiem, szybko znajdowaliśmy wspólne tematy, upodobania. Nigdy mnie nie podrywał, nigdy nie posunął się za daleko. Był delikatny, czuły, wesoły. I tak mi się podobał...

- Otarła oczy chusteczką.

- A nie przyszło ci do głowy, żeby zapytać, czy nie jest przypadkiem żonaty?! - Maślany obraz idealnego mężczyzny musiał mieć jakiś słaby punkt.

- Na początku bałam się zapytać, a on nie mówił. Domyślałam się i w głębi duszy czułam, że nasza znajomość się kiedyś skończy, ale egoistycznie chciałam

odwlec ten moment. Po raz pierwszy w życiu było mi dobrze. Zakochałam się, Marta. Nadal go kocham.

Zapadła cisza. Nie miałam siły strofować Aliny, uświadamiać, ganić. Rozumiałam ją. Krzysztofa też rozumiałam. Gdyby nie Renata...? Romantyczna historia z moją siostrą w tle, co za zrządzenie losu! Nie pozostawało nic innego, jak zadać Alinie ostatnie pytanie.

- Co zamierzasz?

- Ja już to zrobiłam Marta. Zerwałam z nim.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Miałam jeszcze w pamięci wczorajszy koncert i ich wzajemne uczucie, widziane gołym okiem Rozalii.

- Alina, nie wiem, czy mogę ci wierzyć... Roza widziała was wczoraj w Arenie. - Szczerłość wydawała się najlepszą bronią.

-1 to było nasze ostatnie spotkanie. Pożegnalne.

Ala wysączyła kolejny, a potem jeszcze jeden koniak. Pomyślałam, że będę musiała ją odwieźć do domu. Skoro Krzysztof już nie przyjedzie...

- Powiem ci tylko, że czuję się fatalnie, Marta. - Alkohol zaczął działać. - Dlaczego mam takiego cholernego pecha? Musiałam trafić na męża twojej siostry? - Nie kryła łez.

Trzeba zapobiec czwartemu podwójnemu kieliszкови...

- Dlaczego musiałam sobie zadać samobójczy cios i zaprzepaścić szanse na szczęście? - Ostatnie zdanie Aliny usłyszeli już wszyscy klienci Mokki. - Jestem nieszczęśliwa, Marta. Już nigdy mi się nie ułoży! - załkała.

- Może przyniosę wodę? - Kelner delikatnie dał mi do zrozumienia, żebym nieco uciszyła przyjaciółkę.

- Alina, uspokój się. Napij się wody. - Butelka nie-gazowanej już stała na stoliku.

- A ty tu przyszłaś, żeby mnie dodatkowo pograć!

- Trzeba ją jak najszybciej wyprowadzić z kawiarni.

- Taka z ciebie przyjaciółka!

- Ala, wychodzimy. Narzuć płaszcz. - Podałam jej okrycie. - Wychodzimy, wychodzimy. Tędy. Weź torebkę.

- Podtrzymałam ją.

Do drzwi odprowadzały nas ciekawskie spojrzenia.

- Odwiozę cię do domu - obwieściłam, gdy szczęśliwie znalazłyśmy się na ulicy. - Gdzie jest Czarek? - Matka nie mogła mu się pokazać w takim stanie.

- Gdzieś tam jest. Na tym, no... Na biwaku - przypomniała sobie. - Jutro go przywiozą. Czy ty się na mnie gniewasz, Marta? - bełkotała, gdy układałam ją w aucie.

Na szczęście znalazłam klucze od jej domu i z ulgą stwierdziłam, że Czarka rzeczywiście nie ma.

- Nie gniewam się. Teraz śpij. A gdy się obudzisz, zadzwoń do mnie. Zrozumiałaś? - Nie było sensu wdawać się z nią w dyskusję.

- Mhm.

Po chwili dochodzące z kanapy dźwięki obwieściły, że Alina zapadła w głęboki sen. Okryłam ją kocem i zamknęłam drzwi od zewnątrz, upewniwszy się, że drugi klucz został w domu. Biedactwo, nie dość, że w rozpaczy, to na domiar złego obudzi się z kacem... Rozsiadłam się w corsie, przymykając oczy, i kontemplowałam pierwszą

dzisiejszego dnia chwilę spokoju. Jest sobota, pojedę do domu, po drodze zrobię zakupy, przygotuję na obiad lasagne i galaretkę z owocami, a potem poczytam. Albo może coś obejrzę? - z przyjemnością planowałam dalszą, tę lepszą część dnia. Projekt musi poczekać do jutra.

Miałam ochotę na chwilę samotności. Byłam w stanie udźwignąć wyłącznie towarzystwo dzieciaków.

Żeby tylko mamie nie przyszła do głowy wizyta w Mieszkowicach! Żadne zabawianie, gadanie o niczym, podawanie obiadu i zmywanie nie wchodziło w rachubę. A wieczorem napiszę do Szymona, na miłe zakończenie dnia.

Czas się ocknąć. Dźwięk włączonego silnika zagłuszyła komórka.

Renata. A ta czego znowu chce? Przez chwilę zastanawiałam się, czy odebrać. Muzyczka nie milkła.

- Tak, Renia ? - Nie mogłam dłużej udawać, że mnie nie ma. -
O co chodzi?

Po drugiej stronie usłyszałam szloch.

- Co się stało?! Coś z Michaliną?!

- Marta! - Moja siostra mówiła z trudem. - Krzysztof się wyprowadził.

RENATA

- Cześć, dzieciaki! - W domu powitał mnie tylko pies. - Jesteście?

- Można powiedzieć, że jestem tylko ja. - Rozalia wyłoniła się z kuchni. - Kajtek odsypia imprezkę.

- Dobrze, że wrócił. - Zupełnie zapomniałam o synu.

- Przywieźli go, a nie wrócił. Jakiś koleś go podrzucił, kompletnie wczorajszego - siostra sypała brata.

- Czy dzisiaj jest może dzień pijaka? - nie mogłam powstrzymać skojarzenia.

- Dlaczego?

- Tak mi się powiedziało, córcia. Co robisz?

- Szukam czegoś do jedzenia.

- Poczekaj. Pomóż mi się rozpakować, zrobię lazanie.

- Głód pogał Rozę do samochodu. - Mam kabanosy!

- krzyknęłam.

- Nie tylko kabanosy, mami! - Roza dźwigała dwa wina i zgrzewkę piwa.

Dalszy ciąg dnia pijaka?

- Rożka... Jestem zmęczona, boli mnie ząb, a za kilka godzin przyjedzie ciotka Renata, żeby porozmawiać

- tłumaczyłam, próbując zachować spokój. -1 wierz mi, nie będzie to łatwa rozmowa.

- Stało się coś? - wyraźnie się zaciekawiła.

- Krzysztof wyprowadził się z domu.

- Ale świnia ta twoja Alina! - Roza zareagowała prawidłowo.

Przyznam, że na pierwszy rzut oka tak to mogło wyglądać.

- Alina zerwała z Krzysztofem. Widziałam się z nią dzisiaj.

- To dlaczego wujek się wyprowadza? - Moje dziecko chciało poznać wszystkie odpowiedzi.

- Tego właśnie nie wiem, ale z pewnością dowiem się od Renaty. Roza, chociaż ty daj mi spokój, bo zwariuję od tych wszystkich rewelacji! - Rozpakowywałam zakupy. - Lepiej zobacz, czy twój brat żyje, i postaw mu przy łóżku miskę. W razie czego.

- Dzień pijaka - wymamrotała pod nosem moja córka i grzecznie udała się na górę z misją „miska”.

A propos... Otworzyłam sobie piwo, którego kilka łyków ukoilo moje skołatane nerwy i rozluźniło ciało. Łazanie dochodziła w piekarniku, sałatkę wystarczyło jedynie doprawić. Wodę z cytryną wstawiłam do lodówki i nastawiłam wodę na lód w kostkach.

- Rozaaaa! Zrobisz koreczki na wieczór?

Moja nieustannie odchudzająca się siostra i tak nie przełknęłaby wysokokalorycznej zapiekanki.

- O, widzę, że już po piwku - zauważyła Rozalka, wchodząc do kuchni.

- Wiesz, jest takie rosyjskie powiedzenie, bardzo pasujące do obecnej sytuacji - próbowałam usprawiedliwić obecność pustej puszeki. - *Biez pol litra nie razbieriosz*. Rozumiesz?

- Że niby się nie rozbierzesz?

Od razu widać, że nasze dzieci nigdy nie uczyły się rosyjskiego...

- Nie. Oznacza tyle, że żadnej ważnej sprawy nie uda się rozwiązać bez przysłowiowego pół litra. I tyle.

- Wiesz co? Rozmawiałam z tatą na temat naszej osiemnastki.

- Nie miałam pojęcia, dlaczego skojarzyła imprezę z rosyjskim przysłowiem. - Sfinansuje ją.

- Cieszę się. Możemy o tym pogadać jutro? - Dość kolejnych spraw i rozstrzygnięć. - Daj jeść psu i kotu, bo zbierają mi śmieci z podłogi. I proszę was, zajmijcie się z Kajtkiem swoimi sprawami, gdy przyjedzie ciotka. Okej?

- Jasne. Ale potem mi wszystko opowiesz? Nie mogłam odmówić, skoro wiedziała już tyle.

- Powiem, kochanie. Nie martw się, proszę. - Przytuliłam ją.

- Ułoży ci się kiedyś, mami. - Skąd ta refleksja?

- Na pewno, córuś.

Już mi się układa, tylko nie mogę ci na razie tego powiedzieć. Do czasu, aż spotkam się z Szymonem. Jak zwykle ostatnio, pomyślałam o nim ciepło. Dobrze, że nie można czytać w cudzych myślach...

Renata pojawiła się koło czwartej. Zaparkowała zamaszyście, niemal wjeżdżając na klomb z irgą. Na wszelki wypadek zwierzaki zamknęłam w domu. Spotkanie z autem mojej siostry mogłoby skończyć się dla nich tragicznie.

- Czy ty jesteś to sobie w stanie wyobrazić?! - wykrzyknęła zamiast powitania. - Ten dureń wyprowadził się z domu! Zapakował walizki i się wyniósł!

- Wejdz, Renia. Nie będziemy rozmawiały na dworze. Zimno już.

Udało mi się wciągnąć ją do przedpokoju. Słowotok nie ustawał.

- Zakochał się, rozumiesz?! On się zakochał! Podstarzały, podłysiały dziad się zakochał! Ciekawe, w kim? Znalazł sobie jakąś bibliotekarkę? A może sekretarkę w tej swojej firmie? Która by go chciała? Chyba jakaś ułomna! - Renata pluła jadem.

- Nalać ci wina? - Nie skomentowałam, że kilka lat temu to właśnie ona go zechciała.

- Nalej! - grzmiała. - Po tylu latach małżeństwa ze mną on się zakochał! Marta, to niewyobrażalne. Ja tego nie przyjmuję do wiadomości! Tylu jest fajnych, przystojnych facetów na tym świecie, a ja siedzę z tym... Tyle lat, a on mi taki numer wykręca?

Nie wiedziałam, co powiedzieć, a gdyby nawet, to i tak nie byłabym w stanie przerwać potoku słów. Pozostało mi jedynie usiąść na kanapie i wpatrywać się ze zrozumieniem.

- Siostra, co ja teraz zrobię? - Złość przeszła w przeraźliwy płacz.

Nie wiedziałam, czy powoduje nią miłość, urażona duma, czy strach przed przyszłością. Pewnie wszystko naraz. Nigdy dotąd nie widziałam Renaty w takim stanie.

- Czy ty sobie możesz wyobrazić, jak czuje się zdradzona kobieta?! - znowu zaczęła krzyczeć.

- Mogę, Renia, doświadczyłam tego. Pragnę ci przypomnieć, że zostałam zdradzona przez Rafała. - Z pewnością moje przeżycia nie były tak ważne i dotkliwe jak jej...

- Ale Rafał przynajmniej się nie zakochał! - skomentowała, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. - A poza tym to przystojny mężczyzna, któremu spodobała się jakaś ładna laska. A Krzysztof? Czy on nie był zadowolony z takiej żony jak ja?

Wkurzyła mnie niemiłosiernie. Nie zamierzałam dołować rodzonej siostry, ale rozmowa potoczyła się spontanicznie.

- Renata, posłuchaj! - zawzięłam się w sobie. - Cicho!

- Przerwałam gestem, bo już zaczynała otwierać usta, z których za chwilę miał wypłynąć potok jadu. - Widzę, że dobre samopoczucie cię nie opuszcza. Czy ty sobie wyobrażasz, że jesteś miss świata, której taki chłopek jak Krzysztof będzie dogadzał przez całe życie i jeszcze prosił o łaskę? A ja zasłużyłam sobie na zdradę Rafała, bo w jego kancelarii są „fajne” laski? Oczywiście, dużo fajniejsze ode mnie, po które taki „przystojny” gość jak mój eks może sięgnąć. I to jest normalne? Nie, kochana! Współczuję ci serdecznie, bo rozumiem, co teraz czujesz, ale nie pozwolę się przy okazji poniżyć. Ustalmy jedno: jeśli chcesz gadać o sobie i Krzyśku, nie tykaj mnie i Rafała, bo to zupełnie inny temat. Renata, tak cię to dziwi, że Krzysztof się zakochał?

- Byłam w transie. - A co ty mu dawałaś? Przyjemność zarabiania na ciebie i rodzinę, obowiązek podporządkowania się tobie, możliwość spełniania twoich zachcianek za rzadkie chwile łaskawości od szanownej pani żony? Jak

ty się o nim wyrażasz, nawet teraz? „Podstarzały, podły-siały dziad”, „która by go chciała, chyba jakaś ułomna?”. Sony, siostra, przesadzasz. Masz okazję pozbyć się tego „dziada”. Zresztą chyba znalazłaś już następcę? Widziałam, że dobrze się bawiliście na koncercie Caro.

- To tylko znajomy... - usprawiedliwiła się cichutko. Skończyłam. Siedziałyśmy bez słowa, dolewając wino

do kieliszków. Moja siostra popadła w zadumę, chyba po raz pierwszy w życiu. Nie bardzo wiedziałam, co taki symptom zwiastuje. Okazało się jednak, że wyjątkowy spokój.

- Myślisz, że warto powalczyć o Krzysztofa? Nie spodziewałam się takiego pytania.

Stała mi przed oczami rozmowa z Aliną i poczułam wyrzuty sumienia, że nie jestem szczerą.

- Renia, zawsze warto - odpowiedziałam po zastanowieniu. - Ale nie mogę ci obiecać, że się uda. To zależy nie tylko od ciebie, ale też od Krzysztofa. No i od tej osoby, w której się zakochał...

- Pan Zdzisław? Witam. - Monolog przerwał dźwięk telefonu. - Mama się źle czuje? Co się stało? Mówi, że arytmia? To jedźcie do szpitala, zbadają i może podadzą kroplówkę. Mama chce, żebym przyjechała? Nie mogę, panie Zdzisławie, wypłam piwo. Proszę się nie martwić. Czekam na telefon, jak już wrócicie do domu. Do usłyszenia.

- Hipochondria? - domyśliła się Renata.

- Tak. Zawsze jednak trochę się niepokoję...

- A ja nie. Mama zawsze próbuje absorbować sobą otoczenie.

- To macie coś wspólnego... - powiedziało mi się samo.

- Chyba powinnam już jechać. - Renata poderwała się z fotela.

- Renia, uspokój się. Nie miałam na myśli twoich problemów z Krzysztofem. A poza tym nigdzie nie pojedziesz po winie.

- Włączymy sobie jakiś film? - Alkohol najwyraźniej ją uspokoił.

Puściłam jej *Bezsenność w Seattle*, przy której zwykle zasypiała. Rozłożyła się wygodnie na kanapie, nie wypuszczając z ręki kieliszka. Zasnęła niemal natychmiast. Po cichutku powędrowałam na górę i otworzyłam laptopa.

„Witaj moja internetowa, koncertowa Pani Martusiu.

Mam nadzieję, że byłeś na Caro Emerald i opiszesz mi wrażenia, ale jeśli nie - nie ma zmartwienia. Wiem, że powinienem zaopatrzyć Cię w trzy bilety, żebyś mogła pójść z obojgiem dzieciaków, niestety nie mogłem tego załatwić.

U mnie dzień jak co dzień, nie ma o czym mówić, pisać, roztrząsać. Życie jak w sanatorium, śniadanie, obiad, kolacja, w międzyczasie zabiegi związane z pracą. Ale u Ciebie pewnie się dzieje? Pani Jesieni, twarz ogólnopolskiego pisma... Masz teraz zapewne dużo spraw i zajęć, dlatego staram się nie być zaskoczony, znajdując pustą skrzynkę. Mam jednak nadzieję, że znajdziesz trochę czasu na kilka słów do Robinsona Szymona. Czekam. Pozdrawiam

Szymon".

MARTA

- Dzień dobry, Panie Robinsonie Szymonie w niedzielne przedpołudnie.

Mam, co ostatnio rzadko się zdarza, wolną chwilę, a raczej wolniejszą głowę, i z przyjemnością zasiadam do klawiatury, aby z Tobą porozmawiać. Dobrze przewidziałeś, że moje życie przyspieszyło, jednak nie za sprawą zdjęć w czasopiśmie. Te kwestie jeszcze przede mną. Stary zadowolony nagłą, za moją i Łukasza sprawą, promocją zaproponował mi posadę wicenaczelną, „Stylowa Pani” domaga się wywiadu, na który nie mam najmniejszej ochoty. Co ciekawego mogę im powiedzieć? Że rok temu moje małżeństwo legło w gruzach i do tej pory nie znalazłam sobie nikogo? Że nie licząc dzieci, nie mam niczego stałego, pewnego? Że być może nie będę pracowała, gdzie pracuję, że przeprowadzę się do bloku w Gdyni, żeby było bliżej, taniej, żeby dzieciaki chciały ze mną mieszkać? Że za chwilę rozkraczy się moja czerwona corsa i nie będę miała kasy na nową? Że mój fantastyczny pomysł wzięcia udziału w konkursie na projekt ogrodu może spalić na panewce, ponieważ matka, siostra i przyjaciółka

postawiły sobie za cel zawłaszczyć cały mój czas, nie pozostawiając mi choćby marginesu swobody? Ze owszem, mam piękny ogród, ale straciłam do niego serce, ponieważ przestała mi odpowiadać mieszkowicka aura? Sam widzisz, że zbyt dużo jest tych „że”. Kogo mógłby zainteresować taki wywiad?

Zapędziłam się w swoich wynurzeniach, przepraszam. Jestem taka sama jak mama, Alina, Renata... Przepraszam. Nie mogę jednak nie myśleć o sprawach, na których orbicie znalazłam się mimo woli.

Myślę, że jestem Ci winna wyjaśnienie i szczerość. Nie chciałam Cię zajmować swoimi sprawami, ale nie da się pisać na okrągło i oczekiwać zrozumienia. Pozwól, że zacznę od koncertu Caro Emerald, który był wspaniały, porywający. Obie z Rozą bardzo Ci dziękujemy za bilety, to znaczy Rożka na pewno by Ci podziękowała, gdyby wiedziała, że jesteś ich sponsorem. Jak się domyślasz, nie informowałam jej o tym z bardzo prostej przyczyny: ona cały czas żywi złudną nadzieję, że kiedyś jeszcze będziemy z Rafałem. To, oczywiście, nie wchodzi w rachubę. Rafał już dla mnie nie istnieje jako facet, jest jedynie ojcem naszych dzieci. Przepraszam, ale niezręcznie mi jest rozmawiać o tym z Tobą. Żeby zakończyć temat, powiem: to głównie on jest sprawcą mojej obecnej sytuacji, jemu zawdzięczam brak tożsamości, którą „Stylowa Pani” ma zamiar odkryć dla czytelniczek. Odkryje kobietę, która po osiemnastu latach małżeńskiego życia musi zaczynać wszystko od nowa. Dużo łatwiej przychodzi to bohaterkom seriali niż kobietom w realu. Teraz wiem,

że nie wolno mi rezygnować z marzeń, planów zawodowych, z siebie, żeby nie obudzić się z ręką w nocniku. Mam nadzieję, że Rozalia nie popełni moich błędów i znajdzie sobie faceta, który będzie partnerem, a nie dobroczyńcą rodziny. Powiem jej, żeby nie ubierała się w małą czarną dla gości męża, żeby nie pichciła i nie rozkładała serwetek, przestudiowawszy najpierw *savoir-vivre* angielskiej rodziny królewskiej, żeby nie zgubiła kontaktu z chłopakiem, w którym jest zakochana, a który nagle stał się jej mentorem. Szymonie, jeśli przesadziłam z wynurzeniami, nie odpisuj na ten list, w którym być może odkrywam moją swoją uśpioną osobowość. Teraz wychodzę z założenia, że szczerść przede wszystkim, zdaję sobie jednak sprawę, że może Ci taka prawda o mnie nie odpowiadać. Dlatego nie będę się pograżać, chyba że na Twoje wyraźne życzenie.

Szymon, mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. O ile mnie pamięć nie myli, za dwa tygodnie przybijesz do gdyńskiego portu. Pogoda nie jest specjalnie zachęcająca, ale zapewne lepsza niż u wybrzeży Norwegii. Z nadzieją na «do zobaczenia»

Marta".

Poszło. I dobrze, niech się dowie, że nie jest łatwo przyjaźnić się z kobietą z problemami, i w porę się wycofa. W głębi duszy jednak miałam nadzieję na odpowiedź. Co mnie skłoniło do zniechęcania do siebie jednego z niewielu przyjaznych mi ludzi? A to pisanie obcemu facetowi o byłym mężu to już kompletna porażka.

Siedziałam przed komputerem, bezmyślnie gapiąc się w ekran. Sama sobie strzeliłam gola. Szymon odpisał!

„Biedna, zagubiona Dziewczynko...

Byłbym głupcem, ganiąc Cię za szczerość. Czuję się zaszczycony, że dopuszczasz mnie do Twoich spraw i myśli. «Pogrążaj się» zatem dalej na moje «wyraźne życzenie». Niespecjalnie mi wypada komentować postępowanie Twojego byłego męża, pozwól jedynie, że po raz drugi i ostatni napiszę wprost: stracił Ciebie na własne życzenie, nie dostrzegając Twoich potrzeb i starając się przede wszystkim zadowolić siebie. Zdrada, o której pisałaś kiedyś, była przysłowiową kroplą, która przelała czarę goryczy i kazała Ci rozwiązać ten układ. Myślę, że teraz facet cierpi, a przynajmniej nie jest z siebie zadowolony. Trudno.

Najbardziej martwi mnie fakt, że, jak piszesz, otoczenie przeszkadza Ci w pracy nad projektem. Tak nie może być. Dopilnuję, żebyś nie zaprzepaściła szansy. Jeżeli się zgodzisz, napisz, proszę, o co chodzi. Wspólnie zastanowimy się nad rozwiązaniem problemu. Jeżeli nie jest to sprawa życia i śmierci, nie wolno Ci popełnić tych samych błędów i skupić się wyłącznie na bliskich, odsuwając własne sprawy, a może i przyszłość?

Nie będę się rozwodził i opisywał Ci szumu fal Morza Północnego i obiadowego menu naszego kucharza (swoją drogą chyba nieco chyba przytyłem na jego wikcie). Czekam na szybką odpowiedź, bo termin złożenia projektu się zbliża, a Ty, jak zrozumiałem, jesteś jeszcze w lesie.

Wiem, że siedzisz przed komputerem. Nie odchodź, odpisz proszę. Czekam Szymon".

„Dzięki, Szymon.

Dzięki za mobilizację, kubełek wody na głowę za zajmowanie się całym światem, dzięki, że jesteś. Może za sprawą Twojego wsparcia nie rozpadnę się na atomy, a projekt da się złożyć z drobnych fragmentów planów, zdjęć, wyliczeń i pomysłów.

Donoszę w telegraficznym skrócie, co się ostatnio działo. Mamy do czynienia ze scenariuszem rodem jak z marnej telenoweli. Otóż mąż Renaty, Krzysiek, wyprowadził się z domu, ponieważ się zakochał w mojej przyjaciółce Alinie. Ani Alina, ani Krzysztof, rozwijając dwumiesięczną znajomość, nie byli świadomi rodzinno--przyjacielskich układów. Teraz nieszczęśliwa jest cała trójka. Alina zerwała z Krzysztofem, dowiedziawszy się, że ten jest mężem mojej siostry, on mimo to zostawił Renatę, która najpierw się wkurzyła, a teraz płacze, co nie oznacza, że zawsze była przykładną żoną. Wręcz przeciwnie. Na koncercie Caro widziałam ją z moim redakcyjnym kolegą, fotografem Łukaszem. Tyle. Jak się domyślasz, zdążyłam już wysłuchać zwierzeń obu pań, teraz czekam na telefon od Krzyśka. Wybacz sarkastyczny ton. Złapałam go dopiero podczas pisania do Ciebie i spojrzenia na całą sytuację z boku. W rzeczywistości jestem w centrum problemów bliskich mi osób i nie wiem, co robić. Alina nie zasłużyła, żeby rezygnować z miłości

po tylu latach trudów, wyrzeczeń i samotności, Renacie może przydałby się lekki prztyczek od życia z powodu, delikatnie mówiąc, traktowania nie fair własnego męża, ale to jednak moja siostra... Krzysztofa na razie pomijam. Chwilowo niezbyt go lubię, chociaż - niestety - rozumiem. Chciałoby się przytoczyć słowa piosenki Budki Suflera: «Co ja tutaj robię, wiedzieć bym bardzo chciał». Nie wnikam w szczegóły życia wszystkich zainteresowanych i w powody, które doprowadziły do całej sytuacji. Powiem Ci tylko, że czuję się jak Salomon, zmuszony do znalezienia idealnego wyjścia, albo Pytia, do której zgłoszą się pokrzywdzeni z prośbą o przepowiednię. Będę musiała chyba sprawić sobie trójnog, by jej wzorem spojrzeć z jego wysokości na świat i wypełnić kuchnię odpowiednio dusznymi wyziewami (może indyjskie kadzidełka?)... Liście laurowe do żucia się znajdują. Jak sobie pożuję i powdycham, to z całą pewnością podpowiem im najlepsze rozwiązanie...

Teraz już wiesz wszystko. Optymistyczne jest to, że dzieciaki są przy mnie. Czytaj: nadal chcą ze mną mieszkać. Przypuszczam, że Rafał nie był tak liberalny jak ja w kwestii rozlicznych imprezek Kajtka i nie serwował mu na kaca rosołku czy barszczyku. A u młodych wygoda i dogadzanie liczą się ponad wszystko. Jednym słowem: nie ma jak u mamy. Swoją drogą muszę przyjrzeć się naukowym osiągnięciom moich dzieci, w końcu w maju matura. Pierwsza w tym roku wywiadówka czeka mnie za kilka dni. Rafał planował, oczywiście biorąc pod uwagę swoje aspiracje, że jego syn skończy prawo

i dołączy do jego kancelarii. Rozalia, wzorem matki, mogłaby wybrać jakiś niezbyt mądry kierunek, byleby ukończyła studia... Z tego jednak co widzę, będzie chyba odwrotnie. To Rożka jest osobą mocno stąpającą po ziemi i prawdopodobnie zaskoczy ojca swoim wyborem. A Kajtek? Daj Boże, żeby wylądował gdziekolwiek.

Dosyć marudzenia. I tak jesteś, Szymon, wzorem cierpliwości. Znosisz to wszystko, ale pamiętaj: «na wyraźne życzenie».

Nie wierzę, że u Ciebie nic się ciekawego nie dzieje. Musisz mieć wokół siebie fajnych ludzi, musicie o czymś rozmawiać, urozmaicać sobie dni pracy. Może zechcesz mi o tym poopowiadać? Czułabym się lepiej, mogąc uczestniczyć w Twoim życiu, a nie jedynie uzalać się nad swoim. Nawet nie wiem, czego Ci życzyć? Dobrej kolacji? Spokojnego morza? Owocnych wyników badań?

Mam jeszcze przed sobą kawałek listopadowej, w miarę słonecznej niedzieli, więc zaraz biegnę do ogrodu zająć się bulwami dalii, które tkwią w ziemi i walczą o przeżycie. Czekam na grabienie liści, okrywanie winorośli, opatulanie koron drzewek, zabezpieczenie korzeni krzewów przed przemarzeniem i tak dalej. Cała masa roboty. Cieszę się, że dzięki Tobie będę to robiła w dobrym nastroju. Trzymaj się ciepło i niczym się nie martw, tak jak ja przestałam się martwić. Damy radę, Szymon.

Pozdrawiam Cię serdecznie
Marta".

TWARZ JESIENI

- Będę po was o szóstej. Jeszcze tylko pa, pa na pożegnanie i już oglądałam plecy Rożki i Kajtka znikające w drzwiach szkoły.

Naczelnny już na mnie czekał.

- Są ci ze „Stylowej Pani”. - Wyraźnie podniecony, z przesadną galanterią podsunął mi krzesło. - Zdecydowałaś się, Marta?

- Na co?

- Nie drocz się ze mną. Na wice naczelną. - Słusznie zauważył, że się wymiguję od odpowiedzi.

- Jeszcze nie, Juliusz. Nie bądź w gorącej wodzie kąpany. Na razie myślę.

- Marta... - Odmowa nie mieściła mu się w głowie. - To jest szansa dla ciebie i dla naszego pisma. Nad czym tu myśleć? Ty sobie polepszysz, a wszyscy zyskają. Darmowa reklama poparta nowymi pomysłami i ruszymy z kopyta. Możemy zacząć prezentować ciekawe ogrody. Łukasz będzie robił zdjęcia, a ty...

- No właśnie. Jakie będzie moje zadanie?

- A nie potrzebujemy reklam? Możesz namawiać firmy na reklamy i sponsoring akcji, które będziemy organizować. Zawsze to fajnie, jak reklamodawcy dogadują się ze znaną osobą. Nie mam racji? - Puścił do mnie oko. Kaprawe.

- Myślałam raczej o przeredagowaniu, nowej formule, a nie tylko o reklamach...

- To też. - Stary był skłonny obiecać złote góry, byleby przeprowadzić swój plan. Niestety, podejrzewałam, że będą to góry lodowe po przeniesieniu do Afryki...

- Juliusz. - Mój umysł pracował nad sensowną odpowiedzią. - Z pewnością nie mam zamiaru szkodzić nam wszystkim i kupczyć własną, jak to mówisz, „popularnością”, która za chwilę przeminie, o czym oboje wiemy. Objęcie stanowiska wicenaczelniej to poważna sprawa. Po pierwsze muszę być przekonana, że temu podołam, a po drugie nie chciałabym zajmować go jedynie do czasu, gdy „Stylowa Pani” wybierze Twarz Zimy, rozumiesz?

- Co ty insynuujesz?! - Oburzenie wyszło mu całkiem niezłe.

- Dobrze wiesz co, Juliusz. Pozwól mi po prostu wrócić do pracy po, hm, urlopie i zająć się moją rubryką. A ja i tak zadbam o interesy naszego pisma.

- Jeśli tak wolisz... - Napuszył się z udawaną dezaprobatą, spod której wyzierało widoczne gołym okiem zadowolenie. - Wracaj teraz, Marta, jesteś tu potrzebna. Słuchaj... - zaczął przekonywać, widząc brak reakcji na mojej twarzy. - Co mówić zainteresowanym, którzy będą chcieli się z tobą skontaktować?

- Prawdę, Juliusz, prawdę. Że jestem na przymusowym urlopie, na który mnie wysłałeś.

- Marta, a ty ciągle swoje! - Zabrakło mu argumentów. - Dam ci podwyżkę. - A jednak jakiś się znalazł.

- Powiem tak: do końca listopada jestem bardzo zajęta pewnym projektem. To jeszcze tylko nieco ponad dwa tygodnie i wracam. A podwyżka będzie mile widziana. Lecę na starej pensji już ze trzy lata.

- Mogę ci dać pięćset brutto. - Stary lis skalkulował moją wartość.

- To zależy od zakresu obowiązków, szefie. - Ja też policzyłam. - Jeżeli będę robiła to, co poprzednio, to okej. Jeśli więcej, na co jestem gotowa, musimy tę sprawę przedyskutować.

Nie wiem, skąd mi się wzięła nagła umiejętność negocjowania. Czy aby jednak nie kupczę nagłą popularnością? Pomyślałam o Szymonie, który nie byłby zadowolony, widząc mnie poddającą się woli szefa. Skoro nie chcę go zawieść, muszę o siebie zawalczyć.

- Dobrze, Marta. Wrócimy do tematu, a teraz pozwól, że zaprowadzę cię do dziennikarzy ze „Stylowej Pani”. Czekają na ciebie. I pamiętaj: mów dużo i ciepłutko o naszym piśmie. Pięknie wyglądasz.

Mógł sobie darować ten tani komplement.

- Witamy panią. - Sympatyczna młoda dziennikarka pewnie uścisnęła moją dłoń. - Jestem Agnieszka.

- Konrad. - Kolejny po Łukaszu długowłosey fotograf, podając mi rękę, zręcznie zniwelował dystans.

- Marta - przedstawiłam się imieniem. - Siadajcie, widzę, że o kawę zadbano?

Agnieszka skinęła głową, pozostawiając tę kwestię jako nieistotną.

- Gdzie będziemy rozmawiać? - Z niepokojem rozglądała się po nieciekawym pomieszczeniu naszego advice roomu pełnego biurek, laptopów i porozrzucanych notatek. Trudno było nie zauważyć troski Konrada o ciekawe ujęcia w redakcyjnym pokoju.

- Przepraszam, ale dowiedziałam się o waszej wizycie w ostatniej chwili i jestem nieprzygotowana. - Realizowałam plan szczerych odpowiedzi. - Myślę, że najlepiej byłoby spotkać się w moim domu, w Mieszkowicach. Tam gdzie powstały zdjęcia - zaproponowałam. Spoglądali na mnie wyczekująco. - Może jutro przed południem? Sami widzicie, że tu nie ma aury.

- O dziesiątej? - Dziennikarka podchwyciła pomysł.

- Bardzo dobrze. Wiecie, jak dojechać?

- Podaj adres, znajdziemy - nie widziała problemu. - Przygotuj parę jesiennych ciuszków. Masz kożuszek bez rękawów? I jakieś koronkowe koszule, duże korale, chusty? Zrobilibyśmy cię w stylu miejskiej dziennikarki, która w domowym, wiejskim zaciszu poszukuje spokoju, swojskich klimatów. I która stworzyła ogród na swoje podobieństwo. Piękna twarz na tle pięknego ogrodu, połączenie wykształcenia i pasji, profesjonalizmu i umiejętności odpoczywania na łonie natury w rustykalnym ogrodzie. Relaks, dobry wygląd po czterdziestce, zadowolenie, grille z przyjaciółmi, rodzinna sielanka. Kobieta, która sobie radzi i żyje w zgodzie ze sobą.

- Tak to widzicie? - Wysłuchałam bardzo interesującego scenariusza. Z przekory nie powiedziałam „nie”. Sami się jutro przekonają. - Okej. Czekam o dziesiątej, brama będzie otwarta. Może przygotuję soczewicę i szare kluski ze skwarkami, a na deser kwas chlebowy?

Nie zrozumieli kpiny.

- Super. - Konrad wyraźnie się ożywił. - Już mi leci ślinka.

A mnie robi się niedobrze na ten wasz scenariusz. Czekam w kożusku! - pomyślałam.

Rozstaliśmy się w „pełni zrozumienia”. „Stylowa Pani” będzie miała folklorystyczno-feministyczny tekst, naczelny reklamę, Agnieszka z Konradem wierszówkę, a ja?

Ja chyba nie miałam ochoty się w to bawić.

- Cześć, Alinko. - Zajrzałam jej przez ramię. Pisała o przygotowywaniu musu z owoców róży. - Mam twój klucz do mieszkania. Możesz się na chwilkę urwać?

- Nie. - Spojrzała w popłochu dokoła. - Stary ma na mnie oko. Chyba widzi, że może zapolować na słabą zwierzynę. - Ukryła oczy w dłoniach.

- Masz chusteczkę. Pośpiesznie otarła łzy.

- Przepraszam, że się spiłam. Sprawiałam ci duży kłopot, niewiele pamiętam...

- Alina, tym nie sprawiłaś mi żadnego problemu. Ale chciałabym na trzeźwo porozmawiać sama wiesz o kim.

- Nie ma o czym. Wszystko skończone.

- Jest o kim, Alina. Krzysztof wyprowadził się z domu. -1 ja mam mu powiedzieć, żeby wrócił?! - Zniosła się szlochem. - Wybacz, ale to ponad moje siły. Wystarczy, że Czarek stale o niego pyta, a ja nie mogę spać. Zerwałam z nim, nie jesteśmy razem, ale nie wymagaj ode mnie nakłaniania go do powrotu do żony. W chwili obecnej nie ma żadnych przeszkód. - Otarła nos. - Decyzję musi podjąć sam.

Odwróciła oczy w kierunku okna.

- Ala... - próbowałam ją uspokoić. - Rozumiem cię.

- Sama nie wiedziałam, jak mi to przeszło przez usta.

- I potrzebuję. Muszę z kimś porozmawiać, a ty nadal, Ala, jesteś najlepszą moją przyjaciółką. Bez względu na Renatę i Krzysztofa. Pogadasz ze mną?

- Co się dzieje? - Popatrzyła z niepokojem.

- Może będę kogoś miała... - zaczęłam niepewnie.

- Może już mam?

- Cudownie, Marta. - Jej oczy zaczęły się uśmiechać zza łez. - Ale obiecaj mi, że nie będziemy rozmawiały o Krzysztofie.

- Jeżeli nie chcesz, nie.

- To kiedy się spotkamy?

- Jutro o dziesiątej umówiłam się z dziennikarką ze „Stylowej Pani”. Mogę odebrać cię po pracy i pójdziemy na kawę.

- Tylko mnie pilnuj, Marta, żebym skończyła na kawie. Czarek jest już w domu. - Wrócił jej humor.

- Okej, to lecę kupić sobie kożuszek bez rękawów.

- Ala spojrzała pytająco. - Żartowałam. To taki grepsik,

jutro ci wyjaśnię. - Na pożegnanie poklepałam ją po ramieniu.

- Dzięki za „najlepszą przyjaciółkę”, Martusiu. I do jutra. Że też wcześniej niczego nie zauważyłam...

Cicho, sza! - palcem przyłożonym do ust dałam znak, że cała sprawa jest na razie *top secret*.

TWARZ JESIENI II

Zastanawiałam się nad jutrzejszym wywiadem. Z tego wszystkiego zapomniałam poprosić kolegów ze „Stylowej Pani” o zestaw pytań, do których mogłabym się przygotować.

Przecież to jakaś paranoja. Ja i udzielanie wywiadu! - miałam ochotę wycofać się z niezręcznej sytuacji, jednak po rozmowie ze starym i nadziejach, jakie pokładał w darmowej promocji pisma, czułam się zobowiązana brnąć dalej.

- Roza! - krzyknęłam z góry. Może ona pomoże mi wymyślić ciekawy *image*?

Na dworze ujadał Łajdus. Prawdopodobnie wypuściła go do ogrodu na wieczorne bieganie. Zeszłam do kuchni, by zaparzyć kawę, by odwlec choć na chwilę czas intensywnego myślenia.

- Mamuś, przyjechał do ciebie pan Jakub. - Moja córka wprowadziła do domu znajomego policjanta w cywilu, w towarzystwie smagłego mężczyzny. Czyżby znowu jakieś kłopoty?

- Nie wiem, czy pani sobie mnie przypomina...? Byłem już u pani w sprawie ikony Pantelejmona.

- Oczywiście. Czy wydarzyło się coś nowego? - Musiałabym mieć demencję, nie pamiętając rozmowy sprzed miesiąca.

- To jest Thanos Detras, attache kulturalny ambasady greckiej - przedstawił pan Jakub. Gość, najwyraźniej nauczony polskich manier, z galanterią pocałował mnie w rękę.

- Proszę usiąść. Mogę zaproponować kawę? Z góry mówię, że nie będzie tak dobra jak w Grecji.

- Bardzo miło. - Grek zgodził się na substytut.

- Mamy dobre wiadomości. - Policjant przeszedł do rzeczy. - Przejeliśmy Nikosa Pantulosa na terenie Niemiec i dzięki pani pomocy dotarliśmy do kolekcjonera ikon. Pantulos nie zorientował się, że wiezie kopię ikony z nadajnikiem, który doprowadził nas do celu. Okazało się, że kolekcjoner miał u siebie cały zbiór ikon skradzionych z greckich kościołów. Niemiec będzie miał proces u siebie, Nikos w Grecji.

- Dlatego dziękujemy pani bardzo. Proszę przyjąć list z podziękowaniami - włączył się pan Detras.

- Nie ma za co. - Ucieszyłam się, że mnie nie grozi żaden proces.

- Mam też kopię ikony. Namalowaną specjalnie dla pani. - Grek wręczył mi pięknego Pantelejmona. - Niech chroni panią od chorób i da siłę do życia. Podobno pomaga rozwiązywać trudne sprawy - zareklamował moc świętego.

- Na pewno. Dziękuję i cieszę się, że się wam udało. - Uprzejmość za uprzejmość.

-1 jeszcze jedno. - Już wychodząc, grecki attaché wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki zamkniętą kopertę. - Zapraszamy panią z kimś bliskim do Grecji na urlop. Będziemy zaszczytzeni. Zapewnimy ochronę przed nieuczciwymi Grekami. - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Nie wiem, co powiedzieć...

- Wystarczy się zgodzić. Dziękujemy pani. - Pan Detras do końca pozostał dżentelmenem. - Czy możemy przysłać do pani naszego dziennikarza, żeby opisał sprawę?

Nigdy. Żadnego dziennikarza, żadnego polskiego ani greckiego dziennikarza, żadnych wywiadów, spraw, Twarzy Jesieni, współpracowników policji, obrońców dóbr greckiej kultury narodowej, męża opatrznościowego!

- Panie attaché, myślę, że nie jest to konieczne. A jeżeli, to za jakiś czas. - Nigdy nie potrafiłam być całkowicie asertywna. - Teraz jestem bardzo zajęta pewnym projektem. Będziemy w kontakcie.

Spojrzałam na Rozalię i pana Jakuba. Wymieniali uprzejmości przy drzwiach.

- Obyśmy nie byli w zbyt częstym kontakcie - mruknęłam. Już podczas poprzedniej wizyty policjanta wydawało mi się, że Roza mu się podoba.

- Słucham? - Grecki attaché usłyszał.

- Odezwę się, gdy będę wolniejsza, panie Detras. Gratuluję akcji.

Roza odprowadziła gości do samochodu.

- Co tu się dzieje? Ktoś tu był? - Zaspany Kajtek przecierał oczy.

- Kajtuś, potem ci powiem. Teraz muszę pomyśleć o jutrzejszym wywiadzie.

- Okej. Co jest do żarcia? - Pochylił się nad lodówką.

- Zaraz ci zrobię kolację, synuś. Trzy czy cztery kromki?

- Mogą być cztery. Tylko bez ogórka!

- Pewnie. Zaraz ci przyniosę do pokoju. Idź już.

- Odprowadziłaś panów? - wyhaczyłam Rozalię, sunącą na górę krokiem Śpiącej Królowny. - Czy mi się wydaje, czy podoba ci się ten Jakub?

Odwróciła się gwałtownie. Gdyby wzrok mógł zabijać, pewnie padłabym trupem.

- Lepiej zabierz się za ten swój wywiad, mami, zamiast interesować się wszystkim wokół! - fuknęła i uciekła, pokonując po dwa stopnie naraz.

- Roza!

Już jej nie było.

Jeszcze mi tylko brakuje córki z policjantem! Wywiad, naczelny, praca, a ja mam tylko dwa tygodnie, żeby oddać projekt ogrodu. To ostatni wieczór, kiedy zajmuję się bzdurami, postanowiłam sobie solennie. Zrobione przez Łukasza zdjęcia jesiennego ogrodu mam, wiosenne ujęcia wyszukam we własnych albumach i zabiorę się do roboty. Niestety, dzieciaki będą musiały poczekać na osiemnastkę do grudnia. Do końca listopada będę przeganiać intruzów i koncentrować się nad projektem.

Stawili się o punktualnie o dziesiątej. Zamiast soczewicy, szarych klusek ze skwarkami i kwasu chlebowego

na stole postawiłam placek ze śliwkami kupiony w sprawdzonej cukierni.

- Bardzo tu ładnie. - Agnieszka rozglądała się dokoła.

- Sielanka. Proszę zerknąć na listę pytań, które zadam.

- Przekazała mi kartkę. - My się trochę porządźmy. Konrad, zdejmij tę winorośl na początek i przejedź kamerą po werandzie.

- Wybrała najbardziej fotogeniczny fragment domu. - Tylko na razie bez Marty. Będzie musiała się przebrać - dodała słodko, kierując oczy w moją stronę.

Konrad biegał z kamerą, szukając dobrych ujęć, pani Agnieszka wołała schować się w domu. Na dworze nie bardzo dawało się wysiedzieć. Podałam kawę.

- Możemy niedługo zaczynać? - Była pewna, że dała mi wystarczająco dużo czasu na przejrzenie pytań.

Spoglądając na tę pewność zrobienia łatwego, szybkiego tematu, na wykreowanie osoby, której szkielet już wymyśliła, oczekując jedynie słusznych, to jest zgodnych z jej oczekiwaniami odpowiedzi, nie wiedziałam, jak powiedzieć „nie”. Spróbowałam możliwie najłagodniej.

- Agnieszko... Nie jestem osobą, za jaką mnie pani bierze.

- To znaczy? - zachnęła się, przygotowana na inną odpowiedź.

- Nie jestem ogrodniczką z mężem i gromadką dzieci, spełnioną kobietą, która po pracy kontempluje swoje szczęście na łonie natury. Rok temu się rozwiodłam, mam osiemnastoletnich córkę i syna i z trudem organizuję sobie życie na nowo. Szarpię się z różnymi problemami, poważnie myślę o przeprowadzce do Gdyni. Nie chodzę

w kożuszku z barankiem, nie robię soczewicy i szarych klusek, a jeżeli nawet kiedyś się tym zajmowałam, to chwilowo nie mam ochoty. Proszę wybaczyć, ale chyba nie jestem w stanie pani pomóc.

Dziennikarka otworzyła szeroko oczy, w których wyczytałam zaskoczenie. Bez wyraźnego powodu odrzucić propozycję wywiadu? Jak gdyby nie można było się przebrać w ludowe ciuchy i przycupnąwszy przy grządce, opowiedzieć o przywiązaniu do ziemi i kwiatowych rabatek. Ciszę przerwał telefon od jej szefa, czego nietrudno się było domyślić, przysłuchując się odpowiedziom.

- Za trzy godziny tekst? To niemożliwe, jeszcze nie zaczęłyśmy. Cztery strony?! Miały być trzy. Nie dam rady, są trudności.

Po chwili oporu zmieniła ton.

- Tak, oczywiście, będę miała tekst. Pamiętam o kalendarzu. O czwartej prześlemy do redakcji.

Pani Agnieszka najwyraźniej stała pod murem, a jej naczelny już nabijał strzelbę. Skąd ja to znam?

- Proponuję zaczynać. Na czwartą muszę mieć gotowy tekst. Przebierze się pani? Zrobimy zdjęcia - nie zamierzała odpuścić.

- Wydaje mi się, że nie zrozumiałaś lub nie pamiętasz, o czym mówiłam. - Najwyraźniej musiałam jej przedstawić moje stanowisko jeszcze raz. - Ja również jestem dziennikarką i wiem, że fałszywy, ustawiony wywiad się nie uda, pomijając fakt, że ja go nie udzielię. Nie chcę udawać kogoś, kim nie jestem. Proponuję zmienić formułę lub zrezygnować. Wybór należy do ciebie.

- To o czym będziemy rozmawiać? - Hamowana złość mieszała się z determinacją. - Nie mogę wrócić z niczym!

- Porozmawiajmy o projektowaniu ogrodów. - Mój zalegający projekt podsunął najlepszy pomysł. - Ukończyłam wiele lat temu organizację terenów zielonych, pracuję w piśmie ogrodniczym, prowadzę rubrykę na ten temat, sama założyłam swój ogród i interesuję się tymi sprawami. Trochę projektuję do szuflady. Myślę, że warto przybliżyć waszym czytelnikom na przykład temat korelacji stylu ogrodu i temperamentu właściciela. Chodzi o to, żeby każdy zaplanował wokół siebie taką przestrzeń, w której się będzie dobrze czuł. Prosty przykład: jeżeli ktoś nie znosi komarów, nie powinien obsadzać domu krzewami. Nie ma dobrego i złego stylu, jest styl nam bliski albo daleki, mój albo obcy. Nie kierujmy się modą, naciskami otoczenia, nie patrzmy, co mają sąsiedzi, zastanówmy się nad sobą. Jedna pani dobrze czuje się w zgrzebnej sukience z dużym, ręcznie robionym wisiosem (pomyślałam o Alinie), druga nie wyobraża sobie wyjścia po zakupy w butach na płaskim obcasie. Nie każmy sadzić fiołków i ostróżek amatorom bambusów i odwrotnie. Indywidualizm w ogrodzie, tak bym to nazwała. Bądźmy indywidualistkami. W stroju, w życiu i w ogrodzie.

Przerwałam.

- Proszę mówić dalej. - Agnieszka gestem zachęcała do kontynuacji. - To jest dobre! To jest bardzo dobre!

- Wiesz, sama się dziwię, ale wyartykułowałam pogląd, który tkwił we mnie od dawna. - Zaskoczona

przebiegiem rozmowy, miałam ochotę na jeszcze. - Nie chodzi o podporządkowanie się modzie, mężczyźnie, komu lub czemukolwiek. Nie idzie o walkę. Ważne jest uzmysłowienie sobie i zachowanie własnej odrębności, stylu. Powiem więcej: ten styl z wiekiem może się zmienić, nie dziwny się więc, że nagle zechce nam się zdjąć dzinsy i założyć elegancki kostium, nie uważajmy za dziwactwa chęci wyprowadzenia się z miasta na wieś i odwrotnie. Nie bądźmy niewolnikami rutyny.

- Czyli do indywidualizmu dodajemy odwagę? - Agnieszka włączyła się do dyskusji.

- Zdecydowanie tak. Nic nie jest dane na zawsze, a tyle może być jeszcze do wzięcia - brnęłam.

- Na przykład co? - pociągnęła mnie za język.

- Podróże, nowe znajomości, trochę egzotyki, ciekawe książki, nieznane...

- A dla pani?

- Jest taki angielski program *Ogrody świata...* - odpowiedziałam po zastanowieniu. - Może chciałabym je wszystkie kiedyś obejrzeć? A potem przygotowywać własne projekty. Takie mam mgliste zawodowe plany.

- A prywatne?

- Oprócz tego, żeby dzieciakom się układało? - Musiałam chwilę pomyśleć. - Jeżeli ma się dobre nastawienie, życie samo się ułoży. Po zimie zawsze przychodzi wiosna, nie tylko w ogrodzie.

Pstryk. Nawet nie zauważyłam, kiedy Konrad pstryknął zdjęcie. Mimo dzinsowego ubranka bez kożuszka i łowickiej spódnicy.

- Doskonale, Marta! Mamy temat! Byłaś wspaniała! Indywidualizm w życiu i ogrodzie, nie poddajemy się stylom. Nośne hasło. Super! Będziemy już jechać. Muszę napisać tekst.

- Prześlesz mi go przed publikacją?

- Jasne. Proszę o mejla. - Agnieszka gotowa była obiecać złote góry. - Niebawem się zgłosimy. Chodzi o udział w zdjęciach do kalendarza. Nie opieraj się, koledzy wszystko wyjaśnią. - Pomachała mi na pożegnanie.

- Proszę przesłać wywiad do autoryzacji! Odpowiedział mi dym z rury wydechowej.

RENATA

- Mamuś, zostaniemy dzisiaj u taty. - Słowa Rozalii oderwały mnie od pracy.

Zastanawiałam się właśnie nad piętrami roślin w ogrodzie. Może warto wyeliminować niektóre gatunki? Przez lata posadziłam mnóstwo kwiatów, bylin i niewysokich krzewów. W projekcie mogą wyglądać zbyt bujnie, wprowadzając niepotrzebny chaos.

- Mami? Słyszysz? Zostaniemy u taty - powtórzyła.

- Przepraszam, córciu, pracuję - powiedziałam do telefonu. - A właściwie dlaczego nie wracacie po szkole do domu?

Zdecydowanie muszę wyrzucić kilka roślin.

- Tata przyjechał z... - Nie dosłyszałam skąd. -1 chcemy pogadać.

- Dobrze, Roza. Właściwie jest mi to na rękę. Nareszcie zasiadłam nad projektem. Idzie mi.

- To wspaniale. Tata cię pozdrawia.

- Też go pozdrów ode mnie. I trzymajcie się. Które rośliny wyrzucić? Zdecydowanie za bardzo rozrosły się kosańce. Liliowo-żółte, dominują na grządkach,

przyćmiewając pozostałe kwiaty. No i jest za dużo jaśminu, który jak chwast zawojował przestrzeń wokół siebie. Można też pozbyć się „włosów ziemi”, czyli traw rozsiewających nasiona po całym ogrodzie. Zostawię trzcinnik i miskanty, delikatne, słomiane, wzrostem przerastające człowieka, pozbędę się turzycy (i tak nie rośnie na suchej glebie). Z planu wykreśliłam niepotrzebne funkcie (nigdy nie podobały mi się ich sercowate liście), za to postanowiłam rozmnożyć ulubione mieczyki. Teraz lepiej. Powoli projekt zaczął nabierać kształtów. Mała kawka i do roboty! Z przyjemnością włączyłam ekspres. Bulgotał, obiecując słodkie cappuccino. Które jednak nie było mi dane...

- Marta! - Odebrałam dzwiczącą komórkę. - Dzwonię do ciebie od rana! - usłyszałam głos mojej siostry.

- Coś się stało?

- Mama znowu wezwała pogotowie i musiałam do niej pojechać! - No tak, moja znieczulica zmusiła mamę do zaangażowania Renaty.

- I co się dzieje?

- Nic. Pan Zdzisław odwiózł ją do domu. Ale Marta, ja nie wiem, co robić! - rozryczała się. - Krzysztof nie chce wracać. Wiesz, co mi powiedział? Ze chce się ze mną rozwieść!

Wcale się nie dziwię, pomyślałam.

- Uspokój się i powiedz to jeszcze raz - starałam się zgłębić prawdę, już całkowicie wybita z rytmu.

- Chce rozwodu! I nawet poszedł do twojego Rafała! - Monolog przerwał płacz.

-1 czego się dowiedział? - Nie mogłam znieść myśli, że Rafał będzie zaangażowany w tę sprawę.

- Rafał mu odmówił. Powiedział, że już nie rozwodzi. Ale co z tego? Krzysztof pójdzie do kogoś innego.

- Skąd wiesz, że tak się stało? - Mój były mąż zawsze był lojalny w stosunku do klientów.

- Rafał mnie zawiadomił. - Nie mogłam uwierzyć. - Powiedział, że robi wyjątek, ponieważ chodzi o mnie.

Kto by się spodziewał! Mój były mąż, zręczny skoczek na rozwodowej szachownicy, który zaszachował niejednego króla czy królową, robiący na swoim mistrzostwie niezłe pieniądze, zrezygnował z intratnego zajęcia i w dodatku ujawnił Renacie zamiary Krzysztofa. Ciekawe, co teraz wymyślił? Może dla odmiany założył biuro matrymonialne? Aż się roześmiałam.

- Ty się śmiejesz!?! - Renata źle zinterpretowała moją nagłą wesołość.

- Reniu, nie z ciebie, przepraszam. - Już wiedziałam, że nie wywinę się od dłuższej rozmowy. - Słuchaj, powinnyśmy spokojnie pogadać. Nie uważasz? - Im szybciej tym lepiej. - Ostatnio byłaś bardzo wzburzona. Niewiele zrozumiałam...

- Nie mogę wyjść z domu. Michalina idzie jutro do szkoły, a mama czeka na telefon.

Moja siostrzyczka popadła w tarapaty.

- Okej. Zadzwoń do mamy i przyjadę do ciebie za dwie godziny. Chcesz? - Nie łudziłam się, że odmówi. -1 powiedz mi jeszcze... Mówiłaś mamie o tej, hm, całej sytuacji?

- Nie. Ona o niczym nie wie i nie mów jej, proszę. - Renata najwyraźniej traktowała wyprowadzkę Krzyśka jak stan przejściowy. - Przyjeżdżaj szybko.

Sygnał w telefonie zakomunikował koniec rozmowy.

Jeszcze tylko telefon do mamy. Dobrze przynajmniej, że podgoniłam projekt. Wprawdzie pod górę, ale jednak do przodu.

- Cześć, mamuś - starałam się nadać głosowi pogodny ton. - Co u ciebie?

- Długo się nie odzywałaś. - Jak zwykle miłe przywitanie. - Byłam w szpitalu. Musieliśmy pilnie wzywać karetkę.

- Słyszałam, mamuś, od Renaty. Ale już jesteś w domu? Jak się czujesz? Robili ci badania? - Obowiązkowy zestaw pytań.

- W zasadzie badania niczego nie wykazały, co zresztą mogły?
- Mama wykazała za to głęboki brak zaufania do szpitalnych lekarzy. - Oni powinni mnie zatrzymać, zrobić holtera, echo serca, rezonans. Niestety, na starych ludzi nie zwraca się uwagi, niech sobie umierają! - Oho, zaraz podskoczy jej ciśnienie. - Nie mogę spać, mam sytość w żołądku, skacze mi ciśnienie...

- Mamuś, a może trzeba iść do innego lekarza? - spróbowałam starych sztuczek.

- Byłam u Grobelskiej już trzy razy w tym miesiącu!

- I co ci powiedziała?

- Że holter jest niepotrzebny. A ja się czuję źle! - Ostatnie zdanie wypowiedziała głosem osoby mającej wkrótce opuścić ziemski padół.

Dojeżdżałam już do Renaty. Należało zmierzać ku końcowi.

- W każdym razie, gdybyś czegoś potrzebowała... Bałam się odpowiedzi.

- Tak. Zdzisław wyjeżdża do brata za granicę, a ja pomyślałam sobie, że przeprowadzę się do Mieszkowic na jakiś czas. - O matko! - Do świąt już niedaleko, pospaceruję po okolicy, wzmocnię się, ty też tam sama siedzisz, to sobie pogadamy. Renatka ostatnio mi mówiła, że musi zajmować się Michasią po wyprowadzce Krzysztofa, to niech przywiezie dziecko na niedzielę. A ja nawet sobie myślę, że mogłyby zostać dłużej...

W jednej chwili zobaczyłam koszmar. Duchy przeszłości zamajaczyły mi przed oczami. Weekendy, mama, Michasia, Renatka, Marta przy garach, projekt w kącie. Od jutra szukam mieszkania w Gdyni! Dzieci, jesteście wielkie, że wpadłyście na ten pomysł przede mną!

- Mamo, teraz nie mogę rozmawiać. - Zamknęłam auto na kluczyk przed domem Renaty. - Życzę ci dobrej nocy. Nie mierz ciśnienia zbyt często, to frustruje. Pozdrów pana Zdzisława.

Nie miałam siły czekać na odpowiedź. Wkurzona zbliżałam się do mieszkania mojej siostry, która nie miała pojęcia, jaki mama przygotowała grunt pod pogaduchy. Taaak, na pewno zaproponuję Renacie i Michasi przeprowadzkę do Mieszkowic, a kto wie, może przygarniemy i Łukasza? Święta Marta już przygotowuje czerwony dywan na przyjęcie chorych, pokrzywdzonych, potrzebujących, mających ją w... głębokim poważaniu.

Stałam pod drzwiami i nie mogłam się zmusić, by nacisnąć dzwonek. Mama zadbała, abym nie była w stanie wysłuchać zwierzeń mojej siostry tego wieczoru. Niech sobie Renia radzi sama, jak do tej pory. Ja też musiałam sobie poradzić po rozwodzie, a nikt nie miał zamiaru mi pomagać.

- Alina? Jesteś w domu? - Wystukałam numer.

- Coś się stało? Ty płaczesz? - Ktoś się zainteresował moim nastrojem. Miła odmiana.

- Mogę do ciebie wpaść, Alinko? Jestem w Gdańsku.

- Jasne, wpadaj. Mam nalewkę wiśniową. Właśnie myślałam, z kim ją wypiję.

Oczami wyobraźni zobaczyłam kieliszki na stole.

Wracałam Grunwaldzką w stronę Gdyni, mijając neony Galerii Bałtyckiej, sklepów meblowych, stacji benzynowych, przeprawiając się przez kolejne światła skrzyżowań.

Komórka zasygnalizowała połączenie z Renatą.

- Kiedy będziesz?

- Jechałam do ciebie, ale coś mi przeszkodziło. Dzisiaj nie dotrę. - Wykręty nie są przyjemne.

- Chyba żartujesz! Czekam na ciebie! Zła czy zawiedziona?

- Wiesz, że mama chce pomieszkać w Mieszkowicach? - przeszłam do ataku.

- Coś wspominała...

- Co jeszcze mówiła? - nie odpuszczałam.

- Umówiłam się z nią, że przyjedziemy z Michasią. Mama chce z nami posiedzieć.

- Renata, nie rób ze mnie głupa, proszę cię. Mówiłaś, że nie wspominałaś mamie o wyprowadzce Krzysztofa. Róbcie sobie, co chcecie, ale mnie w to nie mieszajcie. Grasz na kilka frontów: ze mną, z mamą, z Krzysztofem. Jeśli kiedyś będziesz miała potrzebę porozmawiać bez kłamstw i manipulacji, zadzwoń. A teraz wybaczone, wracam do Gdyni. I zastanów się, o co ci chodzi!

Omial nie wpadłam w kufer forda ka.

- Uknułyście z mamą plan przeprowadzki do Mieszkowic, robiąc sobie ze mnie pogotowie ratunkowe! Mamę będę reanimować na ciśnienie, ciebie na serce, a przy okazji kucharyć Michasi?! Renata, lepiej będzie, jeżeli zakończymy tę rozmowę. Możesz na mnie liczyć, gdy się opamiętasz i przestaniesz kręcić. A dzisiaj życzę ci spokojnego wieczoru. Tak mnie wkurzyłaś, że powiem ci jedno: nie dziwię się decyzji Krzysztofa.

Chyba przesadziłam. Trudno. Głupia laska z tej mojej siostry. W takich kłopotach, a jeszcze się rzuca. A może rozwód jest jej na rękę? Nawet nie chciałam o tym myśleć.

- Nareszcie jesteś! - Alina otworzyła drzwi. - Dzisiaj mamy wesoły wieczór, zero gadania o problemach. Co ty na to?

Nie spodziewałam się takiego przyjęcia. Ciężko opadłam na tapczan.

- Jak na lato. - Nie zabrzmiało to optymistycznie.

- Halo! Koleżanko, wprowadzam zapiekankę. - Smakowite zapachy ogarnęły pokój. - Czarek, przynieś keczup - dyrygowała radośnie Alina.

- Czy ja o czymś nie wiem? - Rzeczywistość wymykała mi się spod kontroli.

- To jest kolacja na cześć twoją i tego, którego będziesz miała. A może już masz. - Alina podniosła kieliszek z nalewką. - Za twoją pomyślność, przyjaciółko. Kogokolwiek wybrałaś, za jego pomyślność też!

Nie mogłam się nie poryczeć. Zapiekanka była wspaniała. Czarek zadbał o muzę i wycofał się dyskretnie do swojego pokoju.

- Mów.

Alina nie musiała długo mnie namawiać. Opowiedziałam jej o Szymonie, jego pracy u wybrzeży Norwegii, naszych listach, rozmowach w sieci, projekcie, planach przeprowadzki do Gdyni.

- Bardzo dobrze robisz - postawiła kropkę nad i. - Bardzo dobrze kombinujesz. I uda ci się, obiecuję.

- Tobie też się uda, Alina.

Bardzo chciałam być przekonująca, ale na horyzoncie majaczyła Renata...

SZYMON

-Dzwonię do pani, żeby się wytłumaczyć. Minęło kilka chwil, zanim zorientowałam się, z kim rozmawiam. - Agnieszka ze „Stylowej” - zdecydowała się przedstawić.

- Poznałam. Z jakiego powodu? - zapytałam, choć domyśliłam się, że chodzi o autoryzację.

- Proszę wybaczyć, nie miałam czasu przesłać tekstu. Redaktor gonił...

- To kiedy go dostanę?

- Chodzi o to, że on już się ukazał... - Zawiesiła głos w oczekiwaniu na reakcję.

- Co takiego? Siedzę na wsi i mam kiosk kilka kilometrów od domu. Proszę mi przesłać wywiad mej-lem jak najszybciej! Nie wydaje się pani, że powinnam chociaż dowiedzieć się, co powiedziałam?! Ja wysyłam do autoryzacji każdą wypowiedź rozmówcy, ogrodnika, sadownika czy faceta od grabienia liści, jeżeli ujawniam jego nazwisko, a pani?! Proszę wybaczyć, ale to jest nieprofesjonalne i... Jeszcze porozmawiamy, jak przeczytam!

Wyłączyłam komórkę. Co za głupia ze mnie baba! Od początku wiedziałam, że nie warto łądować się

w wywiad i ten cały blichtr, a jednak się wpakowałam. Teraz wyjdę na idiotkę. Pewnie ta cała Agnieszka przekreśliła moje wypowiedzi. Aż strach zajrzeć.

Otworzyłam pocztę. Mejl od „Stylowej” już był. *Ogród szyty na miarę. Nie każmy sadzić fiołków i ostróżek amatorom bambusów.* Tytuł coś mi przypominał. Przemknęłam wzrokiem po tekście. Na szczęście nic kompromitującego nie wpadło mi w oko. „Skomentuj”, napisano pod tekstem, www.stylowapani.pl. Weszłam na stronę, nie spodziewając się wielu komentarzy, a tu... „Pani Marto, brawo, że pisze pani o takich sprawach. Nie miałam ochoty wyprowadzać się na wieś, ale mój mąż nalegał. Dzięki pani wiem, że nie muszę ulegać presji”. „Pani Marto, zawsze chciałam przenieść się z miasta na wieś, ale mój mąż był przeciwny. Nigdy nie udało mi się go przekonać”. „Wydaliśmy kupę kasy na projekt ogrodu, a teraz chodzę po nim jak po Wersalu i denerwuję się, gdy kret rujnuje nam trawniki”. „Nie lubię pracować w ogrodzie. Mojego męża nigdy nie ma w domu, ja muszę wiecznie coś podcinać, wycinać, podlewać i robić różne inne rzeczy. A pani mówi, że można mieć ogród niewymagający”. „Lubię polskie, wiejskie malwy, a mam jakieś egzotyczne rośliny, które wiecznie mi wymarzają”. „Chcę przerobić mój ogród. Czy mogę liczyć na pani pomoc?”. „Co zrobić, żeby nie być niewolnikiem własnego domu i ogrodu?! Mój mąż świetnie się tu czuje i nie ma zamiaru się stąd ruszać, a ja wręcz przeciwnie...”. „Lubimy z żoną swój ogród i jesteśmy stałymi czytelnikami pani pisma. Ostatnio

jednak nie mogliśmy znaleźć pani artykułów. Kiedy powrócą? Pozdrawiamy serdecznie".

Pod tekstem przetoczyła się lawina wypowiedzi. Kto mógł przypuszczać, że temat aż tak poruszy emocje czytelników? Najwyraźniej wbrew powszechnej modzie przenoszenia się do własnego domu pod miastem i zajmowania się ogrodem nie każda „stylowa pani” była gotowa na podjęcie wyzwania. A jednak tępiona przez starego rubryka poradnictwa w zakresie podmiejskiego stylu życia i projektowania ogrodów ma sens, pomyślałam z satysfakcją. Jest nadzieja na robotę. Już niemal wybaczyłam tej... Agnieszce nieprzesłanie tekstu do autoryzacji.

Podbudowana reakcją czytelników, pobiegłam do komputera. Najpierw trzeba zrobić porządek. Wokół panoszyły się dziesiątki wydrukowanych z Internetu kartek z informacjami o roślinach. Masa literatury ogrodniczej przytłaczała fachową wiedzą. Wystarczy. Teraz trzeba popracować nad wykorzystaniem tego wszystkiego do przygotowania projektu. *Encyklopedia roślin ogrodowych. Aranżacje, Zioła przyprawowe, Rok w ogrodzie i Poradnik ogrodnika* spoczęły wygodnie na półce. Dostarczona do kapituły konkursowej mapka geodezyjna z posadowieniem domu i garażu, z lokalizacją mediów, rozmieszczeniem systemu wod.-kan. i elektryczności, stanowiąca kanwę dla projektantów, powoli wypełniała się treścią. Miałam wyjątkowe szczęście, że działka inwestora niebywale przypomina moją. Zbudowany na niej dom mieści się, podobnie jak u mnie, w północnej jej części, w niewielkiej odległości od garażu, blisko bramy

wjazdowej. W południowych narożnikach zachowałam z jednej strony kąt grillowy, z drugiej - lasek z domkiem na drzewie, ławeczką i miejscem na hamak. W centralnej części ogrodu pozostawiłam oczko wodne z kaskadami, na którym można było zawiesić oko, siedząc na tarasie obsadzonym, podobnie jak u mnie, winobluszczem i winoroślą. W bezpośrednim sąsiedztwie domu umieściłam rabatę z krzewami i kwiatami kwitnącymi od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Oprócz wiosennych tulipanów, narcyzów, przebiśniegów, krokusów, hiacyntów i kilku innych gatunków znalazły się późniejsze aksamitki, zimowity, dalie, orliki, cynie, serduszki. W kwiatowym gąszczu nie mogło zabraknąć skupiska róż, w tym mojego ulubionego „Chopina”, oraz kwitnącego wiosną krzewu forsycji, zastąpionej jesienią na czerwono owocującą irgą i pomarańczowym ognikiem. Bardzo ładnie. Za domem zdecydowałam się pozostawić niewielki sad, a przy płocie od strony zachodniej, oprócz krzewów malin, po treliach miały w towarzystwie zielonego ogródka wspinać się pnącza pachnącego groszku. Teren ciągnący się od ziół do lasu wypełniłam żółtą rabatą z niższymi: nasturcją, nagietkiem i kosaćcem, i piętrzącymi się ponad nimi nawłocią, rudbekią, poprzątanymi jedwabistą trawą ostnicą i rajgrasem o zielono-białych liściach. Kolejna rabata dla odmiany była różowo-fioletowa. Nie mogło na niej zabraknąć łubinów, piwonii, floksów, marcinków i oczywiście astrów. Wystarczyło jeszcze zastanowić się nad ulokowaniem drzew i krzewów oraz zaproponować budulec na drogi i ogrodowe ścieżki. Wahałam się

po między podłogiem z kamienia, drewnianymi okrągłakami a kostką granitową. Temat musiał poczekać do chwili zajęcia się innymi elementami małej architektury.

-Już dobrze, Łajdus. Zaraz ci nałożę. - Pies kręcił się przy stole, domagając się napełnienia miski, wyraźnie zniecierpliwiony moim brakiem zainteresowania jego psią osobą.

Pobiegłam do kuchni, żeby nastawić ryż. Zupełnie zapomniałam, że za godzinę wracają dzieciaki. Najszybszy obiad: risotto. Pokrojona w kawałeczki pierś z kurczaka już skwierczała na patelni. Kroiłam paprykę, cebulę i gotowałam wodę do sparzenia pomidora. Groszek jest, zetrę trochę żółtego sera i skoczę do ogródka po zioła; może jeszcze się uchowały. Dobrze, że kupiłam wczoraj czerwony barszczyk.

- Marto, mówi Agnieszka. - Głos w komórce uświadomił mi, że zapomniałam zadzwonić po przeczytaniu artykułu.

- Przepraszam, zupełnie wyleciało mi z głowy. Przeczytałam i artykuł, i komentarze.

- Właśnie... Ja w związku z tym. - Mogłam się domyślić, że nastąpi ciąg dalszy. - Dobrze byłoby odpowiedzieć czytelnikom...

- Ale ja muszę porozumieć się z szefem. Proszę mnie zrozumieć, pracuję dla innego pisma. - Nie zamierzałam stracić pracy z powodu jednego artykułu.

- Nie ma kolizji, Marto. Wiem, że jesteś zajęta, więc zrobiliśmy to za ciebie. - Tym razem Agnieszka była przygotowana. - Nie jesteśmy zainteresowani poradnictwem ogrodniczym, możecie ten temat zabrać. Ty

wypowiedziałabyś się w sprawach ogólniejszych, dotyczących twojej osoby, rozumiemy się? Odnosnie do ogrodu podaliśmy na stronie mejla do „Lubię swój ogród”. Reszta należy od was.

- Dziękuję. Postaram się jeszcze dzisiaj odpisać na wszystkie listy.

Wyglądało na to, że niebawem będę miała spokój z akcją „Stylowa Pani”.

- Mamuś, co dziś na obiad? - Kajtek prosto od drzwi pobiegł do kuchni spenetrować zawartość piekarnika.

- Zaraz wyjmuję risotto. Przepraszam, zagadałam się z jedną panią redaktor. - Omal nie przypaliłam dania.

- Chyba nie skończyłyście. Znowu dzwoni twój telefon.

- Roza z wyraźną dezaprobatą popatrzyła na wibrującą na stole komórkę. - A tak w ogóle, mami, to dzień dobry. Przyjechaliśmy właśnie ze szkoły, jakbyś nie zauważyła. Autobusem. I jesteśmy głodni.

- Tylko odbiorę. Może to coś ważnego?

Na ekranie wyświetlił się numer Aliny. Wyciszyłam połączenie.

- To Alina, zadzwonię do niej później. Siadajcie, już podaję. Komórka nie przestawała pulsować.

- No, odbierz! - Roza podniosła głos.

- Ja idę do siebie. W tym domu nie można wytrzymać!

- Kajtek zabrał talerz na górę.

- Tak, Alinko? Nie mogę teraz rozmawiać, zadzwonię do ciebie później. - Pewnie jakieś sprawy z Krzysztofem.

- Co ty mówisz!? Zaczekaj, już idę do siebie!

- Powtórz. Już jestem sama. - Znalazłam się w swoim pokoju w piętnaście sekund.

- Słuchaj, Marta, usłyszałam w radiu wiadomość, że polski statek badający dno morskie w pobliżu Norwegii rozbił się w czasie sztormu... Trwa akcja ratunkowa. Czy ten twój Szymon... - Zawiesiła głos. - Czy o tym statku opowiadałaś mi ostatnio?

- Co jeszcze mówili? - Byłam bliska omdlenia.

- Nic takiego... - Ala starała się dawkować mi emocje.

- To znaczy? - Znam ją. Próbuje coś ukryć.

- No... Ze panują bardzo złe warunki i na razie jeszcze nikogo nie udało się uratować. Ale są dobrej myśli.

- Alina... Zadzwoń do ciebie później. Dziękuję.

- Marta, co ty chcesz zrobić? Przecież nawet nie znasz jego nazwiska. Mogę ci jakoś pomóc? Nie rozłączaj się...

Rozłączyłam.

Internet, Instytut Morski, telefon 58(...).

- Dzień dobry. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o katastrofie waszego statku w Norwegii. Może mnie pan połączyć? - bez ceregieli przeszłam do rzeczy.

- Jest pani z prasy?

- Tak. Nie, to znaczy jestem, ale tym razem chodzi mi o kogoś.

- Ze zdenerwowania plątał mi się język.

- Proszę spokojnie powiedzieć, o co pani chodzi? Nie mogę łączyć każdego. - Głos próbował wydobyć ze mnie sensowne informacje.

- Proszę pana... Na tym statku był mój bliski znajomy...

- Łączę.

- Kortowski, słucham - usłyszałam po drugiej stronie.

- Nazywam się Marta Zawadzka. Chciałabym się dowiedzieć, czy udało się uratować załogę IMOR-u?

- Proszę pani, trwa akcja ratownicza. Na razie tylko tyle mogę powiedzieć. Kogo pani reprezentuje?

- Nikogo nie reprezentuję! Na tym statku był mój bliski znajomy! Muszę wiedzieć...

- Rozumiem - przerwał. - Proszę podać nazwisko. Kilka osób wczoraj zeszło ze statku.

Trochę mi ulżyło, powróciła nadzieja. Pewnie Szymon jest już na lądzie i zdążył mi o tym napisać. A ja, zajęta swoimi sprawami, nawet nie przejrzałam poczty.

- Szymon... Przepraszam, ale nie znam nazwiska.

- Nie zna pani nazwiska dobrego znajomego?

- Bardzo pana proszę, ja wiem, że to brzmi dziwnie, ale proszę sprawdzić - błagałam. - Przecież to nieduża załoga. Ilu tam może być Szymonów? Bardzo mi zależy...

Zbłądziłam się, trudno.

- Proszę pani, osobiście znam wszystkich, którzy wypłynęli tym razem na badania, i zapewniam panią, że nie ma wśród nich nikogo o tym imieniu. Ani teraz, ani nigdy przedtem. Na pewno dobrze pani pamięta?

- Gość najwyraźniej ze mnie kpił. - Jeżeli to jakiś żart... Proszę nie zajmować linii osobom naprawdę zainteresowanym.

Rozłączył się bez pożegnania. Na statku badawczym nigdy nie było żadnego Szymona...

- Ala? - Musiałam zadzwonić i wypuścić powietrze.

- Szymon jest oszustem. Nigdy nie był na żadnym statku. Dzwoniłam do Instytutu Morskiego.

- Jak to? Co ty mówisz? Ale to znaczy, że się nie utopii.
- Alina myślała pozytywnie.
- Czy ty nie rozumiesz, że on mnie oszukiwał?! - Dłużej nie mogłam powstrzymać łez.
- Marta, uspokój się i spójrz na to inaczej. - Ala nie byłaby sobą, gdyby nie próbowała znaleźć rozwiązania.
- Szymon widocznie miał jakiś powód, żeby tak postępować. A może... Może nie podał ci prawdziwego imienia. Nie pomyślałaś o tym?
- Ale dlaczego?!
- Nie wiem. Mówię ci, miał jakiś powód.
- To znaczy, że może jednak był na tym statku... - Po raz kolejny poczułam strach o Szymona. - I nie dostanę już żadnego listuuu... - Złapałam za kolejną chusteczkę.
- Albo jest oszustem, jak Nikos. Boże, czy ja ściągam do siebie samych oszustów?!
- Marta, wiem, że jesteś w rozpacz, ale wszystko się wyjaśni.
- Ala za wszelką cenę starała się mnie uspokoić.
- Zajrzyj do mejli i nie panikuj, jeśli dzisiaj nie będzie listu. Może przyjdzie jutro. Przecież ty nawet nie znasz tego faceta.
- Ala, ja się chyba zdążyłam w nim zakochać! Czułam się przy nim tak, jak wiele lat temu przy Rafale. Był czuły, silny, pomocny, rozumiał mnie i wiesz... On chyba też mnie... - Przerwałam, bo usłyszałam, co mówię. - Masz rację. - Wracal mi rozsadek. - Muszę zajrzeć do skrzynki. Ala, dzięki za wszystko. Co u was?
- Nic nowego. Nie spotykam się z Krzysztofem, jeśli o to pytasz. - Zrozumiała. - Zostawmy ten temat na później. Otwórz laptopa. I niczym się nie martw.

Czternaście wiadomości od deweloperów, od firm szkoleniowych, z Groupona i kursów dla księgowych trafiło do kosza. Pozostała jedna.

„Witaj, Martusiu.

Jak miło, że mogę pisać do Ciebie już z domu. Właśnie wróciłem do Gdyni”.

Nie miałam siły czytać dalej. Myśl, że Szymon (czy jak mu tam) żyje, zrekompensowała mi huśtawkę emocji. Alą ma rację. Dopóki człowiek może się wytłumaczyć, jest nadzieja. Najważniejsze, że żyje.

SZYMON

Może pomysł wypicia kolejnej kawy przed nocą nie był zbyt rozsądny, nie miałam jednak w domu żadnych innych środków porządkujących zamęt w głowie. Zanim przeczytam do końca list od Szymona (nie umiałam o nim myśleć inaczej), muszę zająć czymś ręce i pokręcić się po kuchni. Kawa parowała w kubku. Przygotowałam kanapkę z szynką i pomidorem. Nie zawadzi posmarować majonezem...

- Robisz sobie kawę? O tej porze? - Rozalia przyłapała mnie, szukając w lodówce maślanki.

- Muszę jeszcze popracować, córuś - próbowałam usprawiedliwić mój brak rozsądku. - W najbliższy poniedziałek składam projekt, a jeszcze coś niecoś mi zostało.

- Ty się tym tak nie denerwuj. Cała jesteś czerwona na twarzy. - Nie zdawałam sobie sprawy, że moje rozkołatanie jest aż tak widoczne. - Mamy środę, do poniedziałku kupa czasu. Zdążysz. A, jeszcze jedno. Możemy zrobić osiemnastkę w przyszły weekend? W domu?

- Czemu nie. Chętnie się z wami pobawię - pozwoliłam sobie na żart.

- Chyba żartujesz! Możesz przespać się u babci albo u ciotki Renaty. Ma wolny kąpielowni. - Roza była dzisiaj wyjątkowo dowcipna.

- Myślę, że to się da zrobić, nawet bez złościwości. Swoją drogą trzeba się spotkać z Renatą.

Wcale się nie denerwuję, powtarzałam sobie w duchu, choć wszystko we mnie wrzało. Czas wracać do komputera.

- Słyszałaś o tej katastrofie u wybrzeży Norwegii?!

- krzyknęła za mną Rozalka, gdy byłam już na schodach.

- Mami, wylałaś kawę! Może ty się lepiej połóż i wstań o piątej? Chyba dzisiaj wiele nie zrobisz. Jeszcze nikogo nie uratowali - powróciła do tematu. - A tam był tato mojej dobrej koleżanki...

- I co z nim?

- Na szczęście nic. Zdążył wrócić wczoraj.

- A jak on ma na imię? - zainteresowałam się.

- A skąd ja mam wiedzieć, jak jej ojciec ma na imię?

- Rożka pozostawała w konfrontacyjnym nastroju. - A nie, wiem - przypomniała sobie. Śmiałyśmy się kiedyś z Julką, że jej tata jest podwójnym Andrzejem, bo nosi nazwisko Andrzejewski. Andrzej Andrzejewski. A dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Właściwie nie wiem dlaczego. Chyba jestem przemęczona, córciu, pójdę do siebie. I ty nie siedź za długo. Jutro was zawiozę do szkoły, mam coś do załatwienia w Gdyni. - Poczulałam wyrzuty sumienia, że skazuję dzieciaki na autobus.

- Super. Przemyj oczy, bo widać, że płakałaś. Pamiętaj, że ja nie jestem taka głupia, jak myślisz. Gdybyś chciała pogadać...

Wolałam się nie odwracać.

- Okej. Dobranoc. - Otworzyłam drzwi do pokoju z połową filiżanki kawy i poczuciem wstydu. Kiedyś pogadamy, Rożka, ale jeszcze nie teraz, zobowiązałam się w myślach.

List od Szymona tkwił na ekranie komputera. Chyba czas czegoś się dowiedzieć. Zaczęłam czytać.

„Witaj, Martusiu.

Jak miło, że mogę pisać do Ciebie już z domu. Właśnie wróciłem do Gdyni, korzystając z przerwy w pracach badawczych. Zaokrętowaliśmy po paliwo w Stavanger, gdzie znalazłem transport do Oslo, i po kilku godzinach mogłem już cieszyć się polskim gruntem pod nogami. Monotonia życia na morzu, rutyna, nieskończona powtarzalność zaczęły stanowić problem dla lądowego szczura, jakim jestem na co dzień. Żeby niepotrzebnie nie drażnić tematu: dobrze wyjechać, jeszcze lepiej wrócić. Jestem niezmiernie ciekaw, co się dzieje u Ciebie? Przede wszystkim: jak sobie dajesz radę z projektem, bo o ile pamiętam, termin jego złożenia zbliża się milowymi krokami. Przepraszam, że być może denerwuję Cię tym pytaniem, w chwili gdy dopieszczasz szczegóły i na nic, jak sobie wyobrażam, nie masz czasu. Wybacz, że jestem natrętny, niech jednak usprawiedliwi mnie autentyczna troska, żeby Ci się udało.

Gdy wyjeżdżałem kilka tygodni temu, na świecie panowała słoneczna jesień, teraz przez okno obserwuję jedynie pochylone deszczem drzewa i miejskie służby zgarniające fruujące liście. Pewnie masz dużo

pracy w ogrodzie, który, jak mi pisałaś, chcesz utrzymać w porządku dla przyszłego właściciela. Sprzedaż domu i powrót do miasta to bardzo radykalna decyzja, rozumiem jednak Twoje argumenty. W końcu w mieście ludzie mieszkają również w domach jednorodzinnych z ogrodami, a w Gdyni niemało jest pięknych miejsc. Masz rację, że dzieciaki, zwłaszcza dorosłe, mają prawo do wygodnego życia, niekoniecznie takiego, jakie zafundowali im rodzice. Jestem pewien, że znajdziesz najlepsze rozwiązanie dla was wszystkich i przy okazji pomożesz zagubionym sercom siostry i przyjaciółki. Bardzo chciałbym spotkać się z Tobą nie tylko wirtualnie. Wierzę, że przyjdzie na to czas.

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i czekam na list, jak zwykle niecierpliwie

Szymon

PS Twoje zdjęcia w gazecie były naprawdę piękne".

Mimo że zegar wskazywał już pierwsze minuty kolejnego dnia, o spaniu nie było mowy. Przed odpisaniem na list zerknęłam do Internetu, żeby dać sobie czas na uspokojenie się i wyważoną odpowiedź. Pierwsza wiadomość na Onecie dotyczyła katastrofy polskiego statku.

„Nie powiodła się akcja ratunkowa jednostki badawczej IMOR, należącej do Instytutu Morskiego w Gdyni, która zatonała w nocy z 28 na 29 listopada u wybrzeży Norwegii. Bezpośrednią przyczyną katastrofy był sztorm i gęsta mgła, która uniemożliwiła uratowanie dziesięciu członków załogi i naukowców gdyńskiego instytutu,

prowadzących badania hydrograficzne i geofizyczne dna morskiego pod budowę przyszłych elektrowni wiatrowych. Rząd Norwegii, na zlecenie którego prowadzono pomiary, przekazał wyrazy najgłębszego współczucia rodzinom ofiar...".

Straszne. Mimo woli pomyślałam o Kajtku i jego letniej wyprawie. Ale co tam robił Szymon? I czy w ogóle tam był? Zaraz się dowiem!, adrenalina zrobiła swoje. Otworzyłam pocztę.

„Witaj, Szymonie. Pozwól, że od razu przejdę do rzeczy. Kilka godzin temu dowiedziałam się, że IMOR zatonął. Pewna, że na nim jesteś, przerażona próbowałam dowiedzieć się czegoś o Tobie. I czego się dowiedziałam? Otóż tego, że żaden Szymon nie jest i nigdy nie był na pomiarach na IMOR-ze. Nie rozumiem. Nie wiem, w co grasz, w co się ze mną bawisz i o co w tym wszystkim chodzi. Powzięłam wątpliwości, gdy ktoś z instytutu poinformował mnie, że kilka osób ze statku wczoraj zjechało do Polski, ale w tej grupie nie było żadnego Szymona... Bardzo współczuję rodzinom wszystkich, którzy utonęli, moje rozterki są wobec tego niczym, nie pozwolę jednak się oszukiwać. Proszę, powiedz mi, kim jesteś i skąd się wzięło to «nieporozumienie». Jeśli mamy nadal utrzymywać kontakt, muszę mieć do Ciebie zaufanie.

Marta".

Najwyraźniej Szymon też spędzał noc przed komputerem. Odpowiedź pokazała się niemal natychmiast. „Martusiu.

Nie mam wiele na swoje usprawiedliwienie, za to gorącą prośbę, która zapewne Cię oburzy lub wywoła Twój ironiczny uśmiech. Zaufaj mi. Proszę Cię o bardzo wiele, nie dając Ci praktycznie niczego, nie licząc kilku skreślonych w mejlach słów. Nie jestem oszustem, nie mam w stosunku do Ciebie złych zamiarów. Wręcz przeciwnie - bardzo mi na Tobie zależy. Byłem na IMOR-ze i naprawdę wróciłem wczoraj. Nie wiem, co ze sobą zrobić po otrzymaniu informacji o śmierci moich dobrych znajomych. Tragedia wstrząsnęła wszystkimi, a zwłaszcza kilkoma szczęściarzami, którzy zdołali jej uniknąć... To prawda, że nie przedstawiłem się moim pierwszym imieniem, dlatego nie uzyskałaś na mój temat żadnej informacji. Faktycznie, na statku nie było żadnego Szymona. Bardzo mnie wzruszyło Twoje zainteresowanie i rozumiem Twój zawód. Przepraszam i obiecuję, że niebawem wyjaśnię Ci tę sytuację. Proszę jeszcze tylko o trochę czasu. Nie chcę Cię zwodzić, Martusiu, potrzebuję dwóch miesięcy. Zapraszam Cię na spotkanie pod koniec stycznia. Rozumiem, że brzmi to dziwnie, ale uwierz - mam istotne powody.

Przepraszam raz jeszcze za dyskomfortową sytuację, w jakiej znalazłaś się przeze mnie. Mam nadzieję, że nie zostanę z tego powodu skreślony. Nie wiem, czy przeczytasz ten list jeszcze dzisiejszej nocy... Mnie będzie bardzo trudno zasnąć. Chyba wzniosę toast za tych, którzy odeszli na wieczną wachtę.

Pozdrawiam, nieustannie zastanawiając się nad ironią losu Szymon".

- Mamuś, kto to jest ten Szymon? - Nie usłyszałam, jak Rozalia weszła do pokoju i stanęła tuż za moimi plecami.

- Co ty tu robisz?! - Poderwałam się, zasłaniając plecami ekran. - Jak możesz czytać moją korespondencję!

- Przepraszam, zauważyłam tylko imię... Myślałam, że to ktoś z pracy.

- Tak, kolega - niepotrzebnie zaczęłam się usprawiedliwiać. - Idź już spać. Jest druga w nocy.

Chyba nie uwierzyła w tego kolegę. A ja idiotycznie się uniosłam, ściągając na siebie podejrzenia.

- Do jutra. Musimy wstać po szóstej. Którą łazienkę zajmujesz?

- Już się kąpałam. - Nie zauważyłam, że Roza jest w piżamie.

- Dobrych snów, mami. Obudź mnie rano.

- Okej, podglądaczko.

Zdecydowanie muszę zainstalować na komputerze hasło...

KRZYSZTOF

- Dobrze, że jesteś, Marta! - Stary już dawno nie cieszył się tak na mój widok.

- Szefie, mam urlop. Wpadłam tylko, żeby zobaczyć się z Alą. Nie ma jej?

- Właśnie chodzi o Alinę... Chodźmy do gabinetu.

- Objął mnie niemal po przyjacielsku i poprowadził do swojej jaskini. - Pani się napije...? - Cóż za kurtuazja.

- Kawy, herbaty?

- Kawa może być. Co z Alą? - Pamiętałam, że ostatnio przebąkiwał coś o jej zwolnieniu.

- Powiem wprost. Złamała nogę i poszła na zwolnienie. Na razie na sześć tygodni, a co dalej, nie wiadomo. Marta, góra roboty leży, ciebie nie ma, a teraz jeszcze ona. Musisz wracać! A poza tym mamy masę listów do ciebie ze „Stylowej Pani”. To od kiedy?

- Juliusz, obiecałam ci, że w grudniu. W najbliższy wtorek. Do poniedziałku nie mogę.

- Okej, okej, rozumiem. - Nerwowo przechadzał się po pokoju.

- Ale daj się uprosić... - Wyraźnie był na musiku. - Zostań na kilka godzin i obrób najważniejsze listy

Aliny. Tylko parę tekstów. Skład nie ma czego wepchnąć na stronę.

- Już mam zaczynać? - zapytałam z przekąsem.

- Najlepiej. - Udał, że nie usłyszał. - Oczywiście gdy już wypijemy kawę.

- Juliusz, ty chyba nie zamierzasz zwolnić Ali?

- Nie, coś ty! Pomyślałem nawet, że skoro nie chcesz być wicenaczelną, utworzymy nowy dział pod twoim kierownictwem. Będziecie pracować razem. Może być?

- Pomyślimy. A teraz podaj mi hasło do komputera Aliny.

- Waldek! Udostępnij Marcie komputer!

W jednej chwili plany spotkania z Renatą spełzły na niczym.

Zasiadłam do pracy. Pytań dość, trzeba tylko szybko odpisać. Na początek poszły krótkie porady.

Pytanie: „Jak zabezpieczyć oczko wodne?”.

Odpowiedź: „Wielkie sprzątanie oczka wodnego przed zimą nie ma sensu. Obumarłe części roślin są bardzo pożyteczne, gdyż doprowadzają pod lód powietrze, zabezpieczając oczko przed pokryciem się grubą warstwą lodu. Wyjmujemy pompy wodne i inny osprzęt. Usuwamy liście. Wrażliwe na mróz grzybienie, ryby i egzotyczne rośliny zimujemy w miejscach nieprzemarzających. Jeżeli temperatury w nocy spadną poniżej

8 °C, zabieramy z oczka pistię pływającą, hiacynta wodnego, wyłącznika brazylijskiego, ciborę i azollę karolińską i przechowujemy w piwnicy lub w garażu, najlepiej w dużym akwarium lub w wannie. Większość odmian

grzybieni i grązeli można pozostawić w oczku, jeśli ich kłącza rosną na głębokości co najmniej 80 cm".

Pytanie: „Jak przechować rośliny egzotyczne?”.

Odpowiedź: „Drogie rośliny tarasowe można oddać do przechowalni, gdzie znajdą się pod fachową opieką. Należy skalkulować, czy koszt zimowania nie przewyższy ceny nowej rośliny. Najlepsze do przechowywania są widne pomieszczenia o temperaturze od 5 do 10 °C (na przykład zimowe ogrody). Niektóre gatunki, takie jak hibiskus, banany i cytrusy, powinny zimować w chłodnych mieszkaniach i zostać przeniesione do pomieszczeń przed pierwszymi mrozami. Oleander, złociień krzewiasty, ślázówki, palma kanaryjska mogą wytrzymać mróz do około 5 °C. Do 10 °C stopni wytrzymają granat, wawrzyn, drzewo oliwne, poziomkowiec, jaśmin, kamelia.

Pytanie: „Czym okrywamy rośliny?”.

Odpowiedź: „ Chrustem lub agrowłókniną. Chrust stosujemy do krzewinek truskawek, agrowłókniną przyda się do okrycia świeżo posadzonych drzewek owocowych”.

Pytanie: „Czy zimą można mieć w ogrodzie jakieś kwiaty kwitnące?”.

Odpowiedź: „Są takie gatunki. W grudniu pojawiają się białe kwiatki ciemiernika, dlatego roślina ta jest często nazywana różą Bożego Narodzenia. W styczniu możemy liczyć na obsypane złocistożółtymi lub czerwonymi kwiatami krzewy oczaru”.

„Na zakończenie kalendarz księżycowy:

Pierwsza kwadra (Księżycyca przybywa; od 2 do 9 grudnia i od 1 do 8 stycznia) - soki wędrują do góry i rośliny

łatwiej przemarzają. Należy sprawdzić, czy nasze uprawy są dobrze chronione, czy wiatr lub śnieg nie zniszczyły osłon. Idealna pora na siew, warto posadzić zioła na parapecie.

Pełnia (od 10 grudnia do 9 stycznia) - czas, kiedy najlepiej nic nie robić w ogrodzie; co najwyżej można zająć się bieleniem drzewek.

Ostatnia kwadra (Księżycyca ubywa; od 18 do 23 grudnia i od 16 do 22 stycznia) - zająć się cięciem, gdyż soki zostają głęboko pod ziemią, więc ryzyko chorób i uszkodzeń nie jest zbyt duże.

Nów (Księżyc jest niewidoczny; 24 grudnia i 23 stycznia) - dobry czas na cięcie drzew i krzewów, dokonywanie przeglądu przechowywanych cebul i bulw (na przykład dali, begonii). Nie warto w tym czasie siać (naturalnie w doniczkach), ponieważ nawet jeśli rośliny wzejdą, będą łatwiej pleśnieć.

- Mam dwa tysiące osiemset znaków! Wystarczy?! - krzyknęłam do Olgierda, redaktora numeru.

- Daj jeszcze chociaż ze czterysta albo lepiej pięćset. Mam dziurę.

Dobra, bierzemy się za mróz. Pamiętam, że w ubiegłym roku dobrze wyszedł.

„Nasza skóra nie zawsze dobrze znosi mróz. Ostre powietrze i wiatr pozbawiają ją warstwy ochronnej (głównie wody), niekorzystnie wpływa na nią również ogrzewanie. Jeżeli nie chcemy używać kosmetyków z konserwantami, zapachami i sztucznymi barwnikami, które mogą nas uczulać, warto sięgnąć po naturalne, wykonane w domu kosmetyki.

Po pierwsze toniki zraszające twarz. Utrwalą makijaż, odświeżą i odżywią skórę. Jak to się je? Po pierwsze przygotujemy pojemnik z rozpylaczem. Do butelki wlejmy szklankę destylowanej wody, 4 łyżki octu jabłkowego, 10 kropli olejku różanego, 8 kropli rumiankowego. Dokładnie wymieszajmy. Warto też wypróbować tonik z aloesem. Do szklanki wody destylowanej dolejmy pół szklanki żelu aloesowego, 10 kropli olejku rumiankowego. Wymieszajmy i gotowe.

Po drugie maseczki. Miodową spreparujemy z 2 łyżek miodu płynnego i 2 łyżek pyłku pszczelego, owsianą z połowy szklanki płatków owsianych wymieszanych z połową szklanki wody, do której należy dodać ćwierć szklanki miodu. Po trzydziestu minutach trzymania maseczki na twarzy skóra odzyska sprężystość i gładkość.

Po trzecie maseczki na usta. Spierzchniętym wargom pomoże przykładanie do nich ciepłej torebki z czarną herbatą lub wacika zamoczonego w ciepłym klarowanym maśle. Dwie łyżki kaszki mанны z połową łyżki miodu to znakomity peeling, który usunie suchy naskórek".

- Olgierd, masz siedemset. Ja już muszę się zwijać. Chyba ci wystarczy na stronę.

- Dzięki. Zaraz szczytam. Bądź pod komórką, jakby co.

- Ala? - Wystukałam numer, żegnając Olgierda skinieniem dłoni. - Złamałaś nogę i nic mi nie powiedziałaś? Jestem w Gdyni i zaraz do ciebie jadę! Co mówisz? Jutro nie mogę, nie będzie mnie w mieście, dzisiaj jestem. Napisałam za ciebie parę tekstów, stary mnie zagonił. Zrobić ci zakupy? Dobra, dobra, skromnisiu. Zaraz będę.

Jak zwykle próbuje bronić się przed pomocą. Moja dzielna Ala! Mimo jej sprzeciwów zajrzałam do sklepu. Hiszpańskie mandarynki, w środku sezonu po niecałe trzy złote za kilogram, trzeba jeść. Szyneczka zgoła nie sezonowa, ale dobra, smaczne pieczywo, serek ze szczypiorkiem i odrobina słodczy. Wino, niestety, nie, trzeba wracać autem do chałupy. Objuczona stanęłam przed domofonem. Zaraz zrobię kawę, herbatę, kolację i opowiem Alinie o moim Szymonie nie Szymonie, który chce się ze mną spotkać dopiero za dwa miesiące, ponieważ ma „bardzo ważne powody”. Przegadamy tę sprawę, Ala na pewno znajdzie doskonałe wyjaśnienie, dlaczego tak musi być, wytłumaczy mi, dlaczego powinnam Szymonowi zaufać. Jak zwykle ustawi mnie do pionu i znowu odzyskam nadzieję.

- Ala? - powiedziałam do domofonu, gdy ktoś podniósł słuchawkę.

- Proszę, wejdź. Tu Krzysztof. Tego się nie spodziewałam.

- To może ja...

- Wejdź - usłyszałam zdecydowane zaproszenie. - Czekamy na ciebie.

W przedpokoju, jak gdyby nigdy nic, Krzysztof pomógł mi zdjąć płaszcz. Wydawało mi się, że spogląda na mnie pewniej niż ostatnio, gdy wymknął się z imprezy w Mieszkowicach. Wtedy prosił o zrozumienie, teraz oczekiwał akceptacji.

- Ala... Kupiłam ci parę rzeczy. - Postawiłam na stole torbę z zakupami.

- Nie trzeba było - szepnęła cicho.

- Widzę.

- Mówiłam ci prawdę, Marta. To stało się później.

- Krótko mówiąc, Marta, jesteśmy razem z Alinką - wtrącił Krzysztof. - Wczoraj się na to zgodziła. Pomogła mi jej złamana noga - dodał niemal pogodnie, spoglądając na Alę z miłością. - Siadaj, zrobię ci kawy i pogadamy.

Jeszcze nigdy nie widziałam Krzysztofa tak zdecydowanego, pewnego. Nieśmiało próbowałam oponować.

- Ja chyba muszę już iść...

- Siadaj, proszę. Już dawno chciałem z tobą porozmawiać, ale nie było okazji, Marta. Proszę, zostań, cokolwiek sobie teraz myślisz. - Próbował zatrzymać mnie wzrokiem. - Mnie też jest niezręcznie. Naprawdę wolałbym, żeby nigdy nie doszło do takiej sytuacji. Ale stało się. Będę usiłował rozstać się z Renatą tak, żeby jak najmniej ją zranić.

Ponieważ nie reagowałam, chciał kontynuować.

- To może ja was zostawię samych? Pójdę do drugiego pokoju.

- Alina próbowała wstać z tapczanu, wykorzystując przerwę w zeznaniach.

- No, na pewno! Może podskoczysz tam na jednej nodze? - Moja uwaga nieco rozładowała napięcie. - A teraz poważnie. Zostań. Myślę, że czas pogadać we trójkę. Skoro Renacie i tak już nic nie pomoże.

- Marta, rozumiem twoje rozgoryczenie i nie spodziewam się rozgrzeszenia. Nie mam niczego na swoje usprawiedliwienie, poza tym, że kocham Alinę. Pewnie by do tego nie doszło, gdybym nadal żywił uczucie do mojej żony...

- Tak nagle cię opuściło? - Nie zwracałam uwagi na obecność Aliny.

- To nie stało się nagle, Marta. Przecież znasz swoją siostrę. Dla Renaty nigdy nie byłem dość dobry.

- I teraz sobie to uświadomiłeś? - Cały czas pamiętałam, że to nie on jest pokrzywdzonym. - Skoro tak fatalnie znosiłeś złe traktowanie, no przecież wiem, że nie było nadzwyczajne, dlaczego z Renatą o tym nie rozmawiałeś?

Krzysztof zbierał siły i odpowiednie słowa.

- Próbowałem. Nie raz i nie dwa. Bez skutku.

- To trzeba było walnąć pięścią w stół!

- Może nie aż tak, ale jednak czasami się kłóciliśmy. Renata jest niereformowalna. Nie chcę jej oczerniać, więc powiem krótko. Zniechęciła mnie do siebie. Pogodziłem się z rolą pantoflarza i domowego kasjera. I pewnie przetrwalibyśmy szczęśliwie do czterdziestej rocznicy ślubu, gdyby nie pojawiła się Alinka. Przy niej wiem, że może być inaczej. - Zerknął na moją przyjaciółkę z miłością.

- A Michalina?

- Marta! Tym się nie martw. To jest moja córka i nie pozwolę, żeby stała się jej krzywda - zareagowałem stanowczo. - Proszę cię tylko o jedno: nie namawiaj Renaty do ratowania naszego małżeństwa. Jeśli możesz, spróbuj mnie zrozumieć.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Alina siedziała skulona na tapczanie, uporczywie wpatrując się w palce wystające z gipsowej powłoki. Krzysztof zajął ręce dolewaniem zimnej kawy do filiżanek.

- Przepraszam, ale muszę lecieć! - Poderwał się, spojrzawszy na zegarek. - Odbieram Michasię z basenu - wyjaśnił. - Marta, na zawsze pozostaniesz moją szwagierką. Moją najlepszą szwagierką. Dziękuję ci za to, jaka jesteś, bez względu na to, jak na mnie teraz patrzysz. Sprawiasz, że czuję się winny, i na pewno masz dużo racji, ale to nie znaczy, że masz ją w stu procentach. Przepraszam, muszę iść.

Zostałyśmy z Aliną same, jeśli nie liczyć Czarka przeżywającego kolejne życie w jakiejś okropnej grze komputerowej o smokach i alienach, której dźwięki dochodziły zza ściany.

- No dobrze - zdecydowałam się odezwać, przerywając milczenie. - Rozumiem, Alinko. Zrozumiałam.

- To znaczy? - Spojrzała pytająco.

- To znaczy, że z ciężkim sercem zaakceptowałam wasz związek. Ale z Renatą nie pójdzie łatwo.

- Dziękuję, Martusiu. Kamień z serca... Hm, komu spadł, temu spadł...

Droga do domu wyjątkowo się nie dłużyła. W ciepłym samochodzie po raz dziesiąty odsłuchiwałam piosenkę z filmu *To się zdarzyło w Madison County*. „Taka pewność przychodzi tylko raz w życiu...”. Skąd pewność, że to właśnie teraz? Przecież ja i Rafał, Renata z Krzyśkiem... Gdyby mój mąż tak się nie zmienił, kto wie, może nadal bylibyśmy razem? Odeгнаłam niepotrzebne myśli i wspomniałam Szymona. Szkoda, że Rafał wybrał inną drogę...

Wjechałam na podwórze, kombinując kolacyjne menu dla dzieciaków. Jeszcze trzy dni, oddam projekt i zajmę

się nimi jak należy. Roza usłyszała mój samochód szybciej niż Łajdus.

- Mami, przyjechała babcia z ciocią Renatą i Michaliną. Ciotka nie jest w formie.

Miłe powitanie.

- Jedliście coś?

- Zamówiłam sobie pizzę, Kajtek został u taty. - Dobrze. - Zjesz kawałek?

- Chętnie.

Przemknęłam do domu, żeby nie zwrócić uwagi naszych „sąsiadek”.

Musiałam popracować.

RENATA

- Widzę, że musimy częściej zapraszać ciotkę Renatę z babcią i Michaliną. - Roza na moje wyraźne życzenie cichutko zamknęła drzwi samochodu, abyśmy rano mogły wymknąć się z domu niepostrzeżenie. - Załapałam się na odwiezienie do szkoły - dodała zadowolona.

- Córcia, nie bądź złośliwa. Muszę wpaść do Aliny.

- Jasne, wczoraj też musiałaś. A może i jutro odczujesz taką potrzebę?

- Rozalia, siedziałam niemal całą noc nad projektem. Jestem na finiszu. A wiesz, dlaczego się tak śpieszyłam?

- zadałam pytanie i natychmiast udzieliłam odpowiedzi.

- Po pierwsze za trzy dni go składam i zrobię to, choćby cały świat rzucał mi kłody pod nogi. Po drugie Renata przyjechała, żeby ze mną pogadać, i muszę znaleźć dla niej czas, a nie tłumaczyć się projektem. Po trzecie, żeby wiedziała, jak rozmawiać z Renatą, powinnam wcześniej spotkać się z Aliną, bo moja wczorajsza wizyta sprowadziła się do wywodów Krzysztofa. Teraz rozumiesz, że poranne wymknięcie się z domu i wyjazd do Gdyni, na który się załapałaś, nie są tylko fanaberią

i próbą ucieczki przed trzema kobietami. Chociaż prawda jest taka, że najchętniej zwałabym gdzie pieprz rośnie.

- Będiesz starała się ich pogodzić? - Rozalia próbowała wymóc na mnie zeznania.

- Gdybym widziała taką możliwość... Jeszcze nie wiem, córka. Rozjaśni mi się po rozmowie z Aliną, bo Krzysztof i tak jest zdecydowany odejść.

- Ale się porobiło... A co z naszą osiemnastką? - Rozalka szczęśliwie zmieniła temat.

- No cóż, zróbcie ją w przyszły weekend w Mieszkowicach. Ja prześpię się u Ali albo gdzieś tam. - Trzeba było wreszcie podjąć decyzję.

- Możesz zatrzymać się u taty - wyskoczyła z bardzo odkrywczym pomysłem.

- Córcia, udam, że nie słyszałam. - Nie miałam ochoty po raz kolejny przekonywać, że nie mamy z Rafałem wspólnej przyszłości. - Wróc autobusem. - Na szczęście stałam już przed szkołą. - Kajtek dzisiaj przyjedzie?

- Kto to wie? - Roza poszła w filozofię. - Niezbadane są wyroki boże...

- Idź już, bo się rozpuścisz w refleksjach nad życiem. Całus i do wieczora.

Wreszcie chwila spokoju. Skok po zakupy, potem Alina i niestety powrót do domu czarownic, gdzie na razie jedynym obiektem rodzaju męskiego jest mój projekt. Na szczęście złamana noga Ali nie pozwoliła jej wykręcić się od spotkania ze mną, więc z pełnymi siatkami podążałam w kierunku ulicy Krzywoustego 8, z nadzieją, że Krzysztof pracuje przed południem. Nie zawiodłam się.

- Cześć! - krzyknęłam z przedpokoju, otworzywszy sobie drzwi jej kluczem. - Jesteś sama?

Zawsze lepiej się upewnić...

- Wejdz, proszę - odezwała się z dużego pokoju. - Jestem i będę jeszcze przez kilka godzin, nie obawiaj się. - Domyśliła się, kogo nie mam ochoty zastać. - Zatrzymaj klucz. - Podniosła dłoń w geście przyzwolenia. - Jeszcze ci się przyda. Co najmniej przez kilka dni, zanim zacznę chodzić o kulach.

- Kupiłam mandarynki i poinsecję. Gdzie ją postawić? Czerwona gwiazda betlejemska znalazła miejsce obok telewizora.

- Pewnie przyjechałaś... - Ala wyczuwała powód mojej wizyty.

- Zrobię nam kawę, napijesz się? - Warto przygotować grunt i przejść do rzeczy nieco później. - Wiesz, wczoraj do Mieszkowic przyjechała mama z Renatą i Michaliną, ledwie zdołałam po cichu się wymknąć z domu. - Co ja gadam? Powinnam jakoś delikatniej, a tu od razu z grubej rury! - Pardon, Ala, nie chciałam, wymknęło mi się... No dobra, przyjechałam pogadać bez Krzyśka - wykrztusiłam.

- Dla mnie z mleczkiem. Jest w lodówce, jeśli jesteś tak miła. - Tym razem ona próbowała odwlec nieuniknione.

- Kawa, mleczko, cukier, napoleonki. Coś jeszcze?

- Nic, Martusiu. Usiądź i pogadajmy. W czym mogę ci pomóc?

No tak, Ala przyjaciel. Nawet jako...

- Alina, zrozum mnie... - Komórka przerwała mi w pół zdania. - Przepraszam, muszę odebrać.

- Mama? Jestem w Gdyni, załatwiam sprawy. Ja uciekam? Zamykam wam drzwi przed nosem? Mamo, posłuchaj, co ty mówisz! - Denerwowała mnie coraz bardziej. - Przecież masz własny dom, możesz ugościć Renatę i Michalinę. Nie, na obiedzie nie będę. A co przygotowujesz? - zapytałam podstępnie. - Jeżeli nic nie macie, zamówcie sobie pizzę. Tak, będę jeszcze w sklepie.

- Zaczyna się. - Kupić wam coś?

- Ciociuuu... - Mama podetknęła telefon Michasi.

- Zrób gołąbki.

- Michasiu, chętnie, ale nie w tym tygodniu. Ciocia pracuje i nie ma teraz czasu. Poproś babcię o coś smacznego. Może placki ziemniaczane?

- Widzę, że rodzina zupełnie cię nie interesuje. - Komórkę przejęła mama. - A Renatka ma takie problemy! Możesz nie robić obiadu, ale chociaż przyjedź, to wspólnie pomyślimy, jak jej pomóc.

- Będę, jak pozałatwiam wszystkie sprawy - wybrałam suchą odpowiedź zamiast wybuchu złości. Dzięki naszej mamie już po raz drugi odechciało mi się pomagać Renacie.

- Marta? - Głos Reni nie pozwolił mi wyłączyć komórki. - Mamy już nie ma, możemy rozmawiać. Wiem, że mnie unikasz, ale ja już nie wiem, co robiiić... - rozmazała się. - Pogadasz wreszcie ze mną? Pamiętasz, jak cię uratowałam, kiedy nie miałaś z kim wyjechać do Grecji?

Rzeczywiście, poświęcenie nie lada. Gdyby nie miała ochoty na wyjazd, o ratunku mogłabym zapomnieć.

- Renia, przyjadę i wspólnie się zastanowimy. - Najwyższy czas kończyć; rozmowie cały czas przysłuchiwała się Alina. - Może wieczorem, wiesz...

- Jasne, jak mama się położy. - Od razu pojęła moje intencje. - Ona ciągle lamentuje. W ogóle nie da się rozmawiać.

- Przepraszam, Martusiu. Masz przeze mnie same kłopoty. - Wyłączyłam komórkę. Ala objęła dłońmi ramiona, starając się schować we własnym ciele.

Zrezygnowana machnęłam ręką.

- Kawa nam wystygła. - Pomięłam skądinąd słuszną uwagę. - Nie tylko przez ciebie, Ala. Przepraszam, ale muszę jakoś znaleźć się w tej sytuacji. Przyjechałam, żeby porozmawiać bez Krzysztofa. Bo nie rozumiem...

- Wiem - ucięła. - Musisz mi uwierzyć, że zerwałam z Krzysiem. On jednak jakimś sposobem dowiedział się, że złamałam nogę, i zaproponował pomoc. Zgodziłam się. Do chwili gdy będę mogła sama sobie radzić, ale on to odczytał inaczej. Tylko wiesz co? - Ala nie mogła powstrzymać łez. - Nie wiem, czy wytrwam w oporze. Marta, ja go kocham...

Spojrzałam na swoją przyjaciółkę, na determinację, która narastała w niej z sekundy na sekundę, i zrozumiałam, że Renata przegrała bitwę.

- Sama słyszałaś, że siostra szuka we mnie wsparcia. - Wychyliłam łyżeczek zimnej kawy. - Co mam jej powiedzieć? - Pytanie zabrzmiało wyzywająco.

- Prawdę, Marta. Najlepiej powiedz jej prawdę.

Dawno nie zdarzyło się, żeby między nami zapadła cisza... Listopadowy deszcz zaczął najpierw delikatnie, potem coraz intensywniej bębnić w szyby. Spoglądałam na Alinę i nie potrafiłam wykrzesać w sobie złości. Jej pewność nie pozostawiała miejsca na wątpliwości.

- Martusiu, opowiesz mi kiedyś, co z Szymonem...?

- Ala podjęła delikatną próbę odwrócenia uwagi od swoich spraw.

- Alusiu, zrobiłem zakupy! - dochodzący z przedpokoju głos Krzysztofa zwolnił mnie od odpowiedzi.

- Wyrwałem się na chwilę z pracy, żeby ci zrobić coś smacznego. Kupiłem gwiazdę betlejemską... - Wbiegł do pokoju i zamarł na mój widok. - Marta?!

- To ja już będę się zbierać... - Poderwałam się z fotela. - Zasiadziałam się.

Z nieudawaną nerwowością zbierałam swoje rzeczy. Torba, rękawiczki, szalik. W końcu na dworze nie było zbyt ciepło.

- To ja lecę, do zobaczenia. - Pomachałam do Ali w progu. - A starym się nie martw, w razie czego napiszę za ciebie. I pamiętaj, że będzie nowy dział. Zabierzemy się do niego, gdy tylko staniesz na nogi. - Wyszło nawet dowcipnie. - No ten, o którym ci mówiłam - przypomniałam sobie, że jednak zapomniałam powiedzieć.

- O szczegółach pogadamy przy najbliższej okazji, teraz się śpieszę. Trzymaj się. Cześć, Krzysztof.

Odetchnęłam dopiero przed domem. Powoli otwierałam drzwiczki samochodu. Pozostałam za sobą Krzysztofa, ale w domu czekała Renata.

Całą drogę myślałam, jak najdelikatniej przekazać jej złe wiadomości. Postanowienie, że nie dowie się o niczym ode mnie, oddalało się jak brzeg od wypływających z portu marynarzy. Miałam nadzieję, że mimo wielowiekowej tradycji ścinania posłańców nie polegnę na ołtarzu prawdy... Nadzieję straciłam, gdy zobaczyłam Renatę i mamę czyhające pod garażem na czerwoną corsę.

- Nareszcie jesteś!

Ja też cię kocham, mamo.

- Przysłał mi pozew, wyobrażasz sobie! Faktycznie wczorajsze zachowanie Krzysztofa pozwalało się tego domyślać...

- Spokojnie, nie denerwujcie się - spróbowałam stawić czoła tajfunowi. - Rozpakuję się, nastawię ziemniaki na obiad dla dzieciaków i zaraz będę. - Rzuciłam torby na środek kuchni. - Łajdus, zostaw!

No tak, psu zapachniało świeże mięso. Jedną ręką wkładałam zakupy do lodówki, drugą w tym czasie wystukiwałam numer Rozalki. Na stół gazeta, przyda się do skrobania ziemniaków. Jeszcze włączyć piekarnik na zapiekankę i... Gdzie ta patelnia? Jest! Pokroić filet z indyka i paprykę...

- Kiedy przyjedziesz? - udało mi się dodzwonić do Rozy.

- Mami, wysłałam ci esemesa, że zostaję u taty. - Czyżbym nie zauważyła? - Spotykam się z koleżanką, przyjadę jutro. Kajtek też.

Wspaniale. O wszystkim dowiaduję się ostatnia.

- Dobrze, córciu, uważaj na siebie. Zdążycie na obiad?

- Przyjedziemy na kolację, żebyś miała dziś wolny wieczór i jutro cały dzień na dokończenie projektu. Pamiętaj, to już w poniedziałek...

Chyba to spotkanie z „koleżanką” musi być bardzo ważne, skoro wyciągnęła takie działa.... Na szczęście robota była na ukończeniu.

- Jestem. - Renata pojawiła się w drzwiach akurat w chwili, gdy zdążyłam wyłączyć piekarnik, wyrzucić gazetę do obierzyn, naładować zwierzakom do misek i nastawić ekspres. Rzutem na taśmę posmarowałam sobie masłem kromkę chleba i oderwałam kawałek polskiej na zagryzkę. - Rozmawiałaś z Aliną?

Nie było sensu jej zwodzić. „Powiedz prawdę”, przypomniałam sobie. No powiedz, podpowiadał rozum. Nie mów, dochodził do głosu instynkt samozachowawczy.

- Usiądź, Renia. Zrobię ci coś do picia. Chcesz kawę? Stary sposób na zyskanie na czasie.

- Rozmawiałaś? - Była nieprzejednana.

- Tak - odparłam, przyparta do muru.

- Świnia! Kompletna świnia! Mam nadzieję, że jej to powiedziałaś!

Nie będzie łatwo.

- Renia, musisz się uspokoić... - spróbowałam.

- Nie będę spokojna! Dlaczego mam być spokojna?! Jakaś wywłoka zabiera mi męża, a ty jeszcze jej bronisz!

- Nikogo nie bronię.

- Każesz mi być spokojną, a przecież Krzysztof ma mnie, ma dziecko! Może ty jesteś po jej stronie?! - uderzyła w wysokie C.

- Reniu, posłuchaj...

- Nie będę słuchać! Ta twoja koleżanka... Ta święta Alina... Powinnaś jej coś powiedzieć!

- Renia! - musiałam podnieść głos. - To nie jest sprawa wyłącznie Aliny, ale też Krzysztofa. Rozmawiałam z nim.

- I nic mi nie powiedziałaś?! Kolaborujesz za moimi plecami! Moja siostra nie była sobą.

- Chcesz mnie wysłuchać? - podjęłam kolejną próbę sprowadzenia dyskusji na teren „rozmawiamy”. Z pola „kłócimy się”.

- Pewnie będziesz jej bronić... - zabrzmiało nieco słabiej.

Postanowiłam zacząć, do czegokolwiek miało nas to zaprowadzić.

- Bardzo ci współczuję, Reniu... - Pochwyciłam lekceważące spojrzenie. - Ale nie mam dla ciebie dobrych wieści.

- Cooo?

- Wygląda na to, że Krzysztof do ciebie nie wróci.

- Dlaczego? - Nadal niczego nie rozumiała.

- Bo... rozeszły się wasze drogi.

- Co ty możesz wiedzieć?!

Nie wiedziałam, jak z nią rozmawiać. Jak jej powiedzieć, że Krzysztof znalazł kobietę, która kocha go bez oczekiwań, po prostu bezwzględnie? Jak powiedzieć Reni, że będzie musiała sobie ułożyć życie od nowa, szarpać się z psującym się samochodem, być może nawet iść do pracy? Jak jej uzmysłowić, że od tej pory nie będzie

mogła dysponować własnym czasem, nie będzie miała w domu bezpłatnej niańki, która poza zajmowaniem się dzieckiem gotowała, sprzątała, zarabiała pieniądze i przynosiła kwiaty?

- Renia... - starałam się nie poddawać emocjom. - Według mnie lepiej będzie, jak się z tym pogodzisz. A jeżeli nie chcesz, porozmawiaj z Krzysztofem. Ja nie mogę między wami pośredniczyć. Cokolwiek się stanie, zawsze ci pomogę. Wierz mi, że rozumiem. Trudno się rozstać.

- Ale to ty zażądałaś rozwodu! - nie umiała się powstrzymać.

- I często tego żałowałam.

- A ja nie chcę!

- Może ty nie będziesz żałować, że tak się stało. Może lepiej ułożycie sobie życie bez Krzysia? Nie wiem.

- Tak mi przykrooo... - rozmazała się na dobre.

- Wiem, siostra, wiem.

SZYMON

Jeżeli ktoś mi powie, że w życiu trzeba być trochę egoistycznym i asertywnym, zadam mu pytanie, jak to zrobić. Jeśli zapyta, w czym problem, zaproponuję, by pomieszkał tydzień z moją rodziną. Jeżeli nadal będzie miał wątpliwości, namówię, by pozostał z nią przez kolejny tydzień. Odechce mu się dobrych rad. Dowiem się prawdopodobnie, że nie potrafię zarządzać czasem i powinnam przejść odpowiednie szkolenie. Że przydałyby się również kursy z interakcji z wiecznie niezadowoloną matką, porzuconą siostrą, dziećmi w klasie maturalnej, zakochaną koleżanką, zbuntowanym szwagrem, byłym mężem, internetowym tajemniczym adoratorem, interesownym szefem. Nie wspomnę o potrzebie podciągnięcia się w temacie wymiany oleju czy naprawy przeciekającego dachu. Dobrze będzie się dowiedzieć, gdzie kupić zimową kurtkę, żeby nie trzeba było biegać po całym mieście, jakie są dobre sposoby na kaca, jak nie dać się zwariować. Szymon, ratuj! Nie, najpierw muszę mu napisać, że to zrobiłam! Klik, www.home.pl, skrzynka nadawcza, adresat, wyślij.

„Oddałam! Włożyłam do koperty, zawiozłam na pocztę i przynajmniej z projektem mam spokój. A teraz niech się dzieje wola nieba i komisji konkursowej «Mody na ogrody».

Z tej radości zapomniałam się przywitać. Witaj zatem, Szymonie, w poniedziałkowy spokojny wieczór, który spędzam z książką na tapczanie, udając, że śpię, podczas gdy Renata uchyla drzwi do mojego domu...

Do projektu wolę nie wracać, by nie analizować możliwości, których nie wykorzystałam, i uniknąć samobiczowania. Dawno nie projektowałam i nie przewidziałam, że dopieszczanie szczegółów zajmie mi tyle czasu, który w ostatnich dniach musiałam wyrywać zębami. Przygotowanie szkicu ideogramowego (to jest planu terenu z podziałem na strefy użytkowe dla domu, garażu, altany, wyznaczenie trawników, ścieżek, klombów, oczka wodnego i innych elementów) poszło stosunkowo szybko. Problemy pojawiły się, kiedy się nie spodziewałam - przy projektowaniu nasadzeń. Wydawało mi się, że przeniosę na szkic rośliny z mojego ogrodu, ale doszłam do wniosku, że nie jest on idealny... Teraz zrobiłabym wiele rzeczy inaczej. Przy okazji chyba odkryłam w sobie duszę pioniera, o co nigdy bym się nie podejrzewała. Mam ochotę na nowy własny ogród. Może uda mi się kupić w Gdyni mieszkanie na poddaszu, z dużym dachem do zagospodarowania? I poszaleję?

Szymon, serdecznie Ci dziękuję za wsparcie i mobilizację. Bez nich nie wystarczyłoby mi determinacji. Dzięki Tobie zrobiłam w życiu coś niestandardowego. I nie

żałuję, bez względu na wynik. Chociaż moja córka ciągle wypomina mi niską samoocenę i brak wiary w szczęśliwe rozwiązanie, myślę, że w tym wypadku kalkuluję racjonalnie, nie spodziewając się miejsca na podium. Są lepsi ode mnie, bardziej doświadczeni, dlatego traktuję udział w konkursie jak przetarcie szlaków, wyjście z zaścianka intelektualnej rutyny, przełamanie mentalności prowincjonalnej dziennikarki od ogrodowych porad. Może uda mi się kiedyś pomyśleć o własnej firmie i powojować na rynku? W końcu nie brakuje ludzi, których stać nie tylko na zakup działki, ale też na wynajęcie projektanta. A teraz... Już jutro wracam do pracy, by dziergać teksty za siebie i za Alinę, która złamała nogę i zostawiła mnie z działem na głowie. Może to i dobrze tak wrócić do ludzi i wejść na inną orbitę...?

Ja ciągle o sobie. A powinnam zapytać, gdzie będziesz spędzać święta? Najbardziej korci mnie, żeby dowiedzieć się, dlaczego możemy spotkać się dopiero za dwa miesiące. Rozwodziś się i chcesz spędzić ostatnie święta z żoną? Ukrywasz się przed przestępcami, na których pod koniec stycznia przygotowywana jest obława? Przeszedłeś operację plastyczną i czekasz na zagojenie ran? Mam nadzieję, że nie jesteś chory i nic się złego nie dzieje.

Muszę kończyć, ponieważ słyszę Rozalię kręcącą się w okolicy mojej dziupli. Chyba zaczyna podejrzewać matczyne konszachty z nieznaną sobie osobą... Kilka dni temu zerknęła mi przez ramię i podejrziała Twoje imię. Na razie nie chcę powierzać jej naszej tajemnicy. A może po prostu boję się porażki i odkręcania całej sprawy

w razie niepowodzenia? Nie miej pretensji o nadmierną ostrożność, przecież tak naprawdę się nie znamy, chociaż lektura Twoich listów wywołuje wrażenie, że jest wręcz przeciwnie.

Nie będę nagabywała o wcześniejsze spotkanie, skoro masz ważne powody, by je odłożyć. Chcesz się zastanowić? W każdym razie ze wszystkich sił staram się zrozumieć Twoją decyzję. Ja również wykorzystam ten czas, żeby wszystko przemyśleć. I dam Ci znać, czy jestem gotowa. Na razie pozdrawiam, szczęśliwa z powodu pozbycia się przysłowiowej baby z wozu. Moja pojechała na konkurs przystrojona w piękne zdjęcia. Niech walczy o pierwsze miejsce! A co tam.

Miłego wieczoru życzy Panu Nie-Robinsonowi wolna dzisiejszego wieczoru i nawet niepozbowiona humoru (jeszcze) Pani na Mieszkowicach,

Marta".

Odpisał od razu. „Gratulacje, Wolna Pani!

Naprawdę się cieszę. Otwieram z tej okazji przedostatnią buteleczkę norweskiego portera Akevitt. Ostatnią zostawię na dowód, że naprawdę tam byłem i piwo piłem, a nawet przywiozłem. Nie wiem, czyby Ci ono odpowiadało: jest mocne, dziewięcioprocentowe, ciemne, o wyraźnym smaku kawy i mocnej, palonej goryczce. Niestety, w lodówce nie chłodzi się szampan, noszę się jednak z zamiarem włożenia go tam w odpowiedniej chwili (to jest, kiedy ogłoszą wyniki konkursu). Podobnie jak Twoja

córka, wierzę w sukces projektu. Dlaczego? Po prostu jestem szamanem i umiem przewidywać przyszłość. Hokus-pokus i jeszcze będziemy świętować Twój sukces! Wiem, że jesteś rzetelna, i mimo trudności, o których mi pisałaś, dołożyłaś - jak mówią prawnicy - należytej staranności. Masz również wyobraźnię, która pozwoliła poszybować artystycznym wizjom wysoko ponad przeciętność. Pamiętaj, szaman wie wszystko.

Wracaj do pracy. To bardzo dobre rozwiązanie, w każdym razie lepsze niż hołubienie świata bez szansy na własne życie. Bardzo podoba mi się pomysł urządzania nowego ogrodu, niechby i na dachu gdyńskiej kamieniczki. Czemu nie? Ważniejsze są chyba dążenia i plany od przebrzmiałych osiągnięć i rabatów rutyny. Może się trochę zagalopowałem w metaforach i filozoficznych dywagacjach, zapewne dlatego, że udzielił mi się Twój dobry nastrój. Oczywiście, w życiu nie można rzucać się z jednej skrajności w drugą. Nie bierz poważnie wszystkiego, co piszę, czasami jednak warto coś osiągnąć. Na przykład spotkać się z Tobą. Za dwa miesiące. Nie mogę zaspokoić Twojej ciekawości w kwestii terminu, chociaż samego by mnie korciła na Twoim miejscu. Nie muszę spędzać ostatnich świąt z żoną, nie gonią mnie bandyci ani nie przeszedłem operacji plastycznej, ale przyznaję, że kojarzysz z dużą intuicją. Wszystkie te okoliczności w pewnym znaczeniu pojawiają się na orbicie, choć oczywiście nie w sensie dosłownym. Nic więcej nie mogę dodać, poza tym, że ogromnie się cieszę, znajdując Cię w lepszym nastroju. Pozdrawiam. Pamiętaj, teraz

będzie już tylko lepiej. Wznoszę norweski toast za Twoje zdrowie. *Skål!* Całkiem mocne to piwko!

Jeśli się nie pogniewasz, pozwolę sobie Ciebie mej-owo przytulić

Szymon nie Szymon".

- Mami? Ciocia Renia pyta, czy śpisz. - Rożka delikatnie uchyliła drzwi do mojego pokoju.

- I co jej powiedziałaś, córciu? - Uspokoiliam się, dostrzegając porozumiewawcze mrugnięcie.

- Że się położyłaś.

- I dobrze jej powiedziałaś. Śpię od godziny.

- Obudzisz mnie rano?

- Pewnie. Kocham cię - dodałam szeptem.

- Ja ciebie też.

Zasypiałam nierozmalowana i nieumyta, za to (aż się boję powiedzieć!): szczęśliwa.

RAFAŁ

Nie mogłam uwierzyć. Zaczął padać śnieg! Piątkowy wieczór po wyjściu z pracy, nie licząc nadziei na list od Szymona i grzania nóg przed kominkiem, obdarował mnie solidną dawką białego puchu, która opatuliła ulice. Na gęsto poustawianych przy ulicach samochodach utworzyły się niewielkie poduszeczki. Na szczęście nie musiałam szukać czerwonej corsy, pozwalając jej pozostać w stanie zimowego uśpienia do jutra. Dzisiejszy wieczór miałam spędzić w Gdyni, udostępniając dzieciakom wolną chatę na osiemnastkę. Nie powiem, żeby ta perspektywa wydawała mi się niemiła... Może na początek sympatyczna kolacja w ulubionej knajpce, przy kieliszku czegoś rozgrzewającego, a potem (wprawdzie niekoniecznie zgodnie ze słowami piosenki: „kino, kawiarnia i spacer w księżycową jasną noc”) lektura listu w przytulnym hotelowym pokoju, z nogami przy ciepłym kaloryferze zamiast kominka? Dawno nie nocowałam w hotelu, tym bardziej w miejscu oddalonym o żabi skok od domów matki i siostry. Tym razem jednak ileś tam złotych na nocleg wydało mi się niczym w porównaniu

z wydatkiem energii i nerwów na „nocne Polaków rozmowy”. Nocowanie u Aliny (czy, nie daj Boże!, u Rafała, do czego namawiały mnie moje niereformowalne dzieci) nie wchodziło w grę.

Mój ulubiony stolik przy oknie w nadbrzeżnej restauracyjce Kormoran był wolny, jakby czekał na gościa spragnionego widoku spokojnego morza pogodzonego z równo padającym śniegiem. Mewy okupowały samotne kutry, wciskając się w ich zagłębienia, nieruchome, nieme, przytulone jedna do drugiej. Może to miejsce wybrać na pierwsze spotkanie z Szymonem? Pod koniec stycznia będzie równie przytulnie, ciemno, klimatycznie, będzie błyszczeć lawendowa świeczka na stole? Miło było pomarzyć. Stan szczęśliwości, który utrzymywał się we mnie od poniedziałku, był czymś nieprawdopodobnym, niepamiętanym od czasu rozstania z Rafałem... A może jeszcze dawniej? Wiosną sprzedam wieś i wszystko się zmieni; przyszłość jawiła się w jasnych barwach. Do pracy na piechotę, zero wożenia dzieciaków. Może rozejrzę się za jakimś zgrabnym lokalikiem na firmę projektową?

- Tak, już wybrałam. - Nie zauważyłam, że od dłuższej chwili stoi nade mną kelnerka. - Poproszę solę z ryżem i buraczkami. I kieliszek białego wina. Jakie? A macie greckie? To wspaniale.

- Marta?! - wyrwał mnie z zadumy czyjś głos.

- Aśka? - zdumiałam się i natychmiast przypomniałam sobie, że pisała na Facebooku o narodzinach wnuczki.

- Jesteś sama czy na kogoś czekasz? - bez ceregieli przeszła do rzeczy. - Może przysiadzisz się do nas, obchodzimy z mężem rocznicę ślubu? Pogadamy - zachęcała szczerze.

- No nie wiem... Nie chciałabym przeszkadzać. - Wypadało odmówić.

- Coś ty, Bolek się ucieszy! Zaraz wpadnie jego kumpel z wydawnictwa, a potem jeszcze parę osób. Chodź, nie krępuj się. Pokażę ci zdjęcia mojej Poli. No, nie opieraj się - nie dawała za wygraną.

- Dobrze.

Po samotnym kontemplowaniu widoku nocnego morza i myśleniu o zawartości listu od Szymona pozostało puste pole. Perspektywa spędzenia wieczoru ze znajomymi była, nie powiem, kusząca.

- To moja kumpela z liceum - Aśka przedstawiła mnie Bolkowi, który z uśmiechem przyjął do stolika niespodziewanego gościa.

- O, jest już Rafał. I Romkowie się rozbierają. - Mąż Aśki wstał na powitanie kolejnych gości.

- Popatrz. Ma już trzy miesiące. - Asia podsuwała mi zdjęcia wnuczki. - Jest wspaniała, mówię ci. A jak wyciągnie do ciebie taką malutką, pulchną rączusie, to aż serce się rozplywa...

- Kasiuniu, przestań, bo i ty się rozplyniesz. - Bolek przyprowadził gościa. - Poznajcie się. To mój kumpel Rafał, a to... - Spojrzał na żonę, oczekując pomocy.

- A to moja koleżanka z liceum. Marta - Aśka przedstawiła mnie „nieznajomemu”.

Mojemu byłemu mężowi.

- My się znamy. - Wypadało coś powiedzieć, żeby przerwać nagłą ciszę. - Do niedawna byliśmy małżeństwem. - Nie wiem, skąd pojawiła się potrzeba, żeby obwieścić ten fakt małżonkom świętującym rocznicę. - Przepraszam.

- Nie ma za co. - Bolek nadrabiał miną. - Czego się napijecie?

Spojrzałam na Rafała, stwierdzając z przykrością, że wyglądał świetnie w grafitowej koszuli pod czarnym blezerem. Od dawna nie widziałam go bez garnituru i krawata. A szkoda. Teraz był bardziej swobodny, rozmowny, ale bez tej prawniczej gadki, jaką serwował w towarzystwie przez lata. Gdybym go wcześniej nie znała, wzięłabym go za podróżnika, artystę, człowieka wolnej myśli, a nie za sądową papugę. Oboje staraliśmy się nie psuć atmosfery, zważywszy, że do stolika dołączyło kolejne szczęśliwe małżeństwo - znajomi Aśki i Bolka. Rafał wspinał się na szczyty elokwencji i dowcipu i (musiałam przyznać), że był w tym niezły. Na szczęście miałam Szymona... Bo gdyby nie, to kto wie, czy... Nie! Nigdy więcej Rafała!

- Bardzo ładnie wyglądasz. - Mój mąż wykorzystał chwilę, gdy towarzystwo zajęło się sobą, a gwar pozwolił na pogawędki w podgrupach.

- Ty też - powiedziałam szczerze.

- Co teraz robisz? - Pewnie i tak wie. Od dzieci.

- W dalszym ciągu pracuję w redakcji. I tyle. - Nie chciałam się wychylać.

- Rozalka coś mówiła o jakimś konkursie?

Wiedział.

- Taaak. To nic ważnego, coś tam robię. Wypijmy za zdrowie szczęśliwych małżonków! - Uniosłam kieliszek, by przerwać niewygodny temat.

Nad stolikiem pobrzmiwało obowiązkowe „Sto lat”. A potem kolejne i kolejne.

- Martusiu... Czy mogę cię prosić na chwilę? - Rafał odebrał telefon i delikatnie odciągnął mnie od rozbawionego towarzystwa.

- Co się stało!?! - Spojrzałam mu w oczy. - Coś z dziećmi?!

Już wiedziałam, że mam rację.

- Trzeba jechać do domu... Sąsiedzi wezwali policję i straż pożarną. Jedziesz ze mną?

Dobrze, że nie pił. Drogi do Mieszkowic nie zapomniał; godzinny dystans pokonaliśmy w trzydzieści minut. Na miejscu migotały niebieskie lampy policyjnych samochodów, wokół kręcili się funkcjonariusze. Młodzież, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, okupowała kanapy w salonie. Jak mewy poszukujące ciepła na plaży.

- Kuba, co się dzieje? - Rafał podbiegł do najwyższego rangą policjanta.

- Roza, Kajtek jesteście cali? Nic się wam nie stało? - Dopadłam do dzieciaków.

Co za ulga! Żyły.

- Zrobili ognisko. Trochę się rozprzestrzeniło i zaniepokoiło sąsiadów - słuchałam relacji funkcjonariusza, którego Rafał nazywał Kubą. - Wszystko w porządku, będziemy jechać - relacjonował. - Zdziwiłem się, gdy

otrzymałem wezwanie właśnie tutaj. Jeszcze się z nią policzę. Wiesz, że mnie nie zaprosiła?

Wydawało mi się czy puścił do Rafała oko?

- Dobry wieczór, panie Jakubie. - Rozpoznałam go wreszcie. - To wy się znacie? - Spojrzałam na Rafała.

- Trochę. - Jakub zerknął na niego znacząco. - Z pracy operacyjnej - dodał, cokolwiek to znaczyło. - Mam nadzieję, że sprawa pana Pantułosa jest zamknięta?

- Dobrze pan wie, że tak. A co będzie z naszą sprawą?

- zapytałam, spoglądając na dom.

- Myślę, że z uwagi na osobę pana mecenas... - spojrzał na Rafała - ...i znikomą szkodliwość społeczną...

- poprawił się, spiorunowany wzrokiem mojego eks

- ...puścimy to w niepamięć. Proszę jednak pouczyć dzieci...

W szczególności córkę... - nie zrozumiałam dlaczego - ...żeby w przyszłości nie urządały takich happeningów.

- Dziękuję panu. To się nie powtórzy. - Wyglądało na to, że dzisiejszego wieczoru żegnam się z policją na dobre.

- Rafał, jeżeli chcesz, możesz się przespać w salonie.

- Nie miałam serca wysyłać go do Gdyni o drugiej w nocy, kiedy już pozbyliśmy się policji i rozplantowaliśmy gości naszych „dorosłych” dzieci po domu.

- Martusiu, w salonie śpi już kilka osób. Pojadę. Może Bolek jeszcze świętuje? - zdobył się na żart.

- Dobrze. Gdyby rzeczywiście świętowali, uściskaj ich ode mnie i życz kolejnych szczęśliwych wspólnych lat. - Uwaga była zupełnie nie na miejscu. - Dziękuję, że byłeś i... Musimy się zabrać za dzieciaki.

- Tak będzie, Martusiu. Pięknie wyglądasz, nawet gdy się martwisz. - Niepotrzebnie aż tak na mnie spojrział. - Dobranoc.

Odjechał. Łajdus długo spoglądał na drogę. Poszłam do swojego pokoju i przy kieliszku wina otworzyłam laptopa, żeby przeczytać wieczorny list od Szymona.

Skrzynka była pusta.

KAJETAN, ROZALIA

- Może byś już wstał?! - próbowałam ściągnąć Kajtka z łóżka.

Ziemniaki dogotowywały się w garnku. Rozalia od godziny zajmowała łazienkę. Zakończyłam likwidację noclegowni, serwując kolejnym gościom moich dzieci (zaczęły wstawać od dziewiątej) poranną kawę, maślanek, chleb z serem i domowymi konfiturami ze spiżarnianych zapasów. Niektórzy wybierali śniadanie na konkretnie, więc w ruch poszły szynka i gotowane jajka. Czworo podwiozłam na przystanek, pozostała trójka maruderów zyskała na opieszałości, załapując się na kurs samochodem do Gdyni. Musiałam podjechać, wymeldować się z hotelu i odebrać pozostawione tam rzeczy. Skądinąd pięknie się zaprezentowałam, zamawiając pokój i nie pokazując się w nim przez całą noc... Nikt mnie o nic nie pytał, widać mój przypadek nie był odosobniony. Pięknie, pięknie... Nie powiem, że czułam się dobrze, oddając klucz do pokoju, otaksowana przez absolutnie dyskretną recepcjonistkę, która nie dziwi się niczemu. A już najmniej faktowi, że zaawansowana czterdziestolatka nie spędza nocy w zamówionym numerze.

Mimo przewidzianych niedogodności i konieczności łyknięcia kilku drobin niezasłużonego wstydu wyszłam z hotelu zadowolona. Nie musiałam wysłuchiwać zwierzeń Renaty i wyrzutów mamy, że niedostatecznie się interesuję i tak dalej. I to było piękne!

- Kajetan, wstawaj! Słyszysz, co do ciebie mówię? Jest prawie druga po południu!

Naciągał na siebie kołdrę, którą próbowałam zedrzeć.

- Zaraz wstanę, już wstaję.

Nie wyglądało na to, że deklaracje będą mieć pokrycie w rzeczywistości.

- Czekam na ciebie na dole za dziesięć minut. I nie obchodzi mnie, czy będziesz wykąpany, czy nie. Stawiam obiad. - Na kąpiel musiałabym doliczyć godzinę.

- Nooo... - Po tak aktywnej reakcji doszczętnie zwątpiłam w szczerłość jego intencji.

- Czekam!

- Rozalia! - W kuchni pojawiła się moja córka. - Proszę, żebyście po obiedzie posprząтали ten chlew, który zrobiliście. I powiem ci jeszcze, że jestem na was zła. Pierwsza impreza i od razu policja.

- Mami, ale to był tylko Jakub. Nic się nie stało. - Nie-spotykamie spokojna nalewała sok do szklanki.

- Jaki Jakub? To ty go znasz?!

- No przecież był tu ciebie i przesłuchiwał cię w sprawie tego Greka czy coś tam. - Posmarowała miodem kromkę chleba.

- Rozalia, czy ty masz mnie za idiotkę? Znasz go! Przecież widziałam.

- Okej, poznałam go u taty. I co z tego? - Smarowała kolejną kromkę.

- To z tego, że nie wiem, co się tu dzieje! Kolaborujecie za moimi plecami... Natychmiast idź po Kajtka, a potem bierzcie się do sprzątanania. - Straciłam ochotę na dalszą dyskusję. - I najlepiej zastanówcie się, jak mi pomóc przed świętami, kto myje okna, a kto pomaga w kuchni. Łazienki też trzeba wyszorować i zająć się innymi sprawami Zresztą, co ja wam będę mówić. To wasze osiemnaste święta, wiecie, co jest do zrobienia. - Wykorzystałam ich chwilową niemoc po imprezie (i być może odrobinę wyrzutów sumienia) do wymuszenia deklaracji świątecznego zaangażowania. I prawdopodobnie by mi się udało, gdybym nie przemówiła do Łajdusa, sterczącego na podłodze w oczekiwaniu na miskę. Rozalia jak duch ulotniła się na górę.

- Rafał? - Odruchowo sięgnęłam po komórkę. - Chyba musimy się spotkać wszyscy razem. To znaczy my i dzieci.

- Coś się stało? - Chyba go zaniepokoiłam.

- Czas z nimi porozmawiać o studiach, nie uważasz? Kajetan raz po raz sypia u ciebie, masz nad nim kontrolę? Rozalia też czasem wydaje mi się nieobecna. Wiesz coś o jej znajomości z tym policjantem, Jakubem? A może wy wszyscy mnie zwodzicie? Zaczynam nabierać podejrzeń. - Może wyszło zbyt ostro. - Przepraszam. - Dopadło mnie poczucie winy. - Ale gdy siedzę w lepiącej się kuchni, przygotowując obiad, na który nasz syn nie ma siły wstać, a córka ucieka przed kazaniem, dochodzę do przekonania, że trzeba coś zrobić. Mam propozycję.

- Pomysł objawił się w samą porę. - Przyjedź na kolację, pogadamy.

- Bardzo chętnie. - Ton głosu wskazywał, że zaproszenie, choć nieoczekiwane, zostało przyjęte z zadowoleniem. - A zrobisz bitki wołowe?

- Nie spotykamy się, żeby jeść, ale rozmawiać o przyszłości dzieci. - Bezczelny!

- Tak, naturalnie. Będę o siódmej. Odpowiada ci?

- Zapraszam. Zrobię kanapki.

Co on sobie wyobraża? Zrobiłam błąd, zapraszając go do Mieszkowic. Jeszcze nie zaczęliśmy rozmawiać, a on już stawia warunki. Bitki wołowe, kto to słyszał!

- Cześć, mamuś! - Przymulony Kajtuś z jedną ręką w kieszeni drugą podnosił pokrywki, wachając zawartość garnków. - Ładnie pachnie. Bitki wołowe?

- Co was wzięło z tymi bitkami?! Zapiekanek jest gotowa, siadaj. Gdzie Rożka?

- Siostra! Przestań gadać i złaż na dół, obiaaaad! - wrzasnął tak, że Rudzielec uciekł do kąta.

- Z kim ona rozmawia? - Rzutem na taśmę postanowiłam czegoś się dowiedzieć.

- Z tym swoim policjantem czy tam z kimś. Masz pikantny keczup?

Keczup ważniejszy od siostry!

- Jest w lodówce. A z jakim policjantem? Z Jakubem?

- postanowiłam pociągnąć Kajtka za język.

- No z jakimś Kubą. Sama zapytaj. Rozalia, jestem głodny! Złaż!

Zeszła po chwili. Zapatrzona w przestrzeń, nieobecna.

- Napijesz się soku? - Stałam nad nią z otwartym kartonikiem pomarańczowego.

- Co? - Z odpowiedzi wywnioskowałam, że na wszelki wypadek należy nalać.

- Zaprosiłam na kolację ojca. Przyjdzie na siódmą. Chcemy z wami porozmawiać.

Spojrzeni na mnie zdziwieni.

- Posprzątam, nie ma o czym gadać. Nie musicie nam tego klarować. - Kajetan pierwszy zdobył się na szybką odpowiedź.

- No pewnie, zaraz się bierzemy. Nie martw się, to się nie powtórzy, żadnej policji. - Rozalia wsparła brata. - I w ogóle nie wiem, po co ta rozmowa. Będziemy grzeczni. - Łypnęła z miną skruszonego Łajdusa.

Nie rozumiałam, czy próbują zatuszować przewinienia ostatniej nocy, czy mnie uspokoić, czy mają inne intencje. Jedliśmy zapiekankę ziemniaczaną w skupieniu, uprzejmie przekazując sobie butelkę z keczupem.

- Mamuś... Ja nie będę mógł. Ja się umówiłem na wieczór. Nie będę mógł z wami pogadać. Ale przy najbliższej okazji bardzo chętnie. - Kajetan pochylił się nad talerzem.

Pałeczkę przejęła Rozalia. Wyglądało na to, że i jej nie będzie wieczorem.

- Mami, ja też się umówiłam. - Nawet na mnie nie spojrzała. - Z Jakubem.

- Ale my z ojcem musimy z wami porozmawiać. Chodzi o maturę, studia... - Czułam, że się zaraz rozplaczę. - Co mam mu powiedzieć?

Już się zgodziłam na ich nieobecność. Nigdy nie byłam dostatecznie twarda.

- Że spotkamy się w święta. - Rozalia znalazła natychmiast odpowiednie rozwiązanie. - Nie martw się, Kajtek idzie na kognitywistykę, a ja na prawo! - Dobrze, że chociaż się dowiedziałam. - Nie musicie się martwić. Posprzątam ze stołu.

- Przepraszam, Kajetan. Na co ty się wybierasz, bo nie zrozumiałam?

Nie ma się czemu dziwić, skoro dopiero niedawno pojęłam działanie iPhone'a.

- Na kognitywistykę, mamuś. Żeby mieć wiedzę o naturze mózgu i umysłu. Wiesz, we współczesnym świecie warto rozumieć, jak modelować procesy poznawcze.

- Ale się wyuczył! - By potem być przydatnym na rynku pracy - dodał marketingowo.

- Co to znaczy? - Nadal nie rozumiałam.

- Żeby manipulować ludźmi, mamuś. No wiesz, pobudzać do lepszej pracy.

Jak można mówić takie rzeczy?

- Nie martw się. Będę miał zajęcia z różnymi specjalistami. Z neurobiologami, psychologami, z ludźmi zajmującymi się sztuczną inteligencją i informatyką. Będę próbował zrozumieć ludzką naturę na wielu poziomach.

- Niemal się rozmarzył.

- A co potem? - Nie bardzo mogłam wyobrazić sobie Kajetana, specjalistę od natury ludzkiego umysłu.

- Wiesz, jak mówi tata... Wykształcony człowiek o szerokich horyzontach zawsze znajdzie dla siebie miejsce

- stwierdził z wyraźną satysfakcją, jak gdyby już przystępował do obrony pracy magisterskiej.

- Tata ma rację. Musisz chyba zdawać biologię na maturze? - zdobyłam się na odkrywczyste spostrzeżenie.

- Właśnie. I dziś mam korepetycje. Tata mi załatwił. Jestem niedobłą matką. Rafał wiedział o studiach

Kajetana przede mną.

- Ty też masz korepetycje dziś wieczorem, Roza?

- Pewnie i w jej przypadku o czymś nie wiem.

- Nie, mami. Spotykam się z Jakubem. Ale zaproś ojca, pogadajcie sobie. Będziemy z Kajtem spać w Gdyni. Nie martw się. - Podeszła, żeby mnie przytulić. - U nas wszystko w porządku. Byle wam się układało, staruszkowie.

- Nam się układa, córka. Każdemu z osobna. Ale porozmawiacie z nami jeszcze w tym roku? - Do sylwestra pozostały trzy tygodnie.

- Idź się połóż, mami. My posprzątamy - zignorowała moje obawy. - A potem pogadajcie sobie z tatą. Jakub po nas przyjedzie - dodała ciszej.

Pogadajcie, okej. Dzieciaki już wybrały, mieszkanie będzie posprzątane, Jakub przyjedzie, zwierzaki nakarmione, luz. Wybrałam numer Rafała. „Abonent czasowo niedostępny”. Jeszcze raz, może nie załapało. „Abonent czasowo niedostępny”. Kurczę! Spróbowałam ponownie. „Tu poczta głosowa, zostaw wiadomość”.

- Rafał, dzieciaki mają inne plany na wieczór. Dzisiejsze spotkanie nieaktualne. Pogadamy później. Miłego wieczoru - poinformowałam eksmeża.

A teraz do komputera. Szymon chyba zrehabilitował się za wczorajszy brak wiadomości? Może najpierw się położę, a przyjemność lektury pozostawię sobie na później? Kusząca perspektywa wzięła górę nad planowaniem, wsunęłam się pod miękki koc.

Nie mogłam się ocknąć, ale dzwonek przy drzwiach nie przestawał dzwonić. Kto to może być?! Zaspana zesłam ze schodów. Dźwięk nie ustawał.

- Rafał?! - Mój były stał za drzwiami. Przecierając oczy, wpuściłam grudniowe powietrze do domu. - Przepraszam, ale dzieci nie ma. Zostawiłam ci wiadomość.

- Mogę wejść? - Wyłonił się zza bukietu tulipanów. - To dla ciebie. - Podał mi je jakoś niezgrabnie.

- Ale ja nie jestem przygotowana, Rafał. Mogę ci zaproponować kawę. - Przeczesałam ręką włosy. - Chcesz kanapkę?

- Usiądź, Martusiu, proszę. Nie jestem głodny i nie chce mi się pić. Łajdus, daj spokój! - Pies nie odstępował go na krok. - Miło na starych śmieciach.

Siedzieliśmy bez słowa. Ja myślałam o Szymonie, Rafał zapewne poszukiwał znanych klimatów, dyskretnie rozglądając się po mieszkaniu.

- Myślę, że u dzieciaków wszystko w porządku. Jak sądzisz? - podjął temat.

- Też tak uważam.

- Ale gdyby?

- Gdyby, to będziemy musieli interweniować.

- Z pewnością.

- Zrobisz mi tę obiecaną kanapkę?

- Oczywiście, przecież proponowałam.

Po chwili postawiłam na stole stertę połówek kromek chleba z sałatą, wędliną, serem, jajkiem, pomidorem, ogórkiem, rzodkiewką, cebulą i majonezem.

- Dzięki. Robisz jak zwykle wspaniałe kanapki, i w ogóle... - Chyba zauważył, że komplement nie bardzo mnie ujął. - Nie wiem, co powiedzieć, Martusiu, poza tym, że bardzo żałuję, i tyle.

- Wiesz, może porozmawiamy kiedy indziej? A poza wszystkim zbliżają się święta. Dajmy sobie spokój kilka dni, proszę.

- Skoro tak uważasz...

- Tak, Rafał. Proszę.

Odetchnęłam, gdy po opróżnieniu talerza zamknął za sobą drzwi. Nie przypuszczałam, że będę czuła się tak niezręcznie w towarzystwie byłego męża, ale wolałam nie wnikać, z jakiego powodu. A teraz najprzyjemniejsza część wieczoru. Pognałam do laptopa, porzucając kłopotliwe myśli. Niestety dzisiaj również nie znalazłam listu od Szymona.

SZYMON

Dlaczego skrzynka jest pusta? - zachodziłam w głowę. Co się stało, że po ostatnim, tak miłym liście przestał pisać? Od poniedziałku nic, a tu za godzinę będzie kolejna niedziela. Przecież to ja mu nie odpisałam! - znalazło się wytłumaczenie. Czeka na list ode mnie! Albo załatwia te swoje sprawy, na które potrzebuje dwóch miesięcy. No ale żeby ani słowa?

Złapałam za komórkę i wybrałam numer Ali.

- Jesteś sama? Możesz rozmawiać? - bez zbędnych ceregieli przeszłam do rzeczy. - Muszę z kimś pogadać.

- Poczekaj. Przejdę do drugiego pokoju.

- To ty już chodzisz? - Odpowiedziało mi głucho postukiwanie kul.

- Już jestem. Nie wpadałaś od kilku dni? Trochę czekałam. Obraziłaś się na mnie? - zaczęła z lekkim wyrzutem.

- Ala! Mam masę roboty w pracy, stary mnie nie wypuszcza przed siódmą. Wymyślałam świąteczne teksty, dostałam do przyuczenia dwójkę młodych. Sama wiesz, jak to jest w grudniu. Musiałam sobie przypomnieć

przepis na imbirowe pierniczki, zimowe przysłowia, jak wykorzystać popiół z kominka. Te rzeczy.

- O własnoręcznie wykonanych cackach na choinkę też już pisałaś? - przypomniała mi o tradycyjnym tekście do grudniowego numeru.

- Oczywiście. Tudzież o pelerynkach dla drzewek, pakowaniu prezentów, dokarmianiu ptaków, wigilijnych zwyczajach. Pytaj mnie jeszcze...

- Przeze mnie masz tyle roboty. Marta, czuję się winna!

- jęknęła Alina. - Gdy tylko będę mogła...

- Wiem, wiem, sama cię pogonię - chciałam już zakończyć temat pracy. - Prawdę powiedziawszy, dzwonię się trochę pożalić. Szymon nie odzywa się od tygodnia.

- Nie wiedziałam, jak mi to przeszło przez gardło. - Nie mam z kim pogadać.

- A ty się odzywałaś? - Od razu trafiła w sedno.

- Nie opisałam na ostatni list, ale przecież nie powinno mu to przeszkadzać?

- Może nie chce się narzucać, Martusiu? Najlepiej odpowiedz mu, to się przekonasz.

Proste i logiczne.

- Myślisz, Ala? A jeśli się zbłąźnię?

- Lepiej wcześniej niż później. A poza tym mówiłaś, że to poważny, fajny facet. Jeśli miałby ci coś do zakomunikowania, na pewno by to zrobił. Widać ma powody, że nie pisze zbyt często. Może coś załatwia?

- Coś jest na rzeczy - przypomniałam sobie treść ostatniego listu. - Podobno chce się ze mną spotkać, ale dopiero za dwa miesiące.

- Ciekawe... - Ją też to zdziwiło. - Tak jak mówiłam, musi pozalać swoje sprawy.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zastanawiałam się na głos.

- Nie mam pojęcia. Może on się rozwodzi?

- Nie wiem, Ala. Mówił, że nie.

- Że nie jest żonaty? I ty mu wierzysz ot tak? Znasz go? Nigdy go nie widziałaś! Zakochałaś się w wizji faceta z Internetu, dobrze ci się z nim koresponduje, gość pisze fajne listy, ale skąd wiesz, kim on jest?!

- Nie wiem. Ale ty trafiłaś na Krzysztofa.

- Tak. Przychodzi codziennie i dalej nie będę opowiadać. Marta, nie myśl o przyszłości z tym facetem, dopóki go nie zobaczysz. Dziewczyno, nie rób tego!

- To co mam robić? - szukałam odpowiedzi.

- Nie wiem. Przygotuj święta, ubierz choinkę, zaproś gości. Nawet Rafała... Okej, okej, nic nie mówiłam.

Nie mogłam dłużej tego słuchać. Sprawdź, wypróbuj, posmakuj, nie daj się omotać. Pewnie atakuje cię oszust matrymonialny, internetowy podrywacz (sama niedawno tak o nim myślałam), człowiek niewiadomej proveniencji. Pożalowałam telefonu do Aliny.

- Przepraszam, będę kończyć, Ala. Dziękuję ci za troskę, kuruj nogę, jesteś potrzebna w gazecie - nic bardziej osobistego nie przychodziło mi do głowy.

- Powiedziałaś coś nie tak? - próbowała podtrzymać rozmowę.

- Nie, skąd. Wszystko tak. Usłyszymy się jeszcze przed świętami. Pozdrów Czarka.

Jakaż ja byłam na nią wściekła! Grzeje się przy obcym facecie, w dodatku mężu mojej siostry, a będzie mi doradzać, żebym „nie myślała o przyszłości z tym facetem” i zaprosiła na wigilię Rafała. Równie dobrze mogę zaproponować takie rozwiązanie Renacie. Niech zaprosi Krzysztofa! Ubawimy się w towarzystwie byłych i prawie byłych mężów. Podzielimy się z nimi opłatkiem, złożymy sobie życzenia, podstawimy im pod nos pierożki z grzybami i kapustą, kompot z suszonych owoców, rybkę w galarecie, łazanki z makiem. I przez kilka godzin będziemy jedną wielką rodziną, ku uciechu mojej mamy i naszych dzieci, które zobaczą rodziców razem. Na chwilę. Potem Rafał wyjedzie do swojego gdyńskiego mieszkanka, zaopatrzonej przez moją mamę w wiktuały przygotowane przez byłą żonę, a Krzysztof podąży do Aliny i Czarka, by spędzić drugą, tę lepszą część wieczoru. Zapłakana Renata zgarnie Michalinę do domu mamy, zmęczona babcia podąży ich śladem, a ja z kieliszkiem wina wyjdę na werandę, szukać zeszłorocznego śniegu. Daj Boże, w towarzystwie dzieci, o ile nie będą miały dość „rodzinnego” spotkania...

Pozostaje jeszcze komputer. Pisał, nie pisał, trudno. Niech się dzieje wola...

„Cześć, Szymon.

Za dwa tygodnie święta, a przed nimi perspektywa zakupów, robienia prezentów, klejenia pierogów, strojenia choinki. Nie masz pojęcia, jak mi się nie chce tego robić. Śniegu ma nie być, kasy też, mieszkowicka kompania przy stole stale się zmniejsza; mam wrażenie, że

niedługo zasiądę doń tylko z psem i kotem. Wydaje mi się, że dopiero w okolicach Nowego Roku, gdy przyjdzie podejmować zobowiązania na najbliższy czas, kiedy na horyzoncie pokaże się wizerunek kolejnej wiosny, coś się przełamie. Czekałam na oddanie projektu, mając wrażenie, że od tej chwili będzie już tylko lepiej. Płonne nadzieje. Przyszły nowe sprawy, inne kłopoty, następne progi do pokonania. Dużo by mówić, Szymon, a nie wiem, czy chcesz o tym słuchać. W każdym razie muszę się sprężyć i zorganizować święta. Po dzisiejszej rozmowie z Aliną zrozumiałam, że powinnam to zrobić również dla Renaty i Michaliny, a może i dla całych Mieszkowic, które sprzedam w przyszłym roku. To będą nasze ostatnie święta w tym miejscu. Nie żałuję, ponieważ tak postanowiłam. Nie mogę się jednak pozbyć pewnych sentymentów, zapomnieć lat przeżytych przez moją rodzinę właśnie tutaj. Pamiętam wigilie w śnieżnym puchu, kiedy udawało się nawet ulepić bałwana. Przypominam sobie jabłka zrywane w pierwszy dzień świąt, sikorkę, która przez otwarte okno wpadła do naszej kuchni i zaczęła dziobać słoninę do jajecznicy, wiewiórkę szarpiącą firanki i nasz za nią pościg. Czy obawiam się wiosny? Czy wiosna oznacza zmiany? Na pewno tak. Ale przecież życie wymaga zmian, tak byś powiedział. Dlatego proszę, powiedz mi jeszcze i to (bardzo tego potrzebuję): gdzie będziesz spędzał święta?

Pozdrawiam Cię w nastroju przedświąteczno-melancholijnym Marta".

„Wiem, że byłem Ci winien list, Martusiu, jednak trochę mi przeszkodziły okoliczności. Przepraszam. Odrabiam zaległości z poczuciem winy i jednocześnie wielkiej radości, że o mnie nie zapomniałaś. Musiałem pomóc kolegom pozałatwiać nieprzyjemne sprawy związane z katastrofą statku. Teraz mam to wszystko za sobą i podobnie jak ty spoglądam w kierunku świąt i Nowego Roku, nie mając na szczęście w perspektywie klejenia pierogów ani gotowania zupy z suszonych owoców. Próbuję się wczuć w nastrój lepienia bałwana w wigilijny wieczór i zrywania późnych jabłuszek w pierwszy dzień świąt. Widzę Ciebie krzątającą się po kuchni, dogładającą swojej rodziny, szczęśliwą, spełnioną, zadowoloną. Tak było, Martusiu, i tak może być. Jeżeli nie na wsi, to pewnie w innym miejscu...

Pytasz mnie, gdzie będę spędzał święta? Mam kilka propozycji; przyjaciele zapraszają mnie do siebie, nie będę sam. Była żona odpada - to oczywiście żart. Wiem, że sam jestem sobie winien, nie zapraszając Cię na przedświąteczną kawę z piernikiem do jakiejś przytulnej knajpki, ale wierz mi, że jeszcze nie mogę. Przyjemność złożenia Ci życzeń zostawiam sobie na dzień przed świętami. Na razie jedynie przytulam Cię wirtualnie, wierząc, że mnie za to nie skarcisz.

Pozdrawiam serdecznie

Szymon".

NIEZNAJOMY

Kajtuś, tylko jedź ostrożnie, błagam cię. Masz dużo czasu. - Pełna obaw musiałam wysłać syna po Renatę i Michalinę, którym w wigilijny poranek nie odpalił samochód. - Pamiętaj, może być ślisko i w lesie uważaj na dziki. Opowiadałam ci o Norbercie, jak nadział się na trasie na całe stado? - Oczyma wyobraźni widziałam czyhające na drodze niebezpieczeństwa.

- Mamuś, przestań. - Kajtek mościł się w fotelu kierowcy, zakładając na uszy słuchawki.

- Zadzwoń, jak dojedziesz do ciotki! - Wybiegłam na drogę za znikającym samochodem. Miałam nadzieję, że zadowolony dzieciak mnie usłyszy.

Odpowiedział mrugnięciem światłami. Rozalia kończyła mycie łazienki. Do kolacji wigilijnej zostało kilka godzin, a plan napięty. Pozostało ugotować kaszę gryczaną, zrobić krem do tortu orzechowego, pokroić warzywa na sałatkę, odszukać świąteczne obrusy, przygotować śledzie w śmietanie, przyrządzić łazanki z makiem. Aha, jeszcze podpisać przywieszki przy prezentach. Rozalia ubrała świerczek, który wycięliśmy w ogrodzie z kąta

przy hamaku. Czy czas żałować róż, gdy płoną lasy? I tak w przyszłym roku cieszyłby inne oczy... Zerkiałam na drogę w oczekiwaniu na pana Zdzisława, który miał być jedynym, nie licząc Kajetana, mężczyzną w naszym gronie.

- Dojechałeś? - Po godzinie połączyłam się z Kajtkiem.

- Jestem u taty. Zaraz wyjeżdżam do ciotki. - Uff, w drodze nie napadły go żadne dziki. - Tata chce z tobą rozmawiać. - Przekazał słuchawkę Rafałowi, zanim zdążyłam zaproponować.

- Cześć, Martusiu. Chciałbym wam złożyć najlepsze życzenia. Rodzinnej wigilii i czerpania wszystkiego, co najlepsze z rodzinnych świąt. Pozwoliłem sobie przekazać Kajtkowi prezent dla ciebie... - Zawiesił głos.

- Mam nadzieję, że go przyjmiesz nawet ode mnie. To nic takiego, ale wiem, że zawsze bardzo lubiłaś ten film. Może sprawi ci przyjemność obejrzenie go w wolnej chwili.

- Dziękuję, Rafał. - Nie wiedziałam, czy mam ochotę na prezenty od byłego męża. - Gdzie będziesz na wigilii?

- wolałam zmienić temat.

- Zaprosili mnie znajomi. Mam gdzie pójść, będzie dobrze. Jeszcze raz wszystkiego dobrego.

- Powiedz Kajtkowi, żeby na siebie uważał.

- O nic się nie martw. Nic złego się nie wydarzy. Chciałabym potrafić się z nim zgodzić... Wyłączyłam telefon bez pożegnania. Nie ma co myśleć o przeszłości. Najważniejsze, żeby Kajtek dowiódł sobie i ciotkę z kuzynką do Mieszkowic.

- Które talerze rozstawić? - Rozalia przywróciła mnie rzeczywistości.

- Te białe z niebieskim. I serwetki, znajdziesz w szafie. - Pobiełam wyłączyć łazanki. - Dałaś Łajdusowi?

- Dałam. A teraz idę na górę, bo mam coś do zrobienia. Pewnie musi zapakować prezenty.

Wyrzałam przez okno. Nieśmiało zaczął padać śnieg. Lipa przygarniała pudrowe kłębuszki, pozwalając im opatulić pozbawione liści gałęzie. Biała kołderka powoli osadzała się na zielonych iglakach, przystrajając je bogactwem, które nie wymaga świecących bombek i migających lampek. Ostatnia wigilia w Mieszkowicach...

- Witam! - Pan Zdzisław machał do mnie z samochodu, przerywając sentymentalne myśli. - Pani Marto! Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? - Śmiejące się oczy zapowiadały napływ dobrego nastroju na nasze podwórko. - Wszyscy już są? - zapytał, gdy uchyliłam drzwi i podeszłam go przywitać.

- Zdzisiu! - Mama również zauważyła szare polo.

- Zaczynamy za dwie godziny. A tak w ogóle: dzień dobry. Cmoknęliśmy się w policzki.

- Miło, że pan przyjechał.

- Jakżebym mógł odmówić? Słyszałam, że Stefania pichci już od tygodnia. - Puścił do mnie oko. - A tak naprawdę, to zamierzam się na pani pierożki.

Wbiegłam do domu, otrzepując z siebie sporą warstwę śniegu.

Jak ta droga musi wyglądać? Zerknęłam na zegarek. Zbliżał się czas powrotu Kajetana. Boże mój, powinnam

sama pojechać po Renatę! Roza porozkładała naczynia na stole, w stroiku świeca czekała na zapalenie, na choince migotały lampki. Nawet pies i kot odczuwały rosnące podniecenie. Pod choinką urosła sterta kolorowych paczuszek, w radiu nadawano świąteczne piosenki.

Usiadłam przy stoliku, by rozprostować nogi po całodziennej bieganinie i przypomniałam sobie wczorajsze życzenia od Szymona.

„Droga Moja Martusiu!

Pozwalam sobie zwrócić się tak do Ciebie, wykorzystując przedświąteczny nastrój i kielkujące poczucie pewności, że nie obruszysz się za zbyt dużą poufałość. Przecież nadchodzi czas, gdy nie wolno się na nikogo gniewać ani go odrzucać. Trzeba wierzyć w dobre intencje, szczerą sympatię i miłość. Pojawiłem się znikąd, nie chcę jeszcze wyjść z ukrycia, zdaję sobie sprawę, że niewiele za mną przemawia. Mimo wszystko w ten wigilijny wieczór (mam nadzieję, że czytasz życzenia właśnie w Wigilię), rozpoczynający się pojawieniem Betlejemskiej Gwiazdy, pragnę wyjawić Ci swoją największą tajemnicę. Jestem normalnym facetem, który w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że jesteś Jedyną Kobietą, która może mu przynieść w życiu szczęście i której chce podarować cały świat. Życzę Ci, Kochana, i wszystkim bliskim Twojemu sercu wspaniałej Wigilii i świąt, a sobie, żebyś się na mnie nie zawiodła. W swoim zadufaniu wierzę, że tak się właśnie stanie. Martusiu, do zobaczenia w nowym roku

Szymon".

- Mamuś, jedzie jakiś duży samochód! - Rozalia wyprowadziła mnie z błogostanu jednym zdaniem.

- Jaki?

- Nie wiem. Policja jakaś czy ktoś? - Wybiegła na podwórko.

- Boże, Kajtek miał wypadek! - Nie mogłam się ruszyć.

Po chwili Roza wniosła do domu kilka paczek.

- To poczta. - A ja omal się nie rozkleiłam! - Przesyłka. Jakieś prezenty dla nas.

- Od kogo? - Z trudem opanowałam drzenie.

- Nie jest napisane. Ale paczki są dla ciebie, dla mnie i dla Kajtka. To chyba od taty! - Rozalia stała na środku pokoju, nie wiedząc, co robić.

- Pokaż. - Domyśliłam się, że to prezenty od Szymona.

- Mogę otworzyć swoją?! Nie zabraniałam.

- Jakie cudne wdzianko! Takie streetartowe! Boskie! Rozwinęłam swój prezent. Jedwabny tajski szal i srebrny wisior z koralem.

- Co dostałaś? - Rozalia narzuciła szal na ramiona. - Cudny! Ale tata ma gust. Zresztą zawsze miał! - Była wyraźnie zadowolona. Ciekawe, co dostał Kajtek? - Chyba przyjechali! - Pognała na podwórko.

Przejrzałam prezenty w poszukiwaniu bileciku, ale nigdzie go nie znalazłam. Na brzegu mojej paczuszki dostrzegłam jedynie skromne życzenia: „Spokojnych i pięknych świąt. Wznoszę toast za Was wszystkich. *Skål!*”.

- Jakie prezenty? Przecież to ja mam prezenty od taty. Cześć, mamuś, jestem. - Kajtek z Rozą dyskutowali na temat paczki od Mikołaja.

- Mamuś, o co tu chodzi? - Moja córka była zdezorientowana.

- Widocznie tata postanowił zrobić nam podwójną niespodziankę. - Musiałam znaleźć rozwiązanie, nie ujawniając udziału Szymona. - Cieszcie się. Od przybytku głowa nie boli.

Na szczęście nie mieliśmy czasu, by dłużej zastanawiać się nad pochodzeniem niespodzianki, bo Łajdus obwieścił przybycie zbliżających się kolejnych uczestników wigilijnej kolacji. Pobiełam do kuchni nastawić wodę na pierożki. Zupa z suszu już była gotowa.

- Jak zwykle smaczna, Marta. - Dziś nawet Renata zaczęła przemawiać ludzkim głosem. - A kasza z grzybami wyśmienita! - Cieszył mnie jej dobry nastrój.

Wzięliśmy się do rozpakowywania prezentów.

- Kajtuś, ucisz psa. - Kundel od jakiegoś czasu zagłuszał kolędy.

Zaniepokoiło mnie, że mój syn nie wraca z ogrodu przez dłuższą chwilę.

- Przepraszam, zaraz wracam. - Pobiełam mu na ratunek.

Na podwórku stał Krzysztof.

- Mogę wejść?

Niepewnie ścisnął torbę z prezentami.

- Proszę. Miejsce przy stole zawsze się znajdzie. - Może niezbyt grzecznie, ale wskazałam mu drzwi wejściowe.

Na widok gościa wszyscy zamarli. Jedyne Michalina zachowała się spontanicznie.

- Tataaaa! Spóźniłeś się. Mikołaj już był!

- Ale u mnie też coś dla was zostawił! - Radość małej dodała Krzysiówi animuszu. - Dobry wieczór. Wesołych świąt. Mogę na chwilę? - Czekał na zaproszenie do stołu.

Spojrzałam na Krzysztofa i stało się dla mnie jasne, że on wpadł tylko na chwilę. Renata, jak nigdy, nie mogła wykrztusić słowa. Jej oczy wyrażały nadzieję na dalszy ciąg.

- Usiądź, Krzysiek, proszę. Podajemy pierożki. - Mogłam tylko zaproponować gościnę.

- I co, Michasiu? Podoba ci się gra? - zapytał.

- Dobrze, że przyjechałeś, zięciu. - Mama zdążyła już przygotować przemowę. - Najważniejsze, że wróciłeś. Zaśpiewamy kolędę?

W jej mniemaniu układ rodzinny wracał do równowagi.

- Pewnie. Jaką? - Krzysztof nie chciał od razu komunikować, że za chwilę wyjdzie.

Najpierw było *Lulajże Jezuniu*, potem *Wśród nocnej ciszy*, *Pójdźmy wszyscy do stajenki* i *Cicha noc*. Po *Dzisiaj w Betlejem* Krzysiek wstał od stołu i wszystko potoczyło się zgodnie z moimi przewidywaniami. Ze dziękuje, przeprasza, ale już musi iść, że jest mu bardzo przykro, lecz jeszcze dzisiaj musi być w Gdyni, a warunki drogowe są nie za bardzo. Ale w ogóle to on zawsze ma rodzinę na względzie i będzie dbał. I na koniec życzy wszystkim wesołych świąt, a na pewno będą takie, bo przyprószył

śnieg, ogród wygląda pięknie, jedzenie doskonale jak zawsze („Martusiu, masz talent), z Michalinką się skontaktuje, no i za Rozkę i Kajetana będzie trzymał kciuki na maturze. Całuje mamę i składa uszanowania panu Zdzisławowi, z Renatą będą w kontakcie, ona ma się nie martwić, on zadba o wszystko.

Po wyjeździe Krzysztofa zapłakana Renia zgarnęła Michalinę do domu, mama poczuła się zmęczona i podążyła w ich ślady, zabierając pana Zdzisława, a ja... Ja nie wyszłam na ganek z kieliszkiem wina, by szukać zeszłorocznego śniegu. Zostałam z Rozalią i Kajetanem, i z najlepszym wigilijnym prezentem. Listem od Szymona. Został mi jeszcze do rozpakowania prezent od Rafała. Otworzyłam paczuszkę, w której znalazłam swój ulubiony film *Zakochać się*. Już to zrobiłam, Rafał. Nie wiem, czyby ci się to podobało, ale dziękuję za pamięć, odpowiedziałam mu w myślach.

Wigilijny wieczór z dziećmi dawał nadzieję na nadchodzący, naprawdę dobry czas.

SYLWESTER

Już dwa dni przed sylwestrem moje dzieci przestępowały z nogi na nogę, każde na swój sposób nastrajając się przed noworoczną zabawą. Wyglądało na to, że Rozalia spędzi ją w towarzystwie policji, a dokładniej: znajomych pana komisarza Jakuba, co przynajmniej pozwoli nie wzywać patrolu w razie przekroczenia „zasad współżycia społecznego”, na przykład wzniesienia pożaru, zakłócenia spokoju sąsiadom czy wywołania innych burd. Jakub, nowy i ponad dziesięć lat starszy „chłopak” Rozy, miał stawić się po pełnoletnią (choć w moim mniemaniu całkiem jeszcze nieletnią) w Mieszkowicach i odwieźć ją całą i zdrową w pierwszy dzień Nowego Roku.

Kajetan znalazł przytulisko w gdyńskim pubie, w gronie szkolnych ziomów, cokolwiek to oznacza. A nocleg nad ranem u ojca. Renata, cały czas kontemplująca nieszczęście wywołane odejściem męża, postanowiła przywieźć buteleczkę do mnie i po raz kolejny podczas nocnych rozmów poszukać sposobu na odwrócenie sytuacji, która w moim mniemaniu była beznadziejna. Mama również nie zamierzała odmówić sobie przyjemności

przyjazdu na wieś, oczywiście z powodu czystego powietrza i potrzeby naładowania akumulatorów.

Bardziej niż kiedykolwiek nie odnajdywałam w sobie natury mechanika ładującego akumulator czy księdza przyjmującego w konfesjonale spowiedź porzuconej żony, dlatego gdy zadzwoniła Alina z propozycją sylwestrowej zabawy u znajomych Krzysztofa, powiedziałam „tak”.

- Chętnie, Alinko. Bardzo się cieszę. Czy mam coś przygotować? - Impreza pewnie będzie składkowa.

- Tak - miała przygotowaną odpowiedź. - Siebie i dobry humor.

Oto balsam na zbolełe serce kucharki, która jeśli sama wszystkiego nie robi, zawsze musi się z czymś dorzucić. Zapomniałam już, że może być inaczej. I ja, i wszyscy wokół. Dzieciaki wprawdzie poleciały do ojca po kasę na chipsy, pizzę tudzież pewnie jakiegoś szampana, zostawiając w spokoju zmęczoną po świętach matkę, pozostałym jednak wydawało się, że od kilku dni nie myślę o niczym innym, tylko o dmuchaniu balonów, strojeniu salonu przed sylwestrową zabawą, wymyślaniu kolejnych wersji koreczków, krakersowych kanapeczek i bajecznych drinków. Pewnie powinnam pomyśleć też o zimnych ogniach i przyrządzeniu płonących gruszek...

- Bardzo chętnie, Alu. Mam nadzieję, że nie będę wam przeszkadzać jako singielka.

- Ty jesteś singielką, ja też, jakoś sobie poradzimy! A w ogóle po co te dyskusje? Bądź o dwudziestej. Adres wyślę ci mejlem.

Czemu nie? Zaczęłam się zastanawiać nad kreacją. Małe czarne do kąta! Nie będą mi przypominać biznesowych spotkań mojego eksmęża! Może coś czerwonego? Nieee, to nie w moim stylu. Właściwie to nieważne. Włożę spódnicę i białą hipisowską bluzkę z bursztynowym wisiosem. Do tego koniecznie długie kolczyki. Przecież nie szata zdoła ozdobi człowieka... Przed wyjściem podziałalam z włosami, kręcąc lokówką długie spirale, które bez lakieru zamieniły się w swobodne fale spływające do linii ramion. Może być, oglądałam się w lustrze całkiem zadowolona.

Przyszło mi zmierzyć się z damami w długich sukniach i fryzurach prosto pod igły. Na szczęście Alina pozostała sobą, wkładając nieodłączny parciany worek, przystrojony kolejnym wisiosem ręcznej roboty. I wyglądała pięknie!

- Poznajcie Martę. - Krzysztof wprowadził mnie do pokoju pełnego gości. - A to gospodarze, Miłosz i Agata. Marta jest...

- ...moją koleżanką z pracy - dopowiedziała Alina. - Przyjaźnimy się od dawna.

Miłosz, sympatyczny czterdziestolatek, zaproponował drinka. Wymieniłam ze wszystkimi uścisk dłoni. W tle robił nastrój miękki głos Franka Sinatry. Błogostan i cały wieczór przede mną! Muzyka delikatnie atakowała zmysły, Agata częstowała krakersikowymi kanapkami. Zatonęłam w szemrzącym gwarze rozmów.

- Podać ci drinka? - Niewysoki, krępy szatyn usiadł przy mnie na kanapie. - Zauważyłem, że lubisz martini. Mam na imię, nomen omen, Sylwester, ale czasami

mówią do mnie Szymon. Nie lubię swojego pierwszego imienia... No chyba że w dniu takim, jak dzisiejszy - roześmiał się znacząco.

- Szymon? - Nie mogłam oprzeć się skojarzeniu. - Marta - przedstawiłam się nieznanemu, który przecież nie mógł być moim Szymonem. Wydał mi się za mały, za gruby, zbyt obcesowy... Jednym słowem: to nie mógł być on!

Przyglądałam się ze zdumieniem Sylwestrowi-Szymonowi, słuchałam potoku słów i komplementów. Podobno nawet czytywał „Lubię swój ogród” i wiedział, że zostałam Twarzą Jesieni w „Stylowej Pani”! Katastrofa.

- Gdzie pracujesz? - podjęłam ostatnią próbę identyfikacji.

- W Instytucie Morskim. Robimy badania dna morskiego na Bałtyku i czasami u wybrzeży Norwegii... Pewnie słyszałaś o naszym statku? Zatonął niedawno.

W tej samej chwili ja też utonęłam, choć tylko w morzu słów siedzącego obok człowieka, który (co zaczęłam podejrzewać) za pośrednictwem Krzysztofa sprowadził mnie tu celowo. Ale jeżeli to był mój Szymon, dlaczego mówił inaczej, niż pisał, dlaczego wyglądał inaczej, niż sobie wyobrażałam? Na co liczył?

- Napijesz się jeszcze? - zaproponował kolejnego drinka.

- Czemu nie? - Zaczęło mi się robić wszystko jedno. Patrzyłam na spocone czoło, które przecierał raz po raz chusteczką, na tę rzucaną w przestrzeń pokoju nic porozumienia, która w oczywisty sposób miała nas połączyć...

No może nie od razu, może trochę później, kiedy alkohol uspi
czujność otoczenia, a my będziemy mogli udać się do pokoju na
pięterku, by w jedyny stosowny i namiętny sposób dokończyć
szalony noworoczny wieczór (brr!). A potem on szybko się
ulotni, a ja zacznę dostawać piękne mejle od Szymona, któremu
listy pisze uzdolniony literacko współczesny Cyrano de
Bergerac. Nie, żadna operacja plastyczna nie byłaby w stanie
zmienić tego siermiężnego faceta w obiekt moich westchnień,
którego obraz wykreowałam w wyobraźni!

Sącyliśmy kolejnego drinka zapatrzeni w tańczące pary,
coraz szybciej wirujące w rytm muzyki.

- Lubisz pisać listy przez Internet? - nie mogłam się oprzeć.

- Do ciebie zawsze bym pisał - odpowiedział, spoglądając
nieco maślanym wzrokiem. - Podasz mi swój adres?

- Nie masz? - Niemal wytrzeźwiałam.

- Jeżeli się postaram, to będę miał.

- Przepraszam, muszę wyjść do toalety.

Nie czekając na północ, nie żegnając się z Aliną, wymknęłam
się do przedpokoju.

- Poproszę taksówkę - powiedziałam w komórkę. Na dworze
zastał mnie deszcz. I dobrze, przynajmniej
oprzytomnieję.

- Mieszkowice, Źródlana 15 - podałam adres.

- Co się stało, Martusiu?! Zauważyłam, że wyszłaś. - Telefon
od Ali odezwał się już pod domem.

- Podziękuj Agacie i Miłoszowi za przyjęcie. Atmosfera była
naprawdę wspaniała. - Nie chciałam wywnętrzać

się przy kierowcy. - Jutro zadzwonię, Alinko. Jestem zmęczona, baw się dobrze.

- Szkoda, że coś nie zagrało. Popraw sobie humor. Może Szymon napisał...? - Nie dokończyła. Usłyszałam, że Krzysztof szepcze jej coś do ucha.

Dzisiaj chyba nie miał dostępu do komputera, chyba że przygotowany wcześniej tekst poszybował w wirtualną przestrzeń jeszcze przed sylwestrem. Może zajrzę?

SZYMON

Machinalnie włączyłam telewizor, zastając standardowy pakiet noworocznych filmów. Thriller, horror, fantasy, wygłupy Eddiego Murphy'ego, Scarlett O'Hara uwodzająca Rhetta Butlera w *Przeminęło z wiatrem*. Może to? Tytuł adekwatny do sytuacji...

Włączyłam lampki na choince, pokój utonął w kolorowym półmroku. W domu mamy paliło się światło. Pewnie siedzą z Renatą i panem Zdzisławem. Nie miałam ochoty na wspólne świętowanie Nowego Roku, ale nie uśmiechała mi się samotność. Przecież nie zadzwonię do Aliny... Zajrzeć do komputera? Do północy zostało niecałe pół godziny. Łajdus ujadał, reagując na rozlegające się zewsząd wybuchy petard u balowiczów, którzy nie mogli doczekać się dwudziestej czwartej. Sprawdziłam, czy moje dzieciątka nie dobrały się do ukrytego w lodówce szampana. Na szczęście butelka stała na swoim miejscu. Toczyłam wewnętrzną walkę. Niechęć do poznanego u Miłoszów Szymona pokonała ciekawość. Być może w skrzynce czeka ostatni list, który będę miała ochotę przeczytać... Jeśli mam rozwikłać nieprzyjemną tajemnicę, to jeszcze w starym roku.

Po przefiltrowaniu reklam z czternastu nieodebranych wiadomości zostały cztery. Życzenia od Aśki, zaproszenie od greckiego konsula na wakacje (wraz z serdecznymi życzeniami), list od kapituły konkursu „Moda na ogrody”, zatytułowany *Serdecznie gratulujemy!* O nieba, czy muszę sprawdzać dalej? Kątem oka zauważyłam ostatnią wiadomość. Od Szymona. Drżącymi palcami kliknęłam w „kapitułę”.

„Szanowna Pani.

Dzisiaj nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu na projekt ogrodu. Pragniemy Panią powiadomić, że Pani praca okazała się najlepsza. Werdykt pozostaje w całkowitej zgodzie ze zdaniem inwestora, który pragnie zrealizować założenia projektu na swojej działce. Oficjalne ogłoszenie wyników nastąpi w najbliższych dniach na gali, którą zorganizujemy w Warszawie. Mamy nadzieję, że nie odmówi Pani udziału. Jury doceniło rdzennie polski charakter ogrodu, jego korelację z otoczeniem, różnorodność roślin, dopasowanie do potrzeb rodziny, piękno i malowniczość kompozycji jako miejsca do życia. Pozwoli Pani, że skontaktujemy się z nią w pierwszych dniach stycznia, aby omówić dalsze szczegóły. Teraz jedynie przekazujemy gratulacje i serdeczne życzenia powodzenia w nowym roku

Kapituła konkursu”.

Byłam oszołomiona. Niemożliwe, nieprawdopodobne! Lecę po szampana! Zupełnie zapomniałam, że termin obrad jury został wyznaczony na ostatni dzień grudnia.

Coś takiego! Muszę do kogoś zadzwonić, podzielić się wiadomością.

Roza? „Abonent czasowo niedostępny”.

Może Kajtek? Sieć zajęta. O tej porze to, niestety, normalne. Wszyscy dzwonią z życzeniami.

Usłyszałam pukanie do drzwi.

- Pani Marto, zauważyliśmy, że pani wróciła.

- Za drzwiami stał pan Zdzisław. - Za dziesięć minut dwunasta, możemy zaprosić?

- Tak, chętnie, właśnie zamierzałam do was dołączyć. Już idę, tylko włożę buty. - Zorientowałam się, że biegam po mieszkaniu na bosaka.

- Wszystko w porządku?

No tak, to niezupełnie normalne, że ktoś wraca z sylwestra przed dwunastą.

- W jak najlepszym, panie Zdzisławie. Wygrałam konkurs na projekt ogrodu! Nie wiem, jak mi się to udało!

- Biegałam, szukając drugiego buta, który jak zwykle gdzieś się zawieruszył.

- Gratuluję! Bardzo się cieszę i wcale mnie to nie dziwi. - Pan Zdzisław sprawiał wrażenie autentycznie zadowolonego. - W pani ogrodzie znać rękę mistrzyni.

Nie ma to jak kindersztuba!

- Przepraszam, ale dzwoni córka... - Odebrałam komórkę.

- Ja też cię ściskam, córuś. Zaraz idę do babci, szczęśliwego Nowego Roku. Dobrze się bawicie? Pozdrów Jakuba. Wróciłam od Ali wcześniej. Nie, nic się nie stało, takie tam. Pa, do jutra. A jak wrócisz? - Rozłączyła się.

- Kajtek? Synuś, dziękuję, ja też cię kocham i baw się dobrze. Wiesz, wygrałam konkurs... - Połączenie przerwane.

Esemes: „Musiałem wyjechać. Pozdrawiam Cię noworocznie i bardzo serdecznie. Baw się dobrze, gdziekolwiek jesteś. Samych sukcesów i żeby każdy kolejny dzień był lepszy od poprzedniego. Twój Szymon”.

No nie wiem...

- Panie Zdzisławie, już idę! Przepraszam, jeszcze tylko telefon od koleżanki.

- Aluniu, wszystko jest okej. Całuję was noworocznie i lecę do mamy. Wygrałam konkurs! Nie pytaj! Jutro ci powiem, muszę iść, już za pięć dwunasta!

Pognaliśmy w stronę maminego domu. W ostatniej chwili porwałam zimne ognie i zapalki. Wokół strzelały petardy, na niebie co chwila pojawiały się kolorowe bukiety iskier. Sąsiedzi wylegli na dwór. Delikatnie padający śnieg skrzył się, podświetlany blaskiem fajerwerków i sztucznych ogni.

- Stefanio, twoja córka wygrała konkurs! Proponuję pierwszy toast za ten sukces! - Pan Zdzisław przeszedł do ataku zaraz po przekroczeniu progu.

Spojrzałam na mamę i Renatę i już wiedziałam, że nie będziemy świętować tego sukcesu. Ani żadnego innego.

- Otwieramy? - Spostrzegawczy pan Zdzisław próbował ratować atmosferę.

- Zaczynamy odliczanie. - Głos konferansjera w telewizji zapowiadał nadejście Nowego Roku. - Jeszcze tylko pięć sekund, cztery, trzy, dwie, jedna i... Proszę państwa, mamy rok 2013!

- Steniu, gdzie idziesz!? - Pan Zdzisław udał się za mamą do kuchni.

Renata próbowała nie zwracać na mnie uwagi, tuląc Michalinę.

- Nie złożymy sobie życzeń? - Zapomniałam już o konkursie i patrzyłam na siostrę, dla której zapewne stałam się uosobieniem wszystkich krzywd, odpowiedzialnym za odejście Krzysztofa, Alinę, dziesięć plag egipskich i wszystkie nieszczęścia świata.

- Nigdy nic nie zrobiłaś! Nie porozmawiałaś z Krzyśkiem i jeszcze poszłaś się z nimi bawić! - krzyknęła.

- Renatko, nie mam takiej mocy, żeby ci pomóc. - Próbowałam zachować spokój. - Nie chcę cię oszukiwać, że wam się ułoży, ponieważ... - Tłumaczenie nie było łatwe.

- Bo co? Bo ta twoja Alina jest ci bliższa, tak?!

- Nie. Bo nie widzę szans.

- Nie chcesz mi pomóc, bo i tobie się nie układa, i nie możesz sobie wyobrazić, że ktoś będzie miał lepiej! Jesteś zła! - rozryczała się na dobre.

Michalina stała ze łzami w oczach, z lalką od Mikołaja pod pachą.

- Michasiu, idź do babci. - Odwróciłam małą w stronę kuchni.

- Mamusi za chwilę będzie lepiej...

Słowa Renaty bolały, bo były nieprawdziwe, niesprawiedliwe. Może lepiej wyjść?

- Renia, wszystkiego dobrego w nowym roku. Życzę, żeby ci się poukładało szybciej niż mnie. Gdybyś jednak choć trochę zastanowiła się nad sobą, nie miałabyś takich pretensji do wszystkich wokół. Więc życzę ci

chwili refleksji i siły, aby pokonać przeciwności. A teraz pozwól się wreszcie przytulić.

Stałam ze szlochającą siostrą w objęciach, trzymając w ramionach jedno wielkie nieszczęście. Wiedziałam, że czeka ją ciężki rok. Rozwód, starania o pracę, nowe życie. Może będzie lepsze?

- To może teraz wzniesiemy toast za naszą Martę i jej sukces? - Pan Zdzisław nie zapomniał. - Gratulacje!

- Naprawdę się cieszę, siostra. - Renia miała mokre oczy.

- Chodzi o ten projekt, co robiłaś? - usiłowała sobie przypomnieć mama.

- Tak. Może lepiej wyjdźmy na dwór i popatrzmy, jak sąsiedzi odpalają petardy - zaproponowałam, czując, że zaraz puszczą mi nerwy.

Stałam przed domem mamy, ogarniając wzrokiem naszą posesję. Trzydzieści lat starań o piękny ogród i piękne życie. Moje dzieło, docenione dzisiaj, ostatniego dnia w roku, przez obcych ludzi. Świat, który chce mieć wokół siebie jakąś rodzinę, z nadzieją na szczęście, na miejsce do życia. Podświadomie żegnałam się z Mieszkowicami, ogrodem, domem, który budowaliśmy z Rafałem, nie do końca szczęśliwym dla nas, dla dzieci, dla stosunków z mamą...

- Witaj, 2013 roku! - wzniosłam dyskretny toast na własny użytek. - Za zmiany, za budowanie nowego życia.

Tylko z kim?

Muszę wracać do siebie, w laptopie czeka list. Niech się dzieje wola nieba, idę czytać.

„Sylwestrowa Martusiu!

Nie wątpię, że bawisz się dzisiaj w gronie przyjaciół i żałuję bardzo, że to nie ja zorganizowałem Ci sylwestrowy wieczór. Przyznam, że lubię okres zaraz po świętach, gdy powaga i pietyzm ustępują miejsca radosnym przygotowaniom do karnawału. Sylwester jest wieczorem niezobowiązującym, nienarzucającym formy ani treści. Chcesz się bawić, dobrze, zadowolają Cię kanapa i telewizor, też dobrze. Nie ma ustalonych potraw, serwetek, świec, tradycji. Całkowita dowolność. Jedyne, o czym myślimy, to postanowienia noworoczne, ale i te można w razie potrzeby zignorować. Najważniejsza jest przyszłość, kolejny rok, który przychodzi, czy sobie tego życzymy, czy nie. Ja świętuję go z dala od Gdyni i od Ciebie, choć myślami jestem bardzo blisko. Sprawy zawodowe wywiały mnie do Danii, gdzie w gronie bardzo przyjaznych osób będę wznosił toast za Twoje zdrowie. Brzmi podobnie jak norweski: *Skåltale!*

Zatem niech zdrowie Ci służy. Pokonaj wszystkich konkurentów w konkursie, ciesz się miłością najbliższych i miej kiedyś korzyść z jednego takiego Szymona nie Szymona, który jest bardzo tajemniczy, ale w swoich uczuciach bardzo szczery.

Do zobaczenia, Moja Pani w sylwestrowej sukience
Szymon".

Bardzo chciałam, żeby jego słowa były prawdziwe, choć miałam ogromne wątpliwości...

MARTA

- Ala? - Odebrałam telefon, który dzwonił pierwszego dnia nowego roku wyjątkowo hałaśliwie. Położyłam dłoń na czole, próbując uśmierzyć pulsujący ból głowy. Najwidoczniej wczoraj nie posłużył mi nadmiar szampana. - Trochę jeszcze spałam... - próbowałam wytłumaczyć niedyspozycję.

Spojrzałam na zegarek. Wskazywał dwunastą.

Boże mój, nie pamiętam, kiedy tak długo zalegałam w łóżku!

- Nic się nie stało u Miłoszów - odpowiedziałam na pytanie o pośpieszne wyjście. - Ten gość... Sylwester. .. Trochę mnie zdenerwował, i tyle. Kto to jest? Ty wiesz? - ocknęłam się na myśl o krępych facecie, który próbował sztuczek podrywacza.

- Marta, Agata bardzo cię za niego przeprasza. - Alina była przygotowana do rozmowy. - To jakiś daleki kuzyn Miłosza, który próbuje, że tak powiem, podbierać kobiety na swoją pracę w instytucie. Naprawdę to tylko urzędnik, którego czasem zabiorą na statek. Prawdę mówiąc, na krótko, bo nie znosi pływania, rozumiesz?

- Nie. - Dochodziłam do siebie powoli, nie bardzo łapiąc subtelności.

- Źle się czuje na statku. Jeszcze nie łapiesz? Wymiotuje - wykrztusiła w końcu.

- Aaa! - zrozumiałam. - Ala, czy ty coś wiesz?

- W jakiej sprawie?

- Nie udawaj. W sprawie Szymona. - Czułam, że nie jest ze mną szczerą. - W sprawie mojego Szymona. Czy ten facet może być...

Cisza w telefonie tylko utwierdziła mnie w przekonaniu, że czarny scenariusz nie jest niemożliwy.

- Czy ten facet jest moim Szymonem? - postawiłam wszystko na jedną kartę.

Cisza trwała. Znałam Alinę. Raczej nie rozwieje moich wątpliwości, a jeśli, to nie po mojej myśli.

- Słuchaj, Martusiu... - Wszystko stało się jasne. - Ja nie wiem, ale słyszałam co nieco z waszej rozmowy i sama mam wątpliwości.

- Ala, przepraszam, nie mam ochoty gadać. Zrozumiałam.

- Poczekaj!

Wyłączyłam telefon. Fajny początek nowego roku. Głupia, głupia, głupia! Cokolwiek bym robiła, zawsze wychodzi tak samo. W cholerę z tym facetem! Dopóki tylko ja miałam wątpliwości, było do przeżycia. Wątpliwości Aliny przeważały szalę. Boże, moja głupota jest aż tak widoczna? Szymon, jak mogłeś mnie tak długo oszukiwać, jak mogłam być tak naiwna? „Moja Pani w sylwestrowej sukience”, „trzeba wierzyć w dobre

intencje, szczerłość, sympatię i miłość. Pojawiłem się znikąd, nie chcę jeszcze wyjść z ukrycia, zdaję sobie sprawę, że niewiele za mną przemawia", „jesteś jedyną kobietą, która może mi przynieść szczęście i której chcę podarować cały świat". Jak mogłam dać się nabrać podrywaczowi, który podebrał mnie na piękne słówka i poważne zajęcie badacza morskiego dna?! Kompletny brak instynktu samozachowawczego. Idiotka bez męża, która dała się wyrolować. Komórka sygnalizowała, że Ala próbuje się połączyć. Wyłączyłam dźwięk. Po prostu nie było o czym gadać.

Zaległam na kanapie na dole, przyglądając się sufitowi. Trzeba by go kiedyś przemalować... Na szczęście to już nie będzie należało do mnie. Ciekawe, jak Łajdus i Rudzielec znajdują się w nowym mieszkaniu w Gdyni, bez ogrodu, wybiegu, powietrza. Bo Różia i Kajtek to nie problem. A ja? W kącie pajak uwił pajęczynę. Nie będę sięgać miotłą, jest mi wszystko jedno, niech stworzenie sobie żyje.

- Rudzielec, odejdz! - Kocisko próbowało ułożyć się na moim brzuchu. - Pani nie ma humoru, pani jest smutna, kot. - Zdawało się, że zrozumiał. Osunął się na podłogę.

Nalałam sobie drinka z sokiem pomarańczowym; w barku znalazłam trochę wódki, która, miałam nadzieję, nie zwietrzała. Znacznie lepiej. Po kolejnym drinolu doszłam do wniosku, że życie da się okiełznać, a jeszcze kolejny uświadomił mi, iż tudzież i tak dalej uda mi się z nim uporać. Czwarty czy któryś tam z kolei dał kompletny luz. W dupie z problemami, co mnie to wszystko obchodzi, w cholere, czy ja urodziłam się po

to, żeby ponosić same porażki?! Żeby wszyscy faceci po kolei wystawiali mnie do wiatru?! Przecież jestem wspaniała, wygrałam konkurs. Właśnie, przypomniałam sobie, wygrałam konkurs! Ludzie, to niebywałe, ja coś wygrałam! I niech jakiś tam Szymon z Rafałem idą się bujać na gałęzi, niech robią, co chcą. Nikt nie będzie mnie oszukiwać, zwodzić, zdradzać! Ja im pokażę!

- Mami, dobrze się czujesz? - doszedł do mnie z zaświatów głos Rozalii.

-Uhm...

- Może byś się położyła?

- Przecież leżę. Nie zauważyłaś, że zajmuję kanapę?

- Jest ze mną Jakub - powiedziała z wyrzutem.

- Dzień dobry, panie Jakubie - przywitałam się elegancko.

- Pomożemy pani przenieść się na górę.

Ten pan Jakub chyba uważał, że sama nie dam rady wejść na schody. Musiałam mu o tym powiedzieć.

- A co, jak nie wejdę, wezwie pan policję? - Trafiłam w samo sedno.

- Mamuś, nie opieraj się. Zrobię ci kawę. - Rozalka próbowała wepchnąć mnie na schody.

- Dajcie mamie spokój. - Nadeszła odsiecz. Wrócił Kajt.

- Ona jest pijana - usłyszałam głos Rozy.

- Pijana? - Chciało mi się śmiać. - Ona jest głupia! - krzyknęłam. To bardziej pasowało.

- Mami, uspokój się. - Rozalia przypominała mi mamę.

- A dlaczego mam się uspokoić? - Wcale nie zamierzałam. - Bo co? Bo mi zabronicie? Bo zawsze muszę być

harcerką?! - bełkotałam. - Wiedźcie jedno... Do dzisiaj wydawało mi się, że może jeszcze ułożę sobie życie i że faceci nie są tacy źli, a teraz... teraz... - Opadłam na kanapę ze łzami, które nie chciały przestać płynąć.

- Mamuś, uspokój się. - Kajtek niezgrabnie próbował mnie przytulić.

- Będzie dobrze - zupełnie niepotrzebnie odezwał się Jakub.

- A ty bądź cicho! - krzyknęłam. - Przychodzisz tu w sprawie jakichś Greków i porywasz mi córkę. Bądź cicho!

- Mamuś! - Kajtek nie wiedział, co robić. A ja ryczałam, darłam się, odtrącałam wszystkich. - Co się stało?! - nie dawał za wygraną.

- Wygrałam konkurs na projekt ogrodu. - Nie wiem jak to się stało, ale się uspokoiłam.

- Naprawdę?! Kiedy się dowiedziałaś? - usłyszałam pytające unisono trzy głosy. Nawet pana policjanta.

- Wysłali mi mejla wczoraj przed dwunastą. - Powoli dochodziłam do siebie.

- Cudownie, wspaniale, szacun, gratulacje. - Opadli mnie, przygniatając do kanapy i nie pozwalając złapać oddechu. - Jesteś debeściara, mami! Masz szampana?

- No nie wiem, czy ja jeszcze mogę... A co tam, Kajtek otwórz. Wypijemy za konkurs, za sukces, za dwadzieścia tysięcy, za wszystko, co ostatnio zyskałam i straciłam!

Na szczęście nie rozumieli. Wzięli moje marudzenie za pijacką gadkę.

- Co masz na myśli? - Roza zauważyła dygresję.

- Mam na myśli, że nie wszystko, co sobie założysz, się spełnia, ale niektóre rzeczy tak. - Za spełnienie! - Wzniosłam toast. -1 dziękuję wam, że jesteście ze mną. I tobie też - zwróciłam się do Jakuba. - Chociaż jesteś facetem.

Nie pamiętam, czy napiłam się szampana, czy od razu zasnęłam. Obudziłam się na kanapie, przykryta puchatym kocem. Po kuchni, z której dochodził smakowity zapach zapiekanki, kręciły się moje dzieciaki i jakiś obcy facet. Próbowałam sobie przypomnieć, skąd się tu wziął. Pewnie zauważył moje przenikliwe spojrzenie i podszedł się przypomnieć.

- Przywiozłem Rozalkę całą i zdrową. Dobrze się pani czuje?

Co za wstyd... Zaczynałam sobie przypominać siebie sprzed kilku godzin.

- Dziękuję. Macie coś przeciwbólowego? - Próba podniesienia głowy spowodowała eksplozję w czaszce.

- Popij. - Kajtek nadciągał z pomocą. Z tabletką i szklanką wody. - Zaraz będzie obiad. Możesz jeść?

- Z wielką chęcią. Jestem straszliwie głodna. Przygotowali jedzenie!

Gdybym miała w okolicy mysią dziurę, najchętniej bym się tam schowała. Oczywiście ze wstydu.

- Bardzo was przepraszam za to przedstawienie... - Nie bardzo pamiętałam, w jakiej grałam sztuce, ale z pewnością ocierała się o komediodramat.

- Mamuś, nie przejmuj się. Pamiętasz, jak nieraz podstawiałaś mi miskę? *No problem.* - Kajtek pocieszał, jak umiał. - Ale widzę, że zabawa była udana, skoro

pierwszego stycznia po południu moja mamusia miała taką fazę?

Tylko machnęłam ręką. Nie będę teraz gadać o porażce, tym bardziej że temat Szymona należy do przeszłości.

- Spaliście u ojca? - zręcznie zmieniłam temat. Rozalia z Jakubem, którego imię szczęśliwie sobie

przypomniałam, spojrzeli po sobie znacząco. Wolałam nie drażnić tematu. Przyjdzie na to czas.

- Tak! - Kajt uratował sytuację. - Ale taty nie było. Musiał wyjechać.

Pewnie. Samotnego, przystojnego faceta zawsze ktoś przygarnie, pomyślałam. A samotną kobietę podrywają nieudacznicy.

- Opowiedz o swojej wygranej. - Rozalia z Jakubem krzatali się przy nakrywaniu stołu.

Zmieniła temat, żebym nie pytała o noworoczny nocleg! Już ją ją przepytam!

- Dostałam mejla, że mój ogród wygrał. Dzieciaki, cieszę się, możecie później go przeczytać. Za kilka dni robią jakąś galę w Warszawie, na której oficjalnie ogłoszą wyniki. No i parę groszy wpadnie!

- A co potem?

Na szczęście ból głowy minął na tyłe, że mogłam normalnie rozmawiać.

- Zobaczymy. Może założę firmę? Kasa na początek będzie. - Było dużo lepiej, zaczynałam snuć plany.

- Ale w Gdyni?

- Jasne. Przecież zdecydowaliśmy się na przeprowadzkę. Możecie się nie obawiać, nie zmienię planów.

- Dzieciaki nie dowierzały, że wytrwam w postanowieniu sprzedaży Mieszkowic.

Zapiekanka była znakomita. Po obiedzie znowu zachciało mi się spać.

- Pozwólcie, że pójde do siebie. - Na szczęście nie rwali się do wnoszenia mnie na górę. - Dziękuję.

Muszę przygotować się i odpowiedzieć Szymonowi. Kiedy tylko zbiorę siły.

ZDZISŁAW

Po pierwszym nadszedł drugi dzień stycznia, a wraz nim smutna konieczność pobieżenia do pracy, niczym pasterze do Betlejem. Roza z Kajtem wylegiwali się w łózkach, kiedy ja odgarniałam śnieg, który postanowił w nocy zrobić mi niemiłą niespodziankę i przykryć grubą warstwą wyjazd z garażu. Machałam wielgachną łopatą, traktując tę czynność jak karę za moje posylwestrowe alkoholowe wybryki. Żeby tylko dotrzeć do chwili, gdy Alina wreszcie stanie na dwóch zrosniętych nogach i odciąży zapracowaną koleżankę! I jeszcze ten wyjazd do stolicy na konkursową galę! Jakoś pewnie trzeba będzie poprosić starego o urlop. Nie zastanawiałam się, czy mój sukces go ucieszy, z pewnością zmartwi go jednak nieobecność roboczego wołu przez dwa czy trzy dni... Cóż, lepiej zapobiegać, niż leczyć. Z tym założeniem ostro zabrałam się do produkowania tekstów „na górkę”, czyli na zapas. Zawsze to jakiś argument, który - miałam nadzieję - pomoże naczelnemu w podjęciu decyzji. Zaczęłam od przejrzenia ubiegłorocznych tekstów ze stycznia. O czym wtedy pisałam? Na szczęście powtarzalność

pór roku i sezonowych tematów zwalniała od ciągłego wymyślania czegoś nowego. Zawsze można napisać o przesadzaniu wigilijnych drzewek do ziemi, zmierzyć się z tematem przygotowań do budowy domu wiosną, opisać, jakie dokumenty trzeba w tym celu zgromadzić i jakie odwiedzić urzędy, doradzić rodzaj siekiery, która pomoże czytelnikowi skutecznie porąbać drwa do kominka, rzucić przepis na sycący gulasz, pożywny nie tylko dla zmarzniętych narciarzy, namówić do planowania nowych roślin, które posadzi się wiosną. Pracowałam przy komputerze jak mróweczka, rozmowę o urlopie odkładając na później, jak zresztą kilka innych spraw. Na półkę odłożyłam napisanie odpowiedzi do Szymona, rozmowę z mamą o sprzedaży Mieszkowic, wyjaśnienie sprawy sylwestrowego noclegu Rozalii. Nie można się wszystkim przejmować, tłumaczyłam sobie w duchu. W końcu to nic takiego, że facet nabierał mnie przez kilka miesięcy, córka pewnie sypia ze swoim „chłopakiem”, mama, gdy dowie się o planowanej sprzedaży wsi, wypisze mnie z rodziny... Ze nie wspomnę o Renacie, którą w jej mniemaniu zawiodłam na całej linii, nadal przyjaźniąc się z Aliną. W pierwszym odruchu pomyślałam: „Szymon, ratuj”, w drugim: „o czym ja mówię”, w trzecim: „znikąd pomocy”! Jednak muszę wziąć się do porządków. W końcu nowy rok miał przynieść nowe wyzwania... Pomógł telefon od pana Zdzisława, który uświadomił mi, że czasem góra przychodzi do Mahometa.

- Pani Marto, czy znalazłaby pani dla mnie trochę czasu? - Pan Zdzisław był jak zwykle bardzo grzeczny.

- Oczywiście. Czy to pilne? - zaciekawilo mnie, jaką ma sprawę.

- Domyślam się, że jest pani w pracy - odpowiedział nie wprost. - Może mógłbym zaprosić panią do kawiarni na małą czarną. Dzisiaj po południu?

Żaden problem. Dzieciaki mają resztki wczorajszej zapiekanki, a ja chętnie wypiję małą czarną w towarzystwie dżentelmena. List do Szymona może poczekać do wieczora.

- Kończę o osiemnastej. Może spotkamy się w tej knajpce obok antykwariatu? Wie pan, gdzie to jest?

- Naturalnie. Czasem bywamy tam ze Stefanią. Mają dobre frappe, może przypomni pani Grecję?

Moja mama trafiła na bardzo kulturalnego faceta...

Kiedy na powitanie dostałam od niego pięć ulubionych żółtych tulipanów, byłam gotowa zrobić dla niego wszystko.

- Drobiazg - powiedział, gdy zachwyciłam się urodą bukietu. - Taka dama, jak pani, pani Marto, powinna częściej dostawać kwiaty.

- Panie Zdzisławie... - Dość już tych korowodów. - Wie pan zapewne, że do tanga trzeba dwojga? Ale zdarza mi się kupić sobie hiacynta. Przypuszczam, że ma pan sprawę. - Wolałam zostawić temat obdarowywania mnie kwiatami

- Taaak. Powiem wprost. Myślę, żeby oświadczyć się Stefanii.

Zaległa cisza. Poczułam się jak ojciec, którego przyszły zięć prosi o rękę córki. Pan Zdzisław spoglądał na mnie spode łba, z miną sztubaka planującego niezły kawał.

- To znaczy...? - Chyba nie udało mi się ukryć zaskoczenia. -
Rozmawialiście już o tym z mamą?

- W tym rzecz, że jeszcze nie. Po prostu sztubak!

- Może powinniście?

- Pani Marto, poprosiłem o rozmowę, bo widzę, że pani jest opoką i fundamentem waszej rodziny. - Panu Zdzisławowi udało się opanować początkowe zmieszanie. - I chciałbym się poradzić, czy mam rozmawiać ze Stefanią, czy też się jej oświadczyć?

- Nie wiem! - odparłam bez zastanowienia. - Mama bywa czasami trudna i ma zaskakujące reakcje. Sama nie bardzo sobie z nimi radzę. Proszę postąpić zgodnie z własną intuicją. Tak będzie najlepiej.

- A jak pani się zapatruje na nasz związek? Bardzo mi zależy na pani zdaniu.

Jednak przyszedł po błogosławieństwo.

- Życzę wam wszystkiego najlepszego, panie Zdzisławie. Nie zamierzam się wtrącać w jakikolwiek sposób, a poza wszystkim uważam, że mama, od kiedy jesteście razem, jakby mniej „choruje”.

- Wiem, wiem! - roześmiał się szczerze. - Zdążyłem się zorientować, że trochę zbyt dużą wagę przykładam do swojego samopoczucia... - Łagodnie powiedziane. - I zauważyłem... - Zastanowił się przez chwilę. - Stenia nie zawsze bywa sprawiedliwa wobec pani. Ona po prostu jest samotna. I potrzebuje kogoś. Myślę, że mogę to być ja.

- No cóż... Mogę tylko powiedzieć: witamy w rodzinie. Naprawdę się ucieszę, jeśli wam się uda.

Nadszedł odpowiedni moment, żeby załatwić i swoją sprawę.

- W takim razie i ja mam do pana dwa słowa. - Pan Zdzisław zmarszczył czoło, wyrażając głębokie zainteresowanie. - Szczerość za szczerość. Postanowiłam na wiosnę sprzedać Mieszkowice. Oczywiście swoją część.

Milczał.

- Dzieciaki nie chcą mieszkać na wsi, ja też mam problemy z dojazdami, z utrzymaniem domu, z samochodem - tłumaczyłam. - Poza tym zamierzam otworzyć firmę projektującą ogrody, zacząć wiele rzeczy od nowa. A ten dom kojarzy mi się z byłym mężem, z przeszłością, o której chcę zapomnieć.

Nie przerywał. A mnie kończyły się argumenty. Przecież nie powiem mu o pielęgnowaniu maminych i siostrzanych frustracji i o doglądaniu kuchni.

- Jest pani bardzo dyskretna, pani Marto. - Przytrzymał delikatnie moją rękę, jak gdybym zamierzała uciec od stołu. - Ale ja, chociaż jestem starym facetem, też mam oczy i umiem patrzeć. Wiem, że nie jest pani łatwo ze Stefanią i pani siostrą. I doradzę pani coś, co kiedyś doradziłem mojemu synowi. Rodzice i dorosłe dzieci muszą mieszkać oddzielnie i trzymać dystans. Uważam, że podjęła pani słuszną decyzję.

- A pana syn? - Nigdy o nim nie słyszałam.

- Rysiek mieszka w Ameryce. - Zamyślił się. - Trochę zbyt dosłownie wziął moją radę. - Obojgu nam wypadało się uśmiechnąć. - Samotność nie jest miła. Dlatego

gdy poznałem Stefanię... - Było widać, że Zdzisław jest w stanie zdzierzyć przywary mamy. - Będę dla niej dobry.

- Nie wątpię! - może zbyt gwałtownie okazałam aprobatę. - I cieszę się, że mnie pan rozumie...

- Proszę myśleć o sobie, jest pani jeszcze młoda. A my ze Stefanią - jeśli mnie przyjmie - też sobie poradzimy.

Jeżeli wątpiłam w istnienie aniołów, to w tej chwili zmieniłam zdanie. Są, naprawdę istnieją, czasami nawet objawiają się w męskiej postaci. Wracalam do domu z bukietem tulipanów, który ułożyłam starannie na siedzeniu pasażera, i przy dźwiękach świątecznych rytmów rodem z amerykańskich filmów przygotowywałam w głowie rozprawę z największym fałszywcem świata, Sylwestrem-Szymonem. Ja ci pokażę! Wprost nie mogłam się doczekać, aż zasiądę przed ekranem komputera i wywalę mu prawdę prosto w oczy. Na pewno się z tobą spotkam pod koniec stycznia, oszucie jeden! Urzędniczyno jakaś, grubaśny podrywacz, kto za ciebie pisał te listy? Swoją drogą może i jakiś fajny facet, skoro ma taki dryg do pióra? Nawet o tym nie myśl, skarciłam się w myśli. Jeszcze nie pozbyłaś się jednego palanta, a już myślisz o drugim!

Naładowana emocjami wpadłam do domu, odmówiłam resztek zapiekanki i pognałam do klawiatury. Klik otwórz, klik www.home.pl, klik poczta, klik adres e-mail, hasło do konta, Szymon, małpa i tak dalej. Mam cię! Zaczęłam od razu, żeby nie dać dojść do głosu racjonalnym myślom. A teraz słuchaj, zaraz się dowiesz... Zaczęłam pisać.

„Pozwól, że nie napiszę «witam», «cześć» ani nie uraczę cię podobnymi grzecznościowymi zwrotami, bo zamierzam cię potraktować tak, jak na to zasługujesz. Wystarczająco się wygłupiałam przez kilka miesięcy, czytając twoje głodne kawałki i dając się nabierać na puste słowa, których z pewnością sam nie pisałeś, sądząc po tym, co wygadywałeś na sylwestrze u Miłoszów. Masz kumpla, który preparuje ci miłosne tekściki do nieznanomych, czy szukasz czegoś stosownego w Internecie? Zrobiłeś błąd, że spotkałeś się ze mną, ale może zresztą dobrze, że to stało się jeszcze w starym roku, Don Juanie. Wprawdzie mydlana bańka pękła i wiem już, że nie spotkam pod koniec stycznia żadnego fajnego faceta, w którym (o nieba!) prawie się zakochałam. Ale przynajmniej wiem, na czym stoję. Dziękuję za otwarcie mi oczu, za uzmysłowienie, że ludzie muszą rozmawiać w realu, a nie w cyberprzestrzeni, bo mogą trafić na takiego palanta jak ty. Szukaj szczęścia gdzie indziej, może jakaś inna poharatana dusza nabierze się na czułe słówka. Powodzenia i powiedz swojemu kumplowi, że ma wolne od pisania. Przynajmniej do czasu, aż znajdziesz drugą głupią. A tak swoją drogą, mógłbyś pomyśleć o jakimś leku na nadmierną potliwość. Wydaje mi się, że masz kłopoty z krążeniem.

Zakończę z gracją. Marta, ta, która nie dała się nabrać Szymonowi.

PS Nie waż się więcej do mnie pisać".

No! Zamknęłam laptop, stawiając pieczęć na pewnym zakończonym etapie życia. Ułożyłam się na kanapie w salonie. W telewizji „było jak zwykle nic”. Latałam po programach, niczym Łajdus w poszukiwaniu miejsca do załatwienia potrzeby, ale w przeciwieństwie do niego niczego nie znalazłam. Sieczka. Nudny kabareton, faceci ganiający się z pistoletami, murzyńskie nawalanki w Bronksie, komedia romantyczna sprzed czterdziestu lat, wywiad ze znanym politykiem i inne bzdury. Pająk na suficie okupował z góry upatrzoną pozycję, za oknem śnieg postanowił po raz kolejny zaskoczyć mnie białą pierzynką, zwierzaki sprawdzały, czy mam wystarczająco dobry humor, by je głaskać i piastować. Norma.

- Zrobisz mi grzanki? - Przygnany głodem Kajtek wylazł ze swojej gawry.

- Już lecę, synuś!

Miałam ochotę przychylić nieba dzieciakom. W końcu wróciłam na ziemię.

SZYMON

Kolejny dzień mijał aktywnie. Byłam w bojowym nastroju. Najpierw odszczeknęłam się staremu za poganianie w robocie. Oto co znaczy podniesiona samoocena i telefon z Warszawy w sprawie konkursowej gali. Imprezę zaplanowano na kolejną sobotę, zatem problem wypraszania urlopu zniknął. Perspektywa dwudziestu tysięcy nagrody bardzo mi się podobała; w sam raz na rozpoczęcie interesu. Ten szczywany lis, mój szef, jakby wyczuł pismo nosem, że nie zabawię już długo na jego włościach, i okazywał mi na każdym kroku swoje niezadowolenie. „Popraw ten tekst, ten skróć, ten wydłuż, kiedy wreszcie wróci Alina, nie poznaję cię”. Bla, bla. Wolne chwile w pracy, które sama sobie załatwiłam, wyprodukowałam odpowiednią liczbę artykułów do trzech numerów, przeznaczyłam na dyskretne poszukiwania informacji w Internecie, na temat „jak założyć własną firmę”, co zamierzałam zrobić niebawem. Urząd miejski, rejestracja działalności, urząd skarbowy, urząd statystyczny... Urzędy mnożyły się jak króliki. Jeszcze trzeba uważać, by nie znaleźć się w Krajowym Rejestrze Długów, nie narazić się

policji zajmującej się nielegalnymi programami komputerowymi, a potem pozostanie jedynie wynajęcie lokalu i biura rachunkowego, zakupienie sprzętu i znalezienie klientów. Teoretycznie byłam przygotowana, w praktyce jednak dobrze by było kogoś się poradzić, zasięgnąć języka o czyhających pułapkach, zagrożeniach, niebezpieczeństwach. Najbardziej bałam się braku klientów i pozostania w wynajętym lokalu bez dwudziestu tysięcy wydanych na dobry komputer i program do projektowania ogrodów, z rachunkiem wystawianym przez ZUS dziesiątego każdego miesiąca. W przyływie paniki pomyślałam o skontaktowaniu się z Rafałem, może z Krzysztofem (w końcu zajmuje się finansami w prywatnej firmie), nawet (o nieba!) z Szymonem, ale jeszcze prędzej dotarło do mnie, że przed moim byłym nie będę się płaszczyć, do Krzyśka żywię jednak urazę, a Szymon przecież nie istnieje. Matko jedyna, jak trudno samotnej kobiecie zostać przedsiębiorcą! Muszę to jeszcze (nie)raz dobrze przemyśleć... Może popytać ludzi na forach, z pewnością czegoś się dowiem. I pewnie spotkam, pomyślałam z sarkazmem, podobnie jak przed wyjazdem do Grecji, czynnego internautę, który w zamian za bezcenne rady postanowi nawiązać ze mną mejlowy kontakt. Tylko nie to! Już Heraklit z Efezu doszedł do wniosku, że dwa razy nie wchodzi się do tej samej rzeki. Prawda ta, mimo upływu dwóch i pół tysiąca lat, nadal była aktualna.

- Nad czym tak myślisz? - Za moimi plecami jak duch pojawił się Łukasz, zanim zdążyłam zamknąć stronę „Jak założyć własną firmę”.

- Nic takiego, przygotowuję tekst o zakładaniu szkółek - zmyśliłam na poczekaniu.

Spojrzał z dezaprobatą i szepnął, na szczęście na tyle cicho, że nie usłyszała go pracująca przy sąsiednim komputerze Dorota:

- Chodź na lunch. Wszystko ci powiem, sam mam działalność.

Ogarnął mnie wstyd, że nawet drobne kłamstewka mam wypisane na twarzy.

- Okej. - Skoro się domyślił i może pomóc... - Kiedy?

- Możesz już schodzić do baru. Zaniosę tylko staremu parę fotek.

Dorota wyciągała ucho (mam nadzieję, że bezskutecznie), żeby zorientować się, jaki jest cel naszego wspólnego wyjścia.

Wzięliśmy po włoskim makaronie z czymś tam, bez znaczenia. Wszystkie smakowały jednakowo. Łukasz od razu przeszedł do rzeczy.

- Chcesz zakładać działalność. Czy zamierzasz robić to, o czym myślę?

- Chcę projektować ogrody na własny rachunek - potwierdziłam oczywistość.

- Wcale się nie dziwię, Twój jest zrobiony pięknie i profesjonalnie - na początek pochwalił. - Ale... - Wiedziałam, że jest jakiś słaby punkt! - Czy kiedykolwiek zaprojektowałaś ogród dla kogoś? Rozumiesz, żeby pochwalić się doświadczeniem i referencjami?

Nie dostał odpowiedzi, więc postanowił mnie pocieszyć.

- Nie martw się. Ja też na początku nic nie miałem, a teraz sprzedaję fotki do różnych pism i przyznam, że całkiem nieźle mi idzie. A w gazecie siedzę, żeby mieć opłacony ZUS i jakiś stały dochód. Na resztę zarabiam na swoim.

- Dzięki, Łukasz, za poradę. - Pomoc przyszła jednak od faceta. - Muszę ci powiedzieć, odnośnie do tych referencji, że może nawet i je mam.

Spojrzał zaciekawiony.

- Wygrałam konkurs na projekt ogrodu. - Chyba ta wiadomość sprawi mu przyjemność? - Twoje zdjęcia bardzo się przydały.

- Kiedy się dowiedziałas? Musimy iść to oblać! Szacun! Miło, że się ucieszył.

- Informację przysłali w sylwestra. Oficjałka w przyszłą sobotę.

- Stawiasz wódkę, nie odpuszczę! - Łukasz przeszedł do ofensywy.

- Ile tylko wypijesz! - Nie pił mało.

- Rozumiem, że w robocie to jeszcze tajemnica? - I nie był głupi.

- Bardzo cię o to proszę. Przynajmniej do czasu, aż nie postanowię, co z moją firmą. To całkiem dobry pomysł, żeby pozostać u starego i dorabiać na boku. Przynajmniej na razie.

Drugi po panu Zdzisławie dobry duch w nowym roku... Po minie Łukasza widać było, że do czegoś się przymierza. Niebawem zaspokoił moją ciekawość.

- A co u Renaty? - rzucił niby mimochodem.

- Stara bieda. Jest sama z Michaliną, Krzysiek na pewno do niej nie wróci. Niezbyt dobrze sobie radzi z tą sytuacją. - Byłam pewna, że Łukasz siedzi w temacie.

Spojrzał na mnie, jak gdybym nagle oderwała się od ogona komety i spadła na ziemię. Zorientowałam się, że popełniłam falstart. Nie miał pojęcia o sytuacji mojej siostry.

- Myślisz, że mogę do niej zadzwonić? - zapytał tak poważnie, że zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno siedzę tu z moim długowłosym kolegą fotografem, zabawnym, zwariowanym artystą, znanym w okolicy luzakiem.

- Chyba tak, Łukasz. - Również byłam poważna. - Nie wiem, czy się ucieszy, ale możesz spróbować.

Po makaronie na talerzach nie pozostał nawet ślad, a przede mną jeszcze kilka godzin roboty... Siedzieliśmy z Łukaszem w barze, spoglądając w milczeniu przez okno. Ja myślałam, jak zerwać się ze smyczy starego i niekoniecznie wstawać o szóstej, żeby zdążyć do mojej nierzadko dziesięciogodzinnej orki, a jednocześnie nie wpaść w pułapkę rynkowego biznesu. W końcu mogę nie podołać i polec, mając (nie daj Boże!) długi, a w perspektywie comiesięczne wycieczki do biura pracy w poszukiwaniu zajęcia. Byłam pewna, że Łukasz myśli o Renacie.

O siedemnastej wymknęłam się z pracy, żeby zwinąć do domu Rozalię, buszującą po Bałtyckiej, i Kajtka, czekającego na nas w mieszkaniu Rafała. Za kilka dni będę wiozła moich maturzystów na studniówkę, a tu jeszcze niekupiona sukienka, także czerwona podwiązka,

torebka jakaś, cień do powiek i inne niezbędne detale. Na szczęście moja wspaniała córka postanowiła załatwić zakupy w towarzystwie swojej psiapsiółki Natalii, wykorzystując mnie jedynie w roli kierowcy, który zwinie obie panny sprzed centrum handlowego o godzinie takiej a takiej. Kajtek zachował się równie godnie, naciągając ojca na nowy garnitur, białą koszulę i krawat, który Roza pomogła mu dobrać do koloru sukienki partnerki. Uwielbiałam moje dzieci i ich zrozumienie, że niekoniecznie lubię pałętać się z nimi po sklepach w poszukiwaniu ciuchów.

- Mami, wejdziemy do taty? - Kiedy podjechałyśmy po Kajetana, Rozalia próbowała namówić mnie na kontakt z Rafałem.

- Kotku, idź sama. I niech Kajtek schodzi. Jest już późno, musimy wracać - wysłałam emisariusza.

- Kajt, złaź. - Nie trzeba było wchodzić, wystarczyło powiedzieć przez domofon. - Daj mi tatę! - Ooo, moja córka potrafi wydawać komendy! - Nie ma go? Okej.

- Cześć, mami. Ale jestem głodny! - Synuś ulokował się w mojej nieodmiennie czerwonej corsie.

- Nic ci tata nie dał?

- Cały czas go nie ma. Pojechał jeszcze przed sylwestrem, a w lodówce znalazłem tylko kawałek zaszuszonego sera. - Kajtek złapał się za brzuch, prezentując menisk wklęsły.

- McDonald's czy KFC? - Oba mieliśmy po drodze.

- Do Maca, plizzz!

Za chwilę siedział obłożony torbami z hamburgerami.

- A gdzie jest ojciec? - Sama nie wiedziałam, skąd wzięło mi się to pytanie.

- Wyjechał gdzieś do znajomych. - Kajetan przeżuwał smakowite fast foody. - Ma jutro wrócić. Kupiłaś mi te spinki? - zwrócił się do Rozalii.

Dojeżdżaliśmy do Mieszkowic. Jeszcze kilka dni temu niecierpliwie pobiegłabym do komputera i sprawdziła pocztę. Czytanie listów od Szymona było bowiem nie tylko przyjemnością. Stało się nałogiem, bez zaspokojenia którego dzień wydawał się niepełny i niedokończony. Lubiłam ciepłe słowa, którymi zwracał się do mnie, podobała mi się delikatność, z którą w coraz bardziej bezpośredni sposób okazywał mi sympatię i - nie waham się powiedzieć - deklarował uczucie. Pomagał mi uwierzyć w siebie, mobilizował do złożenia projektu, słuchał i nie narzucając się, doradzał. Wydawało mi się, że wymieniam listy z kimś bardzo bliskim, kto jest mi życzliwy i nawet, z niewiadomych dla mnie powodów, mnie kocha. Było tak dobrze, że nigdy, nawet biorąc pod uwagę najczarniejszy scenariusz, bym nie przypuszczała, że mój Szymon to gruboskórny, wyrachowany facet, który zaangażował kogoś do pisania listów.... Nie mogłam zrozumieć takiego postępowania, przecież prawda prędzej czy później i tak wyszłaby na jaw. Czy on nie ma w domu lustra, a w głowie odrobiny samokrytycyzmu?! Na co on liczył? Jaką przygotowywał niespodziankę na koniec stycznia, kiedy zamierzał się spotkać ze mną po raz pierwszy? Dlaczego zmienił zdanie i doprowadził do spotkania u Miłoszów? Czyżby myślał, że go nie zidentyfikuję,

a może wręcz przeciwnie - chciał, żebyśmy się spotkali? Więc się spotkaliśmy, panie Sylwestrze-Szymonie. I się pożegnaliśmy.

A jednak listów żal... Szkoda Szymona z wyobraźni, szkoda nadziei na spotkanie z kimś ważnym, mądrym, delikatnym, empatycznym, z kimś, bez kogo trudno jest mi teraz żyć...

W domu, na szczęście, nie czekały na mnie obowiązki związane z przygotowaniem kolacji, którą Kajetan załatwił w samochodzie, a Rozalia w Bałtyckiej. Złapałam kiszony ogórek i kawałek podsuszanej jałowcowej i pobiegłam na górę. Niech się chociaż jakoś wytłumaczy, mimo że zabroniłam mu pisać... Sama nie wiem, na co liczyłam, zaglądając do poczty. O dziwo, zauważyłam list od Szymona. Otworzyłam wiadomość błyskawicznie, żeby nie pozwolić dojść do głosu rozważaniom, czy aby na pewno powinnam to zrobić.

„Martusiu.

Wprawdzie odpisałaś mi, że bym nie ważył się więcej odpowiadać, ale jestem pewny, że ten list nie był przeznaczony dla mnie. Czyżbyś prowadziła korespondencję jeszcze z kimś? Czyżby ten ktoś również miał na imię Szymon? Pragnę Ci wyjaśnić, że (tak jak pisałem wcześniej) jeszcze w starym roku wyjechałem do Danii i tam spędzałem sylwestra z przyjaciółmi. Jak widzisz, nie mogłem jednocześnie odwiedzić niejakich Miłoszów, u których rzekomo się spotkaliśmy. Rozumiem, że nastąpiło jakieś nieporozumienie, i nie mam Ci za złe, że posądzasz mnie o cedowanie pisania listów na kogoś

bardziej uzdolnionego literacko. Oczywiście nie jest to prawda i być może robi to ktoś inny, ten drugi Szymon. Dla mnie to karygodna praktyka, a facet, który nie potrafi sam napisać słowa do kobiety, na której mu zależy, najdelikatniej mówiąc, musi się tego nauczyć.

Martusiu, wszystko, co napisałem, jest prawdą. Teraz Ty musisz się zastanowić i podjąć decyzję, z którym Szymonem chcesz korespondować. Jeżeli w ogóle.

Pozostaje mi pozdrowić Cię z duńskiego wybrzeża, które jutro opuszczam i wracam do Gdyni

Szymon".

SZYMON

-Ala, to nie on! - Złapałam za telefon i dałam upust ogromnej uldze, która ogarnęła moje ciało. W głowie czułam mętlik, ale z karku odchodził ból mięśni blokujący ruchy szyi.

- Powiedz jeszcze raz. Chodzi o Szymona? Pewnie wyrwałam ją z łóżka.

- Nie śpij, tylko słuchaj. - Niech wstaje i rozmawia ze mną. - Ten facet od Miłoszów nie jest moim Szymonem, to całkowity przypadek, zbieżność imion. Mój Szymon spędzał sylwestra za granicą. Właśnie dostałam od niego list.

- Jesteś pewna? - No tak, miała wątpliwości, co wyraziła tonem, delikatnie mówiąc, pozbawionym emocji.

Wkurzyło mnie, że nie wykazała entuzjazmu. Przecież powinna mnie wspierać i cieszyć się razem z przyjaciółką. A może nie chce, żeby mi się ułożyło?

- Jestem czy nie, to moja sprawa. Widzę, że ty nie jesteś. Przepraszam, że zakłóciłam ci wieczór z Krzysztofem. Śpijcie dobrze. - Wyłączyłam telefon.

Położyłam się na kanapie, mimo wszystko pełna dobrych myśli. Telefon migał żółtym oczkiem, sygnalizując

nieodebrane połączenie. Zerknęłam. Alina. Nie odbiorę, nie będę się denerwować. Niech sobie kontempluje swoją miłość do Krzysztofa i nie sieje wątpliwości.

Za chwilę doszedł esemes. „Nie chciałam Cię obrazić. Cieszę się z Tobą. Przepraszam za brak entuzjizmu, ale Krzysiek chyba wraca do Renaty. Nie mam siły na radość. Zachowałam się egoistycznie. Alina”.

Cooo? - poderwałam się jak smagnięta biczem. On wraca do Renaty?! To jakiś żart, pomyłka! Chociaż życzę swojej siostrze jak najlepiej, gołym okiem widać, że na wspólną przyszłość z Krzyśkiem nie ma szans. Zbyt dużo ich dzieli, a poza tym Krzysztof (chyba?) ulokował uczucia gdzie indziej... Chociaż czy ostatnie przeboje z Szymonem nie wskazywały, że nie można być pewnym czegokolwiek?

„Słuchaj, Marta, był u mnie dzisiaj Krzysztof. Chyba doszliśmy do porozumienia. Będzie dobrze, siostra, do usłyszenia. Jeszcze jest tutaj...”. Po esemesie od Renaty mogłam jedynie zaparzyć sobie kawę albo przygotować drinka. No i wszystko jasne.

Wybrałam drinka. Ze szklaneczką w objęciach zasiadłam przed ekranem komputera, by przeprosić Szymona. Nie chciało mi się wszystkiego roztrząsać od nowa i dzielić włosa na czworo, chciałam być pewna, że zaszło nieporozumienie, którego padł ofiarą. Nie zastanawiając zanadto, zaczęłam pisać.

„Witaj, Szymonie, już pewnie na polskiej, gdyńskiej ziemi.

Jeszcze kilka dni temu byłam pewna, że poznałam Cię na tej nieszczęsnej sylwestrowej imprezie, i stąd

mój ostatni popis. Rzeczywiście, napisałam ten list, na szczęście (jak się okazało) nieprzeznaczony dla Ciebie. Wybacz to, że musiałeś czytać ostre słowa i kategoryczne zwroty, które padły pod adresem mężczyzny o Twoim imieniu. To naprawdę niezwykły zbieg okoliczności, że Szymon to również drugie imię tamtego faceta, gościa Miłoszów, podobnie jak Ty pracującego w Instytucie Morskim. Chociaż, gdy się zastanowić, nigdy mi wprost nie napisałeś, gdzie pracujesz... Przepraszam, że zwątpiłam w Ciebie, w szczerść listów, w dobre intencje, a może nawet jeszcze w coś ważniejszego, czego nie chcę przywoływać, żeby nie zapeszyć. Mam nadzieję, że mi wybaczysz i zrozumiesz nieporozumienie. Pozostaje mi ufać, że nie pomyliła się komisja konkursowa, przyznając mi (słuchaj uważnie!) pierwsze miejsce. To niemal tak nieprawdopodobne, jak pojawienie się tego człowieka u Miłoszów (przepraszam, ale cały czas nie mogę zapomnieć), niemniej mam to czarno na białym. Nie pojmuję, co spodobało się jury, cieszy jednak, że docenili projekt, ugoszczą, zapłacą. W przyszłą sobotę baluję w Warszawie na koszt kapituły i odbieram nagrodę! Jeszcze raz dziękuję Ci za wsparcie i mobilizację, bez których nie wysłałabym projektu, pogrążona w domowych i zawodowych problemach. Myślę już o wiosnie i o własnej firmie, o studniówce dzieciaków i ich maturze... I jeszcze o kilku innych sprawach.

Jeżeli nie wypisałeś mnie z listy znajomych za zwątpienie w Ciebie, mam nadzieję, że nadal będziemy

w kontakcie. Oddaję decyzję w Twoje ręce. Wierz mi, nie zamierzam Ci się narzucać.

Pozdrawiam serdecznie
Marta".

Choć, jak zwykle, niezadowolona z listu, wpuściłam go w wirtualną przestrzeń pojedynczym kliknięciem klawisza jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Niech się dzieje wola nieba, spokojnie poczekam na odpowiedź. Jeżeli się obrazi, to może rzeczywiście lepiej wiedzieć o tym przed nawiązaniem bliższej znajomości?

Licząc na szybki odzew, siedziałam przed ekranem laptopa i przeglądałam wiadomości na różnych portalach. W powiatowym miasteczku na południu Polski wybuchł gazowy junkers, wysadzając kamienicę, zginęło siedem osób. Rząd przygotowywał projekt budżetu i zapowiedział przedłużenie wieku emerytalnego dla mężczyzn i kobiet. Nasi skoczkiwie narciarscy święcili tryumfy, znana piosenkarka rzuciła kolejnego faceta, a czterdziestoletnia aktorka popularnego polskiego serialu nareszcie dojrzała do macierzyństwa. Uff, a już myślałam, że nie dojrzeje nigdy... A tu, patrzcie państwo, dopiero czterdzieści lat

i już w ciąży! Czymże jednak jest ciąża X wobec światowej kariery, jaka czeka zwyciężczynię programu „Model of Mount Everest”, która w pocie czoła (i nierzadko we łzach) pokonała inne kandydatki do wybiegów. Wzruszona trzymałam kciuki za to, żeby dziewczyna się naprawdę dobrze wybiegała... Nie zainteresowała mnie informacja o zakupie przez Polskie Siły Zbrojne kilku nowych samolotów

do opryskiwania meszek w pobliżu rzek, dyskusja o przyjmowaniu do szkół trzylatków, oczywiście z myślą o ich prawidłowym rozwoju, o nakazie wzięcia przez każdą rodzinę przynajmniej jednego psa ze schroniska w celu likwidacji tych placówek i kosztów związanych z ich utrzymaniem tudzież kilka innych newsów. Szymon nadal nie pisał, więc pewnie albo nie przejrzał jeszcze poczty, albo nie miał ochoty na korespondencję...

Nagle wśród wiadomości pojawił się nowy, nieznany adres: książka@data.pl. Warto zerknąć, bo raczej nie zanosi się na sprzedawanie domów, zakładanie stron internetowych, robienia szkoleń ani nic podobnego. Kliknęłam.

„Witaj.

To ja, Rafał. Piszę już w nowym roku, żeby Tobie i Dzieciakom złożyć serdeczne życzenia. Niech przyniesie Wam powodzenie, szczęście i realizację wszelkich planów. Niech zaskakuje wspaniałymi niespodziankami i da dużo radości!

PS Martusiu, nasze Dzieci mają teraz w związku z maturą większe potrzeby. Nie chodzi wyłącznie o studniówkę, ale raczej o korepetycje czy inne sprawy. Jeżeli w czymkolwiek mogę pomóc, daj znać. Mam nadzieję, że u Was wszystko w porządku. Ja ostatnio dużo pracuję, realizuję pewien projekt. No cóż, pewnie Ciebie to nie interesuje. Chciałbym jednak kiedyś z Tobą pogadać. Może pozwolisz się zaprosić na kawę?

Bardzo mi Was brakuje. Wszystkich.

Rafał".

„Dziękuję za życzenia w imieniu nas wszystkich”, postanowiłam wysłać odpowiedź natychmiast. „A przy okazji za świąteczne prezenty. To miłe, że pamiętasz jeszcze, co lubimy. Jeżeli chodzi o przedmaturalne potrzeby dzieci, to oczywiście będziemy w kontakcie. I tak już dużo robisz, opłacając Kajetanowi korepetycje z biologii, ale może rzeczywiście należałoby się zastanowić nad podobnymi z historii dla Rozalii? Ona ostatnio jest chyba bardziej niż nauką zainteresowana nowym chłopakiem, Jakubem, którego - o ile wiem - znasz dość dobrze. Mam nadzieję, że ta znajomość nie przeszkodzi Rozce w zdaniu matury.... Gdybyś mógł mieć naszych zakochanych na oku? Pan Jakub jest sporo starszy od małej, a dobrze byłoby, żeby choć dostała się na studia, zanim zrobi nas dziadkami...

Będę kończyć. Pozdrawiam Cię, również życząc dobrego roku. Mam nadzieję, że przyjdzie nam w nim świętować sukcesy naszych dzieci.

Marta".

List do Rafała wysłałam z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Odpowiedziałam mu grzecznie, bez sentymentów, bez emocji. Może wreszcie między nami się ułoży i będziemy potrafili rozmawiać jak ludzie, których łączą dzieci i ich przyszłość. Mój eksmąż wyraźnie złagodniał, zaczęło mu zależeć na dobrych kontaktach. Nie wyczuwałam cynizmu, spoglądania z góry, dystansu. Szkoda, że tak późno. Na szczęście nie musiałam się nad tą metamorfozą zastanawiać zbyt długo. Na ekranie pojawił się list od Szymona.

„Witaj, oszukana, wprowadzona w błąd Martusiu". Jest dobrze, zaczyna z humorem. „Gratuluje, gratuluje, gratuluje i bardzo mocno ciesze się z wygranej razem z Tobą. Należało Ci się! Nigdy w Ciebie nie wątpiłem! Teraz przed Tobą wspaniałe perspektywy i wiosna, najbardziej optymistyczna pora roku. Wyzwania i egzaminy nie tylko przed Twoimi dziećmi. I Ty podejmiesz bój o nowe miejsce na ziemi, o własną firmę, utrzymanie się na rynku. I uda Ci się. Teraz musisz myśleć wyłącznie pozytywnie, zapomnieć o nieszczęsnej komedii pomyłek związanej z osobą człowieka, którego poznałaś u znajomych w sylwestra. Ja już zapomniałem. Już teraz mogę zaprosić Cię na spotkanie pod koniec stycznia. Wiem już na pewno, że do tego czasu zdązę wykonać wszystko, co zaplanowałem, i wyjść z ukrycia.

Martusiu, jeżeli mnie zaakceptujesz, będę mógł Cię wspierać na różne sposoby. Teraz jedynie życzę Ci wspaniałej konkursowej gali. Ciesz się sukcesem, dziel się nim z bliskimi, nie daj się szefowi, walcz o swoje miejsce w piśmie lub poza nim. Dziękuję, że nie dopytujesz o moje zajęcie. Musiałbym odmówić informacji, a nie chciałbym Ci odmawiać niczego...

Bardzo już czekam na końcówkę stycznia i ciężko pracuję.

Pozdrawiam niezwykle serdecznie Moją Panią Martusię Szymon".

MAMA

Zabierz tego kota! - Rozalia wbiegała po schodach, przeganiając Rudzielca płaczącego się w fałdach długiej sukni.

- Pójdiesz ty! - Popędziłam na ratunek ze ścierką. Tylko tego brakuje, żeby diabelec porwał kreację na dwie godziny przed studniówką!

Moja córka wyglądała olśniewająco w rozkloszowanej od talii, jasnowrzosowej sukni z ciemniejszym gorsetem zdobionym haftowanymi ręcznie motywami roślinnymi. Całości dopeśniał identyczny w odcieniu szal. Obowiązkowa czerwona podwiązka, mająca zapewnić szczęście na maturze, tkwiła niedostępna ludzkim oczom na prawym udzie. Do tego niewielka kopertowa torebka i czarne szpilki. Zjawisko!

- Pięknie wygląda, prawda? - zwróciłam się do Kajetana, który niemal zderzył się z siostrą na schodach.

- Kto? - Nawet nie spojrzawszy na Rozalię, majstrował przy krawacie. - Mamuś, pomożesz mi? Chyba jest za długi... Baby nie znają się na kupowaniu męskich rzeczy - skrytykował pomoc siostry przy zakupie kłopotliwej części garderoby.

- Dobry jest, synuś. Dawaj, zaraz poradzimy - Prawdę mówiąc, też byłam „babą”. - Jakiś facet by się przydał...

- A mogę być ja? - W drzwiach wejściowych pojawiła się niespodziewanie głowa Jakuba.

Zerknęłam. No, no, nie powiem, żeby źle wyglądał... Włosy przycięte, nieskazitelnym ciemnym garnitur, krawat pod kolor Rozalkowej sukienki. Buty błyszczą jak lustro.

- Chętnie pomogę. A tak w ogóle: witam panią. - Pocałował mnie w rękę.

Czaruś. Wie, jak zjednać sobie przyszłą teściową...

Aż mnie zmroziła ta konstatacja.

Zanim zdążyłam mu odpowiedzieć, już majstrował przy Kajtkowym krawacie. Zdziwiona zauważyłam, że są w dobrej komitywie. Czy ja o wszystkim dowiaduję się ostatnia?

- Nie ruszaj się tak, bo cię uduszę. - Jakub sprawnie wiazał węzeł.

- E, ziom, uważaj! Bo stracisz szwagra! - odgryzł się Kajtek.

Niezła poufałość.

- Napije się pan kawy? - Chciałam być przydatna.

- Pani Marto, jeśli mógłbym prosić... Jeżeli by to pani nie przeszkadzało... Proszę mówić do mnie po imieniu. - Jakub zrobił minę proszącego Łajdusa. - A kawy bardzo chętnie się napiję. Zrobię sobie sam. Wiem, gdzie jest ekspres.

Oczywiście. Wprawdzie z trudem, ale przypomniałam sobie nasze ostatnie spotkanie...

- To sobie zrób, Jakub - rzuciłam. - A może Kuba?

- Jak pani sobie życzy. Kuba też dobrze.

Do studniówki została nieco ponad godzina. Ogarniałam włosy, zbierałam ostatnie drobiazgi do torebki. Na szczęście nie padał śnieg, więc odpadł problem z odśnieżaniem samochodu.

- Pośpieszcie się! - głośno poganiałam towarzystwo wykonujące ostatnie ablucje przed lustrami. Chwała Bogu, że nie mam trojaczków, bo nie wystarczyłoby łazienek...

- Ale mamuś, nie musisz jechać. Jakub nas odwiezie.

- Rozalka zauważyła moją gotowość.

- Jak to? A ja myślałam... Ja chciałam...

- Czy może pani odwieźć mnie? - Na wysokości zadania stanął Kajtek. - Po drodze podjedziemy po Julitę, okej?

- Pewnie. A kto was przywiezie?

- Ja ich odstawię, pani Marto - zadeklarował się Jakub.

- Tylko uważaj! - Dorosły, nie dorosły, ma odstawić moje dzieci w całości!

- Mami... - Rozalia spojrzała z politowaniem. - Ona tak zawsze. - Pocałowała swojego elegancika w policzek.

- A ja? - Nadstawiłam swój.

- Dla ciebie też wystarczy. - Cmoknęła mnie dwa razy.

I oto wiozłam na jego pierwszy bal sztywnego mężczyznę, który w dodatku był moim synem, za chwilę miałam zabrać na tenże na bal jego damę Julitę, i zastanawiałam się nad kolejami losu. Jak to możliwe, że moje dzieci niebawem wkroczą w nowe życie i - do licha!

- ja też? Nie, chyba nie jest tak źle, skoro mimo towarzystwa dorosłych, pięknych dziewiętnastoletnich nie

roztrząsam przeszłości i czekam, co przyniesie koniec stycznia, wiosna, lato...?

Przed restauracją zebrał się już tłumek rodziców i wymuskanych par przyszłych maturzystów. Panny w długich sukniach, z fryzurami prosto z salonu. Powiewały szale, postukiwały wysokie obcasy, migotała biżuteria. Kolejne samochody przywoziły gwiazdy na miarę Hollywood i ich eleganckich partnerów. Rodzice kręcili się z aparatami, próbując uchwycić i uwiecznić chwile piękna i szczęścia.

- Ustawcie się! - Ja również wyjęłam aparat. - Kajetan z Julią i Rozalia z Jakubem - dyrygowałam. - Bliżej siebie, nie mieściecie mi się w kadrze.

Pstryknęłam. Pomyślałam o Łukaszu. Ten by wiedział, jak zrobić najlepsze ujęcia.

- Jeszcze raz. Teraz każda para oddzielnie.

Ktoś przytrzymał mnie za ramię. Za mną stał Rafał.

- Witam, córeczko. - Podszedł do Rozalii z bukietem stokrotek, podał rękę Jakubowi. - Cześć, synuś.

- Przygarnął Kajetana. - Przedstawisz mi koleżankę?

- Wręczył podobny bukiet Julicie. - Cieszę się, że cię widzę, Martusiu. - Zza pazuchy wy dostał pięć żółtych tulipanów. - Dla ciebie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- To co, może zrobimy sobie fotkę z mamą? - Otoczyły mnie dzieciaki.

- Ale ja... Może jednak nie? - próbowałam się wymigać.

- Już. - Rafał nacisnął przycisk. - Jeszcze jedno, Martusiu. Uśmiech.

Zrobił głupią minę. Musiałam się roześmiać.

- Co ty tu robisz, Rafał? - zapytałam, gdy dzieciaki poszły do szatni.

- Przyjechałem was zobaczyć. Taka chwila - próbowałem swoich sztuczek dobrego ojca i zakochanego eksmeża.

- Miło cię widzieć - chciałam być grzeczna. - Rozumiem.

Rozstań się z nim jak najszybciej! - rozsądek podpowiadał jedyne słuszne rozwiązanie. Rafał wyglądał i zachowywał się... Trzeba szybko zmykać!

- Rafał, chcę ci o czymś powiedzieć... - zaczęłam.

- Ja jakby kogoś mam...

Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy to wyznanie. Zabezpieczałam się przed *deja vu* czy broniłam niewiadomej.

- Co to znaczy „jakby”? - No tak, prawnik, czepia się słówek.

- Po prostu mam. I to musi ci wystarczyć. Dziękuję za kwiaty i miło, że wpadłeś. Zrobiłeś dzieciakom przyjemność.

- Dasz się zaprosić na kawę? - Czy on w ogóle słucha, co do niego mówię?

Rozdzwoniła się moja komórka.

- Przepraszam, mam telefon. Mama? Jesteście w Mieszkowicach? Stało się coś? Zawiozłam ich na studniówkę, zaraz wracam do domu. Tak, będę za godzinę. Sam widzisz

- zwróciłam się do Rafała. - Muszę wracać. Może umówimy się na tę kawę kiedy indziej. Będzie niejedna okazja.

- Marta? - Znów popatrzył na mnie, zupełnie nie tak, jak bym chciała. - Do zobaczenia.

- Tak, do zobaczenia. Jadę.
- Uważaj na siebie.
- Ty też.

Zostawiłam za sobą dzieci na studniówce i wjechałam w lasy pokryte śnieżną pierzynką. Płatki śniegu skrzyły pośród drzew w światłach samochodowych reflektorów. W ciepłym wnętrzu auta, przy dźwiękach delikatnej muzyki Sade, pozostał mi jeszcze kwadrans. W Mieszkowicach czekała mama, która wzywała mnie do powrotu w trybie pilnym. Nie ma co liczyć na miłą dalszą część wieczoru...

A jednak zaskoczenia się zdarzają.

- Jesteś już! - Na podwórku czekał komitet powitalny. Za plecami moich pań majaczył pan Zdzisław.

- Zawiozłam dzieciaki na studniówkę - wytłumaczyłam się z nieobecności.

- Zdzisiu mi się oświadczył! Mam pierścionek, popatrz. - Mama pokazała mi okazały rubin w złocie.

Staromodny, ale bardzo ładny i stylowy, przyznałam.

- Bardzo się cieszę, gratuluję! - okazałam dobrze udawane zaskoczenie, rzucając się narzeczonym na szyję.

- Chodź. Przywieźliśmy coś na kolację i deser. - Mama zapraszała do siebie.

Miła odmiana, bo już zastanawiałam się, co przyjdzie mi postawić na stół... Pan Zdzisio otworzył szampana, mama dokładała na talerze.

- Pewnie jesteście ciekawe, kiedy ślub? - Przy deserze postanowiła odkryć karty. Widocznie poczuła ciężar naszych spojrzeń. - Latem!

- Wspaniale, mamuś - udałam totalne zaskoczenie.
- Panie Zdzisławie, bardzo się cieszę. A ty, Renata? - Obejrzałam się, bo gdzieś się zapodziała.
- Daj jej spokój. - Mama była w temacie. - Ma wyznaczoną datę sprawy rozwodowej.
- A ja myślałam, że Krzysztof do niej wraca...
- Wrócił. Po swoje książki. Żeby obie moje córki...!
- Wzniosła obie dłonie w modlitewnym geście.
- Stefano! - podniósł głos pan Zdzisław.
- Co ja takiego robię? Tylko mówię, że jakieś fatum ciąży nad moimi córkami. Żeby obie nie potrafiły utrzymać mężczyzny! - brnęła.
- Mamo! Cieszę się twoim szczęściem, ale muszę iść do Renaty...
- Znalazłam ją w pokoju gościnnym.
- Renia? Masz ochotę na odwiedzin u siostry? Może wypada zostawić „młodych” samym sobie?
- Zaśmiała się przez łzy, które, jak zauważyłam, ciurkały od dłuższego czasu.
- A co masz?
- Piwo, brandy. Przyjdiesz?
- Tylko mnie nie zapraw, bo na jutro umówiłam się z Łukaszem. Krzysztof to już przeszłość. Cholerna przeszłość!
- Nie rycz.
- Przecież nie ryyyczęęę... - zawyła.
- O której masz to spotkanie?! - musiałam jakoś postawić ją na nogi.

- O czwartej po południu - zeznała, zaskoczona konkretnym pytaniem.

- To, kurde mol, od czwartej po południu jutrzejszego dnia masz się wziąć w garść! Zrozumiano?!

- Myślisz?

- Myślę, do diabła! A teraz chodź się napić.

- Siostra, ty się masz ze mną, co?

- Mam. Idziemy. - Pociągnęłam Renatę w stronę swojej werandy.

Na odpisanie Szymonowi nie było szans.

MARTA

Gdyby nie nocna nasiadówka z Renatą i intensywne próby podtrzymania jej na duchu przed rozprawą rozwodową, pewnie umierałabym z niepokoju o dzieci, które nie wróciły ze studniówki ani przed dwunastą, ani około drugiej. Nie było ich jeszcze o czwartej nad ranem. Nie muszę wspominać, że nie odbierały telefonów. Poranny esemes od Rozy, napisany w imieniu obojga, gdy ruszały na trasę pierwsze miejskie autobusy, tłumaczył okoliczności, które nie pozwoliły biedactwom znaleźć się w domu o przyzwoitej porze.

„Mami, było świetnie. Przenieśliśmy się z imprezą do taty i zostaliśmy. Jest bardzo fajnie. Nie gniewaj się. Szkoda, że nie ma tu Ciebie. Kubuś nas odstawi, gdy się wyśpimy. Przywieziemy pizzę!”.

Kubuś? Są u taty? Imprezują z Rafałem? Raczej mało prawdopodobne... Już studniówkowe kwiaty wzbudziły we mnie zdziwienie, ale imprezka z dziećmi w wykonaniu mojego eks nie wchodzi w rachubę. Pewnie Kajtek trafił na nocleg do ojca, a Rozalia... Wolałam nie myśleć, co ona teraz robi z Kubusiem...

Renata, szczelnie okryta kocem, zalegała na mojej kanapie, zbierając siły przed spotkaniem z Łukaszem.

- Nie, Łajdus. Teraz nigdzie cię nie wypuszczę - odprawiłam kolejnego interesanta pod sztandarem „zajmij się mną”. - Na miejsce!

Deklaracja przywiezienia pizzy miała być próbą zminimalizowania mojej złości z powodu nocnych eskapad. Z cyklu „mamusiu, nie musisz przygotowywać obiadu”. W sumie dobre i to. Mimo wszystko byłam na nich zła. Wkurzył mnie Rafał, za którym dzieciaki schowały się jak za tarczą i który dał im alibi. Wracamy do punktu wyjścia? Będziemy kolaborować z tatą przeciwko mamie, jak zaraz po rozwodzie? Co tu jest grane?

Dawno nie pisałam do Szymona rankiem, bo zazwyczaj udawało mi się zasiać przed ekranem komputera wieczorową porą. Tym razem, po usłyszeniu: „To ja lecę, siostra” i wypuszczeniu kundla na dwór, zniosłam laptop na dół. Nieobecność Rozalii i Kajetana pozwalała na komfort spokojnego pisania, bez zagładania przez ramię. Odnosiłam wrażenie, że Roza domyśla się intensywnych kontaktów z tajemniczym nieznajomym... Rozsiadłam się przy stole w kuchni. Za oknem na krzewach irgi skrzyły się zamarznęte śnieżynki, promienie słońca oświetlały żółtawe piórka sikorek buszujących po werandzie w poszukiwaniu przysmaków.

„Jest bardzo piękny styczniowy poranek, a ja właśnie dowiedziałam się, że moje dzieciątka nie zaginęły bezpowrotnie po studniówce i niebawem powrócą do domu. Odzyskawszy matczyne spokoj i dobry (do rozmowy

z nimi) humor, mogę powitać Cię serdecznie, Szymonie, i napisać kilka słów. Witaj.

Do końca miesiąca zostały tylko trzy tygodnie. Ty zapewne masz dużo pracy nad projektem, który uniemożliwia nasze spotkanie. Nie powiem, żebym nie była ciekawa, czego dotyczy Twoje zajęcie... Wymieniliśmy w ciągu ostatnich kilku miesięcy tyle listów, że mam wrażenie, iż powstała między nami pewna zażyłość. Jednak nie znamy się osobiście, a przynajmniej ja nie znam Ciebie. Piszemy do siebie z przekonaniem, że mejle doprowadzą nas do dobrej komitywy, a może i miłości w (jak to mówią moje dzieci) realu. Ale przecież nie jesteśmy już dziećmi i zdajemy sobie sprawę, że wcale tak być nie musi. Zastanawiam się, czy boję się zawodu? Chyba po prostu nie biorę go pod uwagę, wierząc, że facet, który pisze takie fajne, budujące i szczerze listy, po prostu nie może być zły ani mało interesujący. Jak widzisz, mój interlokutorze o drugim imieniu Szymon (ciekawe, jakie jest pierwsze?), mam bardzo dobre nastawienie. Patrząc przez okno na mój przysypany śniegiem ogród, za który w najbliższą sobotę będę odbierała nagrodę, jestem przygotowana na przyjęcie niespodzianek od życia. Oczywiście, o ile będą to dobre niespodzianki, w co - przynajmniej dzisiaj - nie wątpię.

Dużo sobie obiecuję po założeniu firmy. Pomoże mi Łukasz, który prowadzi swoją od kilku lat. Już mi pomógł, dając kilka dobrych rad. I dobrze, przecież nie zwrócę się do Rafała, mojego byłego męża. Choć muszę przyznać,

że stosunki między nami ostatnio układają się dobrze. Interesuje się dziećmi, płaci za korepetycje, z własnej inicjatywy kupił Kajtowi garnitur na studniówkę. Mam nadzieję, że za tą nagłą odwilżą nie kryje się jakiś podstęp, że się za jakiś czas nie zdziwię z powodu niekoniecznie dobrej niespodzianki, jaką dla mnie szykuje... Jakoś nie do końca wierzę w jego dobre intencje. Jest za dobrze, za gładko.

W sobotę jadę do Warszawy. Muszę najpierw odstawić corseę do mechanika, ponieważ Jakub mi uświadomił, że powinnam wymienić rozrząd jakieś trzydzieści tysięcy kilometrów temu. Podobno mogę zniszczyć silnik, a dobrze, żeby jeszcze trochę pochodził, zanim dorobię się nowego wozu. Olej i filtr oleju też nie pamiętają wymiany, kierunkowskaz się zacina, nie mam światła mijania z prawej strony... Ot, takie tam problemy dnia codziennego, nic w porównaniu z tym, że moja mama wychodzi za mąż, Rozalia na poważnie prowadzi się ze starszym o dziesięć lat facetem (nie pamiętam, czy Ci pisałam o policjancie, który przesłuchiwał mnie w związku ze sprawą greckiej ikony), Kajetan wybiera się na kierunek, którego nazwy uczyłam się kiedyś przez całą noc, Renata nie przestaje ronić łez po Krzyśku i tak dalej... Gdy już to wszystko ogarnę, będę musiała sprawić sobie jakąś kreację na galę i późniejszy bankiet. Czy powrócę do wysłużonej małej czarnej z czasów Rafała i jego utytułowanych znajomych? Pewnie nie.

Miło się pisze do Ciebie, Szymon, ale na podjeździe właśnie pojawił się samochód Rozalkowego Jakuba

z moimi dziećmi na pokładzie. Mam nadzieję, że zgodnie z obietnicą przywieźli pizzę na obiad. Jestem głodna.

Pozdrawiam Cię serdecznie. Pracuj nad tym swoim projektem, żebyś zdążył do końca stycznia.

Marta".

- Mamy pizzę, mami! - Z auta wyszła Rozalia, ciągnąc za sobą Kajetana. - Wstawaj, już jesteśmy. - Najwyraźniej odsypiał ciężką noc na tylnym siedzeniu.

- Panie Jakubie, myślałam, że to odwożenie będzie wyglądało inaczej... - przyczepiłam się do najbardziej dojrzałego.

Miał chyba wyrzuty sumienia, bo nie oponował przeciwko tytułowaniu go „panem”.

- Przepraszam, to nie do końca moja wina... - zaczął się tłumaczyć. - Spędziliśmy noc u Rafała. Przepraszam, tak się złożyło, powinniśmy uprzedzić, ale pani komórka nie odpowiadała...

- Moja komórka?! Przecież jej nie wyłączałam. Sięgnęłam po telefon. Dziesięć nieodebranych połączeń z nieznanego numeru.

- To twój? - pokazałam Jakubowi, z marszu przechodząc na ty.

- Naprawdę próbowałam. Ale rozumiem. I tak powinienem dojechać wcześniej.

Przynajmniej się pokajał.

- Już dobrze. Jak się udała zabawa? - Chyba nieźle. Roza popijała wodę w kuchni, Kajt zaległ na kanapie. - Zostaniesz u nas na obiedzie? - Wciąż niezręcznie

było mi zwracać się do Jakuba po imieniu. - To znaczy na pizzy? A tak w ogóle, to kto za nią płacił? Zaraz znajdę portmonetkę.

- Wszystko jest uregulowane. - Widać pan policjant ma zasobną kieszeń... - W czym mogę pani pomóc?

Spojrzenie mówiło, że wolałby pomóc Rozalce.

- Dziękuję za wszystko, skoro pan, przepraszam, skoro ty... Dziękuję, dam sobie radę. Ale pamiętaj, Rozalia ma maturę - odzyskałam głos. - Jeżeli rzeczywiście chcesz pomóc, to ją wspieraj. Taka jest rola mężczyzny, rozumiesz? Skąd znasz Rafała? - pytanie całkiem gładko przeszło mi przez gardło.

- Trochę dla nas pracował. Wtedy się poznaliśmy. Nie kłamał. Odpowiedział bez zastanowienia.

- To Rafał pracował dla policji?

- Pracuje. Od jakiegoś roku. Jest dobrym prawnikiem.

- Nie spodziewałam się, ale to bez znaczenia. Tak zapytałam.

- To ja w takim razie już pojedę... Rozalia zbierała się do pożegnania.

Na wszelki wypadek postanowiłam się odwrócić. Niekoniecznie miałam ochotę przyglądać się czułościom.

- To co, mami? Bierzesz moją suknię na tę swoją galę? - Rozalia, zamknąwszy drzwi za Jakubem, wykręciła pośrodku pokoju piruet.

- Chyba żartujesz?! W życiu w nią nie wejdem! Nonsensowny pomysł jednak kusił. O ile uda się wciągnąć brzuch...

- Przymierz! - Zaczęła się rozbierać.

- Daj spokój, Roza...

- Wkładaj! - Podała mi sukienkę. - Zrzucaj portki! Dobrze, przymierzę, choć to z pewnością bez sensu.

Wciągnęłam suknię przez nogi. O dziwo, nie zatrzymała się na biodrach. Haftowany, sztywny gorset zgrabnie podtrzymał piersi. Z trwogą spojrzałam w lustro. No... Ujdzie.

- Mami, wyglądasz świetnie! - Trochę zbyt głośno wypowiedziana pochwała poderwała z kanapy Kajetana.

- Świetnie! Mamuś, czy ty masz na sobie suknię Rożki?

- Dopiero przytomniał.

- Połóż się, syn. Nie przeszkadzaj sobie. - Zgasiałam go gestem.

- Jestem głodny - poskarżył się i wsunął się z powrotem pod kocyk. - I zimno mi. Kiedy będzie coś do zjedzenia?

- Możesz zjeść pizzę. A jak ci się podobam? - postanowiłam podroczyć się trochę z mizerakiem.

- Super. Obudźcie mnie, jak podgrzejecie. - Pochrapywanie oznajmiło koniec rozmowy.

- Dzięki, córcia, za tę suknię. - Poczułam wzruszenie, że pomyślała.

- *No problem.* A z kim tam pojedziesz? - zadała trudne pytanie.

- No wiesz... Chyba sama. Ale możesz jechać ze mną!

- znalazłam rozwiązanie.

- Ja tam ciebie już widziałam w tej sukience... A może tato?

- Rozalko, nie mam ochoty cię zwodzić. Mam kogoś, choć jest to na razie bardzo skomplikowany układ. Nie

mogę nic więcej powiedzieć. Myślę, że niebawem będę mogła i tobie powiem to pierwszej. Obiecuję.

O dziwo, nie wydała się zaskoczona. No tak, w końcu zaglądała mi przez ramię.

- I on jedzie z tobą do Warszawy?

Poczułam się jak oskarżona.

- Nie, Rozalko. Pojadę sama albo z tobą. Jeżeli będziesz chciała.

- Nie rozumiem.

- Ja też do końca nie rozumiem, córciu. Trochę cierpliwości. Jakies trzy tygodnie. I dziękuję ci za kieckę na wieczór.

SZYMON

- Szefie, chciałam prosić o urlop na piątek. - Jednak uznałam, że nie zdążę dojechać do Warszawy w sobotę na piętnastą i pojawić się na gali w pełnym rynsztunku. Trzeba wybrać się dzień wcześniej, wynająć hotel, dobrze się wyspać, wypocząć, umalować, przygotować mowę dziękczynną i jakoś wyglądać. - I w imieniu Łukasza też - dodałam skromnie, jakby mimochodem.

- Przed wami upojny weekend? - Stary uśmiechnął się obleśnie, zadowolony, że wpadł na trop firmowego romansu.

- Nie chciałam z tego robić sprawy, ale skoro muszę się wytłumaczyć... - Zamierzałam powiedzieć mu o wygranej w konkursie.

- To prawda?!

- Co prawda?

- Że ty z Łukaszem?

- Nieee. - Nareszcie zrozumiałam. - Juliusz, pozwól, że ci wytłumaczę.

I zaczęłam: że konkurs, że wygrana, że muszę jechać i odebrać nagrodę, i uczestniczyć w fecie, którą organizuje

kapituła. A Łukasza zabieram ze sobą, bo robił zdjęcia i przyczynił się do mojego sukcesu.

Stary był wyraźnie zawiedziony. Sensacja w redakcji, to dopiero temat!

- A teksty? Odrobiłam lekcje.

- Mam, przekażę Alinie.

- No to jedźcie. Gratuluję. - Na szczęście nie robił problemów.

- Tylko dopilnuj, żeby mi tu Alina o czwartej nie zmykała do domu. Od chwili gdy przyjeżdża po nią ten facet, wyjątkowo skrupulatnie przestrzega godzin pracy...

Jak widać, oku naczelnego nic nie umknie.

- W końcu jesteś teraz jej szefową - przypomniał mi o obowiązkach.

- Dzięki, Juliusz. Wszystko będzie na czas, dopilnuję.

Czwartkowy wieczór mijał mi na poszukiwaniu walizki, torby, kosmetyczki i innych akcesoriów podróżnych, które przepadły, poupychane po kątach po letniej greckiej eskapadzie.

- Rozalia, nie wiesz, gdzie jest taki mój kuferek na kosmetyki?

- Przewróciłam całą łazienkę.

- Jaki?

- A jaki ma być? Mam tylko jeden. Ten w lawendowe kwiatki, z lusterkiem.

- Jest u mnie. A co, potrzebujesz? - Niby nie wiedziała, o który chodzi!

- Przecież wyjeżdżam, muszę się spakować.

- To ja ci może dam ten czarny w róże?

- Rozalia, pytałaś o zgodę, jak go brałaś? - zadałam retoryczne pytanie. - Dobra, dawaj ten w róże. Ale na drugi raz zapytaj, zanim skonfiskujesz coś mojego.

- Za to pożyczam ci sukienkę! - znalazła argument.

- Dziękuję. Możesz odebrać moją komórkę? - Dźwięk *Somewhere over the rainbow* przeszkadzał w rozmowie od dłuższego czasu.

- Mamuś, to ciotka Renata. - Rożka podała mi telefon.

- Cześć, siostrzyczko! Jak tam przygotowania? Zdziwiona dobrym humorem, odsunęłam komórkę od ucha, jak gdybym mogła dzięki temu zobaczyć zadowoloną minę Renaty.

- W porządku, pakuję się.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość. - Zaniepokoiłam się nie na żarty. - Jadę z wami! Masz coś przeciwko?

Niekoniecznie mi to odpowiadało, ale chyba decyzja została już podjęta. Nawet się domyśliłam przez kogo.

- Łukasz?

- Tak. Widzieliśmy się w tym tygodniu i... Wiesz, Marta... Nie będziemy ci przeszkadzać.

W to nie wątpiłam. Muszę wziąć jakąś książkę na piątkowy wieczór, bo przyjdzie mi go spędzić samotnie w hotelowym pokoju. A co tam! Może i warto raz jeszcze poświęcić się dla siostry.

- Renia, a kto prowadzi? - Nie opłacało się dyskutować. Lepiej było ustalić szczegóły.

- Łukasz. Siostra, dziękuję ci, jesteś wielka! - Może i tak, tylko co z tego? - Podjedziemy po ciebie około jedenastej. Może być?

- Będę gotowa.
- Czego chciała ciotka? - Rozalia mimo nastawiania ucha nie chwyciła sedna.
- Jedzie ze mną do Warszawy.
- Cooo? Po co?
- Po to, żeby pobyć z Łukaszem.
- Żartujesz!
- Nie żartuję.
- Ale jaja!
- Nie mówmy o tym, córciu. Są dorośli. Daj mi lepiej tę kosmetyczkę w róże i coś do poczytania na wieczór.

Życie potoczyło się zgodnie z przewidywaniami. Potulnie zajęłam miejsce za kierowcą, by gołąbki mogły sobie gruchać z przodu. Powinnam być im chyba wdzięczna, że łaskawie zabrali mnie ze sobą... Po wspólnej kolacji w hotelu uprzejmie odrzuciłam propozycję wybrania się na nocny podbój stolicy, tłumacząc się zmęczeniem i koniecznością przećwiczenia podziękowań, którymi jutro miałam obdarzyć szanowne konkursowe jury.

Trzeba przyznać, że gala została przygotowana z rozmachem. Sukienka Rozalii wisiała w pokoju, czekając na wieczorne party, zaś ja (mimo zarzekania się) na zasadniczą uroczystość włożyłam swoją nieśmiertelną małą czarną, ozdabiając ją równie wysłużonym sznureczkiem pereł. Dobrze chociaż, że udało mi się upolować nieco bardziej ekstrawagancki żakiet, lekko połyskujący wzorem w rozmyte kwiaty w kolorze pudrowego różu. Obawą napełniało mnie przeżycie kilku godzin w nowych szpilkach, nieprzyzwyczajoną do chodzenia na tak

wysokich obcasach. Ale nie wyglądałam chyba najgorzej, skoro moja własna siostra, nieskora do komplementów, odstąpiła od swojej zasady i wyraziła aprobatę.

- Nooo... Kto by pomyślał? Laska z ciebie! Tylko się nie przewróć na schodach, jak będziesz odbierać nagrodę.

Renata przy Łukaszu wyraźnie odzyskiwała pewność siebie. Nie ma to jak przysłowiowa łyżka dziegciu, którą dodała do beczki miodu.

- A ty nie nadużywaj wina na bankiecie. I nie narób mi wstydu - odparowałam. Uznała to za dobry żart.

Uroczystość zorganizowano w teatrze sąsiadującym z naszym hotelem, przypuszczam, że celowo, aby panie i panowie mogli zmienić *image* przed wieczornym party. Program przewidywał wręczenie nagród, występ śpiewaków w repertuarze operetkowym Lehara, Straussa i Offenbacha, a na zakończenie części w teatrze - kieliszek szampana. Po godzinie organizatorzy zapraszali na bankiet w hotelu, gdzie przy muzyce popularnego zespołu towarzystwo miało bawić się do późnych godzin nocnych.

W teatrze zostałam posadzona w pierwszym rzędzie, żebym miała blisko na scenę. Z przerażeniem spoglądałam na zgromadzonych - eleganckie panie i dystyngowanych panów. Czy ja nie pomyliłam imprez? - zastanowiłam się na widok znanego telewizyjnego dziennikarza, który najwyraźniej miał prowadzić konferansjerkę. Kamerzyści przygotowywali się do pracy, coraz bardziej pełna widownia wskazywała, że zbliża się godzina zero, czyli początek mojego końca. Nigdy nie wyjdę na tę scenę,

niczego nie powiem! Już na samą myśl robiło mi się gorąco. Odwróciłam się. Renata pomachała mi z któregoś z tylnych rzędów. No tak, wesolutka, a ja tu siedzę chora ze strachu... Nerwowo powtarzałam tekst podziękowań, wiedząc, że do niczego się nie przyda. Tylko się nie denerwuj, zawsze możesz zaimprovizować, powtarzałam sobie jak mantrę. Przecież nie uciekniesz. Niestety, czas nie stał w miejscu. Po kilku minutach pojawił się znany dziennikarz, ze swadą witając gości i zapowiadając prezesa firmy organizującej konkurs. Na scenę wszedł elegancki, przypominający Pierce'a Brosnana pięćdziesięcioletni i w kilku zręcznych zdaniach przedstawił firmę Glob Garden TV Entertainment z USA, która właśnie weszła na polski rynek. Okazało się, czego nie byłam świadoma, że to właśnie ona przygotowuje programy o projektowaniu i zakładaniu ogrodów na całym świecie, a konkurs miał wyłonić osobę, z którą będzie współpracować w Polsce. Szukali kogoś, kto zna polskie realia, nasze upodobania, ma styl, artystyczne podejście, pragmatyczne spojrzenie i nie ma kompleksów. Facet mówił, spoglądając od czasu do czasu w moją stronę, a do mnie nie docierało, kogo ta przemowa dotyczy. I nagły przebłysk: Katastrofa! Zaraz będę musiała stanąć przed publicznością! Zrobię z siebie niezłe widowisko...

- Mam zaszczyt ogłosić, że główną nagrodę w konkursie Glob Garden TV Entertainment otrzymała pani Marta Zawadzka. Zapraszamy na scenę! - Wskazał na mnie.

Niech się dzieje wola nieba... Szczęśliwie pokonałam schody, przywitałam się z przystojniakiem, ustawiłam

twarzą ku publiczności. W jednej chwili przypomniałam sobie gale, które widziałam w telewizji. Najpierw należy spojrzeć na salę, dać widowni czas na skupienie uwagi, potem uśmiechnąć się i wygłosić kwestię. Gdy szczęśliwie dotarłam do jej końca, pan prezes wręczył mi symboliczny czek na sumę dwudziestu tysięcy złotych, podpisany jego nazwiskiem. Nazwiska nie zapamiętałam, za to imię od razu. Simon. Kolejny przypadek czy fatum? Spoglądając na prezesa podczas kolejnych arii operetkowych, odnosiłam wrażenie, że może to niekoniecznie przypadek. Utwierdziłam się w swym przekonaniu na bankiecie w hotelu.

- Pani Marto, serdecznie gratuluję! Również osobiście. - Podszedł do mnie, gdy nakładałam na talerz krewetkowe frykasy ze szwedzkiego stołu. - Proszę mi wierzyć, nasz program będzie hitem, a pani zostanie jego gwiazdą.

- Przepraszam, ale ja się jeszcze nie zdecydowałam na pracę przed kamerą. Mam nawet poważne obawy, że nie dam rady. - Czy on sobie wyobraża, że można mnie kupić za dwadzieścia tysięcy?!

- Droga nasza mistrzyni... - Nie przejął się moimi rozterkami. - Naturalnie porozmawiamy o formule i wypracujemy wspólne stanowisko. Nic nie odbędzie się bez pani woli i zgody. A co do osobowości telewizyjnej... Ręczę, że nadaje się pani idealnie.

- Skąd takie wnioski? Jestem nieśmiała, niepewna...

- Pani Marto - przerwał. - Mnie nie stać na pomyłki. Zainteresowałem się panią już jakiś czas temu, pani pracą w gazecie, Twarzą Jesieni. Potrzeba nam dokładnie kogoś

takiego jak pani. Ma pani talent i osobowość, a nad treścią można popracować. I co bardzo ważne... - dodał. - Jest pani urocza, bezpośrednia i ciepła.

- Czy był pan niedawno w Danii, panie Szymonie?

- zebrałam się na odwagę.

- Często tam bywam. Podobne konkursy organizujemy również w krajach skandynawskich - odparł zaskoczony.

- A dlaczego pani pyta?

- Sylwestra też pan tam spędzał? - brnęłam, nie bacząc, że się wygłupiam.

- Widzę, że pani również się mną interesowała - zażartował. Sprawiał wrażenie coraz bardziej zaskoczonego.

- Odwiedziłem moją byłą żonę i syna. Może jeszcze po kieliszku szampana? - Najwyraźniej chciał przerwać lawinę osobistych pytań.

Patrzyłam, jak podnosi lampkę musującego trunku, wznosząc toast za mnie i powodzenie projektu. Dyskretnie przeszedł nad moim wścibstwem do porządku dziennego, ale w jego oczach pozostało zdziwienie. Jeżeli to Szymon, ile jest warta moja wygrana w konkursie? Czy została zaplanowana, zanim jeszcze złożyłam projekt? O co tu chodzi?

- Zatańczymy?

Tego wieczoru zatańczyliśmy nie raz.

Nie zadawałam już pytań. Postanowiłam zaczekać.

SZYMON

Muszę przyznać, że nowo poznany Szymon, z którym po kilku tańcach przeszliśmy na ty, całkiem mi się podobał. Zadbany, grzeczny, obyty, szarmancki. I patrzył na mnie jak facet, czego od dawna nie doświadczyłam, pomijając ogrodowy incydent z Łukaszem. Mając do wyboru powrót do domu w towarzystwie jego i dwojga świergolących gołąbków, wybrałam Szymona, który musiał (w co nie do końca wierzyłam) znaleźć się następnego dnia w Gdyni. Gdy zajęłam wygodne siedzenie obok kierowcy w jego jaguarze (jak żyję, nie jechałam tak luksusowym autem!), starałam się nie poruszać osobistych tematów, nie ponaglać, nie przyśpieszać ani nie wywoływać wilka z lasu. Z każdą godziną nabierałam jednak coraz głębszego przekonania, że oto zdemaskowałam mejlowego korespondenta. W miarę upływu czasu kolejne klocki trafiały na swoje miejsca. Skąd on czerpał informacje o mnie, nie zdradził. Ale ponoć wszystko zaczęło się od projektu, który go urzekł, a potem zaczął realizować plan badania mojej osoby pod kątem osobowości ludzkiej i telewizyjnej. Do końca stycznia mieliśmy czas,

żeby omówić szczegóły i warunki współpracy. Obiecał, że prześle mi projekt umowy, ja go przejrzę ze swoim prawnikiem (jakbym go miała!), a w ostatni weekend miesiąca spotkamy się w dobrej restauracji na kolacji, kto wie, może ze świecami? Dużo będzie zależało ode mnie.

Simon był uroczy. Mądry, elokwentny, potrafiący za-imponować kobiecie. Co z tego, jeśli nie mnie. Szymon, jeżeli to ty, przestań już! - miałam ochotę przerwać te wypracowane do perfekcji sposoby owijania sobie rozmówczynie wokół palca. Nie szukałam ideału, miałam nadzieję, że będziesz kimś rzeczywistym, szczerym, że się w tobie zakocham! A ty okazujesz się nierealny. Nie dla mnie.

- Zgadzasz się? - Potok myśli w mojej głowie przerwało pytanie.

- Przepraszam, wyłączyłam się na chwilę. Chodzi o spotkanie pod koniec stycznia? - Na szczęście przypomniałam sobie, o czym rozmawialiśmy.

- Pozwól, że wybiorę miejsce.

- Oczywiście. Przepraszam, odbiorę. - Dzwonek komórki uwolnił mnie od konieczności dalszej konwersacji.

- Mami, widzieliśmy ciebie w telewizji! - Rozalia, jak zwykle, na bieżąco. - Wracaj! Czekamy z uroczystą kolacją. Kiedy będziesz?

- Za dwie godziny, córuś. Jadę samochodem z panem Szymonem. Zaproponował mi podwiezienie.

- Z kim?! - Moje dziecko wyraziło szczerze zdziwienie.

- Rozalia, jadę i nie wypada mi rozmawiać przez telefon. Do zobaczenia w domu.

Wyłączyłam dźwięk w komórce i spojrzałam na Szymona przeprasząco.

- To córka. Jest podniecona moim występem w telewizji - musiałam się wytłumaczyć.

- W jakim jest wieku? - Oho, pyta, jakby nie wiedział.

- Jest w klasie maturalnej, jak jej brat bliźniak. Przy okazji... Jeśli mogę cię prosić o podwiezienie na Świętojańską. Stamtąd już zabierze mnie do domu syn.

- Żaden problem. Byłem przygotowany, że zawiozę cię do Mieszkowic. To przecież niedaleko.

Teraz miałam już stuprocentową pewność, że mężczyzna za kierownicą jaguara to mój mejlowy Szymon. Nie wspominałam mu przecież, gdzie mieszkam. Na dłuższą chwilę odebrało mi głos. Było mi niezręcznie; nie dość, że musiałam udawać nieświadomą, to jeszcze byłam zerowo zainteresowana obiektem. Czego się spodziewałam? Miłości od pierwszego wejrzenia? Nagłego olśnienia? Nic to, uspokajałam się w myślach, może jeszcze przyjdzie.

Ciszę w samochodzie przerwały wibracje zwiastujące esemesa. Może Kajtek dojechał już do Gdyni i na mnie czeka? Spojrzałam dyskretnie na Szymona, oczekując milczącego przyzwolenia na odczytanie wiadomości.

- Nie krępuj się, może to coś ważnego - zauważył moje wahanie.

Wiadomość wprawiła mnie w osłupienie.

„Martusiu, wielkie gratulacje, raz jeszcze. Widziałem Cię w telewizji, więc zapewne nie zagładasz ostatnio do skrzynki i nie masz czasu odpisać. Wyglądasz pięknie, zdobywasz nagrody, kwitniesz. Nie mogę się doczekać

naszego spotkania, dlatego ciężko pracuję, by zdążyć przed końcem stycznia. Pozwoliłem sobie przesłać na Twój domowy adres niewielki prezent, którego ze względu na domowników nie podpisałem. Nie pogniewasz się za uściski i ucałowania, prawda? Twój Szymon".

Zerknęłam kątem oka na Szymona za kierownicą. Cudów nie ma, nie mógł napisać wiadomości, przecież prowadzi! Zrobiło mi się gorąco; dyskretnie sięgnęłam po chusteczkę i przetarłam czoło. Czy to już początki klimakterium, czy mania prześladowcza? Zdecydowanie muszę się poradzić Aliny. Podobno ma jakiegoś znajomego psychiatrę.

- Dobra wiadomość? - Szymon zauważył poprawę nastroju.

- Tak - odparłam, trochę zbyt szybko. - Rodzina przygotowała niespodziankę - zełgałam na poczekaniu.

- Szkoda. Miałem nadzieję na wspólną kolację w Gdyni, ale co się odwlecze... Jesteśmy umówieni za kilka dni, prawda?

- Oczywiście. Pomyślę o propozycji. Czuję się zaszczycona, naprawdę. - Miałam ochotę uściskać cały świat. Mój Szymon napisał! - O, jeśli możesz zatrzymać się na rogu Pułaskiego... Już widzę mój samochód.

Pożegnaliśmy się. Szymon podał mi wizytówkę, zrewanżowałam się swoją.

- Jeszcze raz dziękuję za komfortową podróż.

Kajtek z galanterią otworzył przede mną drzwiczki corsy.

- Szanowna gwiazdo, zapraszamy w nasze skromne progi... -
dworował z czerwonego potwora. - My tu jaguarów na stanie nie
mamy, musisz się zadowolić tym kajtkiem.

- Kajtek to jesteś ty, mój syn. A ja się cieszę, że wróciłam do
domu. - Życie towarzyskie okazało się męczące.

- Czekaj, czekaj... W domu to dopiero się ucieszysz. Chyba
przygotowali przyjęcie, a Kajetan nie potrafił
utrzymać języka za zębami.

- Pizza?

- Lepiej.

- Chińszczyzna?

- Mamuś, za kogo ty nas masz? - udał oburzenie. - My tu cały
dzień w kuchni, menu godne królowej, a ty, że zaraz pizza.
Poczekaj, poczekaj.

Przemierzyliśmy drogę do Mieszkowic w całkiem niezłym
tempie. Kajetan już całkiem dobrze radził sobie za kierownicą.
Rozalia wybiegła nam na spotkanie w fartuszkach. Ciekawe, skąd
go wytrzasnęła.

- Chodźcie, bo zapiekanka dochodzi! - grzmiała jak
prawdziwa gospodyni. - Cześć, mami. - Cmoknęła mnie w
policzek i pognęła do kuchni.

- Łajdus, na miejsce! - powstrzymałam psa lecącego na
spotkanie z brudnymi łapami.

W pokoju zastałam udekorowany stół z bukietem z
kilkudziesięciu tulipanów, zakąski, kieliszki do szampana,
świece... Po chwili wjechała pachnąca zapiekanka, chyba z
owocami morza.

- No, no, elegancja Francja - musiałam docenić.

Kajetan fachowo odpalił korek. Musujący płyn powoli napełniał kieliszki.

- Dziękuję wam, kochani. Jestem wzruszona. - Poczułam, że poca mi się oczy. -1 te kwiaty... Po co wydaliście tyle pieniędzy?

- To od taty. - Spojrzeli po sobie znacząco. -1 jeszcze przesyłka. - Podali mi zawiniątko.

- A co to? - udałam zdziwienie, domyślając się nadawcy.

- Nie wiemy. Pewnie od cichego wielbiciela... Otwórz! - Rozalia wykazywała zainteresowanie.

- Może później?

- Teraz, mami. Otwórz! - nie mogła się doczekać.

- Już dobrze.

Otwierałam paczuszkę, nie mając pojęcia, jaki prezent wymyślił Szymon. Miałam tylko nadzieję, że nie jest to nic niestosownego, czego nie mogłabym pokazać dzieciakom. Z torebki wysunęły się piękna karminowa sukienka i stylowy wisior rodem z dobrej pracowni plastycznej.

- Jakie piękne! Załóż! - zapiała Roza. A ja czułam, że się nie wywinę.

Stałam przed nimi w małej, tym razem czerwonej z wisiorem. Szymon dokładnie znał moje wymiary. Pasowała idealnie.

- To jeszcze raz za sukces, mamuś. I że taka jesteś laska! - Kajetan wstał do toastu.

Nie chcecie wiedzieć, od kogo ten prezent? - miałam ochotę zapytać, ale moje dzieci jakoś to nie obchodziło. Pewnie myślały, że to od Rafała.

POŚREDNIK

Przepraszam za spóźnienie, ale nie było łatwo urwać się z pracy - tłumaczyłam pośrednikowi, który miał mi pokazać nieduże mieszkanie w Gdyni. - Zresztą sygnalizowałam państwu przez telefon, że chyba jeszcze za wcześnie na oglądanie. Na razie nie mam pieniędzy. - Byłam zła, że uległam namowom.

Ostatnio miałam okazję przekonać się, że agenci nieruchomości bywają niereformowalni, namolni i dokuczliwi. Od kiedy zgłosiłam w kilku biurach chęć sprzedaży domu w Mieszkowicach i zainteresowanie kupnem niedużego lokum na najwyższym piętrze jakiejś ładnie położonej gdyńskiej kamienicy z możliwie najbardziej okazałym tarasem, moje życie zamieniło się w koszmar. Żeby jeszcze pojawili się chętni na dom... Przecież w ogłoszeniu nie było słowa o trudnym charakterze mojej matki, więc dlaczego nikt się nie zgłasza? Nie zdawałam sobie sprawy, że popyt na domy za miastem jest tak niewielki. Przeczolękana przez „mojego” pośrednika po iluś tam wystawionych na sprzedaż, jak to oni mówią, „lokalach” (zawsze sądziłam, że do lokalu chadza się na kolację...), chciałam

zrobić niewielką przerwę i zarzucić oględziny na co najmniej kilka tygodni. A przynajmniej do czasu choćby najmniejszego zainteresowania się moją posesją. Czułam się niezręcznie, deliberując z obcymi ludźmi o kupnie mieszkania, podczas gdy w kieszeni miałam zaledwie dwadzieścia tysięcy, i to w dodatku na otwarcie firmy.

Mój pośrednik miał jednak dużo więcej samozaparcia i zgodnie z zasadą „kupić, nie kupić, pohandlować warto” przygotował kolejne oglądanie „supermieszkania, na pewno się pani spodoba”. Mimo moich protestów i prób tłumaczenia, że zaczynamy następne wycieczki krajoznawcze od marca, rozłożył swoją klientkę na łopatki. Krótko mówiąc, uległam perswazjom i umówiłam się z nim (po raz ostatni!) na Kamiennej Górze. Na domiar złego nieco się spóźniłam i musiałam się draniowi tłumaczyć!

- Pani Marto, mam dla pani coś wyjątkowego! - oznajmił z dumą. - Ale w Orłowie. Oględziny w przyszły poniedziałek.

- I ściągnął mnie pan po to, żeby zakomunikować mi tę nowinę osobiście?!

Bezczelność ludzka, jak miłosierdzie boskie, nie zna granic!

- To nie tak. Dowiedziałem się o nowej ofercie przed chwilą. Jest znacznie bardziej atrakcyjna niż ta dzisiejsza. Dokładnie taka, jakiej pani szuka - próbowałam zarażać entuzjazmem. - Kamienica, trzy wysokie pokoje, duża kuchnia i taras z widokiem na morze! Budynek będzie remontowany i doczeka się windy!

Zadowolony z siebie czekał na reakcję.

- Dobrze, panie Radosławie, kiedy zatem zobaczę to чудо? - Skoro dzisiaj mieliśmy z głowy zwiedzanie kolejnych „lokali”, postanowiłam zajrzeć do mamy i odbyć odwiekaną od dawna rozmowę o przeprowadzce do Gdyni.

- Jeżeli dojdzie do skutku, to w przyszły poniedziałek. Rozumiem, że w godzinach popołudniowych pani odpowiada?

- Raczej w wieczornych. Czasami trudno mi wyjść z pracy przed dziewiętnastą. Dogadamy się. A teraz będę uciekać. - Wyciągnęłam do niego rękę z nadzieją na szybkie pożegnanie.

- Pani Marto... - Przytrzymał moją dłoń. - Muszę panią o coś serdecznie poprosić.

- Tak? - Czy ja się go dzisiaj nie pozbędę?

- Gorąca prośba. Znalazłem się w kłopotliwej sytuacji... - motał się, nie wiedząc, jak przejść do rzeczy.

- Proszę powiedzieć, o co chodzi.

- Jeden z moich klientów chce kupić dom na Kamiennej Górze. Znaleźliśmy mu wspaniałą okazję, niedaleko stąd. Właścicielka czeka na mnie i żonę klienta, która ma obejrzeć posesję. Niestety, poinformowała mnie przed chwilą, że wpadła w poślizg, zaliczyła dość poważną stłuczkę i nie dojedzie. Chętnych na dom jest kilku i jeżeli przełożę spotkanie, być może nie będzie czego oglądać.

- Jak mogę panu pomóc? - nie bardzo rozumiałam jego intencje.

- Jeżeli mogłaby pani odegrać rolę żony klienta... Krótko mówiąc: pójść ze mną i obejrzeć.

- I zdecydować za kogoś?

- Nie o to chodzi. Klient jest już właściwie zdecydowany. Pokazałem mu zdjęcia domu i ogrodu, widok na morze, ale właścicielka chce pokazać jeszcze pozostałe pomieszczenia. Podsumowując: jeżeli dzisiaj nie przyprowadzę małżonki klienta, uzna naszą deklarację za niewiarygodną i będzie rozmawiać z innymi biurami.

- Jak to długo potrwa? Odetchnął.

- Wynagrodzę pani jej życzliwość... Podjechaliśmy jego samochodem kilka ulic dalej. Droga

wiodła pod górę, prowadząc do zacisznej uliczki, przy której stały znane mi z dawnych spacerów z Rafałem przedwojenne wille i pensjonaty. Jako że marzenia nic nie kosztują, zastanawialiśmy się wówczas, w którym pałacu chcielibyśmy zamieszkać. Czy w tym arf *deco*, czy może w willi-pensjonacie? A może bardziej odpowiedni byłby ten z elementami kaszubskimi? Zdecydowanie powinien mieć werandę i oczywiście, bezwzględnie, widok na morze. W każdym razie bardziej widok na morze niż werandę. Dreptaliśmy sami, spacerowaliśmy z dziećmi, wracając do naszego niewielkiego gdyńskiego mieszkanka. W końcu nadszedł czas Mieszkowic. A teraz samotnego powrotu na gdyńskie śmieci. Ale zanim to nastąpi, obejrzę sobie dom młodzieńczych marzeń. Czemu nie?

- To tu. - Pan pośrednik Radosław zatrzymał samochód przed okazałą dworskową willą z czterokolumnowym gankiem i facjatą na osi wysokiego łamanego dachu. Wejścia na posesję strzegł rozłożysty dąb, opatulony

śnieżną pierzynką. Zauważyłam, że większość roślin w ogrodzie od strony ulicy stanowiły iglaki, z pewnością nasadzenia ostatnich lat.

- Witam państwa - powitała nas szacowna pani domu. Wyglądała na potomkinię rodu, do którego willa należała od pokoleń. - Najpierw pokażę pani pokoje sypialne. - Musiała mieć arystokratyczne korzenie, skoro w pierwszej kolejności nie zaprowadziła mnie do kuchni.

Zaczęliśmy od pierwszego piętra, zwiedzając pokoje właścicieli domu, z przepięknymi piecami kaflowymi, których nie zlikwidowano mimo wprowadzenia centralnego ogrzewania. Urzekła mnie łazienka w stylu włoskim i cudowne dębowe parkiety, nieco podniszczone, a mimo to lśniące. Na dole utworzył się przed nami rozległy salon z pokojem jadalnym w amfiladzie, połączonym z wygodną kuchnią.

- Przy kuchni jest jeszcze służbówka. - Pani domu dyskretnie wskazała na niewielki pokój dla pomocy domowej.

Weszłam w rolę osoby, która rzeczywiście ma zamiar poważnie zainteresować się zakupem willi, więc zaczęłam się zastanawiać nad przerobieniem służbówki na spiżarnię. Nie umknęło to uwadze obecnej właścicielki.

- Po prawej mamy pokażną spiżarnię i zejście do piwniczki z winami...

W piwniczce rzeczywiście zgromadzono spory zbiór butelek z napojem bogów i wszelakich przetworów, będących prawdopodobnie dziełem gospoisi.

- Wezmę z tego niewiele. - Właścicielka willi zamierzała dokonać transakcji wiązanej. - Nie będzie mi to potrzebne za oceanem...

- Czy pani dobrze się czuje? - Zauważyłam, że się zachwiała, więc pomogłam jej usiąść. - Może wody?

- zaproponowałam.

- Wie pani, pani Marto... - Zapowiadało się na refleksję. Pan Radosław dyskretnie wycofał się na ganek.

- Mieszkam tu od ślubu, więc było mi bardzo ciężko podjąć decyzję o sprzedaży. - Nie przerywałam, widząc, z jaką trudnością przychodzą jej zwierzenia. - Wiodłam szczęśliwe życie, miałam męża i syna. Od wielu lat jednak jestem sama, tak zdecydował los. I pewnie już do końca nic by się nie zmieniło... - Zawiesiła głos. gdyby nie Kazimierz, mój znajomy sprzed lat. Odezwał się do mnie, gdy mój syn, a później mąż zostawili mnie dla tego lepszego ze światów... Przepraszam. - Wytarła oczy chusteczką.

Nie próbowałam jej pocieszać. Sama zajrzałam do torebki w poszukiwaniu chusteczki.

-I zdecydowałam się. - Pani domu gwałtownie wyprostowała się na krześle, zaczesując ręką włosy do tyłu.

- Wyjeżdżam do Kazimierza, do Toronto. Sprzedaję willę i wyjeżdżam. Wiem, że przekażę dom w dobre ręce, znam pani męża. To bardzo porządny człowiek, pani Marto. Miałabym jednak do was, kochani, wielką prośbę, jak do kogoś z rodziny. Mogę?

Czułam się okropnie, oszukując tę kobietę, która przecież brała mnie za kogoś innego. Czy mogłam wziąć

na siebie czyjeś zobowiązanie? A jednocześnie - jak mogłam odmówić?

- Oczywiście.

- Chodzi o opiekę nad grobami moich bliskich. Nie chcę tego zlecać firmie, obcym ludziom... A wiem, że twój mąż, Marto... - Traktowała mnie jak rodzinę, jest spokrewniony z Kazimierzem. I że zajmiecie się tym jak trzeba. Nie zależy mi na wielkich pieniądzach, willa za dbałość o groby Antoniego i Rafała. Bo ja tu już nie wrócę...

- Kiedy pani zamierza wyjechać?

- Jak tylko wszystko załatwimy. - Uspokoila się.

- Przed opuszczeniem kraju chcę jeszcze po raz ostatni odwiedzić Zakopane, gdzie spędzałam wszystkie wakacje z rodziną. Wrócę pod koniec stycznia i możemy zacząć załatwiać formalności. Czy to ci odpowiada? - Starsza pani na dobre odzyskała równowagę. - Może jeszcze kawy? - Sięgnęła po dzbanek. - A gdzie jest ten pan, który przyszedł z tobą? - zainteresowała ją nieobecność pośrednika.

- Pewnie załatwia przez telefon swoje sprawy. Zaraz po niego pójde. - Wstałam z krzesła. - Odezwiemy się na początku lutego. - Sama nie wiem, jak złożyłam obietnicę.

- Cieszę się, Martusiu. - Przygarnęła mnie do siebie.

- Cieszę się, że zostawię „Romanę” w dobrych rękach. I Kazimierz też będzie zadowolony. Pozostanie mi wrażenie, że zostawiam tutaj swoje dzieci. Zadzwoń do mnie, nie zapomnij, proszę.

Uściskałyśmy się serdecznie, jak gdybyśmy znały się od lat. Schodząc z ganku, obejrzałam się jeszcze. Pani Józefina zza firanki delikatnie machała na pożegnanie. Zdobyłam się na najbardziej serdeczny z uśmiechów.

- No i jak? - Pan Radosław oczekiwał reakcji.

- Dla pana dobrze. Chyba nieźle odegrałam swoją rolę. - Miałam ochotę się go pozbyć. - Proszę pana, to nie jest zwykła transakcja. Pani Józefina życzy sobie, żeby przyszli właściciele, których uważa niemal za rodzinę, zajęli się grobami jej bliskich. Ja jej to obiecałam! Co pan z tym robi?

- Proszę się niczym nie martwić - miał gotową odpowiedź. - Mój klient o tym wie i jest na to przygotowany. Wie pani... - Zawiesił głos. - Dlatego właśnie ta oferta jest tak atrakcyjna. Nie cztery miliony, ale półtora. Różnica.

- Pana klient na pewno na tym zyska. - Nie miałam już ochoty brać udziału w tym przedsięwzięciu. - Ale czy pani Józefina? W każdym razie, panie Radosławie, przejdę się do swojego samochodu. I proszę do mnie więcej nie dzwonić.

- A ta oferta w Orłowie? - próbował.

- Zastanowię się. W razie czego mam do pana numer. Dotarłam spacerkiem do corsy, zaparkowanej przed marketem kilka ulic dalej, zastanawiając się nad znakami stawianymi przez los na naszej drodze. Starsza pani Józefina z willi „Romana” niebawem wyjedzie za ocean, do swojego Kazimierza, dawnej miłości, pozostawiając pamięć po dobrym życiu na Kamiennej Górze w rękach ludzi, którzy mają sprawować pieczę nad grobami jej

zmarłych. Czy kupią willę wyłącznie dla dobrej ceny? A co zrobiłabym ja? Wybrałam numer.

- Pani Józefina?

- Poznaję cię, Martusiu - ucieszyła się. - Zapomniałaś o czymś?

- Chciałam tylko powiedzieć, że niezależnie od wszystkiego zajmę się grobami pani męża i syna. Zadzwoń do pani na początku lutego i razem pójdziemy na cmentarz. Proszę się niczym nie martwić. Cieszę się, że się poznałyśmy.

- Ja też. - Wydawała się zdziwiona. - Ale tak właśnie sobie ciebie wyobrażałam, słuchając twojego męża. Dziękuję ci za telefon.

- Proszę uważać na siebie w Zakopanem. I do zobaczenia.

- Do widzenia, moja droga.

MAMA

- Cześć mamuś. Przyniosłam ciasto na podwieczorek! - Drzwi u mamy stały otworem. - Nie zamykacie się?! - krzyknęłam z przedpokoju.

- To pewnie ja zapomniałem. - Pan Zdzisław wyłonił się z salonu i jak zwykle wziął winę na siebie. - Dzień dobry. Jakie dobre wiatry sprowadzają panią do nas? - witał, odbierając ode mnie płaszcz. - Kawa czy herbata?

- Może kawa? Właśnie jedną wypiliśmy, ale mam ochotę na drugą. Bez mleczka, panie Zdzisławie, i nie za mocną proszę. A gdzie mama?

- Położyła się na chwilę. Renata zabrała już Michalinę, a Stefania odpoczywa po dyżurze. Mała jest trochę chora. Zmęczyła babcię.

- Zdzisiu, ktoś przyszedł? - usłyszałam głos mamy z drugiego pokoju.

- To ja, mamuś. Byłam w pobliżu i wpadłam. - Uchyliłam drzwi.

- Już wstaję. Zrób sobie coś do picia!

Za chwilę mama pojawiła się przy stole, na którym zdążyliśmy rozstawić ciastka i filiżanki z kawą.

- Renatka miała rozmowę o pracę, więc podrzuciła mi małą. No, ja nie wiem, jak ona sobie wyobraża tę pracę, z dzieckiem, które ciągle jest chore. Ja uważam, że Krzysztof powinien zapewnić jej godziwe alimenty, żeby zabezpieczyć im byt, przecież on nieźle zarabia, a tak w ogóle to wstyd zostawić żonę z dzieckiem na pastwę losu i wynieść się do obcej baby, a taki był miły, krętacz jeden, kamuflował się przez tyle lat, udawał kochającego męża i ojca, jak ja bym go dorwała!

Słuchaliśmy z panem Zdzisiem tyrady na jednym oddechu, która zdawała się nie mieć końca. Mama wylewała wiadra pomyj na głowę nieobecnego Krzysztofa, nie dawała sobie przerwać, na wszelkie próby otwarcia ust reagowała podniesieniem głosu, jak gdyby jej słowa zyskiwały na wartości przy zmianie tonacji.

- Stefanio, dolać ci śmietanki? - pan Zdzisław delikatnie usiłował zakończyć temat.

- Czy ty myślisz, że mi teraz w głowie śmietanka?!

- Nie udało mu się. - A co ty o tym sądzisz? - mama zwróciła się do mnie.

- To znaczy o czym, mamó? - Nie kojarzyłam, czy chodzi o morale Krzysztofa, czy o niedoszłą pracę Renaty.

- Wy mnie wcale nie słuchacie! A może u ciebie w redakcji znalazłaby się jakaś praca dla Reni, na pół etatu?

- Nie sądzę, ale mogę popytać - niepotrzebnie podjęłam zobowiązanie. - Mamó, jeżeli Renata będzie chciała, sama ze mną porozmawia na ten temat

- zaczęłam się wycofywać. Rozmowa zmierzała w kierunku konfrontacji. - A poza tym ona teraz spotyka

się z jednym z moich redakcyjnych kolegów. Może razem coś wymyślą?

- Łatwo ci mówić, kiedy masz pracę i dorosłe dzieci, i porządnego męża, który ci płaci alimenty! A Renata... Powinnaś ją zrozumieć i pomóc!

- Stefanio, przestań. Marta nie ma męża. - Pan Zdzisław nie wytrzymał maminego tokowania. - Jesteś niesprawiedliwa i nieobiektywna. Marta, zostań, proszę! - Chwycił mnie za rękę, gdy już wstawałam od stołu. Usiadłam, ale tylko dla niego.

Patrzyłam na moją matkę i obcego faceta u jej boku, który był mi bliższy niż ona. Nie chciało mi się po raz kolejny analizować, dlaczego moja matka traktuje inaczej mnie i moją siostrę. Nie miałam ochoty po raz enty posypywać głowy popiołem i brać całej winy na siebie, że widocznie byłam nie dość mądra, nie dość dobra, nie dość opiekuńcza, nie dość... Nie dość. Próbowałam, starałam się, poświęcałam. Teraz napotkałam niechętny wzrok i przeszły mi wszelkie skrupuły.

- Mamo, to nie tak miało wyglądać, ale cóż. Przyszłam ci powiedzieć, że zdecydowałam się sprzedać Mieszkowice i przeprowadzić się z dziećmi do Gdyni. Chciałam, żebyś wiedziała, że będziesz miała inne sąsiedztwo. Wreszcie będzie wam z Renatą dobrze. Beze mnie. - Ostatnie zdanie dodałam niepotrzebnie.

Zaniemówiła. Prawdopodobnie potraktowała moją niesubordynację jak chwilowy wybryk zdenerwowanej córki. Przecież do tej pory wszystko udawało się ze mną załatwić, nawet obiadowe menu na przyjazd gości. Pan

Zdzisław wyszedł do kuchni, by nastawić wodę na kolejną kawę. Nie chciał być świadkiem dalszego ciągu.

- Żartujesz, prawda? - nie uwierzyła.

- Nie żartuję. Szukam mieszkania w Orłowie - powiedziałam pewnie, patrząc jej prosto w oczy.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Chcesz mnie zostawić samą? - Tylko tyle była w stanie pojąć.

- Nie samą, tylko z panem Zdzisławem. A my z Renatą i dziećmi będziemy cię odwiedzać, kiedy nas zaprosisz.

- Nie spodziewałam się tego po tobie. Zdzisław, możesz podać mi wodę? - Próbowała wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia „złym samopoczuciem”.

- Steniu, przestań, proszę. - Podał jej filiżankę. - Zrozum, Marta ma swoje plany.

- To bez znaczenia, panie Zdzisławie. - Tym razem nie pozwoliłam powstrzymać się przed wyjściem. - Mamo, przemyśl pewne sprawy i kiedy będziesz gotowa, porozmawiamy. Cieszę się, że wam się dobrze układa. Będę uciekać, dobranoc. Proszę mnie nie odprowadzać. - Zatrzymałam gestem pana Zdzisława, który podnosił się z fotela, by zamknąć za mną drzwi. Nie usłyszałam, żeby mama chciała mnie zatrzymać.

W samochodzie włączyłam greckie rytmy i dałam się porwać wakacyjnym klimatom, otoczona zewsząd śnieżną pokrywą. Drogi na szczęście były czarne, samochody migały światłami, wydeptując kołami codzienne ścieżki. A może by tak wpaść do Aliny? Kusząca perspektywa po ciężkich zmaganiach. Ale tam pewnie spotkam Krzysztofa... Nie do końca potrafiłam się pogodzić z jego

obecnością u boku najbliższej przyjaciółki. A może jednak podjechać? Dzieciaki dzisiaj znowu u Rafała, nic się nie stanie, jeśli zwierzaki jeszcze trochę posiedzą same. Byle do wiosny. Za kilka miesięcy nie będę się już przejmowała dojazdami do domu. W razie czego wezwę taksówkę.

Już miałam chwycić za komórkę, gdy ta odezwała się znieznacka, jakby usłyszała moje myśli.

- Marta? Tu Alina, możesz rozmawiać? Pewnie, że mogłam!

- Wróciłaś z Warszawy, a ja jestem ciekawa, jak było. Kiedy się zobaczymy? Krzysztof miał pierwszą rozprawę. Tak bym chciała pogadać.

To zupełnie jak ja.

- Wracam do domu od mamy, ale ty pewnie teraz nie możesz?

- Mogę. Krzyś zostanie z Czarkiem. Może byś mnie zabrała na wieś? Mam naleweczkę z pigwy... - kusiła.

- Jestem u ciebie za trzy minuty! - Już niemal parkowałam przed jej domem.

- Schodzę! Nie wiesz nawet, jak się cieszę! Zapowiadał się miły wieczór.

Za godzinę w piekarniku skwierczały grzanki z serem, a ja kończyłam mieszać sałatkę. Alina rozłożyła na stole serwetki i talerzyki, w czareczkach znalazły się dipy. Podochocone dwoma kieliszkami nalewki, cieszyłyśmy się ze wspólnego wieczoru.

- Mów, jak było! - Zrelacjonowałam swoje ciężkie przeżycia na gali. - I co dalej? - Opowiedziałam o planach

związanych z firmą. - Będę nadal pracować u starego, do czasu gdy stanę na nogi. A potem... Kochana, wielkie projekty!

- Na pewno ci się uda - powiedziała. Czy mi się wydawało, czy usłyszałam zawód w jej głosie?

- Ala, musi. W końcu musi mi się coś udać, rozumiesz? Ją też trzeba przekonywać?

- Pewnie! - otrząsnęła się z nagłego zwątpienia. - Zatem za twój sukces! I żebyś wreszcie urządziła sobie życie. A co u Szymona?

Miałam ochotę zapytać u którego. Tego z mejli, z sylwestra czy z Warszawy?

- Dobrze - zdecydowałam się nie komplikować historii. - Piszemy do siebie i niebawem się spotkamy. Mówiłaś, że Renata i Krzysztof są po pierwszej rozprawie - zmieniłam temat. Z premedytacją przywołałam imię Reni, żeby było jasne, kogo zostawił jej Krzyś.

- Jesteś zła, Martusiu - zauważyła. - Masz prawo i rację. Krzysiek też to rozumie. - Zrobiła się bardzo poważna. - Oboje postanowiliśmy, że zostawi Renacie wszystko. I wygląda na to, że jej to odpowiada, bo zgodziła się na rozwód.

- Renata się zgodziła? Bez walki? - Znałam moją siostrę i wiedziałam, że coś się za tym kryje.

- Krzyś oddał jej dom, samochód, garaż, komplet... I dobrze zrobił.

- A alimenty? - Przeczuwałam, że Renata ma wygórowane oczekiwania.

- No właśnie. Chce bardzo dużo i niestety Krzyś musi poprosić o pomoc adwokata. - Ala wyraźnie posmutniała.

- Trudno, jakoś to będzie, Marta! Może włączysz płytę?
 - próbowała zmienić nastrój.
 - Kiedy Krzysztof odzyska wolność? - Nie dałam się zbyć.
 - Jeżeli dojdą do porozumienia, to za jakieś dwa tygodnie.
- Niech się godzi na wszystko, byleby tylko było to już za nim.

Wiedziałam, o co chodzi. Renata stawiała żądania. Przypomniałam sobie ostatnie esemesy od mojej siostry, która u boku Łukasza najwyraźniej odzyskiwała dawny wigor i roszczeniowy stosunek do świata. Głównie do Krzysztofa.

„Oskubię tego paskudnego drania do końca”. „Tylko nic nikomu nie mów, że jestem z Łukaszem, bo jeszcze będzie żądał rozwodu bez orzekania o winie”. „W sumie dobrze się stało, że sobie poszedł”. Gdybym przeczytała je Alinie...

- Ala, zostawmy ten temat, proszę. - Nie miałam ochoty na ciąg dalszy. - Nie potrafię być obiektywna w tej sprawie. Ale starałam się. Przepraszam.

- Nie masz za co, Marta. Mam wziąć taksówkę?

- Nie - odparłam po zastanowieniu. - Wszystko się ułoży. - Zobaczyłam Renatę z Łukaszem (lub kimś innym) w domu, który zostawił jej Krzysztof, w samochodzie, który zostawił jej Krzysztof, zadowoloną. - Nie, nie wyjeżdżaj, Alinko. Wypijmy za to, żeby styczeń się skończył i rozpoczęło się coś nowego.

- O czym ty mówisz? - Wzięła moje głębokie refleksje za pijacki bełkot.

- Ty nareszcie będziesz ze swoim Krzysztofem, a ja być może z Szymonem. Za początek lutego!

- Za szczęśliwy początek lutego! - Alina uniosła kieliszek.

- Idziemy na śnieg? - wpadłam na genialny pomysł. Ogród tonął w bieli.

- No jasne! - Poderwała się z kanapy.

- Nie żal ci? - zapytała, gdy ulepiłyśmy okazałego bałwana. Stanął przy zastygłym w zimowym śnie oczku wodnym.

- Nie - odpowiedziałam z przekonaniem. - Przyznam, z perspektywy czasu, że żal mi było lat spędzonych z Rafałem i rodziny Zawadzkich, która w jednej chwili przestała istnieć...

- Trochę za twoją sprawą...

- Sugerujesz, że powinnam mu wybaczyć zdradę? Może i tak, ale wtedy nadal tkwiłabym w skostniałym, niewygodnym układzie, gdzie wszyscy dbają o własne dobre samopoczucie, a mnie nie ma, Alina. Nie ma. Gdyby Rafał tak się nie zmienił? Gdyby... Nie, nie żałuję - odpowiedziałam, już zdecydowanie, odsuwając od siebie wszelkie wątpliwości. - Mam się spotkać z Szymonem za dwa tygodnie - w końcu ujawniłam konkret. - Nie wiem, jaki jest w rzeczywistości. Ale boję się, że szukam faceta podobnego do Rafała.

- Czy ty go wciąż... ?

- Nie, Ala, nie. Jeżeli to masz na myśli. - Obie unikałyśmy trudnego słowa. - Po prostu ostatnio nie mam mu nic do zarzucenia. Interesuje się dziećmi, finansuje

je i nawet dla mnie próbuje być dobry. Szkoda, że tak późno.

- A może?

- Nie ma żadnego może. Ala, daj mi spokój i nie każ o tym myśleć. Samej z sobą trudno mi dojść do ładu. Słyszałaś? Za dwa tygodnie spotykam się z Szymonem, który jest bardzo fajnym, opiekuńczym facetem. Przynajmniej w listach.

- Chodźmy do domu, pani Zawadzka. - Zawsze tak mówiła na zakończenie poważnych tematów. - Już nawet psu zrobiło się zimno.

- Dlaczego ja cię tak nie lubię? - Złapałam garść śniegu, fundując jej niezłe mycie.

- Zwariowałaś?! - Odwzajemniła się tym samym. Kulałyśmy się w śniegu, obszczekiwane przez Łajdusa.

- Gdzie tak powariujemy w Gdyni? - Widać Ala bardziej ode mnie żałowała Mieszkowic.

- Jak to gdzie? Na tarasie z widokiem na morze! Będzie pięknie!

PAN RADOSŁAW

"Cześć, Szymonie! Witam Cię z nieco mrocznych, nocnych Mieszkowic! Właśnie postawiliśmy z Aliną wielkiego bałwana z ogromnym marchewkowym nosem. Jest tak duży, że nawet Łajdus nie może dać mu rady, chociaż czyni liczne próby. W końcu muszę zapędzić kundla do domu, bo jeszcze mu się uda?

Jestem wolna i zadowolona. Myślisz pewnie, że to za sprawą nagrody i nadziei na przyszłe zyski? Nic bardziej mylnego. Po prostu napiłyśmy się z Aliną pigwowej nalewki i bardzo dobrze się czujemy. Szymon! Zaczynam nowe życie! Jutro pogadam z Łukaszem o założeniu firmy, szukam mieszkania w Gdyni. Ostatnio mój pośrednik wkręcił mnie w oglądanie domu na Kamiennej Górze w zastępstwie osoby, która nie mogła przyjść. No, nie powiem, żeby mi się ta willa nie podobała... Jest cudowna, stara, pięknie położona, z duszą. Podobnie jak jej właścicielka, pani Józefina, która od pierwszej chwili miała ochotę mnie zaadoptować i uczynić spadkobierczynią rodzinnych pamiątek oraz opiekunką grobów jej najbliższych. Wyjeżdża na stałe do Kanady i chce

pozostawić w moich rękach spokój swoich zmarłych. I wiesz co? Ja się na to zgodziłam. Nieważne, że w zastępstwie. Nie podejrzewam, że nowym właścicielom będzie się chciało, mnie jednak pani Józefina ujęła i nie będę jej wyprowadzać z błędu, mimo że nigdy nie zostanę gospodynią willi „Romana”. Nic w życiu nie dzieje się przypadkiem i widocznie los postawił ją na mojej drodze w jakimś celu... A swoją drogą ta willa... Już się widziałam przy kuchennym stole nad projektami, a w przerwie mieszającą w garnkach różne smakowite dania dla moich bliskich... Życie.

Tyle gadam, a zapomniałam podziękować Ci za cudowny prezent. Suknia leży jak ulał, a wisior jest naprawdę boski. Zachodzę w głowę, skąd znasz moje wymiary i skąd wzięłeś adres tak zręcznego artysty jubilera. Prawdę mówiąc, miałam skrupuły, na szczęście jednak nie znam Twojego adresu i nie mogę zwrócić podarunku. I zapamiętaj, nie oddam Ci go, nawet jeśli się spotkamy i... nie będziemy razem. Gdybym była trzeźwa, nigdy bym tego nie napisała, ale nie jestem i mogę sobie pozwolić na szczerłość. Masz, Szymonie, gust jak mój były mąż. Przepraszam za to porównanie, pewnie sprawiłam Ci przykrość, ale tak to już jest z kobietą z odzysku: zawsze w jakimś sensie narażasz się na porównywanie z jej byłym. Właściwie powinnam wykasować kilka ostatnich linijek, ale pozwól, że tego nie zrobię. Stoi przede mną ostatni kieliszek nalewki. Czas powoli kończyć. Mam nadzieję, że pracujesz pilnie nad swoim projektem, bo do naszego spotkania zostały niecałe dwa tygodnie. Trochę się boję.

A może przełożymy termin spotkania na koniec lutego?

To też dobra data. Co Ty na to?

Położę się, bo jutro trzeba jechać do roboty, stary nie odpuszcza. Może byłam dzisiaj trochę chaotyczna, to przez tę nalewkę. Cholernie mocna. Pozdrawiam, Szymonie, dwojga imion Marta (albo jak mnie nazywa Alina - Zawadzka)".

Ranek okazał się względny, zważywszy na pustą butelkę po nalewce. Wstałyśmy rano, żeby Alina zdążyła do domu i dostarczyła Czarka do szkoły. „Potem” jednak było już tylko gorsze.

- Marta, wejdz do mnie! - Ledwie zdążyłam zdjąć kurtkę, stary wskazał mi drzwi do swojego gabinetu. - Co ty sobie wyobrażasz? Robisz za gwiazdę?! Wychodzisz sobie, o której chcesz, a robota leży?

- O co chodzi, szefie? - Znów mu krawat źle leżał.

- „O co chodzi, szefie?”! Nie miałem tekstu na czołówkę! Gdzie ty byłaś?!

- Przecież zostawiłam Dorocie kilka kawałków, zanim wyszłam. Przecież mi pozwoliłeś.

- Pozwoliłem?! Nie wiedziałem, że mamy plażę!

- Juliusz, wyszłam o osiemnastej. To i tak dwie godziny po czasie. I zostawiłam teksty Dorocie, słuchasz mnie? A że ta... ich nie dała, to bujaj się z nią, a mnie zostaw w spokoju. I wypraszam sobie, żebyś mnie nazywał gwiazdą i mi ubliżał. Weź się, kurczę, za młodych, a nie wyładowuj się na tych, którzy ci nie odpyskują. Skończyłam. Mogę usiąść?

Drań. Nawet nie wskazał mi krzesła.

Stał zaskoczony i zdziwiony natarciem. Usiadłam bez zaproszenia. Nie spuszczałam z siebie oka. Stary pierwszy machnął ręką.

- No dobra, uniosłem się - zagadał polubownie. - Co zamierzasz?

Domyślałam się, że spodziewa się mojej rezygnacji.

- Juliusz, możemy porozmawiać szczerze czy będziesz się wściekać? - Byłam gotowa do negocjacji.

- Dawaj.

- Wiosną będę robiła ogród według swojego projektu, który, jak wiesz, wygrał konkurs. A za nim, mam nadzieję, pójdą następne projekty i realizacje. Muszę założyć firmę, żeby móc się rozliczać. Pewnie nie będę miała tyle czasu na pracę w gazecie, co dziś. Julek, chciałabym jeszcze tu pracować, ale nie wiem, czy będzie dla mnie miejsce. Dałabym radę na pół etatu.

- Jesteś pewna?

- Nie jestem pewna. Mam taki plan.

- I ja mam się zgodzić na te twoje pół etatu?

- Jeżeli już rozmawiamy, to bardzo bym cię o to prosiła. Chociaż przemyśl.

- Wracaj do pracy, Marta. Wiesz, ostatnio ciągle mnie zaskakujesz. Nie poznaję cię.

Sama siebie też nie poznawałam.

- Już idę, szefie - tylko tyle udało mi się wyartykułować. - Pomyślisz?

- Dogadamy się, Marta. W końcu Łukasz też ma swoją firmę.

Zrozumiałam, że nie zamierza mnie wyrzucić z gazety.

- Dzięki, wracam do pracy.

Zajęłam swoje ciepłe miejsce przy oknie z widokiem na port. Ilekroć potrzebowałam ukojenia, znajdowałam je właśnie tutaj. Industrialny krajobraz na tle majaczącej zatoki, niebieskiej latem, poszarzałej jesienią, zimą zmrożonej lodowatą bryzą... Moje miejsce, moja zatoka, moje morze, moje tęsknoty za oknem... Nie chciałam się ich pozbywać całkowicie. Zależało mi na tej połówce etatu.

- Pani Marta? - marynistyczne refleksje przerwał mi telefon. No tak, „mój” pośrednik w obrocie nieruchomościami, pan Radosław.

- Proszę pana, nie będę oglądać żadnych nowych mieszkań. Za ostatnie wyjście właśnie zaliczyłam opeer od szefa - niemal wyszeptałam w słuchawkę.

- Ale nie o to chodzi, pani Marto! - Agent namolnością przypominał domokrażcę z amerykańskich filmów. - Rzecz w tym, żeby pani raz jeszcze poszła ze mną na Korzeniowskiego, to znaczy do pani Józefiny. Ona chce przed transakcją spotkać się z panią, by pokazać rodowe zdjęcia.

- Przepraszam, nie rozumiem. Nie mogę tej kobiety ciągle oszukiwać i udawać żony kupca. Kiedy wasz klient ma podpisać umowę?

- Na początku lutego, ale pani Józefinie bardzo zależy. Pani Marto, proszę. Ona mówi wyłącznie o pani, proszę to dla niej zrobić. Przecież to nic nie kosztuje, a ja się zrewanżuję za poświęcony czas. Proszę.

Przypiliło go wyjątkowo. Pewnie i jego klienta.

- Panie Radosławie, nie mogę teraz rozmawiać - skłamałam. -
Zadzwoń, gdy tylko będę wolna. Przepraszam, szef idzie -
użyłam powszechnego straszaka. - Zadzwoń, panie
Radosławie, gdy już zdecyduję, co zrobić.

PANI JÓZEFINA

- Ala, mam zagwozdkę - zaczepiłam ją po pracy.

- Przepraszam cię, śpieszę się do domu, Czarek został sam. Jest trochę chory, a ja bez auta.

- Podwiozę cię, okej? I pogadamy po drodze.

- Będę wdzięczna.

Miałam kwadrans, żeby wyłożyć Alinie historię o poznaniu starszej pani i oglądaniu domu na Kamiennej Górze.

-I co ja mam teraz zrobić? - szukałam rady - Jeśli się przyznam, wyjdę na oszustkę i komuś źle się przysłużę. Na pewno nie kupi tego cuda za półtora miliona. Że nie wspomnę o pośredniku i straconej prowizji.

- Agenta olej, odbije sobie na innej transakcji - Ala wyraziła przekonanie, z którym zgadzałam się w pełni.

- Nie wiem. Wydaje mi się jednak, że powinnaś pomyśleć o zaufaniu i sympatii, którym obdarzyła cię ta pani. Jedź do niej, obejrzyj rodowe zdjęcia, idźcie na cmentarz. Skoro nie wiesz, co masz robić, odłóż uświadamianie pani Józefiny. Bardzo by się zawiodła, gdyby prawda wyszła na jaw.

- Przecież kiedyś wyjdzie, Ala!

Że też musiałam dać się tak omotać!

- Wszystkiego w życiu nie przewidzisz. Może los pomoże ci rozwiązać ten problem? - Alina-czarownica jak zwykle wierzyła, że wystarczy dostrzegać wokół siebie znaki i postępować zgodnie z ich wskazaniem.

- Dobrze, już dobrze, umówię się z nią... - Z braku innych pomysłów ten wydał się najbardziej racjonalny. - I tak teraz nie mam siły na wyznanie prawdy. Jesteśmy pod domem.

Alina wypadła z samochodu, posyłając mi buziaka.

- Nie martw się! Jestem pewna, że się ułoży! - Pomachała mi na pożegnanie. - Co ty możesz na to, że wszyscy cię kochają? - Puściła oko i zniknęła za drzwiami na klatkę schodową.

- Marta? - Nie zdążyłam ruszyć, gdy dopadł mnie telefon od Renaty. - Słuchaj, mam do ciebie sprawę. Możesz rozmawiać?

- Wracam do domu. Mów.

- Mam za sobą pierwszą rozprawę, słyszysz? - Odniosłam wrażenie, że nie jest sama. - Oddał mi dom i samochód, wszystko! Niech sobie siedzi z tą swoją cierpiętnicą w jej M-2.

- I co w związku z tym? - Nie podzielałam jej entuzjazmu.

- Teraz chodzi o alimenty, siostra. Muszę go oskubać z kasy, rozumiesz?

Pewnie była z Łukaszem. I w doskonałym nastroju.

- Renata, porozmawiamy później. Wracam z pracy. Możemy się spotkać na przykład jutro?

- Jakie jutro, Marta? To szybka sprawa. - Renia nie zamierzała odpuścić. - W przyszłym tygodniu w środę bierz urlop, czy tam zwolnienie, i wpadnij do sądu na dziesiątą. Powiesz tylko, że mój mąż nie zajmował się specjalnie domem, nie chciał, żebym podjęła pracę, przez co ja straciłam kontakt z zawodem i zestarzałam się... - Tu usłyszałam delikatny chichot Łukasza. - ...że zostałam z dzieckiem bez środków do życia. Przecież możesz powiedzieć o tym, jak nas z Michaliną dokarmiałaś w Mieszkowicach i jak Krzysztof skąpił mi pieniędzy na wyjazd do Grecji, kiedy próbowałam ratować twoje samopoczucie, bo wypięły się na ciebie twoje własne dzieci. Mogłaś liczyć tylko na mnie. No, teraz czas na rewanż.

-Nie.

- Co nie? - Dobre samopoczucie ustąpiło miejsca zaskoczeniu.

- Nie będę zeznawać przeciwko Krzysztofowi - cedziłam słowa. - Ani na tej, ani na żadnej innej rozprawie.

- Zwariowałaś! Ty z nim trzymasz?! - Zaskoczenie przeszło w oburzenie.

- Nawet z nim nie rozmawiam, Renia. Słyszałaś może, że w sądzie należy mówić prawdę, bo kłamstwo grozi odpowiedzialnością karną? - przytoczyłam sądową regułę. - Ty wiesz, że Krzysztof dawał ci wszystkie pieniądze i dbał o was jak żaden inny mąż, po którym zresztą szybko się pocieszyłaś. Nie mogę zeznać, że było inaczej.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Nawet Łukasz powstrzymał się od komentarza i przestał szeptać Renacie do ucha.

Moja siostra na gorąco próbowała ocenić szanse przekonania mnie do zmiany stanowiska. Prowadziłam samochód gdyńskimi zatłoczonymi o tej porze ulicami i czekałam na ripostę. Doczekałam się.

- Bardzo proszę. Rób, jak chcesz. Widzę, że ostatnio zmierzasz do zerwania kontaktów z całą rodziną. - Wytoczyła ciężkie działo. - Mama powiedziała mi o Mieszkowicach. - Miała jeszcze w zanadrzu mały granat. - Wyprzedajesz rodzinne dobra? Zostawiasz mamę?! Jak ona sobie poradzi z ogrodem?!

Nie mogłam już tego słuchać.

- Ty jej pomożesz w ogrodzie, siostrzyczko. Przekazuję ci po latach pałeczkę. - Staralam się zachować spokój. - A jeśli chodzi o rodzinne włości, to rzeczywiście sprzedaję, ale własne, a już na pewno nie twoje. I lepiej nie zapraszaj mnie do sądu, bo mogłabym powiedzieć nie to, co chciałabyś usłyszeć.

- To się doczekałam! - Renata udała ugodzoną zatrutą strzałą niezrozumienia.

- Doczekałaś się na własne życzenie. I uważaj na Łukasza. To fajny facet, ale na krótko.

Nie wiem, dlaczego ją przestrzegam. Powinna przekonać się sama.

- Zazdrościsz? Nie wyszło ci z tym internetowym gościem? - wyszczała wściekła.

- Renata, tak czy inaczej nie będę z tobą o nim rozmawiać. I zanim się nie uspokoisz, nie zamierzam kontynuować i tej konwersacji. Cześć.

Wyłączając komórkę, przerwałam kolejne ostre i jadowite słowo, które na szczęście nie ujrzało już światła dziennego. Odwróciłam telefon obudową do góry, żeby nie widzieć migającego światełka, sygnalizującego próby kolejnych połączeń. Odebrałam później, gdy na ekranie pojawiła się ikona „Rożka”.

- Dlaczego nie odbierasz? Próbuję od dziesięciu minut! - Moja córca również sprawiała wrażenie zniecierpliwionej.

Nie zdążyłam zareagować, a w kierunku mojego ucha popłynął potok słów.

- Słuchaj! Tu się szykuje jakiś zlot czarownic! Słyszałam, że babcia ściąga ciotkę i będą cię przekonywały, żebyś nie sprzedawała wiochy. Mami... Nie będzie miło. W każdym razie - ja się zmywam. Kubuś przyjedzie po mnie, a spać będę u taty, okej?

- A gdzie Kajtek?

- Też u ojca. Jutro ma basen na siódmą, kojarzysz?

- Tak, fakt. Wiesz co, Rozalia? - Wpadłam na wspaniały pomysł. - Mam do załatwienia bardzo ważną sprawę w Gdyni, więc i ja zostanę na noc w mieście. Może ojciec i mnie przenocuje? Spotkamy się u taty wieczorem. Weź moje malowidła do twarzy i mleczko do demakijażu. Aha, jeszcze zmianę bielizny i tę brązową bluzeczkę z dekoltem. Zrobisz to dla mnie?

- Jasne - powiedziała, ale jakoś dziwnie i bez entuzjazmu. Albo mi się wydawało.

Zatrzymałam się na najbliższym parkingu. Wypada, nie wypada, wklepuję. Numer do pani Józefiny.

- Tu Marta, dobry wieczór. - Odebrała od razu. Chyba jej nie obudziłam?

- Czekałam na telefon od ciebie, dziecko. Nie przeszkadza ci mówienie po imieniu?

- Jest mi bardzo przyjemnie. - Na tyle mogłam jej pozwolić, była to cena za moje krętaactwa.

- Mówiłam temu młodemu człowiekowi (pewnie ma na myśli pośrednika Radosława), że chciałabym pokazać ci rodzinne zdjęcia...

- Wiem. Czy mogłabym teraz przyjechać? Jestem w pobliżu...

- Nastawię ekspres i pokroję szarlotkę. Czekam, ale uważaj. Na drodze taki śnieg...

Gdy dotarłam, na stole leżały bielsze od śniegu serwetki z haftem richelieu, na których pani domu postawiła kryształowe talerzyki, gotowe na przybraną bitą śmietaną szarlotkę, której cynamonowy zapach wypełniał salon, mieszając się z aromatem kawy.

Pani Józefina przygotowała stertę albumów, których obejrzenie mogło zająć nawet... Nie chciałam szacować, ile czasu.

- To jest mój mąż Henryk. - Otworzyła jeden. Zobaczyłam wysokiego, prosto trzymającego się mężczyznę z sumiastym wąsem. - Był inżynierem w Stoczni Gdyńskiej - przedstawiła go z dumą. - Jeszcze przed wojną. Wtedy zamieszkał w willi „Romana”. A kiedy się pobraliśmy w czterdziestym ósmym... Miałam wówczas osiemnaście lat - rozmarzyła się. - Zamieszkałam tu razem z nim. Mimo trudnych czasów było nam dobrze, Martusiu.

- Przygotowałam się na dłuższą spowiedź. - Henio dużo znaczył dla stoczni i nikt go nie gonił za inteligenckie pochodzenie. Urodził się Rafał. Życie przez trzydzieści lat wydawało się bajką.

Przerwała. Musiałam dać jej czas na przeżycie wspomnień.

- A po śmierci Rafała nie było już tak piękne i szczęśliwe. Henryk opuścił mnie pięć lat po synu. Od siedemnastu lat mieszkam sama w domu, który kocham...

- Sięgnęła po chusteczkę. - Może nie powinnam jechać do tej Kanady, dziecko? - ożywiła się. - Może na stare lata stałam się samolubna? Żeby zostawiać groby syna i męża? Co mam robić, powiedz?

- Pani Józefino... - uczyniłam wstęp, żeby choć chwilę się zastanowić. - Ma pani piękne zdjęcia z mnóstwem cudownych wspomnień. Proszę wybaczyć, ale trudno mi radzić w pani sytuacji, mogę tylko starać się pomóc.

- Czułam, że za chwilę i mnie przyda się chusteczka.

- Ale myślę... - rozryczałam się na dobre. - Myślę, że...

- Opanuj się, przestań beczeć! - nakazałam sobie. - Myślę, że powinna pani jechać.

Byłam zadowolona, że udało mi się wykrztusić cokolwiek.

- Dlaczego? - szukała potwierdzenia.

- Bo... Bo tam czeka na panią miłość.

Nie wiedziałam, czy czeka na nią miłość, czy zaledwie spokojna starość u boku spokojnego, miłego faceta, ale dlaczego ma nie pójść na całość? Nie dać staremu sercu nadziei na coś wyjątkowego u boku Kazimierza?

Pani Józefina spoglądała na mnie z ufnością. Czyżbym powiedziała coś, co chciała usłyszeć? Po chwili podniosła się z fotela i skierowała ku komodzie. Odwróciłam wzrok. Nie chciałam patrzeć, czego szuka w szufladzie, nie chciałam być świadkiem odkrywania tajemnic.

- Czy możesz wyjąć z witryny dwa kieliszki do nalewki? - zwróciła się do mnie, nie zaprzestając poszukiwań.

- Mogą być te herbaciane?

- Tak. I przynieś ze spiżarni miódówkę. Tę ciemniejszą, jest lepsza. - Gdy byłam potrzebna, czułam się pewniej.

- Usiądź! - zadysponowała, kiedy postawiłam na stole wytarte z kurzu kieliszki. - Popatrz. - Otworzyła skórzane pudełeczko, w którym spoczywał pierścionek ze szmaragdem.

- Jaki piękny! - nie mogłam oprzeć się wrażeniu. - Oprawa godna mistrza! I ten kamień!

- Podoba ci się? - Pani Józefina wpatrywała się w cacko. - To mój zaręczynowy. Od Henryka.

- Bardzo piękny. Wspaniały.

Komplementy przychodziły mi z łatwością. Był wyjątkowy.

- Chcę ci go dać. Pragnę, by pozostał tutaj, w tym domu. W willi „Romana”, z tobą. Wiem, że będziesz o niego dbała. Możesz przekazać go swojej córce albo synowej i one też... Dzięki wam jakaś częśćka mnie pozostanie na miejscu, Martusiu. Czy mogę tak do ciebie mówić? - upewniała się.

Rozłożyła mnie na czynniki pierwsze. Pani Józefino, ma pani przed sobą oszustkę, która wkręcona przez

jakiegoś fatalnego pośrednika w obrocie nieruchomościami udawała żonę kupca. Przepraszam, ale ja nie kupię tej pięknej willi, nie będę mogła jej pieścić, remontować, kochać, uwielbiać i być tu szczęśliwą, choć chciałabym tego, bo już ją pokochałam...

Gospodyni patrzyła na mnie, a ja z każdą chwilą byłam coraz bardziej pewna swojej decyzji.

- Tak, pani Józefino. Może mnie pani traktować jak członka rodziny. Będę zaszczycona, nosząc pani szmaragd. I przekażę go córce, gdy wyjdzie za mąż. I cieszę się, że będę mogła zamieszkać w willi „Romana” i o nią zadbać.

Nalewka była znakomita, podobnie jak dalszy ciąg wieczoru. Kładąc się w łóżu na pięterku, czułam się jak u siebie. Niech się dzieje, co chce.

To musi być... To będzie mój dom.

RAFAŁ

Poszłam spać nierozmalowana, wskutek czego rano wyglądałam jak nieco przechodzony, ale jednak człowiek. Próba niekłopotliwego dla gospodyni wymknięcia się do pracy spełzła, niestety, na niczym. Pani Józefina czekała na mnie w kuchni z jajecznicą ze szczypiorkiem, prawdziwym kakao i pachnącą grzanką. Nie pamiętam, kiedy ktoś tak mnie gościł... A mama? Już dawno zapomniała, jaka to przyjemność zrobić coś dla drugiej osoby...

- Niesamowite, pani Józefino, nie wierzę własnym oczom! Śniadanie na stole! - pokrzykiwałam z entuzjazmem małej dziewczynki. Poniekąd mogłam się tak czuć...

Popijając małymi łydkami kawę, z przyjemnością spoglądała na znikające w moich ustach spore kęsy grzanki.

- Smakuje ci?

- Przepyszne, pięknie podane i w miłym towarzystwie - pochwaliłam. Wcale nie przesadzałam. - Przepraszam, ale niestety muszę biec do pracy - tłumaczyłam się po dziesięciu minutach, z resztką jajeczniczy w ustach. - Szef nie toleruje spóźnialskich.

Wprawdzie w redakcji miałam stawić się dopiero za godzinę, ale nie mogłam przecież powiedzieć gospodyni, że czeka mnie jeszcze wizyta u byłego męża, do którego Rozalia zawiozła moje kosmetyki. Jednocześnie cały czas myślałam intensywnie, jak jej wytłumaczyć, że mężczyzna, który naprawdę chce kupić dom, nie jest moim mężem, a ja (rozwódka od półtora roku) koresponduję z nieznanym facetem przez Internet i jeśli nam się ułoży, to może będziemy razem? Wspaniałe referencje dla strażniczki przeszłości pani Józefiny, „członka” jej rodziny przekazującego rodowy pierścionek kolejnym pokoleniom! Dobrze, jeśli nie trafię do sądu za próbę wyłudzenia domu i cennej biżuterii!

- Jedź zatem, kochanie. - Pani Józefina pakowała mi do torby kanapkę. - Jutro rano wyjeżdżam do Zakopanego i wracam za dwa tygodnie. Dam ci znać, kiedy wszyscy będziemy mogli się spotkać w sprawie sprzedaży willi. Rozmawiałam z twoim mężem. Cieszy się, że dom przypadł ci do gustu. Mówił o tobie bardzo ciepło, widać, że cię kocha, Martusiu. Ciesz się tym! Ja też byłam szczęśliwa z Henrykiem!

Wspomnienie męża sprawiło, że przytuliła mnie mocno, gdy żegnałyśmy się w przedpokoju.

- Do zobaczenia, pani Józefino. Naprawdę nie pamiętam, kiedy ostatnio było mi tak miło i dobrze... - Przynajmniej raz nie musiałam kłamać.

Pierścionek ze szmaragdem piekł mnie na serdecznym palcu lewej ręki. W samochodzie zdjęłam go i starannie ułożyłam w puzderku. Szaleńcze plany nabycia willi

powoli ulatywały w niebyt. Półtora miliona nie wchodziło w rachubę. A matactwa z tożsamością, gdy tylko wyjdą na jaw, i tak zdyskredytują mnie w oczach starszej pani. Nie mam szans. Teraz tylko należy ochronić pierścionek ze szmaragdem i oddać go jakoś prawowitej właścicielce.

- Rafał? Jesteś w domu? Wpadnę na chwilę i zabiorę swoje rzeczy, okej? Te, które zostawiła Rozalia. Nie nastawiaj kawy, nie będę się rozbierała, jadłam już śniadanie. Tak, nocowałam w Gdyni. Miałam cię prosić o nocleg, ale znalazłam inne rozwiązanie. Przepraszam, że robiłeś kolację, to bardzo miłe, nie musiałeś. Słuchaj, jestem pod twoim domem, może zniesiesz mi te rzeczy? Okej, skoro nie wiesz które, wejdę. Szesnastka? Idę.

Odruchowo rozsiadłam się na kanapie w pokoju z aneksem jadalnym. Na stoliku leżały porozkładane serwetki, czyste talerzyki, sztucce, masło, dżem, miód, stał toster. Kątem oka dostrzegłam w kuchni rozbite jajka na jajecznicę, wyczułam aromat pokrojonego szczypiorku. *Deja w?*

- Dzieciaki jeszcze śpią?

Wyglądało, że śniadanie czeka na Rozkę i Kajtkę.

- To znaczy... Kajetan już poszedł do szkoły - kręcił Rafał.

- A Rozalia?

- Nie nocowała u mnie - powiedział jednym tchem. Nietrudno było się domyślić, gdzie spędziła noc.

- Przyjechała tu z Jakubem, tak?

- Tak. I pojechali do Jakuba. A ja się nie sprzeciwiłem, Martusiu. Nie umiałem.

- Szkoda gadać, Rafał. Widzę, że dzieci pod twoim nadzorem świetnie się czują. Może jeszcze w razie potrzeby zostawiasz im wolną chatę? Taka zmyślna pakamerka u tatusia, co?

- Marta, proszę cię... To nie tak, jak myślisz.

- Jak przespałeś się z tą aplikantką, też się tłumaczyłeś, że nie jest tak, jak myślę, pamiętasz? - Wróciły niemiłe wspomnienia. Ostrożne zaufanie w sprawie dzieci, budowane od rozvodu, legło w gruzach.

- Nie zostawiam im, jak twierdzisz, wolnej chaty, mam na nich oko, kocham ich. Ale jeżeli chodzi o Rozalię i Jakuba, to chyba musicie same porozmawiać. Nie czuję się upoważniony. Marta! - Próbował wziąć mnie w ramiona. - Proszę, nie myśl o mnie wyłącznie źle. Od rozvodu dużo się zmieniło. Ja się zmieniłem. Nie uciekaj! - Przyciągnął mnie bliżej, zanurzając dłoń w moich włosach.

- Nie! - Odsunęłam się gwałtownie, by nie ulec urokowi chwili. Jeszcze chwila, a... zdradziłabym Szymona z byłym mężem. - Gdzie są moje rzeczy? - rozglądałam się wokół, próbując zatuszować skrępowanie.

- Nie zjesz jajecznicy ze szczypiorkiem i tostu? Chciałem ci przygotować śniadanie...

Lepiej uciekać.

- To miłe z twojej strony, ale śniadanie już jadłam. A wiesz co? - Zachciało mi się śmiać. - Jajecznicy ze szczypiorkiem i tosta!

- Gdzie? - Najwyraźniej myślał, że wykorzysta mój dobry humor.

- To długa i zawiła historia. Nie wiem, czyby cię zainteresowała... Lecę, Rafał, porozmawiam z Rozalią. Czy Jakub... Czy on jest godny zaufania? - postanowiłam jednak zapytać, już z ręką na klamce.

- Możesz być spokojna, Martusiu. Jeżeli jesteś w stanie mi uwierzyć.

- Staram się. Cześć.

- Mam nadzieję, że się niebawem spotkamy... - Słowa złowiły mnie na półpiętrze.

- Do zobaczenia.

Drogę do pracy przebyłam w rekordowym tempie. Potem wizyta w redakcyjnej łazience, rozmalowanko, nowy makijaż, świeża bielizna, bluzeczka i nowo narodzona Marta zasiadła przed komputerem. Robota nie robota, trzeba zajrzeć do poczty, może Szymon odpisał? Znalazłam króciutki liścik.

„Martusiu!

Bardzo się śpieszę, żeby zdążyć ze swoimi sprawami do końca stycznia. Proszę, nie przekładajmy naszego spotkania na późniejszy termin. Pozwoliłem sobie zarezerwować stolik w knajpce greckiej w Gdyni na sobotę drugiego lutego. Mam wielką nadzieję, że będziesz mogła, a przede wszystkim chciała, spotkać się ze mną. Czy odpowiada Ci godzina dziewiętnasta? Czuję ogromny niepokój, jak mnie odbierzesz i czy nie sprawię Ci zawodu. Na szczęście mam teraz tyle pracy, że nie znajduję czasu na rozmyślanie. Czasami jednak przed snem ratuję się szklaneczką whisky lub filiżanką melisy, żeby móc zasnąć.

Cieszę się, że prezent przypadł Ci do gustu. Wyobrażam sobie, jak musisz wyglądać w tej sukience. Masz rację, małe czarne niech idą do szafy. Urodę trzeba podkreślać radosnym kolorem i właściwą biżuterią. Tak sobie wymyśliłem na chłopski rozum. W końcu jestem tylko facetem. Za to jakim! Wpatrzonym w Kobietę. W Ciebie.

Czekam na wiadomość: «Cześć, Szymonie, będę w knajpce greckiej za dziesięć dni o godzinie...». Uczyń mnie szczęściarzem i napisz to, proszę.

Nie pozostaje mi nic innego, jak zakończyć tak bardzo dla mnie znaczącym «do zobaczenia*

Szymon".

- Chcesz kawy? - Alina wyrwała mnie z zamyślenia.

- Przyda ci się. Jakaś blada jesteś.

- Termin się zbliża, Ala. Dostaję cykora.

Stała za mną przez chwilę. Spokojnie zdążyła przeczytać mejla od Szymona...

- Przepraszam, zerknęłam. Co mu odpiszesz?

- Założę sukienkę od niego. I wisior. Myślisz, że będzie dobrze? - zdecydowałam.

- Będzie dobrze, Marta, zobaczysz. Będzie lepiej niż dobrze. Czy ja cię kiedyś okłamałam? - Spojrzała z miną najbardziej poczciwego labradora.

- W obiecywaniu zawsze byłaś niezła. *A propos...* - Nie wiem dlaczego, ale przypomniała mi się moja siostra.

- Renata prosiła, żebym zeznawała w sądzie przeciwko Krzysztofowi. Odmówiłam. Nie chcę o tym rozprawiać, po prostu przekaz mu tę informację.

- Wpadniesz do nas kiedyś?

Miała rację. W końcu powinnam przestać unikać Krzyśka w nowej roli.

- Pogadamy później, Ala. Muszę zacząć pisać. - Niemal zapomnieliśmy, że jesteśmy w pracy. - Mam pięć kawałków do zrobienia.

- Matko, ja też! - Odwróciła się w stronę swojego komputera.

- A z kawy nici? - zapytałam. W końcu proponowała i nie przyniosła.

- Ze śmietanką? - Lepiej późno niż wcale.

- Pani Marto, szef prosi. - Izabela z sekretariatu przerwała dywagacje na temat zawartości filiżanki. - Napije się pani kawy? - usłyszałam w przedśionku gabinetu naczelnego.

Albo czegoś ode mnie chce, albo zamierza mnie zwolnić. Szafowanie kawą na lewo i prawo nie należało do jego zwyczajów.

- Poproszę czarną. - Alina niepotrzebnie fatygowała się do automatu...

- Marta, dzwonili ze „Stylowej Pani”. Proponują nam rubrykę na łamach - stary od razu przeszedł do rzeczy. - Co ty na to?

- Doskonale. Rozumiem, że o ogrodach?

- Będiesz tam pisała, o ile dojdziemy do porozumienia. Zaprosili mnie i ciebie pod Warszawę w przyszłą sobotę. Na spotkanie integracyjne. Wynajęli przytulny ośrodek, żeby w karnawałowej atmosferze porozmawiać o interesach.

- Kiedy to ma być?
- Mówiłem, w najbliższą sobotę. Poczekaj niech zerknę... - Spojrzał w kalendarz. - Drugiego lutego.
- Ja nie mogę - odmówiłam stanowczo.
- Marta, to bardzo ważna sprawa. Musimy tam pojechać. Zrozum...
- Juliusz, moja sprawa też jest bardzo ważna. W każdym innym terminie, tylko nie w sobotę.
- Okej. Powiedz chociaż, że się jeszcze zastanowisz.
- Licząc na zmianę zdania, opanował mordercze instynkty.
- Zastanowię się. - Chciałam już wyjść.
- I taka odpowiedź mi się podoba. Nie wypijesz kawy?
- Dam ci odpowiedź później - powiedziałam, kierując się do drzwi. Kwestia kawy pozostała otwarta.
- Czego chciał? - szepnęła zaniepokojona Alina na widok mojej nieszczególnej miny.
- On? Niczego. - Nie chciało mi się gadać. - Mówisz, że w życiu trzeba przyglądać się znakom i postępować zgodnie z nimi, tak? Przed półgodziną zdecydowałam się spotkać z Szymonem w przyszłą sobotę. Przed chwilą okazało się, że nie będę mogła. Czy to jest znak? Może nie powinnam decydować się na to spotkanie?
- Dziewczyno! A może nie powinnaś dać się manipulować staremu, co? - Zorientowała się, że naczelny chce mi zorganizować zajęcie.
- Ala, muszę pisać. Bo nie doczekam w robocie nawet do najbliższej soboty.
- Masz się z nim spotkać i tyle! - zakończyła dyskusję.
- Nawet nie próbuj zmieniać zdania!

Chwyciłam za telefon. „Cześć, Szymonie, będę w knajpce greckiej za dziesięć dni, o 19”. Dodaj odbiorcę. Weszłam w kontakty, odnalazłam Szymona. Jednak nie. Kliknęłam „zamknij” i treść esemesa zniknęła z ekranu.

- Już? - Alina zauważyła moje zmagania z komórką.

- Już.

- To dobrze. - Puściła do mnie oko. - Dobra decyzja.

ROZALIA

Dzisiejszy dzień dłużył mi się w pracy niemiłosiernie, mimo nawału tekstów, które należało spłodzić. Miałam dość pisania o przepisach na karnawałowe róże, świergotkach i żurawiach, które jako pierwsze pojawiają się wiosną na polach, o lutowych przysłowiach cytowanych z pamięci, typu „gdy luty mrozy daje, wróży urodzaje”, „deszcz w Cyryla, Metodego - dla rolnika nic dobrego”, przedwiosennym sprzątaniu ogrodów, gdy spod śniegu wychylają głowy pierwsze ciemierniki, przebiśniegi i krokusy. Ile lat można powtarzać te same porady, opowiadać te same bajki, z jednakowym entuzjazmem odkrywać przed czytelnikami zasady rządzące światem ogrodowej przyrody od wszech czasów. Mimo wysiłków, by wznieść się ponad poziom rutyny, zaproponować pakiet ogrodniczych nowości, odkryć nieznanne jeszcze czytelnikom rośliny, serwować nowinki naukowe dotyczące ich pielęgnacji, i tak pod koniec stycznia na napisanie czekał artykuł *Porady ogrodnicze na luty*, w którym jak zwykle miałam uświadomić właścicielom ogrodów, że nadchodzi czas na wyjęcie z dołowników

roślin cebulowych przygotowanych jesienią do pędzenia, że tulipany, szafirki i hiacynty powinny być ustawione w dobrze oświetlonym miejscu o temperaturze 15-18°C, a krokusy i narcyzy w nie wyższej niż 12. Nie mogłam zapomnieć o sprawdzeniu stanu okrycia drzew ozdobnych i zimujących bylin, rozpoczęciu produkcji rozsady roślin jednorocznych i wysianiu nasion lobelii, szaławii, werbeny, lwiej paszczy, żeniszka, opryskaniu brzoskwiń przeciwko kędzierzawości liści, która może doprowadzić nawet do zamierania całych drzew, oraz zwalczaniu torbieli śliw, raka bakteryjnego brzoskwiń, moreli, czereśni i wiśni. Powinnam przypomnieć, by ponownie pomalować pnie drzew mlekiem wapiennym, rozpocząć cięcie prześwietlające jabłoni, zachęcić do pędzenia w skrzynkach i doniczkach selera, pietruszki, cebuli i sałatowej cykorii, przygotowania dla nich inspektów i tak dalej. Poczułam, nie po raz pierwszy, że zbliża się luty, gdy nasz gazetowy składacz Mirek przyszedł grzecznie poprosić mnie o przyśpieszenie prac nad tekstem.

- Marta, jaja sobie robisz?! Ja mam dziurę na rozkładówce i pustą zajawkę na jedyńce, a ty co?

- Zaraz dostaniesz, Miro. - Już prawie kończyłam. - A właściwie to mogłeś wziąć kawałek z ubiegłego roku. Nikt by się nie zorientował.

- Że też nie pomyślałem...

- No widzisz! Jak w przyszłości będziesz miał dziury, to pomyśl. Okej. Żarty żartami, przesyłam ci ten tekst. To wszystko? I żeby odpowiedź brzmiała „tak”, bo i tak już lecę do domu.

- Wy, dziennikarze, to macie dobrze, nagryzmolicie swoje i do chaty. A pan Mirek dopiero musi to wszystko poustawiać na stronkach. Los! - nadąsał się.

- A może miałbyś ochotę opisać wysiew fasoli mung albo sposoby usuwania zmumifikowanych owoców śliw i jabłoni, które wiosną mogą stać się źródłem brunatnej zgnilizny drzew pestkowych i ziarnkowych?

- Kobieto! - Teatralnym gestem złapał się za głowę. - Nie zabijaj mnie tym dziwnym językiem! Już sobie idę, przepraszam. Ja jestem tylko prostym informatykiem, *sorry*.

Pomachaliśmy sobie na pożegnanie. Wystarczyło jeszcze zwinąć bałagan ze stołu i już o dwudziestej miałam szansę dotrzeć na wioskę. Trzeba zabrać się bardziej intensywnie do szukania mieszkania w Gdyni. Postanowienie przyszło w ślad za refleksją, że nie myślę o Mieszkowicach jak o domu. Nie wracałam z pracy, z imprezy, nie wiozłam dzieci, nie gotowałam, nie przyjmowałam gości, nie miałam radości, problemów, ładnej werandy, psa i kota, kłopotliwej matki i siostry, wspomnień o Rafale i rodzinie Zawadzkich w... domu. Wszystko zdarzało się w Mieszkowicach, na wiosce, na wsi. Nie jechałam do domu, ale wyjeżdżałam z Gdyni, nie myślałam, żeby położyć się do swojego łóżka, ale miałam ochotę wypocząć przed kolejnym dojazdem do pracy, nie cieszyłam się ze wspólnego wieczoru z dziećmi, ale zastanawiałam się, czy Roza i Kajtek nie nocują przypadkiem u Rafała? I jeszcze ten cholerny śnieg, który dzisiaj siekł w przednią szybę, a jutro będzie zawałał podwórko, zapewniając mi piętnastominutowe odgarnianie ścieżki

po między domem a garażem, o ile w ogóle uda mi się dzisiaj zaprowadzić corseę pod dach.

Na podwórze wjechałam bez problemu, widać ktoś przyjechał przede mną. Pewnie Rafał przywiózł Rozalię; w końcu do mnie nie dzwoniła z prośbą o transport. Kajtek zapowiadał, że nie pojawi się do końca tygodnia. To na pewno Rożka. Wiało tak, że i psa by nie wypuścił (i, jak widać, nie wypuścił, bo nigdzie nie dostrzegłam Łajdusa; pewnie siedział z panią w domu).

- Córciu, jestem! - Wkroczyłam do chałupy, popychając siatkami drzwi wejściowe. - Możesz mi pomóc?

- Ja pani pomogę. - Przede mną wyrósł Jakub i wyciągnął ręce po torby.

- Dziękuję. Paskudnie prószy. - Otrzepałam się z mokrego śniegu, nieco zaskoczona jego obecnością.

- Cześć, mami! - Z kuchni wyłoniła się Rozalia. - Zaraz będzie kolacja!

Cokolwiek by mówić, skonstatowałam z zadowoleniem, znajomość z Jakubem wyraźnie rozbudziła kulinarną aktywność mojego dziecka.

- Już siadam, tylko umyję ręce! - krzyknęłam, zamykając się w łazience. - Pięknie wyglądasz! - zagadałam do lustra na widok swojej nieszczególnej fizjonomii. Od wczoraj niemyta, niedokładnie rozmalowana, zmęczona. Podjęłam decyzję o szybkiej kąpieli.

Muszą zaczekać. Już byłam pod prysznicem. Za chwilę wskoczyłam w dzinsową spódniczkę i jakąś tam bluzkę, wytargałam ręcznikiem włosy, żeby szybciej wyschły. Delikatny cień na oczy, pociągnięcie tuszem, błyszczyk i gotowe.

- Nie przeziębisz się, mami? - Rozalia zobaczyła mnie z mokrymi włosami i spróbowała zamiany ról.

- Dlaczego? - udałam, że niczego nie zauważyłam.

- Bo chodzisz z mokrymi włosami.

- Zaraz wyschną. Co tu macie dobrego i z jakiej okazji?

- Staralam się nie peszyć obojga, udając zainteresowanie stołem i nie patrząc w ich nieco niepewne oczy.

- Nałożyć ci pesto? - Jakub podniósł się i podał Rozalii mój talerz.

- No... Chętnie, ale czegoś tu nie rozumiem... - Zgodnie spojrzeli na mnie znad półmiska z makaronem pachnącym czosnkiem i bazylią. - Wybaczcie, że nie uwierzę. Nie wierzę, że czekacie, by zmęczoną po pracy matkę nakarmić kluchami i odebrać od niej ciężkie torby. I może jeszcze odprowadzić jej samochód do garażu. - Jakub, gdzie twoje auto? - Przypomniałam sobie brak jakiegokolwiek pojazdu przed domem.

- Postawiłem dalej, żeby nie zauważyła pani od razu.

- Przynajmniej nie kręcił.

- O co chodzi?!

Teraz już byłam pewna, że zgodnie z tym, co powiedział Rafał, powinniśmy z Rozalią porozmawiać. Jak widać - również z Jakubem.

- Jeżeli można, to ja zacznę... - Policjant (tak właśnie o nim pomyślałam!) udzielił sobie głosu.

Patrzyłam na niego, delikatnie mówiąc, bez przekonania, a mniej delikatnie: z wielką dozą bardzo złych emocji. Niech mówi, niech się tłumaczy, cokolwiek zrobił, zrobi i dopóki jeszcze chce ze mną gadać. Zanim odbierze mi córkę.

- Nie jest tak, jak pani myśli... - powiedział. „Nie jest tak, jak myślisz”. Skąd ja to znam?

„To nie tak, jak myślisz”, tłumaczył kiedyś Rafał swoją zdradę. „Nie jest tak, jak myślisz”, zapewniał, że nasze dzieci nie mogą liczyć u niego na wolną chatę.

Jasne. Moja wyobraźnia aż tak wybujała, że przekracza wszelkie granice zdrowego rozsądku. Myślę, że jest nie wiadomo co, a tu tylko kobieta z mężczyzną idą na lody albo na cukrową watę...

- To jak jest, panie Jakubie?! - Z premedytacją potraktowałam go oficjalnie. - Jeżeli nie tak, jak myślę? Skąd pan wie, jakie mam myśli? Może powinien pan zostać jasnowidzem? Rozalia - zwróciłam się bezpośrednio do córki. - Może ty mi wytłumaczysz, po co dzisiaj tu jesteśmy?

- Mami, widzę, że jesteś bardzo zdenerwowana... - Ona też była. - Nie napadaj na Jakuba, on nie chce zrobić nic złego...

Przerwała. Spojrzeli po sobie, a ja dostrzegłam łączącą ich nić porozumienia...

- Dobrze. O co chodzi? - Musiałam im przerwać. Musiałam się dowiedzieć.

Oczywiście pomyślałam, że Rozalia jest w ciąży. Obserwując ją i Jakuba, ich spojrzenia i dotyk, starania, abym niczego nie zauważyła, tylko utwierdzałam się w przekonaniu, że niebawem zostaniemy z Rafałem dziadkami.

- Możecie to z siebie wydusić?

- Mamuś, nie denerwuj się... - zaczęła Roza. - Chcemy z Jakubem zamieszkać razem. Oczywiście po mojej

maturze. - Spojrzała przestraszona trudnością zakomunikowania decyzji.

Zapadła cisza. Jakub przytulał moje dziecko, ja machinalnie głaskałam Łajdusa po łbie.

- Nie martw się, mami. Będę studiować i nic się nie zmieni. Nadal będziemy rodziną. - Rozalka odzyskiwała pewność siebie.
- Kochamy się, ale was też kocham, mami. Nie płacz.

Nie płakałam. Dlaczego miałabym płakać? Bo nagle moja dziewiętnastoletnia córka oznajmia, że nie chce ze mną mieszkać? Bo nowe życie, które zaplanowałam w Gdyni, w mieszkanku z dużym tarasem z widokiem na morze, miało toczyć się bez jej udziału? Czy nie płakałam, bo z Rafałem nie zauważyliśmy, że rozbijamy? A jeżeli jutro Kajtek wystąpi z podobnym pomysłem? Moja wina, Rafała wina. Szymonie, nawet ty tego nie załatasz...

- Wybaczcie, ale jestem zaskoczona. I trochę zmęczona. - Nie byłam w stanie dłużej z nimi rozmawiać. - W każdym razie przyjmuję do wiadomości, ale nie chcę jeszcze dzisiaj się wypowiadać.

- Mamuś, my już postanowiliśmy. - Roza nie dawała się zbyć.

- Pan też tak postanowił, panie Jakubie? - W dalszym ciągu mówiłam mu per pan.

- Myślę, że jeszcze porozmawiamy, pani Marto. I wszystko się ułoży. Ale już teraz mogę powiedzieć jedno. Kocham Rozalię. - Przyciągnął ją do siebie i delikatnie pogłaskał po policzku. - I nigdy nie zrobię niczego, co mogłoby jej zaszkodzić.

MARTA

- Rafał, wiedziałeś, że Rozalia zamierza zamieszkać z Jakubem. Dzięki, że mi powiedziałeś. Jeśli chcesz wiedzieć, czuję się fatalnie. Marta", brzmiał pierwszy esemes, który wysłałam przed tym, zanim położyłam się spać.

„Szymon, mam problemy rodzinne i nagłe zawodowe zobowiązania, które pewnie uniemożliwią mi spotkanie z Tobą. Przepraszam, Marta", drugi.

Po nim poszły kolejne.

„Kajtuś, co robisz? Chcę się z tobą spotkać i pogadać. Dawno nie mieliśmy okazji. Mama".

„Renata, nie fatyguj się, i tak nie zmienię zdania w sprawie zeznań przeciwko Krzysztofowi. Wiem, że jestem twoją siostrą, ale ty już chyba dawno zapomniałaś, że jesteś moją. Marta".

„Mamo, nie pójde do sądu na rozprawę Renaty i Krzyśka, nie namawiaj mnie. Przykro mi, że masz palpacje z powodu rozvodu Reni. Marta".

„Panie Zdzisławie, czy Mama naprawdę źle się czuje, czy jak zwykle? Marta".

„Pani Józefino, jak minęła podróż do Zakopanego? Jest śnieg? Życzę wspaniałego pobytu i niezapomnianych wrażeń. Do zobaczenia na Kamiennej Górze. Marta”.

„Ala, musimy pogadać, strasznie mi się pokomplikowało. Teraz pozostaje tylko lot w kosmos bez Łajki czy Łajdusa. Proponuję najbliższą sobotę. U mnie? Spróbuj znaleźć czas, plizzz”.

Rafał odpisał natychmiast.

„Boże, nie wiedziałem, chociaż przez przypadek usłyszałem ich rozmowę i mogłem się domyślić. Chciałem, żebyś najpierw porozmawiała z Rozalią. Nie martw się, może uda nam się przemówić im do rozsądku. Wierzysz mi? Proszę. Rafał”.

Kolejny był Szymon.

„Do soboty pozostało jeszcze kilka dni. Może uda Ci się pokonać problemy i znajdziesz czas, żeby się ze mną spotkać. Bardzo mi zależy - i na spotkaniu, i na terminie. Proszę. Szymon”.

Esemes od Kajtka.

„Mamuś, to ty jesteś ciągle zajęta, ja tylko staram się ciebie nie absorbować. Jutro nie mogę, o ile sobie przypominasz, tata ma imieniny, idziemy z nim i z Rozką do knajpy greckiej. Ale każdy inny termin jest dobry. Ogarnij się ze swoimi sprawami i daj cynk. Kajetan”.

Renata:

„Wkurzyłaś mnie, ale wiem, że ty też możesz mieć do mnie ale. Schowajmy urazy, spotkajmy się, wszystko ci wytłumaczę. Renia”.

Ala:

„Bardzo cię przepraszam, nie będę mogła się z tobą spotkać w tym tygodniu. Jutro jadę z Czarkiem do Krakowa. Mamy ważną wizytę u specjalisty. Wrócę w niedzielę wieczorem. Może w przyszłym tygodniu?”.

Pani Józefina nie odpisała. Pewnie już położyła się spać. A mnie dopadły wyrzuty sumienia, że tak późno pozwoliłam sobie przesłać jej wiadomość. I nie odezwał się pan Zdzisław, najprawdopodobniej z tego samego powodu, co pani Józefina. Muszę zadzwonić do niego jutro.

Rozalia kręciła się po łazience, jak przypuszczałam, sama. Widać dla dobra sprawy odesłała Jakuba do domu. Ala? Dlaczego musisz jechać do Krakowa akurat teraz, kiedy ciebie tak potrzebuję? Nagle poczułam się samotna. Co mam robić? Szymon z niewiadomych przyczyn pragnie się ze mną spotkać wyłącznie w pierwszą sobotę lutego, dokładnie wtedy, gdy stary zamierza zabrać mnie pod Warszawę na spotkanie integracyjne, niemal stawiając na szali moje zatrudnienie w redakcji. Renata nie odpuszcza, mama „choruje” na serce z powodu znieczulicy starszej córki, która nie zamierza ratować w sądzie siostry przed wiarołomnym byłym mężem próbującym pozbawić ją należnych kilkutyśnięcznych alimentów. W dodatku nie rozumiem własnej córki i jej „chłopaka” i nie wyraziłam należytego entuzjazmu dla ich planów wspólnego zamieszkania. Może przynajmniej pani Józefina nie ma do mnie w tej chwili żadnych pretensji, ale i ona niebawem przekona się, co ze mnie za ziółko. Sprawdziłam, czy pierścionek ze szmaragdem leży na miejscu w puzderku. Na szczęście leżał i miał się dobrze. Prawie zapłakałam nad willą

„Romana”, która nigdy nie będzie moja, którą nie będzie mi dane się opiekować, przytulić do piersi. Już za kilka dni jej właścicielka dowie się, że nie jestem, nigdy nie byłam i nie będę żoną człowieka mającego zamiar kupić jej dom, mężczyzny, który jest spokrewniony z jej kanadyjskim Kazimierzem... A ta jajecznicza ze szczypiorkiem, smak dzieciństwa, kanapki do pracy? Poczułam nagłą tęsknotę za kimś opiekuńczym. I kochającym.

- Dobranoc, mami! - usłyszałam głos Rozalii. - Śpisz? - Zajrzała do pokoju.

- Nie, piszę ostatniego esemesa, córcia. Śpij dobrze. Jakub wyjechał? - Nie mogłam się powstrzymać.

- Wyjechał. Niczym się nie martw.

- Dobrze. Zacznę się martwić od jutra, dzisiaj trzeba zasnąć. - Uśmiechnęłam się krzywo. - Ty też idź spać, obudzę cię o siódmej. Odebrać cię ze szkoły? - Przypomniałam sobie, że Kajtek wspominał coś o jutrzejszym imieninowym obiedzie w greckiej knajpie. Ciekawe, czy Roza o nim wie?

- Mami, idziemy z tatą na obiad. Zostanę u niego na noc. Bez Jakuba. - Spojrzała znacząco.

- Macie prezent?

Co mnie właściwie to obchodzi?

- Pamiętałaś? - Zorientowała się, że myślę o imieninach.

- Kajtek mi przypomniał. - Wyszłam z twarzą.

- Aha. Coś tam mamy. To śpij dobrze. - Machnęła ręką i wyszła zawiedziona. Znowu okazałam się... Szkoda gadać.

Zegar wskazał pięć minut po dwunastej, dwudziestego czwartego stycznia.

To było siedem lat temu. Pierwsza zima w Mieszkowicach, wtorek. Rodzice zostali w swoim mieszkaniu w Gdyni, dzieciaki cały dzień szalały z nowo zakupionym szczeniakiem, którego nazwaliśmy Łajdus, strasznie psotnym i kłopotliwym. Zniszczone cztery buty, każdy od innej pary, to nic. Poobgryzane stołowe nogi, nadwerężone dywany, dziesiątki dołów wykopanych w ogrodzie, kilka myszy przyniesionych w darze. O dwudziestej drugiej zmęczone bliźniaki szczęśliwie znalazły się w łóżkach.

- Usiądź, kochanie. - Mój mąż wygładził narzutę na tapczanie, przygotowując mi siedzisko. - Zjesz omlet? Zostało trochę pieczarek i farszu z bazylią, podgrzać ci? - zanęcił wizją pachnącego jajecznego placka.

- Czemu nie? - Mościłam się po męczącym dniu przeprowadzki. - A kieliszek szampana by się może znalazł? - Chyba byłam bardziej spragniona niż głodna.

- Kochanie... - Rafał znalazł się blisko mnie. - Co tylko chcesz. I omlet, i szampan, i wszystko, co mogę ci dać... Zaczekaj! - Znienacka wypadł z domu. - Zaraz wracam!

Przybiegł po dwóch minutach.

- Może to nie na czasie, bo za oknem zima, ale to hiacynty dla ciebie. Na dobry uśmiech, humor i... żebyś zawsze mnie kochała.

- Piękne! - Powąchałam fuksjowe pąki. - Jestem szczęśliwa, Rafał. Dziękuję.

- Czy pójdziemy na pięterko, czy zerkniemy na ogród? - zapytał.

Popatrzyłam mu w oczy i zapragnęłam pięterka.

- Na ogród? - zaproponowałam przekornie.

- Chodź. - Objął mnie w pasie i bez trudu powiódł po schodach do naszej sypialni.

Omlet poczekał do śniadania, szampan nie.

- Kocham cię! - szepnął mi Rafał do ucha.

Zajął się mną gwałtownie, nie zważając na dzieciaki za ścianą.

- Nie martw się, Martusiu, niech się uczą! - Delikatnie zakrył mi usta, gdy chciałam zaproponować: „Rafał, dzieci!”. Pocałował mnie, nie protestowałam. Nasze pociechy szczęśliwie nie wyszły z pokojów... Za to my za chwilę trafiliśmy do naszego, do naprawdę swojego łóżka, dużego, bardzo dużego, z kilkoma dużymi poduszkami i wielką kołdrą, by finalnie kochać się... na małym dywaniku. I było nam bardzo dobrze. Jeszcze jak dobrze! Zakochać się i umrzeć. Ech, wspomnienia...

To była pierwsza zima w Mieszkowicach, wtorek. Kto wie, może jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu? Nie, przecież „wszystko się może zdarzyć, gdy głowa pełna marzeń”. Nie, przecież „ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy”. Matko Boska, robię się sentymentalna! Spojrzałam na zegarek. Wskazywał piętnaście minut po dwunastej. Znalazłam komórkę; leżała na kanapie pod poduszką. Nie wiem, jaka siła mnie do tego popchnęła, ale zrobiłam to. Napisałam.

„Rafał, siedzę na wiosce i wspominam nasz pierwszy luty w Mieszkowicach. Może to głupie i nieskładne, ale właśnie w takim nastroju chcę złożyć Ci życzenia imieninowe i powiedzieć, że lat spędzonych z Tobą nie uważam za stracone. Życzę Ci, by Tobie ułożyło się życie tak, jak - mam nadzieję - niebawem ułoży się mnie. Rafał, całuję Cię serdecznie i korzystając z miłego nastroju i wspomnień, mówię po raz ostatni: kochałam Cię. Marta”.

RAFAŁ

- Jak się udały imieniny taty? - zapytałam Kajetana, gdy szczęśliwie, już z pełnymi torbami, usiedliśmy na kawie w centrum handlowym, odpoczywając po odzieżowych zakupach.

Wprawdzie byłam lżejsza o kilka stówek, ale przynajmniej miałam okazję spędzić trochę czasu z synem na wyprzedażach i wprowadzić go w dobry nastrój nowymi portkami, kurtką i kilkoma innymi akcesoriami.

- Dobrze, całkiem nieźle. Nie pytaj mnie tylko, co jedliśmy, bo kompletnie nie pamiętam nazw tych greckich potraw. Było winko, tata nie wziął samochodu, to posiedzieliśmy za dwie godziny. Szkoda, że cię nie było.

Udałam, że nie słyszę.

- Kajtuś, pomożesz mi zrobić zakupy na jutrzejszą kolację? Zaprosiłam babcię i ciotkę, żeby wreszcie rzeczowo z nimi porozmawiać. - Postanowiłam zrobić wokół siebie porządek, zaczynając od rodziny. Po weekendzie na tapetę miały pójść sprawy zawodowe, rozmowa z szefem, założenie firmy, telefon do pana Szymona z Glob...

- Jasne. Muszę jechać na wioskę i zabrać parę rzeczy do taty. Upięknio mi się. Miał interes, żeby ze mną pojechać.

- To ty zamierzasz wyprowadzić się na stałe? - Nietrudno było dostrzec, że coraz mniej rzeczy Kajetana leżało na półkach w mieszkowickim pokoju.

- Przecież z tego, co wiem, szukasz mieszkania w Gdyni? Pewnie myślał, że przeprowadzka niebawem.

- Synuś! Nie wyobrażaj sobie, że taka operacja to bułka z masłem. Muszę znaleźć mieszkanie w Gdyni i kupca na nasz dom, a na razie nikt się w kolejce nie ustawia! To jeszcze potrwa.

- Nie zdawał sobie sprawy z problemów.

- Mamuś, ja to wszystko rozumiem. Ale za trzy miesiące mam maturę i nie zamierzam połowy czasu do niej spędzić w samochodzie na jakichś dojazdach. Jak będziesz potrzebowała mojej pomocy... No wiesz... - I zaczął wymieniać: - ...noszenie mebli, oglądanie chaty czy jakieś zakupy, to luz. Na co dzień jednak wyprowadzam się do ojca.

- Rozalia też?

- Z siostrą gadajcie sami, ja tam dokładnie nie wiem, ale z tego co widzę, to miłość kwitnie. - Zawsze mi się podobało, że moje dzieciaki w poważnych sprawach nigdy na siebie nie donoszą. Pełna lojalność jeszcze z czasów zamieszkiwania w jednym pokoju, solidarna strategia przeciwko wspólnemu wrogowi: siedzącym za ścianą rodzicom. Nic tak nie łączy jak ten sam wróg.

- Mam nadzieję, że wytrzyma w domu chociaż do matury... - mimo wszystko próbowałam pociągnąć go za język.

Przerwałam, bo Kajetan ostentacyjnie poprosił o jeszcze jedną colę.

- Dobrze, kończę już. Jedźmy po Rozalię, potem zakupy i do domu. - Poderwałam się od stolika.

Na dworze trochę przymroziło. Na szczęście tej zimy śnieg nie obdarzał obfitością, pozostawiając czarne drogi i dając odpocząć łopatom do odgarniania zasp przed garażem. Może dlatego, żebym pomyślała, że na wsi nie jest jednak tak źle? Że właściwie dojazdy nie stanowią większego problemu, jakby się dokładniej przyjrzeć? Stosunkowo ciepła zima to tańsze ogrzewanie, nawet psa można zostawić na dworze w budzie na kilka godzin. A co robić w kamienicy na entym piętrze z kundlem i kotem? Jezus Maria, kto ten zwierzyniec będzie wyprowadzał? Skoro Rozalia postanowiła przeprowadzić się do Jakuba, to z pewnością do tego dojdzie. Kajetan nie lubi wstawać rano... Czyli ja?! A może będzie Szymon? Jaki Szymon? Obcy, bardzo fajny, szalenie internetowo mi odpowiadający mężczyzna, może nawet dla mnie, może nawet się w sobie zakochamy i będziemy chcieli ze sobą być, mieszkać na ostatnim piętrze z tarasem i widokiem na morze? A jeżeli Szymon nie lubi wspinać się na piąte piętro bez windy (bo nie sędzę, by mój pośrednik-czarodziej znalazł opcję z dźwigiem), żeby podziwiać kunsztowne

widoki rzeźbione przez naturę? Jeśli ma już piękne mieszkanie, z którego nie ma ochoty się wyprowadzać i osiąść z mejlową miłością w dwupokojowym studio, a za sąsiada mieć jej dorosłego syna i dochodzącą córkę? Matko, w co ja się pakuję? Szymon, bardzo cię przepraszam, ale nie jestem całkiem wolna, niezależna, mam syna, córkę, matkę, siostrę, psa i kota. Dodatkowo posiadam również przyjaciółkę z facetem, który był do niedawna mężem mojej siostry, szefa, chcę zakładać firmę, być może szef tego nie przeżyje i pozostanę bez pracy, zanim nie znajdę klientów zainteresowanych aranżacją swoich ogrodów. Kurczę, przyszłość maluje się bardzo niewyraźnie... Dobrze, że przynajmniej Rafał nie spóźnia się z płaceniem alimentów. Cholera, po co mi był ten cholerny rozwód? Żyłoby się dostatnio? Bez problemów? Przynajmniej finansowych? Dzieci by nie świrowały? Przecież mogłam porozmawiać z Rafałem i powiedzieć mu, żeby nie robił ze mnie kury domowej, żebym nie musiała zakładać tych moich małych czarnych na przyjęcia, że lubię bycie z nim, a nie dokarmianie rodzinki i grzebanie w ogrodzie, że nie wolno nam zaprzepaścić wspólnej przeszłości. Może teraz nie musiałabym szukać mieszkania w Gdyni, mejlować z Szymonem i próbować budowania życia od nowa. Co ja mówię, idiotka? Przecież to mój mąż, ten... Zdradził mnie z aplikantką, panną jakąś!

Pamiętałam tamten dzień. Rafał przyrządzał w kuchni swoją specjalność: sałatę z awokado i wędzonym łososiem.

- Odbierz, kochanie, mam brudne ręce! - zawołał z kuchni na dźwięk komórki. - Spodziewam się wiadomości od Jurka, miał dzisiaj sprawę w Warszawie.

„Kochanie, czekam na Ciebie, gdy tylko Ci się uda. Ostatnio było wspaniale. Twoja Ada”, przeczytałam.

- Zrobiłeś już sałatkę? - Weszłam do kuchni z komórką w dłoni.

- Coś się stało? - Chyba się zdziwił, widząc mnie niemal w amoku.

- Kim jest Ada? - Nie zamierzałam ściemniać.

- To nasza aplikantka... - wyjaśnił, udając zdziwienie.

- Fajna jest?

- Co za pytanie? Jest aplikantką.

- I czeka na ciebie, gdy ci się uda wyrwać? Tak?! To właśnie ci się udało! Wsiadaj w samochód i jedź do niej, przecież ostatnio było wspaniale, nie pamiętasz? Rafał, może są kobiety, które wybaczą, ale nie ja, do cholery. Wynoś się! I nie zapomnij swoich krawatów, przecież bez nich nie wytrzymasz!

- Naprawdę tego chcesz? - Patrzył wkurzony.

- Wynoś się! Łajdus, do nogi! - przywołałam psa, żeby nie pobiegł za autem pana, który w pewien sierpniowy, rozgwieżdżony wieczór opuszczał dom w Mieszkowicach.

- To nie tak, jak myślisz - jeszcze próbował się tłumaczyć.

- To dokładnie tak, jak myślę!

Niestety, myślę tak od jakiegoś czasu. I mam ciebie dość, tego twojego protekcjonalnego tonu, tego twojego

zadowolenia z siebie, tej łaskawości dla moich rodziców. Dobry zięciuchno, mądry zięć. Dlaczego nie zwracasz na mnie uwagi, dlaczego nie kochasz mnie jak dawniej, dlaczego traktujesz mnie instrumentalnie? Czy ty sobie wyobrażasz, że jestem w ciebie wpatrzona jak ileś tam lat wcześniej? Czy myślisz, że zjadłeś wszystkie rozumy, a ja będę ciebie podziwiać bezkrytycznie? Zawsze? W każdej chwili? Wszystko bym zrozumiała, przełknęła, wybaczyła, oprócz jednej rzeczy. Nigdy, przenigdy nie miałaś prawa mnie zdradzić z aplikantką! Ani z żadną inną sikszą, ani nawet z dojrzałą kobietą! Nigdy. Z nami koniec, Rafał, okazałeś się taki, na jakiego wyglądasz, Rafał, szkoda, że tego nie słyszysz.

Usiadłam na piaszczystej drodze, przyglądając się kłębowi kurzu, które pozostawił samochód mojego męża. W pobliskim bajorze rechotały żaby, na łące wtórowały im koniki polne. Jakiś czas temu powiedziałabym, że to koncert. Teraz słyszałam drażniący uszy hałas.

- Pani sąsiadko, może w czymś pomóc? - Nachylił się nade mną mieszkający obok pan Ryszard.

Nie, po co? Ja tylko właśnie straciłam sens życia, przegnałam wiarołomnego męża, ale nie czuję się z tym dobrze, jestem samotna, zrozpaczona i nieszczęśliwa i dlatego powiem panu... Absolutnie nie, dziękuję panu, ten piasek jest taki ciepły i miły. Wie pan, powrót do dzieciństwa. Rysując patykiem na drodze, przypominam sobie wyjazdy do dziadków na wieś. Przepraszam, muszę wracać do domu. Dzieci czekają. A właściwie, co to, do cholery, pana obchodzi?!

- Nie. Dziękuję za pomoc, nic mi nie jest. Właśnie wracam do domu. Będzie piękny wieczór, prawda? - wyrecytowałam uprzejmie, mając nadzieję, że się odczepi.

- O tak, łaskawa pani - podchwycił. - Księżyc wchodzi właśnie w pierwszą kwadrę. Proszę spojrzeć, widać połowę jego tarczy.

- To znaczy, że druga połowa nie jest widoczna? - zdziwiłam się mało inteligentnie.

- Teraz nie - zgodził się ze mną. - Jednak przyjdzie czas, że znów się pokaże.

- Jest pan pewien? - Prawie mnie zainteresował.

- Takie są prawa natury, proszę pani. Po nocy przychodzi dzień, po nowiu pełnia. Jak u ludzi - uśmiechnął się albo tylko mi się wydawało. - Niech pani wraca do domu.

MAMA

Kolacja była prawie gotowa. Nie pożałowałam inwencji twórczej i od wczesnych godzin sobotniego poranka zabrałam się do roboty w kuchni. Zimowa aura nastrajała do podania energetycznych potraw, częściowo rodem ze szlacheckich stołów. W żaroodpornym naczyniu spoczywały frykadelki z wyluzowanej kaczki z żurawiną i jabłkami, starte kartofelki miały przeistoczyć się w placek ziemniaczany, na którym zamierzałam ułożyć wałeczki z kaczego mięsa. Dla bardziej delikatnych podniebień zaplanowałam babeczki z pastą rybną i tosty z kiwi na podkładzie z tuńczyka. Nie mogło zabraknąć sałatki z rukoli z grejpfrutem, orzechami, śliwką w occie i wędzonym serem, a na deser naleśników na zielono z twarożkiem i kiwi, przybranych bitą śmietaną z truskaweczką na wierzchu. Będzie mniam! Niech ta trudna rozmowa z mamą i Renatą ma przynajmniej smakowity podkład. Około piątej zaczęłam wyglądać na drogę w oczekiwaniu gości.

- Nie wypatruj, jak zwykle się spóźnią. - Rozalia zauważyła moją nerwowość. - Mami, masz esemesa. - Komórka migotała pomarańczowym światełkiem.

Zerknęłam. Pisał Szymon.

„Martusiu, nie odpowiedziałaś mi na kilka mejli, pewnie jesteś bardzo zajęta. Dlatego pozwoliłem sobie wysłać esemesa. Znajdziesz dla mnie czas w przyszłą sobotę? Mam nadzieję, że kucharz już czeka na nasze zamówienie. Będziesz? Możesz odpowiedzieć? Serdecznie Cię pozdrawiam i czekam. Szymon”.

Bardzo bym chciała ci odpowiedzieć, Szymonie, ale jeszcze nie teraz, może za kilka godzin? Może w poniedziałek, kiedy pogadam z szefem? Może we wtorek, gdy przestanę się bać? Przepraszam, im bliżej spotkania, tym więcej obaw. Boję się, że się w tobie zakocham, boję się, że tak się nie stanie, trzęsę się na myśl o zakończeniu kilkumiesięcznego snu o facecie moich marzeń, nie chcę tracić tego, co mam, wsparcia od kogoś z wirtualnej przestrzeni, kogoś, kto jest dla mnie z niewiadomych powodów dobry, kochający, kto stał się dla mnie ważny. Szymonie, czy możesz jeszcze chwilę poczekać? Niebawem dam ci odpowiedź. Zanim jednak tak się stanie, muszę załatwić jeszcze kilka spraw.

- Odpowiem później - szepnęłam do siebie. Odłożyłam komórkę do torebki i wyłączyłam dźwięk. Na wszelki wypadek, gdyby Szymon próbował wysłać wiadomość raz jeszcze.

- Są! - Kajtek i Łajdus zaanonsowali gości w tej samej chwili.

- Ciociu! - Michalina uwiesiła mi się na szyi. - Gdzie jest Rudzielec? Mam dla niego rybę!

- Rozbierajcie się. Napaliliśmy wam w domu, macie ciepłutko.

- Odbierałam od mamy torebkę. - Witam, panie

Zdzisławie, cześć, siostra. - Nietrudno było dostrzec, że Renata nie była w szampańskim nastroju. Postanowiłam to zbagatelizować.

- Rozpakujcie się u siebie i zapraszam na jedzonko. Podgrzewam kaczkę.

- A będą naleśniki? - Michalina wykazała większe zainteresowanie deserem.

- Oczywiście, mała. Możemy nawet je podpalić, chcesz? - Moja siostrzenica lubiła płonące.

- Taaak. O, jest Rudzielec. - Straciła zainteresowanie naleśnikami. - Ciociu, a gdzie będzie kot, jak ty się wyprowadzisz? A po co ty się wyprowadzasz?

No cóż, najtrudniej wyjaśnić dzieciom... Na razie postanowiłam odpowiedzieć na pierwszą część pytania Michaliny.

- Rudzielec pojedzie z nami. Będzie mieszkał w Gdyni.

- A on będzie chciał? - nie przestawała dążyć.

- Kota nie można zapytać, czy chce się przeprowadzać - tłumaczyłam. - Myślę jednak, że będzie mu dobrze tam, gdzie będą jego ludzie.

- A po co ty się wyprowadzasz? Żeby zostawić mnie i mamę, i babcię? Jak mój tata? I znajdziesz sobie nową rodzinę, i nas już nie będziesz kochać?

Domyśliłam się, skąd te wszystkie pytania...

Obie panie udawały, że nie słyszą mojej rozmowy z Michasią. Jasne, nigdy nic złego nie mówiły na ciotkę, poza tym, że zamierza je opuścić. Tak jak Krzysztof.

- Michasiu, mamy obiadek, więc chodźmy ładnie zjeść. Obiecuję ci, że porozmawiamy jeszcze na ten

temat. A teraz pomóż mi podać zupę. Krem z zielonego groszku z groszkiem ptysiowym. - Zaciągnęłam małą do kuchni.

- Groszek z groszkiem? Śmieszne! Dzieciak zawsze wyhaczy coś zabawnego. Frykadunki smakowały gościom, o czym najlepiej

świadczyła cisza, która zapadła podczas jedzenia. Częstowałam czerwoną kapustą, zachęcałam do korzystania z żurawiny, proponowałam kolejne naleśniki. Kajetan, pełniąc funkcje majordomusa, pamiętał o uzupełnianiu zawartości kieliszków. Czerwonym winem.

- Czy mogę wznieść toast? - Gdy towarzystwo zaspokoilo pierwszy głód, podniosłam się z krzesła.

- A czy ja mogę pierwszy? - Wobec tak grzecznej prośby pana Zdzisława opadłam na miejsce. - Państwo pozwolą... - Z galanterią podniósł kieliszek i rozejrzał się wokół, zatrzymując wzrok na mojej twarzy. - Pani Marto, już niejednokrotnie miałem szczęście raczyć się smakołykami z pani stołu i czerpać z tego przyjemność. Mam nadzieję, że będę wyrazicielem woli pozostałych gości. Dziękujemy za dzisiejszą ucztę i mamy nadzieję na kolejne, w pani nowym domu w Gdyni. Za powodzenie i talent kulinarny naszej uroczej gospodyni!

Zapadła cisza. Tylko Kajetan krzyknął „zdrowie!”, ale umilkł skarcony spojrzeniem babki, zaraz przeniesionym na pana Zdzisława.

- Stefano... - Ten spoglądał na nią, usiłując powstrzymać wiszącą w powietrzu burzę. - Podać ci sałatkę? - podjął próbę zatrzymania lawiny.

- Ja tu czegoś nie rozumiem! - Nie udało się. Mama nie była w stanie powstrzymać emocji, które hodowała w sobie od jakiegoś czasu. - Myślałam, że zmienisz zdanie, a ty jesteś uparta jak małe dziecko, które na złość mamie odmraża sobie uszy!

Oczy wszystkich skierowały się w moją stronę. Zaczynała się walka w ringu. Co gorsza, nikt nie mógł jej powstrzymać.

- Mamo, rozmawialiśmy. Tłumaczyłam ci motywy. Przeprowadzka to nie działanie przeciwko tobie. Po prostu uznaliśmy z Rozalią i Kajtkiem, że tak będzie dla nas lepiej i wygodniej.

- A ja ci mówiłam, że myślisz tylko o sobie i nie liczysz się z rodziną - zaczęła starą śpiewkę.

Dzieciaki siedziały, jeśli nie przerażone, to co najmniej nieco zdziwione. Znalazłam się w centrum scenicznego dramatu, ale tym razem nie zamierzałam zejść ze sceny pokonana.

- Michalinko, weź Rudzielca i idźcie na górę. Zrobisz to dla cioci? - przerwałam ciszę i wystosowałam prośbę do małej, nie spuszczać wzroku z mamy. Kątem oka zauważyłam, że Renata szepce Michalinie coś do ucha.

- Michalinko, proszę - powtórzyłam.

- Ale naleśniki? - Dziecko ratowało wizję deseru.

- Zawołam cię. Idź już. Zostaliśmy sami. Dorośli.

- Kajetan, mógłbyś uzupełnić kieliszki? Mój syn poderwał się bez słowa.

- Mamo... - zaczęłam, odczekawszy, aż skończy.

Tylko spokojnie.

- Dzieciaki mają maturę, a potem idą na studia. Ja zamierzam założyć własną firmę i projektować ogrody, a to się wiąże z moim stałym pobytem w Gdyni i pilnowaniem interesu. Poza tym, jeśli mi się uda, zostawię sobie kawałek etatu w redakcji. Wszystkim nam będzie wygodniej mieszkać w Trójmieście. A wy zostaniecie sobie wakacyjnie, weekendowo w Mieszkowicach i też będziecie mieszkać. Przecież nie mówię, że nie będę was odwiedzać.

- A Renata? Dlaczego nie chcesz zeznawać przeciwko Krzysztofowi?

Czy tylko o to jej chodziło?

- Mamo, przestań! - Moja siostra chyba zorientowała się, że matka wali do jednej bramki.

- Stefanio! Jeżeli nie przestaniesz, będę musiał wyjść.

- Pan Zdzisław też stanął po mojej stronie.

- Pozwól, że o Renacie będę rozmawiać z Renatą, a nie z tobą.

- Miałam ochotę się popłakać.

- Pani Marto... - Zdzisław zaczął szukać chusteczki.

- Proszę się nie denerwować. Stefanio, uspokój się...

- Ale mnie jest tak bardzo przykro, że oni się stąd wyprowadzają. - Mama uderzyła w rozpaczliwą nutę.

-Ja spadam. - Kajetan wstał od stołu. - Nie przejmuj się, mamuś, jestem z tobą. - Rzucił babce jadowite spojrzenie. - Idziesz na górę? - Spojrzał na Rozkę.

- Tak. Do widzenia. - Dopłała wino. - Trzymaj się, mami. Zostaliśmy na teatralnej scenie we czworo. Czarna owca (ja), siostra czarnej owcy, ulubiona córeczka mamusi

(Renata), partner pani na Mieszkowicach (pan Zdzisław), pani na Mieszkowicach (mama).

- Może kawy? - Zawsze warto spróbować rozładowania atmosfery.

- Może ja zrobię? - Renata poderwała się z krzesła.

- Ciociu, kiedy będzie deser? - Zbiegająca ze schodów Michalina chyba zakończy naszą dyskusję?

- Chodź, mała, do kuchni.

Rzeczywiście nadszedł czas na deser.

Przekładałam naleśniki serkiem i owocami kiwi, owocami kiwi i serkiem, ubijałam śmietanę i rozmrażałam truskawki, tarłam gorzką czekoladę, ocierałam łyż.

- Marta, nie przejmuj się, przecież znasz mamę. - Renata nie miała już zamiaru oskarżać mnie o cokolwiek.

- A właściwie, co u ciebie? - Zauważyła, że może warto zapytać.

- Dobrze. - Otarłam oczy. - Oprócz tego, że do niczego się nie nadaję, to wszystko dobrze. - Musiałam wyjąć chusteczkę. - Wiesz co? - Doznałam nagłego olśnienia.

- Cieszę się, że zaczynam nowe życie. A może wracam do tego, czego nie powinnam wypuścić z rąk?

- To znaczy? - Nie zrozumiała.

- Wracam do Gdyni, którą zawsze kochałam. Uwielbiam miasto, ruch, zgiełk, kafejki. Pamiętasz, że z Rafałem często się po nich włóczyliśmy? Lubię ruch, światła, świąteczne ozdoby na latarniach, filmy w kinach, szybką kawkę w handlowych centrach, spotkania ze znajomymi, ad hocki, wizyty w księgarniach, szum samochodów. Cholera, to jest moje życie, moja niezależność, pięć minut

dla siebie, trochę blichtru, nieco wariacji, szczypta zadumy i pierońsko dużo zmienności. Renata, ja się nie nadaję do obserwowania czterech pór roku, przemijania przyrody, rozumiesz? Ptaki przylatują, odlatują, żaby rechoczą, nie rechoczą, na drzewach, krzewach, kwiatkach pojawiają się pąki, potem kwiaty, a na koniec wyjmujemy z ziemi bulwy, żeby je przechować do następnego roku i zasadzić, i by na nich pojawiły się pąki, potem kwiaty, a na koniec wyjmujemy ich bulwy, żeby je przechować do następnego roku i zasadzić...

- Ale przecież zajmujesz się tym od tylu lat...? Robisz to przeciwko sobie? - Miło, że zapytała.

- To jest tak: mogę ci doradzić sukienkę, w której będziesz dobrze wyglądała, ale ja bym takiej nigdy nie włożyła. A nawet jeśli włożyłabym ją dzisiaj, jutro już nie. Rozumiesz?

- Jakiej sukienki byś nie włożyła, ciociu? - do rozmowy postanowiła się wtrącić Michalina.

- Takiej, która do mnie nie pasuje, mała. Zaniesiesz placuszki na stół? I poproś Rożę i Kajtkę, żeby przyszli na deser! - zawołałam, gdy porwała już talerz z naleśnikami.

- Marta, przepraszam za moje ostatnie dąsy... - Czy to powiedziała moja siostra?

- Nie ma sprawy, Renata. Wszystko się ułoży. Wracajmy do stołu.

W pokoju siedział tylko pan Zdzisław.

- Gdzie mama? - zainteresowała się Renata. Ja wołałam nie pytać.

- Na chwilę wyszła do domu, zaraz przyjdzie. - Zdzisław był niepoprawnym optymistą. - Pójdę po nią, pani Marto. Proszę się nie gniewać, ona to wreszcie zrozumie. Jestem tego pewien.

- Niech pan idzie. Naleśniki można odgrzać w mikrofalach.

Naleśniki tak. Uczucia? Nie wiedziałam.

- Fajny wieczór, siostra, Dobrze robisz, że stąd spadasz! - Żegnałam się z Renatą grubo po północy. - Ty taka głupia laska nie jesteś, ja ci to mówię! - chwaliła, nie mogąc zejść z ganku. - A te wszystkie chłopcy są głupie i zdraдлиwe - bełkotała. - To mówisz, że półtora tysiąca alimentów będzie dobrze? Skoro tak twierdzisz... W sumie nieźle. Kiedy masz czas? Chcę pogadać o mojej nowej pracy. No idę, idę. Łajdusss, zejdź z drogi, pani idzie.

- Żyjesz? - Rozalia przysiadła się do mnie, gdy po imprezie położyłam nogi na ławie.

- No. Jakoś.

- Dali ci w kość?

- Mogło być gorzej.

- Mami, chcesz mi o czymś powiedzieć?

- Skąd ci to przyszło do głowy!

- Jesteś ostatnio jakaś taka...

- Wydaje ci się.

- Masz do mnie pretensje?

- Jak mogłabym mieć pretensje, że moja jedyna córka ma zamiar wyprowadzić się z domu zaraz po maturze. Przecież to nonsensowne.

- Czyli masz.

- Mam.
- A ty chcesz rozpocząć nowe życie?
- O co ci chodzi?
- O te twoje mejle. Planujesz?
- Nie wiem.
- A kto ma wiedzieć?
- Rozalia, wszystko się wyjaśni niebawem. Za tydzień. Okej?

Wtedy porozmawiamy.

- Trzymam za słowo.

-Dobra. A teraz idź spać, dzieciaku, ale przedtem nalej mi jeszcze jeden kieliszek wina. Aha, i przynieś laptopa.

- Musisz mu odpisać?

- Zgadza się, Miss Marple.

„Cześć, Szymonie!”, zabrałam się do mejłowania. „Jeżeli wciąż chcesz się ze mną spotkać w przyszłą sobotę, z przyjemnością przyjmuję zaproszenie. Będę w greckiej knajpce o dziewiętnastej. Trzymam za nas kciuki. Do zobaczenia. Marta”.

MARTA I SZYMON

- Wróciłam z Krakowa, co u ciebie? Przepraszam, że nie mogłam się z tobą spotkać. Alina". Esemes dopadł mnie w trakcie przygotowywania góry kanapek na niedzielne śniadanie dla moich dzieci. Czułam się spokojna i wyluzowana, nie przymierzając jak kaczką, którą obrabiałam na wczorajszą kolację. Jeszcze kilka dni i podniesie się kurtyna nad sceną mojego przyszłego życia. I albo zaczniemy grać, albo zejdziemy ze sceny pokonani. Ja i Szymon. Aktorzy królestwa cieni, mistrzowie słowa, kreatorzy wirtualnego uczucia, zakochani bez rzeczywistości. Rozmowa z Aliną nie ma już sensu, skoro w końcu postanowiłam spotkać się z Szymonem. Nie ma już sensu rozmowa z nikim, skoro postanowiłam...

- Jakie zapachy! - Kajtek wkroczył do kuchni. - Robisz jajecznicę?

- Mogę, jeśli chcesz. Na boczku?

- Na boczuszeńku, mamuś! Z trzech jajek, okej?

Proszę bardzo, może być z trzech. Ciekawe, czy Szymon też lubi jajecznicę z trzech jaj na boczku? A może jest wegetarianinem? Nie, na pewno nie. Gdyby był,

musiałabym robić dwie jajecznice oddzielnie, dla Kajtucha i dla niego. Myślę, że Kajt wegetarianina by nie polubił; w końcu co to za facet, co nie lubi mięsiwa? W szczególności mięsiwa w moim wykonaniu. Zdecydowanie miałam nadzieję, że Szymon jada mięso. Boże, nad czym ja się zastanawiam? Czy już zupełnie mnie pokreśliło? Planuję rzeczy nie do zaplanowania, układam puzzle z tysiąca elementów, mając do dyspozycji jedynie pięćset!

- Nie sól tyle! - Kajtek przytrzymał moją rękę. - Przesolisz!

Ma rację. Niebawem przesolę, może nawet spieprzę.

- Co się dzieje, mamuś? Babcia cię zdenerwowała?

- Żeby tylko to, synuś! - Nie mogłam mu przecież powiedzieć o Szymonie i sobotnim wieczorze, który miał nadejść już za sześć dni. - Wszystko w porządku. To będziesz mieszkał u taty w przyszłym tygodniu?

- zmieniłam temat.

- Pytałaś o to już trzy razy. Tak, będę mieszkał. Aha

- przypomniał sobie. - W sobotę idę na imprezę do Bartka i zostanę na noc.

- Dobrze. Ja też spotykam się ze znajomymi w Gdyni.

- Nie przeszło mi przez gardło, że znajomy jest jeden.

- Wiesz co? - wpadłam na pomysł. - Kiedy macie ferie?

- Za tydzień. A dlaczego pytasz?

- Może byśmy pojechali na kilka dni w góry?

- Fajnie. Masz kasę?

- No wiesz, wypłacili mi za konkurs, to mam. A co będzie później, synuś, się zobaczy. Mam ochotę gdzieś się z wami wyrwać. Nie udało się do Grecji...

- Okej. Roza już wie? - Ominął temat niedoszedłego wyjazdu na Krete.

-Nie. Właśnie na to wpadłam. Myślisz, że pojedzie?

- Luz, ale może będzie chciała zabrać Jakuba. Sorry...

- Pochwycił moje zawiedzione spojrzenie. - Ja nic nie mówiłem.

- Kajtuś, jak ja ciebie kocham. - Rozczulił mnie swoją rzeczowością.

- Szwagier nie jest zły, ale to ty rozdajesz karty w sprawie wyjazdu. - Rózsądek Kajtka wskazywał, że mój syn dorasta.

- Pogadam z nią. Cieszę się, że chcesz jechać. To co, w razie czego w przyszłą niedzielę wskakujemy w czerwonego potwora i w góry?

- Ja tam bardzo chętnie, Roza z Jakubem pewnie też

- powiedział, jakby się domyślał, że nasz wyjazd zależy od moich spraw. - Jajecznicą była wspaniała. - Dojadał resztki z talerza. - Pamiętasz, że mam jutro na ósmą?

- Jasne, synuś. Spakuj swoje rzeczy. Rozumiem, że spotykamy się w sobotę?

- W niedzielę. Mówiłem ci o Bartku - przypomniał o sobotniej imprezie.

- Tak, zapomniałam. W niedzielę.

Żebyś wiedział, Kajtuś, że w niedzielę mogę być wolna jak ptak i pojechać z wami w góry na narty. A co tam, z tobą, Rozą, Jakubem, na narty, sanki, snowboard, opalanie się, picie herbaty z prądem, łażenie po Krupówkach, podziwianie zaśnieżonych szczytów... Relaks po przeżyciach, odpoczynek od życia. Ale w niedzielę równie

dobrze mogę obudzić się bez chęci do robienia czegokolwiek, zawiedziona, zdołowana, z ciężarem na sercu. A może wręcz przeciwnie? Lepiej nie przyzwyczajać się do myśli, że wszystko będzie dobrze.

- Mami, ten wyjazd do Zakopca jest aktualny? - Rozalia rozważa alternatywne myśli. - Kajtek mówił...

- Tak, pewnie, że tak. Chcielibyście z Kubą z nami pojechać? - Nie wiem, dlaczego wzięłam pod uwagę ich oboje.

- Już dzwoniłam. Weźmie urlop i jedziemy! Jesteś kochana! - Jak niewiele trzeba, żeby poznać uczucia własnych dzieci. - Jesteś pewna, że będziesz mogła? - rzuciła już na schodach.

- Tak, jestem pewna - odpowiedziałam z przekonaniem.

Bez względu na to, co się wydarzy, jadę. Cholera, jak kocha, to poczeka. Jeżeli nie, przynajmniej sobie użyję.

- Idę spać, dzieciaki. Do zobaczenia rano. Zmęczona sobotą i niedzielą w rodzinnym gronie

wybrałam łóżko. Ale zanim się położę... W skrzynce znalazłam kilkanaście spamów i ileś tam internetowego śmiecia, wśród którego zawieruszył się jednak liścik od Szymona.

„Martusiu, jeśli pozwolisz, zrobię sobie ciszę w eterze i nie będę pisał aż do naszego spotkania. Po pierwsze, nie chcę Cię nękać, a po drugie, wierz mi, pracuję dzień i noc, żeby zdążyć. Jak się poznamy? Może podejść do Ciebie? Chyba mnie rozpoznasz... Już mnie kiedyś widziałaś...

Mam tremę i jednocześnie cieszę się z nadchodzącego dnia. Proszę, nawet jeśli będziesz zawiedziona, nie wychodź od razu, porozmawiajmy. Potem będzie tak, jak zdecydujesz. Do zobaczenia. Szymon".

Już go kiedyś widziałam? Znam go? Pewnie znam go całkiem nieźle, a on tylko tak specjalnie, delikatnie stara się mnie naprowadzić. Kim on jest, do choinki? Jakiś nasz znajomy, mój redakcyjny informator, sąsiad? A może poznany na wywiadówce ojciec któregoś z kolegów lub koleżanek Rozy albo Kajtka? Pan Ryszard z sąsiedztwa, który zawsze jest na miejscu, gdy mam kłopoty z bramą lub śniegiem? Przecież widział, jak Rafał mnie opuszczał z piskiem opon. A może któryś z kolegów Rafała? W końcu z niektórymi całkiem nieźle nam się rozmawiało na wspólnych imprezach. Chyba nie Szymon z firmy Glob coś tam, co ustaliłam podczas jazdy samochodem do Gdyni? Chyba że to było ukartowane... Jezus, chyba nie żaden z kolegów z redakcji! To by mi nie podobało. Fajni goście, ale nieźle indywidua, a poza tym żaden nie wyjeżdżał ostatnio w okolice Norwegii. „Już mnie kiedyś widziałaś”, tłukło się po mojej głowie. Gdzie ja go mogłam zobaczyć? Może w telewizji? Może robimy zakupy w tym samym sklepie albo leczymy zęby u tego samego dentysty? Wiem! Naprawiamy samochody w tym samym warsztacie! A może to mój dentysta? Nie! W końcu co robiłby dentysta na statku u wybrzeży Norwegii? Szymon nigdy nie był na żadnym statku, oświeciło mnie znieńcka. W końcu jaki mam dowód, że na nim przebywał? Jego słowo?

Może jest wyjątkowo zręcznym graczem? Ma, jak mówią moje dzieciaki, „niezłą nawijkę”, a ja dałam się na nią nabrać?

Mejle od Szymona zajmowały sporo miejsca w mojej skrzynce. Dlaczego na nie nie zerknąć? Zaczęłam czytać i... trudno mi było skończyć.

„Dziękuję za zaufanie, jakim mnie obdarzyłaś, pisząc o swoich prywatnych sprawach. Rozumiem, że niełatwo uchylić rąbka tajemnicy obcemu człowiekowi, w dodatku takiemu, którego się nie widziało”. „Trzymam kciuki za projekt i za Twoją niezależność. Uda się, obiecuję Ci. Szymon”. „Jeżeli męczy Cię codzienność, drażnią ludzie, kłopotczy myślenie o przyszłości, trapią problemy, pomyśl o mnie, który byłby najszcześniejszym człowiekiem, mogąc nazywać siebie Twoim przyjacielem. Jestem pełen nadziei, że niedługo dasz się namówić na spotkanie i może otworzymy nowy rozdział w życiu?”. „Gratulacje, Wolna Pani! Naprawdę się cieszę z Twojego sukcesu i otwieram z tej okazji przedostatnią buteleczkę norweskiego portera Akevitt”. „... jesteś Jediną Kobietą, która może mu przynieść szczęście i której on chce podarować cały świat”. „Życzę Ci, Kochana, i wszystkim bliskim Twojemu sercu wspaniałej Wigilii i świąt, a sobie, żebyś się na mnie nie zawiodła. W swoim zadufaniu wierzę, że tak się właśnie stanie. Martusiu, do zobaczenia w nowym roku”.

Trzeba być z kamienia, żeby nie uwierzyć w takie słowa. Tym bardziej że za nimi kryje się uczucie. Nie mogłam pojąć, skąd się wzięło, jakim sposobem i za dotknięciem jakiej czarodziejskiej różdżki pojawiło się u Szymona i...

u mnie. Czy jednak wszystko w życiu musimy rozumieć od początku do końca? Zrozumieć może nie, ale zobaczyć... Szymonie, bądź tak cudowny w realu jak twoje słowa, charakter, emocje, proszę, gadałam do otwartego okna w sypialni. Tak bardzo się boję. Tak bardzo cię... polubiłam, no dobrze, może pokochałam, tak się boję zawodu. Tylko nie tchórz! - zdyscyplinowałam się. Idziesz w sobotę na spotkanie. Idziesz! I założysz karminową sukienkę z wisiosem od plastyka. Założysz ją i pójdziesz na spotkanie! Rozumiesz?

Musiałam przemówić do rozsądku mojemu drugiemu ja, które zamierzało odpuścić.

- Marta, dlaczego nie odbierasz? - W końcu odebrałam brzęczącą od kilku minut komórkę. Dzwoniła Alina.

- Wybieram się spać. A coś się stało?

- Przepraszam, że nie mogłam się z tobą spotkać, ale już jestem do dyspozycji.

- Alinko... - W pokoju nie byłam sama, wokół falowały moje myśli. - Chciałam z tobą pogadać o spotkaniu z Szymonem, ale już postanowiłam. Idę. I już nie chcę rozmawiać o mojej decyzji. Powiem ci tyle, że muszę spróbować i dotknąć. Inaczej nigdy się nie przekonam.

- Dobrze zrobiłaś. - Na szczęście nie starała się wymądrzać. - Spróbuj i dotknij, to nic nie kosztuje - starała się być dowcipna.

Milczałam.

- No to widzimy się jutro w robocie? - uznała, że trzeba jakoś zakończyć rozmowę.

- Tak. No to cześć. - Nie miałam ochoty na pogaduchy.

Mimo ostatnich dni stycznia na dworze było nadzwyczaj ciepło i łagodnie. Zastanawiałam się, czy nie zostawić na noc otwartego okna. Do siódmej zostało kilka godzin, a mnie wcale nie chciało się spać.

MARTA

- Juliusz, nie mogę jechać z tobą w sobotę na to spotkanie. - Odważyłam się przekazać szefowi swoją decyzję dopiero we wtorek po pracy. - Mam ważne sprawy rodzinne.

Gdy zachęcał, żebym usiadła w fotelu, wiedziałam, że będzie usiłował mnie przekonać do zmiany zdania.

- Marta - zaczął przemowę. - Przecież wiesz, jakie to dla nas ważne. Mówiłem ci, że redakcja „Stylowej Pani” wynajęła ośrodek i zaprosiła gości, z którymi prowadzi rozliczne interesy. Między innymi nas - mówił powoli i dostojnie, tembrem głosu starając się nadać wypowiedzi odpowiednią rangę. - I zdajesz sobie sprawę, że twoja obecność jest niezbędna.

Przerwał, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Nie odzywałam się, zbierając siły do konsekwentnej odmowy. Marta, tylko się nie ugnij, przemawiałam do siebie bezgłośnie. Nie możesz za każdym razem, kiedy tylko komuś to nie odpowiada, zmieniać zdania. Nie teraz.

- Szefie, myślałam nad tym wyjazdem. Wybacz, naprawdę w tym terminie nie mogę - udało mi się wykrztusić.

- Co zatem zamierzasz z tym zrobić? - Oczywiście był niezadowolony i okazał to, przyjmując protekcyjny ton, który w połączeniu ze stalowym spojrzeniem trącił groźbą albo szantażem.

- Myślę, że mógłbyś spróbować umówić się z nimi w innym terminie, do którego się dostosuję. Jeżeli uznasz to za stosowne, mogę z nimi pogadać i wyjaśnić swoją nieobecność. Juliusz, przecież mnie również zależy na dobrych kontaktach i zleceniu. A może jedź sam? A ja spróbuję skontaktować się z nimi później.

- Marta, jesteś pewna, że nie znajdziesz czasu na wyjazd w tę sobotę? - Kategorie pytanie nie zwiastowało nic dobrego.

Zawahałam się. A jeśli moja odmowa będzie miała służbowe konsekwencje? Odwzajemniłam stalowe spojrzenie. Wytrzymał je, szczywany lis. No to co? Jeśli się rozstaniemy, straci władzę nade mną, a ja zyskam władzę nad własnym życiem. Cokolwiek to oznacza.

- Jestem pewna, szefie. Przepraszam.

- No dobrze. Przemyślę to i dam ci odpowiedź. - Zrozumiałam, że audiencja skończona. - W każdym razie ja pojedę, a potem się zobaczy. - Zabrał się do przeglądania papierów na biurku, co oznaczało, że należy się zbierać.

W redakcji była już wygaszona większość świateł. Przy komputerach siedziało kilku młodych, na których pewnie nikt w domu nie czekał, Miro kombinował, jak poskładać strony do kolejnego numeru, sprzątaczką kręciła się między boksami z odkurzaczem.

- Pani jeszcze tutaj? - zagadnęła, widząc, jak składam papiery do torby. - Widziałam panią w telewizji. Jeszcze nigdy nie miałam okazji widzieć w telewizji nikogo znajomego. Wszyscy jesteśmy dumni, pani Marto.

- Dziękuję, pani Basiu, za dobre słowo. - Miło czasem usłyszeć coś niespodziewanego. - Pewnie było widać, jak bardzo przeżywałam publiczny występ?

- Wręcz przeciwnie, świetnie pani wypadła - pochwaliła mnie raz jeszcze. - Ale ja tu panią zatrzymuję, a w domu pewnie czekają?

Pies z kotem na pewno. Uświadomiłam sobie, że ostatnio oprócz zwierząt nikt na mnie nie czeka. Czasami jedynie Rozalia z poczucia obowiązku spędzenia kilku godzin w domu daje się zabrać do Mieszkowic. Od przyszłego poniedziałku zdecydowanie biorę się do szukania chętnego na dom. Im szybciej, tym lepiej.

- Tak, muszę wracać do siebie. Wiadomo, w domu zawsze jest coś do zrobienia - odpowiedziałam ograną formułką. - Dobranoc, pani Basiu. Dobrej pracy.

Po przyjeździe pognałam prosto do komputera. Szymon, zgodnie z zapowiedzią, nie napisał, choć po cichu spodziewałam się wiadomości. Im bliżej soboty, tym czułam większą niepewność i przyływy tchórzostwa. Żeby można było z kimś porozmawiać... Z Rozalią? Chyba nie. Będziemy miały trochę czasu w Zakopanem, to opowiem jej o wszystkim. Obiecałam.

- Mami, nie słyszysz komórki? - Przyniosła mi brzęczący telefon.

- Przepraszam, zostawiłam w torebce na dole. Ciągle o niej zapominam - tłumaczyłam, widząc wyrzut w oczach córki. - Kto to? - dodałam nieco ciszej, jak gdyby dzwoniący mógł mnie usłyszeć.

- Alina. Odbierasz?

Wzięłam komórkę, kiwając głową na tak.

- No cześć. Przepraszam, że tak długo nie odbierałam, Ala. Rożka dopiero teraz przyniosła mi komórkę z dołu. Niedawno wróciłam z roboty. - Znowu się tłumaczyłam!

- Marta, dzwonię, bo nie mogę złapać cię w redakcji. Unikasz mnie?

- Skąd! Mam głowę pełną różnych spraw, a w dodatku stary dzisiaj znowu się rzucał. Człowieka może ogarnąć zniechęcenie.

- Czego chciał tym razem?

Na temat ciągłych pretensji naczelnego i powodów do permanentnego niezadowolenia mogłybyśmy napisać książkę.

- Nie chce mi się za dużo gadać, Ala. Powiem w skrócie: odmówiłam mu wspólnego wyjazdu w sobotę do Warszawy, bo jak wiesz, umówiłam się z moim internetowym Szymonem. I nie namawiaj mnie, żebym zmieniła zdanie. W końcu Juliusz jedzie sam.

- Nie zamierzam, Martusiu, odwozić cię od decyzji, a nawet dzwonię, żeby cię wesprzeć. Masz iść, musisz go poznać. Dzwonię z pomysłem, jeśli oczywiście będzie ci odpowiadał.

- No? - nastawiłam ucha.

- Słuchaj, weźmy sobie wolne w piątek i spotkajmy się na mieście albo u ciebie. Pogadamy, może pomogę ci wybrać sukienkę czy co...

- Stary się zorientuje, że się urwałyśmy. - Plan był sympatyczny, ale szyty grubymi nićmi.

-Ja już wzięłam zwolnienie na Czarka. A ty? - Cisza świadczyła o tym, że Alina się zastanawia. - Skoro on jedzie do Warszawy w sobotę, to przecież nie będzie się fatygował w piątek do pracy. Dobrze mówię? - Była bardzo zadowolona z dedukcji. - Możesz wziąć dzień na żądanie. Brałaś już kiedyś?

- A co to jest?

- No wiesz, jak ktoś ma kaca i na przykład nie może przyjść, to sobie bierze...

- Masz na myśli imprezkę w czwartek wieczorem, powiedzmy u mnie? - Nie podejrzewałam Aliny o taką fantazję.

- Czemu by nie? Coś w rodzaju wieczoru panieńskiego...

- Podoba mi się, chociaż za mąż się nie wybieram. Jeszcze dobrze nie ochłonęłam po pierwszym związku.

- Kto ciebie wie, koleżanko? To co, dogadamy jutro w gazecie? - Rozmowa zbliżała się do końca.

Dogadałyśmy, a potem spotkałyśmy się u mnie w czwartkowy wieczór na imprezce przepełnionej głębokimi dyskusjami na temat mojej przyszłości z nieznanym, ale bardzo bliskim Kimś. Następnego dnia nie trzeba było mnie wprawdzie zdrapywać ze ściany, ale wolne na żądanie niewątpliwie się przydało.

- Ala, czy ja powinnam przed spotkaniem iść do fryzjera czy do jakiejś kosmetyczki? - W piątkowy poranek wyglądałam, jakby to właśnie było mi najbardziej potrzebne.

- Nie musisz. Chyba że ci to polepszy samopoczucie.

- Dobrze, racjonalne podejście.

- To nie idę. Nie będę się fiokować jak jakaś damulka z Pigży na łowach w sanatorium. Dobrze myślę? - zadałam retoryczne pytanie.

- Bardzo dobrze. To co, dasz sobie radę? Możemy jechać do Gdyni?

- Ala, dziękuję. Odwiozę cię do domu. I trzymaj za mnie kciuki jutro od dziewiętnastej.

- Gdybyś chciała potem u mnie przenocować...?

- przygotowywała mi miękkie ładowanie. - Krzysztof wyjeżdża na dwa dni do Krakowa.

- Jasne. Po wszystkim prześlę ci esemesa. Wsiadajmy do auta. Cholera, wiesz, jak mi się nie chce tu wracać wieczorem?

- Jeszcze trochę, koleżanko. I przypilnuj Rozalii, żeby załatwiła wam miejscówkę w Zakopanem. Ta, którą pokazywałaś, wydaje się całkiem fajna.

- Już prawie zarezerwowana. Zawsze lubiłam okolice Strążyskiej. No i wiesz, nie będę musiała gnać czerwonego potwora. Ukochany Rozalii ma całkiem wygodną bryczkę. Chyba zabierze przyszłą teściową?

- No nie wiem. Lepiej obiecaj mu jakiś smaczny obiadek, to może się zastanowi - zakpiła w żywe oczy.

- Jesteś głupia i złośliwa - podjęłam żartobliwie.

- A Rożka ma całkiem dobry gust...

- Po mamusi, po mamusi. W końcu Rafałowi też niczego nie brakowało.

Oczywiście. Mój były mąż podobał się wszystkim moim koleżankom. I nie tylko im.

- Alina, nie pogrążaj mnie! Szymon ma pewnie metr pięćdziesiąt w kapeluszu, wygląda jak wyliniały pluszowy miś i jeszcze się jąka.

- Marta! - roześmiała się szczerze. - Żeby nie to jąkanie, pomyślałabym, że namalowałaś obraz Krzyśka! I co? Kocham go! Jest najwspanialszym facetem na tym padole. Mówię ci, nie zniechęcaj się po pierwszym wrażeniu, daj mu szansę. Najwyżej nie sprosta w realu i tyle. Nie każdy od razu musi być tak przystojny jak twój Rafał.

Po południu odwiozłam Alinę. Pomyślałam jeszcze przez chwilę nad fryzjerem i kosmetyczką, ale tak mi się nie chciało spędzić w przybytku piękna kilku godzin, że po rozstaniu pognałam do Mieszkowic, wskoczyłam do wanny i przy dźwiękach Sade spędziłam pół godziny w wannie pełnej piany. Moja córka zapewniła mi wolny wieczór, pozostając dzisiaj (według oficjalnej wersji) na noc u ojca. Nie miałam sił oponować. Teraz telefon od niej wyrwał mnie z kąpieli. Dogadałyśmy się, miała zarezerwować dwa dwuosobowe pokoje przy Strążyskiej. Wypadało dość drogo, ale warto zapłacić za przyjemność pobytu. Może spotkam gdzieś panią Józefinę? Tknięta niepokojem pobiegłam do kuferka z precjozami i sprawdziłam, czy pierścionek ze szmaragdem jest bezpieczny. Leżał i był cudowny. Szkoda, że trzeba będzie go oddać...

Po kąpieli wskoczyłam w biały frotowy szlafroczek.

- Łajduchu, kocie, na dwór, szybko, pani jest zimno! - popędziłam zwierzyńiec, by załatwił ostatnią dziś potrzebę.

Po przejrzeniu kilkunastu programów TV okazało się, jak zwykle, że nic nie ma. Wyłączyłam telewizor, nie mając ochoty na reklamy, kabaretony, wiadomości, powtarzane po raz trzydziesty szósty filmy, pokazy modelek, sklepy z artykułami na choroby stawów, serca i prostaty, ględzenie o problemach matek karmiących, kobiet po rozwodzie, mężczyzn przed rozwodem, o konfliktach z teściową, poszukiwaniu zaginionych, odszukiwaniu rodzin po latach, na tańce z gwiazdami, gwiazdy bez tańców... Jednym słowem, a dosadnie: na pitolenie kotka za pomocą młotka.

Łajdus skowyczał pod drzwiami; miał szczęście, że nie poszłam spać. Wpuściłam gadzinę, żeby nie zamarzła na dworze. Po raz ostatni tego wieczoru zajrzałam do skrzynki. Szymon napisał.

„Chciałbym jutro móc powiedzieć *veni, vidi, vici*, jak Cezar przekazujący senatowi wiadomość o zwycięstwie. Na pewno przybędę i zobaczę. Ale czy zwyciężę? To zależy od Ciebie, Moja Martusiu. Ostatni raz mogę bezkarnie Cię pozdrowić, przytulić, a nawet pocałować w internetowej przestrzeni. Przed jutrzejszym spotkaniem jestem bardzo spięty i zdenerwowany. Do zobaczenia. I życzę szczęścia, przede wszystkim sobie. Czekam. Szymon”.

NIEZNAJOMY

Zostały mi jeszcze dwie godziny. Założyłam karminową sukienkę i wisior. Przeczesałam umyte i wysuszone włosy, nałożyłam zielony cień na powieki, podmalowałam rzęsy, pociągnęłam usta pomadką.

- Wynocha do domu! - Zapędziłam zwierzyniec do chałupy i zadbałam, żeby w miskach znalazły się żarcie i woda. Wyjeżdżając z Mieszkowic, obejrzałam się za siebie. W oknach było ciemno. Pozostawiałam za sobą pusty dom. Rozalia z Kajetanem stacjonowali w Gdyni, w sobie tylko znanych miejscach. Gdzieś tam w mieście mama przebywała z panem Zdzisławem, Renata z Michaliną, a może i z Łukaszem, Alina wyprawiła Krzyśka do Krakowa i pewnie przygotowywała Czarkowi kolację. W każdym oknie świeciły się światła, ludzie mościli sobie miejsca w miły sobotni wieczór... Włączyłam silnik, na szczęście zapalił. Nie pamiętałam, kiedy wymieniałam akumulator.

Z parkowaniem przed grecką restauracją nie będę miała problemu, duże podwórze zapewniało komfort zmotoryzowanym gościom. Zajechałam dziesięć minut

przed czasem. Na szczęście dokoła panowała ciemność, nie było widać, że siedzę w aucie. Samochodowe lusterko wystarczyło, by starannie pociągnąć raz jeszcze usta szminką, odgarnąć do tyłu włosy, sprawdzić, czy w torebce znajduje się wszystko co trzeba, wyłączyć w komórce dźwięk, a w aucie radio i ogrzewanie, zaciągnąć ręczny hamulec i...

Skoro już wszystko zrobiłam, wypadało wyjść.

Na parkingu stało kilka samochodów. Próbowałam się zorientować, który należy do Szymona, ale dałam sobie spokój. Trudno było rozpoznać marki, a zresztą jakie to miało znaczenie?

Knajpka mieściła się przy ulicy prowadzącej ku morzu. Weszłam wprost na bar.

- Witam panią. - Zza parawanu wyłonił się uprzejmy kelner i odebrał ode mnie płaszcz. - Ma pani rezerwację?

- Chyba nie... - Zawahałam się. - Ale jestem z kimś umówiona.

- Zapraszam. Zaprowadzę panią do stolika. - Wskazał mi miejsce w rogu sali, przy kominku z białego kamienia, zdobionym okruchami greckiego marmuru.

Zaproponował drinka, odmówiłam. Na sali siedziało kilka osób, ale żadna z nich nie mogła być Szymonem. Stosunkowo młoda parka flirtująca przy kieliszku wina, kilku facetów, najprawdopodobniej świętujących niezły firmowy kontrakt, starsza pani nad filiżanką kawy, małżeństwo z dwudziestoletnim stażem zapatrzone w przejeżdżające za oknem samochody... Zegar wskazywał dwie minuty do siódmej.

- Może jednak zaproponuję pani drinka? Albo greckie wino? -
Nieoczekiwanie wyrósł przede mną kelner.

- Jeżeli już, to proszę ouzo. Podwójne.

Jeśli nie przyjdzie, przynajmniej sobie dogodzę.
Przypomniałam sobie o oferowanym przez Alinę noclegu.

Pan biegający z białym ręcznikiem przewieszonym przez rękę szybko zrealizował zamówienie, starając się przy tym do mnie zagadać. Spławiłam go i rozprawiłam się z ouzo. Kilka minut po siódmej. Pięknie. Na ulicy, na którą miałam podgląd ze swojego miejsca, nie było nikogo. Podniosłam się do wyjścia.

- Proszę pana! - zawołałam na kelnera. - Mogę prosić o rachunek?

Oddałam się poszukiwaniu portmonetki, gdy niespodziewanie pojawił się bukiet żółtych tulipanów.

- Witam, Martusiu - usłyszałam zza niego znajomy głos.

- Rafał? Co ty tu robisz? - Tylko tego brakowało, żeby był świadkiem mojej klęski!

- Czy mogę na chwilę usiąść? O matko!

- Przepraszam cię. Czekam na kogoś... - Byłam dezorientowana.

Nie dość, że oczekiwany facet się spóźnia, to jeszcze potrzebny mi były mąż w charakterze publiczności! Siara, jak mówią moje dzieci.

- Ja też się z kimś umówiłem. - Nietrudno się było zorientować. Bukiet był wyjątkowo okazały... - Z piękną kobietą
- kontynuował, nie zwracając uwagi na moje

zniecierpliwienie. - Napisałem jej kiedyś w mejlu, że jestem facetem, który w pewnym momencie życia zdał sobie sprawę, że jego szczęście zależy wyłącznie od niej. I że chcę jej podarować cały świat...

- Szymon...? - przypomniałam sobie. Czytałam te słowa całkiem niedawno... - Jakim cudem poznałeś zawartość mojej skrzynki?! - Nie rozumiałam.

- Zwyczajnie. To listy ode mnie.

- A Szymon...? - Wszystko stawało się jasne.

- Nie wyjdiesz, prawda? Pamiętasz, prosiłem cię o to w ostatnim mejlu. Żebyś została, bez względu na pierwsze wrażenie. Zostaniesz? - Przytrzymał moją dłoń.

A ja zaczynałam się łamać.

- Rafał?! Po co to wymyśliłeś? Żeby mnie oszukać?

- Nie. Żeby cię odzyskać.

Zapadła cisza. Nie wiedziałam, co powiedzieć, on też... Świat stanął na głowie.

- Rafał, czy ty wiesz... - Przerwałam milczenie. - Ja chyba byłam gotowa zakochać się w Szymonie...

- A tymczasem on zakochał się w tobie. Wiem, bo mi powiedział - starał się być dowcipny. - Martusiu, kocham cię i... tyle.

Zastanawiałam się, jak zareagować. Co myśleć, co powiedzieć? A może nic?

- Czy państwo już wybrali? - Przy stoliku pojawił się kelner.

- Ja poproszę musakę - odparłam machinalnie.

- Dla mnie to samo - wyrecytował Rafał, nawet nie zaglądając w kartę. - I białe wino.

- Jakie? - Kelner najwyraźniej nie miał ochoty się zdematerializować.

- Greckie, proszę pana. - Obsługa potrafi być denerwująca. - Dobrze.

- Dlaczego mnie oszukiwałeś, że jesteś gdzieś u wybrzeży Norwegii, robisz jakieś badania, ratujesz statek, który się topi? Po co to wszystko? - zapytałam, gdy pan namolny odpłynął w kierunku kuchni.

- Posłuchaj... - Rafał ponownie dotknął mojej dłoni.

- Po naszym rozstaniu postanowiłem, że nie będę już adwokatem od rozwodów, mimo nawału zleceń. Zacząłem współpracować z policją, nie ukrywam, za pośrednictwem Jakuba. Tak, to prawda, Rozalia poznała go przeze mnie. A potem znajomy kapitan żeglugi wielkiej zaprosił mnie na rejs po Bałtyku i Morzu Północnym. Pomyślałem wówczas, że czas na realizację młodzieńczych marzeń o pisaniu. Więc zacząłem... - Przerwał.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie pamiętasz? Zaraz po studiach prawniczych chciałem zajmować się sprawami karnymi i pisać, ale...

- Zasepił się. - Cóż, rozwody okazały się bardziej intratne. A potem wszystko potoczyło się rutynowo. „Dom i ogródek i tak już do śmierci, a przecież stare żaglowce...”

- Przypomniał mi słowa ulubionej szanty.

- „...jeszcze po morzach pływają” - dokończyłam odruchowo.

- Tak właśnie było. Oboje daliśmy się zniewolić życiu, chociaż przyznaję: to ja doprowadziłem do najgorszego. Po rozwodzie postanowiłem odzyskać ciebie, Martusiu.

Nie było mi dobrze bez was. - Delikatnie wycofałam dłoń. -
Więc wymyśliłem Szymona... - Udał, że tego nie zauważył. -
Teraz już wiesz wszystko.

- Chyba jednak nie do końca. - Miałam jeszcze wiele pytań. -
Skąd wiedziałeś, że będę szukać informacji o Grecji na forach?

- To akurat nie było trudne. Dzieciaki mi powiedziały, gdzie się wybieracie. Wiem, wiem - zaasekurował się, zanim zdążyłam otworzyć usta. - W końcu z tobą nie pojechały. Tak wyszło. No więc nawiązałem kontakt, który szczęśliwie przetrwał ładnych kilka miesięcy... Zanim mnie zganisz, chciałbym ci powiedzieć, że nie jestem już tym facetem, z którym się rozwodziłaś. Marta, nie złość się na mnie za ten wybieg z Szymonem. Dzięki temu dowiedziałem się wiele, o sobie i tobie. Jesteś wściekła?

Chciałam być. Ale siedział przede mną, taki ufny, bezbronny... I chyba mówił prawdę. A jeżeli to tylko prawnicza, wyćwiczona latami umiejętność? Ale w jakim celu? - targały mną wątpliwości.

- Mówiłeś o pisaniu! - znalazłam sposób, żeby sprawdzić prawdomówność Rafała i jego szczerą intencję. - Mówiłeś, że zacząłeś. Co napisałeś?

Wyjął z torby komputerowy wydruk sporej objętości.

- *Morderstwo na pokładzie* - przeczytałam tytuł. - Rafał Zawadzki...

- Ukaże się niebawem - wyjaśnił. - Moja debiutancka książka i jednocześnie powód, dla którego Szymon nie miał czasu się z tobą spotkać przed końcem stycznia. Musiał skończyć. Zresztą... Był mejl, w którym niemal

się odkryłem! - Roześmiał się na myśl o niedoszłej wpadce.

- Kiedy? - Widać nie wykazałam wówczas należytej czujności.

- Kojarzysz list wysłany z adresu książka@data.pl? Pewnie się zdziwiłaś, ale nie zwróciłaś uwagi na, hm, mało znaczącą wiadomość...

- Gratuluję. Naprawdę jestem pod wrażeniem. - Udałam, że nie rozumiem przytyku. - Przyjemnie znaleźć odskocznię od życiowej rutyny... - Mimo wszystko miło było odkryć, że Rafał ma jakąś pasję.

- Nie zrozumiałaś mnie. Mam zamiar pisać nadal. A jeśli jeszcze da się z tego utrzymać... Byłoby fajnie. Zresztą to ty, biorąc się za projekt ogrodu, uzmysłowiłaś mi, że w życiu trzeba poszukiwać.

- Nie tylko pieniędzy? - nie opuszczała mnie złośliwość.

- Pieniądze nie są złe, Martusiu. Za co kupiłbym ci w Gdyni taki piękny dom?

- Dom? O czy ty mówisz?

- Skoro mam już tyle na sumieniu, odkryję i ostatnią kartę. - Kelner postawił przed nami kamionkowe naczynie z dymiącą potrawą. - Podać ouzo? - Znacząco spojrział w moją stronę.

- Bardzo proszę. Takie samo. - Zrozumiał, że podwójne.

- A dla pana? - Kelnerzy, jak pośrednicy nieruchomości, nie rezygnują nigdy.

- Tak, to samo. - Rafał zaczynał się niecierpliwić. - Czy może nas pan zostawić samych? - Martusiu... Cholera, dobrze, że już sobie poszedł.

- O jakim domu mówisz? Zostaw w spokoju kelnera, już go nie ma.

- Przepraszam. Historia jest trywialna. Niedawno dowiedziałem się, że w Gdyni mieszka daleka kuzynka mojej babki, ciotka Józefina.

No tak. Mogłam się spodziewać, że nic nie będzie działo się przypadkiem.

- I co? - Postanowiłam posłuchać.

- Aż do tej pory nie miałem o tym pojęcia, bo gdybym wiedział... Na pewno utrzymywałbym z nią kontakty. Straciła syna, Rafała. Imię, jak widzisz, dość popularne w naszej rodzinie... Potem zmarł jej mąż, teraz mieszka sama. Odnalazła mnie przez wujka Kazimierza, no wiesz, tego z Kanady, spowinowaczonego z moim ojcem. Niedawno postanowiła do niego wyjechać, więc sprzedaje willę w Gdyni. Zresztą się orientujesz.

- Wiem, Rafał.

- Ona, kiedy poznaliśmy się po latach... - mówił wolno i z namaszczeniem. - Stwierdziła, że jestem... Ze powinienem zamieszkać w jej domu i... zaopiekować się nim. Ja też tak pomyślałem. Ale bez ciebie to nie to samo. Dlatego poprosiłem pośrednika, żeby ci go pokazał i poznał cię z ciotką Józefiną. Wyobraziłem sobie, że może „Szymon” przekona cię do siebie, a ja może... A mnie może... - plątał się -...uda się stworzyć w tym domu nasz dom.

- Czy pani Józefina o wszystkim wiedziała?

- Ouzo dla państwa. - Kelner postawił przed nami dwa zroszone kieliszki i natychmiast się wycofał, spiorunowany wzrokiem Rafała.

- Nie! - zaprzeczył gwałtownie. - Ciotka nic nie wie. Myśli, że jesteś moją żoną.

- Rafał, jak mogłeś?! - Nareszcie do mnie dotarło, o co w tym wszystkim chodzi. Dobrze, że miałam ze sobą chusteczkę. - Ważny był dom, prawda? Niezły biznes, półtora miliona zamiast czterech. Mistrzostwo świata! Ale beze mnie. - Zbierałam się do wyjścia. - Kurczę! Jutro wyjeżdżam do Zakopanego. I żebyś wiedział, spotkam się z panią Józefiną! I wszystko jej powiem, ty fałszywy... Ty groszorobie, ty chciwy, pazerny prawniku! Nigdy się nie zmienisz! Wyobrażałeś sobie, że mnie wykorzystasz? Że odegram rolę żony, abyś mógł wejść w posiadanie willi „Romana”? Żegnam cię i nie próbuj się ze mną kontaktować. A pierścionek ze szmaragdem oddam sama.

Wybiegłam na parking. Dobrze, że nie wypłam drugiego kieliszka. Miałam nadzieję, że pierwszy rozszedł się po organizmie. Cholera jasna, a ja już niemal byłam gotowa...! Już prawie...

Wynoś się z mojego życia! Tym razem na dobre, bo ci przywalę! - myślałam.

Boże, jaka jestem nieszczęśliwa!

DZIECIAKI

Do domu jechałam w amoku. Biorąc pod uwagę ouzo, rozkojarzenie i nadmierną prędkość, jedynie boskiej opatrności zawdzięczałam, że bezpiecznie dotarłam do Mieszkowic, nie robiąc po drodze nikomu krzywdy. Wbrew oczekiwaniom zastałam światła w oknach, a na podwórzu samochód Jakuba.

- Co tu się, do cholery, dzieje! - Rozgoryczenie ustąpiło miejsca wzburzeniu. Nabrałam podejrzeń, że Rozalia wpadła na trop mojego spotkania z „internetowym znajomym” i spodziewała się, że nie wrócę na noc do domu. A kiedy kota nie ma, myszy harczą. Hulaj dusza, piekła nie ma!

- Mamuś?! - Na ganku pojawił się Kajetan. - Już jesteś? Oho, ho, to mamy i synka. Widać i on został wtajemniczony.

- A gdzie mam być, Kajtek?! - Zamaszyście zamknęłam samochodowe drzwiczki. Prawdę powiedziawszy, nieźle nimi trzasnęłam.

- No nie wiem... Jesteś taka elegancka - brał mnie pod włos. - Myśleliśmy, że może nie wrócisz na noc...

- A ja myślałam, że to wy nocujecie u ojca. Przynajmniej tak mnie zapewnialiście.

- Kajtek, gdzie przepadłeś? - Z domu dobiegł głos Rozalii. - Wracaj, wpuszczasz zimno. Słyszysz?! Do diabła, chyba gdzieś polazł, muszę zamknąć te drzwi! - Za chwilę na ganku pojawiła się moja córka.

- Mami? Już jesteś?! - wykrzyknęła, jak gdyby zobaczyła co najmniej czarownicę na miotle.

- Ty też się dziwisz? Przypominam wam, że tutaj mieszkam i właśnie wróciłam do domu. Mogę wejść?

- Wparowałam do środka. - Witam - rzuciłam do zdziwionego Jakuba, który poderwał się z fotela na powitanie.

- Ale nie przeszkadzajcie sobie, pójdę na górę. I dajcie mi wszyscy święty spokój!

Zdezorientowane towarzystwo pozostawiłam za sobą.

Rzuciłam się na łóżko, nie zapomniawszy o zamknięciu drzwi na klucz. Szkoda, że nie zabrałam czegoś z barku, bardzo by się przydało. Właściwie dlaczego nie zejść na chwilę? Nie zastanawiając się dłużej, zbiegłam do salonu. Za chwilę ponownie leżałam u siebie, z kieliszkiem i winem.

- Słucham? - Ktoś zapukał do drzwi.

- To ja, Jakub. Może mógłbym pani pomóc w otwarciu butelki?

Faktycznie. Zapomniałam o otwieraczu.

Chcąc nie chcąc, zwlokłam się z łóżka i skorzystałam z propozycji. Jakub sprawnie wyłuskał korek i podał mi czerwony trunek gotowy do spożycia.

- Czy mogę pani jeszcze w czymś pomóc? - Dostrzegłam zatroskaną twarz.

- Dziękuję. I zostawcie mnie wszyscy w spokoju. Rano mi powiecie, o której wyjeżdżamy, bo muszę umówić się z sąsiadami na karmienie zwierzaków. Idź już. - Nie chciałam, żeby zobaczył rzekę łez, która nagle zaczęła wzbierać w moich oczach.

- Czy Rozalia może przyjść do pani?

- Nie. Chcę być sama.

Nie odebrałam telefonu od Rafała, odrzuciłam połączenie od Aliny. Nie miałam ochoty rozmawiać z mamą, Renatą ani z Juliuszem, który zapewne chciał mnie po raz kolejny opieprzyć za nieobecność na „tak ważnym dla gazety spotkaniu integracyjnym w Warszawie”. Niech ich wszystkich...! Nie otworzyłam drzwi Kajetanowi, nie dałam Rozalii, dobijającej się do pokoju, szansy na wysłuchanie moich zwierzeń. Nie miałam sił na gadanie ani ochoty na zaczynanie wszystkiego od początku po kolejnym zawodzie. Pozostało jedynie palnąć sobie w łeb. Gdyby nie pierścionek. Gdyby nie zobowiązanie wobec pani Józefiny, która pokładała we mnie nadzieje, że zaopiekuję się „wraz z mężem” grobami jej bliskich, pozwalające jej w spokoju przemierzyć Atlantyk w poszukiwaniu przystani u boku pana Kazimierza. Gdyby nie fakt, że moje dzieci nie są jeszcze całkiem dorosłe. Gdyby nie to wszystko, czy pojechałabym do Zakopanego wypocząć? Oderwać się od codzienności, kłopotów, stresów? Czy mi źle na własnym wyrku, z którego chyba już nigdy się nie ruszę? Można sobie na nim popłakać, żeby nikt nie widział (przy łóżku leżała już sterta mokrych chusteczek), napić się wina, żeby nikt nie zrzędził (przy łóżku

stała butelka, już do połowy pusta), zakląć, żeby nikogo nie zgorszyć (klełam jak szewc już od kilku minut), nie wpuszczać nikogo (nie dawałam się łomotom w drzwi już od kilkunastu minut), strzelić sobie w łeb...

Wyteżyłam wolę i napisałam do Ali.

„Spotkanie się nie udało. Daj mi spokój. Kiedyś ci opowiem. Jadę jutro do Zakopanego, broń mnie, jeżeli stary będzie gadał. Czuję się fatalnie. Marta”.

Rafała olałam. Nie miałam mu nic do powiedzenia.

Dostałam esemesa od Rozalii.

„Mami, wpuść mnie, proszę. Bardzo proszę. Rozalia, twoja córka”.

„Wejdz, otwarte”.

Może rzeczywiście lepiej z kimś porozmawiać?

Po chwili moje dziecko siedziało zatroskane przy łóżku, na którym leżałam, próbując nie poruszać obolałą głową.

- Nie udało się spotkanie? - Wiedziałam, że się domyśli.

- Porażka, córuś. Kompletna porażka. Czy ty wiesz, kto to jest Szymon? Przecież orientujesz się, że tak się nazywa?

- Wiem, że tak się podpisywał. Bo to był tata - wyrecytowała.

Chciało mi się krzyczeć. I ty, Brutusie, przeciwko mnie!?
Roza wiedziała?

- Rozalia, ty wiedziałaś, że ojciec bawi się w mejlo-wanie?! -
Z wrażenia aż usiadłam na łóżku. - A może uknuliście ten plan wspólnie?

- Mami, nie denerwuj się, proszę. Uspokój się. - Czy można być spokojną wobec takich rewelacji? - To prawda, oboje z Kajtem wiedzieliśmy od początku, że tata pragnie cię odzyskać właśnie w taki sposób. Przecież inaczej nie chciałybyś z nim rozmawiać, prawda?

- A nie przyszło wam do głowy, że on robi to wszystko dla tego domu?! Dla biznesu?

- Jakiego domu, mamuś? Przecież on nam wszystko oddał. Nie ma żadnego domu. - Rozalia albo udawała, albo nie była wtajemniczona.

- Dla willi „Romana”... - Chyba rzeczywiście nic nie wie o sprawie...

Skoro zabrnęłam tak daleko, czas na wyjaśnienia. Moje spotkanie z pośrednikiem, mimowolne odgrywanie roli żony Rafała, zdobycie zaufania pani Józefiny, pierścionek ze szmaragdem, zobowiązania wobec właścicielki willi, jej przyszły wyjazd do Kanady i obecny pobyt w Zakopanem. Wspomniałam o koneksjach rodzinnych Rafała. I że jeśli willa pozostanie w rękach rodziny, czyli Rafała i moich (jego żony!), on zapłaci za nią jedynie półtora zamiast czterech milionów złotych, które jest warta.

- Tata miał na oku biznes i dlatego „chciał mnie odzyskać”. Rozumiesz teraz? - zakończyłam.

- Nonsens! Kompletna bzdura! - Rozalia stanęła w obronie ojca. - Tata myślał o tobie od samego rozwodu! Czy ty nie widzisz, że się zmienił? Rzucił to kretyńskie rozwodzenie ludzi, piszę książkę, zamierza wydawać, podróżować... Wspierał cię jako Szymon przez cały czas! A ty potrafisz jedynie doszukiwać się fałszu i napawać

się własnym nieszczęściem. Żebyś wiedziała, jak Kajtek i ja wam sekundowaliśmy! Zostaliśmy na wieczór w Mieszkowicach, żebyście u taty mieli wolną chatę! A ty wymyśliłaś sobie, że ojciec chce przechwycić jakąś głupią willę, olałaś wszystkie jego starania. A na koniec może jeszcze rzuciłaś w niego bukietem, co?

Wiedziała nawet o tulipanach! Może nawet je kupowała?

- Córciu, nie płacz! - Teraz ja musiałam ją reanimować. - Jestem zaskoczona i sama już nie wiem, co myśleć. Rozalko, bardzo wam dziękuję, że myśleliście o nas, chociaż sama kiedyś zrozumiesz, że rodzice, jak każda para ludzi, muszą poradzić sobie sami. Miałyśmy porozmawiać o Szymonie w Zakopanem, wyszło wcześniej. Mogę ci wyznać, że polubiłam go, a nawet więcej, przywiązałam się do niego. Trudno mi było bez niego, był mi potrzebny. Czekałam na spotkanie z nim, ale widok taty nie sprawił mi zawodu... Aż do rozmowy o willi. Jedźmy do Zakopanego. Mam nadzieję, że zastanę tam jeszcze panią Józefinę. Chciała po raz ostatni przed wyjazdem do Kanady odwiedzić polskie góry. Rozmowa z nią wiele mi wyjaśni.

- I od niej uzależniasz bycie z tatą?

Dzieci, nawet dorosłe, zawsze pozostaną dziećmi. Najchętniej widziałyby rodziców razem po wsze czasy...

- Rozalko, ja nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze będę z tatą... Czy w ogóle będę z jakimkolwiek mężczyzną.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- Naprawdę nie potrafisz pokochać ojca?

- Powiem ci jak kobieta kobiecie: wydaje mi się, że tak do końca nigdy nie przestałam go kochać. Podobał mi się zwłaszcza jako Szymon. - Wobec rozpaczy Rozalii uspokołam się, odzyskałam nawet skłonność do żartów. - A to, co będzie, zależy od bardzo wielu spraw, w szczególności od zaufania. A jak widzisz, straciłam je już na pierwszym spotkaniu z „Szymonem”...

- To teraz dużo zależy od tej pani Józefiny?

- Tak. No, idziemy spać. Przed nami długa droga. Fajną kwatere załatwiłaś. Wy pojeździecie sobie na nartach, a ja powalęsam się tu i tam. No i postaram się o spotkanie.

- Mami, przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam. - Rozalia zbierała się do wyjścia.

- Daj spokój. Jesteście z Kajtem debeściaki. I ten twój Jakub też. Dostanę całusa na dobranoc?

JÓZEFINA

Zakopane przywitało nas promieniami porannego słońca, otulającymi na wpół śpiące szczyty. Giewont wyłaniał się z mgły, pozostawiając jej jedynie czubek głowy śpiącego rycerza z nieśmiertelnym krzyżem. Mimo że nie byłam tutaj już od wielu lat, poczułam się jak u siebie. Jeszcze tylko dojechać do Orkana, obok Atmy skręcić w Kasprusie i dobrnąć do celu. Rozalia zrobiła mi dużą przyjemność, znajdując kwatere przy Strażyskiej. Kiedy młodzież odda się na okolicznych stokach nieznanym mi urokom zimowych sportów, ja będę mogła przy użyciu nóg dotrzeć do ulubionych zakątków.

Willa Atma, obecnie muzeum Karola Szymanowskiego, jak zwykle urzekała urokiem witkiewiczowskiego stylu, nazwanego później zakopiańskim. Drewno, weranda, ganek... Wywoływała skojarzenia z „Romaną”? Nasza „Juhasówka” wcale nie okazała się gorsza, co najwyżej nieco młodsza. W progu przywitała nas postawna gaździna i skierowała na pięterko. Pokazała, gdzie są kuchenka, lodówka, czajnik, a „jeżeli państwo by czegoś jeszcze sobie życzyli, to ja bardzo chętnie”. Po dziesięciu

godzinach drogi nocą łóżko wabiło ponętym zapachem świeżej pościeli. Kajtek dzielił pokój ze mną.

- Nie wiem jak wy, ale ja idę się położyć - zapowiedziałam młodemu.

Mój syn już naciągał kołdrę na głowę.

- Tylko nie śpijcie za długo! Musimy skoczyć obadać Butorowy! - Rozalia przejęła narciarską inicjatywę.

- Skaczcie, skaczcie, ja się zajmę sobą.

Za oknem bielily się zbocza Giewontu. Śnieg przygniatał gałęzie smreków, niemal dotykających rozłożystymi ramionami okien.

Zwabiona bajkowym krajobrazem wyszłam na taras.

Jak łatwo znaleźć się w innym miejscu! A jeszcze kilka godzin temu dawałam jeść Łajdusowi... przemknęło mi przez myśl. Jedną nogą wciąż byłam w Mieszkowicach.

Wspaniale, że wyjechaliśmy zaraz po spotkaniu z Rafałem. Nagle wszystkie gdyńskie sprawy wydały się odległe i jakby nierzeczywiste. Widać trzeba oddalić się od człowieka, od miejsca, od zajęć, by nabrać psychicznego dystansu.

Na tarasie nie dało się długo wysiedzieć bez okrycia. Gdy starannie zamknawszy drzwi, wsuwałam się pod kołdrę, Kajetan już wydawał odgłosy niedźwiedzia pogrążonego w zimowym śnie. Zapadłam w miły, ciepły bezruch. Obudziłam się w pustym pokoju; młodzież prawdopodobnie robiła już użytek z nart na którymś z okolicznych stoków. Jak dobrze... Mogłam swobodnie rozciągnąć się na łóżku i sycąc oczy widokiem okrytego zmierzchem Giewontu, pomyśleć o smakowitej kawie,

którą niebawem zamówię w pobliskiej knajpce (miałam nadzieję, że jeszcze istnieje), i polanej tłuszcem bryjce z golonką w piwie. Oczywiście, wypadałoby również zamówić grzane piwo z kogłem-mogłem. Bezwzględnie.

Wyciągnęłam swój biały, leciwy, zakopiański kozuszek i futrzaną czapkę, nieodłączne atrybuty zimowych wakacji w górach, i po kilku minutach znad stolika w kącie Watry obserwowałam ruch za oknem. Ciekawe, czy pani Józefina jest jeszcze w Zakopanem? Może przechadza się po Kasprusiach, wracając do domu z popołudniowego spaceru? Mimowolnie sięgnęłam po komórkę.

„Dzień dobry, Pani Józefino”, napisałam. „Jestem z rodziną w Zakopanem. Jeżeli jeszcze Pani nie wyjechała, może byśmy spotkały się w dawnym Cocktail Barze na Krupówkach? Teraz chyba nazywa się Jagoda. Proszę się odezwać. Pozdrawiam. Marta”.

Na odpowiedź czekałam niecałą godzinę. Zadzwoiła.

- Tak? Witam! - ucieszyłam się, słysząc jej głos. - Jeszcze pani jest? Wspaniale! Na Gubałówce? Oczywiście, chętnie dojadę, przy okazji spojrzę na góry. Proszę się nie martwić, i tak zamierzałam tam się znaleźć. Wyszukamy jakąś knajpkę. Jasne, obecny koktajlbar zapewne w niczym nie dorównuje dawnemu. Pamiętam tamte lody i galaretki ze śmietaną! Pojutrze? Oczywiście. Jutro przejdę się Strążyską i Drogą pod Reglami w stronę Krokwi. To do zobaczenia pojutrze, o jedenastej. Willa „Wierch”, zapamiętam.

Rafał nawet nie próbował pisać, a mnie brakowało kontaktu z „Szymonem”. Może Rozalia miała rację,

broniąc dobrego imienia ojca? Może rzeczywiście nie zamierzał wykorzystać mnie do przejęcia wili? Płatanina wątpliwości przetaczała się przez głowę, gdy po (niestety) bardzo obfitym posiłku postanowiłam pozwolić kaloriom przemienić się w tłuszcz, wybierając, zamiast spaceru szybkim krokiem, kolejne godziny zalegania z książką w wygodnym łóżeczku. A co tam! Czy przyjechałam tu, żeby się umartwiać? Dla lenistwa wytłumaczenie zawsze się znajdzie... Jakiego lenistwa? - skarciłam się w duchu. To się nazywa wypoczynek po ciężkiej i wyczerpującej pracy. W końcu kto wygrał konkurs? Kto tyra w gazecie od rana do wieczora? Kto spędza w samochodzie minimum dwie godziny dziennie? Kto wozi, karmi, robi zakupy, podnosi na duchu, ratuje z opresji? No. I właśnie dlatego ten ktoś będzie teraz leżał, czytał, czasem odwiedzi jakąś niezbyt długą dolinkę, a głównie skoncentruje się na kontemplowaniu uroczych widoków i raczeniu się grzaniem winem. Żeby tak mieć za sobą sprawę z panią Józefiną i oddanie rodowego pierścionka... Odeгнаłam nieprzyjemne myśli, oddając się w objęcia Morfeusza. Obudziło mnie skrzypienie otwieranych drzwi.

- Kajtek! Żyjesz? Jak było? - Sprawcą okazał się mój kompletnie zmordowany syn, który padł jak nieżywy na łóżko.

- Okej - zdołał wykrztusić, a ja poderwałam się, by ratować wymęczone zwłoki.

- Jedliście coś?

- Uhm, jestem *dead*. Masz coś do picia? - Jak widać, pierwszy dzień na stoku potrafi dać w kość.

- Wszystko. Grzaniec, woda, sok...
- Możesz mi postawić butelkę wody przy łóżku?
- Ściągnął spodnie i wsunął się pod kołdrę.
- Nawet nie pogadasz, synuś?
- *Sorry*, mamuś, jutro przy śniadaniu, okej? I tyle było z rozmowy.

- To ja. - W drzwiach pojawiła się głowa Rozalii.
- Przyszłam powiedzieć dobranoc. Jak minął dzień?
- Chyba jednak nie zamierzała wysłuchiwać wrażeń, bo postanowiła sobie nie przerywać. - Najeździliśmy się na Butorowym. Jutro chcemy podjechać do Białki, na Kotelnicę. Chcesz się zabrać?

- Nie martw się o mnie. Radzę sobie świetnie i mam plany na jutro, a nawet pojutrze. Idź się położyć, wyglądasz na zmęczoną.
- Pogładziłam ją po włosach, odgarniając spadający na policzek kosmyk, zawsze z tej samej strony. - Do jutrzejszego śniadania u gaździny. Zobaczymy, co przygotuje.

- Dzięki, mami. - Rozalka pocałowała mnie na dobranoc, wdzięczna, że nie zamęczam jej pytaniami.

Kolejny dzień rozpoczął się smakowicie i pogodnie, przy gorącym piecu kaflowym, na którym pani Bronia wyczarowała pachnącą jajecznicę na skwierczących plastrach wędzonego boczku. Menu uzupełniały własnoręcznie pieczony chleb i biały owczy ser. Zwieńczeniem były placuszki ziemniaczane z twarożkiem, miodem i rozpływającą się w ustach wiśniową konfiturą, że nie wspomnę o kawie ze śmietanką i zsiadłym mleku. Nie dość, że smacznie, miło i przytulnie, to jeszcze w zagląających

przez okno promieniach słońca, szukających schronienia przed dziesięciostopniowym mrozem. Dzieciaki pognały na białczańskie trasy, zanim zdążyłam dopić drugą kawę. Dowiedziałam się, że na Kotelnicy jest siedem wyciągów, naśnieżone, oświetlone i ratrakowane trasy, a do tego kwitnie gastronomia. I bardzo dobrze, przynajmniej wrócić zmęczeni i najedzeni, zanim z trudnością odnajdą drogę do łóżek... A ja? Z rozkoszą myślałam, co dzisiaj zrobić, jeżeli w ogóle zrobię cokolwiek. Przejdę się do Doliny Strążyskiej (jakieś dwieście metrów do wylotu), a potem... Ambitny plan pokonania kolejnych kilku kilometrów Droga pod Regłami w stronę Krokwi zaczął się kruszyć w obliczu perspektywy obiadu u mojej gaździny i dokończenia przy szklaneczce grzańca kryminału Agaty Christie, którego jakimś cudem jeszcze nie czytałam. Gnana, skoro już tu przyjechałam, obowiązkiem odbycia raz dziennie wycieczki „górskiej” na świeżym powietrzu i wykaraskania się z przytulnych, domowych pieleszy, okutałam się w ciepłe ciuchy i podjęłam wyzwanie pokonania trzykilometrowej doliny. Pobliska willa „Roma” przypomniła mi o jutrzejszym spotkaniu z panią Józefiną. Przemierzając trasę, nabierałam spokoju i dystansu wobec tego, co ma się wydarzyć. Na Hali Strążyskiej, z której odchodzi szlak na Giewont, poczułam się znakomicie odprężona i z przyjemnością wypiałam kolejną kawę, gapiąc się na ośnieżone góry. Wracając, odsunęłam od siebie wszystkie męczące myśli dotyczące spraw, których do tej pory nie udało się rozwiązać. Szymon - Rafał, sprzedaż - kupno domu, matura dzieci, wyprowadzka Rozalii,

mama, siostra, stara praca, nowe projekty, nowa firma chwilowo odeszły w niepamięć. W otaczającej mnie aurze straciły wagę, stały się jakby mniej kłopotliwe, łatwiejsze do opanowania... Na kwaterze zastałam podhalański żur i kluski z miski z „omastom”, które popite grzańcem całkiem oddaliły problemy.

- Dzień dobry, Martusiu! - Z łóżka poderwał mnie telefon od pani Józefiny. - Chciałam się tylko upewnić, że przyjdiesz jutro, tak jak się umówiliśmy. Zamówiłam szarlotkę na ciepło.

- Oczywiście, będę. I cieszę się na tę szarlotkę. - Uprzejmości nigdy dość, choć za kawiarnianą szarlotką nie przepadam.

- Trafisz do mnie bez kłopotu? - Oto dama, która martwi się o innych. - Może wyjdę ci naprzeciw, do stacji kolejki?

- Z całą pewnością sobie poradzę, pani Józefino. A gdybym potrzebowała pomocy, pozwolę sobie zadzwonić. Dobrze?

- Czekam na ciebie zatem. Do zobaczenia.

Noc nie była zła, wręcz przeciwnie. Poranek też niczego sobie, zważywszy na specjały gaździnowego stołu i niemające zamiaru odpuścić słońce za oknem.

Zgodnie z przewodnikiem: „Istnieją dwie możliwości dotarcia na Gubałówkę; dla bardziej aktywnych będzie to wejście o własnych siłach. Droga z Krupówek jest bardzo dobrze oznakowana, a szczyt znajduje się na takiej wysokości, że bez problemu dotrze tam każdy. Nie powinno zająć to więcej niż godzinę. Turysta, który

oszczędza zmęczone nogi, może wjechać kolejką linową, która funkcjonuje tu od 1938 roku".

Przeglądając dalsze informacje, dowiedziałam się, że trasa kolejki ma 1338 metrów, a wjazd nie powinien zająć więcej niż pięć minut. Normalny bilet w obie strony kosztuje 16 złotych".

Okej. Na tyle mnie stać, by „oszczędzić zmęczone nogi” i dogodzić leniwej naturze zakopiańskiego wczasowicza. Gdy około jedenastej dotarłam do willi „Wierch”, pani Józefina już wypatrywała mnie zza firanki. Po raz kolejny sprawdziłam, czy pierścionek leży w pudełeczku, w środkowej, zamykanej na zamek kieszeni torby. Uspokoiliam się, gdy wyczułam kształt puzderka.

- Wejdz, wejdz... - Pani Józefina delikatnie uchyliła mi drzwi, starając się nie wpuścić śniegu. - Usiądz. - Wprowadziła do przytulnej kuchni, rozgrzanej ciepłem buchającego kominka. - Nikogo tu teraz nie ma, wszyscy poszli na narty. Tak się cieszę, że cię widzę! - Uściskałyśmy się tak serdecznie, że aż ścierpłam na myśl o dalszym ciągu.

- Pani Józefino... - Postanowiłam nie przeciągać struny i przejść do rzeczy. Sięgnęłam do torby.

- Rozbierz się, dziecko. - Odebrała ode mnie torebkę i wskazała na wieszak. - Zaraz ci podam kakao. Lubisz kakao?

Wyglądało na to, że będzie trudniej, niż się spodziewałam.

- Oczywiście, lubię. Pani Józefino... - Sytuacja stawała się krępująca. Najlepiej od razu wyjaśnić, że nie jestem żoną Rafała.

- To dobrze. Jeszcze tylko szarlotka, proszę. - Na stole pojawiły się dwa talerzyki z gorącym jabłkowym ciastem i dwa dymiące kubki. - Nie spodziewałam się tutaj ciebie. Rafałek mi nie wspominał, że wybierasz się do Zakopanego. Przyjechałaś sama czy z dziećmi?

Boże mój, dzieci też wykorzystał do swoich machinacji! Nie dostaniesz tej willi, Rafał! Nie takimi metodami! Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego wykorzystasteś mnie do załatwiania swoich interesów? Dlaczego pozbawiłeś mnie Szymona? Dlaczego stworzyłeś go, by dać mi nadzieję?

- Nie smakuje ci, Martusiu? - zapytała pani Józefina. Wyglądałam, jakby kęs ciasta stanął mi w gardle.

- Nie...To znaczy tak... Smakuje, jest bardzo dobre. Proszę mi powiedzieć, kiedy pani, to jest: kiedy spotkaliście się z Rafałem?

- Musiałam dowiedzieć się wszystkiego. - Przed ostatnimi wakacjami?

- Ależ skąd! - zaproponowała gwałtownie. - Wiesz, to wszystko moja wina...

Spojrzała w okno, poprawiła serwetkę, przetarła rękami policzki. Nie odzywałam się, pozwalając jej wspominać.

- Gdy poznałam Henryka, byłam w ciąży... Tak, wiem, co ci powiedziałam w Gdyni. Że Rafał, mój syn, urodził się rok po naszym ślubie... - Przerwała. Wspomnienia bywają niełatwe... - To nieprawda. Rafał był panieńskim dzieckiem. Ale... Henryk o tym wiedział i kochał jak swego. - Pani Józefina ocierała łzy, zbierając siły do dalszej opowieści. - Moja rodzina tego nie akceptowała, Martusiu. Zerwaliśmy kontakty, jak się miało okazać,

na zawsze. Spytasz, czy było mi z tym dobrze? Nie! Choć przez trzydzieści lat żyłam szczęśliwie. Z synem, z Henrykiem... Do czasu. Rafał zginął tragicznie, pobity przez chuliganów. Miesiąc leżał w szpitalu, ale nie odzyskał przytomności. Pięć lat po nim odszedł Henryk. Zostałam sama i żyłam, wierz mi, Martusiu, jak mniszka. Przez tyle lat... Aż poznałam Kazimierza. Przejechał do Gdańska, do kuzynki Gabrysi, z którą spotykałam się od czasu do czasu. I zaczęliśmy utrzymywać kontakty. A teraz do niego jadę. Nie pytaj mnie, czy go kocham. Po prostu chcę, po tych trzydziestu latach samotności, uszczknąć choćby chwilkę szczęścia. Rozumiesz? Przytrzymałam jej dłoń.

- Pani Józefino, nie zrobiła pani nic złego... - próbowałam ją uspokoić. - Jest pani dobrym człowiekiem. - Szukałam łagodnych słów.

- Ale przecież nie mogę tak po prostu zostawić moich ukochanych mężczyzn! - Łzy popłynęły szerokim strumieniem. - Postanowiłam odszukać rodzinę i kogoś bliskiego, żeby poprosić o zajęcie się grobami Rafała i Henryka. I odnalazłam Rafała, twojego męża.

Bardzo jej współczułam, niemal płakałam razem z nią, ale musiałam zadać to pytanie.

- Pani Józefino, kiedy to było?

Spojrzała. Zanim odpowiedziała, minęły wieki.

- Na dwa dni czy dzień przed świętami, Martusiu. Byłam taka szczęśliwa... A potem pojawiłaś się ty i wszystkie klocki znalazły się na swoim miejscu. Teraz już wiem, że przekazuję dom we właściwe ręce.

-1 Rafał nigdy wcześniej nie zabiegał o kupno willi?

- Marto! Nigdy bym na to nie pozwoliła! Twój mąż przypomina mi mojego syna. Chcę, abyście mieszkali w niej razem ze względu na pamięć o naszej rodzinie, dla ciągłości, dla mojego Rafałka. Nie musicie jej kupować. To twój mąż nalegał na, hm, rynkowe załatwienie tej sprawy.

Pani Józefina mówiła, opowiadała, gawędziła, snuła wspomnienia. Patrzyłam na nią, odkrywałam, myślałam o Rafale. A jednak nie miałam racji... Nie odszukałeś mnie w Internecie z powodu willi. Nie byłam ci potrzebna do zarobienia pieniędzy. Przepraszam.

- Przepraszam, pani Józefino. Muszę już iść - przerwałam potok wymowy starszej pani.

Na dworze panoszyło się południowe słońce, odbijające się od śnieżnej przestrzeni. Odszukałam numer Rafała. Nie warto się zastanawiać. „Szymon, jak dobrze, że byłeś. I jesteś. Tęsknię za Tobą. Do zobaczenia w Gdyni”.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

„Martusiu, nawet nie wiesz, jak czekałem na tego esemesa. Jestem w Zakopanem. Jeśli zdecydujesz się na spotkanie, pójdziemy na kolację. Też za Tobą tęsknię. Szymon”.

EPILOG

- Jaką serwetę mam położyć? - zapytał Rafał z pokoju.

- Tę *ecru* w zielone oliwki. Albo nie kładź żadnej. Rozalia zaraz wróci, zajmie się stołem. - Wyjrzałam z kuchni, by ponapawać oczy. Mój eks krzątał się po salonie, pomagając mi przygotować parapetówkę w naszej nowej willi.

- Ale kieliszki możesz przemyć. - Trzeba wykorzystać dobre chęci. - Te kryształowe, od ciotki Józefiny.

- Już się za nie biorę, kochanie. - Sięgnął po ścierkę.

- A właściwie to dlaczego jeszcze nie ma Kajtka?

- No wiesz, pojechał po napoje, a to bardzo odpowiedzialne zajęcie. I zajmujące dużo czasu. Zawsze lepiej przejechać się autem, niż jeździć na odkurzaczu. Mam rację?

- wyjaśniłam przedłużającą się nieobecność naszego syna.

- Wiesz, przyszło mi coś na myśl... - Podeszedł do mnie, zarzucił mi ściereczkę na ramiona i przyciągnął do siebie. - Skoro Kajtek i tak ciągle zabiera ci samochód, to może niech go sobie zatrzyma. A dla ciebie kupimy jakąś nową bryczkę. Skądinąd wiem, że nigdy nie lubiłaś tego czerwonego potwora...

- Jak długo jeszcze będziesz wypominał mi szczerść z Szymonem, potworze! To niesprawiedliwe! Teraz wiesz więcej o mnie niżeli ja o tobie - przekomarzałam się, próbując wydostać się z uścisku.

- No cóż, mężczyźni to natury mało skomplikowane. - Oho, zaczyna się sypanie złotymi myślami. - I trzeba im wszystko powiedzieć albo jeszcze lepiej napisać. A kobieta sama się wszystkiego domyśli.

- No nie wiem, panie mądry. Nigdy bym się nie spodziewała, że stać cię na takie sentencje i życiowe zmiany.

- Jestem! - Kajtek krzyczał z ganku, starając się otworzyć drzwi wejściowe dwoma sześciopakami wody.

- Synu, wynieś napoje do spiżarni. Chyba nie zamierzasz zostawić mi ich na środku kuchni!

- Niosę, niosę. A dasz mi jeszcze na chwilę auto? Muszę pojechać do Barta.

Oczywiście za ciężką pracę musi być nagroda.

- Kajtek, nie idź jeszcze, to może mama da nam coś do zjedzenia. Bo jak pojedziesz, nie dostanę niczego do kolacji. - Rafał próbował zadbać o żołądek.

- Nie jestem głodny. - Nasz syn już kierował się do drzwi. - Kiedy przychodzą goście?

- O szóstej.

- To ja będę godzinę wcześniej! - usłyszeliśmy już z ogrodu. - Cześć!

Cześć, cześć. Podgrzewając Rafałowi bigos, zadumałam się nad przyszłością. Jest czerwiec, ostatni miesiąc zamieszkiwania z nami Rozalki. Ulegliśmy, by po otrzymaniu wyników matury przeniosła się do Jakuba

i - o ile im się ułoży - pozostała z nim na zawsze. Dobrze, że chociaż Kajtek zadowolili się (całkiem sporym zresztą) pokojem na górze i przynajmniej na razie nie myśli o wyprowadzce od rodziców. Wikt i opierunek się przyda, miejmy nadzieję, przyszłemu studentowi kognitywistyki.

- Przyjdzie Krzysztof? - Rafał kręcił się wokół garnka, wciągając smakowite aromaty. - Pięknie pachnie, kochanie. - Wtulił głowę w moje włosy.

- Udało mi się kupić dobrą kwaśną kapustę.

- Ty pięknie pachniesz, nie kapusta...

Jeżeli go natychmiast nie przegonię, to... Na przykład nakryje nas Rozalia.

- Przeplukałeś te kieliszki? To siadaj, zaraz przyniosę bigos. Pytałeś o Krzyśka... - przypomniałam sobie. - Przyjdzie z Aliną. Pytałam Renatę, czy nie będzie się czuła niekomfortowo w ich towarzystwie, ale teraz, po rozwodzie? I u boku Łukasza? Nawet Michalina w miarę zaakceptowała nowego „wujka”. Młodszy, bardziej skłonny do żartów. Kupił ją.

- Wiesz, ten maminy pan Zdzisław wygląda na porządnego faceta. - Rafał od chwili, kiedy zaczął pisać książki, nabrał zmysłu obserwacyjnego. - I mama jest przy nim jakaś spokojniejsza.

- Mój ty psychologu, pozwólmy im być razem. Nie pamiętasz, jaka była niezadowolona, gdy sprzedawałam Mieszkowice i „opuszczałam ją na wieki”? Rozumiem, że straciły z Renatą tanią siłę roboczą w kuchni i ogrodzie, ale zawsze mogą nas odwiedzać, prawda? Naturalnie

wtedy, gdy je zaprosimy... - Uśmiechnęłam się przewrotnie. - Swoją drogą musimy się zabrać za remont i ogród. Ciotka Józefina nieco zapuściła gospodarstwo.

- Masz ochotę? - Rafał spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Na co? - Chyba nie chodziło mu o remont.

- Na wszystko. Chodź! - Pociągnął mnie za rękę na pięterko. - Usiądź. - Posadził w fotelu.

Zza szafy wyjął bukiet przepięknych luxorów, jaskrawo-karminowych róż o srebrzystej poświacie na płatkach.

- Przepraszam, że nie jestem ubrany jak trzeba... Miało się to odbyć przy kolacji, w garniturze, postanowiłem jednak poprosić ciebie tu i teraz, bez świadków. Nie chcę dłużej czekać.

Z kieszeni wyjął pudełeczko z dwoma pierścionkami.

- Kocham cię, Martusiu, i bardzo pragnę, żebyś została moją żoną. Wyjdiesz za mnie?

Jeżeli nawet kiedykolwiek myślałam, że będziemy jeszcze razem, oświadczyły były absolutnym zaskoczeniem. Z pudełka spoglądały dwa oczka: brylantowe w białym złocie i przepiękny seledynowy turmalin.

- Bardzo ładne... A dlaczego dwa? - próbowałam zamaskować zmieszanie.

- Ten kupiłem. - Rafał wskazał na brylant. - A ten dostałem dla ciotki Józefiny dla ciebie. Na powtórne zaręczyny.

- A jeżeli nie przyjmę?

- Będę musiał go odesłać - zażartował. - Zostaniesz moją żoną?

- Gdzie wy wszyscy jesteście? - Wołanie Rozalii wraz z odgłosem kroków na schodach zbliżało się do naszej sypialni. Po chwili drzwi otworzyły się z impetem. - Co tu się dzieje? Czy ja o czymś nie wiem? To może zejść na dół... - Chyba zauważyła, że pojawiła się nie w porę.

- Kochanie... - Odczekałam, aż za naszą córką zamkną się drzwi. - Te pierścionki są tak piękne, że... zapragnęłam je mieć. I ciebie, jako załącznik, też wezmę. Tak, wyjdę za pana ponownie, panie Rafale.

- Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent. - Wyjął egzemplarz książki autorstwa Rafała Zawadzkiego, zatytułowany *Morderstwo na pokładzie*.

Przeczytałam wydrukowaną dedykację: „Kochanej Martusi, kobiecie na całe życie. Z niewielką przerwą. Szymon”.